



MERYL SAWYER



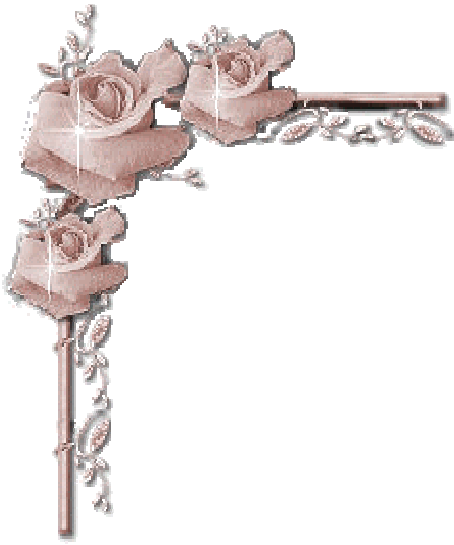
**NIGDY NIE CAŁUJ SIĘ
Z NIEZNAJOMYM**

SPOTKANIE

Janna powoli dochodziła do siebie. Przekręciła głowę na poduszce; nie była to jej własna poduszka. Ze zdumieniem stwierdziła, że znajduje się w cudzym domu. Przesiąknięta niezwykłym zapachem płócienna pościel, w której leżała, i unosząca się dookoła dziwnie znajoma woń pobudziły ją do myślenia. Nick Jensen. Poderwała się momentalnie. Czuła, jak ze zdenerwowania pulsują jej skronie. Była w jego łóżku. O mój Boże, tylko nie to!

Zaczęła sobie przypominać Nicka, ciepło jego ciała, siłę ramion. Poczuła, jak kręci jej się w głowie. Jego długie i słodkie pocałunki obiecywały wczorajszego wieczora o wiele więcej. Nie! On jej nie pocałował pierwszy. Przypominała sobie wydarzenia ostatniej nocy jak koszmarne sen. To ona go pocałowała, objęła i sprowokowała, by ją przytulił. Ale dlaczego? Nigdy nic nie czuła do Nicka Jensena. Nawet niezbyt go lubiła. Starła się go przekonać, by odstąpił jej swoje udziały w budowanym właśnie hotelu. Tylko o to chodziło. Jak bardzo musiała być pijana, by wykorzystać swoje ciało jako ostateczny argument. Nick mógł mieć przecież każdą kobietę, której pragnął...

Nigdy nie całuj się z nieznajomym



PROLOG

Stąd do wieczności

Malta 1941

„Kochając kogoś, trzeba zdawać sobie sprawę, że można go utracić”.

C.K. Chesterton

Malta, kwiecień 1941

Kogo w końcu przysłano nam z Londynu? — spytała szeptem Pithany Crandall.

— Jakiegoś reportera — odpowiedział dowódca, czekając na radiowe połączenie z bazą alianatów. — Podobno przybył tutaj jako agent służb specjalnych.

Nagle w głośniku usłyszeli szum. Pithany nerwowo pokręciła gałką, próbując nastawić odpowiednią częstotliwość. Ponieważ nie wychwyciła żadnego komunikatu, jedynie przenikliwy pisk, odłożyła słuchawki i powiedziała:

— Facet musi być szalony.

— Nie mniej szalony niż dziewczyna, która spędza życie w schronach przy nasłuchu — szorstki męski głos odbił się echem od ścian pograżonej w półmroku groty.

Pithany ujrzała olbrzymi cień na wapiennej skale, który pojawił się nagle w migoczącym blasku lampy. Zaraz potem ktoś szybkim dmuchnięciem zgasił płomień. Po sposobie, w jaki nieznajomy twardo wymawiał „r”, Pithany zorientowała się, że musi to być ten postrzelony reporter, o którym przed chwilą rozmawiali. Dotąd go nie spotkała, choć po wyspie krążyły o nim najrozmaitsze pogłoski.

— Mam osiemnaście lat... i jestem już kobietą...

— Czyżby?

Jego szkocki akcent jeszcze mocniej podkreślał ironię, która kryła się w pytaniu. Pithany zapragnęła ujrzeć twarz nieznajomego, lecz w podziemnej kryjówce nie było światła. Aby zaoszczędzić cenną naftę, Pithany zapalała lampę tylko podczas odbierania przekazów radiowych.

— Jak się pan tutaj dostał? Ten teren jest ściśle strzeżony.

— Już dobrze, Pithany. On ma zgodę na przeprowadzenie z tobą wywiadu — odezwał się dowódca. — Porozmawiaj z nim. Jeśli będzie jakieś połączenie, dam ci znać.

Dziennikarz usiadł koło Pithany na zwykłej ławce, która była kiedyś kościelną ławą. Przysunął się do niej, delikatnie dotykając jej drobnego ciała. Wtedy Pithany poczuła, jak potężnej postury był ten mężczyzna.

— Ian MacShane, jestem dziennikarzem „Daily Mirror” — przedstawił się.

— Pithany Crandall.

— Ile zna pani języków? — spytał po przyjacielsku, a nie tonem oficjalnego wywiadu.

— Włoski i niemiecki. Odrobinę francuskiego. — Dziewczyna nie wymieniła maltańskiego. Było oczywiste, że każdy mieszkaniec wyspy posługuje się tym językiem. Znała także

hebrajski, co należało do rzadkości w tych stronach, no i, naturalnie, angielski — oficjalny język na Malcie.

MacShane nie odzywał się. Pithany dodała po chwili:

— Sądzę, że znam niemiecki najlepiej ze wszystkich na wyspie, nauczyłam się go w szkole w Szwajcarii. Dlatego tutaj jestem.

— Czy cały czas przesiadujesz w tych ciemnościach, tak jak teraz, czekając na komunikaty?

— Tak. W związku z blokadą wyspa ma już niewielkie zapasy paliw — nagle zaburczało jej w brzuchu. — I jedzenia także — dodała. — Wytrzymamy, dopóki starczy paliwa dla RAF-u, by nas bronił.

— Rozumiem — odparł.

Pithany miała jednak poważne wątpliwości, czy aby na pewno wiedział, o co jej chodzi? Czy mógł sobie wyobrazić, jak to jest, gdy grozi inwazja ze strony Mussoliniego, a Luftwaffe ma swoją bazę operacyjną tak blisko, na Sycylii, zwanej tylnymi wrotami Malty.

— Czy nie ma pani klaustrofobii, pracując w tych podziemiach?

— Nie. Cały czas jestem zajęta rozszyfrowywaniem komunikatów, które odbieram. Założę się, że dzisiejszy zaszyfrowany przekaz od generała Rommla oznacza, że kolejny konwój jest w drodze, by uzupełnić jego korpus w Afryce.

Ian MacShane usiadł przodem do Pithany. Starła się odgadnąć jego wiek. Jego gruby głos i fakt, że relacjonował przebieg wojny, zamiast brać udział w walce, wskazywały, że musi mieć około czterdziestki.

— Nie staraj się mnie wykiwać — powiedział. — Wiem o tym, że jesteśmy w posiadaniu niemieckiej maszyny do szyfrowania, „Enigmy”. Poza tym w bunkrze obok jest nowa maszyna szyfrowa RAF-u, typ X, która potrafi rozpracować niemieckie szyfry uznane za nie do złamania. Wychwytyjemy niemieckie komunikaty wcześniej niż ich bazy operacyjne.

— Skąd pan o tym wie? — Pithany była pewna, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Malty nie ma pojęcia o tajnym urzędzeniu.

— Z dobrego źródła. Mam przecież, jako dziennikarz, nos do zdobywania tego rodzaju informacji.

W podziemiu rozległ się z głośnika nieprzyjemny sygnał oznajmiający kolejny nalot. Tu, w bunkrze, głęboko pod powierzchnią ziemi, byli bezpieczni. Dowództwo łączności miało bazę

tuż obok Grand Harbor — obiektu będącego celem wroga. Za każdym razem, gdy Luftwaffe bombardowała brytyjskie statki, oddział łączności ponosił duże straty.

— A niech to szlag... — wymamrotał MacShane.

— Przynajmniej radary ostrzegają nas przed nalotem — odparła, oczekując wybuchu bomb. — Z początku mieszkańcy wyspy nie ufali temu wynalazkowi, teraz już wiedzą, co oznacza ostrzegawcza syrena.

Wapienne ściany skutecznie tłumiły odgłos pierwszej fali nalotu wdzierający się do wnętrza podziemia. Były to Junkersy 88. Druga fala była intensywniejsza. Stukasy zrzuciły bezlicznie liczne śmiertelne bomby. Działa przeciwlotnicze, obrona nabrzeżna i statki w Grand Harbor kierowały swój ostrzał na wroga, powodując jeszcze większy huk.

W ciemnym bunkrze zapanowała atmosfera przygnębienia. MacShane przysunął się ponownie do Pithany, obejmując ją ciepło ramieniem i głaszcząc delikatnie po plecach. W pierwszym odruchu chciała się odsunąć, ale bliska obecność mężczyzny w takiej sytuacji była trudna do odrzucenia. Mury podziemia odbijały echem huk dział. Sufit nie wytrzymał jednak uderzeń i jego kawałki spadały na ziemię, wypełniając pomieszczenie kłębamii wapiennego pyłu i kurzu.

Ian zsunął powoli rękę i chwycił dziewczynę mocno w pasie. Jednakże Pithany wcale nie bała się nalotu. Jak dotąd artyleria aliantów ponad pięćdziesiąt razy celnie ugodziła w pozycje wroga, i to bez żadnych strat własnych. Strach, który odczuwała teraz, był wynikiem niezrozumiałych uczuć, budzących się w jej sercu wobec obcego mężczyzny, którego twarzy nie mogła nawet zobaczyć.

Syrena oznajmiła koniec nalotu. Zapanowały wreszcie cisza i spokój, lecz Ian nie zdjął swego ramienia, a Pithany nie miała zamiaru go odpychać. Kontynuowali rozmowę do czasu, aż skończyła się zmiana Pithany. Idąc wzdłuż poręczy przymocowanej do skały, dotarli do wyjścia z labiryntu podziemnych pomieszczeń zbudowanych przed wiekami, za czasów kawalerów maltańskich, dla przetrzymywania niewolników. Pithany pierwsza wyszła z bunkra. Oślepiąona przez słońce, zmrużyła powieki i szybko sięgnęła do torebki po okulary. Po dziesięciu godzinach służby w ciemnościach oczy potrzebowały ochrony przed światłem. Nawet będąc w okularach, odczuwała dokuczliwy ból głowy, który dręczył ją przez wiele godzin.

Ian bez większego namysłu zdjął jej okulary i wręczył swoje, lotnicze, które dostał od RAF-u.

— Więc tak wyglądasz, Ashia.

— Ashia? — spytała, z niedowierzaniem mrużąc oczy. Próbowwała mu się przyjrzeć. Miał onieśmielające, błękitne oczy, jakich nigdy dotąd u nikogo nie widziała. Bacznie się w nią wpatrywały. Twarz Iana mówiła, że można mu zaufać i polegać na nim. Miał przyjazny i jedyny w swoim rodzaju uśmiech. MacShane był o wiele młodszy, niż sądziła, mógł mieć niewiele więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Przypomniała sobie, że przed pójściem na służbę miała zamiar ładnie się uczesać. Teraz doszła do wniosku, że to bez znaczenia. Ten przystojny dziennikarz i tak nie miałby ochoty się jej przyglądać — pomyślała — bo i po co, jej włosy były szare od kurzu, ona sama też brudna, a oczy nie wiadomo jakie — szare czy zielone.

— Ashia — powtórzył. Znow uśmiechnął się, a na jego nie ogolonych policzkach pojawiły się seksowne dołeczki. — Ashia to twój pseudonim z Londynu. Ty nie tylko wysyłasz najbardziej szczegółowe informacje, ale także retransmitujesz najistotniejsze wiadomości do bazy brytyjskiej w Aleksandrii.

Pithany zawstydzona spoglądała na ziemię. Do jej oczu napływały łzy i nie wiedziała czy to od słońca, czy dlatego, że była dziewczyną inną niż większość osiemnastolatek.

Ian wziął ją za rękę i poprowadził przez ruiny. W oddali lazuruje Morze Śródziemne połyskiwało jaskrawo w popołudniowym słońcu. Fale spokojnie i pogodnie obmywały piaszczysty brzeg.

— Spójrz — powiedziała, wskazując na gruzy, które kiedyś były średniowiecznym zamkiem. — Tym razem Niemcy zburzyli Palazzo Ferreria.

— Psiakrew — przeklął. — Lubię La Vallettę. Przypomina miasto z legendy o królu Arturze. Nietrudno sobie wyobrazić rycerza w pełnej zbroi jadącego na dostojnym rumaku jedną z tych uliczek.

Pithany uśmiechnęła się do siebie. Nie spodziewała się, że MacShane będzie podziwiał Maltę w ten sam sposób co ona. La Valletta, stolica Malty, została wybudowana na półwyspie. Usytuowana na wzgórzu, dumna, ogrodzona średniowiecznymi wałami obronnymi, górowała nad okolicą. Z obu stron otoczona była morzem i dwoma portami. Wykorzystywała je Królewska Flota, co nadawało okolicy przemysłowy wygląd. Samo miasto natomiast pozostało wierne swojemu dziedzictwu kulturowemu. Wybrukowane kocimi łbami ulice były za wąskie dla samochodów. Stare budynki, wzniesione jeszcze przez kawalerów maltańskich podczas ich wypraw krzyżowych, tworzyły labirynt uliczek i zaułków. Jako małe dziecko Pithany bawiła się

tu, czekając na rycerza w lśniącej zbroi, który przybędzie na białym rumaku i zabierze ją ze sobą.

Spacerowali wzdłuż kamienic, oglądając szkody wojenne. Dopiero teraz Pithany zauważyła, że Ian kuleje. To dlatego nie służy w armii — pomyślała.

— Co byś powiedziała na wspólną kolację? Dziewczyna roześmiała się.

— A gdzie mielibyśmy ją zjeść? Wszystko jest racjonowane na kartki, do ostatniej kromki chleba.

— Pewien pilot RAF-u dał mi chleb i kiełbasę.

— Anthony Bradford? — spytała tłumiąc złość w głosie. Anthony wielokrotnie zapraszał ją na kolację. Skąd on miał dodatkową żywność? Często zadawała sobie to pytanie.

— Czy jest jakiś problem z ...

— Nie — Pithany nie chciała prac przy Ianie tutejszych brudów. Wojna oznaczała dla ludności cywilnej niedobór żywności, co w rezultacie prowadziło do rozkwitu czarnego rynku. Podejrzewała Anthony'ego Bradforda, jako jedyne z pilotów RAF-u, że właśnie w ten sposób zarabia na boku.

Tego wieczoru, zgodnie z umową, Ian przyniósł jedzenie, które przypomniało Pithany o jej dawnym domu. Wraz z ojcem byli MacShane'owi bardzo wdzięczni za jego wspaniałomyślność. Oboje nie widzieli kiełbasy od dobrych kilku miesięcy.

Pithany obawiała się, że widzi Iana po raz ostatni. Myliła się. Następnego dnia, kiedy skończyła służbę, czekał na nią.

— Zastanawiałem się, czy nie znalazłabyś trochę czasu, by mi pomóc? — spytał, podczas gdy ona starała się ukryć zdziwienie, zasłaniając oczy ręką, niby przed słońcem.

— W czym? — spytała podejrzliwie.

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć o kawalerach maltańskich. Byłoby to tło do mojego opowiadania.

— Przede wszystkim to chodzi o rycerzy z bractwa św. Jana z Jerozolimy. Gdy muzułmanie wypędzili ich z Ziemi Świętej, przybyli oni tutaj — jej odpowiedź była krótka i oschła. Nie wspomniała Ianowi nic o tym, że rycerze ci byli wypędzani także z innych krajów, zanim osiedlili się na Malcie. Pithany zastanawiała się, dlaczego on jej zwraca głowę sprawami, które go i tak wcale nie obchodzą. Była pewna, że ta rozmowa jest pretekstem do wyciągnięcia od niej jakichś poufnych informacji.

MacShane wziął ją pod rękę i poprowadził w dół uliczki. Z uśmiechem na twarzy spytał:

— W którym to było roku?

— Pod koniec trzynastego stulecia — odparła chłodno, nie dając się zaskoczyć. Te informacje mógł uzyskać od tuzina bardziej atrakcyjnych kobiet niż ona.

— Czym oni się w zasadzie zajmowali podczas wypraw krzyżowych? — spytał nieoczekiwanie głosem pełnym szczerego zainteresowania.

— Dla rycerzy przybywających z Europy Malta była schronieniem. Chcieli odebrać muzułmanom Ziemię Świętą. Rycerze z każdego kraju mieli tutaj swoje obozowisko wraz z dowództwem.

— To znaczy, że na przykład Francuzi mieli swoje, Włosi swoje, o to ci chodzi?

— Tak. Rycerze wywodzili się z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodzin w Europie. I tym sposobem Malta wzbogaciła się. To w tym okresie właśnie wzniesiono te piękne budynki w La Valletcie. To wówczas...

Przerwała. Postanowiła nie wnikać w szczegóły.

— Mów dalej — poprosił, ożywiony jej opowiadaniem.

— Wówczas wprowadzono rozkład ulic, przecinających się pod kątem prostym. To było jedyne w swoim rodzaju.

Szli wolno uliczkami, omijając sterty gruzu pozostałego po wybuchach bomb. Ian kilkakrotnie obejmował Pithany, by przeprowadzić ją przez szczególnie trudne miejsca. Za każdym razem, gdy dotykał ręką jej talii, powracała myślami do ich pierwszej rozmowy w bunkrze. Zarumieniła się ze wstydu. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna o nim myśleć, ale mimo wszystko wkradał się do jej marzeń. Irytowała ją świadomość, że być może Ian stara się zdobyć jej zaufanie tylko po to, aby uzyskać od niej ściśle tajne informacje. Mimo wszystko była grzeczna i miła; powstrzymywała się, by nie powiedzieć mu, co sądzi o takim postępowaniu.

— Kiedy twoja rodzina przeprowadziła się na Malte? — spytał Ian.

— Zaraz po odzyskaniu wyspy przez Brytyjczyków z rąk Francuzów. Wtedy stała się kolonią. Tak jak wielu Maltańczyków, my również mamy krewnych w Anglii. — Przerwała na chwilę. Przypomniała sobie o swej młodszej siostrze, o której bezpieczeństwo mogła się tylko modlić. — Moja siostra, Audrey, przebywa wraz z przyjaciółmi w Kent. — Pithany nie dodała jednak, że tymi przyjaciółmi jest rodzina jego lordowskiej mości Lyfortha. Bała się, że Ian pomyśli, iż się przechwala. Lord ten był jednym z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii.

— Najważniejsze, że twoja siostra nie jest w Londynie. Niemcy bombardują go nie mniej natarczywie niż Malte.

Pograżona w milczeniu Pithany zastanawiała się, co stałoby się z Audrey, gdyby Niemcy dokonali inwazji na Anglię. Pithany była starsza o dziesięć lat i bardzo z siostrą związana uczuciowo. Gdy wyjechała do szkoły z dala od domu, pisywały do siebie trzy razy w tygodniu. Teraz łączność kurierska została przerwana przez wojnę. Upływały miesiące, zanim jakkolwiek poczta dociera na Malte.

— Nie martw się o nią — pocieszał ją Ian, obejmując troskliwie ramieniem. Zdawało się, że wykorzystuje każdą sposobność, by móc ją dotknąć.

Pithany odepchnęła go.

— Choć mam dopiero osiemnaście lat, serio traktuję swoją pracę i nigdy nie wyjawię tajnych informacji.

Ian zmarszczył brwi.

— Nigdy tego nie kwestionowałem.

Nie można było mieć wątpliwości. Był szczery. Wskazywał na to zarówno jego poważny głos, jak zakłopotany wyraz twarzy. Zatem był albo znakomitym kłamcą, albo rzeczywiście nie interesowały go tajne informacje.

— Wyjašnjmy sobie jedną rzecz — dodał. — Ty nie będziesz mnie wypytywać o źródła moich informacji ani o to, o czym piszę ten reportaż, a ja nie będę cię pytać o żadne tajne informacje. Umowa stoi?

Pithany przytaknęła i spytała:

— To w takim razie czego ode mnie chcesz?

Ian, uśmiechając się, delikatnie wziął Pithany w ramiona.

— Ciebie. Ciebie pragnę.

Zanim zdążyła go odepchnąć, zbliżył usta do jej ust. Pocałunek był pełen czułości i ciepła, a jego silne ramiona mocno ją obejmowały. Pithany miała już kilku chłopców, ale ich pocałunków nie można było porównywać do tego, co przeżywała teraz. Przytuliła się mocno, nie mając już żadnych wątpliwości co do zamiarów Iana.

W czerwcu — Hitler właśnie zaatakował Rosję — Pithany zrozumiała, że jest bezgranicznie zakochana w błękitnych oczach Iana i jego cudownym uśmiechu. Był tak przystojny, że powinien się tego niemalże wstydzic. Nie było na wyspie kobiety, która by się za nim nie obej-

rzała. Niewątpliwie dziwiono się, dlaczego wybrał sobie akurat tego niezbyt pięknego mola książkowego — Pithany Crandall.

Sprawozdania Iana z Malty były nadawane do Londynu raz w tygodniu poprzez Radio Malta. Miały one istotne znaczenie dla jego kariery, przestał bowiem być nieznanym dziennikarzem, a stał się uznanym korespondentem wojennym. Żadnemu innemu dziennikarzowi nie udało się przedostać na nieustannie atakowaną wyspę, co podniosło jego prestiż. Ian nie dostrzegał tego jednak.

Gdy Pithany nie miała służby, wolny czas spędzali razem. Wkrótce pocałunki przestały im wystarczać i zdecydowali, że pójdą o krok dalej. Ian był dla niej zawsze bardzo czuły i delikatny, ale nigdy nie powiedział jej tych dwóch słów, które pragnie usłyszeć każda zakochana kobieta.

Czasami w nocy siadywali na kamiennym murze otaczającym Vallettę. Często wdrapywali się na wysoki wał obronny z czasów wypraw krzyżowych. Niekiedy obserwowali w porcie Grand Harbor, jak naprawiano statki zniszczone podczas nalotów. Tej nocy jednak wybrali się na północną część półwyspu, skąd rozciągał się widok na wyspę Manole. Przed wojną mieścił się tam elitarny klub jachtowy, gdzie ojciec Pithany trzymał łódź. Teraz znajdowała się tu baza okrętów morskich. Na lekko wzburzone fale padało światło księżyca w pełni, słychać było romantyczny szum morza. Piękno przyrody pozostawało niezmiennie nawet podczas okrutnej wojny.

— Ian — powiedziała czule.

Uśmiechnął się w ten sposób, jaki kochała najbardziej. Nachyliła się i pocałowała go w dołeczek w podbródku.

— Kocham cię — szepnęła.

Z jego twarzy zniknął uśmiech.

— Nie możesz! — odparł zakłopotany.

Pithany poczuła nagły ucisk w gardle. Jak mogła być taka naiwna? Oczywiście, on jej nie kochał. Była dla niego tylko zwykłą przygodą. Zgrabnie zeskoczyła z muru i pobiegła w dół uliczki. Myślała o tym, że gdy skończy się wreszcie wojna, Ian wróci z pewnością do Anglii jako okryty sławą sprawozdawca wojenny. W aureoli bohatera otoczony będzie najpiękniejszymi kobietami.

— Pithany!!! — wołał.

Z trudem, utykając, pobiegł za nią. Dziewczyna nie zatrzymała się. Mimo to dogonił ją, chwycił za ramię i obrócił. Patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

— Kocham cię. — Po chwili potrząsnął przecząco głową i dodał: — Ale my nie możemy być razem.

Słowo „kocham” przyniosło jej ulgę.

— Dlaczego nie możemy być razem? Kochamy się.

— Czy sądzisz, że sir Nigel pozwoli na małżeństwo córki z chłopakiem ze slumsów z Edynburga, który nie zna nawet imienia swego ojca?

Pithany wiedziała, że ojciec nie akceptował jej bliższej znajomości z Ianem. Ale przecież może zwrócić się do niego i wytłumaczyć, że trwa wojna i że „jutro” może dla nich nie nadejść.

— Czy sądzisz, że byłabyś szczęśliwa, żyjąc z marnej pensji dziennikarza?

— Tak, bo byłabym z tobą — odpowiedziała wzruszona.

Ian chwycił ją delikatnie za podbródek.

— Szybko byś się mną znudziła. Nie znam ani jednej linijki z Keatsa ani żadnych dat z okresu wojny krymskiej.

Nigdy przedtem nie dotarło do Pithany, że Ian wstydził się swoich braków w wykształceniu. Spoglądała w jego błękitne oczy, które zapamiętała na zawsze bez względu na to, co się stanie.

— Czasami szkoła życia jest więcej warta niż edukacja w Oxfordzie. Jesteś najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam, a raczej poznać chciałam. Pragnę... mieć z tobą dzieci.

Na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

— Ty już wszystko sobie obmyśliłaś, nieprawdaż?

— Możesz być tego pewien.

Przez całe lato robili wspólne plany na przyszłość. Byli zbyt zajęci sobą, by widzieć rosnący głód i mnożące się wokół tragedie. Nic nie mogło zmącić ich szczęścia. Sytuacja Malty była bardzo poważna: otoczona minami, okrążona przez włoską flotę, atakowana przez Luftwaffe, a co ważniejsze, bez żadnych zapasów żywności. Maltańczycy ze stoickim spokojem godzili się z cierpieniem, ale nie z myślą, że ich ukochana wyspa mogłaby się dostać w ręce Niemców. Największym problemem był brak paliwa dla samolotów RAF-u. Dlatego też mieszkańcy Malty musieli liczyć na siebie.

W rozstrzygającym momencie nadszedł ratunek od Królewskiej Marynarki Wojennej. Gdy statki z pomocą były już blisko Malty, jej mieszkańcy wstrzymali oddech. Dotąd nikomu nie udało się przedrzeć przez blokadę wroga. Ian spotkał się z Pithany w dniu, w którym konwój miał dopłynąć do wyspy. Uśmiechnął się, wskazując na niebo.

— Nadchodzi burza!!! — zawołała Pithany.

Rzeczywiście, niebo wyglądało przygnębiająco. Ciemne, ciężkie chmury wisiały nisko nad Malcią, nie przepuszczając promieni słońca. Nagrzane powietrze znad afrykańskich pustyń przynosiło do wybrzeży Malty kłęby pyłu i kurzu. Wyglądało to tak, jakby wyspę otoczyła gęsta mgła. Luftwaffe nigdy nie wysyłała w taką pogodę samolotów patrolowych, a włoska flota, nie wyposażona w radary, nie miała szans na wykrycie konwoju.

— No, chodź! — wołał Ian. — Wszyscy już są przy dokach.

Pithany była głęboko wzruszona, jakby przeczuwała, że nigdy nie zapomni tej chwili. Stała tuż obok Iana. Obejmował ją ramieniem, jak zazwyczaj. Czekali wraz z innymi mieszkańcami Malty, zebranymi w porcie. Z pylastej mgły stopniowo wyłonił się pierwszy statek konwoju. Maskujące kolory czyniły go ledwie widocznym. Na powitanie grała orkiestra, a tłum wiwatował wznosząc okrzyki. Niektóre kobiety płakały. Pithany pocałowała Iana. Trudno jej uwierzyć, że właśnie podczas tej bezlitosnej wojny znalazła szczęście i miłość.

Po chwili spostrzegła, że Anthony Bradford, stojący nie opodal wraz z innymi pilotami RAF-u, przygląda się jej beczelnie. Nagle coś skojarzyła.

— Czy może w którymś ze swoich reportaży opisałeś historię Tony'ego Bradforda?

— Nie, ale zamierzam złożyć raport na jego temat w dowództwie RAF-u, jak tylko dotrę do Egiptu.

Pithany nie spytała o treść tego raportu. Wiedziała jednak, że Ian jest zbyt uczciwym człowiekiem i jednocześnie zbyt sprytnym dziennikarzem, by nie zainteresować się sprawą tajemniczego znikania podczas nalotów drogocennych przedmiotów kultu z kościołów na Malcie.

Kielich Kleopatry padł również ofiarą jednej z takich kradzieży. Wieki temu, gdy święty Paweł płynął do Rzymu, by zostać osądzonym przed obliczem Cezara, jego statek rozbił się. Maltańczycy uratowali go, on zaś nawrócił ich na chrześcijaństwo. Gdy opuszczał wyspę, podarował im w dowód wdzięczności kielich, który specjalnie kazał wykonać tamtejszemu złotnikowi. Mieszkańcy wyspy nazwali go Kielichem Kleopatry.

Ian odciągnął Pithany od radującego się tłumu.

— Wiesz, szczęście może się niespodziewanie odwrócić, a cud prysnąć.

Pithany zaskoczyły te słowa, ale przyznała mu rację. „Cudem” nazwali tubylcy przybycie statków z żywnością. Musiały być one jak najprędzej rozładowane, sprzyjająca pogoda mogła bowiem lada chwila ustąpić. Wówczas Luftwaffe zaatakowałaby wyspę, zrzucając desant, i statki miałyby odciętą drogę odwrotu. Wyraz twarzy Iana był pełen troski i zadumy.

— Odpływam razem z nimi.

Serce Pithany zamarło. Wiedziała, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Ian chciał być sprawozdawcą z frontu w Afryce.

— Czy będziesz na mnie czekać? — spytał, jakby to podlegało jakiegokolwiek wątpliwości.

— Będę czekała choćby do końca życia, jeśli to będzie konieczne.

— Pamiętaj nasze hasło, „Falcon”.

Nie mogłaby zapomnieć. To słowo, przekazane wraz z innymi informacjami, będzie oznaczać, że Ian jest tam, skąd pochodzi komunikat.

— Mam coś dla ciebie — szepnął, wsuwając zaręczynową obrączkę na jej lewą rękę. Po chwili podniósł swoją dłoń, by pokazać jej, że nosi taką samą.

Pithany nie mogła w to uwierzyć. On ją naprawdę kocha i wróci po nią. Nie mogła powstrzymać łez wzruszenia. Przyjrzała się dokładnie obu obrączkom: wygrawerowane miały krzyż maltański z czterema ostrzami, symbolizujący odwagę i lojalność. Uścisnął jej dłoń i położył na swojej. Czują, że nie jest w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Jedyne, co mogłaby zrobić, to błagać go, by został.

— Jeszcze to mam dla ciebie — powiedział, wręczając jej niewielki pistolet dużego kalibru.

— Po co?

Wzrok miał zdeterminowany i poważny. Nigdy go takim nie widziała.

— W razie gdybyś musiała popełnić samobójstwo.

— Nigdy tego nie uczynię!

Ian położył dłonie na szczupłych ramionach Pithany.

— Bądźmy ze sobą szczerzy. Dzięki „Enigmie” alianci mają dostęp do wszystkich informacji wroga. Wiemy wcześniej niż oni, co zamierzają robić. Ale czy to wystarczy?

— Nie — odpowiedziała.

Nigdy nikomu tego nie zdradziła, ale wiedziała, że Brytyjczycy ostrzegali Stalina o planowanej przez Hitlera inwazji na Rosję. Mimo to Niemcy zdołali wdrzeć się w głąb Rosji.

— Faszyci nie zrezygnują z Malty, bo jest to bardzo ważny strategicznie punkt na Morzu Śródziemnym. Nie pozwolą, by ta wyspa pozostała w rękach Brytyjczyków. Nie sądzę, że Luftwaffe nie wie o masztach nadawczych. Oni doskonale się orientują, że Malta jest istotnym dla aliantów punktem przekazu informacji.

— Masz rację co do planu inwazji, ale przyroda jest po naszej stronie — odpowiedziała pełna wiary. Miała na myśli skaliste plaże, zbyt niebezpieczne, by lądował na nich desant. Odcinki piaszczystej plaży były z kolei osłonięte stromymi urwiskami. — Inwazja od strony plaży może łatwo skończyć się dla nich klęską. Sądzę, że jedyne, co mogą zrobić, to zrzucić wojska spadochronowe.

— Raczej nie. W pobliżu portu nie ma żadnego otwartego terenu, na którym mogliby wylądować. Przeważają skały. Żołnierze połamaliłyby sobie nogi.

— No to dlaczego się martwisz?

— Oni po prostu wpłyną do portu Grand Harbor. Sądzisz, że długo jeszcze RAF będzie w stanie bronić wyspy?

— Malta obroniła się przed najazdem Sulejmana — odpowiedziała Pithany z dumą. — Wyspiarze do dziś pamiętają o flocie, którą nasłał na Maltę Sulejman Wielki. Chrześcijanie byli w stanie obronić się, mimo przygniatającej przewagi Imperium Otomańskiego.

— Kiedy to było? — spytał zdumiony Ian.

— W roku 1565. — Mówiąc to zdała sobie sprawę, jak bardzo zamierzchłe były to czasy. — Dlaczego więc dałeś mi tę obrączkę, skoro sądzisz, że będę musiała popełnić samobójstwo, gdy wkroczą Niemcy?

— Bo wierzę, że wrócę i że założymy rodzinę, tak jak planowaliśmy. Ale trzymaj ten pistolet zawsze przy sobie, tak na wszelki wypadek. Jeśli wylądują na wyspie, będziesz jedną z pierwszych osób, z którą się rozprawią. Nie daj się im złapać. Przecież wiesz, co zrobili z członkami francuskiego Ruchu Oporu.

— Będę go miała zawsze przy sobie, obiecuję.

Ostatnie wspólne godziny spędzili tylko we dwoje. Kochali się w schronie i mówili o przyszłości. Pithany bardzo pragnęła począć z nim teraz dziecko, lecz Ian nie zgodził się. Musiała to zaakceptować. Rozumiała, że będą mieli dzieci, ale dopiero po wojnie... — Wrócę po ciebie, pamiętaj — pożegnał ją.

Pithany obserwowała odpływające statki, siedząc na kamiennym murze obronnym, okalającym miasto. Ian odchodził. Opuszczał nie tylko Maltę, ale przede wszystkim jej życie. Czowała

gorycz, przypominając sobie ich wspólnie spędzone, szczęśliwe chwile. Jego uśmiech, jego twarz, jego oczy, jego pocałunki. Teraz nie potrafiłaby już żyć bez tej myśli, że gdzieś tam daleko on na nią czeka. Nie zniosłaby tych długich, samotnych dni spędzanych na służbie w ciemnym schronie. Wiedziała, że mogła go ubłagać, by pozostał przy niej. Gdyby Ian nie wtargnął w jej życie, dotąd nie wiedziałaby, czym może być miłość. Zbyt mocno go kochała, by nie pozwolić mu podążać za przeznaczeniem, nawet ze szkodą dla ich związku.

L R

CZEŚĆ PIERWSZA

Niewinni umierają młodo

Pięćdziesiąt lat później

1.

Tokio, Japonia 1991

Nick Jensen pochodził z małego miasteczka w Teksasie, o dziwnej nazwie Gold Muleshoe (co oznacza „złota podkowa wołu”). Nieraz zastanawiał się, skąd taka nazwa miejsca, w którym nikt nigdy nie widział ani wołu, ani tym bardziej złota. Być może, jak głosi wieść, pewnej ciemnej nocy jakiś wół — Bóg raczy wiedzieć skąd — przewędrował przez miasteczko Gold Muleshoe, podążając ospale do Nowego Meksyku i zgubił tu swoją złotą podkowę. Tu-byłcy nigdy w to nie chcieli uwierzyć, ale może właśnie tak było.

Nick Jensen był pewien, że nie może wiązać swojej przyszłości z Gold Muleshoe. Chciał żyć dostatnio, zrobić karierę, spać na pieniądzach. Mieszkańcy tej zabitej dechami miejsciny żyli zupełnie inaczej. Byli zbyt praktyczni i zbyt ciężko pracowali, by przeznaczать zarobione pieniądze na coś więcej niż skromny ubiór i jedzenie. Więc czego, do cholery, chciał od życia Nick Jensen?

Chciał być kimś.

— Pan Avery powinien być tu lada chwila — powiedział Nick, wyczekująco spoglądając na swój zegarek firmy Seiko.

Gdzie on się podziewa? Scott Avery nigdy się nie spóźnia, myślał podenerwowany.

— Jestem pewien, że zaraz tu będzie, proszę się nie niepokoić — odparł Hito Tanaka.

Dwaj znajomi Tanaki przytaknęli ostentacyjnie, przyznając mu rację. Wszyscy zebrani przyglądali się, jak gospodarz Tanaka za pomocą pędzla z sobolego włosia pokrywa sushi złotym piaskiem. Dla kontrastu wierzch posypał czarnymi ziarnami sezamu, kuro gomą. Błyszczące sushi umieścił na czerwonej polakierowanej tacy. Dyskretna muzyka w wykonaniu małego zespołu stwarzała miły nastrój. Alabastrowy stół, przy którym siedzieli goście, oświetlały górne

lampy. Nickowi było niezbyt wygodnie, gdyż taboret, na którym siedział, okazał się za niski dla jego długich nóg. Gejsze dreptały za plecami gości, poruszając się bezszelestnie niby cienie.

Głębokim ukłonem Tanaka oznajmił, że sushi jest gotowe. Przedstawił swoim znajomym Nicka, który był honorowym gościem, i poprosił, by poczęstował się jako pierwszy.

— Poczekajmy jeszcze kilka minut — Nick miał nadzieję, że Scott zaraz się zjawi.

Kilka elokwentnych słów Scotta uratowałoby Nicka. Kierownictwo Honsu zapomniałoby o nim, a poza tym nie przepadał za sushi.

Płyn z falą i z prądem rzeki. Przypomniawszy sobie te słowa i zastanawiając się, co by powiedziała Amanda Jane, gdyby zobaczyła go w tak niezręcznej sytuacji. Z pewnością śmiałaby się z tego. Wspomnienia, jakie Nick zachował o niej, były mgliste, ale bardzo ciepłe — zawsze uśmiechnięta, gotująca macaroni z serem, roześmiana i szczęśliwa... z nim, to była jego Amanda Jane.

Nick uśmiechał się przesadnie, robiąc dobrą minę do złej gry. Zazwyczaj w ten sposób ratował się z opresji. Wyraz twarzy Tanaki nadal był trudny do odgadnięcia i wciąż przypominał maskę, ale Nick wiedział, o czym on myśli. Japończycy byli punktualni do przesady.

Hito Tanaka, wiceprezydent firmy Honsu, największej japońskiej firmy reklamowej, zapraszając Scotta i Nicka na obiad, nie wspomniawszy, że podejmie ich potrawą „złotej kuchni”, najdroższą i najbardziej wykwintną w całej Japonii — „złotym sushi”. Było niewątpliwie zaszczytem zostać zaproszonym przez tak potężnego i wpływowego człowieka i jeść z nim przy jednym stole, na miejscach, które zajmowali zazwyczaj wielcy inwestorzy i przedsiębiorcy. A Nick i Scott byli raczej biznesmenami małego kalibru, podlegającymi firmie Imperial Cola.

— Ja pierdołę, to niewiarygodne! — przeklinał nie dowierzając Nick, gdy Tanaka zaprosił ich do siebie na obiad. — Człowieku, my to mamy szczęście, akurat Mark Nolan jest w Stanach. Poznamy osobiście główną szycę Honsu!

Nick zdawał sobie jednak sprawę, że to nie miało nic wspólnego ze szczęściem. Tanaka wiedział o nieobecności Marka w Tokio, gdyż podczas rozmowy nawet o nim nie wspomniawszy.

— Masz rację. Tanaka chce się z nami spotkać na osobności, bez Marka — przyznał Scott. — Ale dlaczego?

Dwa dni później, gdy Nick siedział przy stole i czekał na Scotta, nadal nie wiedział, co skłoniło Tanakę, by ich dwóch zaprosić na tak oficjalny obiad.

— Jaki to rodzaj sushi? — spytał Nick, by przerwać ponure milczenie. Nietaktowne spóźnienie Scotta obniżyło znacznie prestiż spotkania, a przede wszystkim było hańbą dla Ta-

naki. Nigdy „seniorzy biznesu” nie czekali na takich jak Nick i Scott, a już na pewno nie było to w zwyczaju japońskim.

— Wątroba z tuńczyka! — oznajmiono podając danie.

O mój Boże! Surowa wątroba posypana złotem! Już na samą myśl skręcało Nicka w brzuchu. Uśmiechnął się grzecznie do Tanaki, by ten się przypadkiem nie obraził, i sięgnął po sake. Spostrzegł jednak, że pływają w niej drobiny złota.

No nie, tego już za wiele, i tu złoto, pomyślał odstawiając naczynie. Jak raz się nie napiję, to nic nie stracę. Nick nauczył się nawet poprawnej japońskiej wymowy sake, choć starał się unikać tego trunku. Sposób, w jaki go przygotowywano, budził w nim odrazę. Według starego japońskiego przepisu nie łuskany ryż był żuty w ustach przez robotników pracujących na polu ryżowym, następnie wypływany do wspólnego, dużego naczynia. Potem czekano, aż ślina zacznie fermentować. Myśląc o tym, nie miał ochoty na nic, a już najmniej na sake.

Najlepszym gatunkiem sake była tzw. bijinshu, czyli „piękna pani sake”. Według tradycji ryż żuły piękne dziewczęta, a pili ją samari. W dzisiejszych czasach nikt już nie żuje ryżu, a fermentację wywołuje się chemicznie. Nick miał wątpliwości, czy w Japonii jest wystarczająco dużo dziewcząt, by wyprodukować sake. Na pewno nie wystarczyłoby ich do przygotowania trunku do dzisiejszego obiadu u Tanaki, pomyślał. Mimo to nie mógł patrzeć na naczynie sakazuki, nie myśląc o ryżu pływającym w ślinie.

— Przepraszam za spóźnienie, jest mi bardzo przykro, ale otrzymałem wiadomość o nagłej śmierci... w mojej rodzinie — powiedział zdyszany Scott, który szybkim krokiem podszedł do stołu.

Nick dokładnie wiedział, że jego kumpel kłamie. Nie domyślali się tego jednak ludzie z Honsu. Pokiwali współczująco głowami i delikatnie się uśmiechając, wyrazili swoje współczucie. Było to równoznaczne z wybaczeniem nietaktownego spóźnienia. Tak, tylko śmierć mogła go wytłumaczyć i pozwolić Tanace zachować twarz, pomyślał Nick.

Scott usiadł obok Nicka i sięgnął po pierwszy kawałek sushi. W ślad za nim poszli trzej Japończycy, zmęczeni już wpatrywaniem się w zastawiony stół i czekaniem na gościa. Poczęstowali się, to samo uczynił Nick. Scott nieustannie o czymś rozprawiał, jak można było się tego spodziewać. Był po prostu duszą towarzystwa i nie ulegało wątpliwości, że Japończycy dobrze się bawili. Korzystając z tego, że ich uwaga całkowicie skupiona była na przyjacielu, Nick ukradkiem pozbył się złota z sushi. Nalał sobie do miseczki z sosem sojowym sporą ilość wasabi i tak długo maczał w nim swój kawałek sushi, aż splukał złoty piasek. Na brzegach i po-

wierzchni sosu pływał złoty osad. Pozostała mu jeszcze do degustacji surowa wątróbka z tuńczyka. Nałożył ją sobie na talerz wraz z ryżem i dodatkami. Rozdrobnił ją pałeczkami z kości słoniowej i udawał, że nie potrafi nimi jeść.

Zdawało się, że nikt nie zwraca uwagi na niego i jego uniki. Oczy wszystkich skierowane były na Tanakę, który proponował właśnie dokładkę sushi. Tym razem Nick sięgnął po cienki, jak pergamin, plasterek serwowanego anago (węgorza) z ryżem, także przybranego złotym proszkiem.

— Może życzy pan sobie coś innego, panie Jensen? — spytał grzecznie Tanaka. Nick był zaskoczony tym, że jednak ktoś się nim interesuje i obserwuje go.

Tanaka o nim nie zapomniał.

— Poproszę piwo — odparł zdezorientowany.

Przez cały czas gejsze w milczeniu obsługiwały gości. Mężczyźni sięgnęli po portfele. Na ten widok Nick przeklął półszepem. Wszystko, o co poprosił, to była głupia butelka piwa, a tymczasem zachęcił Japończyków do ich ulubionej gry przy barze, zwanej nippon derby. Wszyscy czekali, aż Tanaka wsunie pięciotysięczny banknot pod swoją szklankę. Za jego przykładem pozostali uczestnicy gry także umieścili banknoty pod szklankami. Następnie gejsze z opuszczonymi głowami i cichutko stąpając, weszły za kontuar baru. Przygotowały świeże jaja (tzw. udama), nie większe od kciuka Nicka.

— A-aa-y-aa-ah! — rozległ się krzyk Tanaki, zgrabnie wywijającego nożem, zupełnie jak wojownik samari. Był to tradycyjny znak rozpoczęcia gry.

Gejsze natychmiast wbiły żółtka do szklanek z piwem każdego gościa. Żółtka powoli opadały na dno, kontrastując z bursztynowym kolorem płynu. Wyścig się zaczął. Wygrywał ten, którego żółtko pierwsze podniesie się na powierzchnię spienionego piwa.

Nick wątpił w swoją wygraną. Przez pięć lat spędzonych w Japonii jeszcze nigdy nie udało mu się zwyciężyć. Nie miał szczęścia i zawsze trafiało mu się „powolne” jajko. Podczas wyścigu zagadnął Scotta.

— Gdzieś ty się podziewał, do cholery?

Scott, nie odrywając oczu od szklanek, szepnął:

— Powiem ci później.

Żółtko Tanaki było najbliżej góry. Nicka miało przed sobą jeszcze długą drogę.

Nick podał wygraną Tanace. On był zwycięzcą. Jensen zastanawiał się, dlaczego jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Japonii bawi się w takie gierki. Rozgrzeby-

wał pałeczkami sushi, nie chciał bowiem częstować się innymi wykwintnymi potrawami posypanymi złotym proszkiem. Menu było dla niego nie do przyjęcia. Unikał także dolewania sake, udając, że pije ją jak long drink. Gejsze uzupełniały trunek pozostałym. Scott przez cały ten czas rozmawiał, a właściwie to głównie on mówił, opowiadając o Wharton School. Niewątpliwie zabawiał swoimi opowieściami Japończyków, którzy słuchali go z wielką uwagą.

Dla żadnej innej nacji nie liczyła się tak bardzo etykieta, nazwa firmy, jak dla Japończyków. Oni niemalże czcili wyroby renomowanych firm i koncernów. Osądzali wszystko i wszystkich, począwszy od toreb reklamowych, a skończywszy na zegarkach „Patek Philippe”, według nazwy producenta. Scott Avery uczęszczał do najlepszych szkół, takich jak Choate, Yale, Wharton School. Natomiast o college'u Nicka, Hillcrest City College, nikt w Tokio nie słyszał.

Kiedy nareszcie męczący dla Nicka obiad dobiegał końca, Tanaka podniósł do góry wypełnione sake naczynie i wzniósł toast na cześć Nicka.

— Pijemy za nasz dochodowy związek i następne pomysły, takie jak napój Alabama Iced Coffee.

— Bonzai — odpowiedział sucho Nick, uśmiechając się w charakterystyczny dla siebie sposób. — Skurwysyn — przeklął pod nosem.

Teraz już wiedział, dlaczego Tanaka zaprosił ich na obiad. Podniósł sake do ust, ale nie napił się.

Po licznych toastach na cześć gospodarza, Nick i Scott podziękowali serdecznie za zaproszenie i wyszli. Zatrzymali taksówkę.

— O co mu chodziło? — spytał podczas jazdy Scott.

— Mark Nolan został awansowany. A ty i ja będziemy teraz zarządzać działem marketingowym.

Scott zaniemówił z wrażenia.

— My obaj? — spytał po chwili.

— Tak. Gdyby było inaczej, to Tanaka zaprosiłby tylko jednego z nas — przyszłego szefa działu marketingu.

— Masz rację. Ale, cholera, skąd oni wiedzieli wcześniej od nas o awansie?

— Powiedzieli mu jego detektywi — wyjaśnił Nick.

Taka obowiązywała w Japonii zasada wśród ludzi biznesu. Tego nie można było się nauczyć nawet na najlepszym uniwersytecie, takim jak Wharton School. Było powszechnie wia-

dome, że duże firmy i koncerny japońskie mają szczegółowe akta swoich pracowników. Wynajmują szwadrony prywatnych detektywów, których zadaniem jest badać, obserwować i myszковать w najdrobniejszych detalach prywatnego życia zatrudnionych. Nie ulegało wątpliwości, że mają na oku nawet swoich klientów i wiedzą o nich więcej, niż mogłoby się wydawać. Jest więc oczywiste, że leżało w interesie kierownictwa, by wiedzieć, co dzieje się wewnątrz Imperial Cola. Jednej rzeczy nauczył się Nick na pewno, a mianowicie, że Japończycy zawsze bronią swoich interesów, i to w sposób nieustępliwy.

— Co Tanaka miał na myśli, wspominając o Alabama Iced Coffee? — spytał Scott w zamyśleniu.

Nick domyślał się, co chodziło po głowie kumpla. Na pewno zastanawiał się, jak będą go teraz, po awansie, tytułować, a przede wszystkim, jak wytłumaczy, że musi dzielić to stanowisko z kimś, kto ukończył jakąś tam Hillcrest City College.

— Alabama Iced Coffee to był mój pomysł — odpowiedział Nick.

— Niemożliwe — odparł Scott pewnym siebie tonem. — To był produkt Marka Nolana.

— Owszem. Powiedziałem o moim pomysle Markowi, a on odwalił całą ciężką robotę, przeforsował go i pilotował aż do chwili produkcji.

— Aaa. Ty dałeś mu pomysł, a on ściągnął ciebie do Japonii — powiedział z lekkim wyrzutem Scott, jakby tłumacząc sobie, że właśnie w ten sposób, z pominięciem hierarchii stanowisk, Nick dostał się do najbardziej dochodowego działu koncernu „Imperial Cola”.

Nick nie odpowiedział. Zdał sobie sprawę, że kilka najbliższych lat współpracy ze Scottem Avery oznaczają będzie dla nich obu ciągłą konkurencję, dopóki któryś nie awansuje.

— Dlaczego się spóźniłeś? — spytał Nick, zmieniając temat. — Wymówka ze śmiercią w rodzinie była pomysłowa.

Scott zbladł nagle.

— Zanim wyszedłem z biura... był do ciebie telefon z Teksasu.

— Moja matka dzwoniła? Czy czuje się dobrze? .

— Nie, to nie była twoja matka. Ktoś zadzwonił, by poinformować cię o śmierci Trevora Prescotta.

Nicka ścięło z nóg. Nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Przecież Trevor miał zaledwie trzydzieści cztery lata. Był młodszy od niego o trzy. Nie żyje? Boże, jak to się stało?

— W jaki sposób? — spytał po chwili Nick.

— Miał atak serca.

— To niemożliwe. Był wysportowany i przede wszystkim zdrowy.

— To się zdarza — odparł Scott i po krótkim namyśle zaczął wymieniać znanych sportowców, którzy zmarli na atak serca. — Ciało zostanie przewiezione z Malty do Houston. Pogrzeb jest w przyszłą sobotę. Na pewno będziesz chciał przesłać kwiaty.

— Sam pojedę — odpowiedział Nick zdecydowanym głosem.

— Oszalałeś, teraz, gdy dostajesz awans, chcesz rezygnować z wszystkiego?!

— Gdyby nie ten człowiek, pracowałbym w domu towarowym koncernu Imperial, a nie reprezentował go w Japonii.

Popołudniowe słońce świeciło nad tym skrawkiem Teksasu poprzez kłęby białych chmur, rozjaśniając lekko horyzont. Niebo nad cmentarzem Woodlawn wydawało się szare i smutne, potęgując przygnębiającą atmosferę. Nick stał tuż obok ojca Trevora, pana Austina Prescottta, i spoglądał na urnę z prochami przyjaciela. Kupował ją razem z Austinem.

Nagły, ponury gwizd przejeżdżającego za odległymi drzewami pociągu odwrócił uwagę Nicka od słów pastora. Spojrzał na pogrążone w smutku twarze zebranych. Czuł, że są zaskoczeni jego obecnością na pogrzebie. Minęło pięć długich, samotnych lat od chwili, kiedy widzieli go po raz ostatni.

Nick patrząc na urnę, usiłował sobie wyobrazić Trevora, ale nie potrafił. Przypomniał sobie chwilę, kiedy pierwszy raz spotkał przyjaciela. Trevor Prescott należał do grupy młodych chłopaków z college'u, którzy w ramach nauki zarządzania zostali wybrani na przeszkolenie w domu towarowym koncernu Imperial Cola. Nick zaraz po ukończeniu szkoły zaczął tam pracować; od tego czasu minęły już cztery lata. Dla Trevora było to tylko krótkie szkolenie, gdyby bowiem kiedykolwiek miał pracować dla tej firmy, to nie jako podwładny, lecz na stanowisku kierowniczym.

Traf chciał, że Trevor wylądował w dziale Nicka, a ten bynajmniej go nie oszczędzał. Dał mu trudną robotę — ładowanie platform. Kiedy Trevor podszedł do niego pod koniec pierwszego tygodnia pracy, Nick był przekonany, że chce poprosić o lżejszą robotę.

— Co byś powiedział na małe piwo? — spytał Trevor. — Stawiam!

— Nie ma mowy. — Nicka wkurzało takie zachowanie, odbierał to bowiem jako chęć przekupienia go. Zlekceważył Trevora i odszedł.

Trevor nie dał za wygraną i poszedł za nim:

— A może wpadłbyś któregoś dnia do mnie na kolację?

— Powiedz otwarcie, czego chcesz. Jeśli ci chodzi o łatwiejszą robotę, to musisz udać się wyżej — odpowiedział Nick raczej niemiłym głosem.

— Nie chodzi o pracę, jestem z niej zadowolony. Chciałbym zapoznać cię z moją siostrą.

Nick o mały włos nie wybuchnął śmiechem. Siostra Trevora musi być bardzo brzydka, skoro brat pomaga jej w znalezieniu faceta, pomyślał.

— Sprawia wrażenie trochę zarozumiałej, ale tak naprawdę to jest nieśmiała. Widziała cię kilkakrotnie, ale ty nigdy nie zwróciłeś na nią uwagi — przekonywał Trevor.

— Kim jest ta twoja siostra, do cholery?

— Jest sekretarką pana Robinsona, ma na imię Amanda Jane.

— Trzeba było tak od razu mówić, a co będzie na kolację?

Pastor kończył właśnie ostatnią posługę, gdy Nick otrząsnął się ze wspomnień. Wziął pod rękę ojca Trevora, Austina, który ledwo się trzymał na nogach, nie tyle nawet z powodu utraty syna, co za sprawą raka, wyniszczającego jego organizm od kilku lat. Odprowadził go do samochodu i odwiózł do domu, w którym Austin sam, po śmierci żony, wychował dwójkę ukochanych dzieci — Amandę i Trevora. Nick przez całą drogę zastanawiał się, jak ten dzielny stary człowiek zdoła zaakceptować puste pokoje i zupełną ciszę, jaka zapanuje teraz w jego domu.

Austin powoli wchodził po schodach. Teraz czekali jeszcze na niego uczestnicy pogrzebu, dla których został przygotowany poczęstunek. Nicka dręczyło dziwne przeczucie, że jeszcze w tym roku Austin spocznie koło swych najbliższych: żony, córki i ukochanego syna, którego dziś pożegnał.

— Nick, pozwól, że nałożę ci coś do jedzenia, dobrze? — odezwała się dawna przyjaciółka Amandy.

Mały okrągły stół jadalny, wciśnięty teraz w kąt pokoju, był kiedyś głównym miejscem spotkań całej rodziny. Jadło się przy nim obiady, kolacje, desery, opowiadało najróżniejsze historie, a przede wszystkim radowało. Teraz w tym samym domu, przy tym samym stole panowała atmosfera przygnębienia i smutku. Był odświętnie zastawiony, ale zabrakło tego pogodnego nastroju towarzyszącego zwykle posiłkom.

Nick poczęstował się piwem z lodówki. Wypił już trzy piwa i zjadł wszystko, co było do spróbowania. Uświadomił sobie, że od czasu, gdy opuścił Teksas, nie jadł nic tak smacznego. Kuchnia japońska najwyraźniej nie była w jego guście. Powoli zapadał zmrok i ostatni goście opuszczali dom Prescottów.

Gdy Austin i Nick zostali sami, udali się do kuchni. Nick przyglądał się staremu człowiekowi, który nalewał do dwóch szklanek koktajl z bardzo mocnych trunków, z Cuervo Gold Tequila i Tabasco. Wrzucił kostki lodu, podał jedną szklankę Jensenowi. Nick nie był pewien, czy jego żołądek zniesie Bushwackera. Wiedział jednak, że nie może odmówić, stary bowiem dobrze pamiętał czasy, gdy wraz z Trevorem w trójkę siadali na werandzie, pijąc ten koktajl i pilnując kielbasek na rożnie.

— Chodź na zewnątrz, pogadamy — zaproponował Austin. — Jak się czuje twoja mama? — zapytał siadając w wiklinowym fotelu.

Nick chciał odpowiedzieć, że czuje się jak zawsze, ale powstrzymał się.

— Dobrze. Mam zamiar ją odwiedzić, zanim wrócę do Japonii. Austin wpatrywał się w drzewa w ogrodzie.

— Życie jest tak cholernie krótkie — powiedział półgłosem.

— Racja — przytaknął Nick, popijając drinka. Po pierwszym łyku poczuł straszne palenie w przetyku, które następnie rozlało się po żołądku.

— Trevor wszystko zostawił tobie — powiedział stary.

Nick nie mógł w to uwierzyć. Trevor był dla niego jak brat, dlatego do Nicka nie dotarło jeszcze, że nie ma już przyjaciela. Zawsze tak się dzieje, gdy ktoś, kogo bardzo kochamy, odchodzi nagle na zawsze. Trudno nam jest zaakceptować jego odejście. Nick także nie dopuszczał tego faktu do swojej świadomości, broniąc się nieracjonalnie i pograżając w coraz większej rozpacz.

— Pozostawił ci swoje alfa romeo, łódź i część udziałów budowanego na Malcie hotelu.

Przygnębienie spowodowane utratą przyjaciela pogłębiało się z minuty na minutę, przerastając jego siły. Czuł w sercu pustkę. Miał wrażenie, że został całkiem sam na świecie.

— Kiedy przyjdzie i na mnie czas, ten dom będzie twój, chłopcze — odparł stary Austin, przeczuwając, że wkrótce dołączy do syna.

Nick wpatrywał się w gwiazdy i myślał, dlaczego żyje tyle setek mil oddalony od jedy-nych ludzi, którzy go kiedykolwiek kochali. Po dłuższym milczeniu zmienił temat.

— Nie podoba mi się życie w Japonii.

— Dlaczego? — spytał zaciekawiony Austin.

— To nieduży kraj, bardzo zaludniony i niewiarygodnie drogi. Jednak nie to było główną przyczyną. Po chwili dodał:

— Japończycy są zupełnym przeciwieństwem teksańczyków. My jesteśmy niezależną społecznością.

— Święta racja. I jesteśmy z tego cholernie dumni.

— W Japonii kojinsugi, to znaczy indywidualizm w każdej jego postaci, jest niemalże przestępstwem. Jesteś zawsze człowiekiem koncernu lub jakiejś firmy albo jakiegoś przedsiębiorstwa, nigdy zwykłym człowiekiem. Zawsze reprezentujesz coś lub kogoś. Twoje życie jest jakby zaplanowane przez twoich pracodawców, oni też określają twoją pozycję w firmie. Nawet w Imperial Cola mają coś do powiedzenia jacyś zaszranii politycy. Jesteśmy nielicznymi, którzy ośmielają się powiedzieć, co myślą, a nie tylko przytakiwać.

Przerwał bardzo wzburzony i chcąc się uspokoić, wsłuchiwał się w żalobny koncert świerszczy. Nick dojrzał do tego, by obwieścić decyzję, którą podjął podczas pogrzebu Trevo-
ra.

— Nie wracam do Japonii.

— A co z twoim awansem? — spytał zaskoczony Austin.

— Ech tam. Życie jest zbyt krótkie. Po cóż mam się męczyć i być nieszczęśliwy? Nick uśmiechnął się i wszedł do domu, by zadzwonić do Marka Nolana.

— Nie możesz zrezygnować! — Nawet połączenie telefoniczne przez satelitę nie było w stanie ukryć zdenerwowania i złości Marka Nolana. Nick słuchał z uwagą i cierpliwością głosu kolegi. To dzięki pomysłowi Nicka, Alabama Iced Coffee, Nolan otrzymał awans i stanowisko szefa działu marketingu, potem z kolei Mark Nolan pomógł Nickowi wyrwać się z Teksasu i sprowadził go do Japonii.

— Mark, bardzo jestem ci wdzięczny za wszystko, co dla mnie uczyniłeś, ale zrozum, ja nie wracam.

Nick, zdenerwowany, odłożył słuchawkę. Był wściekły na siebie, że zawiódł kogoś, kto w niego zainwestował i w niego wierzył. Pomimo to był przekonany o słuszności swojej decyzji.

Wyczuł, że Austin chciał zostać sam i zdecydował się pójść spać. Przechodząc koło drzwi pokoju Amandy Jane, zatrzymał się. Otworzył je, energicznym ruchem sięgnął do kontaktu i zapalił światło, jakby oczekiwał, że ona będzie tu na niego czekać. Pokój był pusty. Gołociąny powitały go niemiłym chłodem. Na serwantce nie stały już, jak dawniej, liczne fotografie Amandy. Jediną rzeczą, która ją przypominała, był kraciasty jasiek wypchany lawendą. Nick w myślach cofnął czas, wspominając radość dziewczyny w dniu jego zakupu podczas jed-

nej z wyprzedazy. Zasmucony zgasil swiatlo, chcąc uniknąć powrotu wspomnień. Był świadom tego, że Austin go teraz potrzebuje jak nigdy dotąd. Nick udał się do sypialni Trevora i położył na łóżku. Był zbyt zmęczony, by się rozebrać. Sądził, że po podróży i tylu niemiłych przeżyciach zaśnie bez problemu. Niestety, zamiast snu przyszły wspomnienia. Po chwili podenerwowany sięgnął po książkę, którą zaczął czytać w czasie podróży. Nie mógł się jednak skupić. Przypomnił sobie, jak przed laty Trevor wymyślił swoje ulubione powiedzenie: płyn z falą i z prądem rzeki. Nick nadal nie mógł uwierzyć w śmierć przyjaciela. Coś mu się nie zgadzało. Wstał i poszedł z powrotem do Austina, który ciągle jeszcze popijał swego drinka.

— Rozumiem, że wkrótce pojedziesz na Maltę obejrzeć samochód i łódź. Tam w szufladzie jest kilka zdjęć.

Nick odszukał zdjęcia i oglądał je z zapartym tchem. Łódź, którą Trevor mu podarował, nie była zwykłą łajbą, lecz ekskluzywnym jachtem typu Donzi. Całkiem przypadkowo natrafił na zdjęcie Trevora z jakąś nie znaną sobie brunetką w bikini. Stali na łodzi zakotwiczonej w bajecznej zatoce tropikalnej wyspy, którą zapewne była Malta. Nick jako fachowiec uznał to za doskonałą reklamę.

Przyjrzał się dokładniej tajemniczej kobiecie. Miała ciemnobrązowe włosy sięgające ramion, uwydatniające twarz z migdałowymi oczami. Wyglądała na osobę impulsywną i zdecydowaną. Miała, jak na jego gust, zbyt ostry makijaż, ale mimo to podobała mu się.

Po chwili sięgnął po kolejne zdjęcie i zdębiał. Przysunął się do światła, nie dowierzając własnym oczom. Nie pomylił się jednak. Na zdjęciu był widoczny całkiem nagi Trevor z tą samą brunetką, jednakże już bez bikini. Siedziała na nim okrakiem z głową odchyloną do tyłu. Wyglądało to tak, jakby szczytowała lub była tego bliska.

Boże! Nick nie mógł sobie wyobrazić, by Trevor przysłał własnemu ojcu takie zdjęcie. Zaczęła go dręczyć następna myśl: kto je zrobił? Pomyślał, że prawdopodobnie mieli na łodzi zainstalowaną automatyczną kamerę. Sam zaczął jednak w to wątpić. Może zdjęcia zostały zrobione za pomocą teleobiektywu przez kogoś obcego? Skąd zatem miałyby je Trevor, a teraz jego ojciec? Dlaczego posłał je ojcu?

— Chłopcze, tam są zdjęcia, które przysłano mi przez pomyłkę — powiedział zakłopotany Austin.

Nick przyglądał się nadal brunetce. Miała duże, okrągłe, opalone piersi z ciemnymi, nabrzmiałymi sutkami. Jej wysunięte do przodu biodra były bardzo prowokujące.

— Jak ona ma na imię? — zapytał Nick z wahaniem.

— Cholera jedna wie. Nigdy nic o niej nie mówił. Te zdjęcia otrzymałem po jego śmierci — odpowiedział Austin, starając się wstać. — Musiała być wyjątkowa, skoro Trevor zainteresował się nią. Od czasu rozwodu nie miał nikogo.

Nick nie rozmawiał z Trevorem od śmierci Amandy Jane. Nie wiedział o nim tylu rzeczy. Był zdany na Austina, tylko w ten sposób mógł się czegoś dowiedzieć. Odkąd odeszła od niego żona, Trevor zamknął się w sobie.

— Nie mogę w to uwierzyć, że on nie żyje — powiedział Austin — miał przecież zaledwie trzydzieści cztery lata.

Nick przytaknął. Rozumiał starego. Śmierć przyjaciela przeżywał równie mocno. Spojrzał na rodzinne fotografie wiszące nad kominkiem. Wreszcie odważył się zadać Austinowi to najboleśniej pytanie:

— Jak zginął Trevor?

— Wynajmował domek letniskowy na Malcie od kobiety, która jest właścicielką kilku hoteli na wyspie. Tego wieczoru jadł z nią kolację, kiedy nagle poczuł ból w klatce piersiowej i nie mógł złapać tchu. — Austin przerwał. Westchnął głęboko i zaczął mówić dalej: — Pani Cranston, nie, pani Crandall, tak Pithany Crandall zadzwoniła po pogotowie, ale zanim przyjechało, mój chłopiec zmarł.

— Czy zrobiono sekcję zwłok? — spytał Nick.

— Owszem, ale ja nie wierzę tym zagranicznym lekarzom — odparł stary.

— Malta była przez ponad wiek brytyjską kolonią. To nie jest jakiś zacofany kraj. Jestem pewien, że swoich lekarzy szkolą w Anglii.

— To mnie nie obchodzi. Zażądałem sekcji zwłok na miejscu, tutaj. Przesłano próbki tkanek do kliniki Mayo. Wyniki otrzymam mniej więcej za tydzień — głos Austina słabł. — Cholera, przecież dobrze wiesz, że członkowie rodu Prescottów umierają na raka, a nie na zawał.

Tak, Nick wiedział o tym bardzo dobrze. Ale nie skomentował tego. Wspominanie przeszłości sprawiało wciąż duży ból, a uwaga Austina z pewnością była niezamierzona, rozmawiali przecież o Trevorze. Nick odnosił wrażenie, że Austin nie wierzy w naturalną śmierć syna, że szuka wyjaśnień.

— Jak będziesz już na Malcie, to sprawdź tę Pithany Crandall i dowiedz się, kim jest ta dziewczyna ze zdjęcia. Spróbuj je spytać, co wiedzą o śmierci Trevora. Jeśli ja nie dam rady dowiedzieć się sam, to będzie twoim obowiązkiem wyjaśnić, co naprawdę zabiło mojego syna.

Nick chciał powiedzieć Austinowi, że na pewno się dowie, ale nie mógł obiecać czegoś, czego być może nie będzie w stanie zrobić. Po prostu nie chciał go oszukiwać, zawsze byli w stosunku do siebie szczerzy i Nick chciał, by tak pozostało.

Gromada jastrzębi krążyła nad pokrytą kurzem prerią w sąsiedztwie miasteczka Gold Muleshoe. Ptaki polowały na kolację i były gotowe w każdej chwili runąć w dół na ofiarę. Nick zbliżał się do przedmieścia rodzinnego miasta. Słońce stykało się z horyzontem, rzucając ostatnie jaskrawe promienie na bezkresną równinę.

Dokoła panowała szarość przygaszonej zieleni. Jedynym urozmaiceniem monotonnego krajobrazu był samotny biały krzew komosy.

W oddali ujrzął ogromny klucz żurawi, które przyleciały w te strony, by znaleźć sobie siedlisko i przeczekać w nim zimę. Otwarte przestrzenie symbolizujące wolność i swobodę, rześkie powietrze prerii — okolica tak inna od zatłoczonego Tokio — utwierdziły w Nicku poczucie przynależności do tego kawałka kraju. Jeszcze raz upewnił się o słuszności swojej decyzji. Życie w Japonii nie odpowiadało mu z wielu powodów, lecz przede wszystkim jako teksańczykowi brakowało mu tam przestrzeni i poczucia wolności. Nie mógł wytrzymać w bezustannie zatłoczonym metrze i jednopokojowym apartamencie przypominającym bardziej bunkier niż mieszkanie.

Nick nie był pewien, co teraz zrobi. Na szczęście miał zaoszczędzone pieniądze, no i spadek po Trevorze, a to wystarczyło, by mógł się jakoś urządzić i zaopiekować matką.

Skreślił w uliczkę, jedną z wielu podobnych w tej miejscinie. Przecinające miasteczko koryto rzeki było, jak zawsze o tej porze roku, wyschnięte. Jaszczurki i ropuchy wygrzewały się w słońcu, leżąc na rozgrzanych kamieniach. Na skwerze bawili się dwaj chłopcy, strzelając z procy w ustawione w piramidę puszki po piwie. Nick z uśmiechem przypomniał sobie, jak kiedyś podobnie bawił się ze swoim starszym bratem Codym. Zatrzymał się na wprost starego domu farmerskiego. Było mu trudno uwierzyć, że kiedykolwiek tu mieszkał. Zrzucił torbę podróży na ramię i wolnym krokiem szedł ścieżką prowadzącą do drzwi rodzinnego domu. Wychowywał się tutaj do osiemnastego roku życia, kiedy to opuścił te strony i powracał jedynie, aby odwiedzać matkę.

Wszedł do środka bez pukania.

— Dzień dobry, mamo!

Matka usłyszawszy głos syna zerwała się z sofy. Oglądała właśnie wieczorną prognozę pogody w telewizji. Podeszła i, stając na czubkach palców, pocałowała go szybko w policzek.

— No, niech mnie diabli! To ty, synku... Ale urosłeś i zmężniałeś. Pozwól, że na ciebie popatrzę — powiedziała, cofając się kilka kroków.

Nick z kolei przyglądał się matce. Miała nadal ciemne włosy bez śladów siwizny i błękitne oczy. W młodości urodą przypominała Elizabeth Taylor, co napawało ją dumą. Uśmiechnęła się serdecznie do Nicka i odprowadziła go do łazienki.

— Umyj ręce. Daję głowę, że jesteś głodny. Kolację mam gotową.

Nick rozejrzał się po łazience, jakby chciał sprawdzić, czy coś się zmieniło. Przysyłał pieniądze na remont łazienki i nowe wyposażenie, ale... wszystko było po staremu. Kiedy wszedł do kuchni, kolacja już czekała na stole: hot-dog, frytki i szklanka mleka. Jediną zmianą, którą zauważył, było to, że matka nie podała mu mleka w jego kubku z lat dzieciństwa z Mickey Mouse. Był jednak pewien, że ten stary poobijany kubek stoi gdzieś schowany na półce wraz z kubkiem Cody'ego. Jedząc zastanawiał się, kiedy zrezygnował z hot-dogów na rzecz japońskiego jedzenia. Matka pokroiła swoją parówkę w plasterki.

— To było ulubione danie Cody'ego — powiedziała, zakłócając rozmyślenia syna.

Te słowa wprawiły Nicka w rozdrażnienie. Przypomniały mu o bracie. Na Boga, on zmarł mając dwanaście lat. Może gdyby żył, polubiłby to przekłete sushi. Spojrzał na zegarek. Tak, jak przypuszczał, nie minęło nawet pięć minut, odkąd wszedł do domu, a matka swoim zwyczajem zaczęła wspominać Cody'ego. Nie miał jej za złe, przywykł do tego. Podczas wszystkich jego odwiedzin był to stały temat. Nagle zadzwonił telefon.

— Odbierz, to na pewno do ciebie. Do mnie nikt oprócz ciebie nie dzwoni — powiedziała, wskazując spojrzeniem telefon.

Nick pomyślał przez chwilę, że byłoby zapewne inaczej, gdyby matka przestała żyć przeszłością. „Hallo”, które usłyszał w słuchawce, upewniło go, że ktoś dzwoni zza oceanu.

— Nick, to ty? — spytał Mark Nolan.

— Owszem — odparł sucho Nick, na gwałt usiłując sobie przypomnieć argumenty, które mogłyby utwierdzić go w postanowieniu, by nie wracać do Japonii.

— Mam pewną propozycję dla ciebie — oznajmił Mark. — Co byś powiedział na to, gdybym załatwił ci przeniesienie?

— Dokąd? — spytał bez entuzjazmu Nick.

— Na Malte. Mógłbyś przejąć przedstawicielstwo po Trevorze Prescotcie, na próbę. Nie spodziewanie Nick usłyszał w słuchawce gwizd.

— Skąd ty, do diabła, dzwonisz? — spytał.

— Jestem na stacji metra.

Po chwili dopiero Nick zrozumiał, dlaczego Mark dzwoni z budki telefonicznej, a nie z biura. Zależało mu na utrzymaniu tajemnicy przed japońskimi udziałowcami.

— Ale jak mam poprowadzić dział operacji handlowych?

Nick zastanawiał się, za które sznurki Mark musiał pociągnąć, aby załatwić mu takie stanowisko. Przecież marketing i dział operacji handlowych to dwie różne dziedziny. Z tą drugą nie miał nigdy do czynienia.

— Nie martw się. Malta to mały rynek, nie będzie problemów. A poza tym, to tylko zajęcie przejściowe — pocieszał Nolan.

Matka patrzyła wyczekująco. Wsunął do ust ostatni kawałek hot-doga i podziękował skinięciem głowy.

— Dostałem awans — dodał Nolan.

Nick wiedział o tym już od czasu spotkania z Tanaką. Awans Nicka i Scotta nie byłby możliwy, gdyby Mark nie zwolnił stanowiska.

— Będę pracował w głównej siedzibie firmy w Atlancie nad tajnym projektem — chwalił się Nolan.

— Tak, kawa mrożona na rynek wewnętrzny — Nick rzucił hasło.

— Skąd, u diaska, wiesz? — spytał zaskoczony Nolan.

— Och, zgadłem. Po prostu można było się domyślić. Był to duży sukces w Japonii, w Europie też, dlaczego zatem nie u nas, w Stanach.

— Jesteś mi potrzebny w zespole. Moje przeniesienie do Atlanty nie nastąpi tak z dnia na dzień, to trochę potrwa. W każdym razie teraz jeszcze jestem tutaj. Jak już będę w Atlancie, znajdę dla ciebie zajęcie. Stanowisko na Malcie masz zarezerwowane. Musisz tam pojechać i czekać na mój sygnał. To potrwa sześć, może osiem miesięcy — tłumaczył Mark Nolan.

Nick starał się wyobrazić sobie dział operacji handlowych i własną pracę w tej branży: czytanie raportów, przyjmowanie zamówień, kontrola załadunku i rozładunku towarów, przygotowywanie bilansu obrotów. Na myśl o tym Nick dostawał bólu głowy. Byłby jednak głupcem, gdyby odrzucił taką szansę. Amanda Jane zawsze mu powtarzała, że nie powinien pracować jako zwykły urzędnik, lecz być w samym zarządzie. Co prawda, Malta to nie Teksas, ale wszędzie lepiej niż w Japonii, pomyślał. Zresztą, na pewno mi się tam spodoba.

— Świetnie — Nick chciał, by jego głos zabrzmiał entuzjastycznie, lecz pogrzeb i powrót do domu przygnębiły go, więc wypadło to kiepsko. — Dziękuję ci, Mark — dodał po chwili i pożegnał się.

To, co wiedział, nie wystarczyło, by dokładnie zaplanować sobie życie. Wszedł do dużego pokoju, w którym matka oglądała w telewizji jakiś program rozrywkowy. Dopiero gdy zaczęły się reklamy, spojrzała na Nicka. Usiadł w starym, wygodnym fotelu.

— Zostałem przeniesiony na Malte.

— Och, zatem jakaś odmiana. — Matka znów patrzyła z zainteresowaniem w ekran. — Malta jest w Meksyku? — spytała po chwili.

— Nie, mammo. To wyspa na południe od Sycylii, niedaleko Włoch.

— Znasz włoski?

— Nie. Na Malcie mówi się po angielsku. To była kiedyś brytyjska kolonia — wytłumaczył.

— Ach, tak. Czy to nie tam był właśnie młody Prescott? — spytała, spoglądając na ekran.

— Tak, to właśnie tam — odpowiedział grzecznie, choć był zły na nią, że nie pamięta imienia jego najlepszego przyjaciela, z którym często rozmawiała.

Po chwili zwróciła się w jego stronę.

— Cholernie szkoda, że tak wcześnie zmarł. Młody. Taki młody... — powiedziała ze łzami w oczach, spoglądając na pamiątkową fotografię Cody'ego. Stał w swoim szkolnym mundurku i uśmiechał się. Obok zdjęcia w ramce leżała karta z wyrazami współczucia nadesłana przez zakład pogrzebowy tego pamiętnego dnia. Widniał na niej napis: masz przyjaciela w Chrystusie. — Czyż to nie jest tak, że niewinni umierają młodo?... — szepnęła zbolalym głosem.

2.

Londyn

Jesteś pewien, że Shadoe nie powiedziała twojej siostrze, kto jest ojcem jej dziecka?

— Jestem pewien, że Janna nie wie.

Warren Atherton przez cały czas spoglądał na półmisek z przystawkami i ani razu nie zerknął na Shadoe Hunnicutt. Wybrał z przekąsek kawałek pasztetu wieprzowego i ślimaka przybranego kawiozem.

— Z kim przyszła dziś Shadoe? — spytał złośliwie znajomy Warrena, trącając go porozumiewawczo łokciem. Nie czekając na odpowiedź, odszedł.

Warren wzruszył lekceważąco ramionami. Przyjęcie, na które został zaproszony wraz z innymi licznymi osobistościami, odbywało się w starym, zabytkowym ratuszu Guildhall pod hasłem „Ratujmy lasy tropikalne”. Na honorowym miejscu stała podświetlona złota statuetka mistycznego bożka Goga. Witrażowe okna w tle odbijały smugę światła i rzucały rozproszone jak przez pryzmat kolorowe barwy na stojącego opodal Warrena. Swoje błękitne, błyszczące oczy odziedziczył po ojcu; to samo miało stać się z licznymi tytułami, których nie potrafił zapamiętać, a które miał przejąć oficjalnie dopiero po jego śmierci. Królowa Elżbieta I osobiście przyznając jego ojcu tytuł lorda Lyforthu nadała mu przydomek „Atherton Blue” (czyli „Błękitny Atherton”). To określenie było równie trafne w stosunku do Warrena.

Warren starał się nie zerkać na Shadoe, mając na względzie swoją pozycję i tytuły. Było to o tyle trudne, że jej osoba, a raczej uroda, przyciągała pełne zachwyty spojrzenia mężczyzn. Suknia — czarna, krótka, z mocno wykrojonymi plecami, ściśle przylegała do jej imponującego ciała. Skąpe odzienie podkreślało zgrabną figurę. Niepotrzebna była wielka wyobraźnia, by dostrzec zalety jej urody. Warren dobrze o tym wiedział. Widział tę piękną rudą kobietę w jeszcze bardziej skąnym stroju.

— Lordzie Lyforth, proszę przekazać moje uszanowanie pańskiemu ojcu — powiedział znany Warrenowi gość.

— Oczywiście, uczynię to — odparł grzecznie, dobrze wiedząc, że nie spotka się z ojcem w najbliższym czasie.

Czterysta lat tradycji nauczyło go wielu zasad, musiał nawet zaakceptować te, z którymi się nie zgadzał. Nagle ktoś zawołał:

— Panie i panowie, bardzo mi przykro przerywać tę uroczystość, ale muszą państwo natychmiast opuścić ten gmach. Proszę się udać do najbliższego wyjścia — powiedział jeden z policjantów, którzy zupełnie nieoczekiwanie zjawili się na przyjęciu. Warren, jak i pozostali goście, szedł szybkim krokiem w kierunku drzwi wyjściowych. Jedna z idących obok kobiet szepnęła do swego męża:

— To może IRA. Boże, chyba by się nie odważyli...

— Sądzisz, kochanie, że ten stary ratusz jest dla nich święty? — odparł jej małżonek.

To retoryczne pytanie pozostało bez odpowiedzi. IRA wysadziła Carlton Club — siedzibę konserwatystów, dokonała zamachu na Iana Gowa, członka tej partii — zginął na skutek wybuchu bomby w samochodzie pułapce. Strzelali na Downing Street 10 do obradujących członków rządu. Ratusz nie był więc dla nich z pewnością miejscem świętym.

Bogata historia ratusza Guildhall sięgała aż czasów średniowiecznych lordów-burmistrzów, których władza niekiedy przewyższała władzę samych monarchów. Wieki temu obowiązywała zasada, że król mógł wjechać do miasta tylko za pozwoleniem lorda-burmistrza. Nawet dziś, ale już w ramach podtrzymania tradycji, królowa zwracała się z zapytaniem o zgodę na wjazd do miasta.

Tłum przestraszonych gości wybiegł na wybrukowany kamieniami plac przed ratuszem. Zgodnie z poleceniem policjantów wszyscy przeszli na drugą stronę ulicy. Wśród nich także i Warren. Gdy wreszcie przystanął, otarł się niechcący o nagie ramię Shadoe Hunnicutt.

— Dzień dobry, Warrenie — szepnęła, spoglądając na niego brązowymi oczyma.

Jej rude, kręcone włosy muskały jego twarz wraz z powiewem wiatru. Delikatna mgła nappełniała powietrze wilgocią. Warren przyglądał się Shadoe, jakby widział ją po raz pierwszy. Studiował jej kształty od ramion poprzez krągłe piersi, biodra, aż do smukłych nóg. Na szyi miała srebrny łańcuszek z pięknym szlachetnym kamieniem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ta biżuteria nie pasuje do sukni. Jednak wszystko w jej wyglądzie harmonizowało ze sobą. Mimo ekstrawaganckiego stroju, jej piękne rude włosy i brązowe oczy współgrały z całą postacią, uosabiały kobiece ciepło.

— Wieczór taki chłodny... — szepnął Warren i zdjawszy marynarkę, zarzucił ją na odkryte gęsią skórą ramiona Shadoe.

Chcąc uniknąć rozmowy z nią, udawał, iż jest zainteresowany poczynaniami policji. Przypomniawszy sobie bowiem słowa ojca: ona nie jest naszej krwi... Teraz, mając już trzydzieści pięć lat, powinien umieć ocenić intencje seniora rodu i zignorować jego opinię.

Życie Shadoe śledził od samego początku. Rzeczywiście nie pochodziła z tak świetnego rodu jak Warren Atherton. Jej ojciec miał mało znaczący tytuł szlachecki. Poważanie i dobrą opinię stracił z chwilą, gdy poślubił włoską aktoreczkę. Zaraz po urodzeniu Shadoe jej matka zdecydowała, że wieś jej nie służy i porzuciła dziecko oraz małą posiadłość w Derbyshire i powróciła do Włoch. Nie mogąc znaleźć lepszej pracy, grała w filmach jako striptizerka. Pomimo że Shadoe otrzymała dobre wychowanie i ukończyła najlepsze szkoły, odziedziczyła, niestety, po matce złą reputację.

W wieku dwudziestu lat wyszła za mąż za włoskiego hrabiego, którego spotkała podczas podróży do Wenecji. Druhną na ślubie była jej przyjaciółka Janna, siostra Warrena. Podczas ceremonii zaślubin w Bazylice św. Piotra Warren siedział w ostatniej ławce. Małżeństwo to przetrwało zaledwie trzy lata. Następnie Shadoe wyszła za pewnego Amerykanina. Na ślubie cywilnym jej świadkiem była ponownie Janna. Po sześciu miesiącach doszło do rozwodu. Przez następne lata Shadoe nie wiązała się z nikim na stałe. Dopiero pięć lat temu, w trzydziestym roku życia, wyszła ponownie za mąż, tym razem za Francuza. Powiadomiła o tym natychmiast Janne, która jednak nie zdążyła poznać nowego męża, gdyż po trzech dniach małżeństwo się rozpadło.

Po ostatnim nieudanym związku Shadoe postanowiła zająć się jakąś pracą. Otworzyła butik z damską bielizną w Knightsbridge. Uznała ostatnie lata za zmarnowane i postanowiła nadrobić stracony czas. Zaczęła od jednego sklepu, a doszła do całej sieci hurtowni ze swoją firmową bielizną. Sukcesy, które odnosiła, zawdzięczała nie urodzie, lecz inteligencji i dobrej organizacji. Warren śledził jej poczynania i doceniał zdolności, mimo iż w pewnych kręgach miała opinię głupiutkiej kobietki. Shadoe zupełnie się nie przejmowała tym, co o niej mówiły znudzone, zazdrosne panie z towarzystwa. Była zbyt inteligentna i zbyt niezależna, by zwracać na to uwagę.

Wiele się zmieniło z chwilą urodzenia dziecka. Opiekowała się i chroniła swoją małą córeczkę, jednakże nikomu nie powiedziała, kto jest jej ojcem. Nawet Janna, jej najbliższa przyjaciółka, tego nie wiedziała.

— Janna pojechała do Paryża? — spytała szeptem Warrena.

— Oczywiście — potwierdził. Janna zawsze towarzyszyła matce podczas podróży, zwłaszcza gdy celem było oglądanie kolekcji i wystaw. — Dlaczego miałyby tym razem nie jechać? — spytał trochę zaskoczony tym pytaniem.

— Janna pokłóciła się z Collisem, na poważnie. A poza tym on za parę dni wyjeżdża do Stanów i pomyślałam, że może chciała zostać z nim w domu. Jej horoskop radził, by nigdzie nie jechała.

Astrologiczne zainteresowania Shadoe nie budziły ciekawości Warrena. Poza tym niechętnie rozmawiał o prywatnych i rodzinnych sprawach. Starał się zmienić temat, lecz Shadoe była zbyt inteligentna, by tego nie zauważyć. Warren domyślał się, że ona wie o rozpadającym się małżeństwie siostry. Były przecież zaprzyjaźnione.

— Oni stale się kłócą. Jakoś dadzą sobie z tym radę.

— Ale to ją niszczy, to przez niego Janna jest nieszczęśliwa — wzruszona Shadoe mówiła tak cicho, że Warren chcąc nie chcąc musiał się do niej jeszcze bardziej przysunąć.

— To jest jej życie, jej sprawa. My nic nie możemy pomóc — powiedział spokojnie, choć wiedział, że Shadoe ma rację. Mąż Janny był powodem jej wszystkich zmartwień.

— Lordzie Lyforth — krzyknął w jego stronę policjant. — Proszę natychmiast zadzwonić pod ten numer, chodzi o pana ojca.

Warren bez wahania zostawił Shadoe i pobiegł w kierunku policjanta. Zapisany na kawałku papieru numer telefonu nie był mu znany. Nie był to numer do żadnej z ich rezydencji ani do biura. Policjant skierował go do banku, w którym chwilowo mieściła się siedziba policji przeszukującej i zabezpieczającej ratusz.

— Ten ktoś zadzwonił do hali głównej w ratuszu — wyjaśniał funkcjonariusz.

Warren wykręcił podany numer. Po chwili w słuchawce usłyszał nieznamy głos młodego mężczyzny.

— Tu mówi Warren Atherton — przedstawił się.

— Proszę natychmiast przyjechać, Reggie potrzebuje pana.

Warren uzmysłowił sobie, że nikt do jego ojca nigdy tak nie mówił: Reggie. Nawet matka mówiła do niego Reginald. Warren był przekonany, że to jakieś oszustwo.

— Nie wiem, o co chodzi, ale to chyba...

— Proszę, proszę. — Obcy młody mężczyzna szlochał do słuchawki. — On chyba nie żyje...

Paryż

Janna Atherton-Pembroke spędzała właśnie uroczy wieczór, siedząc przy rodzinnej kolacji z pewnym baronem. Próbowala wszystkiego, co podano — kurczęta, dziczyznę i wiele innych smakołyków. Zastanawiała się, co pomyśli o niej baron widząc, jakie ilości jedzenia pochłania.

— Księżniczka jest coraz piękniejsza — powiedział z szarmanckim uśmiechem, zerkając na matkę Janny, księżnę Audrey Crandall Atherton.

Janna przyjęła z wdziękiem komplement. Przypomniała sobie, iż w młodości była przekonana, że jest podobna do matki. Nie odziedziczyła jednak po niej patrycjuszowskiego profilu ani jasnoblond włosów, jak też ciemnozielonych oczu. Janna miała zielone oczy o dziwnym odcieniu, czasami przechodzącym w szary, a jej blond włosy przypominały kolor mokrego piasku na plaży. W wieku trzydziestu czterech lat przestała zazdrościć matce urody. Zaakceptowała samą siebie. Wiedziała, że wrodziła się raczej w tę mniej piękną połowę rodziny Crandallów. Była bardzo podobna do swej ciotki Pithany i dumna z tego, że odziedziczyła po niej wytrzymałość i inteligencję.

Pithany Crandall poruszając ustami podeszła do stołu, uśmiechnęła się i zażartowała:

— Ciągłe jeszcze jemy?

Janna przytaknęła, połykając ostatni kęs. Po chwili roześmiała się. Ciotka Pithany zawsze potrafiła ją rozbawić, bez względu na to, w jak złym była nastroju. Być może dlatego Janna była bardziej przywiązana do ciotki niż do własnej matki. Lepiej się rozumiały, mimo iż Pithany była starsza o dziesięć lat od Audrey. Pithany jakby wiedziała, co trapi siostrzenicę i jakie ma problemy. Matka zdawała się nie mieć z nią tej nici porozumienia.

— To nadzwyczajna kobieta — powiedział baron o ciotce Pithany. — Rozumiem, że pomagasz jej w nowym przedsięwzięciu, budowie kolejnego hotelu.

Janna jedynie przytaknęła, nie chcąc rozmawiać o ogromnym ryzyku finansowym wiążącym się z tą inwestycją. Z tego właśnie powodu pokłóciła się z mężem, Collisem. On chciał za wszelką cenę, by Janna, podobnie jak i on, wykładała w Wyższej Szkole Ekonomii w Londynie. Uważał to za najwłaściwsze. Jednak już przed ślubem było wiadomo, że Janna odziedziczy po ciotce Pithany kilka hoteli na Malcie. Chciała teraz się nimi zająć i ani przez chwilę nie myślała o karierze naukowej. Collis zignorował jej wybór, próbując ją namówić do podjęcia pracy dydaktycznej. Właśnie to było powodem ich wszystkich nieporozumień, które nie dawały żadnych konstruktywnych rozwiązań, lecz wręcz przeciwnie — niszczyły ich oboje.

Janna przeprosiła i wstała od stołu. Wolnym krokiem szła marmurowym korytarzem. Odgłos stukających obcasów odbijał się echem od surowych ścian.

Posiadłość przy rue de Varenne została zbudowana pod koniec XVIII wieku. Te mury przeżyły zatem niejedno i były świadkiem licznych wydarzeń rodzinnych. Pod pewnymi względami ta posiadłość przypominała Jannie dom rodzinny w Londynie na Belgrave Square. Podobnie jak londyńska dzielnica, tak i ta paryska, Faubourg Saint-Germain, były dzielnicami ekskluzywnymi, wyłącznie dla utytułowanych rodzin. Taka była już tradycja. Obecnie wille na terenie tych dzielnic wynajmowały ministerstwa i ambasady. Tylko w niektórych zamieszkiwały rodziny szlacheckie. Opierając się próbie czasu i rozwojowi cywilizacji, nadal podtrzymywały tradycję i w XXI wiek wkraczały z tytułami i dobrami ziemskimi. Zapewne łatwiejsza okazałaby się kradzież klejnotów królewskich niż wejście do tego elitarnego towarzystwa. Dzielnica Faubourg w Paryżu była rzeczywiście przepiękna. Jej wąskie uliczki i wysokie mury, kryjące poza sobą bajeczne ogrody, przypominały dawne czasy. Turyści zakochani byli w szerokich alejach, majestatycznych drzewach, a Janna wołała te stare mury i wąskie chodniki brukowane kocimi łbami. Uwielbiała panującą tu atmosferę i często, spacerując z Shadoe wyobrażały sobie, że żyją w czasach Marii Antoniny. To były jedyne chwile, w których mogła bezboleśnie cofnąć czas.

Rezydencja paryska była dla niej takim samym domem jak posiadłość rodziców w dzielnicy Belgravia w Londynie czy siedziba rodu Lyforth w Kencie. Była również bardzo przywiązana do domu ciotki Pithany na Malcie, Falcon's Lair. Podczas studiów na Sorbonie mieszkała razem z Pithany w jej apartamencie w Hotelu de Suede. Może właśnie wtedy nawiązała taki bliski kontakt z ciotką, który trwał do tej pory.

Zatrzymując się na końcu korytarza, lekko się poślizgnęła. W ścianie znajdowała się bardzo zgrabna wnęka wyłożona boazerią. Janna była jednak zbyt mocno pochłonięta rozmyślaniami, by podziwiać ten oryginalny pomysł. Stał tam na stoliku telefon z czasów pierwszej wojny światowej. Zawahała się przez moment, zastanawiając się, po co marnuje czas i dzwoni do męża. Wiedziała z góry, że i ta rozmowa niczego nie wyjaśni. Po chwili jednak wykręciła numer. Przeczowała, że również tym razem Collis nie podniesie słuchawki, tylko włączy automatyczną sekretarkę. Tak działo się przez cały dzień. Mimo to zadzwoniła. Było tak, jak się spodziewała.

— Collis, odbierz, proszę, muszę z tobą porozmawiać... Proszę, podnieś słuchawkę...

Nikt nie odpowiadał. Rzuciła słuchawkę. Na pewno był w domu. Następnego dnia miał wylecieć do Stanów na serię odczytów w uniwersytetach. Zawsze ostatnie dni spędzał w domu,

przygotowując materiały i redagując wystąpienia. Większość z tego czasu przeznaczal jednak na przeglądanie się w lustrze i podziwianie swego profilu.

Oczyrna wyobraźni widziała Collisa przemawiającego *ex catedra* na temat światowej ekonomii. Niech to! Wróciła z powrotem na kolację, choć tak naprawdę to pragnęła polecieć do męża i spróbować przekonać go do swojej decyzji. Niestety, nie mogła tego uczynić. Jutro miała odbyć się wystawa u Lanvina, który promował projekty Claude'a Montany. British Midlands Bank, będący własnością Athertonów, zatrudnił Lanvina przed kilkoma laty, by wyszukiwał nowe talenty. Janna miała więc obowiązek być z matką na otwarciu nowej wystawy.

Usiadła akurat, gdy podawano deser. Chcąc oderwać myśli od męża, włączyła się do rozmowy. Pithany od razu zauważyła zmianę na twarzy Janny. Domyśliła się też, kto był ponownie przyczyną jej zmartwień. Często Janna bywa podobna do mnie, także nie umie wyczuć, kiedy należy zrezygnować z mężczyzny, pomyślała Pithany.

Spojrzała na swoją siostrę, Audrey, rozmawiającą z baronem. Odziedziczyła po ojcu oczy. Pithany przypomniła sobie ich ukochanego ojca. Tak trudno przyszło jej pogodzić z jego utratą. Pamiętała dokładnie, jak zegnała go w porcie, gdy odpływał na Gozo; jego twarz, jak nigdy wcześniej, wyrażała tęsknotę. Ostatnie, co usłyszała z ust ojca, to prośba, by zajęła się Audrey. I tak też uczyniła. Zaraz po zakończeniu wojny przyплыnęła do Anglii, by odszukać siostrę. Gdy ją zobaczyła po raz pierwszy po latach, była mile zaskoczona. Audrey wyrosła z małej dziewczynki, jaką zapamiętała, na atrakcyjną młodą kobietę. Uchodziła za piękność. Przy niej Pithany czuła się jak Kopciuszek. Wiedziała, że wojna wycisnęła piętno na jej twarzy. Pithany powiedziała siostrze, że ich ojciec zginął w czasie wojny, ukrywając w ten sposób prawdę. Audrey zareagowała histerią i płaczem. Utrata nadziei, że zobaczy ojca, stała się powodem głębokiej depresji. To wówczas młodzieńki Reginald Atherton, zakochany w niej bezgranicznie, wyciągnął ją z załamania nerwowego. Pithany nigdy nie odważyła się powiedzieć siostrze, że ojciec popełnił samobójstwo zaraz po dopłynięciu do Gozo. Pithany siedziała przy drugim końcu stołu, ale mimo to dostrzegła, że śmiech Janny jest sztuczny i nieszczerzy. Wyczuła, że dziewczyna jest nadal zdenerwowana. Wstała od stołu, tłumacząc się migreną, i poprosiła Janne, by odprowadziła ją do domu.

— Czy chcesz może o czymś porozmawiać? — spytała delikatnie Pithany, choć dobrze wiedziała, że chodzi o Collisa.

Janna pokręciła głową. Pithany była świadoma tego, że nie może jej pomóc. Uważała jednak, że dobrze się stało, iż Janna nie poddaje się mężowi. Gdyby mu uległa i dała się zastra-

szyc, miałyby nieciekawe życie, takie, jakie chciał jej narzucić. W oczach Pithany Collis był snobem wielkiego kalibru, podobnym do Reginalda Athertona. Obaj byli chciwi na pieniądze, ale żaden nie chciał się do tego przyznać.

Ten pęd do pieniędzy sprawił, że Warren, syn starego Athertona, stał się niemalże niewolnikiem wolnego czasu. Jedyne jego zajęciem było czekanie na objęcie po ojcu tytułów i fortuny. Stało się tak nie dlatego, że Warren był chciwy, lecz dlatego, że ojciec odsunął go od zarządzania majątkiem. Stary Atherton odstraszał wszystkich, którzy się do niego w jakiś sposób zbliżali. Będąc świadomy, że Warren przejmie po nim fortunę rodu i stanowiska, bacznie obserwował syna. Oczywiście zupełnie ignorował poczynania Janny.

Janna i Pithany wolnym krokiem przeszły do Hotelu de Suede. Przy drzwiach portier witając panie oznajmił, że Warren czeka na nie w apartamencie.

— Warren tutaj, przyleciał z Londynu? Sądziłam, że bierze udział w przyjęciu na rzecz lasów tropikalnych — powiedziała zdziwiona Janna.

Apartament był pogrążony w zupełnej ciemności. Janna zapaliła światło i dopiero wówczas spostrzegły Warrena siedzącego na otomance z głową opartą na poduszkach. Jego blond włosy, zawsze zaczesane do tyłu, teraz w nieładzie opadały na czoło. Był w rozpiętej koszuli, bez marynarki.

Janna podbiegła do brata.

— Warren, co się stało?

— Ojciec... — szepnęła łamiącym się głosem — nie żyje...

— Nie! — krzyknęły obie. — Jak to się stało?

— Zawał serca.

Pithany podeszła do rodzeństwa. Nie mogła uwierzyć, że Reginald Atherton, młodszy od niej o dziesięć lat, nie żyje. Był zbyt młody, by umierać.

— To nieprawda — Janna wybuchnęła płaczem.

Pithany była poruszona, ale nie z powodu śmierci Reginalda, lecz z powodu Janny. Dziewczyna przez całe życie bardzo kochała ojca, a on nigdy nie poświęcał jej czasu. Na próżno przez wszystkie lata starała mu się przypodobać. On nie potrafił tego docenić. Zawsze Janna stała w cieniu Warrena.

Warren objął Janę. Przynajmniej oni się kochają, pomyślała Pithany. Ale kto pocieszy Audrey, która podczas wojny żyła z rodziną Athertonów, wielbiąc Reginalda przez wiele lat i ostatecznie wychodząc za niego za mąż? Byli parą jak z bajki: lord i piękność. Tak uważali

wszyscy oprócz Pithany. Od samego początku nie lubiła Reginalda. Był, według niej, zimny i egocentryczny. Audrey, szaleńczo w nim zakochana, zdawała się tego nie dostrzegać. Pithany pomyślała z troską o siostrze, czy znajdzie dość sił, by przetrwać nagłe odejście męża. Miała co do tego wątpliwości.

— Przyleciałem samolotem ojca — powiedział Warren, nie zdając sobie sprawy, że należy już teraz do niego. — Pilot czeka, możemy w każdej chwili wracać do Londynu. Matce muszę sam o tym powiedzieć.

— Jest nadal na kolacji — powiedziała załamana Janna. — Czy mamy pójść z tobą?

— Nie! — wykrzyknął przestraszony. — Muszę najpierw z wami porozmawiać. Warren wsunął ręce do kieszeni spodni, wziął głęboki oddech.

— Otrzymałem telefon od pewnego młodego mężczyzny, który powiedział, że ojciec jest z nim i że nie żyje. Sądziłem, że to jakiś nietaktowny żart, ale jego głos wydał mi się szczerzy. Pojechałem pod wskazany adres w dzielnicy Hammersmith, który mi podał.

— Hammersmith? — zapytała z niedowierzaniem Pithany. Była pewna, że Reginald nigdy nie wyjeżdżał poza obrzeża West Endu. Robotnicze dzielnice uważał za zamknięte obozowiska dla biedoty. — Co on tam, u diabła, robił?

— On miał... — Warren zarumienił się. — Miał romans.

— Niemożliwe, ojciec? — Janna kręciła przecząco głową.

Pithany nie była zaskoczona. Już podczas pierwszego spotkania z Reginaldem poczuła intuicyjnie, że jego rezerwa w stosunku do niej i innych wynika z czegoś więcej niż tylko z typowo brytyjskiego charakteru. W przekonaniu Pithany problemy uczuciowe Audrey miały swoje korzenie w małżeństwie pozbawionym troskliwej miłości i czułości. Jedną rzeczą była pewna: skandaliczna śmierć Reginalda w łóżku jego kochanki zabiłaby Audrey.

— Musimy to zatuszować — powiedziała przytomnie Pithany. — Audrey nie może się dowiedzieć o tej kobiecie.

Warren zamarł na moment ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Wreszcie spojrzał na Pithany zawstydzony i powiedział:

— Jego kochanką nie była kobieta. Był nim młody mężczyzna przed trzydziestką.

— To kłamstwo...! — wykrzyknęła zaszokowana Janna. — Dlaczego opowiadasz o ojcu takie rzeczy?!

Do Pithany dotarło, że Warren mówi, niestety, prawdę. Reginald był odludkiem, nie miał przyjaciół, a swojej rodziny także nie otaczał miłością. Całą energię spożytkował, by wykre-

ować swój wizerunek perfekcyjnego dżentelmena, podczas gdy w rzeczywistości żył zupełnie inaczej. Pithany podeszła do Janny i mocno ją przytuliła. Dała znak Warrenowi, by kontynuował.

— Nie mogłem ojca tam zostawić. Gdyby prasa dowiedziała się o tym, bylibyśmy skończeni. Matka czułaby się upokorzona. Zabrałem więc ojca ze sobą i położyłem do jego łóżka. Potem zadzwoniłem po doktora Osgooda. Potwierdził, że ojciec miał problemy z sercem. W zeszłym roku przeszedł lekki atak. Brał...

— Problemy z sercem? Czy ty o tym wiedziałeś? — spytała oburzona Janna.

— Nie. Ojciec poprosił Osgooda, by nikomu o tym nie mówił. Sam też zachował to w tajemnicy.

— Będzie na pewno sekcja zwłok, by potwierdzić przyczynę zgonu — odezwała się Pithany, cały czas skoncentrowana na tym, jak ochronić Audrey.

— Tak. To może wykazać, że ojciec zmarł wcześniej. Sądzę, że jeśli przeprowadzą dokładną sekcję, to mogą wykryć, że ciało było przenoszone.

Janna podeszła do brata i wtuliła się w jego ramiona.

— Dziękuję, że zatroszczyłeś się o to. Uratowałeś matkę.

— Nigdy nie było w naszej rodzinie skandalu i tak powinno zostać. To, co się stało, jest wyłącznie naszą sprawą. Matka przeżyłaby to podwójnie mocno.

— Może uda nam się przekonać doktora Osgooda, by zarządził zwykłą, rutynową sekcję w małej kostnicy Pildowne Crossing. Lepsze to niż wysyłanie ciała do Londynu — zastanawiała się na głos Pithany. Wiedziała, że Audrey jest zbyt słaba psychicznie, by wytrzymać przeciągające się dochodzenie. — Doktor Osgood bardzo lubi waszą matkę. Na pewno pamiętacie, jak często ją odwiedzał, gdy leżała w szpitalu. Był przy niej codziennie. Mogłabym go przekonać, że rutynowa sekcja oszczędzi Audrey stresu i zdenerwowania i że trzeba to w związku z tym jak najszybciej załatwić — zaproponowała Pithany. Nie wspomniała jednak, że gdy Audrey leżała w szpitalu, Reginald bardzo rzadko ją odwiedzał i w ogóle nie dotarło do niego, że jego wspaniała żona, którą tak wychwalał, przeżywała załamanie nerwowe właśnie z jego powodu.

— Jeśli udowodnią atak serca, nie będą szukać niczego innego — pocieszała się Janna.

— Nie odkryją, że ktoś ojca ruszał.

— Musimy jak najszybciej załatwić pogrzeb. Wówczas będą musieli przyspieszyć sekcję i dochodzenie. To zaoszczędzi Audrey wielu przykrych chwil.

— Z pewnością, ale nie daje mi spokoju ten mężczyzna. Może nas szantażować. Pithany poczuła się nagle stara i bezradna.

— Jaki był ten... kim on był? — spytała Warren.

— Przystojny. Jest Włochem. Gian Paolo. Tak się nazywa. Sądzę, że był... tak, tylko na jedną noc. Mimo to był bardzo przejęty, takie sprawiał przynajmniej wrażenie. To on zaproponował, bym ojca zabrał do domu. Wydawało mi się, że jest ze mną szczery, byłem w szoku i zrobiłem tak, jak mi poradził. Nie przyszło mi nawet do głowy podejrzenie o jakieś skryte motywy. Dopiero w drodze do domu uzmysłowiłem sobie, że może chce mnie szantażować. Przenoszenie ciała jest chyba niezgodne z prawem? Janna zwróciła się do brata:

— Jesteś pewien, że nikt ze służby nie widział, jak wносиłeś ojca?

— Na pewno nikt, jestem pewien — odpowiedział Warren. Dopiero teraz docierało do jego świadomości to, co się stało i w czym uczestniczył. Przez cały ten czas był w szoku.

— Nie martw się — pocieszała go Janna. — Jeśli ten Włoch coś wygada, to będziemy z nim walczyć, cios za cios.

Tymczasem przekazali przykrą nowinę Audrey. Powiedzieli jej, że Reginald zmarł na zawał w domu. Cała czwórka powróciła odrzutowcem Athertonów do Londynu. Była czwarta rano. Wszyscy oprócz Janny pojechali limuzyną do rezydencji. Janna wzięła z lotniska taksówkę. Od chwili, kiedy usłyszała o śmierci ojca, rozumiała, jak bardzo potrzebuje Collisa. Tak bardzo chciała go mieć blisko siebie, być w domu.

Ulica, przy której mieszkali w dzielnicy willowej Minera Mews, o tej porze była zupełnie pusta. Idąc, starała się nie obudzić sąsiadów. Okolica była urocza. Zabytkowe domy, wiekowe kamienice. Niektóre z nich kiedyś służyły jako stajnie lub pomieszczenia dla służby. Na początku tego stulecia zostały przebudowane na mieszkania, a ich cena ze względu na położenie w prestiżowej dzielnicy była porównywalna do cen innych kamienic. Jedyne, co pozwalało odróżnić stare, prawdziwe domostwo od dawnej stajni czy służbówki, to usytuowanie budynku. Wolno stojące wille były od zawsze zamieszkiwane, natomiast mniejsze, wybudowane w rzędzie, blisko siebie stojące domy, to dawniejsze zabudowania gospodarskie.

Janna weszła bezszelestnie do środka i zostawiła swoje rzeczy w przedpokoju. Cicho stąpała po schodach prowadzących do sypialni. Nagle usłyszała plusk wody i głos Collisa. Czyżby nie spał o tej porze? Na pewno denerwuje się przed jutrzejszym wystąpieniem, powtarza sobie tekst, myślała Janna. Oczywiście, to nie jest zwykły wykład. Na zebraniu będą przedstawiciele z Waszyngtonu. Takie prestiżowe spotkanie ma dla Collisa bardzo duże znaczenie.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o ich pierwszym spotkaniu. Pamiętała dokładnie swoją reakcję na widok Collisa Pembroke'a. Poznała go podczas seminarium w londyńskiej Wyższej Szkole Ekonomii. Przedstawiła wówczas swoją pracę naukową zatytułowaną „Koszty rewolucji francuskiej z punktu widzenia dzisiejszej ekonomii”. Poświęciła tej pracy kilka lat badań w Paryżu. Opublikowały ją liczne wydawnictwa uniwersyteckie, między innymi w Cambridge, a także wydawnictwa na terenie Stanów i w Europie. Po odczytaniu swoich materiałów z ogromną ulgą usiadła i czekała na kolejnego mówcę. Wtedy właśnie na podium wszedł Collis Pembroke. Oparł się wygodnie na mównicy i bez żadnych pomocniczych notatek zaczął rozprawiać o przyszłości rynku Wspólnoty Gospodarczej, analizując dogłębnie ten temat. Na wszystkich zrobił ogromne wrażenie. Janna też słuchała wpatrzona w niego. Zazwyczaj przystojni mężczyźni jej nie interesowali, wychodziła bowiem z założenia, że uroda nie może iść w parze z inteligencją. Na przykładzie Collisa przekonała się, że mężczyzna o bardzo atrakcyjnym wyglądzie może być równocześnie bardzo inteligentny.

Po odczycie, a w zasadzie przemówieniu Collisa, Janna została mu przedstawiona.

— Szalenie ciekawa praca — chwalił ją Collis Pembroke. — Pierwszorzędne badania.

— Dziękuję — odpowiedziała, starając się ukryć zakłopotanie, a przede wszystkim wrażenie, jakie na niej zrobił. Collis wypowiadał się nie tylko z elokwencją godną aktora, ale, jak się okazało, wiedział na temat finansów więcej, niż Janna mogła się kiedykolwiek nauczyć.

— Wiesz — przerwał, przeczesując dłonią blond włosy — ty jesteś inteligentna, masz prawdziwie rzadki talent do dokonywania analiz niuansów finansowych... — zmierzył ją dokładnie krytycznym spojrzeniem. — Chodźmy gdzieś, tak prywatnie, to sobie porozmawiamy.

Przez cały wieczór rozmawiali o ekonomii osiemnastowiecznej Francji. W przeciwieństwie do innych mężczyzn, z którymi Janna czasami się spotykała, Collis nie był onieśmielony jej inteligencją i wiedzą. Jej rodowe nazwisko zdawało się nie robić na nim wrażenia. Rodzina Pembroke'ów z Northumberland też miała jakiś tytuł szlachecki, ale ich posiadłości zostały sprzedane już dawno temu i pozostał im tylko dom rodzinny. Collis sam musiał na siebie zarabiać, ucząc, wykładając na uniwersytetach i udzielając porad prawniczo-finansowych.

Tego wieczoru, gdy po cichutku wchodziła po schodach, zastanawiała się, jak Collis przyjmie wiadomość o śmierci jej ojca. Obaj byli bardzo ze sobą związani. Jak tylko się poznali pięć lat temu, gdy Janna po raz pierwszy przyprowadziła narzeczonego, ojciec od razu bardzo go polubił.

Zatrzymała się na chwilę. Uświadomiła sobie, że mimo ich licznych kłótni ona bardzo go kocha i chce być przy nim. Śmierć ojca przekonała ją, że bardzo potrzebuje Collisa. Jest jego żoną i musi być z nim, a nie spędzać czas na dalekiej Malcie, pomagając ciotce Pithany.

Wskoczyła na ostatni schodek i skręciła do łazienki. Nagle spostrzegła, że w kabinie pod prysznicem jest z Collisem jakaś dziewczyna.

— Co mówiłeś? — spytała dziewczyna, podnosząc zalotnie swoje długie blond włosy nad głowę. Po jej jędrnych piersiach spływały strumienie wody.

Collis nie pamiętał, co do niej mówił. Zresztą w przypadku Annabelle Swarhmore nie było to rzeczą istotną. Delikatnie wiódł rękę wzdłuż jej uda. Rozstawiła natychmiast nogi. U obojga można było wyczuć podniecenie. Dziewczyna wydawała się nienasycona. Rozpuściła włosy i przytuliła się do Collisa. Jego ręka znalazła się między jej udami, w pachwinie. Ich twarze zbliżyły się. On otworzył usta, a ona wsunęła język.

— Więc co mówiłeś? — spytała, przerywając gorące pocałunki.

— Masz prawdziwy talent — powiedział, gdy ona sięgała dłonią po jego penisa; zaczęła palcami drażnić żołądek i jądra — ...w dziedzinie finansów. Ponieważ jesteś inteligentna, potrafisz zrozumieć niuanse międzynarodowego marketingu.

Majątek. To proste i zrozumiałe. O to mu chodziło, pomyślała Janna. Szybko zeszła po schodach i wybiegła z domu. Skierowała się do domu rodziców. Wpadła do swojego dawnego pokoju i rzuciła się na łóżko. Tylko dzięki silnej woli powstrzymała łzy rozpacz i rozczarowania. Spojrzała w stare lustro stojące na szafeczce nocnej. To zwierciadło znało ją bardzo dobrze. Przeglądała się w nim jako mała dziewczynka, jako podłotek, jako młoda dziewczyna i jako dorosła kobieta. Teraz widziała kobietę, która została zdradzona, i to przez kogoś, kogo kocha i potrzebuje. Dotknęła zimnego szkła. Wokół palców zebrała się para.

— Nie ma na co patrzeć... niestety. Jest inaczej, niż się spodziewałaś. Jesteś dla Collisa tylko okazją, by się załapać na duże pieniądze — szeptała do siebie łkając.

„Okazja”. Nigdy nie zastanawiała się nad tym słowem. Oznaczało ono sytuację, w której mężczyzna z tytułem lub bez i bez pieniędzy brał sobie za żonę jakąś bogatą dziewczynę. Sytuacja mogła być też odwrotna. Nigdy nie sądziła, że to będzie jej kiedykolwiek dotyczyć. Określenie zostało wymyślone przez nuworyszy. Niektórzy z nich właśnie w ten sposób dochodzili do majątku. Dopiero teraz zrozumiała, że przede wszystkim tacy ludzie zamieszkują jej dzielnicę. Po ukończeniu szkoły dużo podróżowała, studiowała archeologię i historię sztuki. Potem dopiero wstąpiła na Sorbonę. Nie zastanawiała się nad swoją pozycją społeczną. Teraz na wła-

snym przykładzie zrozumiała, co oznacza słowo „okazja”. Małżeństwo w zamian za tytuł i pieniądze. Była rzeczywiście niezłą partią dla Collisa. A wierzyła naiwnie, że wychodzi za mąż za człowieka, którego kocha bezgranicznie i przez którego jest szczerze kochana.

— Mogłaś się tego domyślić — szepnęła do siebie, tuląc głowę w ramionach.

Postępowanie Collisa niejednokrotnie świadczyło o tym, że chodzi mu tylko o pieniądze. Do tej pory nie miała ich znowu aż tak dużo, dopiero teraz, kiedy dostanie spadek po ojcu, sytuacja się zmieni. Także ciotka Pithany obiecała, że po jej śmierci Janna odziedziczy cały majątek, hotele, posiadłości ziemskie, domy i pieniądze. Janna przypomniała sobie pewien fakt, który nie dawał jej spokoju i potwierdzał jej obawy. Wydarzyło się to zaraz po ich ślubie. Collis nalegał, by sprzedać akcje, które otrzymali w prezencie ślubnym od ciotki Pithany. Za uzyskane pieniądze kupił dom, w którym teraz mieszkają. Mówił, że robi to dla Janny, chociaż ona nie chciała zgodzić się na sprzedaż akcji. Dom ostatecznie został kupiony i, niestety, urządzony według planów Collisa. Jego ulubionym miejscem była łazienka, gdzie godzinami przed lustrem powtarzał swoje wykłady i wystąpienia. Jedynym miejscem, w którym Janna czuła się jak u siebie, była jej toaleta.

— Robił ze mną, co chciał... a ja mu na to pozwalałam...

Odwróciła głowę od lustra. Jej droga życia miała teraz wiele bolesnych zakrętów, które pociągały za sobą nieodwracalne zmiany. Tej nocy utraciła nagle dwóch mężczyzn, których bardzo mocno kochała, wręcz bezgranicznie — ojca i męża.

Żaden z nich jej nie kochał.

Od chwili, kiedy Janna dowiedziała się o śmierci ojca, powtarzała sobie, że to niemożliwe, że to jakaś pomyłka. Dopiero gdy pojechała do kostnicy i zobaczyła ciało, przekonała się, że to nie sen.

Jeden z pracowników kostnicy w Pildowne Crossing zaprowadził Jannę do pomieszczenia, w którym przygotowywano ciało do pogrzebu. Przeżyła wówczas szok. Dotknęła dłoni ojca i szepnęła:

— Och, ojcze, nikt z nas ciebie nie znał, prawda? Nigdy na to nie pozwoliłeś. Nie chciałeś tego. Wszystko jedno i tak cię kochaliśmy...

Ciotka Pithany dopilnowała, by doktor Osgood zarządził rutynową sekcję zwłok. Wszystko odbyło się szybko i bez zbędnego rozgłosu. Koroner oficjalnie stwierdził, że przyczyną zgonu był atak serca. Nazajutrz po sekcji odbywał się pogrzeb. Reginald Atherton, lord Lyforthu, został pochowany słonecznego kwietniowego ranka, trzy dni po nieoczekiwanej

śmierci. Pośpiech, z jakim oddano mu ostatnią posługę, tłumaczono nadwątłym zdrowiem pani Audrey. W kaplicy panowała przygnębiająca atmosfera. Wdowa i krewni ubrani byli na czarno. Kobiety miały dodatkowo szare kapelusze. Warren włożył ciemny mundur marynarki wojennej. Zadaniem krewnych było zachowanie zimnej krwi. Wybuchy płaczu czy też inne okazywanie emocji uważano za nietaktowne i w wiejskim guście. Warren dotknął ramienia siostry. Janna ocknęła się jak ze snu. Dał jej znak, że trzeba wyjść z kościółka. Procesja skierowała się w stronę rodzinnego grobowca, w którym spoczywali przodkowie lorda Athertona. Karawan z trumną zaprzężono w cztery czarne konie. Janna nie mogła się skoncentrować. Myśłami powracała wciąż do nieznannej, ukrywanej przed wszystkimi słabości ojca, a także dwulicowości Collisa.

Trumnę spuszczone do grobu. Audrey z Pithany i Warrenem podeszli krok bliżej. Janna sięgnęła do kosza z kwiatami, ozdobionego szarfami z jedwabiu i wyciągnęła z bukietu białą różę. Podala ją matce. Przez ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się. Mimo woalki, Janna zobaczyła powiększone źrenice i zaczerwienione oczy matki. Pogodnie uśmiechnęła się do niej i ścisnęła mocno jej dłoń. Audrey pocałowała delikatnie różę i powolnym ruchem ręki rzuciła ją na trumnę.

Janna wzięła matkę pod rękę. Warren, obecnie XIX lord Lyforthu, sięgnął, jak nakazuje tradycja, po srebrną szufelkę. Wbił ją w wilgotną ziemię, którą wypełniono czerpak ze srebra. Nabrał trochę porosłej mchem ziemi i zsunął dostojnym ruchem na trumnę. Z przytłumionym hukiem spadła na wieko.

Po uroczystości pogrzebowej wszyscy żałobnicy udali się swoimi samochodami do posiadłości Athertonów. Przejeżdżali przez małe miasteczko Pildowne Crossing. Zasłony w oknach domów były zasunięte jako wyraz szacunku dla zmarłego i jego rodziny. Werandy i balkony przystrojono kwiatami i wieńcami. Zanim cały orszak dotarł do Lyforth Hall, rodzinnego pałacu, minęły ponad dwie godziny.

Janna ledwo trzymała się na nogach ze zmęczenia. Musiała spełnić swój obowiązek i przyjąć od wszystkich zdawkowe lub bardziej szczere kondolencje. Przez cały czas dręczyła ją jednak ta sama myśl: wszyscy kochali ojca, ale tak naprawdę nikt go nie znał.

Collis Pembroke jechał z dużą prędkością poprzez zdającą się nie mieć końca posiadłość Athertonów. Niby unoszący się na wodzie dumny łabędź, pałac górował nad rozległym terenem pokrytym zieloną murawą i gdzieś tam stojącymi dębami.

Za każdym razem, gdy spoglądał z oddali na kamienną rezydencję, jej porośnięte bluszczem kominy i kryształowe okna odbijające słońce, czuł zazdrość. Przypomniawszy sobie dawną rodzinną posiadłość Pembroke'ów w Northumberland, która obecnie przypominała ruinę. Było wiadome, że brytyjska potęga finansowa skupiała się na południu kraju i to zapewne właśnie niefortunne położenie, a nie genetyczne uwarunkowania, doprowadziło do zubożenia rodziny Collisa. Jednak dla niego to była już tylko przeszłość.

Po śmierci Reginalda majątek Janny zostanie powiększony o spadek, którego nie pomniejszy nawet podatek spadkowy. Collis wyobrażał sobie, jak przejmie dom na wsi, willę w Marabelli i jaguara. Jednak ważniejsza dla niego była władza, którą sądził, że uzyska. Ojciec Janny szanował go i liczył się z jego zdaniem bardziej niż któregokolwiek członka rodziny. Traktował go z większą atencją niż własnego syna. Collis pisał Reginaldowi przemówienia do Izby Lordów i był jego doradcą w sprawach finansowych.

Collis przygotowywał się psychicznie do przejęcia kontroli nad majątkiem Athertonów. Warren przecież zupełnie się do tego nie nadawał. Janna była bardzo zżyta z bratem, co stanowiło dla Collisa pewien problem. Ale ona zrobi wszystko, co jej powie, a Warren uczyni to, o co poprosi go siostra. Uważał, że słusznie postąpił, odradzając żonie angażowanie się w interesy ciotki Pithany, której nie lubił. Ciągłe telefony, których nie odbierał, błagalny głos Janny, nagrany przez automatyczną sekretarkę, to pozwalało mu sądzić, że Janna zgodzi się na wszystko.

Energicznie zaparkował samochód, który wynajął na londyńskim lotnisku Heathrow. Wszedł po schodach do rezydencji, przeklinając siebie za to, że nie był na pogrzebie. Musisz wyglądać, jakbyś był bardzo zmęczony i przybity, powtarzał sobie, przeglądając się w lustrze w holu. Wymyślał wytłumaczenie swej nieobecności na uroczystości pogrzebowej. Byłem zajęty, zapracowany, przygotowywałem swoje wystąpienia na uniwersytetach... no i nie miałem chwili wolnej, by sięgnąć po gazetę czy włączyć telewizję... Byłem zajęty, tak, to najlepsze jego wytłumaczenie, ulubione... Poprawił włosy przed lustrem, uśmiechnął się zadowolony z siebie. Przypomniawszy sobie, jak w ostatniej chwili wyrwał się z ramion Annabelle, by złapać samolot do Waszyngtonu. Gdyby nie kupił po drodze gazety, byłby teraz w samolocie i nadal nie wiedział o śmierci seniora rodu Athertonów. Gdy czytał artykuł, zastanowiło go, dlaczego tak bardzo pośpieszono się z pogrzebem. Reginald zmarł w piątek wieczorem, a pogrzeb odbył się już w poniedziałek rano. Nie rozumiał, dlaczego Athertonowie nie wysłali kogoś ze służby, by go oficjalnie powiadomić o śmierci teścia. Wytłumaczył sobie jednak, że nie powiedział przecież,

kiedy dokładnie będzie wracał ze Stanów. Athertonowie sądzili zapewne, że nie ma go w Londynie.

Collis wszedł do wypełnionego gośćmi salonu. Nie widział wśród nich Janny. Po chwili zauważył Shadoe samotnie stojącą przy drzwiach balkonowych. Podszedł do niej i zagadnął:

— Gdzie jest Janna?

— W ogrodzie z rodziną.

Collis bez podziękowania odwrócił się i wyszedł do ogrodu. Nigdy nie ukrywał swej niechęci do Shadoe. Niezbyt pochwalał przyjaźń Janny z tą dziwną, rudą kobietą. Shadoe nie podejmowała żadnej decyzji, zanim nie poradziła się kart Tarota lub gwiazd. Potajemnie cenił ją jednak za inteligencję, spryt i kobiecą intuicję. Jej działalność handlową często dawał jako idealny przykład małego biznesu, w którym liczy się pomysłowość, wyczucie rynku i dobra organizacja.

Przeszedł obok fantazyjnie przyszyronych drzew i krzewów, aż wreszcie zobaczył członków rodziny Athertonów, a wśród nich Janne. Collis cały czas miał poczucie niższości w stosunku do nich wszystkich, dlatego chcąc się dowartościować, przypominał sobie, że choć jest bez pieniędzy, to ma jednak tytuł szlachecki. Podśmiewał się, że pierwszy lord Lyforthu otrzymał swój tytuł za męskość w łóżku, natomiast przodkowie Pembroke'ów zostali nagrodzeni tytułem za odwagę na polu bitwy.

Collis prawie biegł w kierunku Janny, która rozmawiała z ciotką Pithany.

— Kochanie, ja... — powiedział chcąc ją objąć. Janna odwróciła się do niego plecami. Łzy stanęły jej w oczach. Udała się w kierunku ogrodu elżbietańskiego. Ciotka minęła go ostentacyjnie bez żadnego słowa czy gestu. Nigdy się nie lubili, lecz zawsze starali się zachowywać wobec siebie poprawnie. Collis wyczuł, że coś było nie w porządku.

Zrobiło mu się gorąco. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło. To niemożliwe, ona nie wie o Annabelle... jest tylko zdenerwowana pogrzebem, rozdrażniona... Collis pobiegł za nią.

— Kochanie, bardzo mi przykro. Nie wiedziałem o śmierci twojego ojca. Cały czas byłem zajęty wykładami. Nie słuchałem radia, nie oglądałem telewizji i nie czytałem gazet. Skąd więc mogłem o tym wiedzieć?

Janna poprawiła kapelusz i spojrzała na męża wzrokiem tak zimnym i nieprzejednanym, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział.

— Przecież wiesz, jak mnie pochłania praca. Nie mam wtedy na nic czasu.

— Aha... więc powtarzałeś sobie odczyty?

— Tak, kochanie. — Czuł, że napięcie maleje.

— A moje telefony? Automatyczna sekretarka nic nie nagrała?

— Nie przesłuchałem taśmy. Wiesz, jaki byłem zajęty... przecież mnie znasz...

— Byłeś pochłonięty pracą, tak? Zbyt pochłonięty, by włączyć radio czy telewizor? Zbyt pochłonięty, by czytać gazety? Zbyt pochłonięty, by odebrać telefon?

Za każdym razem, gdy Janna zadawała pytanie, Collis jej przytakiwał.

— Kochanie, wiesz, jak mnie wciąga praca...

— Byłeś zajęty pracą i nie miałeś na nic innego czasu. Dobrze. Ale znalazłeś czas dla biuściastej, długowłosej blondynki, która ma „rzadki talent w dziedzinie finansów”.

Collisowi zaparło dech w piersiach. Poczul się tak, jakby został przez pomyłkę pochowany razem z Reginaldem sześć stóp pod powierzchnią ziemi. Janna musiała widzieć Annabelle. Wróciła zapewne wcześniej. Jak mógł być tak głupi i przyprowadzić jakąś kobietę do ich domu?

— Ona nic dla mnie nie znaczy. Jestem przywiązany do ciebie. Wiesz o tym.

— Tego nie wiem, ale wiem coś innego. Już od miesiący mnie zdradzasz. Ciągłe kłamałeś i kłamałeś. Gdy zadawałam ci jakieś pytania, powtarzałeś: „zwariowałaś, Janno?”, „nie bądź taka podejrzliwa”, „coś sobie ubzdurałaś”, „wymyślasz dziwne rzeczy”. W pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy nie jestem chora psychicznie.

Collis wiedział, że popełnił kilka błędów taktycznych. Śmierć ojca spowodowała, że Janna stała się bardziej wrażliwa i łatwiej było ją zranić. Jednocześnie bardziej go potrzebowała. Powinien był to wykorzystać, zwłaszcza teraz byłaby podatna na jego namowy i argumenty. Gdyby tylko go nie złapała na gorącym uczynku! Starał się znaleźć jakiś sposób odkupienia winy.

— Przepraszam, wybaczone. Byłem głupcem. Ale wiesz, jak to jest. Kobiety same wchodzi mi do łóżka. Ona się wprosiła, ja nie chciałem...

— Jutro składam pozew o rozwód — powiedziała beznamiętnym głosem Janna, tak jakby w ogóle nie słuchała jego żalonych tłumaczeń.

Collis chciał ją objąć, ale się odsunęła.

— Kochanie, nie rób tego...

— Nie mów do mnie „kochanie”. Wystarczająco długo byłam naiwna.

Collis patrzył, jak Janna odchodzi. Tę rundę przegrał. To nie ulegało wątpliwości.

Wolał nie kłócić się z nią, zwłaszcza teraz, gdy była w takim nastroju. Odczeka i zrobi wszystko, by zmienić jej postanowienie. Ona zawsze wracała do niego ze skruchą, zawsze. Teraz też tak będzie. On nie zrezygnuje tak łatwo z majątku Athertonów.

3.

Wieczorem, w dzień po pogrzebie, Warren siedział w bibliotece rezydencji Lyforth Hall. Ogromna sala wypełniona była książkami. Orzechowe regały ustawione pod wysokimi ścianami wypełniono najznakomitszymi pozycjami literatury angielskiej. Ród Athertonów dbał o zbiory biblioteczne. Zbierał pierwsze wydania wspaniałych dzieł angielskich i światowych twórców, jak również stare pisma, no i, oczywiście, współcześnie rzadko spotykane książki oprawione w skórę i inkrustowane złotem. Po przeciwnej stronie przez piękne kryształowe okna można było podziwiać rozległy ogród. W rogu pokoju umieszczono wiekowy kominek z wyrzeźbionym herbem Athertonów. Mały ogień rzucał blask na rząd regałów z książkami. Płomienie oświetlały zamyśloną twarz Warrena siedzącego za biurkiem i pochylonego nad książką. Zaniechał czytania i oparł się wygodnie o skórzaną oparcie fotela. Nie mógł zebrać myśli. Nienawidził takich sytuacji. Co prawda uspokoił się, gdy ciotka Pithany namówiła doktora Osgooda, by zrobiono tylko rutynową sekcję i wszystko szło pomyślnie, nawet pogrzeb można było uznać za udany. Gian Paolo też się na szczęście nie odzywał. Jednak pojawił się inny problem.

Nagle zadzwonił telefon. Warren ocknął się. Miał tylko nadzieję, że ten dźwięk nie oznacza nowych kłopotów.

— Sir — głos służącego zabrzmiał oficjalnie — panna Hunnicutt jest w pokoju gościnnym. Ma coś do przekazania hrabinie.

Warren miał wątpliwości, czy matka zechce przyjmować w takim stanie jakichkolwiek gości. Wczorajsze uroczystości pogrzebowe przeżyła tylko dzięki pomocy doktora Osgooda.

— Proszę skierować pannę Hunnicutt do biblioteki — odpowiedział.

Poprawił krawat i przeczesał szybko włosy. Najwyższy czas pójść do fryzjera, pomyślał. Drzwi otworzyły się i energicznym krokiem wmaszerowała Shadoe.

Miała na sobie obcisłe, sprane dzinsy, rudy sweter odrobinę jaśniejszy od jej włosów i męską marynarkę. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle. Warren przywitał ją uśmiechem i powiedział:

— Nie wiem, czy matka zechce cię przyjąć. Źle się czuje.

— Wiem. Ale ja mam dla niej prezent.

Warren nie zdążył spytać jaki, gdy Shadoc wyciągnęła spod marynarki jakąś dziwną, małą, puchatą kulkę, z której wynurzał się błyszczący, czarny nosek i para zdziwionych oczek. Piesek na czubku głowy miał zawiązaną kokardkę, by grzywka nie opadała mu na oczy.

— Maltańczyk?

— Tak. Twoja matka zawsze chciała mieć takiego psa.

Warren poczuł się trochę zawstydzony, że sam nie wpadł na ten pomysł. Audrey rzeczywiście chciała mieć maltańczyka, ale ojciec nie zgadzał się na psa, który nie potrafił polować na lisy.

— Zabierzmy go na górę — zaproponował Warren.

Weszli po schodach do apartamentu Audrey. Zapukali do drzwi. Służąca wpuściła ich do pokoju, uprzedzając, że matka nie najlepiej się czuje. Audrey miała głowę ułożoną wysoko na rozszywanych koronkami poduszkach, a włosy jak zawsze starannie uczesane w kok. Warren nie pamiętał, by matka kiedykolwiek inaczej była uczesana.

Audrey otworzyła smutne, zielone oczy.

— Czy doktor Osgood już przyszedł? — spytała zmęczonym głosem.

Warren sprawdził na zegarku godzinę. Doktor Osgood odwiedzał Audrey trzy razy dziennie.

— Lada chwila powinien nadejść. Przyszła natomiast Shadoc, ma dla ciebie prezent — powiedział, sięgając po jej dłoń.

Shadoc delikatnie chwyciła dłoń Warrena. Podeszła do łóżka i usiadła przy Audrey.

— To jest von Rommel — przedstawiła małego psa, kładąc go na kolanach chorej.

Audrey zainteresowała się małą kulką. Nie była pewna, czy to prawdziwy szczeniak, czy tylko zabawka. Jednak gdy mały, zaspany von Rommel ziewnął, pokazując swój maluteńki jak guziczek język, wszyscy się przekonali, że jest prawdziwy. Audrey uśmiechnęła się zaskoczona. Pierwszy raz od śmierci Reginalda na jej smutnej i wymizerowanej twarzy zawitał uśmiech.

— Cudowny, po prostu cudowny — mówiła, pieszcząc psiaka. — Dziś rano powiedziałam Pithany, że chciałabym mieć takiego psa, jak ma ona. Jej sunia miała małe i jednego sobie zamówiłam, ale zanim odbyłby kwarantannę i został przewieziony z Malty do Anglii, minęłoby ponad sześć miesięcy.

— Bardzo się cieszę, że go polubiłaś. Musisz się nim teraz zaopiekować. On ciebie potrzebuje — powiedziała Shadoe.

— Nie martw się. Będzie codziennie czesany i sama będę wyprowadzać go na spacer. Obiecuję.

Do sypialni Audrey wszedł doktor Osgood. Warren przyglądał się Shadoe. Był jej niezmiernie wdzięczny za to, że zrobiła matce tak miłą niespodziankę. Uważał Shadoe za najbardziej wrażliwą i uczuciową kobietę, jaką znał. Miała rzadki talent łagodzenia ludzkiego bólu.

— Ellis, spójrz — Audrey szepnęła do Osgooda, wskazując na śpiącego von Rommla.

— Widzę, że czujesz się lepiej.

— Tak, o wiele lepiej — odpowiedziała, tuląc do piersi szczeniaka.

Shadoe spojrzała znacząco na Warrena. Musiała już iść. Pożegnali się z Audrey i lekarzem, po czym zeszli do holu wyjściowego. Warren odprowadził Shadoe do samochodu. Jeździła małym austinem.

— To bardzo miłe, że pomyślałaś o matce. Bardzo jestem ci za to wdzięczny.

Shadoe nic nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na niego z przyjaznym uśmiechem. Jej spojrzenie tak oczarowało Warrena, że nie mógł oderwać od niej oczu. Dla dodania sobie pewności włożył ręce do kieszeni. Być może gdyby tego nie uczynił, odważyłby się na gest, którego pragnął od tak dawna. Marzył o tym, by objąć Shadoe, przytulić ją i poczuć zapach jej kobiecości.

— Janna potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek, pamiętaj o tym — powiedziała, wsiadając do samochodu. Odjeżdżając, pomachała mu na pożegnanie.

Warren śledził czerwone światła, dopóki nie zniknęły za kolejnym zakrętem. Shadoe potrafiła wszystko wyczuć. Miała wyjątkową intuicję. Domyślała się wielu rzeczy, zanim jeszcze stały się faktem. Jednej sprawy nie potrafiła jak dotąd rozgryźć. Wydawało się, że nie jest świadoma prawdziwych uczuć Warrena do siebie.

Warren wchodząc do pałacu, przypomniał sobie o sprawie, która zaprzętała jego myśli, zanim przysła Shadoe. Nie mógł zaakceptować tego, o czym się dowiedział, mimo że Peyton Gifford pokazał mu wszystkie zaświadczenia i dokumenty potwierdzające ten fakt. Komu jak komu, ale Giffordowi ufał. Już od czasów Napoleona seniorowie rodziny Giffordów byli doradcami prawnymi Athertonów i ta tradycja przechodziła z pokolenia na pokolenie. Trudno było znaleźć tak wyjątkowych prawników — uczciwych, lojalnych i, co najważniejsze, dyskretnych.

Warren wszedł po schodach na pierwsze piętro. Zjrzał do salonu muzycznego, w którym Janna przesiadywała od rana. Zawahał się przez moment. Nie był pewien, czy ma wystarczająco dużo odwagi, by przekazać siostrze tę niemiłą wiadomość. Może powinna porozmawiać z nią o tym osoba, która zna szczegóły, czyli ciotka Pithany. Przez te lata Pithany zżyła się z rodziną Athertonów, choć była rozdarta między Malta i Anglią. Zdawała się być zawsze pod ręką, służyć radą i pomocą. Ale tak nie będzie przecież zawsze, nadejdzie chwila, kiedy i ona będzie musiała odejść.

Sam musisz powiedzieć o tym wszystkim Jannie. Teraz ty jesteś głową rodu, powtarzał sobie w myślach Warren.

Wszedł do środka i zobaczył Janne wtuloną w wymoszczony poduszkami fotel. Słuchała swojego ulubionego zespołu. Ściany salonu muzycznego zapewne po raz pierwszy zaznały takiego szoku, pomyślał Warren. Dotychczas odbywały się tu koncerty muzyki klasycznej lub recitale znanych śpiewaków operowych, ale nigdy nie rozbrzmiewała tu muzyka nowoczesna z płyty, taśmy czy compact dysku. Instrumenty orkiestrowe ustawiono za szklaną szybą, zupełnie jak eksponaty muzealne. Były już tylko symbolem przeszłości.

Warren podszedł do siostry i wyłączył muzykę. Janna spojrzała zaniepokojona na brata. Poprosiła, by koło niej usiadł.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Był u nas pan Gifford.

— Może przyniósł mi papiery rozwodowe? Dzwoniłam dzisiaj rano do jego biura.

— Niezupełnie... Chodziło mu o testament. — Warren czuł zalewającą go falę gorąca, a na plecach dreszcze. Zawsze tak reagował, gdy był w kłopotliwej sytuacji.

— Chciał porozmawiać o testamencie, zanim zostanie oficjalnie odczytany — powiedział przytłumionym głosem.

— Rozumiem. — Janna nigdy nie troszczyła się o spadek, a zwłaszcza teraz, gdy przekonała się o dwulicowości męża. Po utracie ojca i Collisa czuła się oszukana, a w jej sercu zadomowiła się pustka. Wiedziała, że za pieniądze ani nie da się nikogo wskrzesić, ani kupić miłości.

Zapadła nerwowa cisza. Janna sądziła, że być może pojawiły się jakieś czysto formalne przeszkody, ale zaraz odrzuciła tę myśl, doradcą Reginalda był bowiem Collis.

— Janna... chciałbym, żebyś wiedziała, że bardzo cię kocham i nikt nie jest mi tak bliski jak ty.

Dopiero po tych słowach Janna zrozumiała, że musiało stać się coś poważnego. Warren nigdy dotąd nie użył w stosunku do niej słowa „kocham”. Byli rodzeństwem, które uszlachetniło więzy rodzinne miłością i przywiązaniem. Być może dlatego nie były potrzebne zapewnienia.

— Powiedz mi, co się stało — prosiła błagalnym głosem.

Warren zmarszczył czoło i wypowiedział to, w co sam nie mógł uwierzyć.

— Ojciec pominął cię w testamencie.

— Pominął? To znaczy, nic mi nie zapisał? Zupełnie nic? — Janna patrzyła na brata z niedowierzaniem.

— Zupełnie nic... ale tym się nie martw, ja się tobą zaopiekuję. Reginald miał ci zapisać udziały w nowym hotelu ciotki Pithany — dodał szybko, by odwieść Jannę od przykrych myśli.

— Nie. Wcale nie zamierzał tego uczynić. Nie chcę żadnych udziałów, gdyż nie życzył sobie tego ojciec. Jego wola powinna być spełniona. — Janna drżała ze zdenerwowania. W oczach stanęły jej łzy. Gorączkowo szukała w myślach wyjaśnienia tak surowej kary. Przecież fortuna Athertonów nie uległa pomniejszeniu. Majątek rodu, zarządzany przez ojca, prosperował doskonale, bez najmniejszych strat. Inne rodziny szlacheckie miały kłopoty finansowe, ale nie ród Athertonów. Reginald był nawet tak hojny, że zapisał służbie pewne sumy pieniędzy zabezpieczające ich na starość. Sowiec wynagrodził rodzinnych prawników i urzędników i tylko Bóg raczy wiedzieć, ile pieniędzy przeznaczył na cele charytatywne. Janna była pewna, że jako córka dostanie swoją część majątku. Oznaczałoby to, że ojciec myślał również o zabezpieczeniu jej przyszłości. Stało się jednak zupełnie inaczej. A dlaczego, mogła się tylko domyślać. — Nie zapisał mi ani pensa, bo wiedział, że odziedziczę majątek ciotki Pithany.

Ciotka Pithany oznajmiła przed laty, że Janna dostanie w spadku jej majątek, Warren bowiem miał przejąć, zgodnie z tradycją, posiadłości Athertonów. Takie wytłumaczenie wydawało się racjonalne. Jannę nurtowały jednak wątpliwości, czy aby coś innego nie skłoniło ojca do takiej decyzji.

— Nie, to nie tak, jak myślisz — powiedział Warren. Jego głos coraz bardziej cichł, twarz wyrażała niepokój i strach. Był cały spocony ze zdenerwowania. — Nie byłaś jego córką — przerwał okrutnie ciszę.

Nie byłaś jego córką. Nie byłaś jego córką. Nie byłaś jego córką. Te słowa dudniły jej w uszach. Starła się wszystko połączyć w sensowną całość, ale nie była w stanie.

— To znaczy... matka z innym mężczyzną... ja w to nie wierzę. Warren ujął jej rękę i mocno uściskał.

W zapadającym mroku nie widzieli dokładnie swoich twarzy. Jannie zdawało się, że brat ma łzy w oczach.

— Nie jesteś też córką matki. Athertonowie cię adoptowali.

— Adoptowali? To śmieszne. Spójrz na mnie. Wszyscy powtarzali, że jestem podobna do ciotki Pithany... — jej głos zadrżał — ...nie jestem wcale podobna, prawda?...

— Trochę tak, ale wiesz, jak to jest. Zawsze, za wszelką cenę chce się znaleźć jakieś podobieństwo... widzi się to, co się chce widzieć. Wszyscy w to uwierzyliśmy.

Janna nie mogła zebrać myśli. Po chwili milczenia spytała:

— Czy wiesz, kim byli moi prawdziwi rodzice?

— Twoja matka była Maltanką, a ojciec amerykańskim oficerem z NATO stacjonującym na Malcie.

— Amerykanin? — spytała Janna z obrzydzeniem w głosie.

— Tak.

— Niemożliwe — zaprzeczyła gwałtownie. Reginald Atherton uznawał Amerykanów za gorszych od Brytyjczyków. Ten pogląd udzielił się całej rodzinie. — Czy moi rodzice nadal żyją?

— Gifford nie jest pewien — odparł Warren. — Może ciotka Pithany będzie wiedzieć. Ona załatwiła adopcję.

— Ciotka Pithany?... Ale po co ojciec mnie adoptował, skoro miał już syna, ciebie? Na pewno adopcję załatwiono nielegalnie.

— Nie, wszystko od było się zgodnie z prawem. Widziałem dokumenty — zapewniał Warren.

— To znaczy, że wszyscy wiedzą, iż nie jestem prawdziwą Athertonówną. Przecież Audrey nie chodziła w ciąży.

— Nie. Nikt spoza rodziny o niczym nie wie. Matka po moim urodzeniu długo nie mogła dojść do siebie. Przechodziła poważne załamanie nerwowe, nie opuszczała domu i nikt nie wiedział, czy jest w ciąży. Chorowała przez ładne parę lat... Gifford powiedział mi, że jak się potem zjawiłaś, to nikomu nawet nie przyszło do głowy, że jesteś adoptowana. Wszyscy byli pewni, że jesteś córką Audrey i Reginalda. Janna nie mogła się uspokoić.

— Trudno mi w to uwierzyć, że ojciec mnie adoptował. Tak naprawdę, to on mnie nigdy nie chciał.

Teraz wydawało się Jannie zrozumiałe, dlaczego ojciec nigdy nie miał dla niej czasu, dlaczego jej nie kochał i nie zwracał na nią uwagi, pomimo jej nieustannych starań. Nigdy by jej nie pokochał, bo nie była jego córką.

— Gifford twierdzi, że ciotka Pithany przekonała go do adopcji.

Janna spojrzała na Warrena. On nie jest jej bratem, a to było o wiele bardziej bolesne niż fakt, że rodzice ją oddali i że mąż ją zdradził.

— Nie jestem twoją siostrą — szepnęła.

Warren spojrzał na nią. Jej przerażenie, strach i poczucie osamotnienia były aż nadto widoczne. Przytulił ją mocno i głaskał po plecach. Robił tak zawsze, gdy go potrzebowała. Pierwszy raz wtuliła się w jego ramiona jako sześciolatka, gdy spadła z kucyka, a ostatnim razem, gdy przyszła na pogrzeb Reginalda bez Collisa.

— Co ty wygadujesz. Jesteś moją siostrą. Kocham cię. I nic nie jest w stanie tego zmienić.

To masa pieniędzy, pomyślała Pithany, odkładając słuchawkę. Otrzymała rachunek za założenie systemu alarmowego na terenie jej posiadłości Falcon's Lair na Malcie. Opiewał na bardzo dużą sumę, ale dom wymagał takiego zabezpieczenia. Dwa dni przed wspólną kolacją w Paryżu z Audrey, Janną i baronem, z okazji otwarcia nowej wystawy, Pithany miała bardzo przykry wypadek. Jej znajomy, Trevor Prescott, zmarł na jej oczach na atak serca. Pojechała karetką pogotowia do szpitala, ale trud lekarzy, niestety, okazał się daremny. Młodego Prescottta nie udało się uratować. Gdy zrozpaczona wróciła do domu, spostrzegła, że ktoś włamał się do domku gościnnego, w którym mieszkał Trevor. Razem z zaufaną gospodynią, Clarą, przeszukiwały przez parę dni cały dom i nie zauważyły, by coś zginęło. Przejrzały także dokładnie rzeczy Trevora, ale nie miały pojęcia, co złodziej mógłby mu ukraść. Jego portfel i cenniejsze przedmioty pozostały nie ruszone. To tajemnicze włamanie nieraz zastanawiało Pithany.

Zrozum, dzisiejsza Malta to nie ta sama senna wyspa z czasów twojej młodości, powtarzała sobie Pithany. Nie mogła się jednak z tym pogodzić, że tyle się zmieniło. Na wyspie mieszkali i studiowali teraz liczni Libijczycy. A przecież ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że to właśnie libijscy terroryści byli odpowiedzialni za katastrofę samolotu PAN AM-u nad Lockerbie. Równie irytujący byli dla Pithany brytyjscy robotnicy, banda podejrzanych rozrabiaków, którzy traktowali wyspę jako przystanek na drodze do Libii, gdzie pracowali na polach naftowych. Ale najgorsi, tak uważała Pithany, byli niemieccy turyści zalegający plaże Malty, które jeszcze pięćdziesiąt lat temu tak bezlitośnie bombardowali.

Rodowici Maltańcy znali się między sobą bardzo dobrze i dokładnie wiedzieli, kto wśród nich jest obcy. Tworzyli rodzaj zamkniętej społeczności, broniąc się w ten sposób przed zewnętrznymi wpływami. Ponieważ wyspa była mała, przestrzegali określonego sposobu kojarzenia małżeństw w obrębie jednego rodu, co pozwoliło im przetrwać w nie zmienionej formie kulturowej.

Oblicze Malty zmieniło się jednak bezpowrotnie. Demoralizacja społeczna dotarła i do tego zakątka cywilizacji. Wskaźnik przestępczości, dawniej w ogóle nie istniejący, teraz rósł w zaskakującym tempie.

Pithany traktowała Malte jak swój dom. Przejmowała się wszystkim, co dotyczyło wyspy. Była jednak bardzo odporną kobietą, o silnym charakterze i niewyczerpanej energii.

Z zamyślenia wyrwało ją głośnie pukanie do drzwi. Wstała od biurka.

— Co się stało, Janno? — spytała zmartwiona, witając roztrzęsioną dziewczynę.

Śliwkowa sukienka Janny podkreślała chłód zielonych oczu. Wyczuwało się jej wrogie nastawienie do Pithany.

— Reginald pominął mnie w testamencie, ponieważ nie byłam jego dzieckiem. Dlaczego mi o tym nic nie powiedziałaś? — spytała rozzłoszczona.

— Nie zapisał ci nawet udziałów w hotelu Blue Grotto? Obiecywał mi... — Pithany była zaskoczona.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mnie adoptowano? — Janna powtórzyła pytanie wzburzonym głosem.

Pithany obawiała się tej rozmowy już w chwilę po urodzeniu się Janny.

— Chciałam ci powiedzieć, setki razy... ale obiecałam milczenie.

— Czy wiesz dokładnie, kim byli moi rodzice? — pytała Janna natarczywie.

Pithany pragnęła wyznać wreszcie całą prawdę. Ale Janna nie uwierzyłaby i mogłaby ją za wszystko obwiniać. Nie chciała narażać jej na kolejne rozczarowanie. Była świadoma, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo i dziewczyna straci do niej zaufanie. Teraz, w tych trudnych chwilach, Janna potrzebowała pomocy i miłości Pithany, a nie nowych problemów. Śmierć Reginalda, zdrada Collisa i wiadomość, że nie jest dzieckiem Athertonów wywołały u Janny nadwrażliwość. Gdy się już uspokoi i pewne rzeczy będzie potrafiła traktować z należnym dystansem i rezerwą, Pithany powie jej całą prawdę. Teraz miała za zadanie zaznajomić ją z kilkoma faktami.

— Owszem, znałam twoich rodziców — odpowiedziała po chwili milczenia.

— Znałaś. To znaczy, że już nie żyją? — Janna usiadła na sofie.

— Tak. Twój ojciec był oficerem NATO ze Stanów Zjednoczonych. Zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach podczas jakiegoś manewru. Nie zdążył się ożenić z twoją matką. Ona natomiast zmarła kilka lat temu wskutek wylewu.

— Nie miałam nawet najmniejszej szansy, by poznać własnych rodziców — szepnęła Janna z desperacją. Wybuchnęła płaczem. — Przecież moi rodzice musieli mieć jakichś krewnych. Z pewnością mam kuzynów albo...

Pithany usiadła koło niej i objęła ją ramieniem. Zdała sobie sprawę, że Janna była jedyną osobą, dla której byłaby w stanie zrobić wszystko, nawet zabić.

— Twoja matka, Gloria Attard, straciła całą rodzinę podczas wojny. Wychowywała się w klasztorze karmelitanek na Malcie. Twój ojciec był jedynakiem. Jego rodzice prawdopodobnie już nie żyją. Mogłybyśmy sprawdzić. Myślę, że masz tylko kilku dalekich kuzynów w Stanach. Wszystko było dokładnie sprawdzane przez Reginalda. Nie chciał, by po latach ktoś się zjawił i chciał im ciebie odebrać. — Pithany starała się być delikatna i ukazać wszystko w jak najlepszym świetle.

— Dlaczego moja matka mnie oddała? — spytała Janna z żalem w głosie. Pithany o mały włos się nie rozpląkała.

— Gloria nie mogła zapewnić ci takiego dostatniego życia jak Athertonowie.

— Przecież to by się dla mnie nie liczyło — Janna szlochała. — Czy matka kiedykolwiek o mnie pytała?

— Opuściła Maltę zaraz po twoich urodzinach. Dowiedziałam się przypadkowo od jednej z zakonnicek, która słyszała coś o niej, że zmarła. Nigdy nie wyszła za mąż, z tego co wiem.

W głowie Janny kłębiły się sprzeczne myśli. Nie wiedziała, jak ma ocenić swoją prawdziwą matkę i czy ma do tego prawo. Zawsze czuła się taka samotna, jakby zagubiona na tym świecie, a przecież wokół niej kręciło się tyle ludzi. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego tak się działo.

Po chwili zastanowienia spytała:

— W jaki sposób namówiłaś Athertonów, by mnie adoptowali?

— Audrey nie stanowiła przeszkody, zaraz się zgodziła. Musiała pojechać do kliniki w Szwajcarii, by się leczyć. Ja wiedziałam, że po narodzinach Warrena nie ma mowy o następnym dziecku, a Audrey tak marzyła o córce.

— A Reginald?

— Namówiłam go, by zrobił to dla Audrey. Bo widzisz, Audrey jest pod pewnym względem taka, jak nasz ojciec. On również cierpiał na stany chronicznej depresji. Dawniej nie było wiadomo, jak to leczyć. — Pithany sięgnęła po dłoń Janny. — Nigdy nie powiedziałam Audrey, że nasz ojciec popełnił samobójstwo. Kiedy zdałam sobie sprawę, że ona cierpi na to samo co i ojciec, jest to bowiem kwestia kodu genetycznego, zapewniłam jej pełną opiekę medyczną. Robiłam wszystko, by Audrey była szczęśliwa. Tak bardzo pragnęła mieć córkę.

— Wszyscy poświęciliśmy nasze życie, by uszczęśliwić Audrey — Janna powiedziała z wyrzutem.

— Nie oceniaj jej zbyt surowo. Teraz, gdy poznaliśmy prawdziwe oblicze Reginalda, łatwiej nam zrozumieć, że Audrey nie była z nim szczęśliwa. Bardzo się starała być dla ciebie dobrą matką.

— Wiem, robiła wszystko, by tak było. Ale ja zawsze czułam się bardziej związana z tobą... — Janna zawahała się przez chwilę. — Czy... gdyby oni nie chcieli mnie adoptować, ty byś to uczyniła?

— Oczywiście. Czy chciałabyś być moją córką? — spytała z obawą Pithany.

— Tak. Za każdym razem, gdy u ciebie mieszkałam, wyobrażałam sobie, że to mój dom, że ja mieszkam z tobą od zawsze i że nigdy nie będę musiała wyjeżdżać. Źle się czułam u Ather-tonów, bez względu na to, jak bardzo Warren starał mi się pomóc.

Pithany zamknęła oczy. To było dla niej bolesne.

— Wróc razem ze mną na Malte. Tak bardzo chciałabym, byś mieszkała w moim domu. Czeka na ciebie tyle pokoi. Całe Falcon's Lair jest dla ciebie. Nadszedł czas, byś się nauczyła prowadzić moje hotele.

— Ale nie mam prawa, nie jestem twoją siostrzenicą.

Serce Pithany zamarło. Starła się jednak, by Janna niczego nie zauważyła.

— Kiedyś chciałam poślubić pewnego młodego człowieka, ale wojna zniweczyła bezli-tośnie moje plany. Piętnaście lat później ty przyszedł na świat. Zawsze moje serce biło dla ciebie. Wszystkie hotele zbudowałam dla ciebie. Wierzyłam, że pewnego dnia przejmiesz je w swoje ręce. Ty jesteś córką, której nigdy nie miałam.

4.

Co za pech, pomyślał Nick Jensen. W Gold Muleshoe taka ulewa wypełniłaby już po brzegi wyschnięte koryto rzeki i wreszcie by się skończyła, a tu, na Malcie, zdaje się nie mieć końca. Wysuszone wapienne podłoże, będące podstawowym budulcem wyspy, wchłaniało potoczysty deszcz jak wyciśnięta gąbka. Deszcz lał już od dobrych paru godzin i wcale nie zamierzał przestać. W dodatku od pewnego czasu nie było dopływu prądu.

Nick zdjął słuchawki od walkmana. Chyba nadszedł czas, by zobaczyć, co porabia Millicent i trójka jej szczeniaków. Zerknął na zegarek. Była już dziesiąta trzydzieści. Pithany prosiła go, by zaopiekował się psami. Miał wyprowadzić suczkę Millicent o dziesiątej, Pithany zamierzała bowiem wrócić do domu dopiero po północy.

Cały dom pogrążony był w ciemnościach. Nick, starając się wyczuć, gdzie stąpa, przeszedł po omacku przez duży pokój do głównego wejścia. Trzy dni pobytu w posiadłości pani Crandall to było stanowczo za mało, by znać rozkład pokoi. Wiedział, że musi trafić do willi Pithany, która usytuowana była zaraz naprzeciwko domku gościnnego. Należało po drodze ominąć tylko basen i stoliki ustawione w ogródku. Słowo „willa” nie oddawało charakteru tego miejsca. To w zasadzie za mało powiedziane. Ten budynek był prawie jak pałac, a cała posiadłość Falcon's Lair była chyba większa niż jego rodzinne miasteczko Gold Muleshoe. To robiło na Nicku niesamowite wrażenie.

Wyjrzał przez oszklone drzwi i odechciało mu się gdziekolwiek wychodzić. Deszcz lał strumieniami. Nie było najmniejszej szansy na to, żeby w ciągu najbliższego kwadransa pogoda się zmieniła. Bezksiężycowa noc i rozszalały wiatr pogarszały i tak fatalną widoczność. Nick starał się wypatrzeć basen, ale nie był w stanie dostrzec nawet jego zarysów. Wściekał się na siebie, że nie przygotował wcześniej latarki. Przy swoim pechu, na pewno wpadnie do tego przeklętego basenu. A wszystko przez psa.

Szkoda, że nie zapytał pani Crandall, gdzie trzyma lampy awaryjne. Gdy odjeżdżała wczesnym popołudniem na brydża, Nick opalał się po kąpieli w basenie. Na niebie nie było wówczas ani jednej chmurki. Dwa tygodnie, które spędził na Malcie, były słoneczne i upalne. Typowa pogoda, powtarzali wszyscy. On jednak przeczuwał nadchodzący deszcz, choć wszystko wskazywało na piękną pogodę.

Malta przypominała mu znajome miejsca, ale nie był pewien skąd. Być może widział je w książce z rysunkami o królu Arturze, którą czytał jako mały chłopiec? Czuł się tu jak u siebie

w domu. Cała wyspa wydawała mu się dziwnie znajoma. Podziwiał z zapartym tchem kuszące plaże, tak kontrastujące z surowymi, kamiennymi murami i starym miastem z okresu średnio-wieczna. Brukowane kocimi łbami wąskie uliczki, stare domy sprzed stuleci — to wszystko tworzyło niepowtarzalną atmosferę.

Nick zdecydował, że dłużej nie może czekać. Deszcz i tak nie przestanie lać, a pies musi się załatwić. Przez tyle godzin był przecież zamknięty w domu. Narzucił na ramiona płaszcz i wyszedł. Przed drzwiami rozłożył parasol. Dużym łukiem obszedł basen, by przypadkiem do niego nie wpaść.

Tuż przed wejściem do willi potknął się o kamień i runął na ścianę budynku. Było ciemno, choć okol wykol. Jedną ręką oparł się o mur, a drugą starał się utrzymać parasol nad głową, zmagając się z silnym wiatrem. Po omacku szukał drzwi wejściowych. Coś było nie tak. Wydawało mu się, że po prawej stronie powinny znajdować się drzwi do kuchni i służbówki. Najwyraźniej je minął. W tym momencie Nick wdepnął w kałużę. Zaklął pod nosem.

Wreszcie znalazł drzwi i tak długo obracał kluczem w zamku, aż je otworzył. Millicent jak pocisk rzuciła się do wyjścia, depcząc mu stopy. Nie zdążył się nawet obejrzeć, a już zniknęła w ciemnościach ogrodu. Zamknął oszklone drzwi, by deszcz nie wdarł się do środka. Zrzucił z siebie płaszcz, po czym zdjął buty i skarpetki. Nie chciał brudzić podłogi. Miał nadzieję, że sunia jest wystarczająco sprytna, by po załatwieniu swoich potrzeb odnaleźć drogę do domu.

Gdzieś z oddali dochodził pisk szczeniaków. Z wyciągniętymi przed siebie rękami starał się trafić do pokoju, w którym Pithany trzymała ukochane maleństwa. Intuicja mówiła mu, że jest blisko. Trzy małe szczeniaki były przez ponad pięć godzin same. Już sobie wyobrażał zafajdaną podłogę.

Wszedł do kuchni i zajrzał do kilku szuflad, szukając latarki. Niestety, bez rezultatu. Nagle usłyszał drapanie w drzwi. Millicent wróciła ze spaceru. Gdy otworzył, sunia wbiegła do środka. Chciał ją podnieść i wytrzeć, ale zanim się schylił, Millicent otrzepała się psim zwyczajem od czubka nosa po koniec ogona, strząsając cały deszcz na Nicka, a następnie z podniesionym ogonem zniknęła w ciemnej kuchni.

— Niech to szlag! — przeklął. Należało zamknąć te drzwi, ale teraz było już i tak za późno. Przypomniawszy sobie, co mówiła mu Pithany. Millicent uciekała od swoich małych, jak tylko nadarzyła się okazja. Był to już szósty tydzień od ich urodzenia i okres macierzyństwa dla sukki się skończył. Szczeniaki zostały odstawione przez matkę. Millicent najwyraźniej miała ich

dosyć, skoro uciekała i chowała się przed nimi. Nick zupełnie nie wiedział, gdzie jej szukać. Przecież w tych ciemnościach nie było szans, by ją odnaleźć. Mimo to spróbował.

Przeklinając w duchu, przeszedł z kuchni do pokoju jadalnego. Rozważnie stapał po nieznanym terenie, jak dzikie zwierzę podczas polowania. W każdej chwili gotowy był zawołać „masz ciasteczko”. To był jedyny sposób, by zwabić Millicent. Całkiem niespodziewanie usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Mam szczęście, pomyślał. Sunia zrzuciła na pewno jakiś kryształ. Teraz przynajmniej wiedział, gdzie się znajduje.

Ufając swojej pamięci, starał się przypomnieć sobie rozkład pokoi. Sprawiało mu to jednak dużo trudności, był tu bowiem zaledwie raz, i to przez kilka minut. Pamiętał, że w willi jest foyer bez umeblowania, które prowadzi do salonu. Szybkim krokiem poszedł w tym kierunku. Nie był pewien czy to były dwa, czy trzy metry... trafił wreszcie do ogromnej sali, której rozmiary wyczuwał instynktownie.

Otworzył usta, by zawołać psa, ale, zaskoczony, nie mógł wydobyć z siebie słowa. Niespodziewanie zauważył, że coś poruszyło się mniej więcej w odległości kilku metrów od niego. Cień bynajmniej nie przypominał psa. To była postać ludzka. Nick dojrzał słabą smugę światła, a po chwili rozchyliły się zasłony i ktoś wsunął się przez okno do środka. Był pewien, że intruz wszedł, otwierając okiennice i wybijając jedną z szybek w szklanych drzwiach od strony ogrodu. Nick przywarł do ściany, by włamywacz go nie spostrzegł. Następnie ostrożnie podszedł kilka kroków. W ciemnościach nie mógł dokładnie ocenić, czy włamywacz jest niebezpieczny i czy ma broń. Zarysy postaci były słabo widoczne. Nick uważnie starał się śledzić ruchy włamywacza. Przypomniawszy sobie o tajemniczej kradzieży po śmierci Trevora, o której opowiedziała mu Pithany. Wówczas ktoś zakradł się do domku gościnnego.

Kiedy Nick pakował rzeczy przyjaciela, by je wysłać do Austina w Teksasie, zauważył, że brakuje minifaxu, którego Trevor często używał, a także aparatu fotograficznego. Malta była małą wyspą. Nick był przekonany, że to ten sam złodziej chciał teraz okraść willę Pithany. Tym razem nie uda mu się uciec.

Przyglądał mu się uważnie. Włamywacz miał mocno nasunięty na twarz kapelusz i ubrany był w prochowiec. W jednej ręce trzymał latarkę, a w drugiej coś podejrzanie długiego — jakiś nóż lub rewolwer. Nick obawiał się, że mężczyzna zapali zaraz latarkę i zobaczy go. Wówczas Nick byłby bez szans. Dlatego zdecydował, że sam go zaatakuje i pozbawi broni. Podjęcie decyzji trwało ułamek sekundy. Przebiegł szybko ostatnie kilka metrów dzielące go od intruza. Rzucił się na niego, przygniatając całym ciałem. Powalił go na podłogę. Metalowy

przedmiot upadł z hałasem. Nick obrócił przeciwnika twarzą do ziemi i przytrzymując go za ramiona, usiadł na nim okrakiem. Zamierzał wygiąć jego ręce do tyłu, kiedy nagle poczuł coś bardzo delikatnego i miękkiego, jakby kobiecą pierś. Zawahał się. Kobieta? Nie, to niemożliwe! O, Boże, tak, to kobieta, stwierdził z oburzeniem.

Starła się coś z siebie wydusić, ale złość hamowała jej słowa. Ledwo mogła złapać oddech po tej całej szamotaninie. Nick puścił jej ręce. Nie mógł sobie wyobrazić, że nawet kobiety zajmują się teraz włamywaniem do cudzych mieszkań. Potrafią być równie niebezpieczne jak mężczyźni.

Nieznajoma szarpnęła się, chcąc zrzucić Nicka i uwolnić się z jego uścisku. Podniosła lekko głowę i zaczęła mu krzyczeć prosto do ucha.

— Spokojnie, moja pani! — starał się ją uspokoić.

Spojrzała na niego z wściekłością. Zamierzyła się ręką, chcąc podrapać mu twarz. Zdołał w porę odchylić głowę, więc przejechała paznokciami po szyi od ucha aż po ramię.

— Tylko bez takich numerów! — wrzasnął na nią Nick.

Ich twarze były blisko siebie. Czuł jej nierówny oddech. Ona, chcąc zachować dystans, przewracała nieustannie głowę z boku na bok. Nagle wyrwała rękę z jego uścisku i pociągnęła go za włosy z siłą, jakiej nigdy nie spodziewałby się po tak szczupłej osobie. To zdenerwowało Nicka i szybkim ruchem złapał ją za gardło, udając, że chce ją udusić. Sądził, że w ten sposób ją nastraszy.

— Ty, spróbuj mi zrobić coś złego... — krzyknęła mu prosto w twarz.

Kobieta nie poddawała się. Następnym jej ruchem było mocne ugryzienie Nicka w nadgarstek. Z dziką zawziętością zatopiła w nim zęby. Ostry ból przeszył całe ramię Nicka. Nie dał jednak po sobie nic poznać. Nadal zaciskał dłonie na jej gardle. Nagle z przerażeniem stwierdził, że kobieta przestała się ruszać. Natychmiast ją puścił. Przecież nie trzymałem jej tak mocno, by ją udusić, pomyślał. Ona na pewno żyje. Strach wzmagił jego emocje. Nie mógł tak bezczynnie siedzieć na niej. Wstał i chcąc przykucnąć, potknął się i uderzył w stół stopą. Tym razem ból był tak nieznośny, że musiał mocno zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć.

Kobieta wykorzystała niezdarność Nicka i w tym momencie rzuciła się do ucieczki. Nick zerwał się i ruszył w pościg. Złapał ją za ramię i pociągnął do tyłu. Dziewczyna okładała go drobnymi pięściami, a on starał się chwycić jej ręce. Ostatecznie po krótkim starciu Nick utracił równowagę i oboje runęli na sofę. Miał tę przewagę, że był na niej.

— Proszę mi nic nie robić. Dam wszystko, co zechcesz, tylko mnie nie zabijaj... — prosiła błagalnym tonem.

Nickowi wydał się podejrzany jej brytyjski akcent.

— Zabić? Przecież ja ci nic nie zrobię. Uspokój się. Nie gryź mnie i przestań się szamać. Muszę zadzwonić na policję — powiedział zaskoczony Nick.

— Pan chce dzwonić na policję? — spytała jeszcze bardziej zdezorientowana.

— Pewnie. Przecież pani włamała się do tego domu. To nie może ujść na sucho. Nick podniósł się i trzymając jej rękę, starał się sięgnąć po telefon.

— Przecież ja tu mieszkam. Jestem...

— Ty tu mieszkasz? O czym ty gadasz? Włamałaś się i tyle.

— Dzwoniłam i dzwoniłam, i nikt nie otwierał. Sądziłam, że ciotka Pithany albo Clara tu będą — powiedziała drżącym głosem.

Ciotka Pithany? Clara? To gosposia, która akurat wyjechała z córką na weekend. Nick niczego nie rozumiał. Zdaje się, że niezle poturbowałem krewną pani Crandall, pomyślał zaniepokojony. Puścił jej rękę.

— A co z twoją bronią i dlaczego się włamałaś?

— Broń? Jaka broń? Masz na myśli ten mały pogrzebacz z ogrodu? Był mi potrzebny, by wybić szybę w oknie i wejść do środka. Tak strasznie padało, że bałam się wracać do miasta, gdzie ulice nie są oświetlone. Ciotka Pithany nie byłaby zadowolona, gdybym przesiedziała całą noc w samochodzie — powiedziała z wyrzutem.

— Kim ty jesteś?

— Księżna Janna Atherton-Pembroke. Pithany Crandall jest moją ciotką — przedstawiła się dumnie. Jej strach ustąpił miejsca większej niż zazwyczaj pewności siebie. — A kim pan jest? — spytała agresywnie.

— Nick Jensen. Wynajmuję domek gościnny. Pani ciotka wybrała się na partyjkę brydża. Poprosiła mnie, bym zajął się Millicent i szczeniakami.

— Czy jest w pana zwyczaju atakować niewinne kobiety? — spytała ironicznie Janna.

— Byłem przekonany, że ktoś chce dokonać kradzieży. Zostałem uprzedzony przez pani ciotkę. Nie opowiadała pani o włamaniu?

— Owszem, opowiadała. Ale...

— Skąd miałem wiedzieć, że to nie złodziej wchodzi przez okno?

— Tak, ma pan rację. Ciotka Pithany sądziła, że przyjadę dopiero pod koniec weekendu. Zatem nie wspomniała panu o moim przyjeździe — jej głos był wyjątkowo niemiły i szorstki. — Zatem, jeśli to już wszystko, pozwoli pan, że pójde do swojego pokoju — oznajmiła.

Nawet w tych niezgłębionych ciemnościach Janna bez najmniejszego problemu odnalazła drogę na piętro. Spędzała tu często wakacje, kiedy była jeszcze dzieckiem i znała na pamięć każdy kąt willi Falcon's Lair. Mimo starań, nadal nie mogła się całkiem uspokoić. Serce biło jej jak oszalałe, czuła ucisk w brzuchu. Nigdy dotąd nikt jej tak nie przestraszył. Była pewna, że ten nieznajomy chciał ją udusić. Zdarzyło się jej po raz pierwszy, że obcej osobie przedstawiła się wraz z tytułem. Użyła go jak tarczy ochronnej.

Zatrzymała się na schodach, by złapać oddech. Wciąż jeszcze czuła na szyi dłonie Nicka Jensena, a przed oczyma miała jego okropną twarz.

Zdawało jej się, że słyszy każdy krok Nicka na parterze. Janna przeszła przez pokój dzienny do swojej sypialni. Starła się uspokoić i wytłumaczyć sobie, że Nick Jensen nie jest niebezpiecznym mężczyzną i że nic jej nie grozi. Cały ten wypadek był przecież tylko niefortunną pomyłką, która mogła się źle dla kogoś skończyć. Mimo to wołała zamknąć pokój na klucz. Zrzuciła z siebie prochowiec. Załamana całym zajściem, zdenerwowana swoją niemocą i poczuciem słabości, położyła się na łóżku. Nie miała nawet ochoty się rozebrać. Dopiero teraz poczuła ból z tyłu głowy. Padając na posadzkę, nabiła sobie bolesnego guza.

Leżała w bezruchu na pościeli, przypominając sobie całe zajście. Była wściekła na siebie, że pozwoliła, by jakiś obcy mężczyzna tak ją sponiewierał. Traktowała to bardzo serio. Nigdy dotąd nikt się z nią tak nie obszedł. Nie brała pod uwagę możliwości, że postępowanie Nicka było usprawiedliwione. Nadal czuła jego dłoń na swej piersi. Chciała to wydarzenie wymazać z pamięci, ale jednocześnie ciągle powracała do niego myślami.

Ulewa nareszcie ustała. W sennym rytmie spadały ostatnie krople deszczu. Janna przymknęła oczy, starając się zrelaksować. Nawet nie zauważyła, jak bardzo jest zmęczona po podróży samolotem i incydencie z Nickiem. W końcu zasnęła.

Obudził ją ciężar na piersiach. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą... czarną, włochatą mordkę, która lizała ją po nosie.

— Millicent, gdzieś ty się podziewała? — Ucieszona przytuliła sunię.

Pies był przemoczony do ostatniego włoska. Janna podniosła go i trzymając kurczowo przy sobie zaniósła do łazienki, by osuszyć ręcznikiem. Zastanawiała się, co w zasadzie Nick

Jensen robił w tym domu, skoro nie zadbał jak należy o psa. Może przeszukiwał pokoje? Może chciał coś ukraść? Boże, w Falcon's Lair było tyle drogocennych przedmiotów, tyle obrazów.

Wytarła Millicent i otuliła suchym ręcznikiem. Gdy wróciła do sypialni, usłyszała wołanie Pithany.

Janna otworzyła drzwi:

— Ciociu Pithany, jestem u siebie w pokoju. Jest ze mną Millicent.

— Nie spodziewałam się ciebie już dzisiaj — powiedziała Pithany mile zaskoczona. Z jej głosu biła szczerą radość.

— Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Załatwiłam wszystkie sprawy i jestem do twojej dyspozycji. Mogę od jutra zacząć z tobą pracować — powiedziała uśmiechnięta na widok Pithany. W Londynie nic już jej nie trzymało.

Pithany weszła do sypialni Janny z dużą latarką w ręku.

— Och, jakaś ty mokra, gdzie się podziewałaś? — zwróciła się Pithany do psa. Janna usiadła na sofie i głośno westchnęła.

— Nick Jensen musiał ją wypuścić i potem o niej zapomnieć — stwierdziła z wyrzutem w głosie.

— Millicent prawdopodobnie mu uciekła — powiedziała Pithany, głaszcząc sunię.

Janna opisała ze wszystkimi szczegółami incydent, który zdarzył się godzinę temu na parterze.

— Nie ufam mu — podsumowała na koniec.

— Przecież to wszystko było nieporozumieniem. Nick w najlepszej wierze bronił mojej posiadłości, co dobrze o nim świadczy.

— Ale on chciał mnie udusić. Nie sądzisz, że to była przesada? — Janna tym razem nie pojmowała stanowiska ciotki. Zawsze mogła do niej przyjść, pożalić się, poskarżyć na najmniejsze zadrapanie. — Nie czuję się dobrze, mieszkając z tym mężczyzną pod jednym dachem. Ja się go boję — dodała, chcąc pozyskać Pithany.

Lecz to, co czuła, było czymś gorszym niż strach. Nick ją przerażał. W chwili kiedy wypowiedział pierwsze słowa, zorientowała się, że jego akcent jest jej znajomy. Czyżby go już wcześniej poznała? Niemożliwe.

— Jest taki... duży. Taki, taki... brzydki — powiedziała Janna z prawdziwym obrzydzeniem na twarzy.

— Brzydki? — ciotka Pithany uśmiechnęła się pod nosem. — No cóż, on chyba nie może tego zmienić. To nie jego wina, że tak wygląda. Liczy się, jaki jest w środku, najważniejsze, by był dobrym i szczerym człowiekiem.

Janna odebrała te słowa jako krytykę wymierzoną w Collisa. Ciotka Pithany nigdy za nim nie przepadała. Janna zauważyła to już na samym początku, ale przecież nie zakochała się w Collisie dlatego, że był przystojny. Sądziła, że kocha ją tak mocno, jak ona jego.

— Radzę ci nie mówić takich rzeczy o Nicku Jensenie. Potrzebujemy go — powiedziała poważnym głosem Pithany.

— A do czego on może być nam potrzebny? — spytała zaskoczona Janna.

— Czy rozmawiałś w ostatnich dniach z Warrenem?

— Nie. — Janna nie lubiła, kiedy Pithany miała tak poważną minę. To wróżyło tylko problemy. — Gian Paolo? — spytała po chwili.

— Tak. Zniknął bez śladu — odparła Pithany, ale Janna nadal nie wiedziała, co może mieć z tym wspólnego facet z Teksasu.

— Nasze modlitwy zostały wysłuchane — powiedziała półzartem Janna.

Pithany głaskała wilgotną jeszcze sierść Millicent. Po chwili zamyślenia spojrzała na siostrzenicę.

— Podczas oficjalnego odczytania testamentu Warren dowiedział się, że Reginald zapisał temu Gianowi Paolo bardzo wartościową rzecz.

W brzuchu Janny zaburczało ze zdenerwowania.

— Dlaczego prawnicy nie uprzedzili Warrena wcześniej? Na rozmowy o tym, że nie jestem córką Reginalda, nie żalowali czasu.

— Nie zauważyli. Reginald dokonał bardzo szczegółowego podziału spadku.

Odkąd zaczęły się te wszystkie niemiłe zdarzenia, Janna postanowiła nie oglądać się na swoją przeszłość. Zaczyna nowe życie i liczy się dla niej tylko przyszłość.

— Co zapisał mu Reginald?

— Trzydzieści pięć procent udziałów w sieci hoteli „Crandall”. Odsprzedałam Reginaldowi te udziały, by zyskać pieniądze na budowę Blue Grotto. Chciałam za jakiś czas je odkupić. Nigdy nie brałam pod uwagę możliwości, że on tak szybko umrze. A jeśli nawet, to byłam przekonana, że te udziały zapisze w spadku tobie. Tak obiecywał.

— Odkupię je od tego Giana. Warren udzieli mi pożyczki — powiedziała zirytowana Janna.

— Musimy najpierw odnaleźć Giana. A tymczasem bądź miła dla Nicka Jensena. On ma dwadzieścia procent udziałów.

— Dlaczego mu je sprzedawałaś? — spytała oburzona Janna.

— Nie jemu bezpośrednio. Były mi potrzebne pieniądze na budowę i miałam z tym spore trudności. Zbyt ryzykowne było branie kredytu z banku, który jest pod kontrolą Bradfordów. Poprosiłam Reginalda o pomoc, a dwadzieścia procent udziałów odsprzedalam Trevorowi Prescottowi. Nick Jensen jest jego spadkobiercą — tłumaczyła Pithany.

Janna nie miała okazji poznać sławnego Anthony'ego Bradforda, o którym wiele słyszała od ciotki. Wielki Tony był, jak tylko sięga pamięcią, jej największym rywalem. Posiadał spory majątek na Malcie, włącznie z hotelami, które konkurowały z hotelami Pithany.

— Obawiasz się, że Anthony Bradford wykupi udziały Giana i Nicka, by przejąć kontrolę nad twoimi hotelami? — domyśliła się Janna.

Ciotka Pithany tylko pokiwała głową. Po chwili dodała:

— Wprowadził do interesu swego syna, Curta. Postawili sprawę jasno. Nie spoczną, dopóki nie wejdą w posiadanie wszystkich hoteli na Malcie. Nie mogę dopuścić do utraty dorobku całego mojego życia.

— Nie martw się. Warren odnajdzie Giana i przekona go do sprzedania udziałów. A ja odzyskam dwadzieścia procent od Nicka Jensena.

Nick leżał na łóżku w domku gościnnym. Zostało już włączone światło. Nareszcie było coś widać. Podniósł się i poszedł do łazienki, by obejrzeć zadrapanie na szyi i miejsce po ugryzieniu w nadgarstek. No nie! Jutro w biurze wszyscy będą się zastanawiać, co on wyprawiał podczas weekendu. Jakby mało było podejrzeń. Lewą nogę miał lekko spuchniętą od uderzenia, gdy upadał na podłogę z Jej Książęcą Wysokością Janną. Na razie z cynizmem i rezerwą myślał o Jannie. Skąd mógł wiedzieć, że ona nie jest złodziejem, skoro wkradała się przez okno.

Przypomniał sobie, że pani Crandall wspominała mu o siostrzenicy, która w przyszłości miała zająć się jej interesami, ale nie skojarzył od razu, że to ta sama osoba. Pithany nazywała ją po prostu Janna, a ona przedstawiła się pretensjonalnie, wymieniając swój tytuł — księżna Janna... Nie mógł przestać o tym myśleć. Wydawało mu się, że bardzo często słyszał jej głos w swoich snach. Było to dla niego zbyt irracjonalne, by w to uwierzyć.

Podczas pobytu w Japonii, przez cały czas unikał kobiet z ambasady brytyjskiej. Wyglądały oczywiście jak prawdziwe Brytyjki, ale ich akcent przypominał Nickowi jego dawną nauczycielkę, panią Mooth. Była cholernie uszczypliwa i bardzo nie lubiana. Już pierwszego dnia

upatrzyła sobie Nicka i męczyła go przez cały rok. Koniecznie chciała nauczyć go brytyjskiej wymowy. Bez względu na to, jak miły starał się być dla niej i jak często się do niej uśmiechał, panna Mooth pozostawała oschła i bezwzględna.

— Lepiej jeśli będę mówił z tutejszym akcentem — powiedział do siebie na głos. Nick planował pozostanie na Malcie przez najbliższe sześć miesięcy. Warto było zatem dostosować się i uniknąć tym samym niepotrzebnych kłopotów. Na jego nieszczęście wszyscy na wyspie mówili po angielsku, ale z brytyjskim akcentem.

Zadzwonił telefon. Nick przeszedł do pokoju gościnnego, by podnieść słuchawkę. Któż to może dzwonić, jest już dawno po północy. Był pewien, że to pomyłka.

— Hallo! To ty Nick? — zabrzmiał męski głos z teksańskim akcentem.

— Austin. Jak leci, co u ciebie? — spytał Nick mile zaskoczony.

— Nie narzekam — odparł. Nawet przez telefon, mimo dobrego połączenia, wyczuwało się odległość.

— Posłuchaj. Na razie jeszcze nie znalazłem przyjaciółki Trevora. Nikt w biurze jej nie znał i nic o niej nie słyszał, pani Crandall też nie.

— Otrzymałem raport z sekcji zwłok.

Po tych słowach Austina zapadła cisza.

— To nie był zawał, prawda? — Nick zorientował się po głosie Austina.

— Nie. Stwierdzono truciznę.

— Co? — z niedowierzaniem krzyknął Nick.

— Twierdzą, że zjadł kwiat oleandra albo liście czy tam coś innego... cholera ich wie. Nie mam pojęcia.

— Trevor nie zjadłby oleandra! Dlaczego, u diabła, prokurator z Malty stwierdził zawał? — wrzasnął zdenerwowany Nick. Starał się zebrać myśli, ale nie mógł doszukać się sensu w tej całej historii, jakby żywcem wzięty z książki kryminalnej o tajemniczym morderstwie.

— Objawy są takie jak przy zawale. Ból w klatce piersiowej, niemożność oddychania — tłumaczył Austin.

— Przecież musi być... jakieś wytłumaczenie. — Nick bronił się przed myślą, że ktoś mógł zamordować Trevora.

— A co z tą panią Crandall, może ona...

Nie ma mowy, ona na pewno nie, pomyślał Nick. Tak mu podpowiadała intuicja. Po chwili przypomniał sobie dziwne zachowanie Pithany, gdy przyszedł do niej z wizytą po raz pierwszy. Mało brakowało, by sama dostała zawału na jego widok.

Dopiero gdy się dowiedziała, że będzie pracował tam gdzie Trevor, uspokoiła się. Nalegała, by zamieszkał w domku gościnnym i nie chciała przyjąć odmowy. Nick zastanawiał się, czy Pithany Crandall miała powody, by zamordować Trevora Prescottta?

5.

Nick zmarszczył brwi i pochylił głowę.

— Co pani podała na stół tamtego wieczora, gdy Trevor zmarł? — zwrócił się z pytaniem do Pithany.

— Przecież mówiłam ci już, gdy pierwszy raz do mnie przyszedłeś. Nic się nie mogło zmienić — odpowiedziała Pithany zmęczona tym samym pytaniem.

— Proszę zrobić to dla mnie i jeszcze raz wszystko powtórzyć, może coś pani przeoczyła.

— Trevor był zaproszony na herbatę, nie na kolację. Spóźnił się, co mnie zaskoczyło, zawsze bowiem był punktualny. Jako prawdziwy dżentelmen przyniósł mi prezent: małe słodki miód.

Nick nie był zdziwiony. Pamiętał, że Trevor nad życie lubił miód. Na śniadanie zawsze były tosty z miodem. Siostra, Amanda Jane, wciąż mu powtarzała, że się roztyje, jednak Trevor pozostał wierny swoim upodobaniom.

— Wypił filiżankę herbaty i do tego zjadł kilka łyżeczek miodu.

— Jakiego rodzaju była ta herbata?

— Z orchidei. Wypróbował wszystkie rodzaje, ale ta smakowała mu najbardziej.

Nick otrzymał te same odpowiedzi co za pierwszym razem. Pithany opisała tamten wieczór identycznie, bez najmniejszej różnicy.

— Czekaliśmy, aż Clara przyniesie tacę z kanapkami i deserem i wtedy złapał go ten ból...

— Czy to wszystko, co jadł? Na pewno? — Nick przerwał Pithany. Nie był na tyle silny, by kolejny raz słuchać, jak jego przyjaciel umierał w bólach. Czy Trevor wiedział, że umiera?

Czy wiedział, że ktoś go otruł? Nie mógł znieść myśli, że w ostatnich chwilach życia był taki bezbronny.

— Tak. Nic więcej nie jadł. Dlaczego pytasz kolejny raz? Czy coś się stało? — Pithany zaniepokoiła się.

— Trevor nie zmarł na atak serca, lecz został otruty. Oleandrem.

Wypowiadając te słowa — bacznie obserwował Pithany. Być może zareaguje jakoś wyjątkowo. Nic. Przyjęła to całkiem normalnie. Jej twarz wyrażała zaskoczenie. Po chwili zrobiła się blada.

— Nie, to niemożliwe. Jak to?

— Sądziłem, że pani mi coś wyjaśni. Czy powiedział, gdzie był i dlaczego się spóźnił?

— Nie. Ale myślę, że był na swojej łodzi. Zazwyczaj niedziele spędzał w porcie w klubie jachtowym.

— Czy wspominał kogoś lub coś? — Nick spytał, mając nadzieję, że wreszcie się czegoś dowie.

— Nie. Powtarzał, że zaraz poczuje się lepiej, że wszystko będzie w porządku. Jestem pewna, że nie wiedział, iż umiera. Nagle zamarł, przestał oddychać i wtedy jego serce się zatrzymało. Clara i ja próbowałyśmy go ratować, lecz...

Nick odczuwał wyrzuty sumienia. Gdzie ja się podziewałem, gdy on mnie potrzebował? — stawiał sobie kolejny raz to pytanie.

Roztrzęsiona Pithany kręciła wokół palca srebrną obrączkę z wygrawerowanym krzyżem maltańskim.

— Trevor był wyjątkowy. Czy mówił panu, jak się poznaliśmy? To było na przyjęciu w Auberge de Castile, siedzibie premiera. Gdy tylko mnie zauważył, zaraz poprosił mnie do tańca. W trakcie rozmowy dowiedziałam się, że poszukuje kwatery. Zaproponowałam mu, by zamieszkał w domku gościnnym.

Nick nie był tą opowieścią zaskoczony. Trevor zawsze starał się być miły dla ludzi i sprawiać im przyjemność. Im bardziej go ktoś potrzebował, tym lepszym przyjacielem okazywał się Trevor. Nick znał to z własnego doświadczenia.

Pół godziny przed swoim następnym spotkaniem podczas obiadu, Nick wybrał się do portu, do klubu jachtowego, by przyjrzeć się łodzi Trevora. Zacumowana była pod numerem 666. Godzinę wcześniej, zaraz po rozmowie z Pithany, poszedł do prefektury policji do Alberta Attarda, który prowadził sprawę Trevora. Okazało się, że otrzymał już zawiadomienie z Hou-

ston o wynikach powtórnej sekcji zwłok. Sprawa zamordowania Trevora Prescottta pozostała otwarta.

W porcie wypytywał się wszystkich, czy przypadkiem nie widzieli Trevora tamtego nieszczęsnego dnia. Jedynie kelner z baru „Korsarz” powiedział, że być może ten mężczyzna, którego zapamiętał, to Trevor, ale nie był pewien. Mało kto wśród członków klubu kojarzył jego imię.

I tym razem Nick nie był zaskoczony. Trevor, podobnie jak jego siostra, był spokojny, mało towarzyski i raczej nie rzucający się w oczy. Ale jako przyjaciel sprawdzał się w każdej sytuacji.

Nick dopiero teraz, będąc na Malcie, zaczął się zastanawiać, czy te cztery lata, które Trevor spędził na wyspie, były tak samo nudne, jak czas spędzony przez niego w Japonii. Powinni korespondować ze sobą, umawiać się na spotkania, dzwonić. Nic. Przez cztery lata obaj milczeli. Nick oglądał zacumowane jachty. Ich rozmiary oraz przepych mówiły, że na Malcie jest mnóstwo ludzi bogatych aż do nieprzyzwoitości. Niektóre były większe od domu jego matki w Gold Muleshoe. Nie musiał sprawdzać numeru przystani, by zorientować się, że to jacht Trevora. Nazywał się „Amanda Jane”. Był piękny i jak najbardziej zasługiwał na to imię. Jak inaczej można było nazwać taki cudowny jacht jak nie imieniem równie cudownej i pięknej kobiety. Oglądał go z wszystkich możliwych stron. Nie był tak okazały jak sąsiednie, ale było widać, że jest wartościowym nabytkiem w dobrym włoskim stylu. Złe myśli o przykrym zdarzeniu zastąpione zostały mimowolnie wspomnieniami z dawnych czasów. Przypomniał sobie, jak razem z Trevorem kupili motorówkę, by móc jeździć na nartach wodnych na jeziorze Howland. Nazwali ją „Zatopiony statek”, mimo że Amanda Jane ostro protestowała. Ale gdy usłyszała propozycję „Mokre marzenia”, zgodziła się na ich pierwotny wybór. Było wtedy tyle radości, śmiechu, tyle miłości. Teraz pozostał jedynie żal i smutek.

Nick postanowił trochę się rozejrzeć na jachcie. Może pozna imię przyjaciółki Trevora, którą widział na zdjęciu? Od razu skierował się do kabiny nawigacyjnej, by odnaleźć dziennik pokładowy kapitana. Niestety, nic takiego nie znalazł.

Dziennik pokładowy powinien zawierać informacje, kto brał udział w rejsie. W ten sposób mógłby poznać imię tej tajemniczej kobiety ze zdjęcia. Nick był ciekaw, czy to ta sama osoba zacierała za sobą wszystkie ślady; zabrała minifax, kamerę i dziennik pokładowy. Ktoś skutecznie zacierał ślady, które powiedziałyby mu coś bliższego o Trevorze. Usiadł w fotelu kapitańskim i patrzył na morze, skały. Najbardziej zachwycał go wysunięty cypel półwyspu,

otoczony wysokimi murami i budowlami obronnymi, pochodzącymi z czasów wypraw krzyżowych. Nick był jednak zbyt zaabsorbowany, by móc podziwiać wiekowe miasto La Valletta.

Zastanawiał się, kto i jakie miał powody, by otruć Trevora. Lokalna policja nie posunęła się daleko w swoim dochodzeniu. Skontaktowali się z pewnym ekspertem, który stwierdził, że trucizna z oleandra działa szybko. Wynikało z tego, że Trevor musiał zjeść coś, co zawierało truciznę albo w klubie jachtowym, albo u Pithany. Przeczucie mówiło mu, że to jednak nie u Pithany Crandall, choć prawie wszystko na to wskazywało.

Nie, to niemożliwe, przecież ona go bardzo lubiła.

A może to był wypadek, myślał zdezorientowany. To też jakieś wytłumaczenie. Może wpadł do jakiejś knajpki po drodze, by coś przekąsić, i całkiem przypadkowo został otruty. Nie, to niepoważne wytłumaczenie. Zresztą po co miałby się gdziekolwiek zatrzymywać, jeśli jechał do Pithany na herbatę i małą kolację. A poza tym, Trevor nigdy się nie spóźniał, zatem zatrzymało go coś lub ktoś bez jego woli. Do diabła! Ta sprawa nie dawała Nickowi spokoju. Czy nie mógł wymyślić już nic innego?

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, ile czasu spędził na jachcie. Dopiero rozkołysane morze wyrwało Nicka z zamyślenia, gdy poruszyło mocniej „Amandą Jane”. Fale pochodziły od łodzi-taksówek, zwracających uwagę swym nietypowym kształtem i jaskrawymi kolorami kadłubów. Przypominały bardziej gondole niż zwykłe rybackie łodzie. Wiedział od Pithany, że są one wzorowane na starych łodziach fenickich, budowanych przez pierwszych osadników na Malcie. Na każdej burcie widniało groźne oko surowo spoglądające na morskie fale. Było to oko boga Ozyrysa odstraszać złe moce.

Nick czuł się bezradny. Nie wiedział co dalej. Gdzie ma szukać? Kogo pytać? Gdzie był Ozyrys, gdy Trevor go potrzebował?

Zerknął na zegarek. Już był spóźniony na obiad z Curtem Bradfordem. Szybko zszedł z pokładu i podbiegł do jednego ze statków zaopatrzeniowych, który miał płynąć do zakotwiczonej w zatoce łodzi Bradforda. Marynarz pomógł mu wejść na pokład.

Nick patrzył na „Amandę Jane” i zastanawiał się, dlaczego Curt Bradford chce się z nim spotkać. Z kartoteki koncernu Imperial Cola dowiedział się, że rodzina Bradfordów jest jedną z najbogatszych i najbardziej wpływowych na Malcie. Oprócz dużej sieci hoteli posiada jeszcze kilka przedsiębiorstw przemysłowych. Jest także związana, poprzez joint venture, z koncernem Imperial Cola. To było zastanawiające, że Bradford, biznesmen takiego formatu, chce się spotkać akurat z nim, Nickiem Jensenem, przeciętnym urzędnikiem koncernu Imperial Cola. Po

chwili uznał jednak swoje podejrzenia za złe przyzwyczajenie przywiezione z Japonii. Tam każde zaproszenie miało służbowy charakter, a celem spotkania było omawianie problemów firmy, dla której się pracowało.

Mimo iż Nick był na wyspie zaledwie dwa tygodnie, zauważył u Maltańczyków pewną stałą cechę. Działali, jak by to określili teksańczycy, po meksykańsku, to znaczy szybko i bez większego zastanowienia. Porównując to z japońską dyscypliną, trudno było znaleźć jakieś podobieństwo.

Motorówka zbliżała się do jachtu Bradfordów o nazwie „Śpiew syreny”. Był tak ogromny, że Nickowi zaparło dech. Na pierwszym pokładzie, wokół dużego basenu z namalowaną na dnie złotą syreną, stały krzesła, leżaki i stoliki. Po wejściu na pokład spostrzegł od razu, że wszędzie jest sterylnie czysto, aż do przesady. Dwaj marynarze zaprowadzili go do jadalni, której okna wychodziły na basen i poprosili, by zaczekał na gospodarza.

Środek pomieszczenia zajmował ogromny stół dla co najmniej dwóch tuzinów gości. Błat stołu był zrobiony z dużej, owalnej, szklanej płyty, podtrzymywanej przez połączoną rzeźbę w kształcie syreny. Krzesła wokół stołu miały rzeźbione oparcia z kości słoniowej przedstawiające również syreny. Nick rozejrzał się po salonie i stwierdził, że wszystkie przedmioty tu zgromadzone przedstawiają w najróżniejszy sposób to bóstwo wodne. Na ścianach delikatnie rysowały się kształty syren, obrzeża luster tworzyły łańcuszek splecionych syren, a nawet szklanki i zastawa stołowa ozdobione były ich postaciami. Po prostu ktoś miał pomysł i dużo, zbyt dużo pieniędzy, ale niestety nie miał gustu.

Nick przyglądał się majtkom, którzy nieustannie czyścili pokład wokół basenu. Zastanawiał się, czy nie kazano mu czekać umyślnie. Po chwili jednak zreflektował się. Przecież nie był w Japonii, gdzie niepunktualność jest wyrazem lekceważenia. Podszedł do baru i akurat zdążył sobie przyrządzić koktajl Bushwackera, kiedy usłyszał gruby, męski głos.

— Przepraszam, że kazałem panu na siebie czekać, ale zatrzymała mnie bardzo ważna konferencja telefoniczna z moimi ludźmi w Paryżu, Wiedniu, Nowym Jorku, Londynie i Hongkongu.

W drzwiach stał silnie zbudowany brunet. Nick ocenił go na trzydzieści pięć lat. Był więc młodszy od niego.

— Jestem Curt Bradford — powiedział, podając rękę.

— Nick Jensen — odparł, ściskając jego dłoń.

Przyglądając się Bradfordowi, doszedł do wniosku, że większość kobiet uznałaby go za bardzo atrakcyjnego i przystojnego mężczyznę. Było w nim jednak coś, co budziło w Nicku niepokój. Curt miał zbyt idealną powierzchowność, nic dodać, nic ująć. Uroda i przesadna dbałość o wygląd budziły w Nicku irracjonalną podejrzliwość. Idealnie zrobiony manikiur, starannie przystrzyżone włosy, świeża koszulka mimo upału, dobrze zbudowana sylwetka i filmowy uśmiech, to wszystko sprawiało jak najkorzystniejsze wrażenie. Nicka zastanawiało jednak, czy osobowość Curta Bradforda jest równie idealna i nieskazitelna co wygląd. Nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie mężczyzn, którzy ubierali się jak manekiny na wystawie sklepowej lub modele podczas rewii mody. Sposób, w jaki Curt nalał sobie kieliszek białego wina, oraz to, że co chwila zerkał w lustro, by podziwiać swoje oblicze, umocniły podejrzliwość Nicka.

— Czy to twój pierwszy kontrakt tego typu? — spytał Curt, gdy siadali do obiadu.

— Tak — odparł Nick.

Szybko zorientował się, że to pytanie było tylko z pozoru grzecznościowe. Curt przecież niejednemu raz negocjował z różnymi koncernami, także z Imperial Cola. Wiedział zatem o zasadzie, że menedżer musi odbyć najpierw staż w kraju, a dopiero potem może być wysłany na kilkuletni kontrakt za granicę. Czemu więc pytał o rzeczy oczywiste? Może umyślnie? Bradford zastanawiał się na pewno, dlaczego Nick bez odpowiednio długiego stażu został przysłany na Malte.

Curt kiwnął na kelnera, by napełnił kieliszek Nicka.

— To wino ze specjalnych zbiorów, z winiarni Bradfordów, oczywiście. Są na zachód od Valletty.

— Rzeczywiście wyborne — przyznał Nick.

— Pan uprawia żeglarstwo? — spytał Curt, jak by to było oczywiste. Gdy Nick zaprzeczył, dodał zaskoczony: — Wobec tego musi pan koniecznie wypłynąć ze mną na otwarte morze, to pana nauczę. Mam dużą, zgrabną żaglówkę. Nazywa się „Śmiercionośna broń”. Przygotowuję się właśnie do regat „Downwind”, które odbędą się za miesiąc.

— Chętnie, to może być zabawne — odparł Nick trochę zirytowany natarczywym tonem.

Kelnerzy podali przystawkę. Nick obserwując Bradforda doszedł do wniosku, że został zaproszony w konkretnym celu. Bynajmniej nie po to, by pobierać lekcje żeglowania. Bradford chciał może uzyskać jakieś informacje, może mu coś zaproponować albo po prostu go sprawdzić. Regaty jachtowe pochłaniały zapewne więcej pieniędzy, niż Nick mógłby zarobić przez całe życie. Zatem po co ten facet sprawiał sobie kłopot i proponował naukę żeglarstwa amato-

rowi? Bradford należał do Królewskiego Klubu Jachtowego, którego członkami były koronowane głowy krajów europejskich, potentaci handlowi z Grecji i niemieccy przemysłowcy. Curtowi nie brakowało zatem doborowego towarzystwa podczas żeglowania.

— Oto cassoulet z fenek i fagioli — powiedział Curt, wskazując na podane danie. — To nasza narodowa potrawa.

— Narodowa? To dlaczego nazywacie to cassoulet, przecież to francuska nazwa.

Curt spojrzał zaskoczony na Nicka.

— Najczęściej w menu określane jest to jako gulasz — odparł lekko urażony.

Nick spróbował potrawy. Myślał jedynie o tym, czy nie obraził Bradforda. Nigdy nie wiadomo, jak on może zareagować na jakąkolwiek uwagę, ale raczej niezbyt przychylnie.

Nick musiał się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. Przede wszystkim tego, że nie zawsze wypada mówić to, co się myśli. Zarząd koncernu Imperial Cola wymagał, by pracownicy, zwłaszcza na bardziej prestiżowych stanowiskach, dbali o kontakty z elitą kraju, w którym pracowali. Należało zaznajomić się z lokalną kulturą, przystosować do tradycji i obowiązujących zasad. Był to sposób na uniknięcie wielu problemów. Liczył się przede wszystkim interes firmy.

— Gulasz czy cassoulet to obojętne. A co kryje się pod tą nazwą? Co oznacza fenek i fa... — spytał Nick, wkładając kolejny kęs do ust. — To bardzo smaczne.

— Fagioli. Fagioli to maltańska odmiana fasoli, a fenek to zając — odparł zdawkowo Curt. Po chwili milczenia dodał: — W następną sobotę wydajemy przyjęcie w naszej willi Mdi-na, by uczcić dzień świętego Krzysztofa. Chciałbym, by pan poznał mojego ojca.

— Bardzo chętnie, dziękuję za zaproszenie. To dla mnie zaszczyt — powiedział Nick, wybierając z talerza tylko warzywa, a zostawiając mięso.

— Pan był bliskim przyjacielem Trevora Prescottta, nieprawdaż? Co za tragedia, taki młody człowiek — powiedział z nieszczerym współczuciem Curt.

Przecucie nie myliło Nicka. Skoro Curt wiedział o bliskiej przyjaźni z Trevorem, zatem zasięgnął dokładniejszych informacji na jego temat. Nick chciał to wykorzystać.

— Czy pan dobrze znał Trevora? — zapytał.

— Nie tak dobrze, jak bym chciał, ale poznaliśmy się. Poręczyłem za niego i w zasadzie załatwiłem mu członkostwo w Królewskim Klubie Jachtowym. Zazwyczaj procedura przyjęcia do klubu trwa kilka lat, a ja skróciłem ją do sześciu miesięcy.

Dlaczego Bradford załatwił to Trevorowi, skoro nawet dobrze się nie znali — zastanawiał się Nick.

— Czy poznał pan może dziewczynę Trevora? Curt przejrzał się ponownie w lustrze i odparł:

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Tak tylko. Słyszałem, że miał dziewczynę, ale nie udało mi się jej odnaleźć.

— A czemu pan chce ją odnaleźć? — spytał zaskoczony Curt.

— Widzi pan, Trevor nie zmarł na atak serca. Został otruty bardzo tajemniczą trucizną z oleandra. Jestem pewien, że to było morderstwo. Gdybym odnalazł tę dziewczynę, może mogłaby mi odpowiedzieć na kilka pytań. Pan rozumie, że jako przyjacielowi Prescottta zależy mi na wyjaśnieniu tej sprawy.

— Zamordowany? — spytał z niedowierzaniem Bradford. Patrzył przerażony na Nicka.

— Wątpię w to. To był na pewno jakiś nieszczęśliwy wypadek.

Curt znów przejrzał się w lustrze. Nick cały czas przyglądał się bacznie Bradfordowi. Narcyz, pomyślał z obrzydzeniem.

— Nie sądzę, by ktoś przez pomyłkę zjadł truciznę z oleandra — zauważył Nick.

— Tak, chyba ma pan rację. Ale nie rozumiem, kto mógłby otruć Trevora, jaki miałby w tym interes? — Curt wypowiedział te słowa bez większego przekonania i dał znak kelnerom, by uprzątnęli stół.

Nicka nurtowało pytanie, dlaczego Curt interesował się Trevorem. Przyglądał się, jak Curt delikatnie nabiera mrożony krem czekoladowy na łyżeczkę, a potem wsuwa ją do ust. Deser był najlepszy z całego obiadu, po prostu bez żadnych uduwnień. Nick miał przeczucie, że Curt Bradford wie więcej, niż mówi.

Curt dostojnie wytarł usta w bawełnianą serwetkę. Spojrzał na Nicka poważnym wzrokiem, jakby chciał zrobić na nim wrażenie.

— Sądzę, że powinieneś wiedzieć, iż zawarłem z Trevorem pewną umowę krótko przed jego śmiercią — zwrócił się do Nicka per „ty”.

Nick wiedział już teraz, że to było powodem zaproszenia na obiad. Co jak co, ale tego się nie spodziewał. Nie sądził, że Curt będzie rozmawiał z nim o sprawach Trevora.

— Hm... — Dał do zrozumienia Curtowi, że nic o tym nie wie.

— Trevor zgodził się na sprzedaż swoich udziałów w Blue Grotto Corporation, która buduje hotel — zaczął wyjaśniać Bradford.

Intuicja Nicka podpowiedziała mu, że Bradford kłamie. Skąd on, u licha, wiedział, że to właśnie Nick dostał w spadku te udziały.

— Czy zostały podpisane jakieś dokumenty?

— Nie. To była dżentelmeńska umowa — odparł Curt.

Ale łgarz, pomyślał Nick.

— To dobrze, bo ja nie zamierzam ich sprzedawać.

Bradforda zatkało. Starał się ukryć zaskoczenie. Udawał, że na kupnie tych udziałów aż tak bardzo mu nie zależy. Sądził zapewne, że Nick będzie łatwym przeciwnikiem, a okazało się, że jest wręcz przeciwnie. Curt jednak się nie poddał.

— Wiesz, o jaką sumę chodzi? O ponad trzy miliony lirów maltańskich, to jest mniej więcej milion dolarów.

Może kiedyś taka suma zrobiłaby na Nicku wrażenie, ale nie teraz, gdy w grę wchodziły udziały Trevora.

— Jestem w stanie podnieść stawkę — dodał po chwili Curt — powiedzmy o dziesięć procent?

— Pozwól mi się nad tym zastanowić.

— Bądź pewien, że podbiję każdą sumę proponowaną przez kogoś innego. Wystarczy tylko, że mi ją podasz, a od ręki dostaniesz pieniądze.

Ta rozmowa w pełni uświadomiła Nickowi, z kim ma do czynienia. Pracując dla koncernu Imperial Cola, poznał wielu bogatych ludzi. Dzielili się oni na tak zwane grube ryby i na bezwzględne rekiny. Różnica między nimi była zasadnicza. Curt Bradford należał z całą pewnością do tych drugich.

Curt Bradford odprowadzał wzrokiem odpływającego na motorówce Nicka Jensena. Przeklęty teksańczyk liczy na więcej forsy. Co za skurwysyn! Na pewno ta dziwka Pithany Crandall już z nim rozmawiała i zaproponowała większą sumę. Trudno, wojna będzie trwać nadal, sama tego chciałaś, myślał rozzłoszczony Curt. Muszę powiedzieć ojcu, że sprawa nie wygląda tak różowo, jak sądziliśmy, mówił do siebie na głos. Ten Nick Jensen jest kompletnym idiotą, skoro wypina się na taką forszę. Niech nie myśli, że Crandall da mu więcej, Bradfordowie zawsze ją przebijają.

— Nie martw się tym tak bardzo, coś wymyślimy — pocieszała go Rhonda. Zaprowadziła Curta do kajuty i zamknęła drzwi na klucz. — To była dopiero pierwsza runda — dodała.

Młody Bradford usiadł wygodnie na kanapie. Dlaczego ten przeklęty teksańczyk nie przyjął propozycji, przecież nikt nie zapłaci mu więcej za te udziały. Obawiał się spotkania z ojcem. Jak się przed nim wytłumaczy z nieudanej misji? Curt znał ojca i dobrze wiedział, że

czeka go ciężka przeprawa. Senior rodu pogrzebie go jednym spojrzeniem, a potem wygłosi mu kilkugodzinną reprimendę. Zmiesza go z błotem i wyzwie od playboyów, którzy nic, poza dbaniem o własną dupę, nie potrafią. Na koniec, jak to zwykle bywało, ojciec stwierdzi, że Curt nie nadaje się do przejęcia fortuny Bradfordów.

Każdą porażkę młody Bradford przeżywał podwójnie: jako osobistą klęskę, ale przede wszystkim cierpiał dlatego, że nie spełniał oczekiwań ojca. Nienawidził wysłuchiwać poniżających go kazań papy.

— Co myślisz o tym Nicku Jensenie? — spytał Curt.

Rhonda usiadła koło niego na sofie i objęła go ramieniem.

Już od lat Bradfordowie wykorzystywali podwójne lustro w jadalni do podglądania gości. Był to sprytny i jednocześnie niezawodny sposób, by dowiedzieć się, co mówią i jak się zachowują, gdy sądzą, że są sami.

— Myślę, że można go łatwo owinąć wokół palca — szepnęła mu do ucha, mimo iż byli sami w kajucie. — Czy zauważyłeś jego długie nogi. Już widzę, jak oplata nimi moje...

— Przestań, jesteś wulgarna — przerwał Curt.

— Oczywiście — odparła Rhonda, liżąc mu czubkiem języka ucho i wkładając jego rękę między swoje uda.

Curt drażnił delikatną skórę jej smukłych nóg. Wiedział, że jeśli posunie dłoń wyżej, przekona się po raz kolejny, że Rhonda jest bez bielizny. Nigdy nie nosiła majtek. Czasami się zastanawiał, czy miała choć jedną parę. Dotykał jej rozpalonych ud. Rhonda wzdychała. Odrzuciła głowę do tyłu, a Curt pocałował ją w szyję, potem muskał jej ramiona. Po chwili rozpiął bluzkę i zaczął pieścić delikatnie jej piersi. Intensywne perfumy dziewczyny podniecały go nawet bardziej niż gładka, opalona skóra. Curt całował jej usta, policzki, czoło. Prawie bierna postawa partnerki należała do gry. On był jej panem i mógł robić z nią, co zechciał, a ona godziła się na wszystko. Była jego kochanką na każde skinienie.

— No więc, co myślisz o Nicku Jensenie? — spytał ponownie Curt. Rhonda zaśmiała się pretensjonalnie.

— Nie martw się, dostaniemy te udziały.

Przesunął rękę tam, gdzie powinien natrafić na majtki. Wślizgnął się palcami do pochwy i zaczął nimi rytmicznie poruszać. Dziewczyna jęknęła i powoli oblizwała usta. Miała na wprost przymknięte oczy.

— Bądź spokojny, ja się nim zajmę, dla ciebie — szepnęła mu do ucha.

Janna zatrzymała się na półpiętrze. Jej myśli ciągle jeszcze błądziły wokół Nicka Jensena. Wcale nie miała ochoty na kolację w jego towarzystwie. Z jadalni dobiegał charakterystyczny głos. Ciągle wydawało jej się, że zna ten teksański akcent, chociaż była pewna, że nie ma w Teksasie żadnych znajomych czy przyjaciół.

Jakby wbrew własnej woli przypomniawszy sobie jego ciało przygniatające jej biodra, dłoń ściskającą jej krtań i obrzydliwą twarz pochyloną nad nią. Wzięła głęboki oddech i starała się pamiętać, że to była pomyłka, niefortunny wypadek. Najistotniejszą sprawą było odzyskanie udziałów zarówno od Nicka Jensena, jak i od tego przeklętego Włocha Giana.

Wydawało jej się, że jest przygotowana na rozmowę z Nickiem. Chciała być jak najmiłsza dla niego. Z uśmiechem na twarzy weszła do jadalni. Nick wstał jak prawdziwy dżentelmen i przywitał ją ukłonem. Był od niej o pół głowy wyższy.

— Hello — powiedział ze swoim teksańskim akcentem.

— Hello — odpowiedziała Janna zdumiona jego urodą. Spodziewała się zobaczyć brzydkie kaczątko w męskim wydaniu. Z daleka wydawało się, że Nick ma zielone oczy, ale w rzeczywistości były ciemnoniebieskie. Takich nigdy jeszcze nie widziała. Miał piękne czarne włosy zaczesane do tyłu.

— Chciałbym przeprosić za wczorajszy wieczór. Czy nie zrobiłem pani krzywdy? Janna tylko przecząco pokręciła głową. Zauważyła zadrapanie na jego szyi.

— Przepraszam, ja pana chyba dość mocno podrapałam. Przykro mi, byłam bardzo wystraszona.

Nick uśmiechnął się do niej.

— Nic się nie stało — odparł.

Janna odwzajemniła uśmiech i podeszła do barku. Zastanawiała się, skąd przyszło jej do głowy, że on jest odpychający. Było przecież ciemno tego wieczoru i prawie nic nie widziała. Nalała sobie ginu z tonikiem i usiadła koło Pithany na sofie.

Podczas gdy Pithany objaśniała im zasady działania urządzenia alarmowego, które miało być zainstalowane w przyszłym tygodniu, Nick obserwował każdy gest Janny. Odnosił wrażenie, że kogoś mu przypomina. No tak, oczywiście, panią Pithany Crandall. Janna stanowiła portret młodej Pithany. W twarzy dominowały zielone oczy. Zestarzeje się z pewnością równie szlachetnie jak pani Crandall. Jej blond włosy stopniowo będą przechodzić w srebrnosiwe, ale figura pozostanie nadal zgrabna.

Mimo miłej aparycji Nick nie wzbudzał w Jannie zaufania. Patrzyła na niego podejrzliwie jak na największego wroga. Była uprzedzona do tego stopnia, że jego uśmiech, który jeszcze przed chwilą ją zachwycał, teraz wydawał jej się obłudny.

Nick skojarzył Jannę z panią Mooth, która traktowała go z podobną dezaprobatą.

Clara oznajmiła, że kolacja już gotowa. Jensen przypominał Jannie innego atrakcyjnego mężczyznę — Collisa. To porównanie nie było jej miłe. Pocieszała się myślą, że nie musi się zakochiwać w Jensenie, lecz ma jedynie odzyskać udziały hotelowe.

— Ozór wołowy w galarecie — powiedziała Janna do Nicka, który podejrzliwie przyglądał się przystawce. — A to zielone to sos pieprzowy. Miejskowa specjalność. Proszę spróbować. Na pewno panu przypadnie do gustu.

Nick wziął do ust kęs zachwalanego przysmaku i spytał:

— Rozumiem, że pani ma przejąć po Pithany firmę. Czy mąż pani pomoże?

— Nie potrzebuję jego pomocy. Ja... — Janna zawahała się. Zdała sobie sprawę, jak jędrzowato zabrzmiały te słowa. Rozmowy na temat jej męża wywoływały u niej nie kontrolowaną złość. Nie miała ani zamiaru, ani ochoty mówić komukolwiek o rozwodzie z Collisem. Jak dotąd prawie nikt nie wiedział o ich rozpadającym się małżeństwie. Janna chciała podać to do publicznej wiadomości dopiero wtedy, gdy Audrey będzie się lepiej czuła. Teraz, po śmierci Reginalda, wciąż nie mogła dojść do siebie. — To znaczy, mąż jest zajęty swoją karierą zawodową i będzie przebywał w Londynie. Jest wykładowcą. A ciocia Pithany potrzebuje mnie tutaj, na Malcie.

Jak można było się domyślić, małżeństwo Janny nie należało do najszcześniejszych.

— W zasadzie, to ja potrzebuję was oboje, ciebie i Nicka — powiedziała Pithany. — Zdecydowałam się odsunąć od interesów, idę na emeryturę. Od tylu lat je prowadzę, że najwyższy czas przekazać pałeczkę młodym. Poza tym, chcę się wreszcie zająć swoimi psami, dla których nigdy nie miałam czasu. Wyjeżdżam z Audrey za parę dni na pokaz, gdzie zaprezentujemy nowe pieski. Audrey to jest matka Janny — wyjaśniła Nickowi Pithany.

— Za parę dni? Przecież Blue Grotto nie jest jeszcze gotowy — Janna była zdumiona. Nie mogła zrozumieć Pithany, która przez wiele lat robiła wszystko, by zbudować ten hotel, a teraz, nie czekając na jego oficjalne otwarcie, zamierzała wyjechać. Dlaczego jej wcześniej nie uprzedziła?

— Jest już prawie gotowy. Ty i Nick dacie sobie razem radę — dodała zadowolona ze swoich następców. Czekala na ich reakcję. — Budynek już stoi. Trzeba tylko zadbać o wystrój,

dekoracje, no i odpowiednią kampanią reklamową. Dobrze się składa, że Nick jest akurat z tej branży, to tym bardziej nie powinno być żadnych problemów. On jest specem od reklamy, czy wiesz? — zwróciła się Pithany do Janny.

Janna tylko pokiwała głową. Była tak zaskoczona perspektywą prowadzenia firmy razem z Nickiem Jensenem, że nie mogła z siebie wydobyć słowa. Osoba Nicka w tym całym przedsięwzięciu wydawała jej się po prostu śmieszna. Nie widziała go w roli przedsiębiorcy dużego kalibru. Zastanawiała się, dlaczego ciotka Pithany nie zaproponowała wykupu jego udziałów. Rzecz byłaby wtedy o wiele prostsza. A być może to wszystko było dokładnie przez Pithany zaplanowane, by w ten sposób przekonać Jensena do sprzedaży swoich akcji?

Clara podała główne danie. Nick udawał zainteresowanie jedzeniem, ale tak naprawdę to przez cały czas myślał intensywnie. Był zaskoczony słowami Pithany. Zastanawiał się, dlaczego nie zaproponowała mu najpierw odkupienia jego udziałów? Po spotkaniu z Curtem Nick stał się jeszcze bardziej podejrzliwy i ostrożny. Dowiedział się, że Pithany Crandall i Bradfordowie to zaprzysięgli wrogowie od najdawniejszych czasów. Rywalizowali między sobą jeszcze podczas wojny. Nick zdawał sobie sprawę, że Pithany coś knuje, nie wiedział tylko jeszcze co.

— A cóż taki specjalista od reklamy robi na Malcie w dziale operacji handlowych? — spytała zgryźliwie Janna.

Nick oczywiście zauważył jej uszczypliwy ton. Wynikało z tego, że Pithany nie rozmawiała z Janną na temat ich współpracy.

— Moja praca tu na Malcie służy zorientowaniu się, jakie są potrzeby rynku. Ma to ogromne znaczenie — odpowiedział grzecznie Nick.

— A co pan robił w Japonii? — pytała dociekliwie Janna.

— Zajmowałem się marketingiem.

Swoim zachowaniem i pytaniami Janna wystarczająco udowodniła, że nie chce razem z nim pracować. Jej ton zaczynał irytować Nicka. Jeśli będzie się kierowała osobistymi uczuciami i sympatiami w interesach, to daleko nie zajdzie, pomyślał Nick. Taki rekin jak Curt Bradford połknie ją za pierwszym podejściem, i to w całości. Te uwagi zatrzymał jednak dla siebie. Powstrzymując rodzącą się złość, spytał z ledwie dostrzegalną ironią:

— Podejrzewam, że ma pani duże doświadczenie w interesach.

— No, niezupełnie — odparła Janna trochę zdeprymowana. — To znaczy, mam raczej przygotowanie teoretyczne... Razem z bratem inwestujemy już od lat, więc jakieś doświadczenie mam, ale chyba nieduże. Przed wojną na Środkowym Wschodzie zawarliśmy opłacalną

umowę z firmą, która sprzedawała szejkom specjalne skóry, na których siedzą dżokeje podczas wyścigów wielbłądów.

Nick miał wrażenie, że ona sobie z niego kpi. Cała jej opowieść wydała mu się śmieszna, a z robieniem interesów miała niewiele wspólnego. Dumny wyraz twarzy Janny i szczery uśmiech Pithany wskazywały na to, że była to, niestety, prawdziwa historia.

— Obecnie — kontynuowała Janna — do naszej rodziny należy także część małej firmy produkującej plastikowe korki. Pan zapewne wie, że Portugalia jest monopolistą w produkcji korków. Ostatnio tak wysoko podnieśli na nie ceny, że na przykład małe winiarnie we Francji nie stać na ich zakup. Zatem rynek korków plastikowych ma całkiem duże obroty.

Nick musiał bardzo się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem. Takie doświadczenie w handlowaniu skórami i korkami plastikowymi bynajmniej się nie przyda do prowadzenia trzech hoteli i otwarcia nowego. Naprawdę, młoda Athertonówna miała dziwne wyobrażenie o interesach.

— Janna napisała bardzo ciekawą i cenioną pracę doktorską na temat finansów i ekonomii. Pracowała nad nią ponad trzy lata. Mam jedną kopię u siebie. Czy chciałbyś przeczytać? — spytała Pithany.

— Ciociu, jestem pewna, że Nick nie ma na to ochoty. Nie sądzę, by interesowały go obliczenia kosztów rewolucji francuskiej z punktu widzenia dzisiejszej ekonomii.

Tym razem Janna miała rację. Nick zupełnie nie był zainteresowany pracami naukowymi, a już na pewno nie na temat rewolucji francuskiej. Nie chciał również dyskutować później na ten temat, co byłoby zapewne nieuniknione. Miał szczerze dosyć Janny — wymądrzającej się i poniżającej go. Gdyby tak bardzo nie lubił Pithany, to już dawno odsprzedałby swoje udziały Bradfordom. Nick był więcej niż pewien, że Janna nie ma pojęcia o robieniu interesów. Jeśli sama zajmie się prowadzeniem hoteli Pithany, to w krótkim czasie doprowadzi je do bankructwa.

Zgodnie z angielską tradycją, Clara podała deser i kawę nie w jadalni, lecz w salonie. Nick zdecydował się powiedzieć, że został zaproszony przez Curta Bradforda na bal. Chciał sprawdzić, jak zareaguje Pithany.

— Nie przegap tego — powiedziała ucieszona Pithany. — To wspaniała impreza, jedyna w swoim rodzaju. To najlepsza festa w całym roku. Odbywa się na terenie posiadłości Mdina. Szkoda, że mnie wtedy nie będzie, ale Janna idzie.

Nick spojrział z uśmiechem na Jannę. Jeśli miała cokolwiek za złe Bradfordom, potrafiła to doskonale ukryć.

— Powinniście pójść razem — zaproponowała Pithany. — To będzie dla wszystkich wielka niespodzianka.

— Ciociu, jestem pewna, że Nick wybiera się z jakąś swoją znajomą — Janna odwróciła się do Nicka. — Mdina jest starożytnym miastem z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Uprzedzam, ulice są wąskie i dojazd samochodem jest niemożliwy.

— Dziękuję za informację, ale ja z nikim się nie wybieram, więc możemy pójść razem. Pani wskaże drogę, bo jakoś nie mogę się tu odnaleźć i prawdopodobnie zgubiłbym się, nawet z mapą. Nie wiem dlaczego, ale jeszcze nigdy nie zgadzały mi się kierunki. To tak jakby miejsca były gdzie indziej, niż jest to pokazane na mapie.

— Naprawdę? — spytała zaintrygowana Pithany. — Jak to?

— Na przykład, miałem któregoś dnia spotkanie w Moście. Wyjeżdżając z biura udałem się w kierunku północnym od Valletty.

— Ależ to jest na południe od Valletty — powiedziała zdziwiona Janna. — Czy nie widział pan znaków?

— Owszem i skręciłem — odparł. Nie przyznał się jednak do tego, że miał trudności z rozczytaniem napisów w języku maltańskim. Na szczęście Malta ma tylko cztery mile długości, więc nawet gdy ktoś się zgubi, to i tak wcześniej czy później trafi tam, gdzie chce.

— Nick — odezwała się Pithany — gdzie według ciebie jest Mdina?

— Na południu, niedaleko lotniska — odpowiedział pewny siebie.

— Ależ nie, jest na północ od lotniska — sprostowała Janna.

Pithany zaśmiała się tak, jak miała zwyczaj czynić to w gronie rodzinnym. Janna była zazdrosna. Nie mogła zrozumieć, co Pithany widzi w tym teksańczyku. Dlaczego tak go lubi i do tego stopnia mu ufa.

— Lepiej będzie, jak pojedziecie tam razem. Oj, chyba jestem zmęczona. Czy moglibyście zajrzeć do Millicent i szczeniaków? Nie mam na to siły. Bardzo was proszę. Ja pójdę już do swojego pokoju.

— Oczywiście, tylko tym razem zamknę drzwi do kuchni, by mi znów nie uciekła — odpowiedział Nick. Gdy Pithany wstawała, dodał: — Jeszcze raz dziękuję za kolację. Dobranoc.

— Dobranoc, dzieci — powiedziała Pithany i wyszła z salonu.

Janna wypila do końca kawę. Nie miała ochoty być sam na sam z Nickiem.

Uroda Nicka była delikatna i zmysłowa, w przeciwieństwie do Collisa. Ale przecież nie wygląd zewnętrzny pokochała Janna w Pembroke'u, lecz jego osobowość i inteligencję. Był w jej oczach geniuszem o niespotykanej wiedzy. W porównaniu z nim Nick posiadał przeciętną inteligencję, nic więcej.

Spojrzała na Nicka i napotkała jego wzrok skupiony na sobie. Uśmiechnął się do niej złośliwie. Janna była wściekła. Na pewno wie, jak działa na kobiety, pomyślała. Zmusiła się do uśmiechu, jakby chciała powiedzieć, że nie zrobił na niej wrażenia. Była w stanie uczynić wszystko, by zdobyć jego udziały i pożegnać się z nim raz na zawsze. Chciała mu teraz zaproponować odkupienie jego akcji, ale powstrzymała się, sądząc, że ciotka Pithany ma może jakiś plan, w który jej nie wtajemniczyła.

Zerwała się z fotela. Nie mogła znieść jego wzroku.

— Pójdę zobaczyć co u Millicent. Nie musi mi pan towarzyszyć.

— Może przejdziemy wreszcie na „ty”? — zaproponował.

— Czemu nie. Zgadza się, Nick — odpowiedziała Janna, jeszcze raz zmuszając się do miłego uśmiechu.

Nick poderwał się.

— Bardzo się cieszę. Pójdę więc z tobą do szczeniaków — odparł.

Oboje przeszli przez kuchnię do pomieszczenia, w którym spały maleństwa. Nick ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Janna, niezbyt zadowolona z jego towarzystwa, została postawiona przed faktem dokonanym. Millicent była odseparowana od swoich małych. Jej leże znajdowało się tuż obok nich, ale po drugiej stronie zmyślnej siatki. Szczeniaki miały ją w ten sposób blisko siebie, pozostawały jednak już bez jej opieki.

Janna podeszła do Millicent i wzięła ją na ręce, by oddalić ją od dzieci, które za wszelką cenę chciały się do niej przedostać. Jak się okazało, to nie z Janną suczka chciała się witać, ale próbowała uwolnić się z uścisku dziewczyny i polizać Nicka.

— Daj mi ją, Mała — zwrócił się Nick do Janny. Przytulił Millicent do siebie.

— Mała? — spytała z niedowierzaniem.

Dlaczego nazwał ją akurat w ten sposób?

Nick roześmiał się na widok jej grymaśnej miny.

— Widzę tylko czubek twojej głowy. Jesteś więc dla mnie mała, a poza tym bardzo zabawna.

Janna była oburzona. Odnosiła wrażenie, że Nick stroi sobie z niej żarty. Może nie należała do najpiękniejszych kobiet tego świata i zdawała sobie z tego sprawę, ale bynajmniej nie była mała. Oddałaby królestwo za długie, zgrabne nogi Shadoe. Nie życzyła sobie jednak, by Nick naśmiewał się z jej kompleksów. Schyliła się i podniosła jednego ze szczeniaków, który był jej.

— To jest Taxila — zwróciła się do Nicka, który był w tej chwili dokładnie wylizywany przez Millicent. Zbyła milczeniem uwagę Jensena na swój temat.

— Hej, Taxi? — zażartował sobie Nick. — Wspaniałe imię dla psa.

Janna zignorowała jego przekomarzania.

— Taxila. To nazwa starożytnej świątyni buddyjskiej, której ruiny są w Pakistanie.

Nicka nie interesowała zbytnio archeologia, ale grzecznie wysłuchał przemądrzałego tłumaczenia Janny. Popieścił jej szczeniaka i dodał:

— Raczej nie wygląda na ruinę.

— Zabawne. Taxila jest po prostu psem domowym. Nie spełnia kryteriów klubu hodowców.

— Według mnie wygląda świetnie — powiedział Nick, oglądając szczeniaka.

Niechęć Janny w stosunku do Nicka była tak silna, że żaden jego żart nie był w stanie jej rozbawić. Uśmiechała się z przymusu.

Nick leżał na swoim łóżku w domku gościnnym i wpatrywał się w sufit. Rozmyślał o Jannie. Mała. Nic jej nie rozśmieszyło ani na sekundę. Powinien był ją raczej nazwać Smętek. Ta kobieta była całkowicie pozbawiona poczucia humoru.

Jak się domyślił Nick, Janna należała do intelektualnych snobów. Najlepszym tego dowodem były jej trzyletnie badania nad kosztami rewolucji francuskiej! Jezus, kto chciałby się tym interesować i poświęcać temu tyle czasu. No i ten biedny szczeniak, który nie może się najzwyczajniej w świecie nazywać, tylko koniecznie musi nosić imię jakiegoś buddyjskiego wykopaliska w Pakistanie. Jakby nie było innych nazw! Za to czy tamto nie pochwałał Janny, ale jednocześnie miał świadomość, że go w jakiś niezrozumiały sposób intryguje. To mu sprawiało przyjemność. Być może działo się tak dlatego, że go nie lubiła, a starała się mu przypodobać, by dostać jego udziały.

Przejęcie hoteli według propozycji Pithany i zarządzanie nimi było poważnym wyzwaniem. Po raz pierwszy od pięciu lat zamierzał robić to, co mu się naprawdę podobało i sprawiało przyjemność. Praca w Japonii była harówką. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z jałowości

swego życia podczas ostatnich lat. Zamknięte towarzystwo, rozmowy głównie o interesach i ciągle z tymi samymi ludźmi. A przede wszystkim poczucie samotności. Malta była zupełnie inna. Tętniła życiem, ludzie byli przyjaźni, język był zrozumiały.

Nagle pukanie do drzwi postawiło go na nogi. Przeszedł przez pokój dzienny i szybkim ruchem otworzył drzwi. Przed nim stała Pithany Crandall.

— Przyniosłam ci pracę doktorską Janny — powiedziała, podając mu opasłe tomisko.

Nick był zaskoczony. Gdyby to podziurkować, to zrobiłoby się całą masę konfetti, pomyślał złośliwie.

— Dziękuję — odparł beznamiętnie.

Pithany stanęła bokiem i znacząco spojrzała na zapalone światło w pokoju na drugim piętrze. Oczywiście był to pokój Janny. Musiał być, był najlepszy, bo z widokiem na basen.

— Czy mogę wejść? — spytała.

Nickowi nie wypadalo odmówić. Był przecież w jej domku gościnnym. Weszła energicznie do środka. Usadowiła się w fotelu naprzeciwko sofy, na której usiadł Nick.

— Chciałabym pomówić z tobą na temat udziałów, które zostawił ci Trevor. Nick był pewien, że Pithany zechce podbić cenę proponowaną przez Bradforda.

— Jestem w stanie zapłacić ci za to, że zatrzymasz na razie swoje udziały, dopóki twoje kierownictwo nie przeniesie cię do Atlanty — powiedziała stanowczym tonem.

Do Atlanty? Skąd, u diabła, ona o tym wie? Sądził, że jego umowa zawarta z Nolanem pozostała tylko między nimi. Najpierw Japończycy szpiegujący swoich pracowników, potem Bradford zachowujący się tak, jakby wiedział o nim wszystko, no i na koniec jeszcze Pithany Crandall wydawała się poinformowana lepiej, niż sądził.

— Dlaczego? — spytał zaskoczony i trochę zły.

— Sprzedałam te udziały Trevorowi, planował bowiem pozostanie na Malcie na zawsze. Chciał, by stała się jego domem. Czy wiedziałeś o tym?

Nick był jeszcze bardziej zaskoczony. Trevor na zawsze na Malcie?

— Zdaje się, że nie rozmawiałeś z nim często ostatnimi czasy — dodała Pithany.

Nick przytaknął. Niestety, miała rację. Bardzo tego żałował. Był ciekaw, czy wie także, z jakiej przyczyny rozjechali się w dwie różne strony świata.

— Przez ostatnie lata nie byliśmy ze sobą tak blisko jak dawniej — przyznał ze smutkiem Nick.

— Trevor mieszkał tu przez ponad cztery lata. Jadaliśmy wspólne kolacje, czasami gdzieś razem wychodziliśmy.

Nick uzmysłowił sobie, jak bardzo samotna musiała się czuć Pithany. W ciągu dnia cały czas przeznaczała na pracę, i było to chyba zamierzone. Lecz noce musiała spędzać sama.

— Bardzo lubiłam Trevora. Zarobił dużo pieniędzy na giełdzie akcji i papierów wartościowych. A gdy zaproponował mi, że odkupi ode mnie część udziałów, zgodziłam się bez wahania. Były mi potrzebne pieniądze od ludzi, którym ufałam. Nigdy bym nie przypuszczała, że umrze wcześniej niż ja. Tak bardzo mi go brakuje... — powiedziała ze łzami w oczach.

Większość ludzi uznałaby zapewne, że różnica wieku między Pithany i Trevorem mogła być przeszkodą w nawiązaniu bliższego kontaktu. Ich przykład potwierdził, że uczucie przyjaźni jest o wiele silniejsze, niż się mniema, i jest w stanie przezwyciężyć wszystko oprócz śmierci. Nick rozumiał tęsknotę Pithany. Było w niej jakieś kobiece ciepło, coś, co spowodowało, że od pierwszej chwili ją polubił. To, że przyjaźniła się z Trevorem, rzutowało na jego serdeczny stosunek do niej.

— Jesteś mi potrzebny przy zakończeniu budowy hotelu Blue Grotto. To był mój ulubiony projekt — prosiła Pithany.

— W takim razie, dlaczego teraz idziesz na emeryturę? Nie możesz poczekać, aż wreszcie zakończą budowę? Wyjaśnij mi — powiedział Nick.

— Jeśli nie odejdę, Janna nigdy nie nauczy się prowadzenia interesów. Za każdym razem, gdy będzie miała najmniejszy problem, przybiegnie do mnie po radę. Musi się nauczyć samodzielnie podejmować decyzje. Ty, jako współudziałowiec, mógłbyś jej czasami doradzić, a ona musiałaby cię posłuchać — tłumaczyła Pithany, uśmiechając się do niego życzliwie.

— A jeśli nie pozwoli mi prowadzić wspólnie interesów i będzie się starała odepchnąć mnie na boczny tor, to wtedy mogę jej zagrozić, że odsprzedam swoje udziały Bradfordowi, tak?

— Dokładnie o to chodzi — powiedziała Pithany. — Czy mam rozumieć, że się zgodziłeś?

Nick przytaknął bez słowa.

— Tylko, proszę, nie wspominaj Jannie ani słowem o naszej dzisiejszej rozmowie.

6.

Członkowie Izby Lordów ciągle wierzyli w życie po śmierci, choć blisko dwadzieścia lat temu Jeremy Thorpe, przywódca liberałów, wygłosił odczyt, w którym poddał krytyce nierozsądne poglądy spirytystów. Warren Atherton, który został członkiem izby po śmierci ojca, podzielał pogląd lorda Thorpe'a. Wiara w życie pozagrobowe, która jak zaraza szerzyła się wśród parlamentarzystów, ludzi skądinąd odpowiedzialnych i konserwatywnych w swoich przekonaniach, wydawała mu się całkiem niezrozumiała, dopóki nie pojawił się na jednym z posiedzeń. Gdy wszedł do sali obrad, przywitały go rzędy siwych głów i pusty tron królowej, która w tym przybytku starości pojawiała się tylko podczas państwowych uroczystości. Wolał nie zastanawiać się, jaka była średnia wieku członków izby. Niektórzy przygarbieni lordowie siedzieli dostojnie w fotelach, opierając dłonie na rzeźbionych laskach, inni kiwali głowami w starym uniesieniu, jeszcze inni wolnym ruchem ręki poprawiali aparaty słuchowe. W sali panowała atmosfera spowolnienia. Co ja tu, do diabła, robię? — zadał sobie pytanie Warren.

Choć od pogrzebu ojca minęło już kilka tygodni, Warren wciąż nie mógł uwierzyć w okoliczności jego śmierci. Nie był pewien, czy ojciec rzeczywiście zmarł na atak serca. Od kiedy dowiedział się, że Gian Paolo od lat był kochankiem ojca, wciąż nurtowało go pytanie, czy aby to nie ów młody Włoch pomógł przedwcześnie zejść ze świata swojemu dobroczyńcy.

Reginald, którego Warren przez całe życie szanował i starał się za wszelką cenę naśladować, okazał się człowiekiem o kamiennym sercu. Zamiast zapisać część spadku adoptowanej córce, wolał sprezentować udziały hotelowe kochankowi.

Obejmując zaszczytne miejsce w Izbie Lordów, Warren przeczuwał, że w jego życiu rozpoczyna się nowy etap. Dotąd stał zawsze w cieniu ojca, teraz mógł wreszcie pokazać, kim jest naprawdę — lordem Lyforthu.

Nobliwi członkowie Izby Lordów tylko w połowie zapełniali salę obrad. Warren wszedł zdecydowanym krokiem. Przechodząc obok lorda marszałka uśmiechnął się życzliwie i skinął na powitanie głową. Miał szczerą ochotę wybuchnąć śmiechem na widok leciwego pana w białej peruce, obok którego, niby umundurowani strażnicy, siedzieli smutni i poważni klerycy. Wśród nich znajdowało się kilku anglikańskich biskupów oraz rabin Immanuel Jakobovic.

Warren nie widział żadnych dostojników kościoła katolickiego.

Minęło prawie pięćset lat, odkąd katolicki przywódca spróbował zawładnąć wyższą izbą parlamentu. Jego ambicje zawiodły go na szafot.

Po jednej stronie sali, wypełnionej rzędami rzeźbionych foteli, siedzieli członkowie Partii Konserwatywnej, a po drugiej Partii Pracy. Przedstawicielom rządu i byłym ministrom przypadał zaszczyt zasiadania w tak zwanych ławach ministerialnych, czyli w pierwszym rzędzie. Warren już na samym początku, pierwszego dnia, chciał dać wyraźnie do zrozumienia, że nie utożsamia się z żadną z partii. Przez chwilę wahał się, czy nie usiąść w tak zwanej ławie poprzecznej, dla bezpartyjnych. Zdecydował się jednak w końcu zająć miejsce po stronie Partii Pracy. Wszyscy oczekiwali, że lord Lyforthu stanie się jednym z czołowych torysów. Przez całe życie obracał się w kręgach konserwatywnych i nigdy nie podzielał poglądów polityków z Partii Pracy.

Warren odwzajemniał powitalne uśmiechy i skinienia przyjaciół ojca. Zajął miejsce w tyle sali obok barona Colwyna. Ten szalenie barwny i ciekawy człowiek żadną miarą nie nadawał się na parlamentarzystę. Baron Colwyn był najmłodszym członkiem izby, a co zabawniejsze, liderem grupy rockowej. Tytuł lorda przyznano mu dożywotnio, ale bez prawa dziedziczenia. Mimo to Warren czuł się lepiej w towarzystwie barona, który cieszył się opinią myślącego niezależnie.

Debata rozpoczęła się. Warren myślni był przy Jannie. Tęsknił za nią i zastanawiał się, czy na Malcie jest choć odrobinę szczęśliwsza. Obiecał jej, że odnajdzie Giana Paolo i odkupi jego udziały. Jednak, jak dotąd, prywatny detektyw nie odnalazł żadnego śladu.

Dyskusja koncentrowała się wokół problemu, czy rząd powinien wejść w joint venture z Japończykami, by ratować jakąś fabrykę znajdującą się w przemysłowym obszarze Manchesteru. Spór w tej sprawie toczono już od kilku tygodni. Warren uważnie śledził go na łamach prasy. Rozmawiał o tym ze swoimi przyjaciółmi z kręgów przemysłowych i zdążył na tej podstawie wyrobić sobie własny pogląd. Słuchając wystąpień parów, odniósł wrażenie, że całkowicie mijają się z istotą problemu. Upominał siebie, że to jego pierwszy dzień w izbie i w związku z tym jest za wcześnie, by mógł otwarcie skrytykować opinię innych i przedłożyć własne racje. Uważał, że powinien je na razie zachować dla siebie.

Kiedy w pierwszej części obrad nastąpiła przerwa i Warren wraz z innymi lordami wyszedł do zatłoczonego foyer, zaskoczyły go tabuny obładowanych aparatami fotograficznymi dziennikarzy.

Nagle doznał czegoś w rodzaju olśnienia. Lekceważąc obecność czcigodnych parów oraz fakt, iż wokoło pełno było włączonych kamer, zdecydował się na publiczne oświadczenie.

— Dlaczego rząd Jej Królewskiej Mości miałby współfinansować ekonomię Japończyków? Czy oni zamierzają zorganizować nowe miejsca pracy na terenie środkowych hrabstw? Oczywiście zależy im na czymś innym. Chcą mieć choćby część udziałów w przedsiębiorstwach na obszarze Europy, by zdominować rynek światowy. Obawiają się zjednoczenia Wielkiej Brytanii z EWG, gdyż to spowodowałoby ograniczenie importu towarów z Japonii. Lecz — Warren zrobił pauzę, aby zwiększyć napięcie wśród słuchaczy — jeśli japońskim przedsiębiorcom uda się przejąć choćby małą część naszego przemysłu, to będzie wtedy za późno, by powstrzymać ekonomiczną ekspansję Japonii!

Zaskoczeni członkowie izby przysłuchiwali się przemówieniu Warrena. Foyer było wypełnione po brzegi. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali, co mówca powie dalej.

— Panie i panowie — kontynuował Warren, uśmiechając się do kamer. — Jestem zdania, że mamy moralny obowiązek głosować przeciwko japońskiej ingerencji gospodarczej na naszym kontynencie. Jeśli tego nie uczynimy, wszyscy poniesiemy ofiarę. Będzie nią nasz rodzimy przemysł.

Warren zdawał sobie sprawę, że bynajmniej nie dał popisu oratorskich lub intelektualnych zdolności. Można mu było zarzucić, że propaguje antyjapoński punkt widzenia na gospodarkę i sprzeciwia się zasadzie równych szans. Pomimo to nie żałował swego wystąpienia w tej sprawie.

Członkowie Izby Lordów cieszyli się pewnym podstawowym przywilejem. Każdy z nich mógł wygłaszać poglądy bez obawy o osobiste konsekwencje natury politycznej. Nikt nie miał, na przykład, prawa pozbawić Warrena jego lordowskiego tytułu. To, co mówił, mogło mu jedynie przysporzyć przyjaciół bądź wrogów.

Po przerwie odbyło się głosowanie. Izba odmówiła poparcia dla rządu dużą przewagą głosów. Wyrażono poważne wątpliwości wobec rządowego planu. Oczywiście niższa izba parlamentu, Izba Gmin, mogła odrzucić decyzję lordów.

Odkąd redukcja bezrobocia stała się kluczowym problemem nurtującym polityków, taka reakcja niższej izby parlamentu była całkiem prawdopodobna.

Warren opuścił gmach parlamentu i skierował się w stronę parkingu. Gdy otwierał drzwiczki jaguara, spostrzegł, że pali się światelko od telefonu, a więc ktoś usiłował się do niego dodzwonić. Warren domyślił się, że prawdopodobnie chodziło o biuro detektywistyczne „Sherlocks Plc”. Rzeczywiście, w słuchawce usłyszał głos detektywa, którego wynajął, by odzyskać Giana Paolo.

— Mieszka w Sheriffs Lench. Pracuje jako kuchmistrz w tamtejszej gospodzie — zrelacjonował krótko detektyw.

— Wspaniale. Resztą zajmę się sam. — Warren odwiesił słuchawkę.

Wszystkie wspomnienia związane z ojcem i jego podwójnym życiem na nowo odżyły w pamięci Warrena. W młodym sercu ponownie budził się gniew i poczucie bezsilności. Pierwszą myślą Warrena było pozbycie się tego Włocha za wszelką cenę. Ale jak?

Zabić go? Janna nigdy by mu tego nie wybaczyła. Ale cóż ją to w ogóle obchodzi, pomyślał z goryczą. Odkąd uwagę Janny całkowicie pochłonęło prowadzenie hoteli ciotki Pithany, wszystko spoczęło na barkach Warrena. Musiał zapobiec ewentualnej sprzedaży udziałów Paola. Gdyby Bradfordowie dowiedzieli się, że Gian ma akcje Blue Grotto, natychmiast odkupiliby je od niego, płacąc każdą cenę. Warren miał przecucie, że sam nie upora się z tą sprawą. Potrzebował kogoś do pomocy, kogoś zaufanego i znającego sekrety rodziny, kogoś, kto byłby w stanie załatwić całą tę nieprzyjemną sprawę z Gianem w sposób delikatny i dyskretny. W pierwszej chwili pomyślał o rodzinnym doradcy prawnym Peytonie Giffordzie. Porzucił jednak ten pomysł. Peyton był zbyt oficjalny, zbyt sztywny, by nie rzec pozbawiony fantazji. Poza tym miał przesadnie wysokie mniemanie o sobie. Gian Paolo to przecież prawie jeszcze dziecko. Warren zawahał się przez moment. Shadoe? Tak, Shadoe Hunnicutt.

Annabelle obsypywała pocałunkami dumnie wypiętą, owłosioną pierś Collisa. Co pewien czas zerkła na niego rozpalonym z pożądania wzrokiem, jakby chciała z jego twarzy wyczytać, co sprawia mu największą przyjemność. Jego usta rozchylały się w błogim wyrazie rozkoszy, w miarę jak stopniowo jej wargi zbliżały się do jego członka. Zaczęła drażnić go delikatnie językiem i opuszkami palców, by przygotować go do aktu rozkoszy.

Collis wił się i stękał, a kiedy już nie mógł wytrzymać podniecenia, przyciągnął Annabelle mocno do siebie. Kładąc się na niej, rozwarł dłonią jej uda i wślizgnął się bez oporu do wilgotnego wnętrza. Annabelle czuła, jak słodki ciężar jego ciała rytmicznie zbliża się i oddala. Rozpalone wargi kochanka pieściły nabrzmiałe sutki piersi. Oboje byli ogarnięci szaleństwem. W momencie największej rozkoszy Annabelle wyrwała się z objęć Collisa, przewróciła go na plecy, po czym usiadła na nim okrakiem. Niecierpliwie dotykał jej ciała swymi dłońmi.

Widok Annabelle powoli przesuwającej językiem po spierzchniętych wargach wywołał nową falę podniecenia i rozkoszy Collisa.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa — jęknęła.

Gdy leżeli koło siebie, spoceni i zmęczeni, Collis pomyślał, że zachwycająca uroda Annabelle kiedyś przeminie. Jej wydatne, miękkie piersi już za parę lat zwiotczeją, a piękna twarz utraci młodzieńczą świeżość. Zdawał sobie sprawę, że flirt z Annabelle jest tak samo krótkotrwały jak miłość do Janny, która była chwilowa i szybko wygasła. Collisowi chodziło o coś zupełnie innego. Zazdrościł Athertonom i przeklinał ich w głębi duszy.

Starał się dowartościować myślą, że chociaż jest bez majątku, ma przynajmniej tytuł szlachecki. Nie zamierzał tak szybko zrezygnować z pieniędzy i pozycji społecznej, jaką zapewniało mu nazwisko żony. Chciał za wszelką cenę odzyskać jej względy.

Przypomniawszy sobie swoją ostatnią wizytę u Audrey w Lyforth Hall.

Bez wcześniejszej zapowiedzi wpadł do teściowej na herbatę.

Gdyby nie należał do rodziny, zostałoby to uznane za faux-pas. W czasie rozmowy Collis wykorzystał fakt, że Audrey nic nie wiedziała o odejściu Janny. Tuż po pogrzebie Reginalda Warren zagadnął Collisa i ostrzegł go, by w obecnym stanie zdrowia Audrey na razie nie mówić o planowanym rozwodzie jej córki. Dla Collisa była to bardzo wygodna sytuacja. Wiedział bowiem, że jeśli uda mu się nakłonić żonę do zmiany decyzji, Warren i Pithany będą musieli się z tym pogodzić, a Audrey lepiej w ogóle nie wtajemniczać w te sprawy. Teraz, udając zmarłego męża, zwierzył się jej, iż jego zdaniem nadszedł czas, by Janna miała dziecko. Audrey już od dawna marzyła o tym, by zostać babcią. Chciał, by matka przekonała Janę, że powinna zrezygnować z pracy u Pithany na Malcie i wrócić do męża, który ją bardzo kocha.

— Audrey, wiesz, że byłem z Reginaldem bardzo blisko, pisałem jego przemówienia i doradzałem mu w sprawach finansowych. Dokładnie się orientuję, czego oczekiwał od Janny. Zapewne nie chciałby, aby jego inteligentna i wykształcona córka prowadziła hotele na Malcie. Jej przeznaczeniem są o wiele szlachetniejsze cele. Ostatnio trochę kłóciliśmy się, przyznaję, ale to nic poważnego. Starałem się ją namówić, by porzuciła karierę i zajęła domem i dzieckiem, którego tak pragnę. Porozmawiaj z nią, proszę! Wytłumacz jej, że powinniśmy mieć dziecko, że byłoby to dla nas najlepsze.

W rzeczywistości kłamał jak z nut. Nie chciał mieć żadnych dzieci. Gdy tylko Janna poruszała ten temat, rozmowa kończyła się straszliwą kłótnią. Nie znosił płaczu niemowląt, zapachu zasypanych pieluszek i w ogóle tej całej atmosfery, jaką stwarzała obecność małego dziecka w domu. A poza tym wcale nie kochał Janny.

Kiedy Annabelle ponownie przywarła do jego ciała, Collis uprzytomnił sobie, gdzie naprawdę jest. Nie miał ochoty kochać się z nią po raz trzeci, ale mimo to zgodził się na jej miłosne zaloty. Annabelle zdawała się być nigdy nie zaspokojona.

Collis wykonywał wszystkie ruchy mechanicznie. Jego myśli ciągle jeszcze pochłonięte były rozmową z Audrey. Co jakiś czas westchnienia i jęki Annabelle przypominały mu o rzeczywistości.

Potem znów zagłębiał się we wspomnienia. Kilka dni po pogrzebie Reginalda Collis rozmawiał z osobistym kamerdynerem zmarłego:

— Tak mi przykro z powodu pana Reginalda. Zawsze okazywał mu pan wielkie przywiązanie, nieprawdaż? — Collis spytał niewinnym głosem.

— Owszem, pan był jeszcze taki młody — odparł służący pochylając głowę.

— Czy był pan przy jego śmierci?

— Nie. Tylko syn.

To właśnie wydawało się Collisowi dziwne. Przecież Reginald obraził się na Warrena i Janę, gdy dowiedział się, że oboje zainwestowali w jakąś fabrykę produkującą korki plastikowe.

Owego fatalnego dnia przed południem Collis rozmawiał z Athertonem na temat przemówienia, które dla niego przygotował. Wówczas to Atherton wspomniął, że zamierza spędzić wieczór na kolacji z jakimś znajomym i w Lyforth Hall zjawi się dopiero późnym wieczorem. Dlaczego więc zamiast pójść na umówione spotkanie wrócił wcześniej do domu, zastanawiał się Collis.

— Nie miałem pojęcia, że lord Reginald jest w domu, dopóki nie przybył doktor Osgood. Nie widziałem też panicza Warrena, jak wchodził. Ktoś dzwonił do niego kilkakrotnie tego wieczoru, a ja, sądząc, że jest na przyjęciu w ratuszu Guildhall, tam kazałem temu panu dzwonić — dodał po chwili kamerdyner.

To dziwne, pomyślał Collis, że Reginald przed śmiercią przywołał do siebie akurat Warrena, z którym ostatnio przecież bardzo się poróżnił. To nagłe pogodzenie się z synem wydawało się podejrzanym, zważywszy, że Reginald był zawsze stanowczy i nikomu tak łatwo nie wybaczał.

— Zaraz zwariuję, ty mnie zabijesz! — krzyczała podniecona Annabelle. Collis dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że leży na niej. Sam był zdziwiony, że tak długo udało mu się powstrzymać.

Gdy już było po wszystkim, dziewczyna pocałowała go i położyła się obok na wilgotnej pościeli.

— Byłeś cudowny — szepnęła zdyszana. — Następnym razem przywiążę cię do łóżka, będzie jeszcze przyjemniej.

— Czy gdybyśmy znali godzinę urodzin Paola, nie tylko datę, to horoskop byłby dokładniejszy? — spytał zdenerwowany Warren.

Wykorzystał Shadoe i jej znajomość astrologii, by lepiej przygotować się na spotkanie z Gianem. Chciał poznać jego konstrukcję psychiczną, by odpowiednio poprowadzić rozmowę.

Zastanawiał się często, dlaczego taka piękna i inteligentna kobieta szuka odpowiedzi w symbolach, astrologii czy kartach Tarota, skoro ma swój rozum i intuicję. Musiał jednak przyznać, że niejednokrotnie przepowiednie Shadoe sprawdzały się.

— Tak, to by pomogło, ale rezultat byłby bez zmian — odpowiedziała pogodnym jak zawsze głosem, gdy ruszali samochodem.

Kiedy tylko ta kobieta była w pobliżu, Warren nie mógł się skoncentrować. Zawsze z największym napięciem obserwował jej ruchy, delectował się zapachem perfum, który roztaczała wokół, i urzeczony przysłuchiwał się jej cudownie brzmiącemu głosowi.

— Mam nadzieję, że twoje karty się mylą — dodał po chwili.

Shadoe wywróżyła, że nie uda im się przekonać Giana Paolo. Mimo to Warren liczył, że namówi go do odsprzedania odziedziczonych udziałów.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę, by tym razem karty się myliły. Chciałabym, podobnie jak ty, oszczędzić Jannie dodatkowych kłopotów. Jest mi najbliższa na świecie. Nigdy nie miałam przyjaciół, zawsze tylko znajomych. Gdy byłam młodą dziewczyną i chodziłam do szkoły w Huntington, każdy mnie obgadywał. Żadna z koleżanek z klasy nie chciała usiąść ze mną przy jednym stoliku podczas posiłków. Wszystkie dziewczęta i nauczyciele plotkowali o mnie i mojej matce. I pamiętam, jak dziś, że tylko Janna odważyła się podejść do mnie i nawiązać rozmowę. Zrobiła to tak ostentacyjnie, że pozostałe uczennice umilkły i zaakceptowały moją obecność. Od tego dnia przestano mnie przynajmniej traktować jak trędowatą.

Warren dokładnie pamiętał moment, kiedy Janna po raz pierwszy sprzeciwiła się ojcu. Reginald zabronił jej przyjaźnić się z Shadoe, lecz Janna nie uznała tego zakazu. Pewnego dnia zapytała ojca, dlaczego uważa Shadoe za kogoś gorszego, skoro nawet jej nie poznał. Starego Athertona zaskoczyło to pytanie. Był jednak człowiekiem, który w sposób dyplomatyczny potrafił wybrnąć z najbardziej niezręcznej sytuacji. Odparł wówczas, że dziewczęta z rodzin szla-

checkich noszą imiona klasyczne lub biblijne, takie jak Diana, Elizabeth, Sarah, Mary, Caroline. A imię Janna wywodzi się od imienia Janus, przypisanego rzymskiemu bożkowi. Jeśli zatem ktoś nazywa się Shadoe, to... Janna nie przyjęła tego tłumaczenia i nie zerwała przyjaźni.

Warren w przeciwieństwie do Janny posłuchał ojca. Przestał widywać się z Shadoe i wszelkie kontakty z nią ograniczył do minimum. Teraz bardzo tego żałował, obawiając się, iż jest już za późno, by naprawić stare błędy i nadrobić stracony czas.

— Janna jest najlepszą przyjaciółką, o jakiej można tylko marzyć. Nigdy nie krytykowała moich nie przemyślanych związków małżeńskich, choć na to zasługiwały. Nigdy też nie spytała o ojca Chloe. Myślę, że kocha mnie, ale nie za to, jaka jestem, lecz pomimo to, jaka jestem. — Shadoe odwróciła twarz do okna. Po chwili milczenia dodała: — Już nastał zmierzch, jak nazywają Irlandczycy tę porę dnia. Coś między zachodem słońca a zmrokiem. Ciekawa jestem, czy Janna tęskni za tym. Zawsze o tej porze wychodziłyśmy na spacer, będąc w internacie w Huntington.

Warren nawet nie spostrzegł, kiedy słońce schowało się głęboko za horyzont. Niebo przybrało typowy dla siebie o tej porze dnia w Anglii fiołkoworóżowy kolor. Była to charakterystyczna tęcza barw, która roztaczała się na niebie między światłem dnia a ciemnością nocy. Malta leżała gdzieś daleko na południe i zachody słońca wyglądały tam zupełnie inaczej. Noc zlewała się niemalże z dniem i na odwrót — dzień wyłaniał się niepostrzeżenie z nocy. Janna na pewno tęskni za angielskim zmierzchem, pomyślał Warren.

W głosie Shadoe wyczuł dziwny smutek. Pragnął ją do siebie przytulić, zjechać na pobocze, wyłączyć silnik i mocno ją objąć, tak mocno, by poczuła jego ciepło. Wiedział jednak, że posunąłby się wówczas o krok za daleko. Przez lata budowali swoją przyjaźń i zaufanie, a jeden lekkomyślny ruch mógłby wszystko zniszczyć.

W milczeniu przejeżdżali przez górzyste okolice Stratfordu.

Faliste pola porastały zboża, głównie pszenica, a bardziej skaliste stoki służyły za pastwiska. Gmina Lench obejmowała pięć małych wiosek, które zachowały swą malowniczość i baśniowy wygląd. Zachwycały nielicznych przejezdnych swoimi drewnianymi domkami i wąskimi uliczkami. Mało kto przybywał jednak w te strony. Turyści odwiedzali raczej położoną niedaleko gminę Cotswolds. Mieszkańcy Lench cenili sobie swój spokój i sielankowe życie. Zdało się, że czas płynie tu wolniej.

Warren myślał o Gianie Paolo. Był zaniepokojony, ale nie wiedział dlaczego. Przeczynał coś złego. Tego ranka opowiedział Shadoe całą historię o Reginaldzie i jego podwójnym życiu.

Shadoe przyjęła to ze stoickim spokojem i poradziła, by powiedział młodemu Włochowi całą prawdę. Warren obmyślał strategię działania. Mógł zrobić wszystko, by tylko namówić Giana do odsprzedania akcji. Wzdłuż drogi, która prowadziła od jednej wioski do drugiej, widniały zabawne napisy „Proszę uważać na okoliczne koty”.

Miasteczka ze swoimi normandzkimi kościołkami i cmentarzami, na których wznosiły się celtyckie krzyże, stwarzały niepowtarzalną atmosferę.

Nareszcie dotarli do celu. Warren zatrzymał samochód przed bramą.

— To tu — powiedziała Shadoe, wskazując na oddalony o kilkadziesiąt metrów niewielki pałacyk.

Budynek wyglądał na zadbane i odrestaurowany. Na bramie widniał gotycki napis: „Sheriff's Lench Manor”.

Jechali powoli jaguarem wzdłuż alejki prowadzącej na dziedziniec. Po obu stronach rozciągał się przepiękny park. Warren zaparkował samochód. W pobliżu stało sporo aut, również z zagraniczną rejestracją.

— Zdaje się, że turyści już odkryli ten zaciszny zakątek Anglii — skomentował Warren.

Jednak Shadoe nie słuchała go. Stała z zamkniętymi oczami i ścisnęła obiema dłońmi zawieszony na szyi okrągły kamień. Wypowiedziała jakieś magiczne zaklęcie, po czym spojrzała speszona na Warrena.

— To na szczęście, dla Janny.

Ujął Shadoe za rękę i poprowadził do wejścia.

Mimo iż z zewnątrz budynek został odnowiony, wewnątrz wyczuwało się wyraźny zapach wiekowej pleśni. Wyblakłe obicia na ścianach pokrywała gruba warstwa kurzu. Setki lat historii wyłobily bruzdy na kamiennych płytach posadzki. Okazało się, że w pałacyku urządzono gospodę. Weszli do środka i rozejrzeli się. Całe pomieszczenie wyłożone było boazerią, a liczni goście siedzieli przy nakrytych staroświeckimi serwetami stolikach, pijąc drinki lub piwo i rozmawiając. Niektórzy z nich zabawiali się rzucaniem strzałek do tarczy.

— To on, to on! — krzyknęła barmanka, wskazując w stronę Warrena i Shadoe. — To ten z telewizji!

Warren obejrzał się sądząc, iż chodzi o kogoś stojącego za nimi. Barman podszedł do nich energicznym krokiem. Mimo swej tuszy i groźnie wyglądającej brody zdawał się sympatyczny.

— Lordzie, to dla mnie zaszczyt, że wstąpił pan do mojej skromnej... — nie zdążył dokończyć, bowiem przerwała mu barmanka, zapewne jego żona.

— Wasza wysokość — krzyknęła piskliwie, kłaniając się głęboko na sposób dworski. Tak naprawdę nie miała pojęcia, że Warren nie jest prawdziwym księciem i że jego tytuł nie wymaga podobnych pokłonów.

— Widzieliśmy pana w telewizji, w wiadomościach wieczornych. Zgadzą się z panem całkowicie. Anglia wcale nie potrzebuje japońskich pieniędzy... — brodaty barman zdradzał żywe zainteresowanie polityką.

— Pewnie, po co... — potwierdzili niektórzy goście, z uwagą przypatrując się całej scenie.

Shadoc była zaskoczona. Także Warren, tak bardzo pochłonięty sprawą z Gianem Paolo, zapomniał o swoim niedawnym wystąpieniu przed kamerami.

— Dziękuję panu. Ja po prostu powiedziałem, co myślę na ten temat. Wielu nie zgadza się ze mną. Mimo to ja swojej opinii nie zmienię. Stawka jest zbyt duża — odparł Warren.

— I dobrze — powiedziała barmanka.

— Więcej nam takich jak pan trzeba — dodał właściciel knajpki.

— Do diabła z tamtymi — wtrąciła podpita starsza pani.

Wiele osób pogratulowało Warrenowi, podało mu ręce i poklepało go po ramieniu. Niektórzy chcieli mu nawet postawić drinka. Warren poczuł się jak na wiecu przedwyborczym. Shadoc zręcznie poprosiła właściciela na stronę i zagadnęła go:

— Chcielibyśmy porozmawiać z Gianem Paolo. Pracuje u pana, prawda? Barman nie potrafił ukryć zaskoczenia i po chwili wyjąkał:

— Zaraz go zawołam. Albo lepiej będzie, jak państwo pójdą ze mną. Gian pomaga kucharzowi.

W trójkę weszli do kuchni. Wszystko było utrzymane w najlepszym porządku. Lśniące garnki i patelnie wisiały w równych rzędach na ścianach. Na samym środku kuchni stał ogromny piec kamienny. Warrenowi od razu zaburczało w brzuchu. Zapachy przygotowywanych potraw przypomniały mu, że jest głodny.

— Gian! — zawołał barman. — Masz gości.

Młody mężczyzna pochylił się nad garnkiem i wolnym ruchem zamieszał zupę. Zachowywał się tak, jakby niczego nie słyszał i nikogo nie widział.

— Gian, przecież mówię do ciebie! — wrzasnął właściciel.

Na chwilę zapanowała dziwna cisza. Wszyscy patrzyli na młodego Włocha.

— Wiem — odpowiedział szeptem.

— Czy jest tu jakiś cichy kąt, w którym moglibyśmy zamienić parę słów? — spytał Warren.

Właściciel był zachwycony, że może usłużyć lordowi. Wskazał im wyłożony kamiennymi płytami korytarz. Na ścianach widniały miejscami charakterystyczne smugi sadzy. Można było sądzić, że dawniej przymocowane tu były płonące pochodnie. Warren objął Shadoe i wolnym krokiem poszli za Gianem Paolo i brodatym właścicielem, który, żywo gestykulując, opowiadał o swojej nowo otwartej gospodzie. Gdy dotarli do miedzianych drzwi, zaprosił ich do pokoju i dostojnym ukłonem pożegnał się.

Shadoe usiadła na kanapie, rezerwując koło siebie miejsce dla Giana. Warren zasiadł w fotelu naprzeciwko. Starał się być miły dla niego i okazać mu zrozumienie.

— Czego chcecie? — spytał zniecierpliwiony chłopak.

Jego głos był pełen obaw i strachu. Widać było, że boi się pytań. Warren nie wiedział, od czego zacząć. Sądził, że być może młody Włoch będzie chciał się zemścić na rodzinie Athertonów. Może rozgłosi wszystko prasie, to byłby skandal!

Shadoe dotknęła ramienia Giana. Obrócił twarz w jej stronę. Dopiero teraz zauważyła malujące się na niej przerażenie.

— Dlaczego tak się boisz? — spytała spokojnym głosem. Gian nieznacznie uśmiechnął się do niej.

— Musiało być ci ciężko od śmierci Reginalda, nieprawdaż? — spytała po chwili.

— Tak. Przez ostatnie dwanaście lat spotykaliśmy się prawie codziennie, odkąd skończyłem siedemnasty rok życia — odpowiedział Gian, tak jakby był małym chłopcem.

Jego odpowiedź zaskoczyła Warrena do tego stopnia, że nie mógł się powstrzymać i musiał wstać. Chciał krzyknąć z rozpacz. Przez te wszystkie lata był oszukiwany przez ojca, wszyscy byli, cała rodzina. Wyobrażał sobie, jak Reginald odwiedza nastoletniego Giana. Homoseksualizm nie był mu obcy. Zetknął się z nim niejednokrotnie podczas lat nauki w college'u w Eton. Niektórzy studenci zadawali się ze starszymi kolegami, niektórzy z wykładowcami. On akceptował to jako obserwator i uważał za nieodłączną część życia na ziemi. Jego bliski przyjaciel, Dexter Thorpe-White, także wolał bardziej intymne towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Zainteresowania seksualne przyjaciela nie zniszczyły jednak ich przyjaźni. Także w przypadku ojca akceptował jego słabość, niemniej w głębi duszy nie potrafił tego zrozumieć. Boże, gdyby dowiedziała się o tym matka... Audrey zawsze gloryfikowała Reginalda i kochała go nad życie.

— Nie mogę uwierzyć, że zmarł tak nagle. — Po chwili dodał ze łzami w oczach:

— Nie byłem na to przygotowany, nie potrafię żyć sam, bez niego.

— Dlatego przyjechałeś tutaj do pracy, by zacząć nowe życie? — spytała Shadoe.

— Chciałem uciec przed nim — odpowiedział, wskazując na Warrena.

— Wiedziałem, że bez względu na to, co powiem, będziecie żyć w strachu przede mną. Nigdy nie zrobiłbym żadnego niecnego użytku z naszego związku, kochałem go zbyt mocno. Wiem, że nie chciałby, by ludzie dowiedzieli się o jego sekrecie — przerwał na chwilę i pochylił głowę. — Domyślałem się, że każecie mi opuścić Anglię na zawsze.

Warren uśmiechnął się w głębi duszy. To był pomysł. Gian Paolo przebywał w Anglii nielegalnie. Ekstradycja dawała pewne rozwiązanie, ale... no tak, nawet poza granicami Anglii Gian dziedziczyłby spadek po Reginaldzie. Poza tym w Europie stawał się nieosiągalny dla Athertonów.

— Nikt tak o tobie nie myśli — powiedziała Shadoe. — Warren chce ci coś zaproponować.

— Sądzę, że ojciec bardzo ciebie lubił. Byliście... — przerwał szukając odpowiedniego słowa — przyjaciółmi od tylu lat.

— Kochaliśmy się — wtrącił niewinnym głosem Gian.

To niemalże chłopięce oświadczenie wyprowadziło Warrena z równowagi. Zaczął się zastanawiać, czy ojciec w ogóle był w stanie pokochać całkiem szczerze tego młodego mężczyznę. A może była to ze strony ojca namiętność i pożądanie, których Warren nie potrafił zrozumieć. Jedno nie ulegało wątpliwości, że nikt z członków rodziny nie znał prawdziwego oblicza Reginalda.

Uwierzyli w wizerunek seniora Athertonów, który on sam stworzył. Ojciec Warrena zabezpieczył przyszłość Giana, swego kochanka, zapisując mu w testamencie to, co prawnie należało się jego córce Jannie. Tak odwdzieczył się jej za wszystkie lata, przez które darzyła go szacunkiem i wielką miłością.

A co ze mną, pomyślał Warren. Czy mnie ojciec kochał?

Terroryzował go, mówił mu, z kim może, a z kim nie powinien się spotykać, i on go słuchał. Dopiero w ostatnich paru latach Warrenowi udało się wymknąć spod władzy ojca i osiągnąć samodzielność.

Reginald odsunął Warrena od rodzinnego biznesu, a gdy syn próbował mu w czymś pomóc, traktował go jak intruza. Warren postanowił samodzielnie zabrać się do pracy i zainwestował pieniądze. Razem z Janną ukryli przed ojcem swoje przedsięwzięcie finansowe, ale Re-

ginald mimo to dowiedział się o wszystkim z nieznanych źródeł. Ostatnia rozmowa z ojcem pozostawiła gorzkie wspomnienie. Pokłócili się, i to nie na żarty. Nagła śmierć ojca pozostawiła Warrena z poczuciem winy. Miał jednak, zwłaszcza teraz, rozmawiając z Gianem, pretensje do ojca, że nie przyszedł do syna, tylko wolał spotkać się z kochankiem.

— Mój ojciec zapewnił ci przyszłość, na wypadek gdyby coś mu się przytrafiło. — Warren głęboko nabrał powietrza i starał się uspokoić, ukrywając niechęć.

— Zostawił ci pokaźny spadek.

— Obiecał, że da mi pieniądze, bym mógł założyć własną restaurację — skomentował to Gian ze łzami w oczach.

Warren od razu zorientował się, jaką ma zastosować taktykę.

— Zapisał ci udziały w pewnej korporacji hotelowej. Jeśli je sprzedasz, to będziesz bardzo bogatym człowiekiem. Dostaniesz za nie około pół miliona funtów.

— Milion funtów — poprawił go Paolo.

Warren nie wiedział, czy ma to traktować jako propozycję, mimo to starał się zachować kamienną twarz pokerzysty.

— To bardzo zawyżona suma, biorąc pod uwagę ceny rynkowe papierów wartościowych.

— Nie wiem. Chyba nie. Tyle zapłacił mi za te udziały Anthony Bradford. Warren podskoczył do młodego Włocha i chwycił go za kołnierz.

— To znaczy, że już sprzedałeś te udziały?

— Tak. Dziś rano podpisałem odpowiednie dokumenty — odparł Gian, wrywając się.

Uśmiechnął się do Warrena i wyszedł.

Z delikatnej, opadającej nisko nad ziemię mgły wylaniały się wysokie drzewa, płoty i drewniane domy mieszkańców Sheriff's Lench Manor. Dzień powoli wybierał się na spoczynek, ale ciemność nie zdążyła jeszcze zawładnąć okolicą. Na niebie świecił księżyc, flirtując z chmurkami. Warren i Shadoe wracali do samochodu.

— To nie twoja wina — starała się go pocieszyć.

— Obawiam się, że Janna będzie innego zdania. Powinienem był jako pierwszy dorwać tego Giana, przed Bradfordami. Chciałbym wiedzieć tylko jedno, skąd oni wiedzieli, że Paolo będzie dziedziczył.

— Obsesją Tony'ego Bradforda jest zagarnięcie hoteli Pithany. Jestem pewna, że wszędzie węszy i ma szpicli na giełdzie. Oni informują go, kto posiada akcje hoteli i w jakiej ilości.

Wie przecież dokładnie, że Pithany sprzedała udziały, by wybudować Blue Grotto. Postawił sobie za cel zburzenie dorobku jej życia. Jeśli wykupi ponad połowę udziałów, będzie mógł przejąć kontrolę nad wszystkimi hotelami na Malcie.

Warren starał się nie myśleć o Shadoe, ale ciepły, kobiecy głos przypominał mu o jej obecności. Za wszelką cenę musiał znaleźć jakieś rozwiązanie tej sytuacji.

Wsiedli do samochodu. Warren wsunął kluczyki do stacyjki, ale nie zapalił silnika. Spojrzał na Shadoe i był prawie zdecydowany wszystko jej wyznać.

— Dziękuję, że przyjechałaś tu ze mną. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

— Przeczuwałam, że nie uda nam się odzyskać tych udziałów. Karty miały rację.

— A co karty mówią o nas? — spytał Warren, sam zdziwiony swoją odwagą.

— O nas? — spytała zaskoczona Shadoe.

Warren w okamgnieniu zapomniał o piętnastu latach, które dzieliły ich od ostatniej wspólnej randki. Czuł się tak, jakby znowu miał dwadzieścia lat i dopiero poznawał smak miłości.

Dotknął jej ramienia, potem objął ją. Jej oczy, błyszczące i zaniepokojone, śledziły jego wzrok. Zbliżył swoje usta, a Shadoe w swej niepewności pozwoliła się pocałować, ale tylko w policzek. Warren zaczął obsypywać pocałunkami jej ramiona i szyję. Ich usta spotkały się i połączyły w gorącym, wytęsknionym pocałunku. Zmysłowe pieszczoty wzbudziły w Warrenie pożądanie. Jak mogłem się jej opierać przez tyle lat? — przemknęło mu przez myśl.

Kiedy jednak Warren przedłużał subtelne pocałunki, Shadoe odepchnęła go całkiem niespodziewanie.

— Nie, Warrenie. Nie chcę powtarzać całej historii. Mam dosyć mężczyzn na jakiś czas. Postanowiłam żyć w czystości, duchowej i cielesnej.

Warren położył dłonie na kierownicy. Nie bardzo ją rozumiał. Shadoe Hunnicutt i cielesna czystość? Niemożliwe! Wiedział jednak, że Shadoe nie ma zwyczaju kłamać.

— Mówię całkiem poważnie. Nie kochałam się z żadnym mężczyzną od czasu mojego ostatniego rozwodu.

Ale całować się nie zapomniałaś, pomyślał Warren.

— A dziecko? — spytał. Chloe urodziła się przecież długo po rozwodzie. Musiała więc złamać postanowienie.

— Moje stosunki z mężczyznami nigdy się nie układały. Nic nie wychodziło — odparła. — Zawsze chciałam mieć dziecko, ale żaden z moich mężów nie zasługiwał na to, by zostać

ojcem. Chciałam je mieć dlatego, by stworzyć mu dom, rodzinę, to, czego sama nie miałam. — Wzięła Warrena za rękę i szepnęła: — Chloe nigdy nie dowie się, kto jest jej ojcem — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Warren chciał zaprotestować. Uważał, że Shadoe nie ma racji, chcąc pozbawić dziecko ojcowskiej miłości.

— Skorzystałam z banku spermy — wyszeptała.

— Dlaczego? — spytał zaskoczony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jedna z najpiękniejszych kobiet w Londynie musiała uciec się do tak nienaturalnego sposobu, aby mieć dziecko.

— Zawsze chciałam mieć prawdziwą rodzinę, ale nigdy nie spotkałam właściwego mężczyzny.

Warren poczuł wyrzuty sumienia. Zmarnował tyle lat, które mógł spędzić razem z Shadoe. Wystarczyło wtedy okazać trochę stanowczości.

— Shadoe, tak mi przykro...

— Niepotrzebnie — odparła z dumą w głosie. — Widocznie nie było nam pisane żyć razem.

— Mylisz się. Ja jestem tym mężczyzną, którego potrzebujesz.

— Mam dziecko, Warren, i nie potrzebuję nikogo więcej, aby zaplanować sobie przyszłość. Nie chcę wiązać się już z żadnym mężczyzną.

Warren zrozumiał, że nie powinien dłużej nalegać, przynajmniej nie teraz. Shadoe wyglądała na zdesperowaną.

— Jeśli cokolwiek mógłbym dla ciebie zrobić... albo dla Chloe... Zawsze możesz na mnie liczyć. Jestem twoim przyjacielem. Znasz mnie dobrze i wiesz, że nie jestem taki, jak inni mężczyźni. Na pewno mogę ci jakoś pomóc.

— Zastanawiałam się nad tym, aby kupić małą posiadłość na wsi. Niestety, muszę oszczędzać pieniądze na przyszłą szkołę dla Chloe. Nie chcę, by chodziła do Huntington. Zamierzam wysłać ją do Europejskiej Szkoły w Culham.

Warren był zachwycony.

— Dam ci pieniądze.

— Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy. Mogę utrzymać się ze swoich butików. Mam natomiast problemy z bankiem, który odmawia mi kredytu. Uważa, że moje przedsięwzięcie jest zbyt ryzykowne. Potrzebuję kogoś, kto potrafiłby ich przekonać.

— Zajmę się tym — obiecał Warren.

CZEŚĆ DRUGA

Śmierć dzwonnika

7.

Janna stała przed lustrem i zastanawiała się, czy wieczorowa suknia od Mizrahiego w kolorze koralowym nie wygląda zbyt mdło w zestawieniu z jej jasną cerą. Odrzuciła ją ostatecznie na łóżko i sięgnęła po czarną suknię Lacroix. Przyłożyła ją i ponownie zaczęła się przeglądać w lustrze. Zbyt prosta? Może zbyt skromna? Zazwyczaj nie miała problemów z dobieraniem garderoby. Jednak festa u Bradfordów wymagała czegoś specjalnego. Chciała zrobić na nich wrażenie i dać im do zrozumienia, że Malta stała się jej nowym domem i zamierza tu pozostać. Od lat słuchała najrozmaitszych historii o klanie Bradfordów. Kiedyś miała okazję zobaczyć ich ogromny i pełen przepychu jacht. To w zupełności wystarczyło, by sobie wyobrazić ich zachłanność i pazerność. Nigdy jednak nie poznała legendarnego wręcz Anthony'ego Bradforda ani jego syna Curta. Ich olbrzymie hotele cieszyły się sławą nie tylko ze względu na wielkość. Luksus i wygoda, które gwarantowały, przyciągały całe rzesze turystów. Główną gałęzią przemysłu Malty stała się bowiem po wojnie właśnie turystyka. W przeciwieństwie do Bradfordów, hotele ciotki Pithany były małe, przytulne, na wzór europejskich hoteli dla elit. Trąciły lekko snobizmem, ale wyróżniały się za to niepowtarzalną atmosferą ciepła i życzliwości. Gośćmi byli zazwyczaj ludzie bardzo zamożni lub nowożeńcy, którzy cenili sobie spokój i elitarność hoteli Crandall.

Janna zastanawiała się, jak Bradfordowie zareagują na wieść o tym, że zamierza poprowadzić interesy Pithany. Osobiście przyjęła to wyzwanie z optymizmem. Ciotka uprzedziła ją jednak, że Anthony ma tylko jeden cel: wykupić jej udziały lub zmusić siłą do opuszczenia Malty.

Wciąż nie była zdecydowana, w co ma się ubrać na ten niezwykle wieczór. Odłożyła sukienkę na fotel i wyszła na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Powietrze było nagrzane i niesło zapach wielu kwitnących o tej porze kwiatów. Późnopołudniowe słońce zbliżało się do linii horyzontu. Ponieważ posiadłość Falcon's

Lair położona była na wzgórzu, Janna widziała z balkonu zatokę portową i dumne skały nadbrzeża. Ten przepiękny widok zachwycał szczególnie o tej porze dnia.

Ciotka Pithany siedziała w ogrodzie u stóp balkonu na ogrodowej huśtawce, twarzą zwrócona ku morzu. Zachowywała się tak, jakby zapomniała, że za dwie godziny odlatuje jej samolot. Nie pierwszy raz Janna zwróciła uwagę na położenie huśtawki. Kilkakrotnie namawiała ciotkę, by ją przestawiła i zwróciła przodem do malowniczej zatoki. Obserwowanie zatoki z jej tętniącym życiem hałaśliwym portem było o wiele ciekawsze niż spoglądanie na surowe, otwarte morze. Mimo iż bardzo kochała ciotkę, czasami nie potrafiła jej po prostu zrozumieć. Wbrew pozorom za mało o niej wiedziała.

Fakt, że ciotka nie rozmawiała z Nickiem o jego udziałach hotelowych, zaskoczył Janne. Rozczarował ją także brak zainteresowania ze strony ciotki poczynaniami i osobą Nicka Jense-
na. Nie rozumiała, jak można zaufać komuś, kogo się nie zna, i powierzyć mu dorobek własnego życia. Miała pretensje do Pithany, że wyjeżdża z Millicent na międzynarodowy pokaz psów, zamiast sfinalizować otwarcie Blue Grotto.

Nagle spostrzegła Nicka wychodzącego z domku gościnnego. Miał na sobie jedynie kąpielówki. Położył ręcznik na leżaku i podszedł do basenu. Janna zaczęła mu się dokładniej przyglądać. Był wysoki i szczupły, ale nie chudy. Miał umięśnione barki i klatkę piersiową. Opalenizna czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Nick cofnął się kilka kroków, a potem z rozbiegu wskoczył do basenu. Janna przyglądała się z podziwem, jak stylowo płynął motylkiem. Jego napięte ramiona przecinały wodę, podczas gdy ruchy nóg, współgrając z całym ciałem, posuwały je szybko do przodu.

Nick wyszedł z basenu, otulił się ręcznikiem i usiadł na leżaku. Ciotka Pithany podeszła do niego, by porozmawiać. Janna, mimo iż bardzo się starała, nie mogła usłyszeć, o czym rozmawiają. Dostrzegła jedynie ich uśmiechnięte twarze. Ciotka sprawiała wrażenie, jakby Nick ją podrywał. To niepodobne do niej! W stosunku do Collisa nigdy nie zachowywała się tak kokieteryjnie, choć był bardzo przystojnym mężczyzną.

Delikatne pukanie do drzwi odwróciło uwagę Janny. Przypomniała sobie, że dziś jest przyjęcie. Wróciła do pokoju.

— Tak? — spytała.

— Czy mogę wejść?

Janna rozpoznała głos Audrey. Energicznie otworzyła dębowe drzwi. Dzisiejszego ranka Audrey i doktor Osgood przylecieli samolotem na Malte, by razem z Pithany pojechać na wystawę psów.

— Nie przeszkadzam? — upewniła się Audrey.

— Ależ skąd. Właśnie wybieram suknię na dzisiejszy wieczór i nie mogę się zdecydować — odparła Janna wskazując Audrey fotel.

— Jeśli masz się spotkać z Bradfordami, załóż suknię Lacroix. W czarnym ci do twarzy. I uważaj na Anthony'ego Bradforda.

Janna zastanawiała się, czy Audrey przeczuwa, że ona wie wszystko o adopcji i swoich prawdziwych rodzicach.

— Nie wiedziałam, że znasz starego Bradforda.

— Ja... Poznałam go kiedyś... dawno temu. Pamiętam, że wzbudził we mnie strach i przerażenie.

Janna nie była zaskoczona. Audrey odczuwała irracjonalny strach przed wieloma ludźmi. Ci, którzy jej dobrze nie znali, odbierali to jako snobizm i zarozumialstwo. Janna wiedziała, co się za tym kryje. Mimo niezwyklej urody, a może właśnie przez nią, Audrey była bardzo wstydliva i nieśmiała i wolała unikać ludzi.

— Czy możemy przez chwilę porozmawiać? — spytała Audrey.

— Oczywiście.

Audrey zdradzała oznaki zdenerwowania. Przebierała nieustannie palcami, poprawiając fałdy spódnicy.

— Czy podoba ci się prowadzenie interesów Pithany?

— Tak — odpowiedziała Janna szczerze. — Jest dużo pracy. Pochłania to praktycznie cały mój czas. Pracuję całymi dniami, często do późna w nocy.

I nie mam przynajmniej czasu, by rozmyślać o Collisie, pomyślała.

— Czym ty się dokładnie zajmujesz? — dopytywała się Audrey.

— Teraz jeszcze się uczę. Mam przejąć od Pithany jej hotele, a w najbliższym czasie dopilnować przygotowań do otwarcia Blue Grotto. Ciotka na razie mnie szkoli i udziela rad.

— Czy nie uważasz, że zajmowanie się hotelami jest zajęciem zbyt pospolitym, a nawet poniżającym? — spytała.

— Nie, na Boga! Jeśli jest to wystarczająco dobre zajęcie dla ciotki Pithany, to chyba i dla mnie. — Janna poderwała się z sofy.

— Biznes bardzo wciąga, fascynuje — zgodziła się Audrey. Jej oczy były błyszczące i pełne entuzjazmu, jak nigdy dotąd. — Wiesz, chciałabym zasięgnąć twojej rady. Mam pewien pomysł.

Janna poczuła się mile zaskoczona. Uspokojona usiadła z powrotem na kanapie.

Uśmiechnęła się z zaciekawiona. Pierwszy raz Audrey miała własny pomysł, który nie był jej narzucony przez Reginalda.

— Chcę otworzyć sklep na placu Beauchamp — dodała.

— Cudownie! Naprawdę wspaniały pomysł.

Żaden projektant mody nie potrafiłby tak dobrać garderoby dla kobiety w średnim wieku, jak to robiła Audrey. Rzeczywiście miała swój własny styl, klasyczny i zarazem niepowtarzalny. Taki sklep z oryginalną modą pośród innych salonów znanych projektantów będzie ciekawą odmianą i ściągnie zapewne wiele klientek. To nareszcie zmusi Audrey do samodzielnej pracy.

— Jestem pewna, że stary poczciwy Lanvin pomoże ci przy realizacji tego pomysłu.

— Ależ, kochanie, ja chcę otworzyć ekskluzywny sklep dla zwierząt. Wymyśliłam już nawet nazwę...

Jannie odebrało mowę. Nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Uśmiechnęła się tylko grzecznie i słuchała planów Audrey.

Na wszystkie pomysły naprowadził ją sam von Rommel, jej pies.

Miała zamiar sprzedawać nie tylko różne rodzaje pokarmów dla zwierząt, ale także ubranka dla psów i kotów, a nawet psie perfumy, które zamierzała nazwać „Eau de Rommel”. Janna nie mogła w to uwierzyć. Swoje zdziwienie starała się ukryć pod życzliwym uśmiechem.

Widać było, że Audrey żyje tym pierwszym samodzielnym przedsięwzięciem. Janna przysłuchiwała się cierpliwie szczegółom. Komentowała tylko wtedy, gdy Audrey prosiła o to.

Audrey miała rację. Jannie było najlepiej do twarzy w czerni i dlatego postanowiła ubrać suknię Lacroix. Zrobiła sobie mocniejszy niż zazwyczaj makijaż, podkreślający jej piękne zielone oczy. Na szyi zawiesiła wisiołek, który dostała od ciotki Pithany na osiemnaste urodziny: złotą głowę sokoła wykonaną na zamówienie u jubilera. Pierzastą krawatkę zastępował rząd bledożółtych i białych diamentów, ułożonych na przemian. Do kompletu Janna założyła kolczyki. Odsunęła się o krok od lustra.

Po raz pierwszy wyglądała równie pięknie jak w dniu ślubu. Wówczas miała na sobie tę samą biżuterię. To wspomnienie wywołało gorzkie uczucia. Tamtego dnia czuła się taka szczęśliwa, zakochana po uszy.

Trudno. Nie wolno ci się oglądać w przeszłość. Skoncentruj się na przyszłości. Uważaj na Bradfordów, powtarzała sobie dla dodania otuchy.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Nie był to na pewno Collis. Nie miał jej nowego numeru. Przesłał jej ostatnio dziesięć funtów czekoladek ze znanej londyńskiej cukierni Charbonnel et Walker. Na czekoladkach widniał napis wykonany złotym kremem „Kocham cię. Przebacz mi”. Wraz ze słodyczami Collis przesłał ogromny bukiet kwiatów w plecionym koszu, imitujący ogród Kew Gardens. Janna nie chciała przyjąć tych prezentów. Oddała je Clarze. Przez wszystkie lata ich małżeństwa Collis nie podarował jej nawet bukietu polnych kwiatów. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos Warrena.

— Co u ciebie słyhać. Jak sobie radzisz? — spytał. W jego głosie usłyszała smutek.

— Dobrze — odpowiedziała. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak bardzo za nim tęskni.

— Spotkam dzisiaj pierwszy raz Bradfordów. Idę na przyjęcie do nich.

— OK. Jestem ciekaw wrażeń. Zadzwoń po powrocie. Opowiesz mi, jak było.

— Chcę dzisiaj porozmawiać z Nickiem Jensenem o jego udziałach. Postaram się go namówić, by mi je odsprzedał.

— Zapłać mu każdą cenę. Potem się rozliczymy — powiedział Warren.

Janna wyczuła, że coś jest nie w porządku. Znała brata w końcu od trzydziestu pięciu lat i wiedziała dobrze, kiedy jest w złym nastroju.

— Co się stało? — spytała.

— Odnaleźliśmy Giana Paolo.

— Domyślałam się, że chce masę forsy za swoje udziały...

— Chciałbym, by sprawa była taka prosta. — Warren przerwał na moment. Starał się uspokoić. — Gian zdążył już sprzedać udziały Bradfordom.

— Nie, to niemożliwe! — wykrzyknęła zaskoczona Janna. Po chwili kontynuowała.

— Ciotka Pithany przekazała mi swoje udziały, wszystko odbyło się zgodnie z procedurą prawną. Czterdzieści pięć procent. Jestem pewna, że uda mi się odzyskać udziały Jensena. To utrwaliłoby moją pozycję w zarządzie, ale Bradfordowie i tak będą chcieli mnie zniszczyć.

Janna myślała teraz tylko o Nicku. Widziała oczyma wyobraźni jego postawną sylwetkę i charakterystyczny ruch dłoni, kiedy zaczesywał włosy do tyłu. Teraz, gdy Bradfordowie zdobyli udziały Giana Paolo, akcje Jensena stały się przysłowiowym jęczyciem u wagi i mogły wpłynąć na przyszłość koncernu Crandall. Akcje trzeba natychmiast odkupić, zanim uczynią to Bradfordowie.

Gdy jechali razem na przyjęcie do posiadłości Bradfordów, był już późny wieczór. Na horyzoncie widniała jeszcze pomarańczowoczerwona poświata — pozostałość po słonecznym i upalnym dniu. Chłód nadchodzącej nocy wypełniał powiew orzeźwiającego wiatru. Pierwszym skojarzeniem, jakie Malta budziła w myślach Nicka, było nagrzane powietrze i wtapiająca się w morze tarcza słońca. Wyspa swym kształtem przypominała małą złotą rybkę. Wszystkie budynki na Malcie miały kolor bursztynowy. Żłocista piaskowa skała z konieczności stała się podstawowym budulcem.

Jechali wąską szosą. Po drodze natknęli się na powóz.

Nawet na Malcie był to rzadki widok. Nick wyprzedził dorożkę.

— Kochankowie — powiedziała Janna, patrząc na zasunięte zasłonki. Czy ktoś opowiadał ci o *passeggiata*?

Nick słyszał o panujących na Malcie obyczajach i nocnym życiu towarzyskim. Ludzie po upalnym dniu wylegali na ulice, przesiadywali w kawiarniach, odwiedzali znajomych. Bawili się, korzystając z chłodu nocy. Jensen nie przyznał się jednak, że słyszał już o tym i owym. Chciał, by Janna mówiła do niego jak najwięcej. Nieważne co. Radością było słyszeć jej dźwięczny, łagodny głos.

Janna bardzo starała się być miła w stosunku do Nicka, a nawet go kokietować. On z kolei, będąc świadomy jej podstępnej gry, zdecydował się wziąć w tym udział. Nie miał nic do stracenia, a mógł wiele zyskać. Zastanawiał się, jak daleko posunie się Janna, by odzyskać udziały. A jeśli odmówi? Czy będzie gotowa zrobić wszystko?

— Lubię Malte — powiedział Nick — o wiele bardziej niż Japonię. Tam nie znajdziesz człowieka, który potrafiłby korzystać z życia. Liczy się tylko firma. Japończycy pracują dwanaście godzin dziennie, minimum.

— Czy nie chroni ich żadne prawo pracy? — spytała zaciekawiona.

— Owszem, ale koncerny zmuszają kierowników fabryk i zakładów, by pracowano po godzinach. Każdy, kto odmówi, natychmiast traci posadę.

— Jedno życie, jedna stała praca. Podejrzewam, że w Japonii nie zmienia się miejsc zatrudnienia tak jak u nas — skomentowała to Janna.

Nick przytaknął z aprobatą. Janna zaskoczyła go. Sądził, że śliczna pani Pembroke poza rewolucją francuską nie ma większego pojęcia o współczesnym świecie.

— Jak się głębiej zastanowić, Japończycy pracują na podobnych zasadach co niewolnicy. Prawo pracy chroni ich tylko teoretycznie. Mieszkają w małych apartamentach i jedynie noc jest dla nich czasem na odpoczynek.

— To poświęcenie dla pracy doprowadziło ich do takiej pozycji w świecie, jaką mają obecnie — dodała Janna. — Ich rząd dotuje gospodarkę w inny sposób niż nasz. Poza tym wprowadził bariery celno-handlowe, zabezpieczające japońskie towary.

— To nie jest takie proste. Są sprytni, inteligentni i ciężko zapracowali na swój dobrobyt. Podziwiam ich za to poświęcenie — odparł.

Podczas całej rozmowy Nick zerkał ukradkiem na Jannę. Suknia, którą miała na sobie, tylko z pozoru wyglądała na bardzo skromną. Domyślał się, że projektował ją zapewne jakiś drogi kreator mody. Czarny jedwab, przylegający delikatnie do ciała, w doskonały sposób, dyskretnie podkreślał jej kobiecość i elegancję. Lekkie wycięcie na plecach żadną miarą nie zdradzało ekstrawaganckich skłonności właścicielki sukni, już bardziej jej smak i gust. Subtelny krój wieczorowej kreacji tworzył odpowiednie tło dla wybranej przez Jannę biżuterii. Nick nigdy dotąd nie widział tak pięknego naszyjnika. Szmaragdowe oko sokoła śledziło jego wzrok, jakby zazdrośnie strzegło swej pani.

Nick przypomniał sobie słowa starego poczciwego Fitzgeralda: bogacze są bardzo różni. Matka Janny podróżowała z osobistym lekarzem. Athertonowie dysponowali prywatnym samolotem, by odwiedzać według własnego życzenia raz Rzym, raz Paryż czy też Genewę. Wpaść tu i tam, na przykład na pokaz psów. Po raz pierwszy dotarło do Nicka, że on także jest bogaty.

Może nie aż tak, jak Athertonowie czy Bradfordowie, za milion dolarów nie można bowiem kupić ani jeta, ani jachtu Curta, ale za to można żyć więcej niż dostatnio w Muleshoe. Posiadanie dużej ilości pieniędzy daje zapewne dobre samopoczucie. Człowiek czuje się pewniej, zwłaszcza w kręgu ludzi bogatych. Podczas gdy Nick rozmyślał o swojej skromnej fortunie, Janna mówiła mu, któredyś ma jechać. Co ja zrobię z tymi pieniędzmi, gdy będę je miał w gotówce? — zastanawiał się. Nie przychodziło mu nic do głowy oprócz starego Austina, ojca Trevora. Tak bardzo chciał mu pomóc, ale za pieniądze nie można, niestety, kupić życia ani zdrowia.

— Przeczytałem twoją pracę naukową — powiedział Nick z odrobiną uszczypliwości.

Spędził nad tekstem kilka koszmarne długich godzin. Każda teza poparta była wykresami i statystykami. Po tej lekturze Nick skorygował swoje wyobrażenie o Jannie. Tylko osoba o jej charakterze mogła poświęcić kilka lat pracy na tak nudne zagadnienie. Nick dokładnie

sprawdził jej stan majątkowy. Była głównym udziałowcem „Chic Sheiks Sheets” i „Pop Your Cork”. Obie inwestycje, zarówno skóry dla szejków, jak i produkcja korków, przynosiły zyski. Nick zaczął wierzyć, że Janna przy dużym poświęceniu i pracy da radę poprowadzić hotele Crandall. Tylko niech nie pisze już żadnych prac naukowych, pomyślał.

— I co o niej sądzisz? — spytała ciekawa jego opinii.

— Mogłaś wyrazić to w formie skróconej, na jednej kartce. Rewolucja podporządkowała państwu sztukę, muzykę, finanse... ty to nazywasz oczywiście zupełnie inaczej... no i naturalnie wskazujesz na wyższość Anglii.

Nick wykorzystywał każdą okazję, by dokuczyć Jannie. Była taka poważna i wszystko traktowała bardzo serio. Spojrzała na niego swymi zielonymi oczami i starając się powstrzymać złość, odparła:

— Musiałam poprzeć swoje tezy faktami.

Nick tylko uśmiechnął się do niej. No tak, ani odrobiny poczucia humoru. Do cholery, wszyscy bogacze są tacy poważni aż do znudzenia? Zbyt wiele osób schlebia ich kapryśnemu charakterowi i to tylko dlatego, że posiadają fortuny. Są zepsuci i nie przyzwyczajeni do słuchania prawdy. Po chwili oboje zamilkli. Dojeżdżali do posiadłości Bradfordów. Nick spostrzegł Mdinę usytuowaną na skalistym, wygiętym na zachód cyplu, który wbijał się w morze niczym dziób gigantycznego statku. Miasteczko otaczały mury obronne, zbudowane z surowych kamiennych bloków. Widok ten przypominał obrazek z bajki. Do skalistego urwiska przymocowano kamienne tarasy, których schody prowadziły prosto do morza. Nick zwolnił i ustawił się w kolejce za innymi samochodami. Powoli wjeżdżali na wzgórze. Nareszcie przejechali przez bramę stylizowaną na średniowieczną basztę, po czym wjechali na obszerny dziedziniec.

— Ile lat ma to miasto? — spytał Nick zauroczony tym miejscem.

— Mdinę wybudowano za czasów Rzymian — zaczęła opowiadać, idąc z Nickiem pod rękę w stronę drzwi wejściowych do zamku. — Rycerze świętego Jana mieszkali tutaj, zanim przenieśli się do Valletty. Mdina położona jest na półwyspie o trudno dostępnych brzegach. To chroniło ich od niespodziewanego ataku z morza.

— Rycerze bardzo małym kosztem zdobyli wyspę — dodał Nick, przypominając sobie, co mówiła mu Pithany. — Wyspa płaciła imperatorowi rzymskiemu corocznie haracz w postaci sokoła i skórzanego kaptura.

— Jestem zaskoczona, że znasz tę historię. Większość Amerykanów sądzi, że sokół maltański jest drogocenną statuetką, taką jak w filmie z Bogartem.

Nick przystanął, spojrział poważnym wzrokiem na Janę. Był urzeczony sposobem, w jaki pochylała głowę, tak dostojnie i z wdziękiem zarazem. Patrzyła na niego zaciekawionymi oczami, jakby oczekując jakiegoś konkretnego gestu.

— Tak wygląda sokół maltański, prawda? — spytał Nick, wskazując na jej naszyjnik. Zorientował się, że Janna nie uważa go za osobę inteligentną. Nie był tym zbytnio zdziwiony. Tak jak zgrabne blondynki uważane są powszechnie za głupiutkie, tak też przystojnych mężczyzn ocenia się jako mało inteligentnych albo po prostu głupich. Podobnie było w jego przypadku. Często wykorzystywał to przy robieniu interesów, wprowadzając partnera w błąd wyglądem i zachowaniem. W przypadku Janny zależało mu na tym, by przekonała się, z kim ma naprawdę do czynienia. Na razie chciał wykorzystać swoją inteligencję do tego, by jej trochę podokuczać. Gdy Janna nie odpowiedziała na jego pytanie, dodał: — A mówiąc już o sokolach... dlaczego Pithany nazwała swoją posiadłość Falcon's Lair?

Nick podczas pobytu na Malcie zauważył, że mieszkańcy tej wyspy stosują chętniej nazwy niż numery domostw. Niektóre z nich były naprawdę ciekawe: Casa Iguana, Nos Byka, Różowy Banan.

— Nie wiem dokładnie dlaczego, mogę się jedynie domyślać. Pithany twierdzi, że sokoły są najmądrzejszymi ptakami. Dlatego sokoły maltańskie są bardzo cenne. W wielu krajach uczestniczą w polowaniach.

— Ale dlaczego akurat „legowisko sokoła”, skoro ptaki budują gniazda. Na legowisku śpią niedźwiedzie.

— Lair to po szkocku „lore” i oznacza wiedzę, naukę.

— A co takiego wiedzą sokoły? — spytał naiwnie Nick.

— Myślę, że wszystko — odpowiedziała Janna, bawiąc się naszyjnikiem.

Podeszli do szeroko otwartych drewnianych drzwi, przed którymi rozwinięto złoty dywan. W progu stali służący ubrani w czerwone spodnie i surduty ze złotymi guzikami. Weszli do środka. Wnętrze trudno było nazwać salą lub obszernym holem, przypominało raczej duży dziedziniec. Na środku stała fontanna, a białe mury pokrywały pnącza winorośli. Na jednym z balkonów grali muzycy, na innych siedzieli goście. Reflektory oświetlały perłowym światłem cały dziedziniec. Ta budowla bez wątpienia pochodziła z czasów wypraw krzyżowych. Nick bacznie obserwował gości tłoczących się przy stole z przekąskami i drinkami. Wszyscy przyby-

li rozmawiali ożywni, popijając i zajadając. Janna chwyciła Nicka za ramię. Pochylił się do niej, by usłyszeć, co mówi.

— Czy poznasz mnie z Curtem Bradfordem? — spytała.

Tony Bradford stał w cieniu jednego z balkonów, przyglądając się tłumowi na dziedzińcu. Festa u Bradfordów rozpoczynała szereg uroczystości na cześć różnych świętych. Tradycja zachowała się w tym zakątku ziemi dzięki rytualnym obrzędom obchodzonym co roku. W dzień po feście w Mdinie następowały typowo kościelne uroczystości. Tego dnia w każdym mieście ksiądz wynosił ze świątyni insygnia kościelne i razem z wszystkimi mieszkańcami modląc się przechodził ulicami. Jako neofita Tony Bradford uczestniczył we wszystkich tradycyjnych obrzędach, chodził do kościoła, ale czynił to z uwagi na swoją pozycję społeczną. Nie podzielał gorliwości religijnej Maltańczyków, a coroczne festy urządzał z wielkim rozmachem jedynie ze względów prestiżowych. Dawały mu wiele satysfakcji. Zapraszał tylko najbardziej znaczące osoby na Malcie, te, na których mu zależało. Goście przychodzili bynajmniej nie z sympatii do gospodarza lub jego syna, lecz dlatego, że był bogatym i bardzo wpływowym człowiekiem. Sam o sobie mówił „książę Malty”. Dzisiejszy wieczór miał dla Anthony'ego Bradforda wyjątkowe znaczenie. Przeczynał, że coś się stanie. Zaproszenie na festę przyjęła Janna Atherton-Pembroke, kończąc kilkuletnią znowę milczenia pomiędzy Crandall a Bradfordem. Pithany nie przyjdzie, nigdy nie dałaby Tony'emu takiej satysfakcji, ale przysłała młodą Janę. Dlaczego? Ta stara coś knuje. Przekazała jej swoje udziały tak niespodziewanie, a teraz wyjeżdża z psem w podróż do Europy. Anthony Bradford od lat pochłonięty był walką z Pithany Crandall, dlatego i tym razem doszukiwał się w jej postępowaniu jakiegoś podstępu.

— Coś w tym jest, musi być — powtarzał pod nosem. Tony sądził, że zbliża się upragniony moment przejęcia kontroli nad siecią hoteli Pithany. Wykupił prawie połowę jej akcji, które wyprzedała, by wybudować Blue Grotto. Niestety, pewne sprawy przybrały ostatnio niekorzystny dla niego obrót. Trevor Prescott zmarł zanim odsprzedał Bradfordom swoje udziały. A teraz odziedziczył je Nick Jensen, który nie chce ich sprzedać. Tony był sprytny. Domyślił się, że z teksańczykiem sprawa nie będzie łatwa, zwłaszcza że mieszka w domku gościnnym Pithany i ulega jej wpływom.

Pithany popełniła błąd, sprzedając akcje lordowi Lyforthu. Straciła je bezpowrotnie. Stary głupi Reginald pominął córkę w testamencie, jaka szkoda... Pithany powinna była się domyślić, że on ma asa w ręku. Anthony Bradford dokładnie wiedział, czym dzieckiem jest Janna. Śledził losy Janny od chwili jej narodzin po dzień obecny. Dopóki była daleko w Anglii, zajęta

innymi sprawami, nikomu nie przeszkadzała. Tony obiecywał sobie, że po śmierci Pithany wykorzysta wszystkie możliwe argumenty, by odkupić od Janny akcje. Ale teraz, gdy zamieszkała na Malcie i ogłaszała wszem i wobec, że zamierza zostać na wyspie na zawsze i prowadzić hotele Pithany, sprawa przybierała niekorzystny obrót. Tony postanowił działać.

Badawczo przyglądał się parze stojącej tuż pod balkonem, na którym stał. Wychylił się lekko przez barierkę, by przyjrzeć się dziwnie znajomej młodej kobiecie, szczupłej blondynce o zielonych oczach. To musi być Janna, pomyślał. Jego prywatny detektyw przysłał mu raport na jej temat, ale bez zdjęcia. Zresztą okazało się i tak niepotrzebne, bowiem Janna w zdumiewający sposób przypominała Pithany Crandall. Kobieta rozmawiała z wysokim mężczyzną. Stary Bradford przypomniał sobie Pithany Crandall podczas ich ostatniego spotkania. Miała wtedy tyle lat, co Janna teraz. Była ubrana na czarno i miała spuchnięte od płaczu oczy. Tony poczuł gorzki smak wspomnień. Tego ostatniego wieczoru poprosił Pithany, by za niego wyszła. Błagał ją, ale ona pozostała nieprzejeđnana. Przyglądał się Jannie z wielkim zaciekawieniem. Spozstrzegł jej naszyjnik. Sokole oko odbijało światło reflektorów. Tego się nie spodziewał. Znał tę biżuterię, zachował nawet kopię paragonu. Nie był przygotowany na to, że zobaczy go ponownie, i to na szyi Janny. Sokół maltański jego Nemezys. Kiedy już pogodził się z myślą, że wkrótce stanie twarzą w twarz z Janną, mężczyzna stojący obok niej podniósł głowę i spojrział na Tony'ego. To niemożliwe! Starego Bradforda przeszył dreszcz. Zamknął na chwilę oczy. Czy to możliwe, by wyobraźnia spletała mu tak złośliwego figła? Niestety. To, co zobaczył, było rzeczywistością. Młody mężczyzna, towarzyszący Jannie, przypominał Iana MacShane'a z czasów wojny. Jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzał. Nie miał najmniejszej wątpliwości. Skąd Pithany, do cholery, wytrzasnęła tego faceta?

— Zawołaj natychmiast Curta! — wrzasnął Tony do stojącego niedaleko służącego.

— Kolejny rozkaz — szepnął Curt do Rhondy i poszedł za służącym, by sprawdzić, czego chce od niego ojciec. Weszli po schodkach na balkon. Curt zaraz spozstrzegł, że Tony jest wściekły. Szczerze nienawidził ojca. Nie znosił jego poleceń, które musiał wykonywać bez szemrania. Życzył mu rychłej śmierci, która umożliwiłaby przejęcie fortuny i zajęcie się tym, czym chciał. Obsesją Wielkiego Tony'ego stało się założenie dynastii Bradfordów, a Curt jako jedyny spadkobierca miał być wykonawcą tego planu. Dlatego stary Bradford mieszał się nawet do jego spraw intymnych i osobistych, przypominając synowi o obowiązku dziedzica rodu.

— Kim jest ten facet z Janną Atherton-Pembroke? — spytał Tony, gdy Curt się zbliżył.

Curt potrzebował zaledwie kilku sekund, by odnaleźć wśród gości jedyną kobietę, której nie znał.

— To Nick Jensen.

— Co mówi raport detektywa o rodzinie tego Jensena? Czy ma krewnych w Szkocji? — pytał zdenerwowany Anthony.

— Nie. Rodzina jego matki wywodzi się z tak zwanych terenów Alamo, a ojciec i jego krewni przyплыnęli do Stanów na Mayflower.

Tony mruknął w sposób, który wyrażał niedowierzanie. Odwrócił się do syna przodem i powiódł dłonią po czole. Curt bardzo nie lubił tego gestu. Oznaczał on najczęściej, że ojciec da mu za moment kolejne zadanie do wykonania.

— Każ zrobić jeszcze jeden raport, tylko tym razem porządny i dokładny. Pithany Crandall coś knuje.

— Ale dlaczego? Przecież ten raport był bardzo dobry. Czytałem go kilka razy. Pierwszym i jedynym miejscem pracy Jensena był koncern Imperial Cola. Jedyną ciekawą rzeczą jest...

— Czytałem ten pieprzony raport i jak ci mówię, że jest do dupy, to znaczy, że tak jest! — wrzasnął Tony.

Curt nie zamierzał się sprzeczać. Wiedział, że i tak z ojcem nie wygra.

— Przyjrzyj się lepiej Jannie. To jest kobieta z klasą... — dodał spokojniejszym tonem.

Curtowi wydawała się raczej przeciętna. Nie miała w sobie niczego niezwykłego. Owszem, była zgrabna i miała ładne zielone oczy, ale nic ponadto. Nie mógł jej sobie wyobrazić w łóżku robiącej to, co Rhonda. Sprawiała wrażenie takiej, co to za każdym razem odstawia dziewczę.

— Nie widzę w niej nic specjalnego... — odważył się wreszcie powiedzieć ojcu.

— To inna sprawa — Tony szturchnął Curta i wskazał na niego palcem. — Ty się z nią ożenisz.

— Ale ona jest mężatką.

Tony patrzył Curtowi prosto w oczy.

— Już niedługo. Wniosła pozew o rozwód. Kobiety uganiają się za tobą. Nie powinieneś mieć większych trudności z poderwaniem jej. Spróbuj ją sobą zainteresować.

Curt dokładnie wiedział, jak należy traktować tego typu rozkazy matrymonialne ojca. Wiedział, o co mu chodziło. Chciał przed śmiercią doczekać wnuków i połączenia dwóch

ogromnych fortun. Mając już trzydzieści cztery lata, Curtis Whiting Bradford był ekspertem w sprawach matrymonialnych. Dokładnie wiedział, jak uniknąć małżeństwa. Wielki Tony nie przeczuwał tego. Nie był także świadomy, że jego syn jest już zakochany, i to od lat.

Młody Bradford opuścił ojca i dołączył do samotnie stojącej Rhondy. Nie przejął się zbyt zadaniem, które wyznaczył mu ojciec. Czas grał na jego korzyść. Tony nie będzie przecież żył wiecznie.

— I co zrobisz? — spytała Rhonda po tym, jak Curt zrelacjonował jej rozmowę z ojcem.

— To, co zawsze, gdy Wielki Tony wynajduje dla mnie perfekcyjną żonę.

Nick nie spostrzegł Curta. Trzymał Jannę pod ramię i oprowadzał po dziedzińcu. Był dumny z tego, że jest właśnie z nią. Janna prowadziła zręcznie rozmowy ze znajomymi i zapoznawała się bez najmniejszych problemów z nowymi osobami. W jej zachowaniu nie było nawet odrobiny snobizmu czy też pewności siebie, których Nick się spodziewał. Pasowali do siebie. Tworzyli zgraną parę. Ona poznawała go z ludźmi ze sfery biznesu, a on przedstawiał jej swoich znajomych. Lekko znużeni rozmowami zdecydowali się coś przekąsić. Podeszli do bufetu. Wśród dekoracji na stole dominowały złote syreny w różnych wersjach. Janna śmieiej wybierała smakołyki. Zaczęła od klopsików mięsnych. Uśmiechnęła się do Nicka.

— To jest bragoli, klops z wołowiny. Zauważyłam, że niewiele jesz. Wczoraj podczas kolacji ledwo spróbowałaś ozór wołowy.

Nick dał się namówić i nałożył sobie srebrnym sztućcem kilka klopsików.

— Wyborne. Wreszcie coś normalnego. Cielęcina też jest smaczna, skosztuj.

Janna zaczęła się śmiać.

— To nie była zwykła cielęcina, lecz nerkówka cielęca.

Może jedzą też trzustkę, zażartował sobie w myślach. Okropne... W Teksasie karmią tym świnię. Starał się zlekceważyć uwagę Janny i sięgnął po kolejny klopsik. Janna nałożyła sobie kawałek pasztetu i zaczęła go jeść.

— Bardzo smaczny, ale mimo to nie taki dobry, jak u ciotki Pithany. Spróbuj, będzie ci smakował — nałożyła Nickowi porcję.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że w takim pasztecie de foie gras jest bardzo dużo cholesterolu — starał się ją zaczepić.

— To nie jest pasztet foie gras — odparła Janna, gdy Nick kosztował właśnie kawałek.

— To jest pasztet fenek, czyli z królika.

O, cholera — mruknął do siebie Nick.

— Tylko nie to! — powiedział na głos i oddał Jannie talerz z pasztetem.

— Jak tak dalej pójdzie, to umrzesz tu z głodu — zażartowała.

— Przeżyłem kilka lat w Japonii. Nauczyłem się nawet jeść na śniadanie tę ich papkę z mąki kukurydzianej.

Nick spostrzegł Curta idącego w ich stronę. Wraz z nim szła zgrabna brunetka. Rozpoznał ją od razu. To była ta sama kobieta, którą widział nagą na zdjęciu z Trevorem.

8.

Janna śledziła wzrok Nicka. Z zainteresowaniem patrzyła na podchodzącą do nich parę. Usłyszała tylko jego szept, informujący, że to jest Curt Bradford. Uprzedzenie w stosunku do młodego Bradforda, które przez cały wieczór ją dręczyło, rozplynęło się w jednej chwili. Przyglądała mu się bardzo dokładnie, mając cały czas na uwadze, że będzie jej przeciwnikiem. Był według niej przystojny, ale wyglądał zarazem na pewnego siebie i przemądrzałego. Przypominał włoskiego alfonsa.

— Cieszę się, że mogłeś wpaść — powiedział Curt do Nicka tak, jakby znali się od lat.

— Ty jesteś zapewne Janna. Curt Bradford, bardzo mi miło.

— Cześć — odpowiedziała Janna miłym głosem. — Cudowne przyjęcie.

— To dobrze, że ci się podoba — odparł zdawkowo Curt. — To jest Rhonda Sibbett.

Dziewczyna tylko westchnęła i uśmiechając się, kiwnęła głową. Zmierzyła lekceważącym wzrokiem Janne, uznając, że nie ma w niej nic ciekawego. Natychmiast zerknęła jednak na Nicka i zaczęła mu się prowokacyjnie przyglądać. Jej wzrok był więcej niż wyzywający. Janna natomiast przyjrzała się Rhondzie dokładnie. Była ubrana w przewiewną, dopasowaną w talii suknię z dużym dekoltem zarówno z przodu, jak i z tyłu, która uwydatniała jej zgrabną figurę. Gdyby się nachyliła, każdy mógłby zobaczyć jej drobne piersi. Janna wiedziała, że ta kobieta nie ma zwyczaju nosić stanika. Zastanawiała się tylko, czy ma resztę bielizny na sobie. Jak się okazało później, Rhonda lubiła nosić sukienki na gołe ciało.

— Byłem przyjacielem Trevora Prescottta — powiedział Nick, zwracając się do Rhondy.

Janna nie bardzo wiedziała, dlaczego Nick o tym wspomniał. Dopiero gdy spojrzała na Rhondę, zrozumiała, że Nick wie coś, czego ona nie wie. Twarz Rhondy zmieniła się, jej oczy stały się niespokojne. Jensen traktował Janne jak swoją młodszą siostrę, dokuczając jej przy każdej nadarzającej się okazji. Niestety, czego można było się spodziewać? — pomyślała Janna. —

Tak przystojny mężczyzna nigdy by się nią nie zainteresował. Starła się sobie wmówić, że Nick nie interesuje jej jako mężczyzna, lecz wyłącznie jako posiadacz akcji, które chciała odzyskać. Rhonda kokieteryjnie pochyliła głowę, potem spojrzała ponownie na Nicka.

— Czy ja znam Trevora Prescottta? — spytała wreszcie Curta.

— Nie — odpowiedział natychmiast. — Rhonda spędziła ostatni rok w Monako. Trevor pracował przed Nickiem w Imperial Cola — zwrócił się do Rhondy z wyjaśnieniem.

— Ach — odpowiedziała. Ta rozmowa wydawała się Jannie nienaturalna i nieszczerza.

— Czy twój brat nadal trzyma łódź tutaj? — Curt spytał Janę.

— „Róża Audrey” jest zacumowana w Puerto Banus.

— To piękne miasto — westchnęła Rhonda. — Cudowne, prawda? — zwróciła się do Nicka.

— Nie wiem, nigdy tam nie byłem — odparł oschle. Janna spojrzała na niego zaskoczona. Uśmiechnął się do niej.

— Janno, może pójdziemy do biblioteki i porozmawiamy o interesach — zaproponował Curt.

Prawie w tej samej chwili Rhonda pociągnęła Nicka za ramię.

— A my pójdziemy tymczasem potańczyć.

Nick poszedł za Rhondą na parkiet. Ta suka kłamie, powtarzał w myślach, hamując wściekłość. Chciał to wykrzyknąć tak głośno, jak tylko potrafił, ale rozsądek kazał mu milczeć. Rhonda Sibbett była na pewno dziewczyną ze zdjęcia. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Już wówczas na jachcie podczas obiadu z Curtem Nick zauważył, że młody Bradford wie więcej o Trevorze, niż twierdzi. Oboje kłamali, to oczywiste. Ale w jakim celu? Chodziło zapewne o udziały hotelowe. Dlatego Bradfordowie odszukali Trevora i nawiązali z nim kontakt. Jeśli tak, to dlaczego kłamią teraz, skoro on już nie żyje? A może po prostu wiedzą coś, co by pomogło odnaleźć sprawcę morderstwa? Może sami są w to zamieszani? Przeczucie kazało mu być cierpliwym, a przede wszystkim ostrożnym.

— To jest karioka — powiedziała Rhonda, przytulając się do Nicka mocniej, niż tego wymagał taniec.

Nie miał pojęcia, jak się tańczy kariokę. Pełna werwy i dynamiki muzyka wskazywała, iż jest to taniec latynoamerykański. Nick znał jedynie walca.

— To samba. Musisz poruszać biodrami tak jak ja, o tak. — Rhonda dawała wskazówki, demonstrując ruchy.

9.

Nick obawiał się, że nie będzie umiał tego powtórzyć. Starał się, jak mógł. Naśladowując Rhondę, zdawał sobie jednocześnie sprawę, że wygląda żałośnie. Na szczęście parkiet był bardzo zatłoczony, nikt więc nie zwracał uwagi na jego nieudolne pląsy. Próbował nie patrzeć na kołyszący się biust Rhondy, który prezentował się w całej okazałości pod skąpą sukienką. Według Nicka była w złym guście, zbyt ordynarna i upstrzona. Przylegając do ciała, przesiąkała kropelkami potu. Nie wytrzymała porównania z czarną suknią Janny, w której siostrzenica Pithany wyglądała seksownie, nie będąc jednocześnie wulgarna jak Rhonda.

— Jesteś pewna, że nigdy nie poznałaś Trevora Prescottta? — spytał Nick.

— Na pewno. Nigdy nie zapomnę mężczyzn, których spotkałam — Rhonda szepnęła Nickowi do ucha.

— Zdawało mi się, że cię widziałem z Trevorem na jakimś zdjęciu. To musiała być zatem pomyłka — odparł.

— A gdzie widziałeś to zdjęcie? — spytała zaskoczona. Zbladła, choć starała się ukryć zażenowanie.

— W Teksasie. W domu Trevora Prescottta po jego pogrzebie.

— To niemożliwe. Wróciłam zaledwie przed tygodniem. Wyjeżdżałam na dłużej do Monako.

Nick chciał wypytywać ją dalej, ale zorientował się, że Rhonda i tak będzie kłamać. Chyba powinien poprosić Austina, by przesłał mu to zdjęcie. Mógłby je wtedy dostarczyć policji, która wycisnęłaby z Rhondy prawdę.

— Może popływamy jutro na nartach wodnych — spytała, przywierając do niego rozpalonym ciałem.

— Jutro jestem zajęty — skłamał Nick.

Rhonda wyduła dolną wargę i oblizwała delikatnie usta. Taki gest niektórzy mężczyźni uznaliby za seksowny, dla Nicka jednak był tanim chwytem. Muzyka ucichła. Nick rozglądał się za Janną, ale nie mógł jej nigdzie odnaleźć. Chciał wreszcie uwolnić się od Rhondy i zejść z parkietu.

— Teraz będzie lambada. No, tańcz... — zachęcała go.

Kapela zaczęła grać i Nickowi nie wypadało odmówić. Ponownie znaleźli się na środku parkietu. Bardzo się starał, ale efekty były mizerne; ruchy nie zgadzały się z rytmem muzyki.

Rhonda zarzuciła mu na szyję ramiona, przytuliła się i zaczęła rytmicznie poruszać biodrami. W pierwszej chwili Nick chciał ją od siebie odsunąć, ale w porę się zorientował, że to nie były nachalne zaloty, lecz styl tańca. Wszyscy na parkiecie poruszali biodrami, kołysząc nimi na lewo i prawo. Nickowi nie podobał się ten nowoczesny płas, wolał tańce klasyczne. Wreszcie zdobył się na ruch i delikatnie odsunął Rhondę.

— Padam z nóg, jakoś nie mam kondycji. Chodźmy się czegoś napić — zaproponował.

— Jeśli połączymy nasze hotele w jedną korporację, będziemy trzymać przemysł turystyczny na Malcie w jednym ręku — Curt powiedział do Janny zimnym głosem. Podał jej mrożony aperitif. Odstawiła kieliszek. Jeden łyk wystarczył, by alkohol uderzył jej do głowy. Drink okazał się bardzo mocny.

— Ciotka Pithany ma inną koncepcję niż wy. Chce mieć hotele małe, elitarne, na wzór europejskich pensjonatów. Nie chce budować wielkich i wysokich gmachów, które pomieszczą całe hordy turystów, kupujących plastikowe imitacje maltańskich krzyży na pamiątkę.

Dopiero po chwili zorientowała się, że popełniła błąd taktyczny. Nie powinna była mówić z Curtem tak otwarcie i zrażać go do siebie. W ten sposób pogorszy tylko stosunki z Bradfordami. Chciała przecież utrzymywać z nimi kontakty, choćby tylko towarzyskie, może nawet wspólne interesy.

— Rozumiem — powiedział Curt miłym głosem. — Tak widzi swoje interesy Pithany Crandall. A ty? Czasy się zmieniły. Turyści przyplývają na Maltę całymi hordami. My powinniśmy to wykorzystywać. Robić na tym interes. Po to tu jesteśmy.

— Nie wszyscy. Chcę, by moje hotele pozostały takie, jakie są. Na Malcie jest wystarczająco dużo miejsca dla hoteli dwojakiego rodzaju — odpowiedziała inteligentnie Janna.

Jej odpowiedź zaskoczyła Curta. Podeszedł do barku i nalał sobie kolejnego drinka. Janna zastanawiała się, jakim człowiekiem jest Tony Bradford. Wiedziała, że spotka go podczas dzisiejszego wieczoru i była tym bardzo podekscytowana. Musiał mieć zasady i swój system wartości. Wyremontował ten średniowieczny zamek, zachowując jego pierwotny wygląd. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, przypominało muzeum. Stały tu egipskie sarkofagi, a ściany pokrywały tajemnicze malowidła. Mimo pozornie surowego wyglądu, sala nie była ani smutna, ani przygnębiająca.

Curt uśmiechnął się. Janna zmusiła się do odwzajemnienia tego gestu. Pamiętała dobrze, co mówiła jej Pithany o Curcie. Wiedziała, że ma opinię playboya, który zabawia się kobietami i uprawia hazard. Podczas ostatniej godziny spędzonej wspólnie nie zaprezentował się jej by-

najmniej jako mężczyzna elokwentny, interesujący, któremu trudno się oprzeć. Był w jej mniemaniu mierny. Hotelami interesował się w takim samym stopniu, jak swoimi łodziami i samochodami wyścigowymi. Janna domyśliła się, że cały interes prowadzi nadal Tony Bradford. To on chciał za wszelką cenę przejąć hotele Pithany. Curt nie był tym specjalnie zainteresowany.

— Twoja ciocia ma opinię osoby o poglądach antyniemieckich.

— W jej pamięci wojna trwa nadal. Nie potrafi zapomnieć tamtych lat.

Janna w większości spraw podzielała opinię Pithany, ale pewnych rzeczy nie umiała zrozumieć. Antypatia w stosunku do Niemców była u ciotki chorobliwa. Janna uważała, że po pięćdziesięciu latach nadszedł czas, by zapomnieć i przebaczyć.

— Niemcy są dla Malty największym partnerem w interesach. Chcieli założyć na wyspie własną sieć hoteli, ale Pithany okazała się zbyt silną konkurencją — powiedział Curt.

Janna uśmiechnęła się. Coś takiego! Bradford mówi o hotelach Crandall w superlatywach. Ciotka Pithany nie uwierzy.

— Widzę, że ci nie smakuje — dodał po chwili. — Może naleję ci trochę chardonnay.

Janna chciała mu w zasadzie powiedzieć, że już nie powinna nic pić, bo lekko kręci jej się w głowie. Nigdy nie piła mocnych trunków. Przyglądała się Curtowi dokładnie. Czuła, że jest nią zainteresowany tylko pozornie. Udaje, że ona mu się podoba, a tak naprawdę niewiele go obchodzi. Jednej rzeczy nauczyła się dzięki małżeństwu z Collisem Pembroke'em: przystojny mężczyzna i jego czarujący uśmiech są dla kobiety ostrzeżeniem. Nie da się już na to nabrać.

Curt podał Jannie kieliszek i usiadł tuż koło niej na kanapie. Siedział tak blisko, iż wystarczyło wyciągnąć dłoń i mógłby ją dotknąć.

— Za nasze hotele! — wznosił toast, uderzając delikatnie swoim kieliszkiem o jej kieliszek.

Janna zamoczyła usta, ale nie piła. Wiedziała, że alkoholu na dziś wystarczy, przynajmniej dla niej. Chardonnay miał dziwny pikantny posmak, którego nigdy dotąd w tym trunku nie spotkała. Nie miała jednak nawet czasu, by się nad tym zastanawiać. Curt przysunął się do niej jeszcze bliżej. Poczowała się zagrożona. Ponownie stuknął w jej kieliszek.

— Za nas — powiedział. Janna przełknęła z trudnością mały łyeczek. Spojrzała w jego oczy. Nie mogła uwierzyć. Ujrzała w nich rozszalałe pożądanie pomieszane z dzikim obłędem. To było pewne — przystawiał się do niej w sposób obcesowy. Janna czuła niemoc. Jej zmysły

zapanowały nad ciałem. Curt przyglądał się jej naszyjnikowi. Wziął go do ręki, zbliżając się do jej twarzy. Poczula jego oddech na szyi. Każdego fascynowało to kunsztowne jubilerskie cacko, Curt nie był więc wyjątkiem. Ale jemu nie chodziło akurat o biżuterię, lecz o Jannę. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. On — z pewnością siebie, a ona ze strachem.

— Zastanawiałam się nad tym niezwykłym lustrem — powiedziała Janna, szukając jakiegokolwiek pretekstu do nawiązania rozmowy. Wskazała na lustro i odsunęła się na koniec sofy. Na frontonie wyrzeźbiony był faraon z różowego marmuru. Egipskie hieroglify zdobiły brzegi lustra.

Curt ponownie przysunął się do Janny. Wziął od niej kieliszek i postawił go na stoliku.

— To jest fragment tajemnego wejścia do grobowca króla Tutenchamona. Tony kupił antyk na aukcji. Lustro zostało wstawione w miejsce przegniłego drewna.

— Nie chodzi o Tutenchamona, tylko Unis-ankha. Żył kilka stuleci przed Tutenchamonom — poprawiła go Janna. Miała już dosyć jego niegrzecznego zalecania się i tego wzroku pełnego pożądania.

Curt zaśmiał się na głos.

— Wydaje mi się, że będziesz się doskonale rozumieć z Wielkim Tonym. On ma świra na punkcie starożytnego Egiptu.

Chciała zapytać, dlaczego Curt nazywa własnego ojca „Wielkim Tonym”, ale młody Bradford wykorzystał przerwę w rozmowie i objął Jannę ramieniem.

— Nie rozumiem, dlaczego twój ojciec wstawił tu przyciemnione lustro. Kryształowe odbijałoby lepiej światło i tworzyło złudzenie, że pomieszczenie jest o wiele większe — Janna była w stanie mówić o wszystkim, byleby nie patrzeć na Curta. On zbliżył swoje usta do jej twarzy i zmusił ją do pocałunku. Gdyby znała go lepiej, wiedziałyby, iż taki jest sposób całowania kobiet przez młodego Bradforda. Teraz wydawał jej się bardzo brutalny i pozbawiony namiętności. Starła się go odepchnąć, ale nagle zabrakło jej sił.

— Chodźmy na mój jacht, tylko we dwoje — zaproponował całując ją w ucho.

Janna zebrała się w sobie i zdecydowanym ruchem odepchnęła go.

— Przestań wreszcie! — krzyknęła.

Curt najwyraźniej nie troszczył się o jej zdanie. Przywarł do niej, natarczywiej przygniatając ją swym ciałem. Położył dłoń na jej piersiach. Janna była zdecydowana uderzyć go w twarz, lecz w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Curt puścił ją. Janna wstała ociężale z sofy i podbiegła do drzwi. Na progu stał Nick z Rhondą.

— Zabierz mnie do domu, Nick — szepnęła.

Jej słowa brzmiały obco. Miała odrętwiałe usta i czuła, że zaraz straci przytomność.

Nick złapał ją i objął troskliwie ramieniem. Podtrzymując Jannę, zszedł na dół i udał się w kierunku głównego holu. Wyszli. Zanim przekroczyli główną bramę posiadłości, przyspieszony oddech Janny wrócił do normy. Mimo iż noc była bardzo upalna, przytuliła się do Nicka. Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

— Co się tam wydarzyło? Dlaczego jesteś taka roztrzęsiona? — spytał Nick.

— Dostawiał się do mnie w wulgarny i nachalny sposób — powiedziała. Czuła się jak młoda, naiwna dziewczyna, która nie ma jeszcze żadnego doświadczenia w tej dziedzinie. Nie potrafiła dokładnie opisać swych przeżyć. Bezradność, z jaką przyjmowała natarczywe zaloty Curta, przerażała ją. Nick zatrzymał się i spojrzał na Jannę.

— Ty chyba żartujesz. Gdy ja przewróciłem cię na ziemię, potrafiłaś się bronić. O mały włos nie wydrapałaś mi oczu. A teraz mi mówisz bezradnie, że Curt cię napastował. I nic nie zrobiłaś?

— To było coś innego. Wtedy myślałam, że chcesz mnie zabić. Walczyłam, sądząc, że bronię własnego życia.

Nick przyjął jej wytłumaczenie z wyrozumiałością. Szli dalej w kierunku miasta. Janna chwyciła ramię Nicka, czując, że jej nogi stają się jak z waty. Z trudem stawiała chwiejne, niepewne kroki. Co pewien czas nogi zupełnie odmawiały jej posłuszeństwa.

— Muszę zdjąć te buty, nie mogę iść na takich wysokich obcasach... — powiedziała, gdy przystanęli na chwilę. Tym razem Nick nie objął jej ramieniem, choć bardzo tego pragnęła. Nagle odniosła wrażenie, że to wszystko, co przeżywa, jest jakimś snem. Nierealna wydawała jej się śmierć ojca, rozwód z Collisem i to, że przeprowadziła się na Maltę. Może zaraz się obudzi i zobaczy koło siebie śpiącego Collisa. Wybuchnęła dzikim śmiechem nie pasującym do niej zupełnie. Był agresywny i bardzo wulgarny.

— Cicho, obudzisz całe miasteczko — szepnął Nick.

Ta uwaga nie uspokoiła Janny, a wręcz przeciwnie, wywołała jeszcze głośniejszy śmiech.

— Nick, tutaj nikt nie mieszka — powiedziała, przerywając chichotanie.

— Nie żartuj, w Mdinie mieszka na pewno około dwóch do trzech tysięcy ludzi.

— Nie. Tylko Bradfordowie... — dodała.

— Rhonda powiedziała mi, że Curt ma dom w Sliemie.

Janna zaczerpnęła głęboko powietrza. Starła się zebrać myśli.

— No tak, mieszka tu w zasadzie sam Tony Bradford ze służącymi, a Curt tylko czasami. Ale faktem jest, że w Mdinie mieszkają tylko dwie rodziny. Dlatego nazywają Mdinę „miastem ciszy”.

— Ty jesteś pijana — skomentował to Nick.

— Mówię ci, jak jest, uwierz mi. W ciągu dnia kręci się tu dużo ludzi, ale są to turyści i pracownicy urzędów państwowych. Tak naprawdę to nikt tu na stałe nie mieszka. To było miasto duchów już od stuleci.

Nick rozejrzał się uważnie. Nigdzie nie paliło się światło. Uliczki oświetlał tylko księżyc.

— Coś takiego. Niesamowite — westchnął. Wziął od Janny buty i schował do kieszeni marynarki. Następnie objął ją, a ona przytuliła się do niego. Spacerowym krokiem szli przed siebie, aż doszli do półkolistego placu otoczonego od strony morza murem, za którym było już tylko skaliste urwisko.

— To jest moje ulubione miejsce — powiedziała Janna, wskazując na prawo. — Czy wiesz, do czego służyły te otwory w murze?

— Wystawiali przez nie lufy armat — odpowiedział Nick.

— Niezupełnie. Służyły do obrony, lecz w inny sposób. Rycerze trzymali w pogotowiu podgrzane misy z gorącym olejem. Gdy wróg wspinał się po murze, wylewali go przez te właśnie otwory.

— Bardzo sprytnie.

Nick wychylił się przez mur i spojrział na strome zbocze. Janna obserwowała go i zastanawiała się, o czym on teraz myśli. Po chwili odwrócił się i spojrział na nią. W ciemności jej oczy wydawały się czarne i nieprzeniknione. Wiatr potargał jej włosy. Nick czuł ich delikatny dotyk na policzkach. Ciepła noc i ten księżyc nad nimi... i alkohol sprawiły, że Janna miała ochotę zbliżyć się do Nicka i pocałować go, zatopić dłoń w jego włosach i poczuć ich zapach. Była już zdecydowana, ale jej świadomość podpowiadała coś innego. Nie ważyła się tego zrobić. Jej ciało rządziło się jednak najwyraźniej swoimi prawami i potrzebowało teraz mężczyzny. Nic nie mogło jej powstrzymać. Otoczyła go ramionami, uśmiechnęła się i zaczęła dotykać jego włosy.

— Janna, ile kieliszków wina wypijaś? — spytał czule.

Janna pokazała jeden palec. Nie chciała teraz nic mówić. Zrobiła niewinną minę. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej tak upić.

— I tylko tyle, Mała? — spytał poprawiając jej włosy. — Jesteś pewna?

Janna pokiwała głową, przytuliła się do niego i pocałowała.

— Zrobiła pani ze mnie durnia, pani Janno — szepnął jej do ucha.

— Ja... — zapomniała, co chciała powiedzieć.

Była tak rozmarzona, iż nie potrafiła zebrać myśli. Nad nimi roztaczało się niebo pełne gwiazd. Z oddali dochodziła muzyka niesiona przez wiatr. Nagle usłyszeli nadjeżdżający samochód. Spóźnieni goście jechali do Bradfordów. Nick puścił Janę, by zobaczyć, w którym kierunku jadą. Wtedy Janna osunęła się po murze na ziemię tracąc świadomość. Ostatnie, co zapamiętała, to były buty Nicka. Nick natychmiast pochylił się nad Janą. Tylko jeden kieliszek, pomyślał uśmiechając się.

Wydawało mu się i tym razem, że jedzie w odwrotnym kierunku. Był pewien, że już tędy przejeżdżał. Janna spała na tylnym siedzeniu. Droga, którą można było przebyć w ciągu dwudziestu minut, zajęła mu prawie godzinę. Odkąd przyjechał na Malte, stracił orientację w terenie. Intuicja mówiła mu, że jedzie dobrze, a potem okazywało się, że jechał w zupełnie odwrotnym kierunku. Przeklinał wszystkie znaki i tablice informacyjne z napisami, których nie rozumiał: Gzira, Ta'Xbeix, Qormi, Zurrieq. Jeździł w kółko, nie potrafiąc wybrać prawidłowego zjazdu. Skoro za oficjalny język na wyspie uważano angielski, dlaczego wszystkie znaki pisano po maltańsku?

Wreszcie dotarli. Starał się dobudzić Janę.

— Pobudka, jesteśmy w domu.

Janna nie poruszyła się. Willa stała pusta. Wszyscy wyjechali, nawet Clara miała wolne. Pojechała do siostry na Gozo. Nick zdecydował, że zanieś Janę do jej pokoju. Leżała w tej samej pozycji co w chwili, gdy wsadził ją do samochodu. Otworzył drzwiczki i wziął na ręce jej lekkie jak piórko ciało. Gdy podszedł do drzwi, uprzytomnił sobie, że nie pamięta kodu do odblokowania systemu alarmowego, który niedawno zainstalowała Pithany. Potrząsnął Janą, tym razem mocniej. Bez reakcji. Opuściła głowę na jego ramię i głęboko westchnęła. Nie obudziła się. Zaniósł ją ostatecznie do domku gościnnego i z trudem otworzył drzwi, trzymając ją na rękach.

Zastanawiał się, gdzie ją położyć. Wreszcie ułożył ją na swoim łóżku. Będzie tam mogła spać aż do rana, pomyślał. Przykrył ją letnią kołdrą i podsunął pod głowę poduszkę. Przebrał się i poszedł do pokoju gościnnego. Zabrał ze sobą jasek i koc. Usiadł na sofie. Musiała wystarczyć na dzisiejszą noc.

Poszedł jeszcze na chwilę do łazienki. Kiedy wracał przez sypialnię, Janna niespokojnie rzuciła kołdrę. Miała twarz pogodną jak dziecko. Zbliżył się do niej i dotknął jej ust. Jej ciało było ciepłe i miękkie, a pełna grymasu zmarszczka na czole dodawała jej uroku. Wyglądała pięknie. Jej rozchylone usta były bardzo zmysłowe. Kuszące...

Na Boga! O czym ty myślisz, spytał sam siebie. Szybkim krokiem przeszedł do pokoju gościnnego. Położył się na sofie. Przecież Janna nie uważa mnie za atrakcyjnego mężczyznę. Jej intelektualnym wymaganiom może sprostać jedynie jakiś dupek w typie snoba-naukowca. Niewiele brakowało, by była jego.

Ale nie o to mu chodziło, nie o to, by się z nią przespać. Nie mógł zapomnieć o scenie przy murze. Pamiętał jej prowokujące spojrzenia i gorące pocałunki. Wydawało mu się, że jej na nim zależy, ale chyba tak nie było. Po prostu zalała się i miała na niego ochotę, zupełnie tak, jak inne kobiety, które znał.

Wiele kobiet pożądało go i chciało się do niego zbliżyć. Tylko jedna jedyna Amanda Janne kochała go naprawdę.

— Nie potrafisz się oprzeć zachciankom twojego fiuta! — wrzasnął Wielki Tony tak głośno, jakby chciał obudzić duchy „Miasta ciszy”.

Curt nie odzywał się, gdyż ojciec był niebezpiecznie rozzłoszczony. Widział to w jego oczach pełnych szału i nienawiści.

— Co ty sobie wyobrażałeś, traktując Janne w taki sposób. To jest dama i należy ją traktować z szacunkiem. Teraz zraziłeś ją do siebie raz na zawsze.

I o to Curtowi chodziło. W ten sposób zwykle pozbywał się kobiet, które ojciec wypatrzył mu na żonę. Wiedział, że prawdziwa brytyjska lady ma swoją dumę. Honor nie pozwoli jej na ponowne spotkanie z człowiekiem, który się do niej nieelegancko dobierał. Był pewien, że Janna będzie go unikać jak ognia. Gdyby nie zjawił się Jensen, wszystko poszłoby łatwiej. Curt nie wziął jednak pod uwagę faktu, że ojciec podglądał go zza egipskiego lustra. Sądził, że Tony będzie zajęty zabawianiem honorowego gościa, prezydenta Malty, a nie szpiegowaniem Janny.

— Sądzę, że mamy większe szanse, by uzyskać udziały Jensena — stwierdził Curt.

— Skąd ta pewność?

— Rhonda mówiła mi, że bardzo się na nią napalił.

Tony pokiwał niedowierzająco głową i powiedział:

— W każdym razie ja nie spocznę, dopóki nie uzyskam kontroli nad hotelami Pithany Crandall. Miałaś szansę, by mi w tym pomóc i przegapiłaś ją.

Curt zdenerwował się.

— Zobaczysz, że dostanę te pieprzone udziały od Jensena.

— Do tego czasu zejdz mi z oczu — skomentował obietnicę Tony. Curt zdecydowanym krokiem skierował się w stronę drzwi.

— I jeszcze coś. Pamiętaj o szczegółowym raporcie na temat Nicka Jensena. Chcę wiedzieć o nim wszystko, od chwili narodzin do dziś — dodał Tony, nie patrząc nawet na syna. Resztę nocy Curt spędził z Rhondą.

Janna obudziła się w środku nocy z dziwnym bólem głowy. Nie był to kac po alkoholu, lecz kac moralny. Przeczuwała, że zrobiła coś strasznego, coś, czego będzie żałować. Księżyc świecił niezmiennie i razem z gwiazdami był świadkiem tego, co wydarzyło się między nią a Nickiem. Ona sama nie pamiętała szczegółów, ale stopniowo odtwarzała w pamięci ubiegły wieczór. Zapach pościeli przypomniawszy jej o Nicku. Z ostatniego wieczoru pamiętała, jak spacerowali, jak go pocałowała...

Nagle zerwała się i usiadła na skraju łóżka. Mój Boże! Leżała w jego łóżku. Nie! Rozejrzała się dookoła. Oczy przyzwyczajały się stopniowo do ciemności. Na szczęście Nicka przy niej nie było. Z trwogą dotknęła piersi. Nadal miała na sobie wieczorową suknię. Nic złego się nie wydarzyło? Czy to możliwe? Położyła się z powrotem na pościeli, próbując uprzytomnić sobie, co się właściwie wydarzyło.

Pamiętała silne ramiona Nicka i ciepło jego ciała. Jego pocałunki były gorzkosłodkawe i zdawały się obiecywać o wiele więcej. Nie! To ona go całowała. On ani razu nie zbliżył swoich ust do niej. Ona mu się narzucała. Pamięć wróciła całkiem niespodziewanie i w szokującej postaci.

Miała wrażenie, że zachowała się jak prostytutka i na dodatek zrobiła z siebie idiotkę. Nigdy sobie tego nie wybaczy. Ale dlaczego zaczęła akurat Nicka? Przecież wcale go nie lubiła? Namawiała go, by oddał jej swoje udziały. Musiała być bardzo pijana, by wykorzystywać swoje ciało jako ostateczny argument. Wiedziała, że Nick mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął, na przykład Rhondę. Usiłowała sobie przypomnieć, ile kieliszków wina wypila. Tylko jeden. Czy to możliwe? Przecież nikt się nie upija jednym kieliszkiem wina. Ale ten dziwny smak... Czy to możliwe, żeby Curt Bradford wsypał jej coś do drinka, jakiś narkotyki lub afro-

dyzjak? Chyba tak... a może, zrzucając na niego winę, próbuje usprawiedliwić swoje zachowanie?

Dobrze, że to wszystko skończyło się w ten sposób. Mogło być gorzej. Czowała się zakłopotana i zawstydzona. W życiu nie pomyślałaby, że kiedykolwiek pocałuje Nicka Jensena. A właśnie, gdzie podziewał się Nick? Nawet nie chciała tego wiedzieć. Woląла uciec z domku gościnnego, zanim wróci. Wstała. Obok łóżka stały jej pantofle. Wzięła je do ręki i na palcach skierowała się do wyjścia. Przechodząc przez pokój gościnny usłyszała szmery.

— Dokąd idziesz? — spytał Nick, zapalając lampkę na stoliku przy sofie.

Janna odwróciła się i zobaczyła go siedzącego w dżinsach i podkoszulku na kanapie. Obok leżała Taxi.

— Do domu — szepnęła zawstydzona. Otworzyła drzwi i chciała już wyjść, ale przypomniała sobie, że przecież Nick ma udziały, które musi odzyskać. Jensen przybrał zatroskany wyraz twarzy.

Dopiero teraz Janna uzmysłowiła sobie, że Nick prawie zawsze chodził uśmiechnięty. Zrobiłaby w tej chwili wszystko, by zobaczyć na jego twarzy ten przeziły, trochę szelmowski, ale jakże pociągający zarazem uśmiech. Z ociąganiem spojrzała mu prosto w oczy.

— Chciałabym przeprosić... mam... mam nadzieję, że nie zachowałam się zbyt niegrzecznie i że nie sprawiłam ci wielkiego kłopotu...

Nick wyczuł w jej głosie wahanie. Zdecydował się powiedzieć coś, za co mógł dostać w twarz. — Sądziłaś, że jak się ze mną prześpisz, to dostaniesz moje udziały, prawda?

— Nie, naprawdę nie, to nie tak — odpowiedziała. Nick chciał w to uwierzyć, ale to nie była prawda.

— Chcę zdobyć te udziały, to się zgadza, ale nie w ten sposób. Ja nie pamiętam dokładnie, co się stało, za dużo wypiałam — powiedziała ze wstydem.

Nick powstrzymał się przed powiedzeniem czegoś złośliwego. Miał ogromną ochotę odegrać się za nieszczerłość Janny.

— Każdemu się zdarza — odparł wskazując miejsce koło siebie na kanapie. — Jeśli zaś już mówimy o udziałach... Ja nie mam zamiaru ich sprzedawać — dodał po chwili namysłu.

— Ale ja ci zapłacę...

— Nie jestem zainteresowany — przerwał jej. Taxi wskoczyła mu na kolana. Zaczęła ją głaskać.

Janna nie mogła uwierzyć w jego słowa. Czyżby chciał więcej pieniędzy?

— Pithany sprzedała te udziały Trevorowi, sądząc, że jej pomoże. Niestety, nie miał okazji. I dlatego ja chcę go zastąpić.

— Jaka jest twoja cena? — spytała zdecydowanym głosem.

— Żadne pieniądze nie zmienią mojego postanowienia — odpowiedział oschle, choć gdyby Janna dokładniej go słuchała, na pewno odkryłaby w jego słowach wyraźną nutę rozgoryczenia.

Nie za bardzo wiedziała, co zrobić. O co mu chodzi? — zastanawiała się. Przeczucie mówiło jej, że nie powinna się teraz od niego odsuwać. Zdobyła się na przyjacielski uśmiech. Och, jak bardzo go nienawidziła. Wstała i chciała wyjść.

— Poczekaj chwileczkę. Powiedz mi, co wiesz o Bradfordach? — Nick zadał niespodziewane pytanie.

— Nigdy nie spotkałam Anthony'ego Bradforda, a Curta poznałam dopiero wczoraj.

— Wiesz, jestem ciekaw. Są tak obrzydliwie bogaci, mają te swoje jachty, posiadłości, koncerny, na co im, do cholery, jeszcze hotele Pithany?

Marynarz niepewnym ruchem ręki poprawił włosy. Ściskając w jednej dłoni beret, przejrzał się w lustrze, nie wiedząc, że po drugiej stronie szkła stoi Curt. Młody Bradford przyglądał się uważnie opalonemu mężczyźnie o głupawym wyrazie twarzy. Rhonda weszła do salonu i zawołała marynarza.

— Chodź do mnie, słodziutki. Nie przyszedłeś tu, by ze mną rozmawiać.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Patrzył zdziwiony na Rhondę, która miała na sobie przewiewną jedwabną sukienkę. Podszedł do niej. Władczym ruchem ręki kazała mu koło siebie usiąść. Marynarz zaczął zdejmować spodnie.

— Po co ten pośpiech — szepnęła mu do ucha. Zdjęła jego przepoconą koszulę i położyła się na nim. Pieściła jego owłosioną klatkę piersiową. Mężczyzna podniecił się do tego stopnia, iż nie panując nad sobą, rzucił się na Rhondę, przewracając ją na plecy.

Curt obserwował każdy szczegół i czuł, jak jego penis rozpiera spodnie. Rozsunął rozprok i wyjął członka na zewnątrz. Mały napalony skurwysyn, myślał podniecając się patrzeniem na poczynania tych dwojga na sofie.

Nie po raz pierwszy Rhonda ściągała marynarzy na jacht Curta, by zabawiać się z nimi na oczach kochanka. Podobne erotyczne zabawy prowadzili od dawna, a ich ofiarami padali zwykle marynarze lub młodzi napaleni mężczyźni, którzy kręcili się pod domami prostytutek.

Rhonda zdjęła sukienkę, podczas gdy marynarz w pośpiechu ściągnął spodnie i slipki, po czym klęknął przy sofie.

Rhonda rozwarła uda, a on językiem drażnił ich wewnętrzną wrażliwą stronę. Przeciągała się jak kocica, mruczając z zadowolenia.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni i wyjął prezerwatywę. Niezgrabnie ujął ją w grube palce i założył na członka. Szybko położył się na Rhondzie, jakby obawiał się, że ucieknie, a podobna okazja nie trafiała się przecież zbyt często. Nauczony doświadczeniem, jakie wyniósł z różnych domów publicznych całego świata, młody marynarz sprawnie obracał Rhondę, kosztując z nią wszelkich możliwych pozycji i technik. Ich igraszkom zdawało się nie być końca. Curt czuł, jak rozszalałe pożądanie miesza się z nienawiścią i cierpieniem. Miał ochotę zabić swojego rywala, a z drugiej strony chętnie przyłączyłby się do niego. W jednej chwili wszedł do salonu i wrzasnął na młodego mężczyznę, który właśnie zaczynał szczytować.

— Ty skurwysynie! — złapał go za ramię i uderzył w twarz. Zaraz zjawili się goryle młodego Bradforda i wynieśli biednego marynarza. Chłopak nawet nie miał czasu się wytłumaczyć. Został tak zaskoczony, iż ledwo zdążył sięgnąć po swoje rzeczy. Dla niego mocne wrażenia wieczoru dopiero się zaczynały.

Curt spojrzał na Rhondę. Leżała śmiejąc się z całej sytuacji. Najwyraźniej wybuch zazdrości kochanka bawił ją. Przykryła się sukienką. Curt z furią rozerwał jedwabny materiał i potrząsnął Rhondą.

— Ty kurwo, żebyś mnie nigdy więcej nie zdradziła, słyszysz? To także należało do ich gry. Rhonda przytuliła się do niego.

— Chyba mamy mały problem — powiedziała. — Nick Jensen powiedział mi, że widział moje zdjęcie... z Trevorem.

— Niemożliwe — odparł Curt. Przeczował, że teksańczyk będzie kolejnym problemem. — Gdzie mógł je widzieć?

Rhonda spojrzała na Curta. Był zmartwiony i zdenerwowany.

— Powiedział, że widział je podczas pobytu w Teksasie, kiedy przyjechał na pogrzeb Trevora.

— Przecież Prescott nawet nie wiedział o istnieniu tego zdjęcia. Zrobiłem je za pomocą teleobiektywu z tej łajby — powiedział Curt. — Leżały w szufladzie.

— Już sprawdzałam. Jednego brakuje. Trevor posłał je ojcu przez pomyłkę — tłumaczyła Rhonda.

— Nie pieprz, to niemożliwe! — wrzasnął Curt.

— Pamiętasz, jak poprosił mnie, bym dała mu kilka zdjęć, na których jest jego jacht. Chciał pochwalić się ojcu. Wszystkie zdjęcia znajdowały się na tym samym filmie. Jedno się widocznie zawieruszyło albo ja musiałam je pomylić. A na dodatek byłam przy nim, gdy je wysyłał.

— Wspaniale — Curt cały trząsł się ze zdenerwowania.

— Kochanie bardzo mi przykro. Nie złość się na mnie. Wiesz, że cię kocham, ciebie jednego. To stało się przez pomyłkę.

Curt spojrzał na Rhondę. Był w stanie pobić każdego, ale ta kobieta stanowiła dla niego świętość. Nigdy jej nie uderzył ani nie zrobił awantury. Była jedyną osobą, która go kiedykolwiek kochała. Jedyną kobietą, którą on potrafił kochać.

— Nie martw się, skarbie. Zajmę się Nickiem Jensenem — powiedział, przytulając mocno Rhondę.

9.

Następnego ranka Janna spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i udała się na lotnisko. Wsiadła do pierwszego samolotu Air Malty, jaki odlatywał do Rzymu, i już parę godzin później znalazła się w willi Countessy d'Bianci, gdzie zatrzymała się Pithany wraz z Audrey i doktorem Osgoodem. Wyszli godzinę przed jej przybyciem, dlatego postanowiła poczekać na ciotkę Pithany w jej apartamencie. Przyglądała się ozdobnej fontannie, której strumienie sennie spływały po pnączach winorośli wyrzeźbionych w marmurze. Dopiero teraz poczuła zmęczenie i senność. Kilka godzin w łóżku Nicka było jedyną chwilą odpoczynku.

Przez cały czas gnębiło ją pytanie, dlaczego Curt podał jej środki odurzające. To pozostawało tajemnicą. Miała podobne co Nick zdanie i uważała, że ambicja zawładnięcia całą wyspą stała się obsesją Tony'ego Bradforda. Może Pithany mi to wreszcie wyjaśni, pomyślała. Przecież Bradfordowie mieli tak wiele przedsiębiorstw, własne hotele i udziały w innych koncernach. W ich nienawiści do ciotki kryło się coś więcej niż tylko chęć zysku. Dlaczego Pithany nie powie mi prawdy? Janna była przekonana, że ciotka coś przed nią ukrywa. Nurtowało ją wiele pytań, na które pragnęła usłyszeć wreszcie odpowiedź. Dlaczego ciotka wyjechała na pokaz psów akurat teraz, kiedy do otwarcia nowego hotelu pozostało zaledwie kilka dni? I dlaczego nawet nie spytała Nicka Jensena, czy nie chciałby odsprzedać swoich akcji? To wszystko

wydawało się bardzo tajemnicze i zaczynało denerwować Janę jako coś, co wymykało się spod jej kontroli.

Nagle drzwi otworzyły się i Pithany wmaszerowała energicznie do holu.

— Co ty tu robisz? Czy coś się stało, Nick... To znaczy w Blue Grotto? — spytała bardzo zaskoczona.

— Nie, wszystko w porządku. Przyjechałam, bo muszę z tobą porozmawiać o Bradfordach.

Pithany zamknęła drzwi, podeszła do Janny i obie usiadły na sofie.

— Co myślisz o Tonym Bradfordzie? — spytała.

— Nie poznałam go. Cały czas spędziłam z Curtem — Janna zawahała się przez moment. Zdecydowała się nie mówić ciotce całej historii. Nie chciała jej denerwować. — Odniosłam wrażenie, że Curt nie interesuje się zbytnio sprawą hoteli — dodała.

Pithany nie skomentowała tego.

— Przyleciałam, bo chcę wreszcie wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, dlaczego Wielki Tony chce mieć twoje hotele? — spytała zniecierpliwiona.

— To są teraz twoje hotele — szepnęła Pithany.

Janna wciąż nie rozumiała, dlaczego Pithany tak wcześnie zdecydowała się przekazać jej dorobek całego życia.

— Przecież hotele Crandall stanowiłyby zaledwie niewielką część jego potęgi finansowej. Dlaczego więc tak bardzo zależy mu na nich? Nick powiedział mi, ile zaproponowali mu za jego akcje. To była dwukrotnie większa suma od ceny rynkowej. — Spojrzała na zamyśloną twarz ciotki. — Powiedz mi, ciociu, szczerze, czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć? Przecież tu tak naprawdę nie chodzi o rywalizację, prawda?

— Rywalizację? — Pithany zamyśliła się. — Można to i tak nazwać, choć odpowiedniejszym słowem byłaby obsesja. Obsesją Anthony'ego Bradforda są pieniądze i władza.

— Czy doszło do jakiejś kłótni między wami? — spytała Janna.

— To zaczęło się już w czasie wojny — Pithany zawahała się przez moment. Wiedziała, że jeśli zacznie opowiadać, będzie musiała zdradzić całą prawdę. — Mussolini wypowiedział wojnę Anglii i Francji, chcąc w ten sposób zrobić wrażenie na Hitlerze. Nie miał odwagi przekroczyć włosko-francuskiej granicy i dlatego postanowił zbombardować Malte. Była to wtedy mało znacząca wyspa z półtuzinem starych samolotów myśliwskich do obrony. Możesz więc

sobie wyobrazić, jak bardzo się cieszyliśmy, gdy przyleciały samoloty RAF-u. Większość załogi stanowili cudowni chłopcy, bardzo odważni i szlachetni...

Dopiero teraz Janna skojarzyła, dlaczego w hotelach Pithany z tak wielkimi honorami przyjmowano żołnierzy, którzy podczas wojny bronili Malty. Wielu z nich przyjeżdżało do Valletty rokrocznie. Jak tylko w Anglii zaczynała się zima, uciekali na wyspę z jej słonecznymi plażami.

— Podczas wojny obowiązywały pewne ograniczenia, zwłaszcza w zaopatrzeniu wyspy. Racjonowano żywność i paliwo, a Malta była zależna od dostaw z za morza. Z nadzieją oczekiwano na statki. To właśnie wtedy zaczął działać Tony Bradford. Rozkręcił czarny rynek i stanął na jego czele. Sprowadzał żywność i sprzedawał ją za astronomiczne ceny, nie myśląc o ludziach biednych, którzy znaleźli się w największej potrzebie. Wydaje mi się, iż jest także odpowiedzialny za zniknięcie Kielicha Kleopatry, skarbu narodowego Malty. Nie chodzi nawet o jego wartość pieniężną. On był częścią historii tej wyspy. Mieszkańcy Malty dostali ten kielich od świętego Pawła w zamian za uratowanie mu życia. — Pithany przerwała na chwilę. Spojrzała na pierścionek, który nosiła od niepamiętnych czasów, i zamyśliła się. — Kiedyś, w czterdziestym pierwszym, zajął się tą sprawą pewien dziennikarz, Ian MacShane — dodała.

Sposób, w jaki wymówiła słowo „dziennikarz”, zwrócił uwagę Janny. Pithany mówiła spokojnie, ale jednocześnie z głębokim wzruszeniem. Nie miały przed sobą tajemnic, a jednak ciotka nigdy nie wspominała o tej osobie.

— Czy był twoim przyjacielem? — spytała Janna.

— Znaczył dla mnie o wiele więcej — szepnęła Pithany. — Kochałam go całym sercem. To była miłość, o jakiej marzy każda młoda kobieta. Te pięćdziesiąt lat nic nie zmieniły. Nadal go kocham.

Janna nigdy nie widziała ciotki aż tak wzruszonej.

— Gdzie on teraz jest? — Z fascynacją i zainteresowaniem Janna słuchała opowieści Pithany, która cofnęła się we wspomnieniach do grudnia 1941 roku:

Zbliżała się północ, a Pithany nadal siedziała w bunkrze, nasłuchując niemieckich komunikatów. Wokoło panowała cisza. Po starciu z armią brytyjską w Północnej Afryce oddziały Rommla zbierały siły do następnego natarcia. Zdjęła słuchawki i położyła je na stole obok odbiornika. Mogła zdrzemnąć się na chwilę, zanim przyjdzie jej zmiennik. Wołała odbywać służbę w ciągu dnia, gdy w eterze panował względny spokój. Rozmyślała wówczas o Ianie.

Odkąd rozpoczęła się kampania w Afryce, Pithany miała coraz więcej pracy. Komunikaty były liczniejsze i nadawane nowym kodem. Informacje przekazywała dowództwu wojskowemu Malty, które natychmiast podejmowało kroki w celu przygotowania obrony. Dzięki temu RAF wiedział dokładnie, gdzie stacjonują poszczególne jednostki i statki przeciwnika. Wszyscy przygotowywali się na odparcie inwazji, której spodziewano się w każdej chwili. Pithany tłumaczyła kod Morse'a z niemieckiego i włoskiego. Ponieważ doskonale potrafiła wychwytywać szczegóły, została wybrana do zapisywania i tłumaczenia komunikatów przesyłanych do głównego sztabu dowodzenia armii niemieckiej w Berlinie.

Nagrodą za długie godziny ciężkiej pracy w bunkrze były wieści od Iana. Do każdego meldunku radiowego dodawał zawsze hasło „sokół”. Dzięki temu Pithany wiedziała, gdzie jest jej ukochany i że nic mu się nie stało. Ostatnim razem dowiedziała się, że Ian przeniósł się z brytyjskiej bazy w Aleksandrii do Libii, na pierwszą linię frontu. Jego raporty można było usłyszeć w radiu BBC w Londynie. Wynikało z nich, że siedzi w okopach wraz z żołnierzami. Tego zawsze pragnął, przypominała sobie Pithany, zawsze chciał być tam, gdzie działo się najwięcej.

Kiedy nie musiała martwić się o Iana, przejmowała się losem ojca. Jak wielu mieszkańców wyspy, cierpiał na depresję. Odznaczał się kruchą konstrukcją psychiczną i żył w ciągłym strachu. Tę chorobę lekarze na wyspie nazwali „oczekiwaniem na bomby”. Objawiała się w ten sposób, iż podczas nalotu wszyscy cierpiący na tę fobię wychodzili z ukrycia i nie słysząc huku i świstu spacerowali po ulicach, czekając, aż któryś z pocisków będzie dla nich ostatni. Lekarze tłumaczyli to wyczerpaniem nerwowym na skutek nieustannego niebezpieczeństwa i ciągłych nalotów. Ojciec Pithany, jak i wielu innych, utracił zdolność do koncentracji i samokontroli. Mimo iż był dopiero po czterdziestce, wyglądał na starca. Pithany nie pozostawało nic innego jak troskliwie zaopiekować się nim i dziękować Bogu, że jej matka nie dożyła tych okropnych czasów.

Pewnego wieczoru, podczas służby, odebrała nietypowy komunikat. Najpierw sądziła, że jest to jeden z tych, który będzie trzeba przesłać do Anglii, do Bletchley Park, gdzie założono punkt rozszyfrowywania Enigmy. Pithany była jednak zbyt ambitna, by samej nie spróbować złamać kodu. Oczywiście nigdy jej się to nie udawało. Tym razem informacja przekazana na krótkich falach okazała się nie zakodowana. Nadana została w języku niemieckim z dziwnym akcentem. Po nagraniu komunikatu Pithany zaczęła się zastanawiać, dlaczego nadano go w takiej formie. Po chwili wahania zapaliła światło. Dokładnie wsłuchiwała się w słowa. Była zaskoczona. Komunikat okazał się relacją z ataku powietrznego na Pearl Harbor. Nie zgasiła na-

wet światła i natychmiast pobiegła w głąb korytarza do porucznika Williama Dobbie, głównodowodzącego na Malcie. Wyrwała go z drzemki i przekazała wiadomość.

— Jesteś pewna, że dobrze to zrozumiałaś? — spytał z niedowierzaniem. — Nigdy nie słyszałem o działaniach wojennych w Pearl Harbor.

Pithany po raz pierwszy słyszała tę nazwę. Wieczorem tego samego dnia cała wyspa wiedziała już, gdzie dokładnie jest Pearl Harbor i co tam się wydarzyło. Maltańczycy sympatyzowali z ludnością wysp hawajskich, znajdowali się bowiem w podobnej sytuacji. Byli także odizolowani i spodziewali się inwazji. Następnego dnia Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Japonii i cała Malta świętowała przyszłe zwycięstwo. Wszyscy byli pewni, że teraz alianci szybciej poradzą sobie z potęgą Niemiec.

Po kilku dniach nadeszły nowiny z Anglii. Brytyjczycy wzmocnili swoje oddziały w Afryce pod oblężonym Tobrukiem. „Sokół” był razem z nimi, na pierwszej linii frontu. Mieszkańcy Malty nie tracili nadziei. Nawet nietypowa pogoda nie pozbawiła ich dobrego humoru. Wiał lodowaty wiatr, zwany gregalem, który przyniósł ze sobą pierwszy w tym roku śnieg.

W Boże Narodzenie 1941 roku Pithany poszła wraz z ojcem do kościoła. Wszyscy, po ubierani najcieplej, jak tylko się dało, modlili się w skupieniu. Pithany pomyślała o mieszkańcach Leningradu, którzy umierali z głodu i zimna w oblężonym od września mieście. Mieli się nieporównywalnie gorzej od mieszkańców Malty. Pithany modliła się za wszystkie ofiary wojny, za tych, którzy przez nią cierpieli i umierali, a w szczególności za więźniów tak zwanych obozów „pracy”, które w rzeczywistości były obozami śmierci. Żona prezydenta Roosevelta, Eleonora, skierowała prośbę do strony niemieckiej o uwolnienie znanego psychologa Bruna Bettelheima z obozu w Dachau. Wielu nie wiedziało jeszcze o istnieniu podobnych miejsc kaźni.

Pithany błagała Boga o łaskę dla ojca i Iana, nawet jeśli miałyby zapłacić za nią własną śmiercią. Po nabożeństwie wracali razem ze znajomymi, trzymając w ręku świecę własnej roboty. Pithany spostrzegła nagle Tony'ego Bradforda. Kiwnął w jej stronę, by podeszła do niego. Przeprosiła na chwilę ojca i podbiegła do Bradforda. Był jak zawsze uśmiechnięty i przypominał jej cynicznego kapitana Hooka z legendy o Piotrusiu Panie. Malta także miała w swej historii takiego rozbójnika. Pirat Dragut żył czterysta lat temu, gdy wyspę oblegały wojska tureckie Sulejmana. Przyłączył się do rycerzy broniących Maltę i poległ w walce. Za to, że bronił wyspy, zostały mu wybaczone wszystkie grzechy. Oddając mu cześć, nazwano jego imieniem ma-

ły półwysep na wybrzeżu — Dragut Point on Marsamxett Harbor. Tony Bradford był dla Pithany jak ten pirat, złem koniecznym.

— Przygotuj dla mnie jutro kolację świąteczną — powiedział Tony. — Przyniosę koguta.

— Skąd weźmiesz koguta? — spytała zdenerwowana. Nikt z mieszkańców wyspy nie miał na święta koguta.

Tony uśmiechnął się, podkreślając jeszcze bardziej swoją pewność siebie.

— Nie jestem zainteresowana kolacją z tobą. Będziemy jeść zupę z puszki, jak wszyscy. Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć.

Wojskowa zupa nie była przysmakiem, ale Pithany nie przełknęłyby koguta, podczas gdy inni przymierali głodem. Zamierzała już odejść, gdy złapał ją za rękę i mocno ściskając zmusił, by spojrzała mu w oczy.

— MacShane nie wróci. Ale ja zamierzam tutaj zostać. Po wojnie Malta stanie się moim domem. Daj mi szansę.

Wyrwała się z jego uścisku i wróciła do ojca. Jej serce nie ulegało głosowi rozsądku. Wiedziała, że Ian może zginąć w walkach, a jeśli przeżyje, nie miała pewności, czy zechce do niej wrócić. Może złapie gdzieś jakąś dobrą pracę, pozna inną kobietę, która stanie się dla niego ważniejsza i zapomni o Pithany.

Już teraz mówiono o nim jako o jednym z dwóch najlepszych sprawozdawców wojennych. Może się zmienić... Wątpliwości Pithany wróciły. Wewnętrzna niepewność wydawała się czasem trudniejsza do zniesienia niż rzeczywistość wojenna.

Na początku stycznia 1942 roku Pithany miała kolejną nocną zmianę. Od dłuższego czasu nie słyszała żadnego komunikatu zakończonego hasłem „sokół”. Wiedziała jednak, że Ian nadal jest pod Tobrukiem, bowiem planowo, co tydzień, przysyłał sprawozdania z pola walki do radia BBC. To pozwalało jej wierzyć, że narzeczony żyje i jest zdrow. Coraz częściej zaczęły się pojawiać nie zakodowane niemieckie komunikaty. Zaniepokoiło to Pithany. Coś się szykuje, myślała. Nie pomyliła się i tym razem.

Niemcy wiedzieli, że Malta nasłuchuje ich meldunków, nie starali się więc ich nawet kodować, zwłaszcza gdy dotyczyły Malty. Tej nocy nagrała rozkaz Hitlera numer trzydzieści osiem do marszałka Kesselringa. Dotyczył nieprzyjaciela stacjonującego na Malcie i brzmiał: „Ma zostać zniszczony”.

Pithany odruchowo sięgnęła do kieszeni po pistolet, który zostawił jej Ian. Wiedziała, że Niemcy nie pozwolą, by wyspa ocalała, skoro stanowi bazę dla zbrojnych sił morskich i po-

wietrznych walczących pod Tobrukiem. Należało jeszcze tylko znaleźć odpowiedź na pytanie, w jaki sposób naziści będą chcieli zniszczyć Malte: dokonają inwazji czy ją doszczętnie zbombardują.

Zmiana Pithany dobiegła końca. Zaraz pobiegła wzdłuż podziemnego korytarza w kierunku wyjścia. Styczniowe słońce oślepiło ją. Szybkim ruchem sięgnęła po okulary słoneczne. Nagle blask słońca przysłonił jej cień jakiegoś mężczyzny. Nie widziała jego twarzy, ale mimo to jej serce zamarło na moment, a po chwili zaczęło bić jak oszalałe. Czy to Ian?

— Czy pani Crandall? — spytał mężczyzna.

— Tak, słucham — odpowiedziała zawiedziona.

— Mam dla pani list — nieznany mężczyzna sięgnął do kieszeni — od Iana MacShane'a.

Pithany odebrała ostrożnie kopertę, wiedząc, że i tak na razie nie będzie mogła go przeczytać. Jej oczy muszą przyzwyczać się do jasnego światła dnia.

— Czy pan go widział? Jak on się czuje? — spytała, patrząc na młodego żołnierza.

— Bardzo wychudł, ma brodę, ale żyje. Przewożę części zapasowe do samolotów RAF-u. MacShane poprosił mnie o przekazanie tego listu. Muszę już iść.

— Jak go spotkasz, przekaż mu, proszę, ode mnie wiadomość, że... Powiedz mu, że go kocham. I że czekam tutaj na niego.

Żołnierz pożegnał się i odszedł. Pithany sięgnęła po list i otworzyła kopertę. Ian napisał tylko kilka słów. Litery wyglądały tak, jakby pisało je dziecko.

Kochana Pithany

Najgorsze dopiero przed nami. Pilnuj pistoletu i nie rozstawaj się z nim. Pamiętaj, że zawsze będę cię kochać. Nic na tym szalonym świecie nie ma sensu oprócz miłości. Oddałbym wszystko, żeby być z tobą.

Na zawsze Twój Ian.

W oczach Pithany pojawiły się łzy. Przytuliła list do ust i zmrużyła powieki, błagając Boga o litość.

Wyczuła, że Ian dysponuje informacjami, których ona może się jedynie domyślać. Następnego dnia polecono Maltańczykom, by nie wychodzili ze schronów i zgromadzili w nich zapasy żywności. Pithany i jej współpracownicy otrzymali rozkaz, by w razie ataku zniszczyć radiodbiorniki i urządzenia wykorzystywane przez służby specjalne. Na obszarze całej Malty

w pełnej mobilizacji czekali fachowcy, którzy na rozkaz mieli rozmontować maszty nadawcze. Dzwony kościelne miały oznajmić jedynie inwazję, a nie, jak dotąd, każdorazowy nalot.

Luftwaffe zaczęła bombardować Maltę. Liczba nalotów wzrosła od dwóch dziennie do czterech lub więcej. Mieszkańcy wyspy nie mogli powrócić do domów. Zbierali się blisko wejścia do schronu i rozpalali ogniska, by się ogrzać. Pithany po skończonej służbie przyłączała się wraz z ojcem do obozowiska. Ojciec jakby nie zdawał sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Czytał „Times of Malta”, jedyną gazetę codzienną, która ukazywała się mimo nalotów. Kobiety starały się przyrządzić coś do jedzenia, a mężczyźni szukali wśród gruzów wszystkiego, co się nadawało na opał. Dopiero teraz Maltańczycy uzmysłowili sobie, jak minimalne są zapasy paliwa dla RAF-u.

Pithany starała się jak mogła dodać ojcu choć odrobinę otuchy, ale nie była w stanie przewyciężyć choroby, która powodowała coraz głębszą depresję. Jednocześnie musiała nabrać sił i przespać się parę godzin, by sprostać zadaniom, których się podjęła. Przesiadanie w chłodnym i ciemnym schronie wyczerpywało ją bezgranicznie, a świadomość, że wyjście poza bunkier nie oznacza już spokoju, pogarszało jej nastrój.

— Widzisz, Pithany Anne, naziści bombardują Maltę tak samo jak Londyn. Dlaczego? — pytał ojciec, czytając swoją gazetę.

Pithany tłumaczyła mu i wyjaśniała, ale wiedziała, że następnego dnia zapyta o to samo.

W marcu skończyły się zapasy żywności. Chleb, stanowiący podstawowy artykuł żywnościowy na Malcie, był pieczony pod nadzorem rządu, celem uniknięcia ewentualnych kradzieży. Smakował lepiej od chleba francuskiego, który przywożono od czasu do czasu, ale w chwili gdy zabrakło mąki i zaczęto zamiast niej stosować ziemniaki, stał się ciężko strawny. Mieszkańcy Malty nie mieli większego wyboru. Mogli jeść jeszcze fasolę i owoce opuncji. Niektórzy mężczyźni próbowali łowić ryby, nie mogli jednak wypłynąć na zaminowaną zatokę, gdyż ryzykowaliby życiem.

Piętnastego kwietnia porucznik Dobbie zwołał wszystkich ocalałych mieszkańców wyspy na plac Świętego Jana. Przed wojną w miejscu tym odbywały się targi, na których handlowano przywożonymi zza morza towarami. Dziś jednak, gdy Pithany wmieszana w tłum zebranych patrzyła na porucznika, nic już nie przypominało dawnego placu, który tętnił życiem aż do późnych godzin nocnych. Jedynie stara barokowa katedra Świętego Jana ocalała cudem.

Liczba przybyłych była imponująca, biorąc pod uwagę naloty i blokadę. Jak dotąd nikt nie umarł z głodu, ale wielu było bardzo osłabionych i cierpiało na szkorbut. Wszystkich łączyła jednak nadzieja i solidarność. Pithany czuła z tego powodu dumę.

— Mam zaszczyt przekazać wam słowa króla Jerzego VI — krzyknął Dobbie przez megafon. — Przyznaję w jego imieniu wszystkim mieszkańcom Malty Krzyż Honorowy Króla Jerzego za odwagę i poświęcenie, które będzie po wsze czasy dowodem szlachetności obywateli tej wyspy. Historia o tym nie zapomni — przerwał na chwilę porucznik. — Pozwólcie, że wam przypomnę słowa królowej Elżbiety I wypowiedziane podczas najazdu wojsk imperium islamskiego: „Jeśli Turcy zwyciężą, to cały świat chrześcijański stanie w obliczu zagłady”. Dobbie podniósł rękę, by uspokoić klaszczący tłum.

— Mógłbym mówić wiele, ale sądzę, że komandor marynarki wojennej Nelson uczestniczący w bitwie o Trafalgar, walczący z połączonymi siłami francusko-hiszpańskimi, wyraził się najdobitniej: „Anglia oczekuje, że każdy człowiek spełni wobec niej swój obowiązek”. My, tutaj na Malcie, znamy swój obowiązek. Świat liczy na nas. Postarajmy się go nie zawieść.

Ponownie rozległa się burza oklasków. Najwyraźniej ludzie w ekstremalnych warunkach potrzebują wzniosłych haseł. Pithany szepnęła do ojca:

— Król odznaczył nas za to, że wytrzymałszy sto dni nalotów. Nawet Londyn nie był obiektem takiego bombardowania. Nigdy dotąd nie spadło tyle ton materiałów wybuchowych na jedno miejsce.

— Nie wierz w to. To odznaczenie to tylko marne pocieszenie. Koniec wojny nie nastąpi tak szybko, jak im się wydaje — powiedział ojciec. Od jakiegoś czasu przekonany był o nadchodzącej zagładzie nie tylko Malty, ale całego świata.

Pithany nie odpowiedziała. Sama nie wiedziała już czy to przebłyski jego świadomości, czy może te słowa miały świadczyć o nasilającej się chorobie. Jednego była pewna: jeśli natychmiast nie wywiezie go z wyspy, choroba może nigdy nie ustąpić.

Pithany pożegnała się z ojcem i poszła w stronę bunkrów. Po drodze zaczepił ją Tony Bradford.

— Słyszałem, że ojciec czuje się z dnia na dzień gorzej, bardzo mi przykro. Może ci jakoś pomóc?

Pithany szła dalej, udając, że nie przywiązuje uwagi do jego słów.

— Na pewno czułby się lepiej na wyspie Gozo — dodał Tony, przerywając milczenie.

— Wszyscy czulibyśmy się lepiej na Gozo, nieprawdaż? — spytała ironicznie Pithany.

Republika Malty składała się z trzech wysp: Malty, Gozo i Comino. Tę ostatnią, najmniejszą, można było obejść dookoła w dwie godziny. Przed wojną stanowiła cel niedzielnych wycieczek i miejsce spotkań młodzieży. Natomiast Gozo była większa i podczas działań wojennych stała się oazą spokoju. Ponieważ nie zainstalowano na niej żadnych dział wojskowych czy radarów i nie pełniła roli bazy wojskowej, Niemcy nie tracili bomb na wyspę, która nie stanowiła punktu strategicznego. Na Gozo uciekali mieszkańcy Malty, którzy byli chorzy, ranni i potrzebowali spokoju, a także większość kobiet i dzieci.

— Ja mogę go tam zawieźć — powiedział dumnie Tony, podkreślając słowo „ja”.

Pithany przystanęła. Pomyślała, że to jest może jedyna szansa, by uratować ojca. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że nie ma pieniędzy, by opłacić przewóz.

— Ile to będzie kosztować? — spytała wreszcie.

— Nic — odpowiedział Tony, patrząc jej prosto w oczy.

Pithany nie wierzyła mu. Anthony Bradford nie robił niczego za darmo. O co mu więc chodziło? Czego chciał? To może być jedyna okazja uratowania ojca. Z dala od hałasu bomb i życia w schronie mógłby wrócić do normalności.

— Kiedy byś to załatwił?

— Jutro w nocy — odpowiedział Tony z uśmiechem. Wyraz jego twarzy mówił jakby: „każdy ma swoją cenę”. Pithany nie znosiła tego uśmiechu.

Następnego dnia rozpoczęły się przygotowania. Wczesnym rankiem wyruszyli w trójkę do Marfa Point. Z powodu braku paliwa nie mogli jechać wojskowym dżipem i dlatego wynajęli furmankę z woźnicą. Pogoda była brzydka. Wilgotna mgła podnosiła się znad pokrytych rosą traw. Pithany starała się podczas jazdy rozmawiać z ojcem, niestety bezskutecznie. Przeczuciwała, że widzi go po raz ostatni. Był zamknięty w sobie, a w jego oczach widziała strach i niepewność. Bardzo się o niego bała. Wiedziała, że przepłynięcie wąskim nie zaminowanym kanałem łączącym Maltę z Gozo jest nie lada wyczynem. Dla kapitana łodzi oznaczało to życie lub śmierć. Na Gozo czekali na ojca co prawda starzy przyjaciele, ale nie było tam nikogo, kto by go kochał.

Myśli Pithany powróciły ponownie do Iana. Uzmysłowiła sobie, że on nigdy nie miał okazji poznać prawdziwego piękna tej wyspy, jej krajobrazów i cudownych plaż. Znał tylko Vallettę. Był przecież tak krótko...

— Nie! Jedziemy w złym kierunku — krzyknął nagle ojciec.

— Tato, pamiętaj, wszystkie znaki i drogowskazy są poustawiane specjalnie w odwrotnym kierunku. My wiemy, jak mamy jechać, ale wróg nie będzie wiedział. We Francji także zastosowano taką pułapkę. To zmyliło Niemców i naraziło ich na poważne straty. Kiedy wylądują tutaj... — Pithany przerwała. Ojciec spojrział na nią z przerażeniem. Znała ten wzrok pełen obaw i lęku.

Podróż z Valletty do Marfa Point zajęła im prawie cały dzień.

Samochodem trwałoby to oczywiście o wiele krócej, ale za to jadąc powozem Pithany czuła się jak na wycieczce. Od dawna nie opuszczała miasta. Teraz miała okazję podziwiać nadchodzącą wiosnę na wsi. Robiło się stopniowo ciepło, a delikatne promienie słońca grzały ich zmęczone i blade twarze. Wokoło rozkwitały polne kwiaty i zieleń się trawy. Zdawało się, że przyroda lekceważy wojnę i rządzi się swoimi prawami.

Marfa Point wyłoniło się przed nimi spoza skalistego wzgórza. Moło zostało poważnie zniszczone i nie przypominało w niczym przystani promowej z dawnych lat.

— Spójrzcie, czarne wrony — powiedział Tony żargonem pilotów.

Zeskoczył z wozu razem z Pithany, a następnie pomógł jej ojcu, mimo iż ten dawał sobie sam świetnie radę. Wraz z woźnicą schowali się za olbrzymią skałą. Nadlatujący samolot bardzo zniżył lot i zaczął ich ostrzeliwać.

— Skurwysyn! — krzyknął Tony, gdy już było po wszystkim. — Zobaczcie, ile marnują naboju, szkopy.

Nie zdążyli wyjść z ukrycia, gdy nadleciała następna „wrona”, nurkując jeszcze niżej. Pithany zdążyła jedynie spostrzec osła, który przed chwilą ciągnął wóz, a teraz leżał ranny na drodze.

Nierozumne zwierzę poruszało głową broniąc się przed śmiercią. Czuło wokoło własną krew. Jeszcze kilka niezgrabnych ruchów i... zamknęło oczy. Ostatnim krzykiem, prawie ludzkim w brzmieniu, oznajmiło swój koniec.

Pithany płakała. Widziała już nieraz śmierć i wiedziała co to ból. Ale najokrutniejsze wydawało jej się brutalne ingerowanie w prawa przyrody, która nie mogła się bronić. Uzmysłowiła sobie, że wojna jest czymś więcej niż tylko zabijaniem człowieka przez innego człowieka. Jest sprzeciwem wobec natury i niszczycielskim działaniem wymierzonym przeciw cywilizacji. Jest zwycięstwem głupoty nad mądrością i zła nad dobrem.

Gdy już ostatni samolot odleciał i na niebie zapanował znów spokój, wyszli na drogę. Pithany patrzyła na martwe zwierzę i ocierała łzy, które na nowo napływały jej do oczu.

— Sprowadź rzeźnika z Biskry, ale szybko — zawołał Tony do woźnicy.

— Przecież nie możesz poświęcić biednego osła — powiedziała Pithany, zapominając na moment, że na Malcie panuje głód.

— Wolisz, żeby ludzie umierali z głodu? — spytał zdenerwowany Tony.

Pithany przecząco pokręciła głową. Wiedziała dokładnie, co czeka osła. Zostanie pokrojony na kawałki i nawet jego kości zostaną sprzedane na czarnym rynku. Tony nie potrafił przepuścić takiej okazji. Wiedział dokładnie, ile zarobi i że interes wart jest zachodu.

Ludzie jedli wszystko, co się dało. Kilka dni temu Pithany zobaczyła na rynku mężczyznę, który sprzedawał królika. Była pewna, że to zabite zwierzę dziwnie przypomina kota. Zwierzęta domowe już dawno zniknęły z ulic Valletty.

Ojciec podszedł do Pithany i objął ją ramieniem.

— Nigdy nie zapomnę Niemców i ich okrucieństwa — szepnęła do niego. — Zmusili nas do tego, że jemy zwierzęta, które nam służyły i były naszymi towarzyszami życia.

Oboje zeszli na molo. Słyszeli w oddali huki i widzieli błyski rozjaśniające horyzont. Bombardowano Vallettę. Po raz pierwszy od miesiący ojciec zachowywał się inaczej. Chciał rozmawiać o dawnych czasach i nie bał się. Tak, był wyjątkowo spokojny. Opowiadał o matce, o ich wspólnych obiadach, o urządzaniu mieszkania w Valletcie.

— Życie było wtedy o wiele prostsze — powiedział.

Pithany bardzo dobrze pamiętała te szczęśliwe chwile. Przypominała sobie często Audrey, która za wszelką cenę chciała zwrócić na siebie uwagę wszystkich. Pamiętała każdy szczegół twarzy matki, choć wychowywała ją tylko kilka lat...

— Czy tęsknisz jeszcze za mamą? — spytała Pithany.

Ojciec po śmierci matki przez długi czas nie mógł dojść do siebie. Wpadł w głęboką depresję.

— Do dziś za nią tęsknię. Jeśli kogoś kocha się tak mocno, to nigdy się o nim nie zapomni, nawet gdy minie tyle lat — odpowiedział uśmiechając się. — Ale twoja matka nie odeszła na zawsze. Pozostała w tobie i Audrey. Wszyscy żyjemy dalej dzięki naszym dzieciom. Taka jest już zasada. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo byłaś mi pomocna w wychowywaniu Audrey, gdy Emily umarła.

Pithany przytuliła się do ojca. Tak bardzo pragnęła, by zawsze był taki. Może popełnia błąd, wysyłając go na Gozo?

— Jesteś jak twoja matka. Masz włosy, oczy i siłę Emily Crandall. To odziedziczyłaś po niej. Ona o wiele lepiej znosiłaby tę wojnę niż ja...

— Wszystko będzie dobrze, ojciec. Obiecuję. Na Gozo jest więcej żywności, a przede wszystkim jest spokój, którego tak potrzebujesz. Będziesz tam bezpieczny.

— Doceniam to, co dla mnie robisz. Dajesz mi szansę przeżycia. Mam nadzieję, że nie zapłacisz za to zbyt wysokiej ceny — powiedział, patrząc przez jej ramię na Anthony'ego Bradora.

Pithany starała się o tym nie myśleć, choć przychodziło jej to z trudem. Nie chciała pozwolić, by obecność Tony'ego w jej myślach zepsuła ostatnie chwile z ojcem. Z mroku chyłającego się nad morzem wyłoniła się łódź. Jeszcze kilka minut i ojciec odpłynie. Być może nigdy więcej go nie zobaczy... Dopiero teraz, gdy zdała sobie sprawę, że musi się z nim rozstać, odezwał się w niej głos małej dziewczynki wołającej „tato, nie opuszczaj mnie!”

Przytulili się do siebie ponownie, ale tym razem oboje wiedzieli, że jest to pożegnanie na długi czas. Pithany miała tylko nadzieję, że łódź szczęśliwie ominie wszystkie miny i że ojciec cały i zdrowy dotrze na wyspę. Wolnym krokiem szli wzdłuż mola do podpływającej łodzi. Pithany płakała. Łzy dziejów. Kobiety i mężczyźni zegnający się być może na zawsze. Rozdzieleni przez wojnę, której nie są winni, a która żąda ich życia i wymaga poświęcenia, podczas gdy oni jej nienawidzą. Wielu z nich zginie na froncie, inni z głodu, a jeszcze inni w obozach. Wojna pochłonie dużo cierpienia i bólu, ale świat pozostanie niezmienny. Ojciec podał jej chusteczkę.

— Obiecuj mi, że zaopiekujesz się Audrey — powiedział wchodząc na pokład.

Pithany została na molo.

— Nie martw się, zaopiekuję się nią — odpowiedziała. Była szczęśliwa, że przynajmniej jej siostra jest w miarę bezpieczna w Anglii wraz z rodziną Athertonów.

— Jeśli miałyby się coś stać jednemu z nas, pamiętaj, córko, że nawet śmierć nie jest w stanie rozdzielić kochających się ludzi. Oni pozostają w twoim sercu na zawsze, żyją dalej dzięki tym, którzy o nich pamiętają i ich kochają.

10.

Gdy Pithany i Tony dojeżdżali do Valletty, słońce stało już wysoko na niebie i ogrzewało ziemię ciepłymi promieniami. Jeszcze w Marfa Point Bradford załatwił nową furmankę, dzięki czemu mogli wrócić. Z tyłu za nimi znajdował się poćwiartowany osioł na sprzedaż i kilka worków z jarzynami przywiezionymi na łodzi z Gozo. Zanim wjechali do miasta, zatrzymali się przed starym magazynem, gdzie kilku mężczyzn wyładowało towar.

— Dlaczego nie przekażesz tej żywności ojcu Cippi? — pytała Pithany, mając nadzieję, że Tony odda swoją zdobycz najbiedniejszym.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można jeść mięso osła. Wiedziała jednak, że mieszkańcy wyspy od miesięcy cierpieli głód i już dawno przestali się zastanawiać nad tym, co jedzą.

— On podzieliliby to sprawiedliwie — dodała.

Tony uśmiechnął się zalotnie. Bez względu na sytuację, zawsze uśmiechał się w ten sam sposób, trochę bezczelny, trochę natrętny.

— Oszalałaś. Nic bym z tego nie miał. Sprzedam i zarobię.

Pithany nawet się nie odezwała. Nie miała wątpliwości, jakim człowiekiem był Anthony Bradford. Odeszła kilka kroków na bok i patrzyła przed siebie, zaciskając zęby.

Nie mogła znieść widoku krwawych pości mięsa. Wciąż miała w pamięci obraz biednego osła, który niczego nie przeczuwając, ufnie pozwalał prowadzić się przyszłemu oprawcy. Nawet nie myślała o tym, że teraz została sama na Malcie. Nie czuła z tego powodu smutku. Ojciec odpływając uśmiechał się do niej tak serdecznie. Widziała jego płową głowę w oddali i modliła się w myślach, by szczęśliwie dotarł do Gozo. Łodzi udało się dopłynąć do brzegu bez większych przeszkód. To uspokoiło Pithany. Teraz wiedziała, że dwie z trzech najbliższych jej osób są bezpieczne.

Tony wyszedł z magazynu i podszedł do niej.

— Chodź, musimy złapać jakąś okazję. Za dwie godziny zaczyna się moja służba.

Podeszli kawałek do głównej drogi prowadzącej do centrum miasta. Jechały tamtędy kolumny samochodów ciężarowych z żywnością i amunicją w kierunku bazy RAF-u. Bradford zatrzymał jeden z nich.

— Tony, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna — Pithany starała się zachować pozory, nie lubiła bowiem młodego Bradforda. Zdarzenia ostatniej doby utrwaliły w niej

negatywną opinię o nim i wzbudziły jeszcze większą antypatię. — Naprawdę, nie wiem, jak ci dziękować — dodała.

Dla niej była to zwykła formułka grzecznościowa, ale Tony zrozumiał to po swojemu.

— W piątek mam wolne. Wpadnę po ciebie o piątej — powiedział zdecydowanym tonem.

— Jestem zajęta...

— Zamień sobie służbę! Mogę się zabrać? — spytał kierowcy ciężarówki, lekceważąc odpowiedź Pithany. Szybko wskoczył do wozu i bez słowa odjechał. Kłęby kurzu, wydobywające się spod kół, zasłoniły jej twarz Tony'ego. Nie zdążyła mu powiedzieć, że nie ma dla niego czasu ani w piątek, ani w inny dzień. Wolnym krokiem poszła w kierunku schronu. Trudno było bowiem mówić o tym miejscu jak o mieszkaniu czy domu rodzinnym. Było to po prostu schronisko. Na szczęście miała jeszcze przed służbą kilka godzin wolnego czasu.

Dopiero po chwili zrozumiała, jaka jest cena za pomoc, którą Tony ofiarował jej ojcu. Romans? Nie, chyba raczej chodzi o seks. Pithany zastanawiała się, co ma zrobić, jak zachować się w stosunku do Bradforda. Nie rozumiała, dlaczego jest zainteresowany akurat nią. W Valletcie mieszkało dużo innych dziewcząt, o wiele ładniejszych i łatwiejszych do zdobycia. Dlaczego Tony wybrał sobie właśnie ją? Jeszcze zanim pojawił się Ian, Bradford zawsze ją zaczepiał i był dla niej szczególnie miły, nawet nazbyt miły. Dlaczego? Nadszedł piątek wieczór, a Pithany wciąż nie знаła odpowiedzi. Specjalnie nie poprosiła zmiennika, by ten zastąpił ją tego popołudnia na służbie. Sądziła, że ostentacyjnie lekceważącym postępowaniem zniechęci Tony'ego. Gdy wyszła z bunkra, blady księżyc przywitał ją swym sennym blaskiem. Lubiła kończyć zmianę wieczorem, mogła wtedy bowiem uniknąć bolesnego dla oczu światła słonecznego. Nagle jakiś duży cień przesłonił delikatny blask księżyca.

— Mówiłem, żebyś zamieniła się z kimś służbą — usłyszała groźny głos Tony'ego Bradforda...

Pamiętając o tym, co Tony zrobił dla jej ojca, starała się opanować złość.

— Nawet nie pozwoliłeś mi wytłumaczyć, dlaczego nie mogę się z tobą spotykać — powiedziała spokojnie.

— O czym ty, do cholery, mówisz? Dlaczego?

— Jestem zaręczona z Ianem MacShane'em i mam zamiar wyjść za niego — krzyknęła mu prosto w twarz, pokazując obrączkę.

Tony zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Jego twarz przylegała do jej policzka.

— Nie. Tak nie będzie. Wyjdiesz za mnie za męż. Jesteśmy dla siebie stworzeni...

Pithany zaczęła się szamotać i po chwili wyrwała się z jego natarczywego uścisku.

— Ja kocham Iana. Nigdy nikogo innego nie pokocham. Nie mogę za ciebie wyjść!

— Nie masz wyboru, musiszz... — powiedział i odszedł kilka kroków.

Pithany poczuła się zagrożona. Nie rozumiała, dlaczego musiałyby wychodzić za niego za męż, akurat za niego...

— Dlaczego ja, dlaczego nie jakaś inna dziewczyna na wyspie? Dlaczego wybrałeś akurat mnie? — krzyczała do Tony'ego.

— Żadna z nich nie nosi nazwiska Crandall, Crandall z Devonshire, nieprawdaż? — spytał beczelnie.

Pithany zamarło serce. Była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Jej ojciec był najmłodszym synem barona Chilton, Olivera Crandall. Historia przodków rodziny Crandall sięgała czasów normañskich. Podczas wojny, kiedy Pithany pracowała dla wywiadu, jej młodsza siostra Audrey znalazła schronienie u Athertonów, jednej z najbardziej znaczących i wpływowych rodzin w całej Anglii. Obecna głowa rodu, Cedric Atherton, lord Lyforthu, był starym przyjacielem Crandallów. Crandallowie dzięki swej pozycji mieli wstęp do wszystkich elitarnych stowarzyszeń i klubów. Ród Crandallów od dawna robił interesy na Malcie. Na wyspie mieszkał zawsze jeden z synów głowy rodu i opiekował się rodzinnym biznesem. Inwestycje rodzinne na Malcie przynosiły zyski, przedsiębiorstwa prosperowały wyśmienicie, ale w rodzinie zaczynało brakować potomków płci męskiej. Tylko oni dziedziczyli i tylko oni mogli przejąć interesy. Niektórzy twierdzili, że powodem jest jakaś klątwa rzucona wieki temu przez zakon kawalerów maltańskich. Nikt jednak nie chciał wierzyć w stare legendy.

Ojciec Pithany został wysłany na Malte, by przejąć zarządzanie firmą po swoim bezdzietnym wujku. Nigel Crandall miał jeszcze dwóch braci. Oczekiwano, że choć jeden z nich sprosta zadaniu i spłodzi męskiego spadkobiercę. Jak na złość we wszystkich trzech przypadkach Crandallom urodziły się dziewczynki. Wujkowie Pithany zmarli przed wojną, więc nie można było liczyć na nowe potomstwo, a z kolei ojciec Pithany na pewno nie miał zamiaru żenić się ponownie. I takim trafem Pithany Anne Crandall stała się jedyną spadkobierczynią majątku i posiadłości rodzinnych na Malcie, jak również odziedziczyła pozycję towarzyską i konksje wśród elit Anglii.

— Mogę zająć się interesami twego ojca — powiedział Tony. Starał się, by jego głos brzmiał delikatnie i zmysłowo. Podszedł do niej i troskliwie odgarnął palcami włosy z jej czoła. — Ty masz klasę i to cenię. Nasze dzieci będziemy kształcić w Anglii.

— Nie. Nigdy za ciebie nie wyjdę, nigdy — odparła z naciskiem Pithany.

— Chyba nie sądzisz, że jestem jedyną osobą, która poluje na ciebie z tych samych względów. A myślisz, że dlaczego MacShane chciał się z tobą ożenić? Może i znalazłby po wojnie jakąś pracę, ale jego dzieci nie miałyby tytułów i nie studiowałyby w Eton czy Harrow, chyba... że namówi ciebie do małżeństwa... osobę, jak to się mówi, dobrze urodzoną...

Pithany obróciła się na pięcie i poszła wzdłuż wąskiej uliczki, po której spacerowała z Ianem. To nieprawda, co mówił Tony, Ian nie był taki wyrachowany, taki zimny... On ją kochał... Pithany miała pewne wątpliwości, czy Ian w ogóle zamierza do niej wrócić, ale list, który otrzymała od niego, rozwiał wszelkie wątpliwości. Poprosił w nim o jej rękę, nie dla pozycji społecznej, ale dlatego, że ją szczerze i bezgranicznie kochał.

Jedną z cech charakteru, którą Pithany ceniła u Iana najbardziej, była właśnie uczciwość i prawdomówność.

Podczas swoich cotygodniowych raportów radiowych Ian podkreślał odwagę i oddanie żołnierzy. Nigdy nie stosował tanich chwytów dla zyskania popularności. To, o czym mówił, widział na własne oczy, uczestniczył w tym ciałem i duszą. Jego programy nie były więc gołosłowne i emfaticzne, lecz szczerze i prostolinijne. Ian nigdy nie zachowałby się tak, jak to uczynił Tony.

Nigdy nie sprzedałby oślego mięsa, lecz oddał je biednym i potrzebującym. Gdyby, jak początkowo sądziła, Ian zbliżył się do niej tylko po to, by uzyskać tajne informacje, na pewno wyczułaby fałsz w jego zachowaniu. Ale przecież Ian nigdy jej o nic nie wypytywał.

Pithany nie widywała się z Tonym Bradfordem przez następne kilka tygodni. Cały czas zastanawiała się, jak poprosić Tony'ego, by oddał jej pistolet Iana, który pożyczyła mu, by dobił biednego osła, wtedy w Marfa Point. Czas na Malcie mierzono kolejnymi sukcesami lub porażkami armii niemieckiej. Na wiosnę oddziały Rommla zepchnęły siły brytyjskie w okolice Tobruku, ostatniej broniącej się jeszcze twierdzy. Ludzie na wyspie powtarzali, że jeśli padnie Tobruk, Malta będzie następna w kolejności.

W drugiej połowie czerwca, pięknego słonecznego dnia, Pithany prała swoje rzeczy w deszczówce, którą zbierała przez tygodnie w starej balii. Nagle usłyszała głos gazeciarza, sprzedającego „The Times of Malta”:

— Wydanie specjalne! Wydanie specjalne! Czytajcie! Rommel przełamał obronę Tobruku!

Pithany natychmiast zostawiła pranie i boso pobiegła do dowódcy. Po drodze skaleczyła się w stopę. Kulejąc wbiegła do labiryntu korytarzy, którymi dotarła do sztabu. W pomieszczeniu pracowało kilka osób, nagrywając komunikaty. Nadzorujący podporucznik przywołał Pithany do siebie.

— Siadaj i zabieraj się do pracy, tu są twoje słuchawki. Jeśli Tobruk padnie, my jesteśmy następni — powiedział poważnym tonem.

Pithany bez chwili zastanowienia założyła słuchawki na uszy i włączyła urządzenie. Jakość odbioru była fatalna, szum i trzaski uniemożliwiały zrozumienie czegokolwiek. Wyłączyła sprzęt i uderzyła skrzynkę pięścią. Najczęściej to pomagało. Ponownie włączyła, ale jakość odbioru była taka sama. Dopiero po chwili zrozumiała, że powodem jest skomasowanie kilku radiodiodobiorników w jednym pomieszczeniu. Starła się skoncentrować i mimo zakłóceń zrozumieć treść przekazywanych meldunków.

Modliła się w głębi duszy za brytyjskich żołnierzy walczących z siłami Rommla i za Iana. Gdzie znajdował się teraz Ian MacShane? Z pewnością schronił się w jakiejś kryjówce, by nadać przez radio raport o toczących się walkach. Opisz wszystko szczegółowo.

Znała jego kompleksy. Ian nie potrafił pogodzić się z faktem, że nie może służyć ojczyźnie, broniąc jej jako żołnierz. Niefortunny wypadek w dzieciństwie uniemożliwił mu to na zawsze. Teraz z ogromnym oddaniem „walczył” jako dziennikarz. Potrzebny jest każdy odważny człowiek — w mundurze czy bez.

Ten dzień okazał się najdłuższym dniem w jej życiu. Nieprzerwane nasłuchiwanie meldunków wyczerpywało ją coraz bardziej z godziny na godzinę. Starła się nie myśleć o Ianie i skupić na komunikatach, ale serce dyktowało jej coś zgoła odmiennego.

Przeszłe zdarzenia pojawiały się w jej myślach. Wyobrażała sobie niebieskie oczy Iana i jego niepowtarzalny uśmiech. Godziny mijały, a Pithany nadal siedziała ze słuchawkami na uszach, rozszyfrowując informacje. Przerazał ją *blitzkrieg* Rommla i jego zwycięstwa. Gdy następnego ranka wzeszło słońce, Pithany знаła już wynik walk: druzgocąca klęska. Mimo iż przegrana Brytyjczyków była oczywista, nie chcieli się poddać. Cztery godziny później zostali zmuszeni do podpisania aktu kapitulacji.

W bunkrze zapanowała grobowa cisza. Nikt nie myślał o zgaszeniu światła i oszczędzaniu ropy. Po chwili dowodzący otrząsnął się z zamyślenia i polecił wznowić nasłuchiwanie

niemieckich komunikatów. Dowództwo obrony Malty musi znać dokładną datę inwazji, by w porę zniszczyć drogocenny sprzęt i przygotować plan obrony. Pithany tak bardzo chciała usłyszeć w słuchawkach hasło „sokół” i upewnić się, że z Ianem wszystko dobrze. A jeśli znajdował się wśród tysięcy więźniów?

— Wiem, Pithany, że pracowałaś już ponad dobę, ale teraz potrzebuję ciebie jeszcze bardziej. Czy dasz radę? — spytał podporucznik.

Pithany przytaknęła.

— Wyłapuj informacje dotyczące ruchów poszczególnych statków. Poinformuj mnie, który z naszych okrętów płynie w stronę Malty — dodał po chwili.

Pithany uważnie wsłuchiwała się w treść przekazów radiowych w nadziei, że może jakaś drobna informacja pozwoli jej dowiedzieć się, czy Ian miał szansę uciec z Tobruku na pokładzie jakiegoś statku. Jednak Brytyjczycy bronili miasta do ostatniej chwili, a gdy nadszedł koniec, wybrali honorową kapitulację zamiast tchórzliwej ucieczki. Z pewnością tylko wybranym udało się uciec na statku czy łodzi, zanim Niemcy przejęli miasto. Tuż po wypłynięciu z portu w Tobruku nieliczne statki z uciekinierami nadały pojedyncze meldunki i potem zamilkły, by nie zostać wytropione przez niemieckie U-booty. Pithany wywnioskowała, że większość z tych statków płynie w kierunku Gibraltaru, pomimo że krótsza droga prowadziła na Maltę. Oznaczało to, że armia brytyjska nie udzieli pomocy wyspie. Pithany odruchowo włożyła dłoń do kieszeni. No, tak. Jej broń nadal była u Tony'ego, zupełnie o tym zapomniała. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Wiedziała, że nie będzie mogła dotrzymać przyrzeczenia złożonego Ianowi. Nigdy nie zdecyduje się na odebranie sobie życia.

Tej nocy wojska Rommla świętowały zdobycie Tobruku i otrzymanie przez ich przywódcę tytułu marszałka polnego. Führer nadał mu to zaszczytne wyróżnienie jako nagrodę za zwycięską kampanię wojskową w Afryce Północnej. Podczas gdy Niemcy świętowali zwycięstwo, a Brytyjczycy opracowywali dalszy plan działania, Pithany nadal siedziała w schronie i nagrywała komunikaty. Nagle złapała przekaz radiowy z jednego ze statków, który opuszczając Gazalę, skierował się na Maltę. Pod koniec informacji usłyszała wytęsknione hasło: „sokół”.

— Dzięki Bogu, Ian żyje — szepnęła ze łzami szczęścia w oczach. Przypomniała sobie dokładnie, gdzie leży wyspa Gazala.

Znajdowała się na zachód od Tobruku. Widocznie Ian dołączył tam do sił brytyjskich. Powinien o świcie dopłynąć statkiem do wybrzeży Malty.

Po raz pierwszy od miesiący Pithany uśmiechnęła się. Była tak podniecona, że ręce jej się trzęsły i nie mogła zapisywać komunikatów. Ian wraca do niej, nareszcie!

Nad ranem komunikaty lądowe stały się rzadsze i mniej istotne. Mimo iż jej służba dobiegła końca, Pithany nie opuszczała stanowiska. Jej współpracownicy mieli pełne ręce roboty, nasiliły się bowiem przekazy z niemieckich łodzi podwodnych i okrętów wojennych. Większość jednostek morskich płynęła w kierunku Tobruku. Zatem szanse statku „HRM Nelson”, na którym był Ian, malały. Istniało niebezpieczeństwo natknięcia się na niemiecką łódź.

— Błagam, niech im się uda... — modliła się Pithany. — Jaka jest teraz pogoda? — spytała.

— Jak na złość kryształowo przejrzysta. Na dodatek mamy pełnię księżyca — usłyszała w odpowiedzi.

— Boże, ześlij jakąś burzę, mgłę, cokolwiek, co by im pomogło — szeptała.

Po chwili odebrano tragiczną wiadomość. „Nelson” został zauważony przez niemiecki okręt. Pithany upuściła ołówek i zrzuciła słuchawki. Cała się trzęsła, lecz tym razem z obawy o los Iana. Zapłakana wsłuchiwała się w dalsze komunikaty. Modliła się w głębi duszy. Okazało się, że „Nelson” jest oddalony od wybrzeża Malty o jakąś godzinę drogi. Miała jeszcze nadzieję, że być może uda im się dotrzeć do wyspy, choćby na łodziach ratunkowych, zanim zaatakują ich niemiecka flota. Minął dosłownie ułamek sekundy i okręt niemiecki „Heidelberg” wystrzelił pierwszą torpedę. Po chwili drugą i zaraz potem trzecią. „Nelson” zaczął wysyłać sygnały SOS.

— Niech ktoś im pomoże! — krzyczała zrozpaczona, bezradnie ocierając łzy. Dowódca podszedł do niej i kładąc rękę na ramieniu, powiedział:

— Pithany, tylko ci przekłęci Niemcy są w ich strefie, żadnego z naszych statków nie ma w pobliżu.

Pithany wiedziała dokładnie, że Niemcy nie respektują zasad konwencji genewskiej. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by okręt niemiecki zabrał na pokład jakiegoś ocalałego jeńca.

— Opuścić statek, opuścić statek! — tak brzmiał ostatni rozkaz na „Nelsonie”. Potem radiooperator na statku zamilkł na zawsze. „Heidelberg” wydał polecenie niszczycielowi „Pruller”, by storpedował „Nelsona”.

— Nie, tak nie może być. Niech dadzą im choć szansę, niech pozwolą im odpłynąć na łodziach ratunkowych — błagała Pithany.

— „Nelson” namierzony — zabrzmiała odpowiedź „Prullera”.

Oczyma wyobraźni widziała tonącego Iana. A może nie zdołał się wydostać i walczy o życie zamknięty w jakiejś kabinie. Może spoczywa już na dnie oceanu, spokojny i bez bólu. A może stara się wypłynąć na powierzchnię wody. Pithany nie wiedziała co ma myśleć i czy może mieć jeszcze nadzieję.

— Błagam cię, Boże, pomóż mu, niech umrze nie cierpiąc. Przywołaj go do siebie jak najszybciej.

Pithany zastanawiała się, czy śmierć sama w sobie jest bolesna, czy zimna i bezwzględna. To ostatnie na pewno. Sięgnęła do kieszeni po list od Iana, który, choć krótki, znaczył dla niej bardzo wiele.

— To miała być miłość na zawsze, miłość, która wszystko przewycięży... — wspominała z goryczą Pithany.

W tej jednej chwili czuła, że on odszedł na zawsze. Ta wojna odebrała jej tak wiele, a pozostawiła ból i tęsknotę. Ojciec był daleko i być może nigdy więcej już go nie zobaczy, samotna Audrey przebywała w Anglii. No i Ian, który odszedł od niej bezpowrotnie. Wszyscy, których kochała, zniknęli z jej życia, pozostając tylko we wspomnieniach.

Przypomniała sobie plany, które razem z Ianem układała o ich domu, o dzieciach... Tak bardzo pragnęła mieć go blisko siebie i przytulić się jak mała, zagubiona dziewczynka, oddać swój los w jego ręce. Teraz wiedziała, że już nigdy nie będzie potrafiła nikogo pokochać.

— Obiecywałeś, że wrócisz do mnie, obiecywałeś, obiecywałeś! Ianie, wróć! — wołała błagalnym głosem.

Janna objęła zapłakaną Pithany. Choć minęło tyle lat, ciocia tak naprawdę nadal czekała na Iana. Janna chciała ją pocieszyć, ale brakowało jej słów. Nigdy nie widziała płaczącej Pithany, choć znały się od tylu lat. Tak bardzo jej współczuła i jednocześnie tak bardzo czuła się bezradna. Nie umiała jej pomóc.

— Tak mi przykro, ciociu, tak mi przykro — szeptała tuląc ją do siebie.

Choć tych słów używano zbyt powszechnie, w ustach Janny zabrzmiały szczerze i przyjacielsko. Jednak żadne słowa nie były w stanie pocieszyć Pithany. Na jej twarzy malował się wyraz cierpienia i bólu. Dopiero teraz Janna zrozumiała, dlaczego Pithany nigdy nie wyszła za mąż. Miłość, którą darzyła Iana, przelała na nią i resztę rodziny. Ciotka Pithany otarła łzy jedwabną chusteczką.

— O, Boże, nie chciałam płakać — powiedziała do Janny. — W zasadzie pogodziłam się ze stratą Iana, naprawdę. Bywały dni, kiedy wcale o nim nie myślałam. A czasami zdarzało się,

że nie mogłam przypomnieć sobie jego twarzy. Nigdy nie miałam żadnego zdjęcia, tylko swoją pamięć.

Rzeczywiście, teraz pozostały Pithany tylko wspomnienia. Otrzymała w darze wielką miłość, ale mogła jej zaznać jedynie na krótko; to uczucie pozostawiło w jej sercu wciąż nie zabliznioną ranę.

— Usiłowałam przypomnieć sobie nasze rozmowy, ale pamięć często okazywała się zawodna. Przekonałam się, że wspomnień nie można przywołać na zamówienie. Nasze umysły nie pracują w ten sposób. Czasami jakaś sytuacja przypomina nam pewne zdarzenie i wydaje się, że znamy ludzi, z którymi rozmawiamy. Jest tak dlatego, że wspomnienie o kimś lub o czymś tkwi w naszej głębi. Na pewno uważasz, że to, co mówię, brzmi idiotycznie.

— Nie, ależ skądże!

— W zeszłym roku, latem, wybuchł pożar w dokach portowych. Było południe, pracowałam w swoim biurze w Valletcie. Wiatr przygnał dym w stronę miasta, tak że nie mogłam dostrzec ulicy ze swego okna. Nagle wydało mi się, że widzę jakąś postać. Czułam, przysięgam, ramiona Iana obejmujące moją talię, jego usta szeptały mi do ucha, że wszystko będzie w porządku. I znów byliśmy razem w schronie, śmierdziało benzyną, a dym szczypał nas w oczy. Zupełnie zapomniałam, gdzie jestem. Nie pozwoliłam sekretarce zamknąć okien. Na pewno pomyślała, że zwariowałam.

Janna miała wyrzuty sumienia. Wyczuwała, że ta opowieść przywołała bolesne wspomnienia. Przez te wszystkie lata Janna przyjmowała miłość ciotki jako coś, co było jej dane. Nigdy nie zastanawiała się, czy Pithany jest szczęśliwa. Zawsze przychodziła do niej po pomoc i radę. Zwierzała się ze wszystkich problemów, a gdy opowiedziała o zdradzie Collisa, usłyszała słowa pocieszenia i otuchy. A przecież ta biedna kobieta nie miała nikogo, kto by pomógł jej samej. Samotność stała się treścią jej życia. Janna nie mogła sobie tego wyobrazić, mając u boku Pithany, Warrena i Audrey.

Objęła, wzruszona, ciotkę Pithany i powiedziała ciepłym głosem:

— Ciociu, nigdy ci nie mówiłam, jak bardzo cię kocham. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Pithany uśmiechnęła się pogodnie i melancholijnie zarazem.

— Nie chciałam cię zasmucić, nie myśl, że mego życia nie rozpromieniały krótkie chwile szczęścia. Ty byłaś dla mnie największą radością. Już jako dziecko wydawałaś mi się bardzo

pojętna, uczyłaś się szybko i szybko przyswoiłaś sobie umiejętność mówienia. Tak bardzo przypominałaś mi mnie samą.

Janna uważnie przyglądała się twarzy Pithany.

— Czy ciebie również bali się chłopcy? — spytała.

— Większość z nich — przytaknęła ciotka.

— Tak samo było ze mną. W zasadzie nie miałam wielu przyjaciółek, tylko Shadoe. Nawet Audrey uważała, że jestem dziwna.

— Nie obwiniaj Audrey. Jest bardzo podobna do naszego ojca. Od śmierci żony nigdy nie udało mu się przezwyciężyć depresji. Nikt wtedy nie wiedział, jak takie rzeczy się leczy. Dlatego nalegałam, by Audrey miała stałego lekarza domowego. Była słaba psychicznie i musiała znajdować się pod stałą kontrolą.

— Chroniczna depresja — powiedziała Janna. — Czy to dziedziczna choroba? Zawsze zastanawiałam się, czy przejdzie też na mnie. Teraz jestem pewna, że nie muszę się tym martwić. Wrodziłam się w ciebie. Zdaje mi się, że największym problemem będzie teraz Tony Bradford.

Janna starała się nie mówić już o przeszłości, by nie ranić uczuć ciotki.

— Na pewno zadajesz sobie pytanie, co stało się po śmierci Iana — Pithany z uporem wracała do wspomnień. — W zasadzie Tony był wtedy miły dla mnie. Pamiętam, że latał wówczas na odcinku Malta — Bardia, gdzie stacjonowały wojska brytyjskie. Raz przywiózł mi kwiaty z Bardii. Oddał mi też wreszcie pistolet Iana. Przechowuję go do dzisiaj. Jest w dolnej szufladzie szafki nocnej. Nienawidzę broni, ale ta stanowi dla mnie drogocenną pamiątkę i trzymam ją z powodów sentymentalnych. Oczywiście nigdy jej nie używałam.

— Nigdy nie potrzebowałaś. Niemcy nie dokonali inwazji na Maltę — dodała Janna.

— Nie. Montgomery przejął dowództwo nad siłami brytyjskimi i przepędził Rommla z El Alamein i Tobruku. Sowieci odparli Niemców pod Stalingradem. To było pod koniec 1942. Szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. My na Malcie jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Tony ciągle namawiał mnie do małżeństwa, ale mu odmawiałam.

— Domyślałam się, że był nachalny.

— Tak, musisz zrozumieć jedną rzecz, Anthony Bradford nie bez powodu nazywany jest Wielkim Tonem. Zachowuje się butnie, co silnie podbudowuje jego ego. Obsesją, która nie dawała mu spokoju, była chęć założenia dynastii, i tak jest do dziś. Tony zbił na wojnie ogrom-

ny majątek, głównie czerpiąc zyski z czarnego rynku. Wynajął stocznię i wznosił pałac w Mdinie.

— Czy próbował wykupić interes twojego ojca?

— Tak, nalegał, bym za niego wyszła, twierdząc, że bez niego nie będę w stanie odbudować biznesu ojca.

— No, ale przecież w końcu ożenił się...

— Tony Bradford poślubił pewną kobietę w miesiąc po twoich narodzinach i piętnaście lat od naszego pierwszego spotkania. Rok później urodził się Curt. Małżeństwo szybko okazało się pomyłką. Żona Tony'ego wróciła do rodzinnego Zurrieq przed wieloma laty. Zmarła całkiem niedawno.

— I po tym wszystkim Tony nadal chce przejąć twoje hotele? — Janna nie mogła wyobrazić sobie tak skrajnej obsesji. Może Bradford jest niezrównoważony psychicznie, pomyślała.

— Tak. Pamiętaj, że przez wiele lat starałam się uzyskać pozwolenie na budowę Blue Grotto.

Janna dokładnie wiedziała, jaką walkę musiała stoczyć Pithany. Tony zablokował zezwolenie na budowę hotelu na dzikim odcinku plaży i zbuntował myśliwych, którzy na skalistym urwisku laguny Blue Grotto polowali zwykle na ptaki. Pithany rozpoznała taktykę Tony'ego i swoim działaniem doprowadziła do uzyskania zgody na budowę. Wiedziała, że polowanie na ptaki jest na Malcie starą rycerską tradycją sięgającą czasów średniowiecza. Znalazła sposób, by wygrać spór z myśliwymi, zorganizowała kampanię prasową i telewizyjną, w której potępiono zabijanie ptaków dla sportu. Tradycja została wypaczona, dawniej polowano na zwierzęta po to, aby przeżyć, dzisiaj było to jedynie okrutną zabawą. Przeważyło zdanie turystów, którzy nalegali, by zaprzestano uprawiania tego nieludzkiego sportu. Pithany otrzymała w końcu zezwolenie, a myśliwi dali za wygraną.

Ciotka uśmiechnęła się.

— Wiesz, sądzę, że Tony chciał odczekać, aż przekażę akcje w ręce spadkobierców i wtedy odkupić je od nich. Odkąd dowiedział się jednak, że zamierzasz mi pomagać w prowadzeniu interesów, stał się bardziej pazerny na moje udziały.

— Powinnaś była powiedzieć mi o tym wiele lat temu. — Janna zdała sobie sprawę, że przecież ciotka mogła przez cały czas liczyć tylko na siebie. Dlatego nigdy nikomu nie ufała, nawet własnej siostrzenicy?

11.

Ja chyba śnię! — Nick nie mógł uwierzyć, że został zaproszony. Zawiązał krawat i sprawdził uważnie swoje odbicie w lustrze. Od kilku dni mieszkał w jednym z ekskluzywnych hoteli w Londynie.

Nie daj się prosić, przecież umierasz z ciekawości — uśmiechnął się sam do siebie.

Nick Jensen otrzymał pisemne zaproszenie od Warrena Athertona na herbatę. Postanowił je przyjąć. Chciał przekonać się, co Athertonowie mają mu do zaproponowania, by odzyskać udziały Trevora. Jednocześnie zaproszenie stwarzało Nickowi wymówkę, by nie spędzić tego wieczoru z Markiem Nolanem i jego nową żoną, Glennis. Stało się już pewnego rodzaju uciążliwą i nudną tradycją, iż pracownicy Imperial Cola, piastujący bardziej prestiżowe stanowiska, spotykali się w Londynie z partnerami handlowymi, jedli wspólnie ciężko strawną kolację, po czym szli do teatru.

— Herbaty? — spytał Nick, patrząc w lustro. Wykrzywił usta, nadając pytaniu typową, flegmatyczną, angielską intonację. Nick był przyzwyczajony załatwiać sprawy w całkiem inny sposób. W Muleshoe, jeśli dwaj mężczyźni chcą coś obgadać, a na dodatek mają odmienne poglądy na dany temat, idą do ciemnego i zaplutego baru, gdzie nie ma nawet pijanego pianisty, tylko rzezi stara szafa grająca. Brytyjczycy, podobnie jak Japończycy, nazbyt celebryją załatwianie najprostszycich spraw. Nick domyślił się, że to Pithany powiedziała Warrenowi o jego przyjeździe do Londynu. Trzy dni temu młody Atherton zaprosił go na kolację do jednego z tych cholernie snobistycznych klubów. Niestety, musiał odmówić... z powodu braku czasu. Warren nie zrezygnował jednak i zaprosił Nicka ponownie, tym razem na zwyczajową angielską herbatę o godzinie piątej po południu.

Młodemu lordowi musi cholernie zależeć na spotkaniu ze mną. Nick założył marynarkę i strzepnął z ramion drobny pyłek. Wiedział, że Athertonom bardzo zależy na akcjach, które posiadał. Widocznie Bradfordowie osiągnęli przewagę na giełdzie. Wprawdzie nikt o tym głośno nie mówił, jednak było tajemnicą poliszynela, że obie rodziny od lat konkurują ze sobą. Ciekawe, czego Janna dowiedziała się o Bradfordach podczas swojego krótkiego pobytu u Pithany w Rzymie. Na pewno ciotka nie powiedziała jej całej prawdy.

Na początku, kiedy przyjechał na Malte, Jensen miał zamiar odsprzedać odziedziczone udziały za sumę, jaką Trevor zapłacił. Nie należał do ludzi, którzy zbijają pieniądze bez względu na okoliczności. Pithany była bliską przyjaciółką Trevora, poza tym Nick czuł do niej wiele

sympatii. Pithany Crandall odrzuciła jego propozycję. Poprosiła za to, by nikomu nie odsprzedawał udziałów, dopóki nie skończy się jego kontrakt na Malcie. To dziwne, że Janna niczego nie wiedziała o tej umowie.

Prawdopodobnie była to świadoma zagrywka ze strony Pithany. Może chciała, by Janna bliżej zainteresowała się przystojnym teksańczykiem.

Jensen zerknął na zegarek. Było jeszcze zbyt wcześnie, by zamówić taksówkę. Dla zabicia czasu włączył telewizor. Przełączał z jednego programu na drugi, szukając stacji CNN. Nagle usłyszał nazwisko Lyfortha. Na ekranie pojawił się sztywny facet w pogniecionym prochowcu, z mikrofonem w ręce. U dołu pokazał się napis: nagrane wcześniej.

„Lord Lyforthu zwrócił się do Izby Lordów, zalecając wprowadzenie restryktywnych licencji dla sieci telewizji satelitarnej”.

Mężczyzna stojący obok dziennikarza był w wieku Nicka, może o rok starszy lub młodszy. Wysoki, szczupły blondyn o błękitnych, wyrazistych oczach — Warren Atherton. Jak ułaf pasował do wyobrażeń o nowoczesnym arystokracie. Zbyt krótko jeszcze obnosił się ze swoim tytułem, by stać się snobem, jednak pewne ślady zmanierowania dało się już dostrzec w jego ruchach i sposobie mówienia.

Trzech reporterów z mikrofonami podskoczyło do Warrena.

„Co skłoniło pana do złożenia deklaracji?”

„Oburzył mnie program brytyjskiej sieci satelitarnej, Heil Honey, I'm Home. Jest agresywny i w złym guście. A co więcej, twierdzi się w nim, że Brytyjczycy niezbyt przykładali się do walki z Hitlerem”.

Warren patrzył prosto do kamery. Jego spojrzenie było niezmiernie sugestywne, jakby mówiło: twoje dobro leży mi na sercu. Nick wyczuwał siłę, bijącą z jego słów. Niewielu polityków miało taki dar przekonywania.

„Dla tych widzów, którzy nie znają wspomnianego programu, specjalnie przedstawiamy wybrane fragmenty” — zapowiedział reporter.

Nick obejrzał krótkie scenki z domowego życia Adolfa Hitlera i Evy Braun.

Aktorzy mówili z nowojorskim akcentem, a całość rozgrywała się w jednej z berlińskich rezydencji Führera. Główny wątek stanowiły ich stosunki z sąsiadami, żydowską rodziną Goldensteinów. W zaprezentowanym epizodzie wyśmiewano Neville'a Chamberlaina, który przybył do Goldensteinów na kolację tylko po to, by zanudzać ich swoimi przemówieniami o pokoju na świecie i by się upić.

„Uważam — oświadczył Warren zdecydowanym głosem — że specjalna komisja powinna mieć sposobność zapoznania się z charakterem niektórych sieci telewizyjnych, zanim sprzeda im licencję”.

„Nie przełączajcie programu — wykrzyknął reporter. — Za chwilę przedstawimy państwu wywiad z Hayim Pinnerem, sekretarzem generalnym Zrzeszenia Żydowskich Parlamentarzystów w Anglii. Po reklamach zobaczymy się ponownie”.

Nick nie miał czasu, by wysłuchać Pinnera. Łatwo mógł się jednak domyślić, co sądzi o tego typu programie. Pithany Crandall także byłaby zbulwersowana podobnym ujęciem wojny. Nick zbiegł po schodach. Uzmysłował sobie, jak bardzo jest przywiązany do Pithany, choć nie potrafił tego racjonalnie wytłumaczyć. Najlepsze lata młodości spędziła w bunkrze, rozszyfrując niemieckie komunikaty. Wojna była dla niej ostatnią rzeczą, z jakiej potrafiłaby się śmiać.

Portier przywołał dla Nicka taksówkę. Kierowca samochodu zaraz rozpoznał jego amerykański akcent. Chcąc zarobić parę funtów więcej, zaczął opowiadać mu o historii Pałacu św. Jakuba, który wybudowano za czasów króla Henryka VIII. Pełnił on rolę rezydencji monarchów dłużej niż wysławiany Buckingham Palace. Taksówkarz gorąco polecał obejrzenie zmiany warty, jednak Nick wołał zobaczyć to przez okno samochodu.

— Bardzo interesujące — powtarzał do dumnego z zabytków Londynu Anglika.

Przejazd na miejsce spotkania zajął sporo czasu, pomimo że na mapie Belgravia leży parę ulic od hotelu, w którym zatrzymał się Nick. Przepych ogromnych pałaców nikogo w Belgravii nie dziwił. Każdy miał równie imponującą rezydencję. Rząd starych zabytkowych kamienic z czasów georgiańskich ciągnął się wzdłuż » pasma zadbanej zieleni z majestatycznie wznoszącymi się drzewami. Na podjazdach stały najbardziej ekskluzywne samochody. Wzdłuż Eaton Square na masztach powiewały narodowe flagi krajów mających tutaj swe przedstawicielstwa i ambasady. Sto lat temu musiało to wyglądać podobnie. Tylko dyskretnie ukryte kamery i systemy alarmowe uświadamiały, że dawno minęły spokojne czasy dobrej królowej Wiktorii. Ciekawe, kiedy te wszystkie zabezpieczenia stały się aż tak konieczne, zastanawiał się Nick.

Taksówka skręciła w ulicę Loundes Place i zatrzymała się przed domem, który wydawał się jeszcze większy i wspanialszy od pozostałych. Nick zapłacił kierowcy i wszedł po schodach. Stał przed drzwiami, rozejrzał się. Obok wejścia stały prawdziwe greckie urny, nie jakieś tandetne kopie, które widział w zakładzie pogrzebowym w Teksasie. Na drzwiach wisiała

pięknie rzeźbiona głowa lisa, prawdopodobnie wykonana z połączanego mosiądzu. Nick odruchowo poprawił krawat i zapukał.

W drzwiach stanął szef służby domowej. Z miną doskonale poinformowanego agenta KGB eskortował Nicka aż do salonu. Korytarz obwieszony był obrazami znanych impresjonistów. Nick pierwszy raz w życiu znalazł się w domu, który przypominał British Museum. W Teksasie ludzie wydawali pieniądze na hamburgery z chili, a nie na obrazy. Nawet w Japonii też się nie spotkał z tym, by zwykły korytarz domowy służył jako wystawa europejskiego malarstwa.

Salon sprawiał wrażenie hali dworcowej w chwili odjazdu pociągów ze wszystkich peronów. Wypełniony był licznymi gośćmi. Nick z otwartymi ustami wpatrywał się w sufit. Ozdobiony dookoła złotym motywem roślinnym, przedstawiał baraszkujące wśród pierzastych chmur tłuste aniołki. Grubaśne postacie jakby pływały po niebie zaczepiając się nawzajem i przesyłając sobie figlarne pocałunki. Nick był tak osłupiały, że nawet nie zauważył samotnie siedzącej Shadoe, której płomiennorude włosy przyciągały wzrok każdego mężczyzny na sali. Janna i Warren stali przy kominku rozmawiając. Janna uśmiechała się ciepło do brata. Był to uśmiech pełen miłości i zaufania.

Nick cofnął się. Nie chciał podchodzić do nich. Nie teraz. Przypominali Amandę Jane i Trevora, którzy darzyli się podobnie mocnym uczuciem. Nick przywołał w pamięci wspomnienie swej pierwszej wizyty u Prescottów. Austin przywitał go serdecznie i poprowadził na werandę. W ogrodzie Amanda Jane wraz z Trevorem pilnowali kielbasek na grillu. Od czasu tamtego wieczoru w Houston Nick nie mógł dojść do siebie. Brakowało mu tej atmosfery zrozumienia i rodzinnego ciepła. No i oczywiście Amandy Jane... Zaczął żałować wszystkiego, co dotąd przeżył w życiu. Miał pretensje do matki, że nie stworzyła ogniska rodzinnego, że nie kochała nawet Cody'ego, choć do dnia dzisiejszego oplakuje jego śmierć. Jej samej zbyt brakowało miłości, by mogła podzielić się nią ze swoimi synami.

Nick wszedł w wiek, w którym mężczyzna zaczyna myśleć o własnej rodzinie. Obiecał sobie jednak, że nigdy nie porzuci matki, tak jak uczynił to ojciec. Wyjechał z Muleshoe, bo nie mógł wytrzymać jego sennej, prowincjonalnej atmosfery.

Podczas pierwszego spotkania Nick był tak zauroczony Amandą, iż nie potrafił wydusić z siebie słowa. Dopiero, gdy uśmiechając się do niego zachęcająco dała do zrozumienia, że chce go poznać, odważył się zbliżyć. Od tej chwili ich życie zmieniło się całkowicie.

Janna spostrzegła Nicka. Jej spojrzenie przyciągnęło jego wzrok. Najwidoczniej nie spodziewała się go tu zobaczyć. Patrzyła na niego jak zawsze, z podniesioną lekko głową i nieco zadufaną miną. Nie wiadomo, dlaczego Nick bardzo lubił ją drażnić; może dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż na co dzień jest inna, bardziej naturalna i bezpośrednia. Pozwolił sobie na złośliwy uśmiech. Wtedy Janna odwróciła głowę i szepnęła coś Warrenowi. Młody Atherton podszedł do Nicka.

— Proszę, wejdź dalej! — zwrócił się do niego przyjaznym tonem. Podał mu rękę na powitanie, potem protekcjonalnie położył dłoń na ramieniu i przedstawił kilku znajomym. Nick z wielkim zaciekawieniem czekał, aż padnie nazwisko Pembroke, męża Janny. Nie był jednak obecny. Potem Warren przedstawił go Shadoe i posadził koło niej na sofie, a sam zaczął witać nowych gości. Nick od razu zauważył, że dla młodego Athertona panna Hunnicutt jest kimś więcej niż tylko dobrą przyjaciółką siostry.

— To znaczy, że zna pani Janne od wielu lat? — spytał, chcąc dowiedzieć się czegoś o Collisie.

— Poznałyśmy się we Francji — odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy. — Wtedy, gdy poznałyśmy również ciebie — dodała.

Nick był nie tyle zaskoczony, co zakłopotany. Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi. Nie należał do mężczyzn, których kobiety zapominają lub myślą z kimś innym.

— Bardzo mi przykro, to jakaś pomyłka. Ja poznałem Janne całkiem niedawno na Malcie — odpowiedział niepewnym głosem.

— W ciemnym pokoju w domku Pithany — oznajmiła Shadoe. Nick szybko zerknął na Janne. Stała w drugim końcu salonu, odwrócona do niego plecami. Patrzył na jej włosy. Skróciła je. Bez względu na rodzaj fryzury, jaką nosiła, zawsze wyglądała pięknie. Zastanawiał się, dlaczego opowiedziała o nim swojej przyjaciółce. Może w jej towarzystwie należało to do dobrego tonu.

— Janna ci wszystko opowiedziała? — spytał.

Shadoe przytaknęła.

— Ona zawsze będzie ciebie spotykać w dziwnych okolicznościach, na przykład w ciemnym pomieszczeniu. To przeznaczenie — wyjaśniła.

Czy ona stroi sobie ze mnie żarty? — myślał Nick.

— Towarzyszyłeś nam podczas podróży do Varain, wtedy we Francji — powiedziała ciepłym tonem.

— Nie, to niemożliwe — odpowiedział. To, że Shadoc jest przyjaciółką Janny, nie znaczy, że ma przytakiwać każdemu jej głupstwu. — Tylko raz odwiedziłem Francję, lądując i startując z lotniska w Orly. Nigdy tam nie byłem — wytłumaczył.

Kobieta uśmiechnęła się i dotknęła niezwykłego kamienia, który wisiał na jej szyi. Prawdopodobnie pomyliła mnie z kimś innym, pomyślał.

— A czy nie odwiedziłeś pewnego zakątka Paryża, który interesował cię bardziej niż inne?

— Zwiedziłem tylko to, co zwykli turyści: Luwr, wieżę Eiffla i Arc de Triomphe. — Nick pominął plac Pigale.

— To wszystko?

Nick przytaknął, a po chwili namysłu dodał:

— Było coś, co szczególnie mnie zaintrygowało.

— Varennes? — spytała nieoczekiwanie.

— Nie. Kanary. Są fascynujące. Ciągają się wzdłuż każdej ulicy i tworzą niesamowity podziemny labirynt.

— Ty nie pamiętasz, prawda? — spytała najwyraźniej zawiedziona jego odpowiedzią. — Większość ludzi nie pamięta poznanych miejsc i spotkanych osób. Czy kiedy czytałeś książki o rewolucji francuskiej, nie odczuwałeś dziwnego przywiązania do tamtych czasów? — spytała zamyślona Shadoc.

Na Boga! Niektórym majątek rzuca się na rozum. Czy ona myśli, że wszyscy faceci z Teksasu od rana do wieczora studiują zagadnienia z historii Francji? Nick rozejrzał się rozpaczliwie, szukając kogoś, kto by wyratował go z tej niezręcznej sytuacji. Spojrzał na Janne. Przyglądała mu się zapewne już od dłuższego czasu. Szybko odwróciła głowę, kiedy zauważyła jego spojrzenie na sobie.

— Nawet nie jestem w stanie powiedzieć ci, kiedy to miało miejsce. Wiem tylko, że panowała bieda, a królowa kazała ludności jeść ciastka — kontynuowała Shadoc.

Nick dał Jannie znak ręką. Podeszła do nich. Nie miał ochoty słuchać, co powiedziała królowa, gdy jej podwładni umierali z głodu. Chciał czym prędzej uciec od Shadoc Hunnicutt. Ta kobieta chyba nie ma dobrze poukładane w głowie, pomyślał.

— Zaraz podamy herbatę — oznajmiła Janna, siadając naprzeciwko Nicka.

— Właśnie przekonuję pana Jensena, że Maria Antonina chciała, by głodujący paryżanie jedli ciastka — Shadoc zwróciła się do Janny.

— To legenda. Nie ma w niej nawet ziarna prawdy — zaśmiała się Janna.

— Wrogowie królowej chętnie rozpowszechniali tego typu plotki. Trzeba sobie wyobrazić, jak reagowali na nie głodujący paryżanie.

— A więc jednak nie wszystko było kłamstwem. Kiedy ta wasza królowa nie mogła odnaleźć męża w niezliczonych komnatach swojego pałacu, zwykli ludzie musieli zadowolić się ochłapami — odparł Nick, wpatrując się w Janne.

— Tak naprawdę, to sytuacja biedoty nie zmieniała się od dziesiątków lat. Dodatkowo panowały wówczas nie sprzyjające warunki atmosferyczne. Zabrakło zboża na chleb. Zbiory spleśniały i siłą rzeczy brakło podstawowego pożywienia. Niektórzy teoretycy historii twierdzą, że zgniłe ziarna, z których mielono mąkę na chleb, wywarły ujemny wpływ na zdrowie psychiczne ogółu i doprowadziły do zaburzeń, w następstwie których doszło do masowej hysterii.

Szalenie interesujący wykład Janny z zakresu mniemanologii historycznej przerwał Warren.

— Janno, zaraz będziemy podawać herbatę, dobrze? — spytał.

— Ja chętnie pomogę — odezwał się nagle Nick, wstając z sofy.

— Nie trzeba, dziękuję — odpowiedziała Janna.

— Ja nalegam, chciałbym poznać dokładnie ten angielski zwyczaj.

Wziął Janne pod rękę i poprowadził do barku, gdzie na srebrnych tacach leżały kanapki i inne zakąski.

— Czy twoja przyjaciółka dobrze się czuje? Zdaje się, że jest przekonana, iż spotkaliśmy się już kiedyś w przeszłości w jakimś mieście o nazwie Varain.

— Shadoc wierzy w magiczne zaklęcia, reinkarnację, karty Tarota i astrologię — odpowiedziała Janna.

— Ty chyba nie wierzysz w te brednie?

— Nie we wszystkie — spojrzała na niego, nie patrząc mu prosto w oczy.

— Rozumiem, że przed każdym podjęciem decyzji radzisz się astrologa, tak jak Nancy Reagan?

— Skądże — odparła z oburzeniem. — Ale horoskop sprawdzam każdego ranka. Miliony ludzi tak właśnie robią, przecież wiesz o tym. Inaczej gazety i magazyny ilustrowane nie publikowałyby horoskopów.

— Drukuje się je, ponieważ ludzie potrzebują łatwej odpowiedzi, odrobiny pewności i jakiegoś wytłumaczenia.

Janna przelała zaparzoną esencję przez srebrne sitko i dołała gorącej wody z porcelanowego dzbanka.

— Domyślam się, że ty także wierzysz w reinkarnację i w poprzednie wcielenia. Janna uśmiechnęła się tajemniczo.

— Nie jestem pewna, bardzo możliwe.

— Daj spokój. Przecież jesteś inteligentną i wykształconą kobietą. Jak możesz w to wierzyć?

Spojrzała na niego swoimi wielkimi, zielonymi oczyma.

— Podczas hipnozy wielu ludzi cofnęło się w czasie. Mówili językami, których nie znali w swoim obecnym życiu. Dokładnie opisywali miejsca, których nigdy nie widzieli. Moim zdaniem to całkiem możliwe, że niektórzy z nich żyli już wcześniej i będą żyć znowu w innym wcieleniu.

— Ty pewnie sądzisz, że żyłaś podczas rewolucji francuskiej? — Gdy przytaknęła, dodał. — Czy ktoś cię zahipnotyzował?

— Nie. Zawsze odczuwałam bardzo specyficzne, nie wiem, jak to opisać, pokrewieństwo z ludźmi z tamtej epoki.

Nick nie mógł uwierzyć, że mówi poważnie.

— Jeśli cię dobrze zrozumiałem, sądzisz, że spotkaliśmy się podczas rewolucji francuskiej.

— Bardzo możliwe. Shadoe w to wierzy.

— A może wiesz przypadkiem, kim byłem? — Nick postanowił przyjąć reguły tej dziwnej konwersacji.

— Byłeś jednym z przyjaciół hrabiego Fersena.

— Kim był ten facet?

— Szwedzkim szlachcicem, który chciał uratować Marię Antoninę.

— Raczej ze słabym skutkiem. A ty?

— Powierniczką Marii. Ty i ja staraliśmy się jej pomóc.

— I co stało się dalej? — Nick odczekał chwilę, ale Janna nie odpowiadała.

— I co stało się dalej z nami? — powtórzył.

Janna, najwyraźniej unikając odpowiedzi, sięgnęła po cukier, posłodziła herbatę i długo mieszała ją srebrną łyżeczką.

— A więc byliśmy kochankami — stwierdził Nick rozbawiony.

Janna, nadal mieszając herbatę z pochyloną nisko głową, przytaknęła.

— Shadoe sądzi, że byłeś Polignackiem, moim bliskim przyjacielem.

Skoro znaleźliśmy się w poprzednim wcieleniu, mogę jej zaufać i sprzedać wszystko, co posiadam, łącznie z akcjami hotelu, pomyślał. Przyniósł się i szepnął jej do ucha:

— Chcę, żebyś wiedziała, że byłaś w łóżku wspaniała. Miałem tylko zawsze straszne problemy z rozwiązaniem twojego gorsetu.

Janna prawie się uśmiechnęła.

— Jak potoczyła się nasza historia?

— Gilotyna...

— Na Boga! Fantastyczny sposób na opuszczenie tego świata!

— Jersey, Hereford czy Shorthorn? — spytała, wciąż nie patrząc na niego.

— Longhorn. W zachodnim Teksasie to najczęściej hodowana rasa bydła.

— Pytałam, jaki rodzaj mleczka chcesz do herbaty.

Mleko w herbacie — pomyślał z obrzydzeniem. — Co za pomysł.

— Proszę tylko z cukrem...

Nick dokładnie przyglądał się Jannie. Szczególną uwagę zwrócił na jej zadbane paznokcie. Wyobrażał sobie, jak jej delikatne palce przeczesują jego włosy. Chciał jej powiedzieć, aby zapomniała o ich przygodzie z innego wcielenia, a przypomniawszy sobie, jak całowali się w Mdinie. To było już w tym wcieleniu i tylko to się liczyło.

Janna podała mu filiżankę z herbatą. Umyślnie dotknął jej delikatną, miękką jak jedwab dłoń, obserwując uważnie, jak zareaguje na to zbliżenie. Janna sprawiała wrażenie podnieconej, jednak jej głos pozostawał pełen rezerwy.

— Mamy kanapki z ogórkiem, pomidorami albo sałatą.

— Daj spokój, czy te małe, nie powiem co... nazywasz kanapkami? Do tego potrzebny jest mikroskop. Chleb nie ma nawet skórki.

Janna z politowaniem pokręciła głową.

Do cholery — pomyślał Nick — czy mam ściągnąć spodnie, żeby ją wreszcie rozbawić?

— Spróbuj tego — zaproponowała, podając na talerzu pasztecik z kremem — gwarantuję, że będzie ci smakować.

Goście zaczęli się tłoczyć przy barku, nakładając sobie kanapki, owoce i paszteciki, podczas gdy Janna serwowała herbatę. Nick stał obok niej, trzymając w jednej ręce filiżankę, w drugiej talerzyk z pasztecikiem, a na przedramieniu zawiesił sobie białą serwetkę.

Podszedł do niego Warren wraz z Shadoe.

— Przysiądź się do nas, proszę. Nie miałem okazji z tobą porozmawiać.

Nick przyłączył się do nich. Pozwolił Warrenowi usiąść koło Shadoe, a sam zasiadł wygodnie na kozetce. Koniecznie chciał spróbować pasztecika z kremem. Odstawił filiżankę na stolik i z wielkim apetytem zabrał się do jedzenia. Tymczasem Warren zaczął wypytywać o koncern Imperial Cola, w którym Jensen pracował.

— Czytałem o Imperial Cola, a zwłaszcza o okolicznościach założenia firmy podczas drugiej wojny światowej.

— Nie znam szczegółów — odpowiedział zdawkowo Nick, czekając, aż Warren przejdzie wreszcie do kwestii udziałów Trevora. — Po wojnie, z tego, co wiem, Imperial Cola zbudowało swoje imperium dzięki łączeniu lokalnych fabryk poprzez joint ventures z większymi ośrodkami produkcyjnymi w kraju.

— Racja — przytaknął Nick. — Zawarliśmy takie umowy z większością państw. Na przykład na Malcie naszym partnerem jest przedsiębiorstwo Bradford Beverages. Butelkują nasz firmowy napój.

Nick specjalnie wymienił Bradfordów, by dać Warrenowi pretekst do rozmowy o jego udziałach po Trevorze. Młody Atherton nie skorzystał jednak z tej okazji.

— Jeśli staniesz się już częścią gospodarki danego regionu, to trudno jest cię stamtąd wygryźć — stwierdził górnolotnie.

— Mieliśmy, oczywiście, swoje poważne problemy, jak każdy koncern — kontynuował Nick, nie zważając na dwuznaczną uwagę Warrena. — Na przykład Indie. Nikomu nie zdradziliśmy naszej tajnej receptury, a oni i tak nas wykiwali i podrobili ją.

— To znaczy, że joint ventures nie chroni zagranicznych produktów? Pytam dlatego, ponieważ Japonia proponuje Wielkiej Brytanii zawarcie kilku joint ventures.

Nick zastanowił się przez chwilę, zjadł ostatni kawałek pasztecika i popił herbatą.

— O jakie dokładnie koncerny chodzi? — spytał.

— Na razie udało mi się nie dopuścić do zawarcia umowy z pewnym zakładem produkującym samochody. Wiem, że toczą się rozmowy między japońskim koncernem Turabo a przedsiębiorstwem tekstylnym z Midlands.

— Nasz przemysł tekstylny traci wpływy na rynku już od dobrych paru lat — wtrąciła Shadoe, patrząc na Warrena.

— Zdaję sobie sprawę, że takie spółki z kapitałem zagranicznym rozwiążą po części nasze problemy z bezrobociem. Chciałbym jednak znać także negatywną stronę takich przedsięwzięć. Obawiam się mianowicie, że obcy kapitał w szybkim tempie zaleje nasz kraj i wyprze rodzime przedsiębiorstwa. Jak ty się na to zapatrujesz? — Warren sprawiał wrażenie szczerze przejętego stanem angielskiej gospodarki. Nick niewiele wiedział o Warrenie Athertonie i nie miał do niego na tyle zaufania, by powiedzieć mu wszystko, co wie i co na ten temat sądzi.

— Wszystko, co mówię, nie jest żadną poufną informacją, OK? Nie chciałbym poprzez wygłaszanie prywatnych opinii przysporzyć mojej firmie wrogów. Japonia jest naszym największym rynkiem zbytu, a w ekonomii nie można uciec przed faktami.

Warren ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Mogę więc przyjąć, że nie jesteś zbyt przychylnie nastawiony do koncernu Turabo.

— To bardzo stara firma, jedna z najstarszych w całej Japonii. Została założona chyba pod koniec 1800 roku. Ostatnio wszystkie jej udziały wykupione zostały przez Hensho Enterprises. Na czele tego koncernu stoi Yoshio Yosuma, najwykleszy w świecie gangster, po japońsku yakuza. Jest głową podziemnego syndykatu zrzeszającego kryminalistów, znanego pod nazwą Yamaguchi-gumi gang.

— Nie miałam pojęcia, że tacy ludzie należą w Japonii do elity finansowej. Sądziłam, że liczy się tam honor i uczciwość — wtrąciła Shadoe.

— Pozory często mylą — skomentował Nick.

— Opowiedz coś więcej o Henshu — poprosił Warren.

Prawie przez godzinę Nick opowiadał Warrenowi i Shadoe o yakuza. Nie omieszkął wspomnieć, czego należy się spodziewać w interesach z Japończykami. Równocześnie ponad ramieniem Warrena obserwował Janę. Zachowywała się wyjątkowo naturalnie. Zawsze, gdy Nicka nie było w pobliżu, z miejsca traciła wyzywającą pewność siebie. Od czasu do czasu przeczesywała włosy dłonią, nie przyzwyczajona do nowej fryzury. Bardzo mu się podobała. Uśmiechnął się na myśl o ich wcześniejszej rozmowie. To całkiem niezły pomysł, pomyślał. Skoro byliśmy kochankami, to nic nie stało na przeszkodzie, byśmy nimi pozostali.

— Co tu się dzieje? — spytała Janna, podchodząc do nich. — Jeśli nie zauważyliście, to właśnie odprowadziłam ostatniego gościa. Nie byliście dziś zbyt towarzyscy — dodała.

Nick przesunął się i wskazał jej miejsce na sofie. Nie mając wyjścia, usiadła koło niego.

— Rozmawialiśmy o Japonii — powiedział.

— Wiem, jak bardzo jesteś zaniepokojony tymi spółkami joint ventures z Japończykami — powiedziała Janna, zwracając się do Warrena.

— Nick bardzo mi pomógł. Kiedy za parę tygodni przyjedziemy z Shadoe na Malte, będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać o tym.

— Oczywiście, dlaczego nie — odparł Nick, zbierając się do wyjścia. — Ja już się pożegnám, jeszcze raz dziękuję za zaproszenie... i w takim razie do zobaczenia na Malcie — dodał.

— Jadę w kierunku Hampstead Heath. Pozwól, że cię podrzucę, to po drodze — wtrąciła Janna uprzejmym tonem.

Nick nie potrafił ukryć zaskoczenia. Sądził jednak, że skoro Warren nie rozmawiał z nim o akcjach, to uczyni to teraz Janna. Przeszedł razem z nią przez ogromną kuchnię. Wyszli tylnymi drzwiami dla służby, po czym skierowali się do garażu. Stały w nim dwa ekskluzywne samochody: Range Rover i Aston Martin Lagonda.

Janna otworzyła drzwiczki Astona i lekko zawstydzona wyjaśniła:

— To mojego brata.

Wsiedli do samochodu. Janna włożyła kluczyki do stacyjki, ale nie przekreśliła ich. Zawahała się przez chwilę i spojrzała na Nicka. W garażu było chłodno i ciemno. Tylko wąski promień światła wpadał do środka przez otwarte drzwi. Jensen widział jedynie zarys jej twarzy.

— Nick — szepnęła słodkim głosem — tamtej nocy... ja...

— Chyba nie masz zamiaru przeproszać mnie po raz kolejny, daj spokój, Mała.

— Masz rację. Ja...

Nick przysunął się do niej bardzo blisko. Jego nos dotykał jej policzka. Spodziewał się, że Janna go odepchnie, jednakże nie uczyniła tego. Patrzyła mu prosto w oczy, oczekując z napięciem na następny ruch. Jediną oznaką jej zażenowania były mocno zaciśnięte na skórzanej kierownicy dłonie. Nie po raz pierwszy Nick zastanawiał się, co ona może o nim myśleć. Zanim zbliżyli się do siebie w Mdinie, zachowywała się względem niego trochę niegrzecznie, dając do zrozumienia, iż nie darzy go specjalną sympatią. Nie zwracała uwagi na jego dowcipy i zalotne uśmiechy. Dzisiejszego wieczoru sprawiała zupełnie inne wrażenie.

Ich krótka znajomość odmieniła życie Nicka. Choć wiedział, że jest mężatką, nie potrafił się oprzeć jej urokowi. Nigdy dotąd nie odczuwał tak dziwnego przywiązania i miłości do kogoś, kogo w zasadzie dobrze nie znał. Wzbudzała w nim zainteresowanie mimo tak często okazywanej mu niechęci. Ponieważ sam dobrze nie wiedział, jak powinien ją traktować, przybrał więc ten trochę złośliwy, nonszalancki ton, który wyjątkowo drażnił delikatne, arystokratyczne

podniebienie pani Atherton-Pembroke. To, co przeżyli wspólnie w Mdinie, zostawiło trwałe ślad w jego wspomnieniach. Często powracał do nich w myślach.

Tak wyraźnie czując bliskość jej ciała, Nick nie potrafił się oprzeć. Zbliżył usta i dotknął nimi jej rozchylonych warg. Były tak samo miękkie i słodkie, jak wtedy w Mdinie. Objął ją ramionami i mocno przytulił. Obsypywał pocałunkami jej policzki, uszy i szyję. Janna zawahała się przez ułamek sekundy. Po chwili jednak sama zaczęła całować Nicka. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Rękoma przeczesywała jego krótko obcięte włosy. Wydawała się tak delikatna, a jednocześnie bardzo kobieca i podniecająca.

Co ty, do diabła, wyprawiasz! Ona jest przecież mężatką!

— Dobrze, Mała, jesteśmy kwita — zażartował. — Spokojnie, teraz to ja powinienem czuć się zakłopotany, a nie ty. Koniec z przeprosinami, zgoda?

Zapadła cisza. Janna nie bardzo wiedziała, jak ma potraktować to, co powiedział. Odpowiedziała szeptem:

— Zgoda.

Odwróciła głowę i zapaliła silnik. Wyjechali z garażu. Choć dochodziła dopiero siódma wieczorem, zapadał już zmrok. Nick ledwo mógł dostrzec kontury twarzy Janny. Tylko gdy z naprzeciwka nadjeżdżał jakiś samochód, widział dokładnie jej smutną twarz w blasku reflektorów.

Dlaczego ją pocałowałem? Pogorszyłem przez to już i tak złą sytuację — myślał.

— Czy Hampstead Heath jest daleko? — spytał, chcąc rozładować napiętą atmosferę.

— Nie, jest w północnym Londynie — odpowiedziała zdawkowo.

— Czy spotkamy tam twojego męża?

Janna patrzyła niewzruszona przed siebie. Po chwili odpowiedziała:

— Nie, Collis jest w Stanach, prowadzi tam cykl wykładów.

Collis, co za dziwne imię dla mężczyzny. Wykładowca? Nick wyobrażał sobie męża Janny jako nobliwego Anglika z fajką, w kraciastej marynarce.

— Jadę na spotkanie z profesorem Kaye'em. Jest ekspertem od drugiej wojny światowej. Posiada ogromną wiedzę na ten temat. Napisał, jak dotąd, dwanaście książek. Zetknęłam się z nim podczas moich studiów nad rewolucją francuską. Mam nadzieję, że znajdę u niego fotografię kogoś, kogo poznała Pithany w czasie wojny. Chciałabym zrobić jej miłą niespodziankę.

Wzruszenie, z jakim mówiła o ciotce, bardzo zaskoczyło Nicka. Miał wrażenie, że los Pithany leży jej szczególnie na sercu. Zauważył także, że jest bardziej przywiązana do niej niż do

własnej matki. On również był bardziej przywiązany do Prescottów niż do własnej rodziny. Może dlatego intuicyjnie rozumiał Jannę i wiedział, co dla niej znaczy zrobić komuś bliskiemu przyjemność.

Jeśli wziąć pod uwagę stare przysłowie, iż pieniądze szczęścia nie dają, rodzina Athertonów, pomimo jej imponującego majątku, musiała borykać się z takimi samymi ludzkimi problemami, jak każda inna rodzina na tym świecie. Przeżywali wiele kryzysów i porażek. Nie ulegało wątpliwości, że Janna bardzo kocha brata, z drugiej jednak strony nie rozumiał delikatnego chłodu, jakim darzy Audrey Atherton. Poznał ją podczas jej krótkiego pobytu na Malcie z lekarzem, panem Osgoodem. To piękna kobieta, choć może psychicznie niezupełnie zrównoważona. A co z ojcem Janny? Jak dotąd nikt nie wspomniał o nim ani słowem w obecności Nicka. Najwiśdoczniej już nie żył, skoro Warren odziedziczył po nim zaszczytny tytuł lorda Lyforthu.

— Czy rozmawiałaś z Pithany o starym Bradfordzie? — Nick spytał całkiem otwarcie.

— Tak — odpowiedziała zwalniając. — Podczas wojny Anthony niejednokrotnie proponował jej małżeństwo. Ponieważ ciotka go nie kochała, odmawiała za każdym razem. Od tej pory żywi do niej urazę. Twierdzi, że zrujnowała mu życie. Dlatego mści się przy każdej okazji. Kilka lat temu zablokował zgodę na budowę „Blue Grotto”.

— Rzeczywiście, zachowuje się tak, jakby Pithany naprawdę zniszczyła mu życie. Jego chęć zemsty przypomina niebezpieczną obsesję paranoika. Czuje się odrażony, przegrany.

— Poznałeś go? — spytała Janna.

— Nie. Jadłem tylko obiad z Curtem.

Zanim trafił na mały bankiet u Warrena, zdecydował, że zaraz po angielskiej herbatce wróci do hotelu, zrzuci garnitur i wybierze się na przechadzkę po Londynie. Teraz jednak doszedł do przekonania, że czułby się bardzo samotny w tym obcym mieście. Odkąd zamieszkał na Malcie, zmienił niektóre zwyczaje. Jeszcze w Japonii bardzo cenił sobie czas spędzany we własnym towarzystwie. Teraz ogarnęło go przykre poczucie samotności. Zaczęło brakować mu towarzystwa drugiej osoby.

— Janna... — szepnął.

Spojrzała na niego, odgadując, o co chce zapytać.

— Zanudziłbyś się na śmierć — odpowiedziała.

— A czy ten profesor będzie miał ci za złe, jeśli przyprowadzisz kogoś ze sobą? Zerknęła na niego z zaciekawieniem. Zatrzymała samochód.

— Bardzo by się ucieszył. Uwielbia opowiadać o wojnie, potrafi to robić godzinami. Czy naprawdę chcesz mi towarzyszyć?

— Pewnie.

Ruszyli ponownie. Janna zmieniła trochę kierunek. Gdy przejeżdżali przez Regent's Park, podała mu przewodnik i pokazała niektóre zabytki. Nick przeglądał informator i chcąc trochę podrażnić Janę, powtarzał co jakiś czas „och, ale чудо”. Przejechali koło Primrose Hill, niewielkiego wzniesienia, pokrytego równo przystrzyżoną trawą. Grupa chłopców bawiła się tam różnokolorowymi latawcami. Na jednym z latawców widniała namalowana twarz żółwia Mutant Ninja Turtle, a obok dopisano słowa: „płyń z wiatrem, mieszczuchu!”

— Latawce są wbrew pozorom bardzo niebezpieczne — powiedział bez namysłu Nick.

— Latawce, niebezpieczne? — spytała z powątpiewaniem.

— Jak sądzisz, co się stanie, gdy taki latawiec wpadnie w przewody elektryczne?

— Sądzę, że ci chłopcy wiedzą, że nie należy wtedy samemu ściągać go na dół — odpowiedziała Janna.

— Jeden mały chłopiec o tym nie wiedział. Janna patrząc przed siebie i pilnując drogi, spytała:

— Czy ktoś, kogo znałeś, miał taki wypadek?

— Tak — zawahał się. — Zginął.

— Boże, to straszne. — Popatrzyła na Nicka. — Byłeś przy tym?

— Tak.

W zasadzie Nick nie miał ochoty rozmawiać z nią na ten temat. Dlaczego wszystko jej mówi?

— Bardzo mi przykro, na pewno to przeżyłeś. Ile miałeś wtedy lat?

— Dziesięć. Cody miał dwanaście.

— Dwanaście? Twój przyjaciel był starszy, powinien więc wiedzieć, czym to grozi, nie obwiniaj siebie!

— Czułabyś coś innego, gdyby tym chłopcem był twój rodzony brat — odparł Nick, odwracając od niej głowę. Jaki byłby teraz Cody? Często zadawał sobie to pytanie, choć od śmierci brata minęło już wiele lat. Bolesne poczucie winy powracało za każdym razem. Kto odpowiadał za ten nieszczęśliwy wypadek?

— Dlaczego nie zdołałem go wtedy powstrzymać? — szepnął Nick.

Tragiczna scena ponownie rozegrała się przed jego oczyma. Błagał brata, by zachował ostrożność, ale Cody nigdy nie słuchał młodszego Nicka.

— Tak strasznie mi przykro. Twoi rodzice przeżyli na pewno szok — Janna starała się delikatnie zmienić temat. — Przecież nie obwiniali cię za to, prawda?

— Rodzice rozwiedli się zaraz po moich narodzinach. Matka wychowywała nas sama. — Nick nie powiedział nic więcej. Matka rzeczywiście nie obwiniła go... gorzej, miała pretensje, że to właśnie Cody, a nie on wdrapał się na słup.

Janna miała wrażenie, że rozmowa z Nickiem o jego przeszłości przypomina trochę bieg po polu minowym. Każdy nowy temat groził wybuchem. Czy to możliwe, by życie człowieka przypominało pasmo nie kończących się nieszczęść? Było jej przykro. Próbowwała zainteresować Nicka opowieścią o pobliskim parku i mniej znanych zabytkach Londynu w nadziei, że w ten sposób uda się jej odciągnąć jego myśli od wspomnień.

— Spójrz do tyłu, widok jak na pocztówce. Londyn o zmierzchu.

Za nimi rozciągał się rzeczywiście przepiękny widok, typowa angielska mgła o zmroku.

— Większość turystów zwiedza wyłącznie zabytki w centrum miasta, nigdy nie docierają tak daleko, aż do Parliament Hill.

Hampstead Heath wyglądało bardziej naturalnie niż pozostałe parki królewskie, które Nick miał dotąd okazję widzieć.

Większość z nich była w każdym szczególe zaplanowana i wszystko musiało znajdować się na określonym miejscu: ławki, krzewy przycięte w różne kształty, drobne rzeźby i małe pomniki, krótko przystrzyżona trawa. Wszystko, nawet gałęzie drzew, musiało poddać się rygorom architekta.

Janna skręciła w małą uliczkę i po chwili zatrzymała samochód przed skromnym domem z czerwonej cegły, usytuowanym tuż obok parku.

Drzwi otworzył im starszy pan o włosach białych jak śnieg i krótko przystrzyżonej brodzie. Przywitał ich uśmiechem i zaprosił do środka.

— Przyprowadziłam ze sobą znajomego. To jest Nick Jensen — Janna przedstawiła Nicka.

— Gerald Kaye — gospodarz mocno uściśnął dłoń teksańczyka. — Znajomi mówią do mnie Gerry.

Wyglądał na dobrze zakonserwowanego osiemdziesięciolatka z miłym, dobrodusznym spojrzeniem. Musiał być bardzo zaprzyjaźniony z Janną, gdyż na powitanie mocno ją przytulił,

całkiem jak córkę. Zaskoczyło to Nicka, który w kontaktach z Anglikami przyzwyczał się raczej do ich typowej rezerwy i wyniosłości.

Długim korytarzem przeszli w trójkę do małej biblioteki.

— Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca. Przekaż, proszę, matce moje szczere kondolencje. Jak to przeżyła, dała sobie radę? — spytał profesor.

— Lepiej, niż się tego spodziewaliśmy — odpowiedziała Janna.

Nick bacznie ją obserwował. Zmarszczyła lekko czoło. Dopiero teraz dowiedział się, iż stary Atherton zmarł niedawno. A więc dlatego przez cały ten czas Janna była taka skupiona, poważna i chyba nawet nieszczęśliwa. Dlaczego jednak jej mążzonek zostawił ją samą, gdy go najbardziej potrzebowała? Co to jest za mężczyzna? Janna wyglądała na osobę bardzo wrażliwą, ale i spostrzegawczą. Gdy opowiadał jej o śmierci Cody'ego, od razu domyśliła się, że matka obwinia go za ten wypadek. Utrata ojca musiała oznaczać dla niej ciężki cios. Nic dziwnego, że rzadko kiedy na jej twarzy gościł uśmiech.

Gerry zaprosił ich do biblioteki. Na ścianie wisiała mapa Europy z okresu drugiej wojny oraz liczne zdjęcia samolotów i statków. Rzędy pięknie oprawionych w skórę książek wypełniały szczelnie ściany aż po sufit.

— Siadajcie — powiedział profesor, wskazując im skórzaną sofę.

Sam usiadł na bujanym fotelu.

— Gerry, czy udało ci się znaleźć zdjęcie Iana MacShane'a? — spytała zniecierpliwiona Janna.

— Niestety nie, ale dowiedziałem się trochę na jego temat. MacShane urodził się i wychował w slumsach Glasgow. Był sierotą. Przyjechał do Londynu i pracował jako posłaniec w gazecie „Daily Mail”. Po jakimś czasie namówił kogoś w radiu, by dał mu szansę zrobienia reportażu. Okazał się w tym naprawdę bardzo dobry. Miał rzadki talent. Dostał zgodę i razem z jakimś pilotem RAF-u przedostał się na Maltę. Nikt nie wie, jak tego dokonał. Wówczas na wyspie nie było żadnego śmiałka, który chciałby się bawić w dziennikarstwo. Zaczął przysyłać do Anglii reportaże drogą radiową. Drukował je także w dzienniku, dla którego wcześniej pracował, „Daily Mail”.

— I nie znalazłeś żadnego zdjęcia w tej gazecie? — spytała.

Nick spostrzegł, że na jej twarzy maluje się napięcie i oczekiwanie.

— Jakies zdjęcia na pewno musiały znajdować się w archiwum redakcji, Niestety, ten gmach został doszczętnie zbombardowany przez Niemców — odparł Gerry.

— A może ktoś zrobił mu zdjęcie podczas pobytu w Afryce Północnej. Cieszył się już wówczas sporą popularnością...

— Sprawdziłem naprawdę wszystko i niestety... Dzwoniłem do wielu osób. Nikt z nich, ani ich znajomych, nie był w posiadaniu takiego zdjęcia.

— Dziękuję ci za starania. Miałam nadzieję...

— Mam skrypty wszystkich jego reportaży. Dam ci je. Czy naprawdę aż tak potrzebne jest zdjęcie? — spytał Gerry.

— To dla mojej ciotki. Sprawiłoby jej ogromną radość. Miała wyjść za mąż za Iana. Kiedy dowiedziała się o zatonięciu „Nelsona”, zrozumiała, że straciła go na zawsze... — tłumaczyła Janna.

— Chwileczkę — przerwał jej profesor. — Jesteś w błędzie, nie znasz prawdziwej historii. Iana MacShane'a nie było na pokładzie „Nelsona”!

12.

Janna nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Pithany przez wszystkie te lata żyła w przekonaniu, że Ian zginął na pokładzie „Nelsona”, zatopionego przez niemiecką torpedę. Z drugiej jednak strony, Gerald Kaye był jednym z największych autorytetów w sprawach drugiej wojny światowej i nie mógł się mylić.

— Czy jesteś pewien? Gdyby Ian żył, skontaktowałby się z moją ciotką — tłumaczyła Janna.

— MacShane zjawił się w Bardii dwa dni po przegranej bitwie o Tobruk. Potem zniknął i nikt nie wie, co się z nim stało. Od tamtego czasu nie nadał dla radia żadnego reportażu.

— Gdyby zginął, znaleziono by jego ciało. Był znaną osobą, BBC na pewno go szukało — Janna nie chciała uwierzyć.

— W chaosie wojny wszystko może się zdarzyć — Gerry wzruszył ramionami.

— Może został ciężko ranny, dostał amnezji i żyje gdzieś pod innym nazwiskiem — wtrącił Nick.

— Nie. MacShane cieszył się prawdziwą sławą. Niemożliwe, by mógł błąkać się nie rozpoznany przez nikogo. Rozmawiałem z pewną osobą, która jako ostatnia widziała go żywego. To było... gdy zbierałem materiały do mojej książki *Zawróceni z piekieł*, o kampanii wojennej w Afryce po przejęciu przez Montgomery'ego dowództwa nad siłami brytyjskimi. Niech ja

znajdę te notatki — mrucał do siebie Gerry, szukając w stercie papierów, pod którymi ugięło się jego biurko.

Janna odwróciła głowę, spojrzała przez okno w stronę ogrodu. Wokół delikatnie oświetlonego przez latarnię parkową kamiennego postumentu, porośniętego u dołu mchem, wiły się pędy dzikich róż. Obok stały drewniane, ręcznie wykonane klatki, w których profesor hodował gołębie.

Janna nie wiedziała, co powie ciotce Pithany. Czy ma prawo obudzić w niej nadzieję i zrodzić wiele wątpliwości?

— Musisz przygotować się na to, że być może nigdy nie dowiemy się prawdy o Ianie MacShane — szepnął do niej Nick.

— Ty nie rozumiesz. Pithany żyła przez ostatnie pięćdziesiąt lat w przeświadczeniu, iż jej narzeczony, którego tak bardzo kochała, odszedł od niej na zawsze w chwili zatonięcia „Nelsona”. Jak mam jej teraz powiedzieć, że się myliła? Będzie chciała wiedzieć, co się stało naprawdę, gdzie on teraz jest, czy żyje, czy nie. Tak samo, jak ty chcesz wiedzieć, co stało się z Trevorem Prescottem. — Janna patrzyła na Nicka ze łzami w oczach.

Jej słowa przypomniały mu o jego powinności w stosunku do Austina, a przede wszystkim wobec samego Trevora.

— Czy policja ma już jakiś ślad? — spytała Janna po chwili.

— W dniu, kiedy odleciałaś do Pithany do Rzymu, przyszli do Falcon's Lair, by przesłuchać Clarę. Pobrali próbki wszystkich zapasów żywności. Chcą zbadać, czy nie ma w nich przypadkowo trucizny z oleandra. Moim zdaniem niczego nie znajdą — odpowiedział.

— Dlaczego?

Janna po raz pierwszy zobaczyła na twarzy Nicka niepokój i powagę. Zawsze był uśmiechnięty i dowcipkował bez przerwy. Teraz wydawał się zupełnie inny, bardziej jej bliski. Denerwował się, że policja ciągle drecze w miejscu i nie potrafi rozwiązać sprawy. Rozumiała go, kochał swojego przyjaciela tak mocno, jak ona kochała Pithany.

— Tamtego dnia Pithany i Clara zjadły o wiele więcej od Trevora i nic im się nie stało. Zapasy żywności były jeszcze później wykorzystywane, oprócz... miodu... Clara wyrzuciła go potem, bo dobrały się do niego osy. Po prostu Trevor musiał zjeść coś, zanim przyszedł do Pithany na herbatę.

— Tak, to chyba jedyne wytłumaczenie... — powiedziała Janna. Gerry podszedł do nich, trzymając gruby, stary notatnik.

— Tu znajdziemy wszystko, co jest nam potrzebne — powiedział, siadając między nimi na sofie. — Marzec, 1979 rok. Przeprowadziłem wtedy wywiad z Ralphem Evansem. To on mi opowiedział, jak razem z Ianem przedostali się z Gazali do Bardii. Najprawdopodobniej MacShane nie zdążył wejść na pokład „Nelsona”. Ostatni raz widział go w Bardii w barze portowym. Ian miał się spotkać z jakimś znajomym pilotem z RAF-u.

— Czy wspomniał nazwisko tego pilota? — spytała rozgorączkowana Janna, myśląc o Tonym Bradfordzie.

— Nie. Nie wiedział, pytałem o to. Miał spotkać MacShane'a następnego dnia, ale nigdy więcej go już nie widział. Oddział Evansa został przegrupowany i opuścił Bardię.

— I nikt więcej nie widział MacShane'a tamtej nocy? — pytała Janna.

— On po prostu zniknął. Być może zginął tam i został pochowany w bezimiennym grobie. Może też nikt nie był w stanie zidentyfikować jego ciała — tłumaczył Gerry.

— Chciałam dać ciotce Pithany zdjęcie Iana i zrobić jej miłą niespodziankę, a tymczasem... — Janna czuła, że zaraz się rozplacze — będę musiała jej powiedzieć coś tak straszego. Załamie się...

Nick położył dłoń na jej ramieniu.

— Może sami jeszcze spróbujemy się czegoś dowiedzieć, zanim jej o tym powiemy, co?

Od kiedy to Nick stał się częścią tej całej sprawy, częścią jej życia? — pomyślała. Patrzył na nią ze zrozumieniem, w typowy dla siebie sposób. Przypomnił jej o Collisie, który powinien teraz być na jego miejscu, pomóc jej, doradzić i wesprzeć. W przeciwieństwie do Collisa, Nick nie sprawiał wrażenia egoisty ani egocentryka. Naprawdę troszczył się o nią i zależało mu na jej szczęściu.

— Masz rację — odpowiedziała. — Lepiej na razie nie niepokoić ciotki. Żyła zawsze dla mnie i dlatego wolałabym jej nie zawieść. Była jak matka.

Spojrzała na Gerry'ego. Stary profesor wywołał w niej poczucie winy.

— Nie zrozumcie mnie źle. Moja matka jest cudowna i bardzo ją kocham. Zawsze o mnie dbała i nigdy niczego mi nie brakowało — dodała Janna tłumacząc się.

— Ale zawsze czułaś się bardziej związana z Pithany — powiedział Nick. — To przecież nic złego.

Przytaknęła. Przyjemnie było czuć jego ciepło na swoim ramieniu. Czy Collis okazałby się aż tak opiekuńczy jak Nick? Nie. Poza tym Collis nigdy nie lubił ciotki Pithany. Janna zastanawiała się, jaką grę obmyślił sobie Jensen. Dlaczego zdecydował się przyjść z nią do profe-

sora. Widocznie sprawiało mu przyjemność drażnienie się z nią. Wtedy w ciemnym garażu zdecydowała się odwzajemnić jego pocałunek, ale tylko po to, by przekonać się, czy z jego strony nie była to tylko przemyślana gra.

— Czy Evans jeszcze żyje? — Nick spytał Gerry'ego. — Czy moglibyśmy z nim porozmawiać? Może pamięta jeszcze jakiś szczegół?

Gerry uniesieniem brwi okazał wątpliwość.

— Pozwólcie, że zadzwonię do kilku znajomych i przyjaciół.

— A ja skontaktuję się z władzami w Bardii — Nick zwrócił się do Janny. — Być może uda się nam dowiedzieć, czy został tam ktoś bezimiennie pochowany w okresie, w którym zniknął Ian.

Gerry wstał.

— Nie wiem jak wy, ale ja jestem głodny. Czy macie ochotę zjeść ze mną kolację? Niezłonaci mężczyźni są bardzo kiepskimi kucharzami. Mogą być grzanki smażone z serem po walijsku?

— Brzmi zachęcająco — odparł Nick.

Wszyscy troje przeszli do kuchni i wspólnie przyrządzili sobie małą przekąskę. Dopiero podczas wizyty u profesora Janna uprzytomniła sobie, że bez powodu uprzedziła się do Nicka. Nie powinna go odpychać i mścić się na nim za postęпки Collisa. Dlaczego nie mieliby zostać szczerymi przyjaciółmi? Nawet Pithany dała Jannie radę, by poznała się bliżej z Jensenem i pozwoliła mu sobie pomóc. Nick był jej rzeczywiście potrzebny, a poza tym nie mogła pozwolić, by przeszedł do obozu wroga — do Bradfordów.

Collis Pembroke leżał obok Annabelle z głową złożoną na jej obfitych piersiach. Czekał właśnie, aż służący w willi Countessa d'Bianci's w Rzymie przeniesie aparat do sypialni Audrey.

— Halo, Audrey — powiedział wymuszenie uprzejmym głosem. — Jak udała się wystawa psów?

— A kto mówi?

— Collis — był zaskoczony, że Audrey go nie poznała. — Dzwonię, by spytać, jak się czujesz. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz.

— Och, jaki jesteś słodki. To miło, że dzwonicz — zaszczębiotała.

Na szczęście Audrey łatwo pozwałała się oszukać, z Janną było gorzej. Uśmiechnął się do słuchawki.

— Cały dzisiejszy dzień spędziłam słuchając wykładów o różnych rodzajach porodów — kontynuowała Audrey. — Czy zdajesz sobie sprawę, że ponad dziesięć procent dalmatyńczyków rodzi się głuchych. Muszą być usypiane. Wyobraź sobie, na tym poziomie cywilizacji niczego jeszcze nie wymyślono, by rozwiązać ten problem! Całe szczęście, że maltańczyki nie mają takich problemów.

— Bardzo interesujące — skomentował Collis.

Domyślał się, że pies Audrey robi dokładnie to, na co ma ochotę. Doszedł do wniosku, że Janna ma pewną wspólną cechę z Audrey, a mianowicie nie potrafi rozróżnić spraw naprawdę istotnych od rzeczy trywialnych. Słuchał grzecznie o kolejnych psich problemach, aż wreszcie udało mu się dyskretnie wtrącić pytanie:

— Audrey, miałaś okazję rozmawiać z Janną?

— Och, co ja mogę zrobić z taką córką. Rozmawiałam z nią, ale wszystko na nic.

— Co powiedziała? — spytał zaintrygowany Collis, siadając na łóżku.

— Staralam się, jak mogłam, by ją przekonać. Mówiłam, że zajmowanie się interesami jest zbyt przyziemne i pospolite. Prawdziwy Atherton nie zajmuje się podobnymi rzeczami. Ale Janna nie chciała słuchać.

— A co mówiła na temat dziecka?

— Wykluczone. Nie ma nawet mowy... Godzinami z nią rozmawiałam. Jest zdecydowana rozwieść się z tobą.

Rozwód? Przecież Warren podkreślał, że pod żadnym pozorem nie wolno mówić o tym Audrey. Najwidoczniej Janna sama jej powiedziała. Po raz pierwszy Collis przeląkł się, że nie będzie mógł zapanować nad sytuacją i zmienić zdania Janny.

Audrey zaczęła szlochać. Nad czym ona płacze, do diabła? — myślał.

— Nic nie zmieni powziętej przez nią decyzji. Próbowałam, wierz mi. Była w Rzymie przed kilkoma dniami i rozmawiałam z nią wiele razy. Bezskutecznie...

Pożegnał się oschle z Audrey i odwiesił słuchawkę. Był wściekły. No, ale z drugiej strony, nie miał przecież żadnych gwarancji, że jego plan się powiedzie. Janna okazała się bardzo uparta, zwłaszcza gdy przestał działać na nią jego osobisty czar. Do tej pory miłość do niego stanowiła niezachwiany argument we wszystkich kwestiach. W konsekwencji robiła wszystko, czego od niej zażądał.

— Co się stało, Collie? — spytała czule Annabelle.

Collis nie odpowiedział i energicznie włączył telewizor. Na ekranie, jak na złość, pojawiła się twarz Warrena. Wściekłość wypełniła go do granic. Przecież Atherton niczego nie wiedział, kompletnie nie miał pojęcia o sprawach, o których tak chętnie się wypowiadał. Złoty chłopiec torysów, nie nadający się do podejmowania jakichkolwiek decyzji... myślał Collis. Każdy podzielał pogląd, że młody lord Lyforthu nie był predestynowany do działań w sferze politycznej. Krążyły plotki, że niektórzy członkowie izby zastanawiają się nad znalezieniem jego następcy. Ach, zresztą. Nie chcą się mnie słuchać, to nie, w końcu to ich strata, myślał Collis. Jeśli nikt jeszcze nie zrozumiał, iż Warren kompletnie nie nadaje się do piastowania politycznych funkcji, to do diabła z nimi... Jednak Collis za bardzo nienawidził Warrena, by pozostawić sprawy własnemu biegowi.

Chciał skompromitować młodego Athertona i zmusić go do rezygnacji. Sam uwielbiał przemawiać. Wygłaszanie odczytów przed licznym audytorium mile łechtało jego próżność i, co gorsza, utwierdzało w przeświadczeniu o własnej wartości. Oczyma wyobraźni widział siebie na ekranie telewizora, przemawiającego do całego narodu.

Był pewien, że osiągnie swój cel. Wtedy Janna pożałuje, że od niego odeszła. Tylko że on już nie będzie jej potrzebował. Nazwisko, uroda i inteligencja Janny umożliwiały nawiązywanie kontaktów z wpływowymi osobistościami i ludźmi interesu. Dzięki małżeństwu z panną Janną Atherton Collis wszedł bez przeszkód w kręgi elit politycznych i naukowych Anglii, zyskał sympatię wśród zaprzyjaźnionych rodzin arystokratycznych. Oczywiście swojej pozycji społecznej nie zawdzięcza jedynie Jannie, ale także talentowi, sprytowi i elokwencji.

Collis nigdy tak naprawdę nie kochał Janny. Oczywiście cenił ją i bardzo lubił, ale nie ponadto. Wolał kobiety mniej inteligentne, takie, które swoją wiedzą nie mogły z nim rywalizować. Ich związek zapewne trwałby do dziś, gdyby Janna pozostała małą skromną kobietką, przekonaną o jego wyższości i niepowtarzalności, tak jak Annabelle... ale Janna zmieniła się. Collis wyłączył telewizor. Już teraz czuł smak słodkiej zemsty. Jakby tu upokorzyć Jannę i Warrena? Musi być jakiś sposób, by skompromitować ród Athertonów i jednocześnie umocnić własną pozycję. Rozmyślał nad tym tak wiele razy i miał już tyle różnych planów i pomysłów, ale żaden nie wydawał mu się wystarczająco doskonały.

— Collie — szepnęła ponownie Annabelle. — Teraz twoja kolej.

Odwrócił się do niej twarzą. Uśmiechała się do niego niewinnie. Jej złote włosy opadały na ramiona i kształtne piersi. Po chwili podała mu buteleczkę z olejkiem Kama Sutra.

— Teraz twoja kolej — powtórzyła.

Spojrzał na jej powabne ciało, rozciągnięte leniwie na białej pościeli. Miała idealną figurę, wszystko w odpowiednich proporcjach; piękne piersi, wąską talię i zgrabne szczupłe nogi. Jej uda były lekko rozchylone, jak zawsze, a skóra pokryta delikatnie gęsią skórką. Pozwolił, by kilka kropel olejku spadło na jej piersi. Wcierał go długo, powolnymi, delikatnymi ruchami dłoni, najpierw na piersiach, potem na brzuchu i wreszcie na udach. Odstawił buteleczkę i drażniąc językiem wewnętrzne strony ud, dotarł do jej krocza. Rozchylił mocniej kolana, zagłębiając twarz w jej włosach. Tak podniecająco pachniała kobieta.

Gdyby Athertonowie go teraz widzieli... Janna byłaby poniżona, Warren wściekły i zaszokowany, a infantylna Audrey miałyby zapewne głupią minę. Ciekawe, ile Reginald zapisał Jannie w spadku? Należał raczej do skąpców, no, ale córce... dał na pewno masę forsy... A jeśli z jakichś powodów postanowił wykluczyć ją ze spadku? Collis chciał za wszelką cenę poznać treść testamentu. W pierwszej chwili pomyślał, że może po prostu powinien spytać Audrey. Potem doszedł jednak do wniosku, że zapewne nikt nie podał jej szczegółów, zatem nie warto.

Annabelle jęknęła. Spojrzał w jej błękitne, rozszalałe oczy. Była cudowna. Żadna inna kobieta nie potrafiła swymi słodkimi okrzykami doprowadzić go do stanu takiego podniecenia. Dziewczyna usiadła na nim okrakiem i z wypiętymi do przodu piersiami rytmicznie poruszała ciałem, zrzucając raz do tyłu, raz do przodu włosy.

— Jestem geniuszem, jestem pieprzonym geniuszem! — krzyknął Collis. Do głowy wpadł mu pewien pomysł, który miał stać się później podstawą planu zemsty.

— Collie, masz zamiar się ze mną ożenić, prawda? — spytała szeptem, kiedy leżeli zaspokojeni obok siebie.

* * *

— Czy nie byłem zbyt bezpośredni? — spytał Warren w drodze powrotnej z telewizyjnego studia nagrań BBC w Ealing. Po wystąpieniu w telewizji Warren zaczął mieć wątpliwości, czy broni słusznej sprawy.

— Nie. Przekonałeś mnie — odparła wpatrzona w niego Shadoe. — To, że Włosi chcą spółek joint ventures z Japończykami, nie znaczy, że mamy postępować tak jak oni. Ich warunki nie muszą nam odpowiadać.

Warren słuchał łagodnego głosu Shadoe, ale jeszcze bardziej wolałby mieć przed oczyma jej piękną twarz. Prowadząc samochód, musiał uważać na drogę. I tak czuł się dość szczęśliwy, gdyż prawie cały dzisiejszy dzień spędził w jej towarzystwie. Uznał, że jedynym rozsądnym sposobem doprowadzenia do zmiany decyzji Shadoe jest pozwolić jej przekonać się samej, że

nie wszyscy mężczyźni są łajdakami. Przebywając z nią tak często, jak tylko to było możliwe, miał nadzieję zbliżyć się do niej. Jeśli go lepiej pozna, zmieni zdanie. Warren lubił przebywać w jej towarzystwie. Dobrze się bawił, a co ważniejsze, dobrze się czuł. Miał już dosyć drętwej atmosfery salonów, prawienia tanich, ale koniecznych komplementów paniom, które go w ogóle nie interesowały. Przebywanie w elitarnych towarzystwach, oprócz swych zalet, miało niewątpliwie mnóstwo wad. Oczywiście otrzymał wiele ofert matrymonialnych, zupełnie jak jego przyjaciel, Gerald Grosvenor, książę Westminsteru, najbogatszy człowiek w całej Anglii. Ponieważ Warren był młody i do tego przystojny, oferty pochodziły nie tylko od panien, ale także od wdów.

— Co myślisz o Nicku Jensenie? — spytał Shadoc po chwili milczenia. Ciekawiło go, co sądzi o teksańczyku. Nawet o nim nie wspomniała, a to wydawało się Warrenowi dziwne.

— Bardzo go lubię. Nigdy nie zapomnę, jak nam pomagał w czasie rewolucji francuskiej. Mam nadzieję, że teraz Janna i on będą mieli szansę nasycić się swoją miłością.

— Nick i Janna spotkali się w jakimś poprzednim wcieleniu? — spytał z niedowierzaniem. Warren wiedział, iż według Shadoc wraz z Janną były przyjaciółkami Marii Antoniny. Na początku wyglądało to na niewinną zabawę, ale od kiedy obie wyjechały do Francji, nie mówiły prawie o niczym innym, jak tylko o swych przygodach podczas rewolucji.

— Spotkali się kilkakrotnie, tak sądzę. Nie wiem dokładnie, ponieważ razem, w trójkę widzieliśmy się tylko raz. Zawsze było tak, że Nick musiał zginąć, zanim ich miłość naprawdę się zaczęła.

— Rozumiem — powiedział Warren. — Czyli Nick był z tobą i Janną, gdy pomagaliście zbiec Marii Antoninie z tym szwedzkim dyplomatą...

— Axelem Fersenem — dodała Shadoc. — Axel bardzo ją kochał. Kiedy było już jasne, że życie Marii jest w ogromnym niebezpieczeństwie, zdecydował się jej pomóc. Nick należał do jego przyjaciół. Pierwszy raz spotkał Jannę w ciemnej alejce w środku nocy. Przyniosła wiadomość od Marii dla Axela. To była miłość od pierwszego wejrzenia... Mieli niestety tylko trzy dni, by nacieszyć się sobą — Shadoc westchnęła. — Może tym razem przeznaczenie okaże się bardziej łaskawe.

Warren nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Opowieści o duchach i kolejnych wcieleniach wydawały mu się nedorzeczne... ale Shadoc traktowała własne słowa z taką powagą, iż nie śmiał wyrazić żadnych wątpliwości. Zapadło milczenie. Każde z nich myślało o czymś innym. Ona o czasach rewolucji francuskiej, a on o ich miłości. Przypomniawszy sobie, jak

kilka lat temu rozmawiał o Shadoe z Janną, która przecież znała ją najlepiej. Powiedziała mu wtedy o obsesji, prześladowającej przyjaciółkę od lat dziecięcych. Była przekonana, iż posiada zdolność nawiązywania kontaktów z silami nadprzyrodzonymi. Dorastała samotnie, opuszczona przez matkę, zanedbywana przez ojca i wychowywana przez służących i kucharkę. Właśnie w tym okresie stworzyła swój system wartości, poznawała tajniki życia z innych źródeł niż powinna. Służba zapoznała ją z różnymi wiarami, sposobami ich kultywowania i najrozmaitszymi obrzędami. Dzieciństwo Warrena wyglądało inaczej. Dzięki ciotce Pithany jego rodzina nie rozpadła się. Namówiła Audrey, by w każdą niedzielę zabierała dzieci do kościoła. Ponieważ Reginald zawsze lekcewał nakazy kościelne i w niedzielę jechał zwykle do Londynu na różne spotkania i imprezy towarzyskie, doktor Osgood przejmował na ten czas rolę ojca i zabierał Audrey wraz z dziećmi na mszę. Potem szli razem na spacer do parku lub wracali do domu na herbatę. Warren nie uważał się za człowieka religijnego. Jego zasady moralne uformowały się jako suma różnych religii. Dołączył do nich doświadczenie i własne przekonania. Nigdy jednak nie opierał się na zabobonach, kultach i motywach z religii Wschodu.

Może gdyby Warren nie posłuchał ojca i wbrew jego zakazom nadal spotykał się z Shadoe, nie popadłaby w niewolę astrologicznych zabobonów. Przez te piętnaście lat, które nieubłagane upłynęły, Warren stał się dojrzałym mężczyzną, cieszącym się dobrą opinią i pozycją. Shadoe natomiast w swej rozpacz i zagubieniu chwyciła się coraz to innego mężczyzny i bez namysłu wychodziła za mąż. Powszechnie uważano ją w towarzystwie za puszczalską. Jej postępowanie jedynie utwierdzało ten krzywdzący pogląd i zmusiło Warrena do przyznania ojcu racji. Ona nie jest z naszej sfery, nie pasuje do nas, myślał Warren jeszcze całkiem niedawno. Jednak w chwili, kiedy Shadoe opowiedziała mu o dziecku i o swoich planach, zmienił zdanie. Zrozumiał, że ona przez cały czas desperacko szukała miłości, chciała założyć rodzinę, której nigdy sama nie miała. Teraz, niestety dopiero teraz, Warren zdecydował się dać jej to, czego tak bardzo pragnęła przez te wszystkie lata.

— Czy twoja matka nadal zamierza pokazać Rommiego na wystawie? — spytała, przerywając ciszę.

— Jest zdecydowana. Wynajęła specjalnego trenera, który szkoli psiaka kilka godzin dziennie. Rommie stał się dla niej najważniejszy — odpowiedział Warren, spoglądając na Shadoe z uśmiechem. — Dziękuję raz jeszcze, że pomyślałaś o niej wtedy. Audrey żyje dla tego psa.

— Warren... ja, to znaczy mój znajomy, który dał mi tego psa, on... nie jest pewien rodziców von Rommla.

— Co masz na myśli? — spytał zaintrygowany. — Przecież przesłał matce papiery ze związku kynologicznego.

— John, ten mój znajomy, był w Hyde Parku na spacerze ze swoją suką maltańczykiem...

— I co dalej?

— Nie wiedział, że jego sunia ma cieczkę. Spuścił ją ze smyczy, by sobie pobiegała. W pewnej chwili obejrzał się i zobaczył, że jakiś pies wskakuje na nią. Odgonił go, ale było być może za późno. Ten pies... jak ty je nazywasz, te z Meksyku?

— Chihuahuas. To znaczy, że ojcem Rommla jest Chihuahua? W jaki sposób John zdobył papiery rodowodowe? — spytał Warren.

— Zwrócił się do przyjaciółki, która ma maltańczyka. To on pokrył sunię, a gdy okazało się, że jest w ciąży, uzgodniono bez wątpliwości, że ojcem jest rasowy maltańczyk. Stąd oryginalne papiery. John ma jednak do dziś wątpliwości. Postanowiłam odkupić von Rommla dla Audrey, ponieważ mój przyjaciel nie mógł mieć w domu i psa, i suki. Nigdy bym nie pomyślała, że twoja matka zechce pokazać Rommla na konkursie.

— Nie mam pojęcia, co powie na to moja matka — odparł, starannie ukrywając irytację. Ten John działał mu na nerwy.

— To się zdarza. Przecież pies królowej Elżbiety także okazał się trochę skundlony, nieprawdaż?

— Owszem, ale nigdy nie próbowano pokazywać go na wystawie psów rasowych — skomentował Warren złośliwie.

Skreślił w uliczkę Cranley Mews i nagle uzmysłowił sobie istotę całej sytuacji. Shadoc zdecydowała się powiedzieć mu prawdę o Rommlu, ponieważ chciała być wobec niego szczerą. Tylko to się liczyło. Psi mezalians rodziców Rommiego nie był kwestią, o którą warto się spierać. Miał tyle ważniejszych spraw na głowie... poza tym powinien wiedzieć, że przebywanie z Shadoc obfituje w różne niespodzianki.

— Moja matka ceni tylko to, co jest pierwszej klasy. Wierzy niezachwianie w arystokratyczne pochodzenie Rommiego, więc nie odbierajmy jej tej wiary. Nikt na tym nie straci.

— Janna, ty mnie nie słuchasz — powiedział Gerry, pochylając się nad nią.

— Bardzo mi przykro — szepnęła. Przez cały wieczór rozmyślała o ciotce Pithany i Ianie. Sądziła, że nikt tego nie zauważył. Gerry zajęty był opowiadaniem Nickowi różnych histo-

rii z czasów wojny oraz pokazywaniem modeli i zdjęć samolotów. Dużi chłopcy mieli świetną zabawę.

— Zrobiło się już późno — powiedział Nick. — Prawie północ. Sądzę, że powinniśmy się pożegnać.

Profesor odprowadził ich do drzwi.

— Dam wam znać, jak tylko ustalę, czy Evans jeszcze żyje. Dobranoc.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni, dziękujemy ci, dobrej nocy — pożegnała się Janna.

— Chwileczkę, myślę, że jest pewien sposób, by zdobyć dla twojej ciotki zdjęcie Iana — dodał Gerry w chwili, gdy już chciał zamykać drzwi.

— Mówiłeś, że sprawdziłeś wszystkie możliwości.

— Bo tak jest w istocie, ale... to byłoby bardzo nietypowe zdjęcie. Janna musiałaby pomóc.

— Zrobię wszystko, co będzie trzeba. No, powiedz wreszcie, co ar chodzi po głowie? — szepnęła z przejęciem Janna.

— Przy wydawaniu niektórych z moich książek potrzebowałem ilustracji i zdjęć. Nie zawsze dysponowałem oryginałami i wtedy prosiłem o pomoc Laurel Hogel. Ona potrafi narysować portret nie tylko na podstawie zewnętrznej charakterystyki danej osoby, ale także cech jej charakteru. Laurel mieszka w Surrey.

— Musiałabym więc możliwie dokładnie opisać Iana? — spytała Janna. Usiłowała sobie przypomnieć wszystko, czego dowiedziała się od Pithany na temat wyglądu i osobowości MacShane'a. Niewiele wiedziała oprócz tego, że pochodził ze Szkocji. Pytała ciotkę kilkakrotnie o niego, ale ona unikała tego tematu. Wspomnienia sprawiały jej przykrość.

— Niezupełnie. Musisz raczej opisać bardziej jego psychikę niż wygląd zewnętrzny. To prawdziwa artystka i na dodatek psycholog. Podczas gdy ty będziesz o nim opowiadać, ona stworzy sobie w wyobraźni jego podobiznę.

— Jak ona to robi? — spytał Nick zaskoczony. W jego głosie pobrzmiwała nuta powątpiewania.

— Nie mam pojęcia. Po prostu potrafi. Gdy nie mogłem znaleźć odpowiednich zdjęć do moich książek, opowiadałem jej o danym człowieku, a ona go rysowała. Uzyskane szkice pokazałem potem rodzinie. Byli zachwyceni.

— Sądzisz, że będzie chciała to dla mnie zrobić? — pesymizm Nicka wyraźnie ostudził zapal Janny.

Gerry przytaknął.

— Nie masz przecież nic do stracenia! Czy chcesz, bym zadzwonił do niej i umówił cię na wizytę? — spytał profesor.

— O, tak, bądź tak dobry.

Pożegnali się. Janna podeszła z Nickiem do samochodu. Otworzył jej drzwi i szepnął:

— Ty chyba nie masz zamiaru pójść do tej kobiety? Przecież sama nie wierzysz w to, co mówił Gerry.

Słowa Nicka wyrwały ją z zamyślenia. Wsiadła do samochodu, wsunęła kluczyki do stacyjki i czekała, aż Nick usiądzie obok.

— Tak, oczywiście, że mam zamiar do niej pójść. Za wszelką cenę chcę mieć jakieś zdjęcie dla ciotki Pithany.

— Na Boga!!! Co minutę rodzi się jakiś szaleniec! Świat tak chce, że są to akurat zawsze kobiety!

— To niesprawiedliwe z twojej strony! — krzyknęła, patrząc mu prosto w oczy. — Ludzie o takich zdolnościach są bardzo przydatni. Dzięki nim odnajduje się zagubione dzieci, porwanych ludzi... Nawet policja kryminalna konsultuje się z nimi. Na Wschodzie nie kwestionuje się psychoterapeutycznych zdolności niektórych ludzi. Jeśli odkryją kogoś z takimi zdolnościami, starają się je rozwinąć i wzmocnić poprzez programy ćwiczeń. A my, na zachodzie Europy, co robimy? Naśmiewamy się z takich ludzi, bo nie mają ukończonych dobrych uniwersytetów w Oxfordzie, Atlancie czy Monachium.

— Ależ ja wierzę w zdolności terapeutyczne, powątpiewam natomiast w to, co potrafi rzekomo zrobić pani Hogel. To graniczy z szaleństwem — odpowiedział Nick.

— A co w takim razie z Gerrym? On skorzystał z jej umiejętności.

— Niech będzie, pani Hogel jest geniuszem. Pozwól jednak, że dla mnie jej geniusz pozostanie mocno podejrzanym, a wraz z tym tajemnicze hokus-pokus uzdrowicieli, wszystkie te znaki astrologiczne, życie pozagrobowe i ponowne wcielenia.

Janna odwróciła od niego głowę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Kątem oka zobaczyła, że Nick uśmiecha się pod nosem.

— Nigdy nie powiedziałam, że wierzę w astrologię i ponowne wcielenie — odparła.

— Zatem o mały włos i dałbym się nabrać. Byłem pewien, że należysz do tajnego bractwa magów — skomentował złośliwie.

Janna zaczerwieniła się. Dlaczego Shadoc opowiedziała mu te wszystkie historie o Marii Antoninie i Polignacu? Jak tylko wspomniała przyjaciółce o spotkaniu z niejakim Nickiem Jensenem, Shadoc natychmiast bez najmniejszego wahania oświadczyła, że to właśnie on był kochankiem Janny w czasach rewolucji francuskiej.

— Będę szczerą, Nick. Czuję się bardzo zakłopotana w związku z tym, że Shadoc opowiedziała ci historię o Polignacu. Jestem jednak pewna, że nawet jeśli rzeczywiście żyłam w tamtych czasach, nie spotkaliśmy się wcześniej.

— Skąd ta pewność? — spytał, udając rozczarowanie.

— Wiedziałabym o tym, czułabym to!

— Szkoda. Zawsze marzyłem, by zębami rozwiązać jeden z tych pancernych gorsetów, które nosiły wówczas kobiety. To musiało być podniecające... Czy one nie nosiły przypadkowo również podwiązek, pantalonów z koronkami i kilku halek?

— Co najmniej dziesięć, a czasami nawet więcej.

— Co za niepraktyczne kobiety! Sądzę, że niejeden kochanek schodził z tego świata z powodu wylewu. Zanim zdołał rozebrać kobietę ze wszystkich strojów, serce odmawiało mu posłuszeństwa. Marzenia marzeniami, chyba wolę zamki błyskawiczne.

Jego sarkastyczny ton rozbawił Janne. Musiała przyznać, że Nick coraz bardziej się jej podobał. Zwłaszcza teraz wydawał się bardzo atrakcyjny i seksowny.

— Czy długo jeszcze będziemy rozgrzewać ten silnik? — spytał.

— Przepraszam — odpowiedziała, pochylając głowę. Jak na złość zapomniała wyłączyć sprzęgło i samochód wykonał kilka rozpaczliwych skoków do przodu. Jechali pustymi ulicami. Było chłodno. Dopiero gdy przejeżdżali koło Green Park, Janna uzmysłowiła sobie, że przez całą drogę siedzieli w milczeniu.

— Co sądzisz o Gerrym? — spytała.

— Bardzo sympatyczny. Gdyby to on został moim nauczycielem historii, na pewno zapisałbym się na olimpiadę.

— Zdaje się, że zasmakowałaś również w jego kuchni... Wzięłaś trzy dokładki budyniu.

— Był wyjątkowo smaczny. Z czego się go robi?

— Z krwi wieprza — odpowiedziała Janna, przyglądając się reakcji Nicka. Skrzywił się.

— Daj spokój. To nie jest wcale zabawne.

— Nie żartuję..

Nick poruszył się niespokojnie. Przełknął głośno ślinę, po czym spojrzał na Jannę z wyrzutem.

— Będziesz tego żałować...

— Już teraz, od tej sekundy, zaczynam się bać — odpowiedziała ze śmiechem.

Janna zatrzymała samochód na podjeździe przed hotelem. Trochę zakłopotana czekała, aż Jensen pożegna się i wysiądzie. Tymczasem on uparcie wpatrywał się w nią. Miała wrażenie, że czyta w jej myślach i zna jej pragnienia. Podobał się jej. Potrzebowała mężczyzny. Czuła, jak serce bije jej przyśpieszonym rytmem. Patrzyli tak na siebie przez dłuższą chwilę, po czym Nick zapytał lekko zachrypniętym głosem:

— Czy masz jakieś plany na jutrzejszy wieczór?

— Dlaczego pytasz?

— Przydałaby mi się twoja pomoc.

Janna nie uwierzyła w jego poważny ton i czekała, aż wyjaśni do końca, o co mu chodzi. Czuła, że coś knuje, że to jakiś trick.

— Pomóc, ale w czym? — spytała.

— Jutro idę na przyjęcie organizowane przez mój koncern. Nikogo tu nie znam. W takich wypadkach rzeczywiście przydałaby mi się żona, nie sądzisz?

Janna chciała powiedzieć, że to jego wina, skoro do tej pory nie potrafił nikogo sobie znaleźć. Świat pełen jest pięknych kobiet, a Nick Jensen mógł mieć prawdopodobnie każdą, o której tylko zamarzył. Może właśnie to był jego problem?

— Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek samotnie musi szlajać się po takich bankietach. W tle smętnie gra orkiestra, z każdą minutą czujesz się coraz podłej, a barek zaopatrzony jest we wszystkie gatunki alkoholi — zaczął żartować.

Janna nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Przecież wiedział, że jest mężatką, a mimo to chciał, by spędzili razem wieczór? Nie odpowiedziała, czekając, co powie dalej.

— Bardzo byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciała pójść ze mną. Naturalnie jako współniczka. Jesteśmy przecież partnerami?

Po raz pierwszy tego dnia spojrzał na nią jak na kobietę, którą pragnął osiąść. Janna wiedziała, że starał się zachować pozory. Zapraszał ją na bankiet zamiast do pokoju hotelowego, co nie znaczyło, że wołał właśnie to pierwsze. Pomyślała, że jego niegrzeczne momentami zachowanie, ten nonszalancki sposób bycia i lekceważący stosunek do wszystkiego i wszystkich

jest tylko rodzajem twardej skorupy. W środku Nick musiał odznaczać się wyjątkową wrażliwością i dobrocią.

— Dobrze, pójdę z tobą — odpowiedziała, choć nie do końca była pewna, czy postępuje rozsądnie.

13.

To nie jest przecież randka, tłumaczyła sobie Janna, wychodząc na spotkanie z Nickiem. Idzie z nim na tę kolację do Savoya jako współnik, nie jako przyjaciółka. W zasadzie nie była pewna, co kazało jej wtedy przystać na propozycję Nicka. Może wzbudził w niej sympatię, a może współczucie, że jest w Londynie całkiem samotny. Nie musiała iść na tę kolację. Mogła równie dobrze spędzić mile ten wieczór w towarzystwie Warrena lub Shadoe. Wybrała jednak Nicka Jensena i chyba nie bez powodu.

— A oto i Mark, o którym ci wspominałem — szepnął jej na ucho, machając dłonią do krępego mężczyzny na drugim końcu korytarza.

Janna obrzuciła Nicka spojrzeniem. Była zaskoczona, że ten trochę nieokrzesany teksańczyk miał własny smoking i wyglądał w nim wcale nieźle. Powłóczyście spojrzenia innych kobiet, u których widok przystojnego Amerykanina wzbudzał dreszczyk emocji, denerwowały Janę. Zwłaszcza że Nick tak łatwo lekceważył te jawne oznaki adoracji. Widocznie uważał je za coś naturalnego. Janna była przyzwyczajona do tego, że podczas różnych uroczystości i przyjęć kobiety przyglądały się Collisowi. Interesował kobiety. Janna czuła się w takich wypadkach jak przysłowiowe piąte koło u wozu.

Jeszcze raz zerknęła na swojego partnera. Nie patrzył na żadną kobietę, lecz ciągle uśmiechał się do znajomego i stojącej koło niego szczupłej blondynki. Janna zmierzyła ją badawczym wzrokiem. To musiała być Glennis, żona Marka. Po drodze Nick opowiadał jej trochę o przyjacielu. Z jego głosu mogła wywnioskować, że jest to ktoś bardzo ważny dla niego, ktoś, kogo ceni i szanuje.

Przy szatni, gdy zdejmowała futro z soboli pożyczzone od Pithany, Nick powiedział, że bardzo ładnie wygląda. Starła się nie przywiązywać wagi do komplementów i uśmiechając się, zbyła go najzwyczajszym „dziękuję”.

Na szyi miała przepiękny sznur grubych pereł, który wyszukała w szkatułce Audrey. Suknia, którą założyła, praktycznie także należała do matki. Kupiła ją dla Janny od Marca Bo-

hana, czołowego projektanta mody Christiana Diora. Jakiś czas temu przeniósł się do Londynu, by podnieść prestiż podupadającej firmy Hartnella, u którego stroje kupowała królowa. Bohan podźwignął Hartnella na czołowe miejsce na brytyjskim rynku projektantów mody. Audrey była pewna, że suknia spodoba się Jannie i także tym razem nie omyliła się. Zawsze trafiała w gust córki.

Janna nigdy nie potrafiła zdecydować się, jaką suknię ma założyć. Godzinami stała przed lustrem, z rozpaczą spoglądając w otwartą szafę pełną strojów.

Nick objął ją delikatnie w talii i podprowadził do Nolanów. Przedstawił ją jako Janinę Atherton-Pembroke, pomijając jej tytuł i fakt, że jest mężatką. Janna próbowała nawiązać rozmowę z Glennis. Zaczęła mówić jej o hotelach na Malcie, lecz szybko zrezygnowała, bowiem Glennis była bardziej zainteresowana Nickiem niż jej opowieścią. Jensen zdawał się wcale nie zauważać żony przyjaciela, spoglądał za to często na Janinę.

— Och, jakież to piękne — powiedziała zachwycona Glennis, gdy zaproszono gości do sali balowej Lancaster Room. — Nie mamy nic podobnego w Atlancie.

— To jest salon w stylu francuskim — wyjaśniła Janna. Nawet na tle takich zabytków architektury, jakie prezentował choćby sam Londyn, Lancaster Room robił kolosalne wrażenie dzięki swemu wspaniałemu oświetleniu, pomyślała Janna. Ozdobne kandelabry i kryształowe żyrandole dawały jaskrawe światło, które odbijało się matowym blaskiem od wylakierowanej posadzki. Wiszące między oknami lustra sprawiały, iż sala balowa wydawała się nie ograniczoną niczym przestrzenią. W pobliżu grała mała orkiestra, która dodawała uroku całej imprezie i tworzyła niepowtarzalny nastrój.

— To nasz stół — powiedział Mark, podsuwając Glennis krzesło.

— Usiądź tutaj i opowiedz mi wszystko o lordzie — powiedziała Glennis do Nicka.

Najwyraźniej nie dosłyszał jej słów, zaczął bowiem przedstawiać Janinę nielicznym swoim znajomym i współpracownikom. Następnie posadził ją koło Glennis, która nie potrafiła ukryć rozczarowania.

— Glennis przez cały dzień zamęczała mnie pytaniami o szczegóły twojego wczorajszego spotkania z prawdziwym lordem — powiedział Mark.

— Jak wyglądał jego dom? — spytała Glennis wpatrzona w Nicka.

— Nawet nie wiem — odpowiedział Nick, stukając Janinę dyskretnie w kolano pod stołem. — Byłem zajęty jedzeniem.

— Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak wygląda prawdziwy lord — westchnęła rozmarzona Glennis.

— Jak ci się rozmawiało z Lyfieldem? — spytał Mark.

— Lyforthem. Lordem Lyforthu, to znaczy Warrenem. Bardzo miły człowiek. Właśnie mieszkam w domku gościnnym jego ciotki na Malcie — chwalił się Nick, zerkając na uśmiechniętą Janę.

Musiała się nieźle bawić, pomyślał.

— Kochanie, koniecznie musimy odwiedzić Malte, nieprawdaż? Już nie mogę się doczekać — pisnęła Glennis, zwracając się do męża.

Janna z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem. W ostatniej chwili Nick wyratował ją z niezręcznej sytuacji.

— Zatańczymy? — zaproponował.

— Chętnie.

Wstali od stolika i przeszli na parkiet.

— Jestem raczej kiepskim tancerzem — szepnął jej na ucho.

— I chyba kiepskim kłamczuchem — dodała.

Wokoło tańczyły nieliczne pary. Przy stolikach siedzieli samotni panowie, rozglądając się za towarzystwem. Wokoło panowała senna atmosfera. Nick przytulił mocniej Janę. Nie opierała się. Dziękowała Bogu, iż zdecydowała się ubrać buty na wysokim obcasie. Patrzyła głęboko w jego błękitne oczy.

— Zaprosiłeś mnie dzisiaj nie dlatego, by mieć partnerkę do tańca. Raczej poszukiwałeś tarczy ochronnej przed Glennis.

Nick uśmiechnął się, kiwnąwszy lekko głową.

— Ty musisz się oczywiście wszystkiego zaraz domyślić, Mała. Jesteś za sprytna, to może ci kiedyś zaszkodzić. Pierwsza żona Marka nie potrafiła się przyzwyczaić do życia w Japonii i rozwiodła się z nim. Gdy przyjechał po skończonym kontrakcie, poślubił pierwszą napotkaną kobietę.

— Szlachetny rycerzu, chciałbyś, żebym cię lubiła, ale nie nazbyt. Jeśli cię przed nią ochronię, będziemy kwita. Stoi? Darujesz mi wtedy dowcip z budyniem? OK?

— Może się zgodzę, pod warunkiem, że dobrze się spiszesz.

Przez całą wieczór Janna zajmowała się Nickiem. Rozmawiała z nim, tańczyła i zagłuszała szczebiot Glennis, która za wszelką cenę starała się zwrócić na siebie uwagę Nicka.

Przemówienia przedstawicieli Imperial Cola wydały się Jannie nawet całkiem interesujące. Wysłuchiwała ich z zaciekawieniem ku wielkiemu zdumieniu Nicka. Kolacja dobiegała końca. Orkiestra grała już tylko pogodne walce Straussa, a część gości opuściła salę. Nick przez grzeczność musiał poprosić Glennis do tańca. Jak można się domyślać, nie była w stanie odmówić. Wykorzystał to także Mark i zatańczył z Janną odrywając się od żony.

— Mam, niestety, dwie lewe nogi — tłumaczył się z zakłopotaniem.

— Nic nie szkodzi, spróbujmy.

W zasadzie było jej trochę żal Marka. Wydawał się sympatyczny, w przeciwieństwie i do jego niezbyt bystrej małżonki. Przytulała się właśnie do Nicka tak blisko, jak tylko to było możliwe.

Janna zastanawiała się, czy ją także traktowano z podobnym pobażaniem i współczuciem, kiedy towarzyszyła Collisowi w uniwersyteckich party. Na pewno i część osób wiedziała o jego romansach. Żona dowiaduje się zawsze ostatnia; stare, ale dobre powiedzenie.

— Najwyższy czas, by Nick wrócił do życia towarzyskiego — powiedział Mark. — Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek pogodzi się z utratą Amandy Jane.

Kim była Amanda Jane? — zastanawiała się Janna. Mark prawdopodobnie uznał, że Nick opowiedział jej wszystko o sobie.

— Może kiedyś uda mu się pogodzić z jej śmiercią — dodał. — Nie spodziewałem się wprawdzie, by zapomniał o żonie, to raczej niemożliwe, nie potrafiłby... Tyle dla niego zrobiła, tak mu pomagała, nawet podczas studiów.

Żona? Nick był kiedyś żonaty? Nigdy by się tego po nim nie spodziewała. Wyglądał w jej oczach na wiecznego kawalera. Obrzuciła tańczącego opodal Nicka badawczym spojrzeniem. Zobaczyła, jak porusza bezgłośnie ustami, mówiąc „ratunku, wybaw mnie”.

— Wyobrażam sobie, co musi przeżywać biedny Austin Prescott. Najpierw stracił Amandę, a teraz niedawno zamordowano Trevora. Boże, jaki ten świat jest niesprawiedliwy i okrutny.

— To naprawdę straszne — szepnęła Janna. Dlaczego Nick nie powiedział jej, że Trevor był jego szwagrem. Nic dziwnego, że tak bardzo zależy mu na odnalezieniu mordercy.

Patrzyła teraz na niego innymi oczyma. Zrozumiała, że wbrew pozorom wiele w życiu przeszedł, a za uśmiechniętą twarzą kryje się smutek i samotność. Unikając ujawniania faktów z prywatnego życia, stara się zapomnieć o przeszłości i rozpocząć nowe życie na Malcie. Ledwo

udało się Jannie wyciągnąć z niego kilka szczegółów dotyczących zabójstwa Trevora. Wątpiła, czy Nick zechce powiedzieć jej cokolwiek o Amandzie.

— Czy znałeś dobrze Prescottów? — spytała Marka, wiedząc, że jest dla niej jedynym źródłem informacji o Nicku.

— Oczywiście. Na początku swojej kariery pracowałem razem z Austinem, ojcem Trevora. On poznał mnie z Nickiem podczas jakiegoś wspólnego pikniku. To było zaraz po zaręczynach Nicka z Amandą Jane. Wyglądała pięknie, naprawdę pięknie. Potem zaczęliśmy razem pracować w jednym dziale...

Piękna! Oczywiście, pomyślała Janna. Na pewno była zgrabną blondynką... chociaż nie, przecież to zdjęcie, które widziała u niego w sypialni, na Malcie, przedstawiało szczupłą brunetkę...

— Słyszałam o planach Imperial Cola co do wspólnego przedsięwzięcia ze szwajcarskim koncernem Bessel — powiedziała, chcąc kontynuować rozmowę.

— Takie są plany, choć jesteśmy o wiele bardziej rozwiniętą firmą niż oni — powiedział dumnie Mark. — Razem z Nickiem udało nam się wprowadzić na rynek japoński nietypową kawę mrożoną. Nie chcieli jej w Atlancie, ale gdy w Japonii okazała się prawdziwym przebojem, natychmiast wypuszczono próbną serię na rynku amerykańskim.

— Jak to się wam udało? — Janna pytała o szczegóły, choć tak naprawdę przez cały czas myślała tylko o jednym, o Nicku i Amandzie Jane.

— Poszło jak z płatka! Przeniosłem się do Japonii, by poprowadzić ten projekt. To było jakieś pięć lat po tym, jak Nick powiadomił mnie o śmierci Amandy. Był tak załamany, że nawet trudno to określić słowami. Wiedziałem, że najlepszym wyjściem będzie oderwać go od miejsc, które ją przypominały, i dlatego ściągnąłem go do Japonii. Poza tym naprawdę świetnie zna się na marketingu. Zamierzam przenieść go do Atlanty na stanowisko szefa działu.

Mark dalej opowiadał o planach koncernu i swoich własnych, lecz Janna słuchała go tylko jednym uchem. Przez cały czas nie spuszczała Nicka z oczu. Nie mogła jakoś uwierzyć, że ten przystojny, rozrywany przez kobiety mężczyzna potrafił przez pięć lat żyć pogrążony w smutku i tęsknocie. Podziwiała go tak samo jak ciotkę Pithany, która przez pięćdziesiąt lat pozostała wierna swemu ukochanemu Ianowi. Mogła przecież poznać kogoś i mieć dzieci. Tak bardzo tego pragnęła. Ale nie, zdecydowała inaczej. Janna odczuwała coś na podobieństwo zazdrości. Jej samej nie było dane tak kochać, wiedziała, że nigdy już nie przeżyje takiej miłości.

Chwilę później zreflektowała się, że nie powinna wgłębiać się w życie Nicka, zwłaszcza że on sam sobie tego najwyraźniej nie życzył. Powinna zająć się jego udziałami.

Taniec dobiegł końca i Nick z Glennis podszedł do Marka i Janny. Poprosił ją o następnego walca. Nie odmówiła.

— O czym tak rozmawialiście? — spytał przytulając ją do siebie.

— Mark opowiadał mi o twoim pomysle z kawą mrożoną i o waszym sukcesie w Japonii.

— Przerwała. Zdawało jej się, że przytula ją do siebie mocniej niż zwykle.

— Nick, czy masz jakiś pomysł na reklamę Blue Grotto? — spytała, by ukryć zmieszanie.

Zobaczyła w jego oczach wyraz zaskoczenia. Najwidoczniej nie spodziewał się, że poprosi go o radę. Dotychczas podkreślała zawsze, że jego pomoc nic jest jej potrzebna. W rzeczywistości właśnie tak było, nie liczyła się z jego zdaniem. Teraz uzmysłowiła sobie, że powinna cenić jego umiejętności i korzystać z nich. Nie bez przyczyny doszedł do obecnej pozycji w tak szybkim czasie. Fascynował Jannę swoją siłą, która w najmniejszym nawet stopniu nie pozbawiała go wrażliwości.

— Wprawdzie to hotel ciotki Pithany, ale to ja mam zająć się jego promocją i reklamą. Niestety, brak mi doświadczenia i muszę zwrócić się o pomoc — powiedziała całkiem szczerze. — Bardzo cenię sobie styl hoteli Pithany, są wyjątkowe. Blue Grotto jest trochę inny.

— Masz rację. Blue Grotto jest większy od pozostałych trzech hoteli Pithany. Oczywiście najlepiej byłoby mieć stałych gości, co zapewniłoby rezerwacje na okrągły rok. Daje to zwykle większe szanse na ewentualne zyski, choć na razie liczymy przede wszystkim na zwrot kosztów — odpowiedział Nick, wpatrując się w jej oczy; przytulił ją jeszcze mocniej i dodał: — Nurkowanie to jest pomysł.

— Nurkowanie? — spytała z niedowierzaniem Janna. — Masz na myśli zawodowych nurków?

— To przyciągnie turystów i zawodowców. Sam bardzo lubię nurkować.

— Tak jak Warren. Chciałabym się nauczyć, ale zakładanie tego całego sprzętu i noszenie go trochę mnie odstrasza.

— To podniesie współczynnik, tak, to jest dobry pomysł — powiedział w zamyśleniu Nick.

— Jaki współczynnik?

— Współczynnik chęci poznania i gotowości na dodatkowe wydatki i zobowiązania w zamian za dobrą zabawę i wspaniały urlop — wyrecytował. — Na przykład jazda na nartach, nurkowanie czy narty wodne, to wszystko kosztuje, ale mimo to ludzie gotowi są nawet na spore wydatki. Chcą wszystkiego spróbować. To napędza rynek, kształtuje popyt.

— Dobrze się składa, że akurat obok plaży przy Blue Grotto są cudowne, baśniowe wręcz rafy koralowe i skały pokryte fluorescencyjnym osadem. Nie wspomnę już o różnorodności ryb i roślin — opowiadała pełna entuzjazmu Janna.

— Musimy nagrać to na taśmę wideo i rozesłać do biur podróży, sklepów sportowych i do sklepów ze specjalistycznym sprzętem do nurkowania.

— Racja! To będzie wspaniała promocja i reklama. Jeśli ludzie dowiedzą się, jak pięknym zakątkiem świata jest Malta, będą chcieli koniecznie tam pojechać. Trzeba wydrukować specjalne broszury, no i koniecznie musimy załatwić to nagranie wideo.

— Namów brata, by napisał jakiś przekonujący komentarz.

— Warren? Ale on nie jest profesjonalistą — powiedziała zdziwiona Janna.

— Przecież widziałas go na ekranie, jest tak przekonujący, że potrafiłby namówić nawet Eskimosów do kupienia kostiumów kąpielowych.

Orkiestra przestała grać. Podeszli do Nolanów i pożegnali się. Przy garderobie Nick zaproponował:

— Może poszlibyśmy jeszcze do jakiegoś miłego pubu, by omówić nasze plany bardziej szczegółowo. Znasz coś ciekawego w okolicy?

— Tak, możemy nawet nie wychodzić i przejść do hotelowego pubu. Bardzo chętnie wypiję jeszcze jakiegoś małego drinka.

Janna zaprowadziła Nicka do miłego baru, który wbrew nazwie „American Pub” nie był wcale w stylu amerykańskim. Usiedli przy narożnym stoliku nie opodal pianina.

— Bardzo tu przyjemnie. Jedzenie podczas przyjęcia wyjątkowo mi smakowało — powiedział Nick, rozglądając się dokoła.

Dopiero podczas tańca Janna zauważyła zmarszczki na jego czole i mały dołeczek na podbródku.

— Escoffier był tutaj kucharzem, i to podobno niesamowitym. Wymyślił wiele oryginalnych, nowych potraw. Z recept tych korzystają znane hotele, a przede wszystkim Savoy, wybudowany przez niejakiego Richarda D'Oyly Carte. Potrafił zadowolić się tylko tym, co najlepsze i dlatego wzniósł ten luksusowy hotel.

— Wiesz, zachowujesz się, jakbyś była przewodnikiem po Londynie — zażartował Nick.

— A czy ty wiesz, że przez cały czas się uśmiechasz? — spytała zażenowana.

— Nie lubisz szczęśliwych ludzi?

— A ty jesteś szczęśliwy? Czy może to tylko jakaś maska, Nick?

Udał oburzonego. Nie chciał o tym rozmawiać, nie teraz. Na szczęście podszedł kelner i rozładował napiętą atmosferę. Złożyli zamówienie. Janna patrzyła na Nicka, chcąc ściągnąć jego wzrok na siebie.

— To bardzo ciekawe — odpowiedział Nick, gdy kelner odszedł.

— Co jest ciekawe?

— Sposób, w jaki opowiadasz o tym wszystkim.

Janna nie wiedziała, czy on sobie z niej żartuje, czy chce po prostu zmienić temat rozmowy. Posmutniał i to niepokoiło Janne.

— Chciałam dodać, że D'Oyly był założycielem tego hotelu i we wspaniały sposób potrafił go zareklamować. Mówię o tym, ponieważ stoimy przed podobnym zadaniem.

Nick nadal pozostał bardzo poważny.

— Nie możemy jednak walczyć o rynek z Bradfordami. Nie porównujmy się z nimi. Oni bazują na turystach starszej generacji, są to głównie ludzie, którzy przyjeżdżają na Maltę, by wydać pieniądze w kasynach gier. Naszą reklamę musimy skierować przede wszystkim do ludzi młodych i przedsiębiorczych, którzy chcą coś w życiu zobaczyć, są zainteresowani sportem, nurkowaniem, wind surfingiem, żeglowaniem i tak dalej. Pamiętaj, że są to często osoby wykształcone, dlatego trzeba zainteresować ich także zabytkami i architekturą.

— Masz rację — przytaknęła.

— Gdy będziesz nakręcać taśmę wideo, morze powinno być spokojne. Większość, jak mi się zdaje, pamięta Maltę jako wietrzną wyspę o niemiłym klimacie z telewizyjnej relacji ze szczytu Bush-Gorbaczow.

— Tak, sama to pamiętam. Wtedy właśnie, jak na złość, przyszedł sztorm. Ludzie przeklinali pogodę. W telewizji wyglądało to gorzej niż w rzeczywistości. Janna zaczęła tłumaczyć Nickowi, skąd bierze się sztorm na Malcie. Brzmiało to jak wykład na wydziale meteorologii i gospodarki wodnej. Nick zmusił się do miłego uśmiechu. Z opresji wybawił go kelner, który przyniósł drinki. To była okazja, by zmienić temat.

Następnego dnia po południu Janna była w drodze do Surrey.

Profesorowi udało się umówić Jannę z Laurel Hogel. Ciepławe promienie słońca przezierają się przez chmury i ogrzewają wiosennie kwitnące polany. Zatrzymała się przed domem, na którym widniał podany jej numer. To musi być tutaj, pomyślała. Szkoda, że Nick nie jest ze mną; czułabym się różnie.

Zaproponowała mu, by wybrał się z nią, lecz odmówił.

Zamierzał spędzić dzień w Lyme Regis. Zostawił Jannę z dziwnym uczuciem zawodu. Miała wrażenie, że po prostu nie chciał z nią jechać. Tylko skąd nagle ta wymówka? Dlaczego akurat do Lyme Regis? — zastanawiała się. To było miejsce, które ze względu na odległe położenie mało kto z turystów miał ochotę zwiedzać.

Trudno. Nick nie był łatwy do rozszyfrowania. Należał do ludzi skrytych i skomplikowanych. Janna wiedziała, że myśląc nieustannie o nim, nie pozna go ani odrobinę lepiej.

Dom, w którym mieszkała pani Hogel, otoczony był pełnym kwiatów ogródkiem. Zbudowano go w typowym stylu wiejskiej architektury w Anglii. Na bramie nie widniał żaden napis „Psycholog” czy też „Artysta”, jak można by się spodziewać. Janna otworzyła furtkę i kamiennymi schodkami doszła do drzwi, przy których siedział rudawobrazowy kot, wygrzewając się na słońcu.

Janna zapukała i natychmiast usłyszała kobiecy głos.

Otworzyła jej starsza pani, mniej więcej sześćdziesięcioletnia. Miała ciemnozielone oczy, jeszcze ciemniejsze niż Pithany, i blond włosy z licznymi pasmami siwizny.

— Ty jesteś na pewno znajomą Gerry'ego. Janna, prawda? — spytała ciepłym głosem.

— Tak — odpowiedziała zaskoczona. Spodziewała się raczej kogoś na podobieństwo wróżki lub w orientalnym turbanie. Dla pewności spytała: — Pani nazywa się Hogel?

— Mów do mnie Laurel. Proszę, wejdź i czuj się jak u siebie. Poprowadziła Jannę korytarzem do swojej pracowni, położonej od strony ogrodu.

— Siadaj, siadaj, proszę. Zrobię herbatę, przepraszam na chwilę.

Janna usiadła w bujanym fotelu wyłożonym poduszkami i zaczęła przyglądać się całemu pomieszczeniu. Na ścianach wisiały liczne portrety wykonane kredką. Nie pozostawiały wątpliwości co do talentu Laurel. Janna, mimo iż wierzyła w umiejętności pani Hogel, była nadal sceptycznie nastawiona do całego przedsięwzięcia. Jak ktoś mógł namalować portret człowieka, którego nie widział na oczy? Laurel wróciła z tacą, na której stały filiżanki z herbatą i talerzyk z kruchymi ciasteczkami.

— Jaką pijesz herbatę? — zwróciła się do Janny z typowo angielskim pytaniem. Janna odpowiedziała i od razu dodała: i

— Gerry nie wspomniał mi o zapłacie. Ile...

— Kochanie, ja nie biorę pieniędzy. Wystarczy mi, że zrobiłam komuś przyjemność, radość, to wszystko.

Sięgnęła po swoją filiżankę i usiadła na krześle przed sztalugą. Wypiła łyk herbaty.

— Opowiedz mi o twoim przyjacielu — powiedziała.

— To nie był mój przyjaciel. Chodzi o narzeczonego mojej ciotki.

Janna zaczęła opowiadać o Ianie i Pithany, pomijając jedynie bardziej intymne szczegóły. Laurel słuchała uważnie, popijając herbatę i kiwając od czasu do czasu głową. Minęło mniej więcej pół godziny, a kartka pozostawała nadal czysta. Janna zaniepokojona spytała:

— Czy czujesz już coś? Może dlatego, że go nie znałam, nie mówię tego, co trzeba. Może to strata czasu? Chyba nie potrafię przekazać ci rzeczy najważniejszych, jego image...

— Nie. Widzę go, nawet całkiem dokładnie, zwłaszcza teraz. Miał nietypowe dzieciństwo. Miał trudności z pisaniem albo... — Laurel przerwała. Spojrzała przez okno na ogród, gdzie siedział przy płocie ten sam rudawobrazowy kot — ... albo czytaniem. Może z jednym i drugim.

— Otrzymał bardzo skromne wykształcenie w Glasgow tuż przed wybuchem wojny — tłumaczyła Janny.

— Problem nie leżał w lukach jego wykształcenia. To było coś innego. Z jakiegoś powodu miał problemy z czytaniem, choć był bardzo inteligentny. Jego matka... porzuciła go.

Znajomy ból, pomyślała Janna. Choć ona sama nie była mimo wszystko w takiej sytuacji jak Ian. Miała ciotkę Pithany, Audrey, Warrena i Shadoe. Był także Reginald Atherton, który, mimo że jej nie kochał, zapewnił jej utrzymanie, wychowanie i wykształcenie. Miała dom, nie żyła tak jak Ian w ubóstwie i nędzy. Muszę przestać robić z siebie męczennicę, pomyślała.

— Ian czuł się bardzo szczęśliwy w Londynie, z dala od wspomnień o matce. Jednak najszczęśliwszy był na Malcie. Znalazł tam miłość i zrozumienie — powiedziała Laurel, biorąc do ręki kredkę. — To była miłość na wieki. Kochał Pithany z całego serca.

Miłość na wieki. Te słowa rozbrzmiewały w głowie Janny. Nie mogła wprost uwierzyć. To samo powiedziała jej ciotka Pithany. To niesłychane, pomyślała. Skąd Laurel zna jej imię? Od tej chwili była pełna optymizmu i nadziei, że wszystko się uda.

Laurel z zapalem szkicowała portret na płótnie, kierując się swoją wyobraźnią i intuicją. Janna była bardzo ciekawa, jak wygląda Ian. Chciała wstać i podejść do sztalugi, lecz Laurel ją powstrzymała. Przyglądała się więc artystce, jak tworzy swoje dzieło. Już nie odważyła się więcej wstać w obawie, że naruszy koncentrację Laurel. Siedziała w napięciu, oczekując na rezultat. Laurel od czasu do czasu przerywała rysowanie i patrzyła surowym okiem na płótno.

— Obiecywał, że wróci do niej — szepnęła Janna.

Laurel spojrzała na nią i dziwnym ruchem ręki wyraziła swoją niemoc.

— Chciał wrócić, kochanie, chciał. I zrobiłby tak, gdyby nie zabił go ten człowiek — powiedziała smutnym głosem.

— Jaki człowiek? — spytała zdenerwowana Janna. Przecież ani razu nie wspomniała jej o tym, że Ian może nie żyć. Skąd ona ma takie informacje? Po części była pewna, że on żyje i że uda jej się go odnaleźć. Miała przynajmniej taką nadzieję.

Laurel upuściła kredkę.

— Och, mogłam się domyślić, że ty o tym nie wiesz, przepraszam.

— Czy jesteś pewna, że Ian MacShane nie żyje?

— Tak, niestety. Przykro mi. Mężczyzna, nie widzę jego twarzy, otaczają go jakieś cienie, zastrzelił go z pistoletu — powiedziała Laurel, wskazując palcem na swoją lewą skroń.

14.

Ulica Południowa? Co za idiota zmieniałby klasyczną nazwę ulicy, taką jak Strada del Palazzo, na ulicę Południową?

Bynajmniej nie brzmi to prestiżowo, chociaż o to zapewne chodziło, pomyślał Tony Bradford, stojąc na balkonie swojego biura. Spoglądał z góry na ulicę pokrytą kocimi łbami, wzdłuż której wznosiły się majestatyczne budynki. Duże znaczenie w karierze Tony'ego miało wzniesienie jednego z nich, będącego siedzibą Przedsiębiorstwa Budowlanego Bradfordów. Wszystkie najważniejsze firmy, ambasady, stowarzyszenia i kluby miały swoje przedstawicielstwa przy ulicy Południowej. Bardziej sentymentalni mieszkańcy wyspy, w tym także Pithany Crandall, uważali, że zniszczenie Auberege de France, zamku, w którym mieszkali swojego czasu sławni kawalerowie maltańscy, było niepowetowaną stratą dla Malty. Tony dziękował w duchu Niemcom, że zbombardowali go doszczętnie. Wzniesiony przez siebie na miejscu dawnego zamku budynek uważał za bardziej praktyczny i elegancki.

Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się Bank Valletty.

Jego prezes, niejaki Louis Hyzler, patrzył przez okno swojego gabinetu na Tony'ego. Ulica była wąska, więc wystarczyło tylko trochę podnieść głos i można było prowadzić normalną rozmowę.

Hyzler zmienił po części wygląd kamienicy, w której założył bank. Rozebrał obudowę balkonu. W dawnych czasach obudowywano balkony drewnianymi listewkami, co przypominało klatkę dla zwierząt. W ten sposób mężowie chronili swoje kobiety, trzymane w domach jak w klasztorze, przed ciekawskimi spojrzeniami obcych. Balkon był jedynym miejscem, gdzie mogły wychodzić same, bez mężów.

— Cudowne czasy — szepnął do siebie Tony, myśląc o Pithany Crandall. — Kobiety powinny siedzieć w domu, a nie zajmować się interesami. Co ona knuje z tym Jensenem? — zastanawiał się.

Wszedł do gabinetu, usiadł w fotelu i ponownie zajrzał do raportu przygotowanego przez detektywa. Ojciec Jensena był jedynym synem bogatej rodziny bostońskiej, której dzieje sięgały aż czasów paktu Mayflower. Przeniósł się do lotniczej bazy wojskowej Cannon jako pilot. Ożenił się z dziewczyną z tamtych stron. Dała mu dwóch synów. Małżeństwo niestety nie przetrwało, gdy powrócili do Bostonu. Trudno się temu dziwić. Dziewczyna z prowincji nie pasowała do wielkiego świata. Raport nie krył żadnych niespodzianek czy rewelacji. Jedyna rzecz, która zaciekała Tony'ego, to dziwna luka między ukończeniem szkoły a rozpoczęciem studiów. Nick Jensen ukończył szkołę średnią i zaczął pracować w domu towarowym koncernu Imperial Cola i dopiero po kilku latach zdecydował się zdawać na studia. To było zastanawiające, pomyślał Tony. Z drugiej strony miał przecież żonę i musiał zadbać o wyższy zarobek. Stąd prawdopodobnie decyzja o studiach.

Potem pojawia się w jego życiu Mark Nolan, który obecnie siedzi w zarządzie Imperial Cola i zamierza ściągnąć Nicka do Atlanty.

Tony sądził, że wie, jak postępować z młodym teksańczykiem.

Dał znać sekretarce, by wpuściła Nicka. Bradford umówił się z nim na spotkanie i specjalnie kazał mu czekać prawie godzinę. Nick wszedł do gabinetu Tony'ego z szerokim uśmiechem na twarzy. Tak naprawdę był wściekły, że musiał tyle czekać. Tony szybko zmierzył go wzrokiem i podszedł, by podać mu rękę na powitanie. Jensen wzbudzał w nim dziwne uczucie niepokoju, takie samo jak podczas przyjęcia w Mdinie.

— Anthony Bradford — przedstawił się bez słowa wytłumaczenia, dlaczego tak długo kazał czekać pod drzwiami swojemu gościowi. — Mów mi Tony.

Nick przedstawił się, odwzajemniając gest powitalnego uścisku dłoni. Ścisnął mocno i energicznie, tak by Tony odczuł jego siłę i młodość. Z jego twarzy nie zniknął uśmiech, który stawał się rodzajem wyzwania dla starego Bradforda. Tony najchętniej kazałby zmasakrować tę beczelną twarz, która przypominała mu o kimś, kogo pragnął zapomnieć.

Wskazał Nickowi krzesło, a sam usiadł w skórzanym fotelu za biurkiem. Jego niepokój wzrastał w miarę, jak przyglądał się Jensenowi. Na uroczystości w Mdinie Tony miał jeszcze odrobinę złudzenia, ponieważ było ciemno i nie mógł dostrzec twarzy Nicka. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, jego przeczucie nie zawiodło go. Po raz pierwszy od lat Bradford zastanawiał się nad swoim osądem. Miał wrażenie, że raport na temat Nicka nie był kompletny. Wyprostował się, czując, jak zimny, nieprzyjemny dreszcz przebiega mu po plecach.

Delikatny, a jednocześnie tak charakterystyczny uśmiech Nicka zmroził mu krew w żyłach. Obudziły się w nim wspomnienia.

Przypomniał sobie, że przezwisko Wielki Tony zawdzięcza swojemu bezlitosnemu i okrutnemu charakterowi. Ale, do cholery, przecież Jensen jest zwykłym teksańczykiem, a nie godnym niego przeciwnikiem, pomyślał Bradford z rozdrażnieniem.

— Mój syn zaproponował ci dużą sumę za odsprzedaż udziałów w Korporacji Blue Grotto. Czego jeszcze chcesz, by umowa doszła do skutku? — spytał.

— Nie jestem zainteresowany sprzedażem tych udziałów. Ale gnojek, jeszcze się stawia, myślał Bradford.

— Bradford Bottling i Imperial Cola łączy dobra współpraca i znaczące zyski. Chyba nie chcesz tego zniszczyć, zaszkodziłoby to twojej karierze — przerwał na chwilę, oczekując riposty, jednak Nick milczał, uśmiechając się ciągle. — Pozwól, że powiem to za ciebie — kontynuował Tony. — Imperial Cola na pewno docenia, że nawiązujesz stosunki z tutejszymi elitami towarzyskimi. Jestem jednak pewien, że nie pochwaliliby twoich prywatnych interesików, zwłaszcza gdy mogą zaszkodzić całej firmie. Nawet Mark Nolan nie mógłby ci pomóc. Twoja kariera będzie skończona.

Zapadła martwa cisza. Nick zachował zimną krew i nadal beczelnie się uśmiechał.

— Bądź rozsądny. Przyjmij moją ofertę albo...

— Nie masz nade mną żadnej władzy, by mnie szantażować i do czegokolwiek zmuszać — odparł Nick. — Tym bardziej, gdy udowodnię, że twój syn jest zamieszany w morderstwo Trevora Prescottta.

— Curt? O czym ty, do diabła, mówisz?

— Curt i Rhonda. Wiedzą więcej o morderstwie, niż mówią, a ja potrafię to udowodnić. Rhonda, ta cholerna dziwka? Lata za Curtem już od lat, starając się w tym czasie o rozwód z jakimś swoim starym mężem, cholera wie gdzie... A może on tylko blefuje, myślał Tony.

Nie był do końca pewien, w co powinien uwierzyć, a w co nie. Wiedział jednak, że Curt jest zdolny do wszystkiego i na dodatek jest potwornym kłamcą.

Nick zerwał się nagle z krzesła i podszedł do drzwi.

— Moją karierę zostaw lepiej w spokoju. Bo jeżeli nie dostanę obiecanego awansu, to zostanę na Malcie i pomogę w prowadzeniu hoteli Crandall.

Zatrzasnął drzwi. Tony był wściekły. Krzyknął przez telefon do sekretarki, by zawołała Curta. Syn stawiał się dwie minuty później przed biurkiem ojca.

— Czy masz coś wspólnego ze śmiercią Trevora Prescottta? — spytał Tony, stojąc tyłem do syna i patrząc w okno.

— Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

Albo Curt mówi prawdę, albo kłamie jak z nut. Tony odwrócił się do syna i spojrzał mu prosto w oczy.

— Jensen powiedział mi, że ma dowody na to, że to ty zamordowałeś Trevora.

— Niech tylko spróbuje coś udowodnić — mruknął Curt.

Tony zmierzył wzrokiem syna. W zasadzie nigdy nie byli sobie bliscy, od samego początku dzieliła ich niewyobrażalnie głęboka przepaść niezrozumienia, rozczarowania i niechęci. Tony nigdy nie przywiązywał szczególnej wagi do tego faktu. Zbyt zaprzątnięty był budowaniem swojego imperium finansowego.

Uważał, że na Curcie spoczywał obowiązek, by dobrze się ożenić i spłodzić zdrowego syna. Tylko tego oczekiwał od niego.

Marzył o założeniu dynastii Bradfordów.

— Jensen twierdzi, że była w to zamieszana Rhonda. — Tony uważnie obserwował reakcję syna.

Curt wzruszył tylko ramionami.

Nick chodził podenerwowany po pokoju. Nie był do końca pewny, czy dobrze zrobił, okłamując starego Bradforda. W rzeczywistości nie mógł niczego udowodnić. Zdjęcie, które niezbitnie dowodziło, że Rhondę łączyło z Trevorem coś więcej niż tylko znajomość, ciągle jeszcze znajdowało się na statku w drodze na Malte.

Austin wysłał je jakiś czas temu. Nick wyczuwał instynktownie, że Curt i Rhonda są zamieszani w sprawę śmierci Trevora. Problem polegał tylko na znalezieniu dowodów.

Wyszedł przez drzwi tarasowe do ogrodu. Rozejrzył się dookoła. Wśród pokrytych rosą krzewów znalazły miejsce świerszcze, które przygrywały do snu drzewom w Falcon's Lair.

Nick obiecywał sobie, że nie będzie myślał o Jannie, ale mimo to spojrział w stronę jej okna. Światło było zapalone, najwidoczniej niedawno wróciła.

Janna pracowała, siedząc przy biurku. Chciała, by wszystko było zapięte na przysłowio-
wy ostatni guzik, gdy nastąpi uroczyste otwarcie hotelu Blue Grotto. Samodzielnie szkoliła ob-
sługę hotelu. Osobiście dopilnowywała dekoratorów, zajmowała się prowadzeniem rachunków,
sporządzaniem menu, przygotowywaniem kampanii reklamowej. Od kiedy powróciła z Londy-
nu, Nick widział się z nią tylko dwukrotnie. Za każdym razem machała mu tylko ręką na powi-
tanie wyjeżdżając z garażu, i to było wszystko. Miała mu widocznie za złe, że nie zabrał jej ze
sobą do Lyme Regis, choć tłumaczył jej, że nie mógł, i taka też była zresztą prawda.

Pamiętał tamten dzień dokładnie. Usiadł na skałce i patrzył na fale. Plaża była prawie pu-
sta, tylko kilka osób spacerowało wzdłuż brzegu. Wszedł na molo, przy którym cumowały ło-
dzie rybackie i turystyczne promy. Kiedyś obiecywał Amandzie Jane, że ją tu przywiezie. A
wszystko miało bardzo banalny początek.

Oglądali film na wideo z Meryl Streep, w którym rozstrzygająca, dramatyczna scena roz-
grywała się właśnie na tym molo. Amanda Jane płakała jak nigdy, do tego stopnia wzruszył ją
ten film.

Gdyby nie rak, Nick byłby teraz tutaj z nią. Tak bardzo chciała zwiedzić to miasteczko.
Lyme Regis kojarzyło się odtąd Nickowi z ukochaną osobą.

— Spodobałoby ci się tu — szepnął do siebie. — John Fowles nadal tu żyje, tak mi po-
wiedzieli.

Nick zszedł po dużych kamieniach bliżej wody. Na jednym z nich widniał napis: Lyme
Regis — Royal Lime. Amanda Jane nie odpowiadała. Była daleko, nieosiągalna i milcząca.
Kiedyś zdawało mu się, że słyszy jej głos, że czuje jej obecność. Teraz jednak nie potrafił na-
wiązać z nią kontaktu. Miał wrażenie, że Amanda po śmierci Trevora połączyła się ponownie z

bratem i matką. Tłumaczył to sobie na wiele sposobów, ale jedno było faktem niezaprzeczalnym. Odkąd zamieszkał na Malcie, jego życie uległo zasadniczej przemianie. Zaczął interesować się ludźmi, którzy go otaczali, i sprawami, problemami, jakie niesło ze sobą nowe życie.

Jednak poczucie winy pozostało. Miał wyrzuty sumienia, że korzysta z przyjemności życia, podczas gdy jego zmarła żona nawet nie miała takiej szansy. Pamiętał, ile dla niego zrobiła i jak bardzo go kochała. Tłumaczył sobie, że nie sposób zmieniać wyroków losu, że nikt nie ma nad nimi władzy. A jednak ten niepokojący posmak winy nie opuścił go już nigdy.

Nick z wysiłkiem powrócił myślami do rzeczywistości. Poszedł do domku gościnnego. Odszukał w pokoju kąpielówki. Zawsze, gdy chciał się zrelaksować, pływał. Dawało mu to ulgę i pozwalało choć na chwilę zapomnieć o problemach.

Podszedł do basenu. Ciepłe i parne powietrze zwiastowało kolejny upalny dzień. Gołymi stopami przeszedł po chłodnej trawie. Myślami powrócił do czasów dzieciństwa, kiedy bawił się przed rodzinnym domem. Miał wówczas przed oczyma rozległe pastwiska z zieloną, soczystą trawą. Położył ręcznik na ziemi i wskoczył do wody, zanurzając się tak głęboko, że prawie dotknął dna basenu. Gdy wypłynął na powierzchnię, zauważył, że Janna stoi w oknie. Zawsze gdy pływał, ona go obserwowała. Nigdy jednak nie zeszła, by się do niego przyłączyć.

— Mała, chodź, kąpiel ci nie zaszkodzi — krzyknął. Janna wyszła na balkon i odpowiedziała:

— Jestem zajęta...

— Zrób sobie przerwę i wykup się ze mną.

Przez moment jeszcze się zawahała, ale ostatecznie zgodziła się.

Nick wyszedł z wody i usiadł na huśtawce zwrócony twarzą do morza. Strasznie skrzypiała. Obiecał sobie, że ją naoliwi, zanim przyjedzie Pithany.

Wpatrzony w morze ponownie się zamyślił. Sięgająca horyzontu toń morska. To przypominało mu Teksas, tylko że tam bezkresna wydawała się preria. Teraz, patrząc na nie kończącą się powierzchnię wody, poczuł się jeszcze bardziej samotny. Odwrócił głowę i przez ramię spojrzął na światła Valletty. Dostrzegł nawet podświetlone mury obronne, dumnie pilnujące miasta w księżycową noc. W porcie kiwały się łodzie z zapalonymi lampkami, tworząc migoczący łańcuszek światełek.

— Jestem — powiedziała Janna, podchodząc do niego.

Miała na sobie białe bikini, na szyi zawieszony ręcznik. Nick po raz pierwszy miał okazję widzieć jej szczupłe nogi w całej okazałości. Przesunął się na huśtawce, robiąc jej miejsce. Janna starała się tak usiąść, by nie dotknąć swoimi udami jego ud.

Nick rozbujał lekko huśtawkę, po czym podciągnął jedną nogę.

Korzystając z okazji, przyjrzał się górnej części bikini. Bardzo spodobał mu się kształt jej piersi. Podniecające, mimo iż wcale nie przesadnie duże. Bardzo prowokujące, pomyślał.

— Jak tam artystka-psycholog, pomogła ci? Masz portret dla ciotki? — zagadnął.

— Nie, nie była w stanie mi pomóc.

Nick nie chciał jej dokuczać, choć miał powody. Janna sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej i smutnej.

— Gerry dowiedział się, że Ralph Evans zmarł w zeszłym roku. Nigdy się nie dowiemy, co powiedział Ian, zanim poszedł na spotkanie z tajemniczym pilotem RAF-u — dodała po chwili.

— Skontaktowałem się z władzami w Bardii — powiedział Nick. — Mają sprawdzić, gdzie w czasie wojny grzebano zwłoki nie zidentyfikowanych osób.

Janna uśmiechnęła się do niego chyba pierwszy raz tak do końca szczerze.

— Doceniam to, wierz mi.

— Nie trać nadziei. Zdobycie informacji od rządu libijskiego jest rzeczą bardzo trudną, zwłaszcza że ani Amerykanie, ani Brytyjczycy nie utrzymują dyplomatycznych kontaktów z krajem Kadafiego. Staram się coś załatwić poprzez ambasadę Malty.

— To bardzo sprytne. Odkąd władze Malty poinformowały Kadafiego o transporcie amerykańskich bomb na teren Libii, Kadafi polubił Malte. Jest dla Maltańczyków bardzo przyjazny.

— Szkoda, że nie możemy tam pojechać — powiedział Nick.

— Nic mnie nie obchodzi, że Wielka Brytania nie zezwala na podróżowanie do Libii. Jeśli tam coś znajdą, to jadę i już.

Nick uśmiechnął się. Położył ramię na oparciu huśtawki. Mała i uparta, pomyślał.

— Jeśli w ogóle miałabyś tam jechać, to nie waż się ruszać bez mnie. Janna nie odpowiedziała, patrzyła cały czas na morze.

Siedzieli razem w milczeniu, wsłuchując się w szum palm, spoglądając na oświetlone srebrzystym światłem księżyca niebo. Delikatny wiaterek poruszał liśćmi krzewów, rosnących za huśtawką. Nick spojrzął na Jannę i po chwili zapytał:

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś w trakcie rozwodu?

— Kto ci powiedział? — spytała ze zdziwieniem.

— Clara. Nie złość się na nią. Powiedziała, bo sądziła, że już od dawna o tym wiem. Tak naprawdę to zmusił Clare, by powiedziała mu kilka szczegółów o Collisie.

— Nie chciałam denerwować matki, więc zachowałam to w tajemnicy. Śmierć ojca była dla niej wystarczająco dotkliwym ciosem. Chcę dać jej czas, by doszła trochę do siebie.

Audrey Atherton wydawała się Nickowi osobą szczęśliwą. Jednak spotkał ją tylko raz, więc może nie powinien jej oceniać. Jedno było pewne, że Janna przeżywała bardzo mocno zarówno śmierć ojca, jak i utratę męża.

— Wiem, co czujesz — powiedział szeptem, patrząc w jej oczy. — Moja żona zmarła na raka. Nie było mi łatwo... — przerwał na chwilę. — Mam na myśli, że rozwód znaczy w takim wypadku to samo co śmierć, po prostu traci się kogoś, kogo się kocha. Trzeba dużo czasu, żeby się przyzwyczaić. — Uśmiechnął się delikatnie i dodał sceptycznym tonem: — Tak mówią eksperci.

Janna przytaknęła ostrożnie. Pochyliła głowę. Nick dostrzegł wyraz przejęcia w jej oczach. Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć, by jej nie urazić. Dotknął dłonią jej nagich pleców.

Miał to być gest wsparcia i zrozumienia, tymczasem Janna spojrzała na niego błyszczącymi oczyma, przywarła swoimi udami do jego ud i wtuliła się w jego ramiona. Jej skóra była gładka i miękka. Nick nie potrafił się oprzeć jej pięknym ustom, których słodczy miał już okazję zasmakować. Zbliżyła wargi do jego ust, aż wreszcie przywarła do nich w upragnionym pocałunku. Nicka przeszył dreszcz podniecenia i pożądania, a serce Janny zaczęło bić szybciej. Objęła go ramionami.

Dotykała jego mokrych i pachnących słońcem włosów. Jej dłonie zapoznawały się z gładką skórą jego pleców i karku, potem powędrowały na klatkę piersiową i barki, by mocniej go do siebie przytulić. Były momenty, kiedy Janna chciała oderwać się od tych szalonych, namiętnych pieszczot. Miała tyle powodów, by przerwać te pocałunki, lecz... lecz tak bardzo go pragnęła, jak żadnego innego mężczyzny w życiu.

Całkiem stracili panowanie nad sobą. Nick delikatnie rozwiązał na plecach jej stanik i zsunął go. Janna nie opierała się, było jej tak przyjemnie. Nick klęknął i zaczął obsypywać pocałunkami jej szyję, ramiona i wreszcie piersi. Pieścił zmysłowo językiem jej sutki i jednocze-

śnie masował dłońmi jej uda. Janna zatopiła ręce w jego włosach i przechyliła głowę lekko do tyłu.

Nick wstał i usiadł przy niej na boku. Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne i pełne pożądania. Janna przesunęła dłonie na jego uda i na myśl o następnym ruchu zrobiło jej się słabo. Chciała dotknąć przez kąpielówki jego nabrzmiałego członka, gdy nagle straciła równowagę i przechyliła całą huśtawkę do tyłu, po czym starając się uchwycić Nicka, pociągnęła go za sobą. Upadli na trawę. Nick miał to szczęście, że wylądował na Jannie.

Spojrzeni na siebie pełni konsternacji.

— Nic ci się nie stało? Ja miałem miękkie lądowanie — zażartował Nick, kładąc się koło niej.

Roześmiała się. Była tak szczęśliwa. Nawet księżyc dla niej świecił. Obok pochylony nad nią leżał mężczyzna, którego pragnęła. Nick przytulił się do niej, wsuwając między jej nogi swoje udo. Podparł się na łokciu.

— Wiesz, Mała, mam wrażenie, że już tak będzie do końca, że to zawsze ty będziesz przede mną.

— Chyba tak — odparła z uśmiechem.

— Jestem pewien, że twoja przyjaciółka, Shadoe, mogłaby nam coś o nas powiedzieć, wyczytać z kart Tarota. Kryształowa kula powiedziała mi, że będę zawsze na tobie, takie już nasze przeznaczenie. Nic na to nie poradzisz... — dodał rozbawiony Nick.

Zaczął ją całować, wtulając się w jej rozgrzane ciało.

— Myślę jednak, że karty nic nie mówią o tym, że musimy leżeć na trawie — powiedział.

Wstał zgrabnie i podał jej rękę. Janna wstydliwie zasłoniła piersi dłonią. Nick podniósł ją i na rękach zaniósł do swojej sypialni.

Kiedy ją niósł, Janna trochę oprzytomniała. Może nie powinna się na to decydować? Łączą ich interesy i może lepiej by było, gdyby tak pozostało. A jednak pragnęła go tak bardzo...

Położył ją na miękkiej, pachnącej jego ciałem pościeli. Zdjął kąpielówki i rzucił je w kąt pokoju. Mimo późnej pory, w sypialni nie było ciemno. Srebrna tarcza księżycy rozjaśniająca niebo oświetlała ich postacie. Twarz Nicka była spięta, choć starał się to ukryć. Był bardzo podniecony i tak samo mocno jej pragnął. Janna wyczuwała to w jego pocałunkach i ruchach.

Na stoliku nocnym stało zdjęcie Amandy Jane, lecz Nick zdawał się tego nie zauważać. Wysunął szufladkę i wyciągnął prezerwatywę.

— Będzie potrzebna kamizelka kuloodporna. Musisz mi pomóc. Czy wiesz, jak się zakłada kamizelkę kuloodporną?

Podał jej prezerwatywę i klęknął przy niej. Janna rozerwała opakowanie. Zastanawiała się, czy Nick często sypia z przypadkowymi kobietami, na pewno tak, pomyślała. Widać, że dla niej się przygotował. Nick zauważył jej wahanie. Starał się mówić byle co, byleby mówić. Chodzi o seks, nie myśl o miłości, powtarzał sobie w myślach. Janna delikatnie wsuwała prezerwatywę na jego sztywny członek. Nie mogła się oprzeć i kilka razy musnęła go dłonią, zanim założyła do końca zabezpieczenie.

Nick pochylił się nad nią i szepnął:

— Szybciej, to jest bardzo zimne...

Gdy Janna była gotowa, zaczęła przedrzeźniać Nicka:

— Czy wiesz, kto wymyślił kamizelkę kuloodporną? Lekarz wojskowy Colonel Condom. Następnie w roku 1840...

Nick przerwał jej opowieść słodkim pocałunkiem. Położył się na niej i zaczął pieścić jej piersi. Rozdzielił jej uda swoim kolanem, a następnie wniknął do jej wnętrza. Janna nigdy dotąd nie czuła czegoś takiego. Z wrażenia nie mogła złapać tchu.

Posiadł ją całą, nie tylko ciało, ale i duszę. W takiej chwili kobieta oddawała się bez reszty mężczyźnie.

Nick oparł się na łokciach po obu stronach jej głowy i zaczął stopniowo poznawać urodę jej ciała. Pieścił jej włosy, twarz, jakby chcąc uchwycić jej kształty, i szyję, którą bezpamiętnie obcałowywał. Spojrzał jej prosto w oczy i poważnym tonem szepnął:

— Zauważ jedną bardzo ważną rzecz, Janno. Ja się nie uśmiecham.

15.

Och, jest Stirling Moss — powiedział Warren do Shadoe, wskazując na rozpedzony samochód Formuły 1.

— Czy te wyścigi nie są dla niego zbyt powolne? — spytała, patrząc na inne samochody, pozostające daleko w tyle za czempionem. Zerknęła na Chloe, która bawiła się na trawie tuż obok sędziów.

— Bez wątplenia — skomentował Warren.

Pisk opon i warkot silników dudnił im w uszach. Uniemożliwiało to rozmowę, a zarazem było dobrym pretekstem dla Warrena, by przysunąć się jeszcze bliżej do Shadoe.

— Największa prędkość podczas takich wyścigów nie przekracza pięćdziesięciu mil na godzinę. Widać, że zespoły potraktowały to bardzo honorowo. Spójrz, jak zniszczona jest nawierzchnia.

Pole farmerskie nie było najlepszym terenem wyścigowym. Tor wyznaczono snopkami słomy i drewnianymi palikami. Od czasu do czasu samochód podjeżdżał do swojego boksu, był reperowany i tankowany. Przede wszystkim jednak zmieniano opony, gdyż przy takiej jeździe przecierały się już po kilku okrążeniach.

Warren został poproszony, by jako gość honorowy wręczył zwycięzcy trofeum. Były to wyścigi okazjonalne, organizowane przez przedsiębiorstwo brytyjskie produkujące kosiarki do trawy.

Otrzymywał bardzo liczne zaproszenia na różnego rodzaju imprezy, bankiety, przyjęcia, zwłaszcza po swoich wystąpieniach w telewizji. Tę propozycję przyjął chętnie, była to bowiem okazja, by zabrać ze sobą Shadoe i Chloe na małą przejażdżkę poza miasto.

Okolica była naprawdę wyjątkowa. Dokoła rozciągały się piękne pastwiska pokryte soczystą, zieloną trawą. Na skraju młodego lasu, niedaleko toru wyścigowego, zorganizowano małe, typowo wiejskie targowisko. Można tam było coś zjeść, czegoś się napić i kupić jakąś pamiątkę. Wśród odwiedzających przeważały dzieci, dla których taki jarmark był urozmaiceniem miejskiego życia.

Dzieciaki bawiły się, biegały i zaczepiały psy. Było dużo wrzasku i pisków, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Chloe znajdowała się na etapie zapoznawania z przyrodą. Z wielkim zaciekawieniem przyglądała się latającym motyłom i polnym kwiatom. Była jeszcze bardzo mała i potrafiła je-

dynie raczkować, za to z wielką wprawą, osiągała bowiem niewiarygodne prędkości. Shadoe musiała często biec za nią, by ją dogonić.

Bardzo dbała o córeczkę i starała się jak mogła być dla niej dobrą matką. Shadoe była wzruszająca w tej roli. Prawdziwym marzeniem Warrena było poznać Shadoe jako żonę. Brakowało mu jednak do końca pewności, czy uda mu się zmienić jej postanowienie.

Od chwili śmierci ojca Warren zaczął się poważnie zastanawiać nad przyszłością. Pierwszą młodość miał już za sobą, niestety nieudaną. Dlatego z podwójnym zapalem starał się ułożyć życie jak najlepiej dla siebie i dla kobiety, którą nadal kochał.

Niestety, Shadoe otoczyła się murem. Przyjmowała przyjaźń Warrena, nie chciała jednak zaakceptować miłości.

Pozycja społeczna Warrena uległa zasadniczym zmianom. Jako członek Izby Lordów był osobą wpływową, ale nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Przez wiele lat analizował ekonomię Wielkiej Brytanii, jednak dostrzegając jej błędy nie był w stanie nic zmienić. Teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Mógł działać i chciał działać. Zbierał różne informacje, spotykał się z ludźmi, którzy mogli go czegoś nauczyć, i przygotowywał analizy. Nie chciał już nigdy więcej wystąpić w telewizji i być tak gołosłownym jak za pierwszym razem. Musiał dysponować faktami, które zawsze stanowiły żelazny argument. Shadoe spojrzała na Chloe, która właśnie w tej chwili zamierzała poznać smak trawy. Przykucnęła przy niej. Warren uśmiechał się na myśl, że ten wypad poza miasto z Shadoe i małą był jednym z jego najlepszych pomysłów. Polityka to nie tylko analizowanie wydarzeń, komentarzy i rozgrywek politycznych, to także poznawanie problemów codziennego życia, to spotykание zwykłych ludzi i rozmawianie z nimi. Do tego była mu potrzebna Shadoe, która wiązałyby go z prawdziwym rodzinnym życiem i codziennymi problemami. Shadoe nie potrafiła wyperswadować Chloe, by jednak nie jadła trawy.

— Pokażmy małej stragany, to będzie dla niej ciekawe, takie kolorowe. Na pewno chętnie zobaczy, jak robi się watę cukrową, chodźmy — zaproponował Warren.

— To dobry pomysł. Na pewno ją to zainteresuje — odparła Shadoe zadowolona z propozycji. Wzięła dziecko na ręce. Mała miała cały sweterek usmarowany na zielono. Shadoe trochę go oczyściła i pocałowała Chloe w pulchne policzki. Córeczka była uśmiechnięta i najwyraźniej zadowolona z wycieczki.

— Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie. To jest wspaniały dzień, Chloe ma cudowną zabawę.

— A ty? — spytał Warren z nadzieją w głosie. — Czy cieszysz się, że przyjechałaś tu ze mną?

— Przecież wiesz, że bardzo lubię twoje towarzystwo — odpowiedziała dyplomatycznie.

Warren uśmiechnął się znacząco i wziął od niej dziecko. Jedną ręką trzymał Chloe, a drugą objął czule Shadoe. Szli w kierunku straganu z watą cukrową. Wiele ludzi kłaniało mu się, mimo iż byli wśród nich tacy, których widział po raz pierwszy. W ciągu kilku dni stał się osobą znaną i poważaną. Najwidoczniej wystarczy wystąpić w telewizji, pomyślał ironicznie. Niewątpliwie czuł się szalenie dowartościowany. Akceptacja społeczna oznaczała, że jego poglądy nie są ludziom obojętne, a niektórzy nawet się z nimi utożsamiają. Kupili małej watę cukrową, która musiała się oczywiście zaplątać w jej włosy. Shadoe zdawała się być na wszystko przygotowana. Wyciągnęła z małej podręcznej torby nawilżoną chusteczkę i starała się usunąć cukier z włosów.

— Spójrz, Chloe, tam jest kłown — Warren wskazał na kłowna żonglującego piłeczkami. Shadoe uśmiechnęła się do niego dobrodusznie, zapraszając, by do nich podszedł. Sami zrobili kilka kroków w jego stronę i właśnie wtedy Warren zauważył Everetta Braxton-Ames, z którym uczęszczał do Christ College. Everett pomachał mu ręką i zaprosił na kufel Guinnessa. Nigdy się zbyt nie przyjaźnili, mimo iż obracali się w tym samym elitarnym towarzystwie. Warren przeprosił na chwilę Shadoe:

— Zaraz wracam — powiedział i podszedł do dawnego znajomego.

— Hej, stajesz się złotym chłopcem torysów — przywitał go Everett. Warren nie chciał rozmawiać o sobie i szybko zmienił temat.

— Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj.

— Pracuję dla firmy reklamowej Bellview Advertising, a Królewski Klub Automobilowy, który zorganizował te wyścigi, jest jednym z naszych klientów.

Warren wymienił kilka formułek grzecznościowych, spytał o zdrowie i pożegnał się. Już odchodził, gdy Everett chwycił go za ramię i szepnął do ucha:

— Dam ci małą radę. Shadoe Hunnicutt zniszczy twoją karierę, zanim się w ogóle zacznie. Powinieneś rozejrzeć się za kobietą odpowiednią do twojej pozycji i nadającą się na żonę. Wierz mi, mam doświadczenie i wiem, jak ważny jest image, gdy chce się coś osiągnąć.

— Moje prywatne życie jest... — próbował wtrącić Warren.

— Daj spokój, nie bądź naiwny. Dziecko Hunnicutt nie ma ojca. Na Boga, przecież ta kobieta jest polityczną ignorantką.

— Czy zdarzyło się coś ciekawego? — spytała Rhonda.

— Żartujesz sobie? Przez cały czas nurkują — odpowiedział Curt, odkładając lunetę. Wcześniej zwolnił prywatnych detektywów, którzy mieli za zadanie obserwować Nicka Jensena, i postanowił sam się tym zająć. Janna i Nick wypłynęli wczesnym rankiem z portu w kierunku wyspy Comino, na której miała odbyć się jakaś uroczystość. Okoliczne zatoki były tak bajecznie piękne, że postanowili trochę popływać. Curt i Rhonda śledzili ich z pożyczonej od znajomych motorówki. Zarzucili kotwicę w bezpiecznej odległości i aby nie wzbudzać podejrzeń, wciągnęli flagę sygnalizującą, że będą nurkować. Rhonda nacierała swoje nagie piersi olejkami do opalania. Była nadal zła na Curta, że zmusił ją do noszenia peruki. Curt po wczorajszej kłótni z ojcem postanowił być ostrożny, gdyż okłamał go mówiąc, że nie widuje się już z Rhondą.

— Myślałem o Jensenie. Nie spotkałaś się z nim? — spytał Curt.

— Nie odpowiada na moje telefony. Byłam nawet u niego w biurze, ale nie miał dla mnie czasu.

— Zachowuje się tak, ponieważ jest przekonany, że jesteś zamieszana w śmierć Prescottta.

— Nadal martwię się tym zdjęciem. Co zrobimy, jeśli ojciec Trevora zrobił kopię?

Curt tłumaczył Rhondzie po raz kolejny, że zapłacił komu trzeba w głównym urzędzie pocztowym na Malcie, by przesyłka od Austina Prescottta nie dotarła do Jensena. Sam spalił to zdjęcie i wszystkie inne, które mogłyby zdradzić tajemnice jego życia osobistego. Nie chciał, by ojciec odkrył jego prawdziwe oblicze. Wielki Tony zażądał ostatnio od Curta, by znalazł sobie jakąś kandydatkę na żonę.

— Jeżeli stary Prescott zrobił kopię tego zdjęcia, w co wątpię, zajmę się tym. Problemem nie jest już teraz zdjęcie, tylko sam Jensen. — Curt starał się uspokoić Rhondę.

Sięgnął ponownie po lunetę i zaczął obserwować teksańczyka. Nick z Janną siedzieli na pokładzie łodzi, opalali się, pili drinki i żartowali. Bradford zwrócił się do Rhondy i krzyknął:

— Do kurwy nędzy, niewiarygodne. Mam pomysły!

Rhonda przysunęła się do niego i z zaciekawieniem spytała:

— Co wymyśliłeś?

— Jensen na pewno nie sporządził testamentu. Jeśli umrze, wszystko odziedziczy matka. Ją na pewno nie będzie trudno przekonać, by nam odsprzedała te udziały. Będę miał wtedy spokój z ojcem. Odczepi się ode mnie na rok lub dwa. Zajmie się Pithany Crandall i jej hotela-

mi. Może do tego czasu ty dostaniesz już rozwód. Zastanawia mnie jednak, dlaczego ojciec jest aż tak zainteresowany tą staruchą. Ciągłe tylko myśli i mówi o Crandall.

— Widzę, że myślisz o wszystkim.

— Nie słyszałaś jeszcze najlepszego — powiedział, patrząc ponownie przez lunetę. — O, kurwa! Ale scena...

Rhonda natychmiast sięgnęła po drugą lunetę. Nick całował czule ramię Janny.

— No więc, co to jest to najlepsze, co powinnam usłyszeć? — spytała.

— Pozbądź się Jensena, ale zrzuć winę na Janę — powiedział Curt, patrząc na Janę całującą teraz Nicka. Przesunęła dłonią po wewnętrznej stronie jego uda, od kolana aż po krocze. Gorąca dziewczyna, pomyślał Curt.

Rhonda nie odpowiedziała. Patrzyła razem z Curtem na łóżk Jensena. To, co obserwowali, mogło wydawać się nudne, biorąc pod uwagę ich wyczyny łóżkowe, ale mimo to Rhonda była zafascynowana.

— Zabierz się wreszcie do rzeczy — szeptał Curt sam do siebie, patrząc na poczynania Nicka, który pieścił piersi Janny. — Zdejmij jej wreszcie ten stanik. Czy ty sobie wyobrażasz, że ona nie jest topless. Na wszystkich plażach od Costa del Sol aż do Monte Carlo kobiety opalają się topless. Tylko durne Brytyjki i grube Amerykanki chodzą w stanikach — powiedział zwracając się do Rhondy. — Ale dupek, bez jaj...

Nagle Jensen zdecydował się, zdjął Jannie stanik i rzucił go za siebie.

— Widziałaś wyraz jej twarzy? Jest wkurwiona... — powiedział Curt zadowolony.

— Nie bądź śmieszny, przecież widać, że to lubi — odparła Rhonda.

Mokre kąpielówki Nicka przylegały do jego nabrzmiałego członka. Energicznym ruchem zdjął je i rzucił w ką. Curt przez cały czas przyglądał się piersiom Janny. Były bardziej wydatne, niż się spodziewał. Natomiast Rhonda wyraziła swój zachwyt, patrząc na Nicka.

— Proszę, proszę... — szepnęła.

— Jest niezły — dodał Curt, porównując Nicka do siebie. — Chociaż mój jest dłuższy o cały centymetr, no dobrze, może o pół centymetra. — Kątem oka spojrzął na Rhondę, która oblizywała językiem spierzchnięte wargi.

Janna przyglądała się, jak Nick ściąga mokre kąpielówki. Taxi, merdając ogonem, uwijała się u jego stóp. Czy mogłabym odmówić takiemu mężczyźnie? — pomyślała Janna. Ostatniej nocy kochali się dwa razy, potem nad ranem jeszcze raz i wciąż nie było im dosyć. Kiedy za-

proponował, by spędzili dzień na jachcie, nie miała najmniejszych wątpliwości, co będą robili, tym bardziej że widziała, jak Nick wkładał do koszyka z jedzeniem paczkę prezerwatyw.

— Zdejmij majtki, Mała.

— Ja? — Janna nie mogła oderwać od niego oczu.

Zanim poznała Collisa, miała kilku kochanków, żaden z nich jednak nie był tak cudownie zbudowany jak Nick. W zdecydowanym rysie każdego fragmentu jego ciała kryła się jakaś obezwładniająca siła i energia.

— Przecież nie chodzi mi o Taxi. Rozbierz się wreszcie, bo w przeciwnym razie ci pomogę.

Janna spieszyła się, usłyszawszy taką propozycję. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze jest w stanie zaczerwienić się ze wstydu. Powoli ściągnęła bikini. Nick usiadł obok niej, objął ją ramieniem i delikatnie położył się na pokładzie jachtu. Janna poczuła, jak jego silna, ciepła, męska dłoń przesunęła się po jej twardych piersiach, potem musnęła brzuch, aż w końcu dotarła do bioder.

— Czy wiesz, jak bardzo podoba mi się twoje ciało? — wyszeptał.

Janna pokręciła przecząco głową. Nie mogła uwierzyć, że jej przeciętnej urody ciało może się komukolwiek podobać, a tym bardziej tak przystojnemu i atrakcyjnemu mężczyźnie jak Nick. Jensen ułożył się koło niej na boku. Poczowała, jak jego twarda męskość ociera się o jej udo, podczas gdy usta niespokojnie pieściły aksamitną skórę pomiędzy piersiami.

— Jesteśmy dobraną parą — powiedział.

Janna przesuwała palcami po jego owłosionej piersi. Kiedy dotknęła delikatnego końca jego członka, nie mogła powstrzymać się od wyrażenia zachwyty.

— Jesteś taki wielki dzisiaj...

Nick obsypał ją pocałunkami. Janna chciała jeszcze coś powiedzieć, ale kiedy otworzyła usta, jego język wtargnął do środka. Kolejny już raz Janna mogła się przekonać, że Nick jest zupełnie inny niż Collis, zwłaszcza w miłości. Jej mąż nawet w łóżku starał się być perfekcyjny. Delikatne dotknięcie jednej części ciała, muśnięcie drugiej, drażnienie językiem: na ogół było już po wszystkim, zanim się cokolwiek zaczęło. Nigdy nie starał się wyczuć, co sprawia jej największą przyjemność. Nick zawsze wiedział, w którym momencie jego ręka powinna się znaleźć pomiędzy jej udami. Jego palce zawsze potrafiły odszukać właściwe miejsca. Całował jej piersi, brzuch i nogi. Nigdy nie próbowała mu się opierać. Panował nad jej ciałem i myślami.

— Wiesz, że po Malcie krążą złośliwe pogłoski — Nick uśmiechnął się, podnosząc głowę.

Janna objęła dłońmi jego twarz i przyciągnęła go ku sobie.

— Jakie pogłoski? — w jej głosie krył się niepokój.

— Na Malcie mówią o mnie, że jestem kulinarnym neandertalczykiem i jadam tylko w barach szybkiej obsługi, w których żywi się laboratoryjne szczury. To świadczy jedynie o moim wyszukanym smaku — powiedział żartobliwym tonem, po czym pochylił się nad jej brzuchem.

Janna rozchyliła nogi i wygodnie oparła głowę o poduszki. Wpatrzona w błękit nieba, pozwoliła ponieść się ekstatycznej fali ciepła, które przepełniło całe jej ciało. Słyszała niby z oddali dochodzący plusk morskich fal, które leniwie odbijały się o burty jachtu. Miarowe kołysanie łodzi nadawało ich przytulonym ciałom naturalny, pierwotny rytm słodkiego pożądania.

— Czy chcesz, żebym wszedł do środka?

Janna podniosła z wysiłkiem głowę i spojrzała nieprzytomnie na Nicka. Przez jego rozczochrane włosy sączyły się złote promienie słońca. Nigdy nie potrafiła oprzeć się temu wymownemu spojrzeniu mężczyzny, który pragnął — pragnął aż do bólu, aż do ostatniego tchnienia, do ostatniego skurczu serca. Za to spojrzenie była gotowa oddać mu nie tylko ciało. Janna czuła słodki ciężar na sobie. Delikatne muśnięcia wiatru i szum fal sprawiły, że przez chwilę, która zdawała się trwać całą wieczność, straciła całkiem poczucie rzeczywistości. Uderzenia Nicka stawały się coraz mocniejsze, coraz bardziej natarczywe, ale ona wciąż miała wrażenie, że to jakaś nieznaną siłą unosi jej ciało, które nagle straciło całkiem ciężar i ważyło niewiele więcej od gęsiego puchu. Chciała wykrzyknąć, że go kocha, ale właśnie w tym momencie Nickiem wstrząsnął dreszcz spełnienia. Jego uścisk rozluźnił się. Poczwała, jak rzeczywistość ponownie ich rozdziela. Leżeli obok siebie. Nick uważnie studiował jej twarz. Jego spojrzenie przepełniało uczucie, którego nie potrafiłby zapewne wyrazić słowami.

— Nigdy nie kochałem się z tobą wcześniej — powiedział z pełną powagą.

— A ostatniej nocy? — spytała nie rozumiejąc, co ma na myśli.

— ...w poprzednim wcieleniu. Nigdy nie kochałem się z tobą we Francji. Gdyby było inaczej, na pewno bym o tym pamiętał.

— Nie chcesz mi uwierzyć?

— Nie — pocałował koniuszek jej nosa. — Jest to największa bzdura, jaką słyszałem.

— To nie jest bzdura — upierała się Janna. — Są ludzie, którzy w to wierzą.

— Być może... czasami mam wrażenie, jakbyśmy znali się od zawsze.

— Nick, ja... — Janna przerwała nagle, czując zimny nos Taxi na pośladku. — Taxi! Przystań mnie obwąchiwać tym swoim lodowatym nochem.

— Najwyraźniej poczuła się opuszczona — powiedział Nick, głaszcząc psa. Potem wstał, poszedł na dziób łodzi, pozbył się prezerwatywy i wrócił.

Razem poszli na rufę, gdzie po metalowej drabince można było zejść do wody.

— Czas na kąpiel...

— A co z tamtą łodzią? — spytała Janna, wskazując na motorówkę, która od kilku godzin znajdowała się w odległości trzystu metrów od ich jachtu.

— Są za daleko, aby nas widzieć, chyba że mają lunetę. Poza tym na rufie wisi flaga sygnalizująca, że nurkują.

— Ale ona wisi tam już od dobrych kilku godzin. Niemożliwe, by tak długo byli pod wodą — zauważyła Janna.

Nick roześmiał się i objął ją ramieniem.

— Jeśli tak, to mają dobrą zabawę, podglądając nas.

Wskoczyli do wody. Taxi dreptała wzdłuż pokładu szczekając. Po kąpeli postanowili resztę dnia spędzić w ukryciu przed słońcem. Zeszli pod pokład do salonu, owinęli się w ręczniki i popijali drinki.

— Czy nie jest ci przykro z powodu rozwodu? — spytał Nick.

Janna była zaskoczona. Nigdy nie rozmawiali ze sobą o swoich osobistych problemach.

— Owszem, jest — odparła szczerze. Jednak gdyby przyszło powiedzieć jej całą prawdę, nie wiedziałaby, jak ją wyrazić. Z jednej strony nadal kochała Collisa i pragnęła, aby przyszedł do niej i na kolanach błagał o przebaczenie. Z drugiej strony miała ochotę po prostu go zabić.

— Czy pozwolisz, że spytam, co między wami zaszło?

— Nie mam nic naprzeciw — powiedziała, chociaż w rzeczywistości nie chciała, by Nick poznał jej przeszłość. W przeciwieństwie do jej związku z Collisem, małżeństwo Nicka było chyba szczęśliwe, chociaż skończyło się tragicznie. — Tak naprawdę to nie wiem, co było przyczyną. Ja... ja... wydaje mi się, że mnie kochał... albo przynajmniej lubił. Bez względu na to, prawda jest taka, że ożenił się ze mną dla pieniędzy.

Taxi wskoczyła jej na kolana i zwinęła się w kłębek. Janna zamyślona głaskała psa po puszystej sierści. Bolesne wspomnienia odżyły.

— Collis był bardzo, bardzo przystojnym mężczyzną. Poza tym odznaczał się wyjątkową inteligencją. Kobiety wprost leciały na niego. To nie była jego wina, naprawdę. To musiało się kiedyś stać, prędzej czy później...

— Nie bądź naiwna. Wygląd czy inteligencja nie mają nic wspólnego z miłością i wiernością — oburzył się Nick.

— Chyba masz rację — łagodne spojrzenie Jensena sprawiło, że nie sposób było być w tej rozmowie nieszczerym. — On mnie nie kochał.

— Przykro mi, tak bywa. — Nick wziął jej dłoń. — Trochę potrwa, zanim o tym zapomnisz. Najważniejsze, byś nie wpakowała się w jakiś kolejny nieudany związek, tak jak Mark Nolan. Tym razem powinnaś być bardziej ostrożna.

Janna posłusznie przytaknęła. Wiedziała, co Nick chce przez to powiedzieć: ich związek nie był na poważnie. Teraz sobie to uświadomiła. Łączyły ich udziały hotelowe i seks. Nick po prostu potrzebował jakiejś kobiety do czasu, nim zostanie przeniesiony do Atlanty.

— Byłem żonaty przez prawie siedem lat — powiedział Nick przyciszonym głosem.

Janna słuchała go z uwagą. Odkąd Mark Nolan zdradził jej, że Jensen był kiedyś żonaty, zawsze chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tym małżeństwie.

— Amanda Jane zmarła na raka. Jeśli ktoś jest dla ciebie wszystkim, to trudno jest się pogodzić z jego odejściem. Powoli oswajam się z tą myślą.

— To straszne. Tak mi przykro. Na dodatek straciłeś starszego brata. To musiało być bolesne przeżycie. — Janna nie mogłaby wyobrazić sobie życia bez Warrena. Od dzieciństwa zawsze byli razem. Kochała go tak samo mocno jak ciotkę Pithany.

— Trevor zastępował mi brata. Nie opuszczę Malty, dopóki nie dowiem się, kto jest jego zabójcą. Mam dziwne przeczucie, że Curt Bradford jest zamieszany w to morderstwo. Widziałem zdjęcie jego dziewczyny z Trevorem.

— To jeszcze nie dowód. Może po prostu spotykali się ze sobą — wtrąciła Janna.

— To dlaczego twierdzi, że go w ogóle nie znała? Przecież na zdjęciu widać, że się z nim po prostu pieprzy!

Nick poderwał się nagle i wyjrzał na pokład.

— Co się stało? — zawołała Janna.

Jensen przecesał włosy nerwowym ruchem dłoni, odwrócił się do niej i powiedział:

— Nic... — ponownie usiadł koło niej na sofie. — To zdjęcie było robione przez bardzo silny teleobiektyw. Nagle uzmysłowiłem sobie, że ta motorówka, na którą zwróciłaś uwagę...

ona była tak długo zakotwiczona. Pomyślałem, że może ktoś nas obserwował... przez teleobiektyw... Nie wiem, może to jakaś moja obsesja. Motorówka już odpłynęła.

— Podejrzewasz, że Rhonda zrobiła to dla Curta?

— Tak. Jak tylko dostanę to zdjęcie, zmuszę ją do przyznania się. Będzie musiała wszystko powiedzieć.

— Pamiętasz w Mdinie, kiedy ja...

— Mam nadzieję, że nie zaczniesz mnie znowu przepraszać — wtrącił Nick.

— Nie. Chcę ci powiedzieć, że tamtego wieczoru Curt wsypał mi coś do drinka. Jakiś narkotyk, czy inne świństwo. Chciał mnie zgwałcić. Nie wiem, co by się stało, gdybyś nie przyszedł w porę.

— Jesteś pewna? Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

— Tak było, wypiałam jeden kieliszek wina. Czułam, że w obecności Curta grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, aż do momentu, kiedy ty się zjawiłeś. Nie mówiłam ci o tym, bo wtedy nie znaliśmy się jeszcze tak dobrze. Sądziłam, że mi nie uwierzysz. Mogłeś pomyśleć, że chcę usprawiedliwić swoje dziwne zachowanie.

— Uwierzyłbym ci.

— Teraz już wiem, ale wtedy to nie było takie proste.

— Jak myślisz, o co chodziło Curtowi? — spytał, głaszcząc jej dłoń.

— Zastanawiałam się nad tym wiele razy. Słyszałam już coś o afrodyzjakach. Podobno powodują, że robisz rzeczy, które normalnie nie przyszłyby ci nawet do głowy. Jedno mogę powiedzieć ci z całą pewnością, nigdy dobrowolnie nie poszłabym do łóżka z Curtem Bradfordem.

— Nie sądzę, by o to mu chodziło. Jego ego jest zbyt silne, by poprzez narkotyki zmuszać kobietę do seksu. Musiał mieć jakieś inne zamiary.

Janę przeszył zimny dreszcz.

— Ta myśl mnie przeraża. Skoro Curt już raz kogoś zabił, może spróbować ponownie — wyszeptała, przytulając się do Nicka. — To moja obsesja. Być może istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie tego, co się stało. Bez względu na to chyba już zawsze będę się lękać Bradfordów. To bardzo niebezpieczni ludzie. Przypomnij sobie, że Iana MacShane'a po raz ostatni widziano tuż przed jego spotkaniem z jakimś nieznanym pilotem RAF-u. Tony Bradford był pilotem RAF-u i wiadomo, że poleciał do Bardii w dzień po zatonięciu „Nelsona”.

— Ostatecznie Tony nie był chyba jedynym pilotem, który wtedy latał między Maltą a kontynentem.

— Racja, ale żaden z nich nie miał powodów, by zabić Iana. Ciotka Pithany twierdzi, że MacShane był w posiadaniu dowodów, z których wynikało, że Tony odpowiada za kradzież cennych przedmiotów religijnego kultu z kościołów na Malcie.

Nick zastanowił się przez chwilę. Najwyraźniej fakty przemawiały na niekorzyść Bradfordów.

— Chcę, żebyś trzymała się od nich z daleka. Oni są nieobliczalni — przestrzegł.

Przez chwilę siedzieli pogrążeni w milczeniu. Każde z nich jednak myślało o tym samym, o Bradfordach.

— Dajmy temu spokój. I tak nie rozwiążemy dzisiaj wszystkich tajemnic. Przegapimy tylko zachód słońca.

Wyszli na pokład, zabierając ze sobą butelkę wina. Ociężałe słońce na kształt olbrzymiej pomarańczy powoli zanurzało się w koralowo-błękitnej toni. Od lądu wiał ciepły, suchy wiatr.

— Clara pojechała na weekend na Gozo? — spytał Nick.

Janna przytaknęła. Na szczęście tego dnia rano w domu nie było już służącej. Gdyby zobaczyła, jak Janna wyławia z basenu bikini, zapewne nie wiedziałaby, co o tym myśleć.

— Tak też sądziłem. Dlatego zabrałem ze sobą swoje ulubione chili. Proponuję, byśmy zjedli je teraz na kolację z kanapkami. Potem wrócimy do domu.

— Dobry pomysł — zgodziła się Janna, pomimo że nie przepadała za chili. Nie chciała jednak sprawiać mu przykrości. Razem zeszli pod pokład do kuchni.

— Jutro wraca ciotka Pithany, a wraz z nią Audrey i doktor Osgood.

— Jaka szkoda — odparł zawiedziony Nick. — Wolałbym być z tobą sam.

— Te dobre czasy niestety się skończyły. Po południu przyjeżdża Warren z Shadoc i jej córeczką. Zostaną przez dwa tygodnie, aż do otwarcia Blue Grotto. Warren ma zamiar nakręcić na wideo film reklamowy według twojego pomysłu.

— Naprawdę?

— Tak. Razem z ludźmi z branży reklamowej opracowałam strategię marketingową. Liczę na to, że przyciągniemy turystów z Ameryki. — Janna nie dodała, że właśnie teraz powinna siedzieć w biurze i dopracowywać ostatnie szczegóły kampanii reklamowej nowego hotelu.

— Bardzo ciężko nad tym pracowałaś — powiedział Nick. — Jestem zaskoczony, że Pithany przekazała ci hotel w takim właśnie momencie.

— Tak, ale prawdopodobnie chciała w ten sposób dać mi szansę, by ten hotel był także moim dziełem. Lubię ciężką pracę, zwłaszcza gdy mogę realizować nowe pomysły. Poprosiłam Shadoe, by otworzyła butik w hotelu. Będzie w nim sprzedawać elegancką bieliznę i stroje kąpielowe.

— Czy ma zamiar sprzedawać także karty Tarota?

— Jesteś bardzo dowcipny. Shadoe chce wylansować nową modę kąpielową.

— Wspaniale, a konkretnie? — spytał złośliwie Nick.

— W zasadzie to był mój pomysł — odparła Janna. — Wyczytałam w „The Economist”, że panuje teraz szal na punkcie mody plażowej. Chcę, by oprócz bikini Shadoe sprzedawała także płyny do kąpieli, żele do masażu, nietypowo pachnące mydła, olejki i tego typu rzeczy.

— Bardzo kreatywne.

— Właśnie — powiedziała śmiejąc się. — Zamówiłam próbki tych wszystkich produktów u producentów. Zamierzam wyposażyć w nie łazienki hotelowe. Jeśli spodobają się gościom, będą mogli kupić je w butik hotelowym.

— Jesteś bardzo sprytna — zauważył Nick, opychając się chili. Sięgnął po dwa piwa z lodówki. — Jeśli będziesz jeszcze głodna, to zaproszę cię na kolację do jachtklubu.

Janna usiadła naprzeciwko Nicka i spytała.

— Czy w tej kanapce jest dużo fasoli?

— Nie, głównie wołowina i teksańskie chili.

Janna spróbowała. Na szczęście nie było fasoli, której nie znosiła. Chciała go pochwalić i powiedzieć, że jest niezłym kucharzem. Po chwili otworzyła usta, poczuła straszliwe pieczenie na języku. Rozpaczliwie sięgnęła po piwo i duszkiem wypłała pół butelki.

— Mam nadzieję, że nie jest zbyt ostre — Nick spytał ze szczerą troską w głosie. — To bardzo stary rodzinny przepis na chili. W domu nazywamy ją ognistą chili.

CZEŚĆ TRZECIA

Pocałunek śmierci

16.

Popołudniowe słońce zniknęło za kłębowiskiem chmur, które w przedziwny sposób przypominały Nickowi bezkresne pastwiska w zachodnim Teksasie. Upragniony chłód przyszedł wraz z cieniem, który objął całą posiadłość Falcon's Lair, dając wytchnienie pod koniec tego upalnego dnia. Nick leżał wraz z Shadoe i Warrenem koło basenu, mocząc nogi w rozgrzanej wodzie. Nie opodal, pod olbrzymim parasolem schroniła się Pithany wraz z maleńką Chloe. Po drugiej stronie basenu Audrey i doktor Osgood pochłonięci byli tresowaniem Rommla.

— Czy mam ci powróżyć z kart? — spytała Shadoe.

— Nie, dziękuję — odparł Nick, zerkając na rudowłosą piękność, która przeciągała się leniwie. Pachniała intensywnie olejkiem kokosowym. Jej niepokojący zapach docierał aż do miejsca, w którym siedział. W przeciwieństwie do innych kobiet o rudych włosach opalała się na brązowo. Mimo to Warren troskliwie równo co godzinę z zapalem wcierał w jej skórę olejek do opalania, aby się nie spaliła. Każdy matoł mógł spostrzec, że był w niej zakochany po uszy. Nick był jednak pewien, że nie spali ze sobą. Jensen wstał z miejsca i podszedł do Pithany, zanim Shadoe zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

— Czy sądzisz, że von Rommel zdobędzie nagrodę na pokazie psów, tak jak Millicent? — spytał. Od kiedy Millicent rok temu pobiła zdecydowanie przeciwników, zdobywając pierwsze miejsce, Audrey była gotowa uczynić wszystko, by jej Rommel powtórzył ten sukces.

— Trudno ocenić — odparła Pithany z półuśmiechem na twarzy, który zdradzał jej wątpliwości. — Pierwszy pokaz psów jest zawsze najtrudniejszy.

Nick usiadł na trawie. Natychmiast podbiegła do niego Taxi i wskoczyła mu na kolana.

— Taxi jest wprawdzie tylko zwykłym domowym czworonogiem, ale inteligencją i sprytem pobiłaby niejednego czempiona.

— Nie przywiązuję wagi do tego, czy pies ma rodowód czy nie — odparła Pithany. — Podobno rodzice Rommla byli czempionami, ale on sam nie jest zbyt zdyscyplinowany. Ciagle

coś broi, choć nie jest już szczeniakiem. Ostatnio zniszczył drogocenny dywanik do modlitwy, który przechowywany był w rodzinie Athertonów przez pokolenia.

— Czy Audrey nie była w stanie nauczyć go karności?

— Przez całe życie miała problemy z dyscypliną. Dziwię się, że Janna i Warren wyrosli na tak porządnym ludzi.

Usłyszawszy imię Janny, Nick przypomniał sobie, że obiecała wrócić dziś do domu wcześniej, by spędzić czas z rodziną. Spojrzał na zegarek. Była już piąta. Coś ważnego musiało jej wypaść, skoro się spóźnia. Nick specjalnie wyszedł z pracy wcześniej, by przywitać gości i zająć się nimi, zanim wróci Janna. Miał nadzieję, że dotrze do Falcon's Lair zaraz po nim. Dzisiejszego wieczoru zdecydowała się powiedzieć Audrey o rozwodzie z Collisem. Nie chciała jednak, by Pithany dowiedziała się, że łączy ją romans z Jensenem i na dodatek pod jej dachem. Nick zgodził się zachować to w tajemnicy, żałując coraz bardziej tego, co uczynił. Przez ostatnie pięć lat, gdy tylko potrzebował kobiety, korzystał z usług prostytutek. To, co przeżywał z Janną, było czymś zgoła innym i nieporównywalnym. Był szczęśliwy i po raz pierwszy od tylu lat poczuł wreszcie, że żyje. Świadomość tego wywołała wyrzuty sumienia.

— Bardzo mi przykro, że policja nie trafiła jeszcze na trop zabójcy Trevora — Pithany wyrwała Nicka z zamyślenia.

— Czy sądzisz, że władze Malty byłyby w stanie ukryć dowody albo je usunąć?

— Nie! — odparła trochę oburzona. — Ta wyspa różni się od pozostałych miejsc na świecie. Jest porządna. Nigdzie indziej nie mówi się po maltańsku, tylko na Malcie. Oczywiście językiem urzędowym jest angielski, ale każdy prawdziwy Maltańczyk zna swój język. To, że Malta jest wyspą, pozwala na pewien izolacjonizm. Jesteśmy przede wszystkim Maltańczykami i zanim się na cokolwiek zdecydujemy, zastanawiamy się zawsze dwa razy. Tym bardziej, jeśli chodzi o zbrodnię.

— O ile pamiętam, włamano się do twojej posiadłości w noc po zamordowaniu Trevora, prawda? — spytał dociekliwie Nick.

— Tak, ale pytałeś, czy władze Malty są skorumpowane. Wątpię w to. Wiem, myślisz, że policja...

— Zastanawiałem się, czy urzędnicy na poczcie nie są przekupieni. Czekam na przesyłkę poleconą z Teksasu, która jeszcze nie dotarła ani też nie wróciła do nadawcy. Pomyślałem, że może pracownik poczty...

— Wszystko jest możliwe, niestety. Co było w tej przesyłce?

— Zdjęcie Trevora na jego jachcie. — Nick nie wdawał się w szczegóły. Uzgodnili z Janną, że na razie nie będą niepokoić jej rodziny.

— Podczas mojej nieobecności dużo myślałam o Trevorze. Pamiętam, jak razem z nim zastanawialiśmy się nad Bradfordami, czy nie są przypadkowo zamieszani w różne afery. Przez ostatnie kilka lat Malte odwiedziło parę bardzo podejrzanych osób. Interpol ustalił, że bomba, która spowodowała tragedię PAN AM-u nad Lockerbie, była ukryta w walizce z ubraniami kupionymi na Malcie.

— Byłem pewien, że bombę załadowano we Frankfurcie — wtrącił zaskoczony Nick.

— Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że przyleciała z Malty do Frankfurtu. Gdzie została załadowana, tego do dziś nie wiadomo na sto procent. Pewne jest natomiast, że ubrania zakupiono tutaj. Sprzedawca zapamiętał klienta. Był nim jakiś Arab.

— Jak mógł go zapamiętać? Ma przecież setki klientów każdego dnia. Przez jego sklep przewijają się zapewne tłumy turystów...

— Zapamiętał. Ten Arab zakupił u niego płaszcz jesienny, na który nikt nie chciał nawet spojrzeć, gdyż był za ciepły jak na tutejszy klimat. Wisiał w jego sklepie od paru dobrych lat. Gdy wreszcie się go pozbył, był bardzo zadowolony.

— Głupi błąd przestępcy, ale za to ślad dla policji... — wtrącił ponownie Nick.

— Malta ze względu na swoje sąsiedztwo z Afryką Północną i silną więź z Europą stała się miejscem przerzutowym między kontynentami. Ta droga nie wzbudza niczyich podejrzeń...

— Masz na myśli terrorystów? — spytał zbity z tropu Nick.

— Nie ma żadnych dowodów na to, że jest lub była tu jakaś baza terrorystów. Wiadomo jednak, że zatrzymują się tutaj. Również dla amerykańskich i brytyjskich robotników rafinerii naftowych Malta jest miejscem przesiadki. Ich rodzime linie lotnicze nie prowadzą rejsów do Libii. Mimo iż niektóre rządy zabroniły swoim obywatelom podróżowania do Libii z powodu zerwania stosunków dyplomatycznych, ludzie i tak decydują się na wyjazd w poszukiwaniu pracy — tłumaczyła z przejęciem Pithany. — Podejrzewam także, iż przez Malte przetrzuca się trefny towar...

Jensen kiwał od czasu do czasu głową, nie bardzo wiedząc, czy może jej wierzyć. Pamiętał, że ostrzegano go przed libijskimi statkami. Zaciekawiony jednak tematem spytał:

— Masz na myśli na przykład broń i różne środki chemiczne?

— To bardzo możliwe. Trevor wpadł na ślad jakiegoś ładunku, który miał zostać wysłany wraz z napojami do Libii.

— Słyszałem coś o tym — odparł Nick. — Podczas twojej nieobecności rozmawiałem z Tonym Bradfordem. Przyciskał mnie do muru i groził. Może nie jest bezpośrednio związany z zabójstwem Trevora, ale na pewno jest zdecydowany odebrać ci hotele.

Pithany uśmiechnęła się. Nie spytała, czy Nick przystał na ofertę Bradforda. Ufała mu i traktowała go tak, jakby znali się od dawna. Poza tym obiecał jej, że zatrzyma udziały.

— Można zatrudnić prywatnego detektywa, który... o, mój Boże. Co ten pies znowu znalazł, coś ma w pysku... — Pithany poderwała się.

Nick odwrócił się i spostrzegł, że Rommie okrąża basen, dumnie niosąc coś w zębach.

— Nick, to na pewno twoje. Zostawiłeś otwarte drzwi do domku gościnnego — zawołała Shadoe. Nick dołączył do Warrena, który gonił psa wokoło fontanny. Starali się zagonić młodego czworonoga do altanki. Gdy Nick go wreszcie dopadł, usiłował odzyskać skórzany pasek. Rommie nie chciał jednak oddać zdobyczy.

— Przepraszam. Maleństwo nie miało złych zamiarów — tłumaczyła Audrey, trzymając małego urwisa na rękach.

Nick skierował się do domku gościnnego. Zanim wszedł do środka, usłyszał wołanie Shadoe. Podeszedł do niej i Warrena:

— Nick, czy mógłbyś zabawić się w modela na pokazie moich strojów kąpielowych, których sprzedaż mam zamiar prowadzić w Blue Grotto?

— Zastanowię się. Jakiego rodzaju są to kąpielówki?

— Wzór skóry leoparda, są do kolan...

— Nie ma mowy — odpowiedział, po czym wrócił do domku gościnnego. Na sam widok mężczyzn ubranych w długie obcisłe spodenki z lycry wybuchął śmiechem, a co dopiero prezentować coś takiego na pokazie mody. Zawsze się naśmiewał, że z jednej takiej pary spodenek do kąpeli, zwanych Speedos, można zrobić co najmniej pięć par klasycznych kąpielówek.

Janna krytycznym wzrokiem patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Nie była pewna, czy jednoczęściowy strój kąpielowy jest odpowiedni do jej figury. Prawie całe popołudnie spędziła w salonie mody Marksa i Spensera, który był jedynym tego rodzaju domem handlowym na Malcie. Brzoskwiniowy kolor kostiumu bardzo łagodnie harmonizował z jej delikatną brązową opalenizną. Wyglądała zgrabnie, jednak ciągle jeszcze miała wątpliwości. Wydawało jej się, że ma zbyt małe piersi, by nosić tego rodzaju kostium. Wreszcie rozdrażniona sięgnęła po ręcznik i zbiegła schodami na dół. Zastanawiała się, czy suknia, którą także dziś kupiła, będzie odpowiednia na uroczyste otwarcie Blue Grotto. Audrey nigdy nie wybrałaby jej sukni wieczorowej

w kolorze fiołkoworożowym, a tym bardziej nie kupowałyby jej w domu handlowym, tylko bezpośrednio u projektanta mody.

— Koniec z tym... — szepnęła do siebie Janna, wychodząc na taras, z którego było widać basen. Od kiedy to tak bardzo troszczyć się o swój wygląd, zadawała sobie w myślach pytanie. Od kiedy pojawił się Nick Jensen, odpowiedziała uśmiechając się. Niestety, rodzina przyjechała na całe dwa tygodnie, a Janna obiecała sobie, że podczas ich pobytu nie będzie się kochać z Nickiem. Jej samej trudno było w to uwierzyć, zwłaszcza w chwili, gdy zobaczyła Nicka w towarzystwie Warrena i Shadoe stojących przy basenie. Shadoe miała na sobie połyskujące zielone bikini i wyglądała jak kobieta marzenie. Przez ułamek sekundy Janna poczuła ostre ukłucie w sercu. Zaraz jednak racjonalnym wytłumaczeniem ugasiła swoją zazdrość. Przecież Shadoe jest jej najserdeczniejszą przyjaciółką i nie ma się czego obawiać, zwłaszcza że od lat kocha się w Warrenie.

Nick mówił coś do Warrena, a Shadoe przysłuchiwała się temu uważnie. Janna powtarzała sobie, że naprawdę nic ją tak nie łączy z Nickiem. Tygodniowy flirt do niczego nie zobowiązuje. Czymś innym był przypadek Collisa, który zdradzał ją przez pięć lat małżeństwa z jakąś blond seksbombą. To było poważne.

Nick wszedł do domku gościnnego właśnie w chwili, gdy Janna podchodziła do ciotki Pithany wygrzewającej się na fotelu przy basenie. Warren z Shadoe rozmawiali wpatrzeni w siebie i uśmiechnięci. Na pierwszy rzut oka było widać, że są w sobie zakochani. Niestety, Shadoe nie chciała dać Warrenowi szansy, tak doradzały jej karty. Jannę irytowało to niepoważne trochę podejście. Starła się przekonać przyjaciółkę, by choć raz dla odmiany posłuchała serca, a nie kart czy kryształowej kuli. Zdecydowała, że koniecznie musi ich ze sobą zeswatać.

— Miałam nadzieję, że wpadniesz dziś do Blue Grotto — powiedziała Janna, kucając przy Pithany.

Na twarzy ciotki pojawił się pełen miłości uśmiech, którym zawsze witała Jannę.

— Wiem, że sama dasz sobie doskonale radę. Pracujesz pilnie i wytrwale. Jestem z ciebie bardzo zadowolona — odparła.

— Chciałam, byś zobaczyła nowy system komputerowy, który zainstalowaliśmy. Pozwoli to na szybszą obsługę gości, co będzie niezbędne, biorąc pod uwagę wielkość hotelu. Komputery znajdują się wszędzie: w pomieszczeniu dla sprzątaczek, dla chłopców dbających o parking, w restauracji. Są oczywiście niezbędne przy prowadzeniu rachunków. Jeśli jakiś gość zadzwoni

do recepcji, na ekranie komputerowym pojawi się imię i nazwisko oraz inne dane dotyczące osoby, która dzwoni.

— To bardzo sprytny pomysł. Nie wpadłabym na to.

— Samodzielnie szkoliłam personel. Nauczyłam ich nie tylko zwracać się do gości po imieniu, ale także uśmiechać się odpowiednio i pomagać we wszystkim.

— Słyszałam, że namówiłaś Georgesa Dumonta, by objął w Blue Grotto stanowisko konsjerża. Musiał zrezygnować z pracy w Paryżu. Nie myśl, że tego nie pochwalam, po prostu jestem zdania, iż wśród konsjerżów z naszych hoteli znalazłby się z pewnością ktoś bardziej w tym obeznany.

— Oni są oczywiście znakomici w tym, co robią. Dumont ma jednak dwie zalety: jest młody i ma wiele różnych ciekawych pomysłów. Stosuje komputery, by zapamiętać preferencje gości. Potrafi trzymać rękę na pulsie i kontrolować wszystko jednocześnie — odpowiedziała Janna.

— Rozumiem, że Blue Grotto będzie już znany, zanim zostanie otwarty. Widzę, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Janna przytaknęła dumnie.

— To duży hotel, ale nie straci przez to uroku. Będzie przytulny i każdy odwiedzający mile...

— Kochanie, Nick cię woła — przerwała jej Pithany.

Obie spojrzały na Nicka, który wołał w ich stronę:

— Telefon do ciebie!

Janna wstała i pobiegła wzdłuż basenu w kierunku domku gościnnego. To dziwne, pomyślała. Nikt w pracy nie miał numeru telefonu do domku gościnnego. Nawet ona go nie знаła. Coś było nie tak. A może coś się stało? Elektryk miał dzisiaj montować jakieś ważne urządzenia. Może nie powinna była wychodzić z pracy na zakupy. Wpadła do saloniku i spojrzawszy na Nicka spytała lekko zdyszana:

— Kto dzwoni?

Nick zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Janna czuła się tak, jakby ją dotykał. Nie trudno było się domyślić, że tak naprawdę nikt do niej nie dzwonił. Jego pełen zachwytu uśmiech onieśmielił ją do tego stopnia, że zaczerwieniła się lekko i stanęła w miejscu nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Wspaniały kostium. Rozumiem, że specjalnie dla mnie — zażartował, podchodząc do niej. Złapał ją w talii i mocno przyciągnął ku sobie.

Kilka godzin zakupów opłaciło się, pomyślała przez ułamek sekundy.

— Dziękuję — szepnęła patrząc mu prosto w oczy.

Nick położył dłonie na jej odsłoniętych plecach. Odczuła jego dotknięcie jak strumień lodowatej wody. Poprosił, by odwróciła się na chwilę do niego plecami. Janna wykonała zgrabny piruet na palcach i powróciła w jego ramiona.

— Jestem zachwycony. Wyglądasz niebiańsko... — szepnął jej do ucha. Ich usta spotkały się w długim, namiętym pocałunku.

— Wiesz, dlaczego lubię stroje kąpielowe? — spytał i zsunął palcem ramiączka kostiumu. Otwartą dłoń przesunął po jej szyi, a potem położył na piersi. Janna nie zdążyła się nawet zorientować, kiedy pocałunki przerodziły się w pieszczoty. — Łatwy jest dostęp do pięknego kobiecego ciała — powiedział.

Na pomoc, niebioso — powtarzała w myślach Janna. Była pewna, że nie wytrzyma dwóch tygodni w towarzystwie rodziny kosztem namiętych nocy z Nickiem.

— Ty łobuzie — powiedziała omdlewającym głosem Janna. — Co ja mam z tobą zrobić?

— Mam pomysł — odparł zachęcony.

Janna wybuchnęła śmiechem i delikatnie odsunęła Nicka. Wsunęła z powrotem kostium i powiedziała:

— Musimy wracać, zanim wszyscy się domyślą, co tutaj robimy. Nick grzecznie poszedł za nią, mruczając pod nosem:

— Warren na pewno marzy, aby zsunąć z Shadoe bikini. Problem w tym, że do tego potrzebna jest pewnego rodzaju współpraca. Zaproponowałem mu, by wpadł którejś nocy do mnie i ulokował się w drugiej sypialni. Dałbym mu wtedy kilka praktycznych wskazówek na naszym przykładzie.

— Słucham? — spytała z niedowierzaniem Janna. Mogła sobie wyobrazić, że którejś nocy, gdy już nie będzie mogła znieść samotności, wkradnie się do jego sypialni. Nie życzy sobie jednak, by jej brat podglądał ich z sąsiedniego pokoju.

— Tylko żartowałem. Umówiłem się z nim, że zostanie któregoś wieczoru do późna u mnie i wtedy omówimy treść reklamowego video-clipu.

Wszyscy siedzieli na tarasie przy stole, jakby czekając na Jannę i Nicka. Kuzynka Clary, Xavier, pomagała zawsze w prowadzeniu domu, gdy byli goście. Teraz razem z Clarą podawała

drinki. Nick spostrzegł, że Pithany kupuje jedynie takie wina jak La Vallette i Lachryma Vitis, żadnych win pochodzących z winiarni Bradfordów. Jensen usiadł koło Janny. Mimo iż lubił ją drażnić, wiedział, kiedy tego nie powinien czynić. By jej nie niepokoić, odważył się tylko na mały ruch pod stołem. Dotknął swoim kolaniem jej kolana. Janna uśmiechnęła się i odwzajemniła ten gest. Nick był więcej niż pewien, że Pithany coś zauważyła. Odwróciła jednak energicznie głowę i rozmawiała dalej z Shadoe.

— Rommi ma lekkie zatwardzenie — Audrey szepnęła do Nicka porozumiewawczo.

Nick uśmiechnął się, nic nie odpowiadając. Drażnił go matczyiny ton Audrey, kiedy mówiła o swoim psie, jak o małym dziecku. Shadoe także nie zyskała jego sympatii. Nie odpowiadał mu sposób, w jaki traktowała Chloe, jakby była najmądrzejszym dzieckiem na ziemi. Spostrzegł zakłopotany wzrok Janny, ale przez grzeczność nie przerywał rozmowy.

— Powiedz mi, Nicholasie... — kontynuowała Audrey.

— Proszę mówić mi po prostu Nick. Ta forma jest wygodniejsza.

— To równie nietypowe imię jak Janna — powiedziała Audrey, zerkając na Osgooda. — Pithany zaproponowała, bym dała córce imię rzymskiego bożka, Janusa. Miał podobno dwie głowy i legendy głoszą, że jedną patrzył do przodu, a drugą do tyłu.

— Spoglądanie w przeszłość, w której się żyło, i codzienny żywot w teraźniejszości — Shadoe wtrąciła głęboką metaforę, odnosząc ją do poprzedniego wcielenia Janny.

Nick uśmiechnął się w głębi duszy i pomyślał, że jego matka może wcale nie jest taka pomyłona, jak sądził. Taki wniosek wysnuł, słuchając niektórych rozmów w Falcon's Lair.

— Opowiedz mi coś o swoich ziomkach — powiedziała Audrey. Wszyscy skoncentrowali uwagę na Nicku. Wiedział, że i tak nikt z nich nie zrozumiałby życia, jakie wiedzie się w zachodnim Teksasie.

— Ma pani na myśli Amerykanów, których znam? No cóż, pochodzę z małego miasteczka Muleshoe w Teksasie.

— Takiego jak Pildowne Crossing? To także bardzo mała miejscina. Ma około pięciuset mieszkańców, nieprawdaż, Ellisie?

— Owszem, coś koło tego — odparł Osgood zadowolony, że Audrey o nim nie zapomniała.

Nick był pewien, że nawet Janna spostrzegłaby zasadnicze różnice między Muleshoe i Pildowne Crossing. Co prawda tylko raz zawitał do Anglii, ale nietrudno było wyrobić sobie pogląd, jak wyglądają tam małe miasteczka. Jadąc do Lyme Regis, mijał liczne wioski i mie-

ściny i nawet te najmniejsze były czyste i zadbane. I choć nie widział tam żadnych znaków, tablic czy innych napisów, jednak przesłanie tych małych społeczności zebranych wokół kilku domostw było oczywiste: intruzi niemile widziani. Każdy, kto zjawiał się tam na dłużej niż godzinę, zakłócał im spokój i monotonię.

— Czy seminaria podczas wystawy psów zainteresowały cię? — spytała Janna, zmieniając temat i ratując tym samym Nicka.

— W zasadzie okazały się całkiem pomocne — odparła Audrey, a Ellis jak zawsze jej przytaknął. Pithany, zdegustowana najwyraźniej tematem rozmowy, dopiła swoje wino. — Nawet zdołałam się przemóc i wycieram mojemu maleństwu pod ogonem. To bardzo ważne nie tylko z punktu widzenia higieny. Dawniej, gdy psy były jeszcze całkiem dzikie, zaznaczały swoje terytorium, opryskując je specjalną wydzieliną. Oczywiście Rommi jest dobrze wychowanym i cywilizowanym psem. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił — tłumaczyła Audrey.

Nick próbował wyobrazić sobie, jak piękna i szlachetna Audrey podnosi ogon swojemu pupilkowi i czyści mu odbyt. Bardzo smaczny temat, pomyślał, powstrzymał się jednak od złośliwych uwag. Według niego każdy pies, który ze złością w oczach gryzie i znęca się nad skórzanym paskiem, jest psychicznie niezrównoważony.

— Dopóki nie przyjechałem do Falcon's Lair, nie wiedziałem, jak wygląda prawdziwy maltańczyk — powiedział Nick i wziął małą Taxi na kolana. — Wspaniałe psy. Przypominają mi Chihuahuas.

— Chihuahuas?! — spytali z przerażeniem Warren i Shadoe.

— Taxi i Millicent w zasadzie nie, ale Rommi trochę jest podobny do Chihuahuas, które mieszkały w moim rodzinnym miasteczku Muleshoe. Razem z bratem, Codym, nazywaliśmy je Cha-wee-wees. Były psami obronnymi, nikt nie miał szans włamać się do mieszkania, którego pilnowały. Ale zarazem doprowadzały je do ruiny, gryzły wszystko, co popadło.

— Mój Rommi jest niegrzeczny i niszczy różne rzeczy, chcąc mnie w ten sposób ukarać za to, że go zostawiam samego w domu.

Nick nadal miał wątpliwości. Rommi nawet z wyglądu był zbyt podobny do Chihuahuas, by być rasowym maltańczykiem.

— Dowiedziałam się także, że spożywanie przez psy czekolady może okazać się dla nich śmiertelne w skutkach. Muszę pilnować Rommiego, to taki łakomczuch — westchnęła Audrey.

— Rozumiem, że powinnam schować swoje pudełko z czekoladkami Cadburys — powiedziała ironicznie Pithany, uśmiechając się porozumiewawczo do Nicka.

— Oprócz seminarium na temat niebezpieczeństw, jakie dla psów niesie ze sobą spożywanie czekolady, uczestniczyłam w wykładach na temat strasznych pcheł, które męczą zwierzęta — kontynuowała Audrey bez zastanowienia, czy kogoś to interesuje. — Rommi oczywiście nigdy, ale to nigdy, nie miał pcheł. Muszę być jednak bardzo ostrożna, bo chcę, by został ojcem.

— Chcesz, by pokrył jakąś sunię rasy maltańskiej? — spytała Shadoc pełna obaw, co się z tego urodzi.

— No, rozumie się, że nie teraz, nie zaraz. Znalezienie odpowiedniej partnerki zajmie przecież trochę czasu.

— A co pchły mają wspólnego z potomstwem Rommiego? — spytała ze zdziwieniem Janna.

— Ależ, kochanie — odpowiedziała Audrey czerwieniąc się — przecież wiesz, że różne choroby przenoszone są drogą płciową.

— Nie do uniknięcia w dzisiejszych czasach — skomentował to żartobliwie Nick, trącając Jannę kolanem.

— Masz w zupełności rację — odparła poważnie Audrey. — Każdy z nas powinien postępować w tych sprawach rozważnie i ostrożnie. Nie chciałabym, by ktokolwiek złapał coś niemilego...

— Myślę, że każdy z nas zdaje sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa — wtrącił się do rozmowy Warren. — Ale mówiłaś, mamo, o Rommim.

— Więc największym niebezpieczeństwem podczas aktu zapłodnienia jest możliwość przeniesienia pcheł drogą płciową.

— Chyba już czas przebrać się do kolacji — wtrącił zirytowany Warren i wstał.

— Racja — zgodziła się Audrey, zapominając o temacie rozmowy. — Ellis, chodź, musimy się pospieszyć.

Pithany podniosła się powoli z krzesła i przytłumionym głosem powiedziała:

— Udam się na mały odpoczynek. Bolą mnie nogi, za dużo dziś chodziłam. Na tarasie pozostali: Nick, Janna, Shadoc i Warren.

— Musisz wybaczyć mojej matce. Trochę jej się pomieszało... — szepnął Warren do Nicka.

— Ach, musiałbyś poznać moją matkę, to dopiero numer... Shadoc krzyknęła na widok Rommła spacerującego koło basenu.

— Czy to nie Rommel? On znowu ma coś w pysku! Co to jest tym razem?

— To wygląda jak zwinięta w rulon mapa — odparł Warren, przyglądając się psu. Warren z Nickiem gonili ponownie psa wokół palmy. Dopiero chwilę potem

Janna uzmysłowiła sobie, że Rommel ma w pysku szkic pani Laurel. Zapewne zostawiła otwarte drzwi do swojego apartamentu. Ten mały szperacz musiał zrobić tam niezły bałagan, pomyślała. Podbiegła do palmy i zawołała:

— Ciasteczko, ciasteczko.

Rommel natychmiast zareagował i przybliżył się do Janny. Ona energicznym ruchem wyrwała mu z pyska zwiniętą kartkę papieru. Pies, przestraszony, uciekł przez taras do domu. Wszyscy podbiegli do Janny z zaciekawieniem.

— Co to takiego? — spytał Warren.

— Nic ważnego — schowała rulon za plecy.

— Jak to nic ważnego? Dlaczego więc biegłaś za Rommlem, by to odzyskać? Czy zniszczył coś?

— Nie, jest w całości. Papier trochę mokry, ale wyschnie — odparła zdawkowo Janna. Spojrzała na brata. Nigdy nie potrafiła nic przed nim ukryć. Jego pełne zdumienia błękitne oczy zmusiły ją do wyjawienia prawdy.

— To szkic Laurel Hogel, który zrobiła na moje życzenie — powiedziała zawstydzona.

— Nie dałaś tego Pithany? Dlaczego to ukrywasz? — spytała Shadoe.

— Nie zechciałaby tego. Ta twarz nie jest twarzą Iana MacShane'a.

— Wyjechałaś z Londynu i nic nam nie opowiedziałaś o pani Hogel. Daję głowę, że jest oszustką — stwierdził Warren.

Janna unikała spojrzenia Nicka. Bała się jego reakcji. W końcu powiedziała mu, że pani Hogel nic nie naszkicowała.

— Nie. Jest miła i bardzo się starała. Niestety nie była w stanie narysować Iana.

— To dlaczego zachowałaś ten szkic? — pytał dociekliwie Warren.

— Nie miałam serca, tak bardzo się starała i była taka uprzejma... — odparła Janna.

— Powiedziała ci coś więcej o Ianie — stwierdziła bez wahania Shadoe.

— Tak — Janna obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy nie ma w pobliżu Pithany. — Porozmawiajmy na balkonie.

Cała czwórka przeszła na balkon w stylu wiktoriańskim z widokiem na ogród. Kolorowa markiza chroniła ich przed promieniami wieczornego słońca. Nick usiadł koło Janny. Żałowała,

że nie opowiedziała mu całej historii wcześniej, a przecież pomógł jej w skontaktowaniu się z władzami libijskimi.

— Szczerze mówiąc, samej trudno mi zrozumieć, jak Laurel to robi, ale coś w tym jest... ona widzi rzeczy, zdarzenia i ludzi jedynie na podstawie opisu. Powiedziała mi o Ianie to, co wiedziałam. Przeczytałam jej także jego raporty radiowe.

— Co ona ci powiedziała na jego temat? — ponowiła pytanie Shadoe.

— Powiedziała mi, że został zamordowany strzałem w skroń. Nie wie, kto to zrobił ani dlaczego.

— Na Boga, tylko nie mów tego Pithany — Nick jęknął z wrażenia. — Odnoszę wrażenie, że ta kobieta zrobiła sobie z ciebie jaja.

— Nie sądzę. Znała przezwisko Pithany, które nosiła podczas wojny. Znam je tylko ja i ciotka — odparła Janna.

— Może po prostu zgadła — dodał Nick.

— Powiedziała mi również, że miłość między Pithany i Ianem to miłość po wszystkie czasy, na wieki. Takiego określenia użył Ian w liście do Pithany. Ja jej nawet o tym nie wspomniałam.

— To mogła także odgadnąć — skomentował Warren.

— Dopóki nie odnajdziemy miejsca, w którym pochowane jest jego ciało, nie będziemy mieli pewności, czy żyje, czy nie. Nie dowiemy się także, jak zginął.

— Ja jej wierzę — wtrąciła nieoczekiwanie Shadoe.

— Nie wiem, co o tym sądzić — Warren kiwał z niedowierzaniem głową. — Jeśli to nie jest wizerunek Iana MacShane'a... chwileczkę... skąd ty wiesz, że to nie jest Ian? Przecież nigdy go nie widziałaś?!

Janna zrozumiała, że nie uniknie zaprezentowania szkicu Laurel. Nick o wszystkim się dowie. Miała swoje powody, by nic mu nie mówić o wizycie u pani Hogel. Nie chciała, by się dowiedział, że o nim myśli. Nie było jej obojętne, jakie ma o niej zdanie.

Powoli rozwinęła rulon. Trzymała go na kolanach, oczekując reakcji całej trójki, przede wszystkim obawiała się Nicka. Raz tylko zerknęła na rysunek. Znała go dokładnie, nieraz przyglądała się rysom twarzy na papierze. Na balkonie zapadło grobowe milczenie. Wszystkim zaparło dech w piersiach. Słyszalny był jedynie szum fal morskich uderzających w skały. Warren raz patrzył na szkic, raz na Nicka. Potem z niezrozumiałym grymasem na twarzy spojrzął na

Shadoe. Uśmiechała się spokojnie wpatrzona w rysunek. Nick wybuchnął nagle śmiechem i objął Jannę ramieniem.

— Myślę, że równie dobrze moglibyśmy im o nas powiedzieć, ale to mówi już chyba samo za siebie — powiedział rozbawiony.

Warren zaskoczony zerknął na siostrę, podczas gdy Shadoe przez cały czas przyglądała się narysowanej na papierze twarzy Nicka.

— Nick i ja... — zawahała się Janna. Nie wiedziała, jak ubrać w słowa swoją myśl — ...widujemy się często. Myślałam właśnie o nim w chwili, gdy Laurel szkicowała. Razem z Nickiem omawialiśmy dzień wcześniej sprawę kampanii reklamowej Blue Grotto i tak przez przypadek przyszedł mi na myśl... Najwidoczniej Laurel przeniosła na papier moje myśli.

— To tłumaczy, dlaczego narysowała Nicka zamiast Iana — powiedział Warren. Nick spojrzał Jannie prosto w oczy.

— Czytała w twoich myślach — szepnęła.

Shadoe pokręciła przecząco głową.

— Ale dlaczego miałyby szkicować go w kurtce pilotów RAF-u? — spytała, zaskakując wszystkich.

17.

Janna wraz z Shadoe udały się na górę do swoich pokoi. Musiały przebrać się do kolacji. Janna trzymała pod pachą rulon papieru. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że Laurel odgadła jej myśli i naszkicowała portret Nicka zamiast Iana. Jej zdolność przenikania wyobraźnią do uczuć innych ludzi zafascynowała Jannę, ale nie była w stanie rozwiązać jej smutku. Bardzo żałowała, że nie może przynieść ciotce Pithany prezentu, który uradowałby jej serce.

Janna przypomniała sobie opowieść ciotki o jej pierwszym spotkaniu z Ianem w ciemnym bunkrze. Jak właściwie wyglądał MacShane? Pithany nigdy go szczegółowo nie opisała. Powiedziała tylko, iż był wysokim i szczupłym Szkotem. Nie wiadomo, dlaczego Janna wyobrażała go sobie jako blondyna. Miała wiele wątpliwości, ale jedna sprawa wydawała jej się szczególnie zagadkowa. Czy będąc reporterem, Ian nosił kurtkę pilotów RAF-u, taką samą, jaką naszkicowała Laurel?

Shadoe przez cały czas milczała, pozwalając Jannie zebrać myśli. Nie było to typowe dla niej zachowanie. Zawsze miała dużo do powiedzenia i objaśnienia. Nie rozmawiały ze sobą sam na sam od czasu, gdy Janna powiedziała jej o zdradzie Collisa.

— Bardzo mi przykro, że nie skontaktowałam się z tobą wcześniej. Byłam taka zajęta Blue Grotto, zorganizowaniem wszystkiego...

Shadoe przystanąła, spojrzała na przyjaciółkę i szepnęła:

— Rozumiem, nawiązujesz bliższy kontakt z Nickiem.

— Być może — odparła Janna. Sama nie była pewna, czy ten bliższy kontakt nie ogranicza się wyłącznie do seksu. — Nie potrafię ci wytłumaczyć, co się ze mną stało w chwili, gdy zamieszkałam na Malcie. Byłam załamana testamentem ojca, no i oczywiście Collisem, choć może się do tego nie przyznawałam. Gdy pojechałam na kilka dni do Londynu, zaczęłam się zastanawiać, jak mogłam tam żyć w taki sposób. Kiedy wróciłam do Falcon's Lair, wydawało mi się, że... — przerwała na chwilę, by złapać oddech — ...to się przydarzyło komuś innemu. Nie potrafię ci: tego wyjaśnić... To boli, gdy myślę o ojcu czy Collisie, choć zdarza się coraz rzadziej.

— Podejrzewam, że twoje myśli zaprzęta ktoś inny, Nick.

— Tak — odparła Janna. — Podobam mu się.

— Jesteś pewna, że nic ponadto was nie łączy? — Shadoe otworzyła drzwi do swojego pokoju.

— Mam nadzieję. Już raz wydawało mi się, że kocham kogoś, i spójrz, co z tego wynikło. Jedno jest dla mnie pewne, nie powinnam się teraz zakochiwać.

— Dlaczego? — spytała zaskoczona Shadoe.

— W świetle prawa jestem nadal żoną Collisa, nie pamiętasz? Proces rozwodowy potrwa jeszcze około pół roku. A poza tym, Nick nie jest odpowiednim mężczyzną dla mnie. Z jego wyglądem będzie ciągle otoczony przez kobiety, tak jak Collis. Zresztą nadal kocha swoją zmarłą przed laty żonę.

— Uważam, że to trochę niesprawiedliwe w stosunku do Nicka. To nie jego wina, że jest przystojnym i ciekawym mężczyzną. Zresztą możesz się mylić. Skąd wiesz, czy nie jest bardziej zaangażowany w wasz związek od ciebie? — Shadoe nie czekając na odpowiedź Janny, zawołała do niani, która właśnie zabierała się do mycia Chloe: — Proszę uważać, by mydło nie dostało się jej do oczek!

Janna sama nie była pewna, co myśleć o Nicku i ich spotkaniach. Zaprzętał jej uwagę od chwili, gdy w ciemnym salonie wziął ją za włamywacza i o mało nie skrzył jej karku. Shadoe postąpiła według swego niezmiennego zwyczaju, to znaczy wzbudziła w Jannie wątpliwości, ale nie zdradziła swojej opinii. Janna zawsze musiała ją sama o wszystko pytać, by dowiedzieć się, co na ten czy inny temat sądzi.

Shadoe sięgnęła do komody i wyjęła reklamową torbę swojego butiku, który zamierzała prowadzić w hotelu Blue Grotto. Jannie bardzo podobał się pomysł otwarcia ekskluzywnego sklepu z akcesoriami kąpielowymi. Zdołała namówić także Warrena, by nakręcił film wideo, reklamujący nowy hotel. W głębi duszy miała nadzieję, że angażując brata i Shadoe we wspólne przedsięwzięcie, zdoła ich bardziej do siebie zbliżyć. Musiała tylko przekonać przyjaciółkę, że Warren nie jest łajdakiem, jak inni mężczyźni, i że mu naprawdę na niej zależy. Tych dwoje nie powinno żyć dłużej w rozłące.

— Przywiozłam to dla ciebie — powiedziała Shadoe, wręczając Jannie torbę. — Są w niej wzory niektórych strojów, które zamierzam szyć w przyszłości i sprzedawać w swoich butikach.

— Dziękuję, to bardzo miła niespodzianka.

Janna zerknęła do środka. Była prawie pewna, iż Shadoe podarowała jej tę seksowną bieliznę z jedwabiu i koronek tylko dlatego, że miała romans z Nickiem. Zastanawiała się, co Shadoe myśli o nim. Tym razem nie zabrakło jej odwagi, by ją o to spytać.

— Jakie jest twoje zdanie o Jensenie?

— Lubię go. Nie jest zarozumiały, to ważne.

Janna wyczuła, że ostatnie zdanie odnosiło się również do Collisa, lecz w odwrotnym znaczeniu. Shadoe nigdy bezpośrednio go nie krytykowała, choć nietrudno było zauważyć, że się wzajemnie nie lubią.

— Przystudiowałam wykres astrologiczny Nicka — mówiła dalej. — Jego planetą jest Saturn, który należy do znaku Lwa. Osoby spod tego znaku wykazują w naturalny sposób cechy przywódcze.

Janna tolerowała dziwactwa przyjaciółki, choć niewątpliwie do najbardziej uciążliwych należała magia i wiara w karty. Jedną z astrologicznych teorii Shadoe mówiła, że nad Janną czuwa Strzelec należący do Saturna i że jest ona wędrownikiem w kolejnych wcieleniach, poznającym najrozmaitsze kultury świata.

— A co wróżby mówią o moim bracie? — spytała Janna, chcąc zacząć rozmowę na jego temat.

— On jest spod znaku Koziorożca. Przez całe życie był człowiekiem nienagannym i prawnym. Kimś, na kim można polegać i komu można zaufać, ale... powinien silniej rozwinąć w sobie sferę indywidualności.

— Warren zmienił się od czasu, gdy spotykaliście się przed laty — wtrąciła Janna.

— Tak. Jest wreszcie sobą. Jest człowiekiem, którego nasz kraj potrzebuje...

— A ty? Czy nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie?

— Nasze znaki zodiaku nie pasują do siebie. Karty Tarota to potwierdzają. Ostatnim razem, kiedy nie posłuchałam ich rad... — głos Shadoe załamał się.

— Karty nie mają z tym nic wspólnego. Mój ojciec... Reginald zabronił mi spotykać się z tobą. Teraz wszystko się zmieniło. Daj mu jeszcze jedną szansę!

— Jeśli nadejdzie odpowiednia chwila i pojawi się jakiś znak.

Janna nie chciała się spierać. Za bardzo ceniła sobie przyjaźń z Shadoe. Najwidoczniej Warrenowi nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na łaskawy znak z niebios.

Nick i Warren siedzieli w saloniku domku gościnnego ubrani do kolacji. Rozmawiali o filmie reklamowym. Zdjęcia do niego miały się rozpocząć następnego ranka.

— Staraj się zachowywać naturalnie — Nick dawał wskazówki. — Udawaj, że mówisz to do starego, dobrego przyjaciela, że opowiadasz mu o bajecznym miejscu, które ostatnio odwiedziłeś.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — odparł Warren. — Muszę ci jednak wyznać, że nie czuję się najlepiej przed kamerą.

— Trudno mi w to uwierzyć. Wydajesz się bardzo zrelaksowany, a co ważniejsze, jesteś przekonujący. Tego oczekuje publiczność, chce kogoś, komu może zaufać.

— Wiarygodny? Przekonujący? — powątpiewał Warren. — Szkoda, że nie wszyscy tak mnie odbierają.

— Masz na myśli Shadoe? — odgadł Nick. — Czy wasze znaki nie zgadzają się ze sobą?

— Jeszcze gorzej — stwierdził Warren.

Nick obawiał się, że niechcący poruszył drażliwy temat, może zbyt osobisty. Lubił brata Janny, choć prawie się nie znali. Życie uczuciowe Warrena nie powinno mnie interesować i vice versa, pomyślał.

— Przed laty mieliśmy z Shadoc z zamiarem się pobrać. Mój ojciec twierdził jednak, że byłoby to wielki błąd z mojej strony i zabronił mi... Byłem wtedy bardzo uległy i posłuchałem go, czego do dziś gorzko żałuję.

— Shadoc ci nie wybaczyła?

— Właściwie... okazała się bardzo wyrozumiała — odparł Warren. — Od początku naszego związku powtarzała, że karty Tarota nie wróżą nam nic dobrego. Nie obwiniała mnie.

— Dobre wytłumaczenie na wszystko — powiedział zirytowany Nick.

— Nigdy jej argumentu nie wykorzystywałem jako wytłumaczenia. Nie obwiniam też ojca. Sam mogłem powziąć odpowiednią decyzję. Nikogo nie obwiniam, jedynie siebie.

Gorzki ton słów, które wypowiedział Warren, zmałował pogodną atmosferę przyjemnego, ciepłego wieczoru. Nickowi było naprawdę przykro. Gdy po raz pierwszy spotkał młodego Athertona, przedstawionego mu jako lorda Lyforthu, wydawało mu się, że jest zarozumiałym snobem o wielkich aspiracjach. Teraz dopiero poznawał go bliżej. Okazał się ciekawym człowiekiem, którego warto mieć w gronie przyjaciół. Był odpowiedzialny, dotrzymywał danego słowa i pomagał swojej rodzinie, jak tylko potrafił.

— Shadoc twierdzi, że nie jesteśmy sobie przeznaczeni. Że żyliśmy razem w innych wcieleniach i zawsze polityka nas rozdzielała.

— Ale ona pieprzy! — wykrzyknął zdumiony Nick.

Warren był zaskoczony. Zrobił dziwną minę, którą bez trudu można było rozszyfrować. Nie podobał mu się sposób, w jaki Nick wyraził swój pogląd.

— Ja wiem, że jest kobietą interesu, że odnosi sukcesy w pracy. Ale ta gadanina o poprzednich wcieleniach jest niepoważna, nie sądzisz? — mówił dalej Nick.

— Przyzwyczaiałem się do tego. Teraz zaczynam nawet sam w to wierzyć. Kiedyś Shadoc została zahipnotyzowana i odkryła, że żyliśmy razem w starożytnej Grecji. Ona była moją niewolnicą.

— Niewolnicą? — spytał niepewnym głosem Nick.

— Trwało to długo, zanim odkryliśmy, o co w tym wszystkim chodzi. Podczas hipnozy bowiem posługiwała się starożytną greką, która nie jest już w obiegu. Dopiero pewien profesor z Oxfordu przetłumaczył nam słowa, które wypowiedziała.

— Niewiarygodne — szepnął Nick. Dręczyło go to pełne grozy uczucie, które pojawiło się po raz pierwszy, gdy zobaczył szkic pani Laurel.

— Któregoś razu Shadoe nawet płakała, ciągle będąc jeszcze w stanie uśpienia. Opowiedziała mi później, że oddałem ją innemu mężczyźnie w zamian za prestiżowe stanowisko.

— Gdzie, kiedy? — spytał zirytowany Nick.

— Żyliśmy razem w średniowieczu — Warren odpowiedział z wahaniem.

Jeszcze tego brakowało — średniowiecze! Nick żałował, że tak niewiele wie o tamtych czasach. Zapamiętał tylko zdanie pewnego profesora, który stwierdził na jednym z wykładów: „tysiąc lat bez kąpieli w wannie!”.

— Mów dalej — prosił Nick. — Co się wydarzyło później?

— Bardzo kochałem Shadoe, lecz ostatecznie ożeniłem się z inną kobietą, by zyskać sympatię króla, który mi ją wyznaczył.

Nick zaczął żałować tego, co powiedział o Shadoe i co o niej myślał. Była bardzo wrażliwą, inteligentną, ale skomplikowaną kobietą. Jeśli naprawdę w to wszystko wierzyła, Warren miał marne szanse, by zmienić jej decyzję.

— Podczas rewolucji francuskiej... — mówił dalej.

— Tam też byliście... — wtrącił Nick. Nie brał zbyt serio tego, co powiedziała mu Janna o ich wspólnej przeszłości w innym wcieleniu.

— Shadoe wierzy, że byłem Robespierre'em.

— Tym, który wprowadził okrutny terror? — Nick nie był w stanie pozbierać myśli. Niewiele wiedział także na ten temat, ale postać Robespierre'a utkwiała mu akurat w pamięci. Warren w niczym nie przypominał mu tej krwiożerczej postaci. Jeśli jednak tak było, to jest on winien uśmiercenia nie tylko Shadoe, ale także Janny i Nicka. Oznaczałoby to, iż Maria Antonina też powinna być w pobliżu, myślał żartobliwie. Na tę myśl prawie wybuchnął śmiechem. Jeśli Maria Antonina miałaby wrócić w innym wcieleniu... to może nią być... Audrey! — Na miejscu Shadoe nie zbliżałbym się do ciebie — zażartował Nick.

— Shadoe uważa, że ludzie są w każdym wcieleniu inni, że się zmieniają. Nie boi się, że ją zabiję, lecz tego, że ją opuszczę — powiedział poważnym tonem Warren.

— Czy nie ma sposobu, by zmieniła zdanie?

— Cały czas mam nadzieję. Czeka, aż karty coś jej wskażą. Chce mieć szczęśliwe życie rodzinne, to dla niej najistotniejsze.

Janna opuściła Shadoe i zeszła piętro niżej. W holu bawiły się Millicent i Taxi. Łatwo było się domyślić, gdzie był Rommi. Prawdopodobnie jadł wraz z Audrey jej ulubione kruche ciasteczka.

Przechodząc obok pokoju Pithany, zatrzymała się. Powróciły wyrzuty sumienia. Może powinna pokazać ciotce szkic i opowiedzieć jej o pani Hogel. Obiecała sobie, że nie będzie niepotrzebnie drażnić Pithany nie sprawdzonymi opowieściami, podczas gdy prawda była trudna do wykrycia. Jednak ciekawość zwyciężyła. Zapukała do drzwi. Pithany prawie natychmiast zaprosiła ją do środka.

— Podoba mi się twój nowy strój kąpielowy — powiedziała ciotka uśmiechając się — ale już czas, byś przebrała się do kolacji. Nie chcesz chyba, byśmy czekali na ciebie przy stole.

— Wpadłam dosłownie na jedną sekundę. Chciałam się ciebie spytać, jak wyglądał Ian MacShane?

— Miał ciemne włosy i niebieskie oczy. Był raczej wysoki, dobrze zbudowany. Dlaczego pytasz?

— Tak tylko, z ciekawości — odparła Janna. — Czy Nick choć trochę go przypomina?

Pithany podniosła się i podeszła do okna. Patrzyła na huśtawkę w ogrodzie.

— Tak — szepnęła.

— Trochę?

Pithany skinęła głową. Janna czuła, jak jej serce bije coraz szybciej.

— Tylko trochę? — pytała dalej Janna.

Pithany odwróciła się do niej i patrząc jej prosto w oczy, odparła:

— Gdy widziałam go po raz ostatni, miał dwadzieścia sześć lat. Nick jest teraz starszy od niego około jedenastu lat... — pomyślała Janna.

— Racja. Ian był młodszy od Nicka, gdy umierał. Ale czy poza tą różnicą są jakieś szczególne podobieństwa?

— Nick jest sobowtórem Iana...

Serce Janny zamarło. To, czego się spodziewała, okazało się prawdą. Takie podobieństwo... Laurel Hogel nie pomyliła się. Naszkicowała rzeczywiście Iana. Nie myliła się więc także co do tego, jak zginął MacShane.

Ciotka Pithany objęła ramieniem Janę.

— Nie mówiłam ci, bo bałam się, że nie weźmiesz tego na poważnie. Zrobiłabym z siebie...

— Ależ, ciociu! Nic bym sobie złego nie pomyślała, daję słowo. Jesteś mi tak droga, że wszystko, co mówisz, jest dla mnie bardzo istotne. Dopiero teraz, gdy przejęłam od ciebie hote-

le, przekonałam się, jak ciężko pracowałaś przez całe życie. Musiało być ci niezmiernie trudno. Nie mogę wprost uwierzyć, że sama osiągnęłaś tak wiele.

— To było moim życiem — powiedziała. — Ale, jak sama wiesz, jestem bardzo sentymentalna. Tę posiadłość nazwałam na cześć Iana Falcon's Lair. Specjalnie tak usytuowałam tę huśtawkę, by patrzeć na otwarte morze. Stąd widzę bezkresne głębiny, które pochłonięły mojego Iana. Tak naprawdę, wydaje mi się czasem, że on żyje tam gdzieś, w morzu, daleko. Czasami z nim nawet rozmawiam. To, co mówię, jest niemądre... wybacz.

Janna przytuliła Pithany do siebie. Miała łzy w oczach. Po chwili sięgnęła po szkic i rozwinęła go przed ciotką.

— Mój Boże! — Pithany zaczęła płakać. — To ulubiona kurtka Iana, pilotka RAF-u. Dziecko, skąd ty to masz?

— Pewna artystka zrobiła to dla mnie. Byłam w szoku, gdy zobaczyłam tę twarz. Portret jest tak podobny do Nicka. Myślałam, że to jakaś pomyłka, i dlatego nie pokazałam ci tego szkicu wcześniej. Jak wyjaśnisz to podobieństwo?

— Nie mam pojęcia. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Nicka. Wynajęłam detektywa, który sprawdził jego rodzinę. Nie ma jednak wśród nich żadnego przodka ze Szkocji — odparła Pithany wpatrzona w rysunek.

— Ale to musi dać się jakoś wyjaśnić — wtrąciła Janna.

— Niekoniecznie. Niektóre rzeczy pozostają tajemnicą na zawsze — szepnęła Pithany ocierając łzy wzruszenia. Była tak spokojna, czuła i pełna wyrozumiałości w stosunku do życia. — Podczas wojny było wiele dni, kiedy człowiek stykał się bezpośrednio ze śmiercią. Pewnego razu wybrałam się do Mosty do przyjaciół. Sądziłam, że choć przez jeden dzień odpocznę od nalotów. To była niedziela i zebraliśmy się wszyscy w kościele św. Marii. Podczas mszy rozległo się nagle wycie syren. Ksiądz przerwał, lecz nikt nie ruszał się z miejsca w nadziei, że Niemcy oszczędzą to święte miejsce. Jednak wkrótce potem spadła pierwsza bomba, a za nią kolejne. Wszyscy gdzieś się ukryli, a ja stałam jak skamieniała. Byłam obezwładniona złością i zarazem bezradnością. Nagle jedna z bomb spadła prosto na ołtarz, ale nie wybuchła. Stałam tak w obliczu śmierci, patrząc na ten kawałek metalu. I stał się cud. Ona nie wybuchła. Byłam przekonana, że to znak od Boga, iż jest razem z nami. Wtedy wiedziałam już, że Niemcy nie zwyciężą i nie zdobędą Malty.

— Miałaś rację. Nie zdobyli jej — wtrąciła Janna.

— Pozostawało przede mną jeszcze tyle ciężkich dni, ale wypełniała mnie nadzieja. Niektórych spraw nie da się wyjaśnić do końca. Pomyślałam sobie, że Bóg zesłał Nicka na Malte, by zastąpił mi Iana, by był jakby moim synem...

Jak syn? — pomyślała zaskoczona Janna. Po chwili zaczęła wszystko rozumieć. Pithany tak bardzo chciała mieć dzieci. Dlatego z wielką troską współwychowywała z Audrey Warrena i Janne. Nicka darzyła zaufaniem i miłością, ponieważ przypominał jej ukochanego. Dopiero teraz Janna pojęła, skąd wzięła się ta bezgraniczna ufność ciotki do człowieka, którego tak mało знаła.

— Wiesz, myślę, że Nick zjawił się tu dla ciebie — szepnęła Pithany.

— Dla mnie? — Janna poczuła rumieniec na twarzy. Czyżby ciotka wiedziała o ich romansie? Była spostrzegawcza i na pewno się czegoś domyślała.

— Jak się tak głębiej zastanowię, to twoje życie jest trochę podobne do mojego. Czasami aż za bardzo przypominasz mi mnie samą z lat młodości.

Kiedy Janna zjawiała się w jadalni, jedzono właśnie galaretkę — Nick nawet jej nie tknął — i dyskutowano o lokalizacji butiku dla psów, który Audrey zamierzała otworzyć. Jensen tryaskał nowymi pomysłami: specjalne dietetyczne jogurty dla szczeniaków, kość o smaku landrynkowym, metalowe buty, których nie można pogryźć, no i naturalnie środek na wiatry o nazwie „powiew psiej ulgi”.

Ciotka Pithany uśmiechała się zycziwie, widząc, jak bardzo jej siostra przywiązała się do nowego pomysłu. Janna obserwowała z uwagą jej twarz. Po ostatniej rozmowie z nią wiele zrozumiała. Nigdy wcześniej nie przypuszczała, że we wspomnieniach ciotki kryje się tyle cierpienia i udręki starzejącego się człowieka, który bezradnie spoglądając w przeszłość, widzi przesuwające się nieuchronnie wskazówki wielkiego zegara. Zdawało się, że jedynym jasnym punktem mrocznej historii jej życia była krótka, ale jakże głęboka zarazem miłość do Iana. Ta miłość nie utraciła swej siły i jakby kpiąc ze śmierci trwała nadal, nieśmiertelna, w pamięci Pithany. Janna miała w tej chwili tylko jedno pragnienie. Chciała, by los oszczędził tej dzielnej kobiecie wszelkich zbędnych cierpień. Była gotowa wziąć je wszystkie na siebie. Już wkrótce Nick zakończy kontrakt na Malcie i odjedzie. Czy na zawsze? Czy tak jak Ian MacShane? Jeśli ta strata miała w czymkolwiek pomóc ciotce Pithany, Janna zniesie ją z podniesionym czołem... choć z drugiej strony... myśl, że mogła już nigdy więcej nie zobaczyć Nicka, z każdym dniem stawała się coraz cięższa i trudniejsza do zaakceptowania. Janna wiedziała, że pewnego dnia przyjdzie jej spojrzeć prawdzie w oczy. Bez względu na to, jak daleką drogę przeszli wspólnie,

niezależnie od fizycznej miłości, która dostarczała im tylu upojnych wrażeń, miłość do Amandy Jane zawsze stała pomiędzy nimi, jak wysoki mur porośnięty kolczastą różą. Na nocnym stoliku Nicka wciąż stała fotografia Amandy. Kiedy kochali się, ona pozostawała niemym świadkiem ich rozkoszy.

Nie wolno ci się zakochać, nie pozwól, by fantazje ciotki Pithany stały się twoimi fantazjami — upominała samą siebie w myślach. Powinna skoncentrować uwagę na własnych realnych problemach. Collis, rozpadające się małżeństwo — tym musi się zająć. Pomimo że wciąż czuła głęboki uraz do męża, jakaś część jej osobowości wciąż pragnęła, by wrócił do niej, ukląkł i poprosił o przebaczenie. Tymczasem przysyłał jej prezenty. Zawsze uważał, że w życiu można wszystko kupić, uczucia także. Doprawdy, trudno było uwierzyć, że mogła brać tę małżeńską farsę za prawdziwą miłość.

— Janna znalazła wspaniałe imię dla tego wielkiego gipsowego psa, którego zamierzasz postawić przed sklepem — głos Nicka wyrwał Jannę z zamyślenia.

— Fido — odparła automatycznie — jak fidus. Po łacinie znaczy wierny.

— Cudownie! — wykrzyknęła rozpromieniona Audrey. — Najwierniejszy przyjaciel człowieka, tak jak Rommie.

Janna wcale nie uważała, by Rommie należał do szczególnie wiernych przyjaciół. Kiedy ubierała się dzisiejszego ranka, słyszała, jak skomlał pod drzwiami domku gościnnego, próbując przedostać się do Nicka. Dopiero zazdrosna Taxi i Millicent odgoniły go od drzwi. Von Rommel bardzo lubił Nicka. Jensen tłumaczył właśnie Audrey, iż Psia Buda jest doskonałą nazwą dla jej nowego sklepu — łatwo zapada w pamięć, a ponadto doskonale oddaje istotę całego przedsięwzięcia. Dobra nazwa dla sklepu lub firmy oznacza praktycznie połowę sukcesu. Na przykład koncern Imperial Cola, wchodząc na rynki azjatyckie, liczył, że jego znana w całym świecie nazwa zapewni klientów pod każdą szerokością geograficzną. Nikt nie sprawdził, że fonetycznie *Em per al* znaczy po chińsku „zjedz starego dorsza”. Ta historia rozbawiła towarzystwo. Kiedy z ożywieniem komentowali różne podobne przypadki, Janna w myślach modliła się, by ciotka Pithany jakimkolwiek sposobem zatrzymała Nicka na Malcie.

Po obiedzie Janna została w bibliotece na dole, by przeanalizować wydruki komputera. Miała bardzo mało czasu, by zatwierdzić ostatecznie plan dziennych zajęć personelu hotelowego. U jej stóp Taxi zajadle walczyła z gumową kością. Janna nie mogła się skupić. Zastanawiała się, co robi Nick, czy jest z Warrenem w domku gościnnym? W końcu doszła do przekonania, że może potrzebuje jej pomocy... wszystko jedno przy czym... po prostu dobrze by było,

gdyby go odnalazła. Nie chciała przyznać się przed sobą, że za wszelką cenę pragnęła go zobaczyć. Kiedy otworzyła drzwi do holu, zobaczyła, jak Nick wchodzi po schodach na górę. Czy to nie cudowne! — pomyślała szczęśliwa. Szukał jej, szedł do jej pokoju... Janna zamknęła cichutko drzwi, usiadła przy biurku i czekała z napięciem. Minęło kilka minut, dość czasu, by stwierdzić, że nie ma jej w pokoju, zejść na dół i zajrzeć do biblioteki. Janna ponownie podeszła do drzwi, uchyliła je i zaraz zamknęła speszona. Zobaczyła, jak Nick wchodzi do pokoju Shadoe.

— Chwileczkę — głos Shadoe dobiegał z pokoju dziecinnego. — Właśnie czytam Chloe bajkę.

Nick oparł się o futrynę drzwi. Z jedną ręką w kieszeni i z przymkniętymi powiekami wysłuchiwał wraz z Chloe bajki o pewnej nieszczęśliwej księżniczce z Krainy Czekoladowego Kremu. Shadoe pocałowała dziecko na dobranoc, po czym przysłała do Nicka. Usiedli w małym saloniku naprzeciwko siebie.

— Czy chcesz, bym powróżyła ci z kart? — zażartowała.

— Nie — odparł bardzo poważnym tonem. — Chciałem porozmawiać z tobą o Warrenie.

Shadoe sięgnęła po talię do Tarota i zaczęła powoli tasować karty.

— Tu nie ma o czym dyskutować. Jesteśmy przyjaciółmi. To wszystko.

Coś w zachowaniu Shadoe przypominało Nickowi jego matkę, może to nieobecne spojrzenie, jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje. Z drugiej strony stanowiła przecież całkowite jej przeciwieństwo, była energiczna, pracowita, pełna nowych, zaskakujących pomysłów. Warren zdradził mu kiedyś, że dzieciństwo Shadoe przypominało nie kończące się pasmo upokorzeń i nieszczęść. Z tego powodu Nick czuł silne pokrewieństwo losu, które łączyło go z tą niezwykle kobietą. Oboje błakali się przez życie, rozpaczliwie poszukując miłości.

— Jakies piętnaście lat temu nasza przyjaźń przerodziła się w coś więcej — powiedziała — ale nic z tego nie wyszło. — Nick dosłyszał w jej głosie skrywaną nutę goryczy. — Nic nie wskazuje na to, by od tego czasu cokolwiek się zmieniło.

Po rozmowie z Warrenem Nick doszedł do przekonania, że w przypadku Shadoe wszelkie logiczne i racjonalne argumenty zawodzą.

W sypialni rozległ się płacz dziecka. Shadoe poderwała się z miejsca.

— Wybacz mi, ale akurat dzisiaj niania ma wychodne.

Kiedy uspokajała Chloe, Nick rozejrzał się po pokoju. Jego plan wymagał pewnej finezji, tym bardziej że nie miał zielonego pojęcia o Tarocie. Kiedy Shadoe wróciła, powiedział nieoczekiwanie:

— Moja praprapraprababka — Nick miał nadzieję, że cofnął się wystarczająco daleko w czasie — była czarownicą.

— Doprawdy? — ton, z jakim to powiedziała, wyrażał coś więcej niż tylko powątpiewanie. Shadoe, pomimo swych nietypowych zainteresowań, należała do bardzo inteligentnych i bystrych kobiet. Nick miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia zdoła ją przechytryć.

— Naprawdę — odparł z całą powagą, na jaką było go stać. — Została spalona w Salem. — Nick wkraczał na niepewny grunt. Jego wiedza w tym zakresie ograniczała się jedynie do opowieści, które słyszał z ust matki, gdy ta chciała postraszyć jego lub brata w dzieciństwie.

— To musiało być straszne dla twojej rodziny — głos Shadoe zabrzmiał jakby przyjaźniej.

Nick przytaknął ze smutną miną. W ogóle nie znał rodziny ojca. Nawet jego samego niewiele pamiętał, z wyjątkiem brązowych oczu i wiecznie nie uładzonych włosów. Wątpliwe było jednak, by jego dziadkowie, których również nie znał, szczycili się faktem posiadania w rodzinie czarownicy, i do tego takiej, którą spalono.

— Pozwól, że ci powrózę — sięgnął po talię Tarota. — Wybierz jedną kartę.

— Tylko jedną?

Cholera, powinienem był dokładnie wypytać Warrena, pomyślał. Aby ukryć zmieszanie, zastosował stary chwyt, szeroki, rozbijający uśmiech, który mógł mu zapewnić błyskawiczną karierę filmową.

— To tradycyjna metoda wróżb, przechowywana w rodzinie jako tajemnica.

Spojrzała na niego z wahaniem, ale wybrała w końcu jedną kartę. Położyła na stole dziesiątkę karo. Niech to szlag, pomyślał Nick. Wyraźnie nie miał szczęścia. Gdyby chociaż jakaś figura, na przykład podobna do Warrena.

— To wygląda... wygląda... — Nick pochylił się nad stołem i marszcząc czoło studiował kartę. — To wygląda na bardzo udany związek, który czeka cię w niedalekiej przyszłości...

Shadoe z niedowierzaniem wpatrywała się w kartę.

— To niesamowite, nigdy jeszcze nie wyciągnęłam dziesiątki karo.

— To oznacza wielką zmianę w twoim życiu. Tarot nie kłamie — dodał na wszelki wypadek.

— Bardzo możliwe — zgodziła się. — Ale trzeba koniecznie wyłożyć resztę kart, aby się upewnić.

— O co ci chodzi? — nachylił się w jej stronę. — Chcesz tej zmiany, czy nie?

— Naturalnie.

— To dlaczego nie pójdziesz do Warrena i nie powiesz, co ci wywróżyłem?

— Nie mogę przecież zostawić Chloe...

— Zostanę przy niej. Zawołam cię, jeśli się obudzi.

— Obiecujesz? Jest bardzo wrażliwa. Jeśli obudzi się i zobaczy, że nikogo nie ma, może się przerazić...

— Nie ruszę się z miejsca jak głaz. Shadoc zebrała talię.

— Zanim pójde, wybierz jedną kartę. Teraz moja kolej.

Janna przeglądała się w lustrze. Miała na sobie czarną halkę, którą dostała od Shadoc wraz z całą torbą innych promocyjnych towarów z butiku przyjaciółki.

— Całkiem niezłe, co? — powiedziała do Taxi. — Ale nie dla Nicka Jensena... Słyszając znajome imię, pies zamerdał ogonem. Janna zdjęła halkę i rzuciła ją na łóżko.

— Czy ja zwariowałam? Nick nie różni się wcale od Collisa. Na pewno dostał od Shadoc zdecydowaną odprawę. — Zdecydowana, by zapomnieć o Nicku, Janna zaczęła przeglądać bieliznę, podziwiając smak przyjaciółki. Jedwabne figi, stanik rozpinany z przodu, jednoczęściowy kostium kąpielowy... Z rosnącym zaciekawieniem rozpakowywała kolejne paczki. W końcu znalazła cudowne bikini bajecznego koloru, coś na pograniczu turkusowego i soczystej zieleni. Szybko przebrała się i z satysfakcją stwierdziła, że w bikini jej nogi wyglądają wyjątkowo zgrabnie.

— Do diabła z Nickiem Jensenem — roześmiała się. — Nie potrzebuję go.

W tym momencie usłyszała ciche pukanie do drzwi. W popłochu zaczęła pakować porozrzucone części garderoby, potem nałożyła szlafrok i otworzyła. W progu stał Nick Jensen we własnej osobie. Uśmiechał się bezczelnie, w ten sam sposób jak wtedy, gdy namówił ją do spróbowania ognistej chili. Nie odpowiedziała na jego głupkowaty uśmiech. Na pewno Shadoc wyrzuciła go z pokoju i teraz przyszedł do niej szukać pocieszenia.

— Czy wiesz, jak zmienić dziecku pieluszki? — spytał. Janna pomyślała, że znów kpi z niej.

— Naturalnie. Pomagałam Sha... Nick wziął ją za rękę.

— To chodź ze mną. Chloe znów płacze.

— Gdzie jest Shadoe?

— U twojego brata. Mam opiekować się dzieckiem.

— Żartujesz — Janna poczuła olbrzymią ulgę. A więc Nick nie poszedł do Shadoe, by się z nią przespać. — Jak zdołałeś ją namówić, by poszła do niego?

— Wywróżyłem to z kart.

Zeszli na dół. Janna na palcach wślizgnęła się do ciemnego pokoju małej. Chloe spokojnie spała, a jej pieluszki były zupełnie suche.

— Chloe wcale nie ma mokro — powiedziała, wróciwszy do saloniku. Dwuznaczny, szelmowski uśmiech na twarzy Nicka wystarczył za odpowiedź.

— Nick, słuchaj, uzgodniliśmy...

— Nigdy nic nie wiadomo — odparł, obejmując ją czule. Sposób, w jaki patrzył na nią, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego zamiarów.

— Na górze jest Audrey. Doktor Osgood poszedł dać jej lekarstwo, gdyż bardzo często cierpi na bezsenność.

— Jedyne lekarstwo, jakie Ellis w tej chwili aplikuje Audrey, to gorące uściski.

— Ty świntuchu! — roześmiała się, odpychając od siebie jego ramiona.

— Przecież wiadomo, że się lubią — odparł Nick, napierając na Jannę całym ciałem.

— Mylisz się. Doktor Osgood zawsze był tylko prywatnym lekarzem mojej rodziny. To wszystko.

Janna od dłuższego czasu podejrzewała jednak, iż Ellis podkochuje się w Audrey. Dopóki żył Reginald, nie było mowy o jakimkolwiek okazywaniu sobie uczuć. Osgood zawsze uważał lojalność za swoją najważniejszą cechę, a Audrey była ideałem wiernej żony. Do tego stopnia, że nawet teraz trudno było uwierzyć, iż może darzyć kogoś innego miłością. Nie chciała jednak Nickowi zdradzać wszystkich rodzinnych sekretów.

— Przecież oni śpią ze sobą — odparł Nick.

— Dlaczego tak sądzisz?

— To można wyczuć — spojrzał na nią swymi niebieskimi oczyma w taki sposób, iż zapragnęła, by przestał mówić i pocałował ją. — Ludzie, którzy się kochają, mają zwyczaj stać blisko siebie. Przestrzeń wokół nich zamyka się i staje się ich wspólna. To kwestia zaufania, jakim darzą się nawzajem. — Nick przybliżył się jeszcze bardziej, tak iż czuła jego gorący oddech na swojej twarzy. — Widzisz, gdybym był dla ciebie obcy, cofnęłabyś się o krok. Takie zbliżenie uznałabyś za niestosowne.

— Nigdy nie zwróciłam uwagi na to, jak blisko Audrey staje doktor Osgood — Janna odpowiedziała naburmuszonym głosem.

— Ale ja zwróciłem uwagę. Widziałem także twojego brata, który patrzył na Shadoe wygłodniałym wzrokiem, ale nigdy się nie odważył zbliżyć do niej.

Nick ściągnął z niej szlafrok. W tym momencie Janna przypomniała sobie, że wcale nie zdjęła seksownego bikini od Shadoe.

— Niech mnie diabli — zagwizdał. Niecierpliwe palce Nicka przesunęły się po jej udach. — Całkiem niezłe. Co to za materiał?

Janna czuła, jak jej nogi stają się miękkie.

— Lycra — wyjąkała.

— Hm. Co za egzotyczna nazwa. Brzmi jak ikra. Czy nie sądzisz, że już najwyższa pora zgasić światło? — Nick pociągnął ją w stronę sofy.

— Przestań, proszę. Shadoe może wejść w każdej chwili — Janna broniła się słabo.

— Shadoe przepowiada teraz Warrenowi przyszłość... — Nick namacał ręką kontakt i wyłączył światło.

— Nick!

18.

Warren podbiegł do drzwi. Kiedy usłyszał dzwonek, pomyślał, że to Nick. Tymczasem na progu stała Shadoe, trzymając Rommiego na rękach. Miała niezwykle poważną minę. W pierwszej chwili sądził, że coś się stało, coś bardzo złego, i Shadoe przysłała do niego po pomoc. Płonne nadzieje! Nie było takiej siły, która zdołałaby przekonać Shadoe, że Warren naprawdę ją kocha. Zachowywała się obojętnie, z wszelkimi pozorami dozgonnej przyjaźni. Dla Warrena oznaczało to prawdziwą torturę. Z trudem ukrył zaskoczenie i wpuścił Shadoe do środka.

— Nick powiedział, że potrzebujesz pomocy przy kręceniu filmu reklamowego dla Janny — powiedziała, siadając na sofie. Rommie czym prędzej usadowił się jej na kolanach. Warren najchętniej oddałby kundla do hycła. Chciał być z Shadoe całkiem sam, bez świadków, nawet takich, którzy potrafią jedynie szczekać i merdać ogonem.

— Kto został przy Chloe? — spytał.

Shadoe nigdy nie zostawiała jej samej, a tego dnia niania tradycyjnie miała wychodne.

— Nick — odparła, rozglądając się po pokoju. Warren przysiadł się do niej.

— Niestety, nie mam u siebie telewizora — westchnęła. — Nick będzie się strasznie nudził. Może zaniemiemy mu jakąś książkę?

Na szczęście jedyną książką w domku gościnnym była książka telefoniczna. Warren nie miał ochoty nigdzie wychodzić, zwłaszcza teraz, kiedy Shadoc przysłała wreszcie do niego.

— Na pewno sobie poradzi... — przysunął się do niej bliżej. — Powiedział, że Janna przyjdzie mu pomóc.

Warren obruszył się. Zaczynał się poważnie zastanawiać, czy Janna i Nick nie są już przypadkiem... kochankami. Sama myśl o tym napawała go strachem. Gdyby Audrey się dowiedziała.

— Nie chcę, aby Janna wzięła się w kolejną aferę miłosną — powiedział. — To nierozważne. Dopiero co wniosła sprawę o rozwód. Nick jest wprawdzie wyjątkowo miłym facetem, ale Janna prawie go nie zna. Ją tak łatwo jest skrzywdzić...

— Mylisz się — Shadoc odpowiedziała spokojnym głosem. — Oni bardzo dobrze się znają. Teraz odnaleźli się po wielu latach rozłąki.

Warren przełknął ślinę. Nie zamierzał wdawać się w dyskusje na temat rewolucji francuskiej i reinkarnacji.

— Niepokoi mnie, że Janna tak bezgranicznie mu się oddała. Portret, który kazała wykonać dla Pithany, dowodzi, że uczucie do Nicka całkiem zawładnęło jej myślami.

— Ten portret dowodzi jedynie, że Nick jest bardzo podobny do Iana — odparła.

— Tak sądzisz?

Shadoc poprawiła swoje piękne rude włosy.

— Sądzę, że duch Iana zatoczył krąg i powrócił na Malte, tam, gdzie był najszczęśliwszy.

Janna opowiedziała kiedyś bratu romantyczną historię miłości Iana MacShane'a i Pithany. Bez dwóch zdań, była to wyciskająca łzy z oczu opowieść, jaką można przeczytać w świątecznym wydaniu pisma dla kobiet. Shadoc uwielbiała takie historie. Wydawały się wprost wymarzone dla spirytualistycznych fantazji. Kiedyś także i oni, Warren i Shadoc, przeżyli chwile miłosnego uniesienia. Od tamtego czasu dzieliło ich jednak wiele lat i kilku mężów. Nie był pewien, czy Shadoc nadal coś do niego czuje. Jej nagła wizyta mogła dawać nadzieję, że jednak żywi w sercu resztki uczucia dla niego.

Warren spojrzał rozmarzonym wzrokiem na jej włosy. Tak pragnął, by znów go pokochała.

— A co z tobą? Czy ty odnalazłaś szczęście?

— Tak. Moim szczęściem jest Chloe — odparła. Spuściła głowę i w napięciu milczała przez moment. Potem zapytała nieśmiało: — A ty?

Warren wziął ją za podbródek. Delikatnie podniósł jej twarz, chcąc spojrzeć w jej prześliczne oczy.

— Jesteś jedyną kobietą, którą zawsze kochałem — powiedział poważnym tonem.

Na twarzy Shadoe pojawiło się zdziwienie. Jej oczy były tak niewinne, a usta tak pełne i namiętne. Warren nachylił się w jej stronę. Położył dłoń na jej ramieniu. Przez krótką chwilę zawahał się jeszcze. Kiedy jednak zobaczył, jak przymyka powieki i leniwie rozchyła wilgotne wargi, bez namysłu pocałował ją i mocno objął. Nie rozumiał, jak mogli tak długo żyć razem, unikając fizycznego zbliżenia. Zawsze sądził, że to on się poświęca; teraz przekonał się, że wyrzeczenie Shadoe było równie bolesne.

— Kocham cię. Chcę ożenić się z tobą i zostać ojcem Chloe — powiedział nagle. Przez moment sądził, że Shadoe się rozpłaczę.

W jej oczach pojawiły się wielkie, błyszczące łzy.

— Naprawdę?

— Tak. Wybacz mi, że posłuchałem się ojca. To był największy błąd w moim życiu. Daj mi jeszcze jedną szansę.

Widział wahanie w jej oczach. Bezradnie spojrzała na niego, jakby chciała przekonać się, że mówi prawdę. Potem spuściła głowę. Warren patrzył na nią z napięciem. Wiedział, że zranił ją kiedyś dotkliwie. Nie miał prawa oczekiwać, by teraz ponownie obdarzyła go bezgranicznym zaufaniem.

— Posłuchaj głosu twego serca, Shadoe. Należymy do siebie.

— Chloe potrzebuje ojca...

Dobry Boże! — pomyślał z goryczą. Wiele razy wyobrażał sobie tę chwilę, kiedy Shadoe odpowie mu TAK lub NIE. Nigdy jednak nie przypuszczał, że zgodzi się na małżeństwo przez wzgląd na dobro swej córki.

— Nie chcę, byś poślubiła mnie ze względu na Chloe, ale dlatego że mnie kochasz... Shadoe podniosła głowę. Chwyciła Warrena za rękę i niemal wykrzyknęła:

— Oczywiście, że cię kocham. Nikogo innego nigdy nie kochałam. Kiedy mnie porzuciłeś, chciałam zostać zakonnica. Potem postanowiłam się zemścić i bez namysłu szłam do łóżka z każdym napotkanym mężczyzną. Wtedy zdałam sobie sprawę, że nikt nie zdoła cię zastąpić. Zdecydowałam się na dziecko, bo tylko ono mogło pozwolić mi zapomnieć o tobie.

Warren czule przytulił Shadoe do siebie.

— Kocham cię. Nic nie zdoła nas teraz rozdzielić — wyszeptał.

Czuł, że nie potrafi dłużej zapanować nad pożądaniem. Zapach miękkich niczym jedwab włosów Shadoe działał na niego jak silny afrodyzjak. Musnął rozpalonymi wargami jej szyję. Usłyszał, jak westchnęła. Miał ochotę rzucić się na nią. Kiedy był prawie gotów, by jednym ruchem ręki zedrzeć z niej bluzkę i bez opamiętania całować jej piersi, poczuł, jak coś szarpie go za nogawkę spodni. Spojrzał w dół zaskoczony.

— Psia krew! — syknął wściekły. Rommie znudzony długimi wyznaniem kochanków, postanowił zająć się wygryzaniem dziury w spodniach Warrena.

— Wynoś się natychmiast! — krzyknął.

Von Rommel spojrzał na niego ze zdziwieniem. Audrey przyzwyczała go do całkiem innego tonu.

— Idź do diabła! — powtórzył Warren. Rommie, najwyraźniej obrażony takim traktowaniem, podkulił ogon i pobiegł w stronę drzwi. Gdy tylko Warren wypuścił psa na dwór, wrócił szybko do Shadoe, jakby obawiał się, że może ona zmienić zdanie.

— Kocham cię — powiedział, jak gdyby chciał nawiązać do przerwanej wątku rozmowy.

Shadoe roześmiała się i przytuliła go mocniej. Kiedy leżał na niej z twarzą zatopioną w jej włosach, wyszeptała:

— To nie do wiary, że Nick potrafi tak dobrze wróżyć z jednej tylko karty.

Janna leżała koło Nicka. Wtuliła głowę w jego ramiona.

— Chyba nie obudziliśmy Chloe? — spytała zaniepokojona.

— No, nie wiem — mruknął Nick prawie zasypiając. — Tak głośno krzyczałaś...

— Ja? — Janna zerwała się. — Kłamiesz!

— Nie ma się czego wstydzić. Jesteś słodka, kiedy tak krzyczysz: „mocniej! mocniej!”...

Naturalnie że Jannie było dobrze, kiedy kochała się z Nickiem. Prawdę mówiąc, nigdy nie przeżyła podobnych uniesień z Collisem. Jednak wstydziła się przyznać do tego nawet przed samą sobą, w obawie, że podobne wyznanie świadczyłoby o jej słabości.

— Jak zwykle żartujesz — powiedziała.

— Mylisz się, to poważna sprawa. Co zrobimy, jeśli Chloe potraktuje tę lekcję na serio i zamiast „mama” powie „mocniej!”?

W tym momencie rozległ się w holu straszliwy krzyk, który zakłócił wieczorną ciszę panującą w całej willi. Nick zeskoczył z łóżka i pośpiesznie zakładając spodnie i podkoszulek podbiegł do drzwi.

— To Audrey! — Janna wykrzyknęła przestraszona.

Zarzuciła na siebie szlafrok i zbiegła za Jensenem na dół. Po drodze o mały włos nie wpadła na Pithany wychodzącą ze swego pokoju. W trójkę zajrzeli do pokoju Audrey.

Nad małym Rommlem stała zapłakana Audrey. Doktor Osgood starał się zmniejszyć cierpienie psa. Zwierzątko z przerażeniem w oczach próbowało złapać powietrze, lecz bezskutecznie. Wszyscy stali bezradnie, pokładając nadzieję w Ellisie.

— On umiera, on umiera — szeptała zapłakana Audrey.

— Co mu może być? — zastanawiała się na głos Pithany.

— Prawdopodobnie zjadł coś — odparł Nick.

Po chwili wpadł do pokoju Warren z rozczochranymi włosami, a tuż za nim Shadoc, która w biegu zapinała bluzkę. Dopiera teraz Janna uzmysłowiła sobie, że sama jest raczej dziwnie ubrana, w zasadzie nie ubrana. Starła się zlekceważyć pytające spojrzenie ciotki.

— Co się stało? — spytał Warren.

— Rommi jest bardzo chory — odpowiedziała Janna.

— Jak to możliwe? Przed chwilą był razem z nami i wszystko było w porządku.

— Zadzwońcie po weterynarza — powiedział rozkazującym tonem doktor Osgood.

— Nie. Sami zawieziemy Rommiego do lekarza — powiedziała Pithany.

— Warren, ty poprowadzisz, Ellis, ty zawieziesz Audrey. Po chwili odwróciła się do Nicka:

— Zorientuj się, co ten biedny pies mógł zjeść. Doktor Zahra będzie chciał to wiedzieć. Janno, ty zadzwoń do pogotowia weterynaryjnego i przekaż, żeby przygotowali się w szpitalu.

— Może weźmiecie też Taxi — wtrąciła Shadoc, patrząc na psa wdrapującego się na Nicka.

— Jemu nic nie będzie. On był ze mną i niczego nie jadł, daję słowo — powiedziała Janna.

— Racja, na pewno nie jadł tego, co zjadł biedny Rommel — dodał Nick.

— Ruszamy — zarządziła Pithany.

Janna pobiegła do swojego pokoju i natychmiast wykręciła numer pogotowia weterynaryjnego. Poprosiła o połączenie z doktorem Zahrą, którego uprzedziła o wizycie ciotki Pithany.

Po chwili do pokoju wszedł Nick.

— Daj mi minutę na ubranie się — powiedziała, wchodząc do łazienki. Nick usiadł ciężko w fotelu.

— To taki łakomczuch, może zjadł coś ze słodczy i mu zaszkodziło — myślał głośno Nick.

— Ale Warren mówił przecież, że Rommi był cały czas z nimi...

— Musiał więc zjeść coś u mnie, w domku gościnnym.

— Gdzie jest Shadoe? — spytała Janna, ubierając się w zaskakująco szybkim tempie.

— Jest razem z Chloe. Mała obudziła się przez to całe zamieszanie.

Oboje zeszli na dół i udali się do domku gościnnego. Wraz z nimi biegła Taxi. W saloniku na sofie leżała czarna bielizna Shadoe. Zaczęli się rozglądać, szukając czegoś, co mógł zjeść Rommi.

— Zawsze jak Rommel coś zjada ukradkiem, zostawia okruchy lub kawałki papierków. Tutaj nic takiego nie widzę — powiedziała Janna.

— Chodźmy do sypialni — zaproponował Nick.

Janna niechęć zwróciła uwagę na portret Amandy Jane stojący na szafce nocnej.

— Może w kuchni — powiedział Nick, przechodząc przez hol.

Na stole stało tekturowe, firmowe pudełko cukierni Attard's Bakery, a dokoła okruchy, resztki orzechów i jedno nadgryzione ciasteczko.

— Co to za ciastka, do cholery? — zastanawiał się Nick.

— To bardzo popularne na Malcie ciastka tan-nar. Wszystkie cukiernie na wyspie wypiekają te łakocie. To bardzo proste: trochę mąki, mleka, migdałów, cynamonu i miodu.

Ostatnie słowo sparaliżowało Nicka. Nie patrząc na Janę, podszedł do telefonu i spytał:

— Jaki jest numer telefonu do weterynarza?

Janna niezbyt rozumiała zachowanie Nicka, który nagle bardzo spoważniał.

— Czy mogłaby pani poprosić do telefonu Warrena Athertona? — spytał zdenerwowany.

— Warren?... Cholera, ale pech. Przyjeżdżaj tu jak najprędzej, mamy pewien problem.

Tylko nikomu nic nie mów i przyjeżdżaj, OK?

Nick odwiesił słuchawkę i spojrzał na Janę.

— Nie zdążyli nawet z nim dojechać. Rommi nie żyje...

— Dlaczego chciałeś rozmawiać z Warrenem? — spytała zaniepokojona.

— Miód. W tym pieprzonym miodzie była trucizna z oleandra. Trevor zmarł na skutek tej samej trucizny. Wiem, że nie mam dowodów, ale czuję...

— Przecież te ciasteczka zostały kupione w firmowej cukierni u Attarda. Oni nie sprzedają zatrutych ciastek.

Nick zmarszczył brwi.

— Ja ich nie kupowałem. Zostały mi przysłane do biura.

Janna nie mogła wprost uwierzyć. Poczuła, że uginają się pod nią nogi. Jeśli Nick miał rację, to znaczyło, że ktoś próbował go otruć. Być może było jakieś inne wytłumaczenie, dlaczego Rommel tak nagle zdechł, bardziej racjonalne. Intuicyjnie wyczuwała jednak, że Nick ma, niestety, rację. Ktoś usiłował go zamordować.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

Uzmysłowiła sobie, jak bardzo się o niego troszczy. Gdyby to on zjadł te ciasteczka... Nagle dostrzegła w jego spojrzeniu napięcie. Szybkim ruchem ręki wyciągnął z pudełka zaklejoną kopertę, rozdarł ją i wyjął kartkę papieru. Janna rozpoznała na niej logo hotelu Blue Grotto. Chciała wyrwać list z rąk Nicka. Cofnął się.

— Nie dotykaj!

Kochanie. Było mi wczoraj cudownie z tobą. Jesteś mi winny nowe bikini. Zanim wybierzesz odpowiedni kolor, przyjmij moje ulubione ciasteczka.

Janna

— Ja tego nie wysłałam — powiedziała. Nie mogła wprost złapać tchu. Ktoś próbował zabić Nicka i wplątać ją w morderstwo.

— Spójrz, list jest napisany na maszynie. Każdy mógł zdobyć w hotelu papier firmowy i napisać taki list — patrzyła z napięciem na Nicka i modliła się, by jej uwierzył. Jednak jego niebieskie oczy pozostawały zimne i obojętne, a szeroki uśmiech, który za każdym razem wypędzał z jej serca obawy i troski, tym razem nie zagościł na jego smutnej, bladej twarzy. Nie wierzył jej.

Zawsze wiedziała, że nadejdzie ten straszny moment, kiedy go utraci. Nie przypuszczała jednak, że stanie się to w taki sposób.

— Kocham cię, Nick. Nigdy nie zrobiłabym czegoś, co byłoby wymierzone przeciwko tobie — wypowiedziała te słowa niskim, przyciszonym tonem, a jednak dla Nicka zabrzmiały one z taką mocą, iż trudno było im nie uwierzyć. Miłość? Ostatnie kilka dni były piękne, bardziej niż piękne. A jednak Nick nie chciał się do tego przyznać. Wolał nie myśleć o tym, jak bardzo przywiązał się do Janny. Cały czas obawiał się bowiem, że takie wyznanie będzie zdradą jedynej i prawdziwej miłości, która tliła się w jego sercu, miłości do Amandy Jane. Nigdy nie zastanawiał się, jak dalece może rozwinąć się jego znajomość z Janną.

— Mała — Nick nachylił się nad Janną i pocałował ją w koniuszek nosa — oczywiście, że ci wierzę.

Objął Jannę czule, a ona z dziecinną desperacją wtuliła się w niego.

— Martwi mnie to, że ktoś chce cię skrzywdzić.

Janna z pełnym napięciem oczekiwaniem słuchała słów Nicka. Świadomość, że jej wierzy, przyniosła olbrzymią ulgę. A jednak czuła wciąż nieokreślony niepokój, miała wrażenie, że Nick całkiem zignorował jej wyznanie. Czyżby doprawdy nie chciał zrozumieć, co próbowała mu powiedzieć.

— Ktoś chce wtrącić cię do więzienia, zniweczyć sukces Blue Grotto. Jak sądzisz, co powiedzieliby szefowie firm turystycznych, gdyby przeczytali w jutrzejszej gazecie, że Janna Atherton, właścicielka jednego z najpiękniejszych hoteli nad Morzem Śródziemnym, została aresztowana za próbę morderstwa.

Dopiero w tej chwili Janna zrozumiała, w jak niebezpiecznej sytuacji znalazła się w wyniku intryg Bradfordów.

— To na pewno sprawka Bradfordów. Komu innemu zależałoby na tym, by wsadzić mnie do więzienia.

— Jaki pożytek mieliby Bradfordowie z mojej śmierci? — spytał Nick.

— Myślę, że chcieli odkupić akcje od twojej matki. Ona byłaby twoją jedyną spadkobierczynią.

— Masz rację — zgodził się Nick. Wystarczyło, by Pithany poprosiła go o zwrot akcji, a on bez słowa sprzeciwu oddałby je. Crandall nie miała motywów, by zabić Nicka.

Jensen chwycił nagle Jannę w ramiona, spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział zachrypniętym głosem:

— Nie chcę, by ci się coś stało. Nie pozwolimy, by Bradfordowie zniszczyli Blue Grotto. Pithany zasłużyła na ten sukces. Myślę, że już najwyższy czas, by Bradfordowie ponieśli zasłużoną karę.

— Jak? Przecież nie mamy żadnych dowodów ich winy. Nic nie mów policji o tym liście.

— Nie możemy tego zrobić. To oznaczałoby zatajenie dowodów przestępstwa. Mam zamiar wysłać ten list do Scotland Yardu wraz z jednym z zatrutych ciasteczek. Ekspertyza chemiczna na pewno wykaże, że zawiera ono truciznę z oleandra, tę samą, która spowodowała śmierć Trevora.

Janna spojrzała na niego zmieszana.

— Ale w jaki sposób chcesz to powiązać z Bradfordami.

— Muszą być jakieś ślady. Trucizny z oleandra nie da się zrobić tak łatwo. Poza tym pozostają jeszcze odciski palców na kopercie listu.

— Masz rację, to powinno zrobić zamieszanie. Może powinnam powiedzieć policji o tym, jak Curt próbował obezwładnić mnie, wsypując jakiś proszek do drinka.

— Wspaniały pomysł — zgodził się Nick. — Jak jednak wytłumaczysz policji, że dopiero teraz zwracasz się do nich z tą sprawą.

— Konkurencja pomiędzy moją ciotką a Bradfordami jest publiczną tajemnicą na Malcie. Teraz, kiedy przejęłam kierownictwo nad siecią hoteli Crandall, Bradfordowie postanowili pozbyć się mnie z interesu. Wytłumaczę, że wcześniej bałam się powiedzieć o wszystkim policji, ale teraz, kiedy już wiem, że Curt i Tony są zdolni do najgorszego...

— Bądź ostrożna, kiedy będziesz to mówić. Bradfordowie mogą oskarżyć cię o zniesławienie.

— Nie obawiam się. Jeśli teraz nie zrobimy niczego, to ofiarą będzie nie pies, lecz ktoś z nas.

Nick w milczeniu przysłuchiwał się Jannie. W głębi duszy podziwiał jej odwagę. Z pewnością policja będzie stawiać jej mnóstwo różnych pytań. Nie wątpił, że Janna stanie na wysokości zadania.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Warren. Wyglądał na bardzo wzburzonego.

— Śmierć Rommiego nie była przypadkiem — powiedziała do niego Janna. — Ktoś próbował otruć Nicka.

Warren z wrażenia opadł na sofę. Zaczęli się wspólnie zastanawiać, w jaki sposób mogliby przeciwstawić się Bradfordom.

— Jest tylko jedno wytłumaczenie tego, skąd oni wiedzieli, co robiliśmy na pokładzie jachtu — zastanawiała się Janna. — Byliśmy szpiegowani, tak samo jak Trevor.

— Najważniejsze, to zmusić Bradfordów do defensywy i przekonać policję do podjęcia przeciwko nim dochodzenia — powiedział Nick.

— Jak mogę wam pomóc? — spytał Warren, który z troską przysłuchiwał się całej rozmowie. On także dopiero teraz powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji.

— Chciałbym, abyś przekazał list i próbkę ciastek do Scotland Yardu.

— Lepiej do Fort Halstead w Anglii. Są najlepsi. Kiedy eksplodował samolot Pan American nad Lockerbie, eksperci z Fort Halstead poddali jego szczątki dokładnej analizie i ustalili, że odzież z walizki, w której była bomba, pochodziła z Malty.

— W porządku — zgodził się Nick. — Chcę także zwołać naradę rodzinną. Powinniśmy stworzyć wspólny front przeciwko Bradfordom. Te sukinsyny muszą dostać nauczkę. — Nick zastanowił się przez chwilę. — Czy wiecie, o co mi chodzi najbardziej w tej całej sprawie?

— Tak? — Warren spytał z zainteresowaniem.

— Tony Bradford jest tchórzem. Przez prawie godzinę byłem zmuszony siedzieć w poczekalni jego biura. Wszystkie ściany wokół wytapetowane były jego medalami i zdjęciami z czasów, kiedy latał jako pilot RAF-u. Sam siebie uważa za bohatera.

— Tak samo uważa większość ludzi — wtrąciła Janna. — Nikt natomiast nie chce pamiętać, że Tony podczas wojny handlował na czarnym rynku.

— Przypomnijmy im o tym — powiedział Warren.

— Wspaniale — stwierdził Nick. — Wypędźmy tchórze z jego nory. Prawdziwy mężczyzna zastrzeliłby mnie, a tylko tchórz przysyła zatrute ciastka. Do cholery, gdyby moja sekretarka nie była na diecie, na pewno poczęstowałyby się. Ty także, Warren, mógłbyś otruć się tymi pieprzonymi ciastkami.

— Masz rację — stwierdził Warren. — Tchórze zabijają zwykle niewinnych ludzi. Pójdę teraz do pozostałych powiedzieć im, co się stało, zanim wezwiemy policję. Włóż list i ciasteczka do foliowej torebki.

Warren wyszedł z pokoju. Janna poszła z Nickiem do kuchni.

— Zastanawiam się, czy Ian MacShane...

— Zajmiemy się tym później. Na razie mamy pełne ręce roboty.

Nick ostrożnie za pomocą szczypców przekładał ciastka z pudełka do foliowej torebki.

— Tak, wiem, ale... Pomyślałam tylko, że być może jego śmierć ma jakiś związek z tym wszystkim.

Nick spojrzał na nią uważnie. Miała bardzo poważną minę.

— Pokazałam Pithany portret, który naszkicowała Laurel... i...

— No powiedz wreszcie, o co chodzi.

— Wyglądasz dokładnie, jak Ian MacShane... Zapadło grobowe milczenie.

— Ciotka powiedziała, że podobieństwo jest uderzające.

— O kurwa!

Nick cofnął się do tyłu. Nie wiedział, co powiedzieć. Dziwne myśli kłębiły się w jego głowie. Przypomniwał sobie pierwsze spotkanie z Pithany Crandall. Na jej twarzy malowało się przerażenie, jakby zobaczyła ducha.

— Teraz rozumiem zachowanie starego Bradforda.

— Co masz na myśli? — spytała Janna.

— Zaproponował mi odkupienie akcji Trevora. Był dziwnie zdenerwowany. Teraz rozumiem, że po prostu się mnie bał. To musi być koszmarne uczucie zobaczyć po latach kogoś, kogo się zabiło. Mam pomysł... Czy kiedy mówię, mój głos przypomina głos Iana?

— Nigdy nie spotkałam Szkota z teksańskim akcentem — Janna odparła z wahaniem.

— Nie chodzi mi o akcent. Czy Pithany nie wspominała, że mam głos podobny do głosu Iana?

— Nie, ale możemy zapytać.

— Myślę, że dasz mi kilka lekcji dobrej szkockiej wymowy.

19.

Tony Bradford otworzył oczy. Na wpół przytomny starał się przypomnieć sobie, gdzie się właściwie, do cholery, znajduje.

Powoli przewrócił się na plecy. Miły szelest świeżej pościeli kojąco wpłynął na jego nadszarpnięte nerwy. Śnił ciągle ten sam koszmar, który go nigdy nie opuszczał. Śnił, że znowu był małym chłopcem, siedział w wilgotnej mansardzie i z okna patrzył na swoją matkę, która szła ulicą. Nieznajomy hałas za drzwiami sypialni sprawił, że poderwał się z łóżka. Nasłuchiwał. Dopiero teraz do jego otępiełej snem świadomości dotarło, że ktoś od dłuższego czasu stuką do drzwi.

— Iva? — spytał niepewnym głosem, przeczuwając, że stało się coś złego. Jego służący nigdy by się nie odważył budzić go o tak wczesnej porze bez naprawdę ważnego powodu.

— Telefon do pana.

— Kto dzwoni?

— Jakaś kobieta. Mówi, że to pilne.

Tony wciąż nie mógł zebrać myśli. Ociężały po niespokojnym śnie wstał z łóżka, owinął się szczelnie szlafrokiem, wsunął stopy w pantofle, po czym zszedł na dół do gabinetu.

— Halo — wymamrotał.

— Tu mówi Ian MacShane. Spójrz za siebie, Bradford. Zamierzam cię dostać...

Tony nie zdążył odpowiedzieć ani jednym słowem. Rozmówca odwiesił słuchawkę.

Bezradnie rozejrzył się po pokoju. Na wprost zobaczył swoje odbicie w lustrze. Spojrzał raz, drugi, spojrzął ponownie. Co, u diabła? Zwariowałem? Czuł, jak brakuje mu nagle powietrza. To cholerne lustro płata mi figle... Zobaczył siebie, a obok stojącego Iana MacShane'a, który celuje rewolwerem w tył jego głowy. Stał jak przykuty do ziemi.

Chciał krzyknąć, lecz nie był w stanie wydobyć głosu. Przerażony zamknął oczy, czekając, aż kula rozerwie mu czaszkę. Kiedy ponownie spojrzął w lustro, postać Iana zniknęła. Tony osunął się na fotel. To tylko imaginacja, powtarzała sobie. Odetchnął. Zawsze z trudem powracał ze snów do rzeczywistości. Jego umysł pracował powoli i czasami płatał mu figle. Głos, który usłyszał w słuchawce, może i był podobny do głosu Iana MacShane'a, ale on nie da się na to nabrać. To musiał być Nick Jensen. Przez moment ogarnął go niepokój, tak jak podczas rozmowy z Jensenem w biurze. Szybko się jednak opanował. Czy to był Nick, czy też nie, nie powinno mieć większego znaczenia, pomyślał. Ani Pithany, ani jej cholerny teksańczyk nie

mogli mu niczego zrobić. To raczej oni powinni się obawiać Wielkiego Tony'ego. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego zadzwonili — spojrzął na zegarek — o czwartej nad ranem.

Tępy, metaliczny dźwięk kołatki przy drzwiach wejściowych wyrwał go z zadumy. Kto to może być? Nikt oprócz Bradfordów nie mieszkał w Mdinie, a do najbliższej miejscowości prowadziło kilka kilometrów krętej, trudno przejezdnej drogi. Tony przeszedł przez spowity w mroku hol, po czym ostrożnie podkradł się do drzwi. Kiedy wyjrzał przez boczne okienko, zobaczył policyjny samochód z pulsującymi niebiesko światłami na dachu, który stał zaparkowany na podjeździe koło fontanny. Za plecami Raymonda Muscata, generalnego inspektora policji na Malcie, stali trzech policjanci. Do mundurów mieli przypięte charakterystyczne odznaki w kształcie maltańskiego krzyża. Tony od lat znał Raymonda. Uważał go za zarozumiałego dupka. Otworzył drzwi.

— Curt? — Tony instynktownie pomyślał, że coś stało się z jego synem. Nigdy szczególnie mocno go nie kochał, a były nawet chwile, kiedy go szczerze nienawidził. Jednak świadomość, że Curt jest potomkiem wymarzonego rodu Bradfordów, jego jedynym spadkobiercą, jego krwią i ciałem, kazała mu traktować syna z pewną troską i pobłażaniem.

— Nie przyjechałem do ciebie w sprawie Curta — odparł Muscat z wyraźnym dystansem. — Były kłopoty w Falcon's Lair.

Tony bąknął coś pod nosem, co Muscat zrozumiał jako zaproszenie do środka. Bradford już wcześniej przeczuwał, że będą kłopoty, przynajmniej od chwili, kiedy zobaczył Nicka Jensena na party w Mdinie. Ostatni telefon z pogroźkami tylko umocnił jego obawy. Bez słowa zaprowadził policjantów do gabinetu. Zorientował się, że sprawa musi być dość poważna. Inaczej nikt nie wyciągałby z łóżka o tak wczesnej porze najwyższego rangą policjanta na Malcie.

Policja na Malcie od lat wykorzystywała stare obserwacyjne wieże, wybudowane jeszcze podczas wojny. Służyły wówczas za stanowiska dla artylerii przeciwlotniczej jako rodzaj małych posterunków opasujących wybrzeża wyspy. Podczas zimy było w nich zimno jak na Syberii, latem zaś panował tam nieznośny upał niby na dnie samego Hadesu. Dopiero dzięki Tony'emu zakupiono i zainstalowano na posterunkach ogrzewanie i wentylację. Był jeden zasadniczy powód tej wspaniałomyślności starego Bradforda. Pasjami uwielbiał jeździć swoim Lamborghini Contach po bezdrożnych wydmach, wyobrażając sobie, że bierze udział w wyścigu Paryż-Dakar. Nie życzył sobie, by jacyś wścibscy policjanci przeszkadzali mu w ulubionej zabawie.

Policja na Malcie nie była skorumpowana. Wręcz przeciwnie, tutejsi przedstawiciele prawa odznaczyli się chorobliwą pedanterią w prowadzeniu dochodzenia. Wprawdzie większość z nich zdobywała umiejętności w Anglii w New Scotland Yard, pomimo to nie nauczyli się nagiąć przepisów na korzyść swoich przyjaciół. Tony dobrze wiedział, że jedynym sposobem, by szybko pozbyć się policjantów z domu, było jak najdokładniejsze odpowiedzenie na pytania i wysłuchanie wszystkiego, co było konieczne. Nie miał ochoty poświęcać czasu gównianym sprawom związanym z tą wiedźmą Pithany i jej teksańskim pupilkiem.

— Dziś w nocy ktoś otrul psa w domu Pithany Crandall.

— Dobry Boże! Chyba nie przebył pan takiego szmatu drogi, żeby mi o tym powiedzieć?

— Nie — odparł inspektor. Strzepnął pyłek ze spodni i usiadł w fotelu, zakładając nogę na nogę. — Oczywiście. Pies zjadł zatrute ciasteczka. Pithany Crandall uważa, że przysłał je pan specjalnie, by otruć Nicka Jensena. W pudełku była pana wizytówka.

— Ciasteczka? Ciasteczka? — Tony wybuchnął śmiechem. Zaraz potem opanował się jednak, widząc przed sobą kamienną twarz inspektora.

— Gdybym rzeczywiście chciał się pozbyć Jensena, to poderżnąłbym mu gardło.

— Lord Lyforthu twierdzi, że byłby pan w stanie uczynić wszystko, by zdobyć akcje Blue Grotto. A, jak wiadomo, to właśnie Nick Jensen odmówił panu odsprzedania swoich akcji. Lord jest przekonany, że chciał pan zabić Jensena, żeby potem odkupić akcje od jego spadkobierców.

Muscat najwyraźniej przywiązywał pełną respektu wagę do tytułu, który nosił Warren Atherton. Staranność, z jaką wymawiał słowo „lord”, wprawiła Tony'ego w zły humor. Samego siebie zwykł tytułować „księciem Malty”, ale słowo „lord” go drażniło.

Oczywiście nie miał żadnego tytułu i nigdy prawdopodobnie nie będzie miał. Tym bardziej irytowała go myśl, że taki Atherton pojawił się na wyspie nie wiadomo skąd i już samą swoją obecnością wzbudził u innych tyle zainteresowania.

— Lady Janna Atherton-Pembroke twierdzi, że pański syn przy pana pomocy i wiedzy starał się ją ubezwłasnowolnić, podając środki odurzające, i to dokładnie tutaj, w tej willi — kontynuował Muscat.

— Przecież to nonsens. — Tony nigdy nie był w stanie dojść, co Curt owego wieczoru zamierzał zrobić z Janną. Pamiętał tylko, że patrząc przez lustro spostrzegł, jak Curt wsypuje coś do jej kieliszka. Przypuszczał, że był to jakiś afrodyzjak.

— Nick Jensen potwierdza wersję pani Atherton. Powiedział, że gdy ją stąd wyprowadził, straciła przytomność.

— Była całkiem pijana...

— Możliwe. Niemniej, pani Atherton wydaje się przekonana do swoich zarzutów... Tony przeczuwał, że to nie było jeszcze wszystko.

— Jensen zwrócił się do nas o wznowienie dochodzenia w sprawie śmierci Trevora Prescottta. — Muscat zawahał się przez chwilę. — Według niego to pan jest głównym podejrzanym.

— Ja? — Tony poczuł, jak krew uderza mu do głowy. — Zaraz dowiem się, że odpowiadam za zamach na papieża!

Muscat milczał, stojąc spokojnie ze spuszczonej oczyma. Na wewnętrzne napięcie, z którym się zmagał, wskazywało jedynie nerwowe obracanie palcami błyszczącej odznaki — symbolu władzy i pozycji na wyspie.

— Nie mam nic wspólnego z żadnym z wymienionych tutaj przestępstw. Proszę, niech mi udowodnią, że jest inaczej! — odparł Tony, nie panując nad nerwami.

— Oczywiście — przytaknął policjant. — Powiedziałem panu o tym, ponieważ sądziłem, że będzie pan chciał wiedzieć, jakie zarzuty stawia panu Nick Jensen. Jest bardzo uparty i przekonany o pańskiej winie. — Muscat ruszył w kierunku drzwi. Po chwili zatrzymał się i odwrócił do Tony'ego.

— Jeśli jednak okaże się, że te ciasteczka zawierały truciznę, wówczas będzie pan nam winien kilka wyjaśnień — dodał inspektor w progu.

Jensen! Ty sukinsynu — pomyślał Tony, zatraskując drzwi za policjantami. Ta teksańska świnia o uśmiezku gównojada! Nienawidził go prawie tak samo jak kiedyś Iana MacShane'a. Ci ulubieńcy nadzianych babek, schlebiający ich przekwitlej urodzie! Więc to tak, Pithany zdecydowała się spuścić swojego buldoga z łańcucha! Najwyraźniej przestraszyła się tego, że Wielki Tony może zagarnąć większość udziałów jej hoteli. Niczego nie mogą mi udowodnić, uspokajał się Tony. Nawet gdy rzeczywiście ktoś nafaszerował te cholerne ciasteczka trucizną, to przecież on ich nie wysyłał. Każdy mógł włożyć do pudełka jego wizytówkę. Prawdopodobnie zrobił to sam Jensen. Musiał ją ukraść, gdy był u niego w biurze. Dobrze wiedział, co robi. Jeśli policja wykryje truciznę, Tony będzie musiał się tłumaczyć. Wyda mnóstwo pieniędzy na adwokata i straci dobre imię, na które tak ciężko pracował. Wiele wysiłku kosztowało go stworzenie własnego wizerunku — dżentelmena, bohaterskiego lotnika, właściciela pałacu, praw-

dziwego księcia na Malcie. To sukinsyn! Nawet gdyby nie zrobił tych wszystkich strasznych rzeczy, podejrzenia, które rzucił na niego Jensen, mogłyby mu bardzo zaszkodzić. Gdyby jeszcze wyszło na jaw, że rozdmuchał całą tę ekologiczną kampanię tylko po to, aby uniemożliwić Crandall wybudowanie hotelu, że mocno przepłacił makaroniarzowi, odkupując od niego udziały, wówczas wybuchłby prawdziwy skandal. Straciłby swoją pozycję i znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. Uspokoił się dopiero, gdy wypił całą szklaneczkę koniaku Le Paradis. Przypomniał sobie nagle stare przysłowie: nie ma dymu bez ognia. Rzeczywiście, Curt wsypał coś Jannie do kieliszka i Tony sam to widział. Czy to możliwe, by teraz ten głupi szczeniak posłał Jensenowi zatrute ciastka? Dlaczego miałby to robić?

Tony pospieszył do sypialni. Chciał się szybko przebrać i pojechać do Sliema, by odnaleźć Curta. Na pewno jest teraz w łóżku z tą blondyneczką, o której Tony ostatnio słyszał. Detektyw, który pracował dla Bradforda, twierdził, że spędzają razem każdą noc. Tony'emu było całkiem obojętne, jaką panienkę jego syn w danej chwili obrabia, byleby to nie była Rhonda.

Nigdy nie wybaczyłby Curtowi, gdyby ten przez swoją głupotę nadszarpnął jego reputację. Chciał uchodzić za człowieka z zasadami i honorem, którymi cieszył się przez te wszystkie lata na Malcie. Tak, tego by mu nigdy nie darował.

Głośnie, niespokojne łomotanie do drzwi wejściowych wyrwało Curta z głębokiego snu.

— Co się stało? — spytała wystraszona Rhonda, przyciskając pościel do nagich piersi.

— Nie mam... — Curt usłyszał głos Tony'ego, który awanturował się, by wpuścić go do środka. — To ojciec!

Wyskoczył z łóżka. Biegiem naciągnął spodnie.

— Postaram się go szybko zbyć. Na razie idź do łazienki — szepnął do Rhondy. — Już idę — krzyknął, wybiegając z sypialni na taras, skąd roztaczał się cudowny widok na zatokę Świętego Juliana.

W dole pierwsze promienie porannego słońca odbijały się w spokojnym lustrze przystani. Uśpione łodzie rybackie i jachty kołysały się lekko, uwiązane do pomostów. Coś musiało się stać, skoro Wielki Tony przyjechał o tak wczesnej porze bez uprzedzenia. Curt starł krople potu z karku i wygładził włosy, potem wytarł dłoń w spodnie. Kiedy otwierał zamek w drzwiach, pomyślał przez ułamek sekundy, że Rhonda skorzysta zapewne z kuchennych drzwi i ucieknie swoim samochodem. Nie chciał, by ojciec odkrył oszustwo i dowiedział się, że blondynką nie jest nikt inny, tylko Rhonda w odpowiedniej peruce.

— Wpadliśmy w gówno, synu! — Tony wszedł do mieszkania, wymachując gazetą.

— O czym ty mówisz? — Curt zbladł, myśląc, że jakiś dziennikarz wytropił jego spotkania z Rhondą.

Wielki Tony rzucił gazetę na stół. Na pierwszej stronie porannego wydania „Times of Malta” widniało zdjęcie Pithany Crandall.

— Pithany Crandall i ta cała jej banda oskarżają mnie o usiłowanie zabójstwa Nicka Jensena. Sugerują także, że otruliśmy Trevora Prescottta.

— To bzdura! — wykrzyknął Curt, przeklinając w myślach, że niepotrzebnie po raz drugi zdecydował się użyć trucizny. To było ryzykowne i głupie.

— W gazecie jest także napisane, że jakiś grecki marynarz zeznał, iż Rhonda zwabiła go na twój jacht, prowokowała go, a potem ty go ogłuszyłeś.

Curt zachował kamienny wyraz twarzy wytrawnego pokerzysty. Jednak w jego oczach musiały pojawić się jakieś błyski, skoro Tony poczerwieniał cały ze złości. Podszedł do syna i patrząc na niego groźnie, wycedził:

— Ty tego nie zrobiłeś, prawda? — Tony znał jednak odpowiedź. Nie panując nad sobą, chwycił Curta za koszulę i z całej siły pchnął na sofę. — Dlaczego to zrobiłeś? — krzyknął.

Curt przestraszył się. Nigdy nie widział ojca w takim stanie.

— To była tylko niewinna sprzeczka — wymamrotał Curt niby małe dziecko, które właśnie przyłapano na gorącym uczynku.

— Sprzeczka? Tu jest napisane, że skatowałeś go prawie na śmierć. — Tony chwycił gazetę. — Facet przeleżał miesiąc w szpitalu. Jeśli policja skojarzy to z tym, że Jensen oskarża nas o próbę zabójstwa... — Tony nie mógł złapać tchu — ...to wybuchnie prawdziwy skandal.

Stary Bradford opadł na skórzany fotel. Przez dłuższą chwilę nie odezwał się słowem, tylko patrzył na syna. Jego wzrok był gorszy od uderzeń miotanych na oślepe.

— Czy nie masz mi nic do powiedzenia? — wyszeptał po chwili.

W porządku, pomyślał Curt. Pomysł z trucizną okazał się głupi i nieskuteczny, ale zastosowali z Rhondą wszelkie środki ostrożności. Nikt nie udowodni im, że mieli cokolwiek wspólnego ze słodką przesyłką dla tego teksańskiego zasrańca. Nawet to niebezpieczne zdjęcie, które Austin Prescott wysłał do Jensena, nigdy nie dotrze do adresata, Curt przechwycił je bowiem, przekupując urzędnika na poczcie. No, właśnie, urzędnik...

— Jeśli natychmiast nie powiesz mi całej prawdy, pamiętaj, jesteś dla mnie skończony. Nie przychodź później skomleć o pomoc!

— Już dobrze, dobrze! — zniecierpliwiał się Curt. — Jest pewien urzędnik, z którym możemy mieć kłopoty. Przekupiłem go, aby przechwycić przesyłkę dla Jensena.

— A co było w niej takiego ważnego, do cholery?

— Zdjęcie. — Curt zawahał się. Nie chciał wymieniać Rhondy, ale teraz nie mógł już tego ukryć. — To było zdjęcie Rhondy z Trevorem Prescottem. Nie chciałem wciągać jej w tę sprawę.

— To jest, kurwa, nie do wiary! — Tony poderwał się z miejsca. — Ta głupia dziwka zrobiła ci chyba wodę z mózgu. Więc razem zabiliście Prescottta, a potem usiłowaliście w ten niewiarygodnie idiotyczny sposób wykończyć Jensena!?

Curt dobrze znał ten drwiący ton. Nawet gdyby był zupełnie niewinny, nie potrafili by już przekonać ojca, a tym bardziej okłamać go.

— Tak — odparł przygnębiony tą rozmową.

— Po jaką cholere zabieś Prescottta?

Curt wiedział, że coś musi wymyślić. Po chwili wahania odpowiedział:

— Prescott trochę się napalił na Rhondę. Wszędzie za nią chodził. Pewnej nocy odnalazł nas na moim jachcie. Mieliśmy akurat małe przyjęcie, alkohol, trochę narkotyków... Prescott zachował się jak jakiś cholerny sztywniak. Zrobił awanturę, groził, że pójdzie na policję. Rhonda przestraszyła się... Wiesz, jak to jest. Taki skandal mógł jej zaszkodzić, i to całkiem nieźle... Miałyby dodatkowe problemy z rozwodem... złośliwe plotki i tak dalej...

Curt zrobił krótką pauzę, by się przekonać, czy jego słowa wywarły jakieś wrażenie na ojcu. Historia wydawała się wiarygodna. Napięta ze złości twarz Tony'ego rozluźniła się. Malta była wyspą katolicką. Od rana do wieczora słychać było szmer paciorków różańca. Jeśli kobieta rozwiodła się z mężem, cieszyła się nadal poważaniem, dopóki nie została oczywiście uznana za niemoralną. Troska o dobre imię Rhondy nie była przyczyną morderstwa. Prescott wszedł na pokład

„Siren's Song” akurat w momencie, kiedy poturbowany mężczyzna uwiesił się Rhondzie na ramieniu. Był to jeden z tych nieszczęśników, których zwabiali na jacht, by tam nieświadomie wziął udział w ich orgiastycznych zabawach. Kiedy starała się oswobodzić, mężczyzna runął nieprzytomny na ziemię. Trevor chciał wezwać policję, jednak Rhonda przekonała go, że należy poczekać i ustalić, co spowodowało takie obrażenia u marynarza.

Następnego dnia Curt i Rhonda spotkali Prescottta. Powiedzieli mu, że marynarz czuje się już dobrze, a jego rany nie są poważne. W rzeczywistości stracił oko i miał złamane dwa żebra.

W jakiś sposób zdołali go wepchnąć na statek do Cejlonu. Przed Trevorem odgrywali rolę zadowolonych. Przepraszali go za cały incydent zeszłej nocy, a w końcu, chcąc go sobie całkiem zjednać, podarowali mu słoik pysznego miodu... Morderstwo to był pomysł Rhondy. Ale Curt zgodził się na wszystko. Pozbywali się niewygodnego świadka, a jednocześnie udziały hotelowe Prescottta znalazły się w zasięgu ich ręki, tak przynajmniej wtedy myśleli. Tony milczał wymownie. To dziwne zachowanie ojca zaczęło denerwować Curta. Jak długo jeszcze będzie musiał wysłuchiwać jego pretensji. Nie jest przecież jakimś szczeniakiem, tylko mężczyzną.

— Wszystko w porządku, nie martw się. Jedyne, co mogą nam udowodnić, to przekupstwo urzędnika pocztowego.

W pokoju panowała przygnębiająca cisza. Z oddali dochodził dźwięk kościelnych dzwonów, oznajmiających porę pierwszej mszy.

— Całe życie starałem się stworzyć na tej wyspie własne imperium. Po co? Robiłem to dla ciebie, a ty to wszystko po prostu wyrzuciłeś na śmieci dla jakiejś dziwki, która ma męża i nie może nawet dać ci syna — głos Tony'ego był rozpaczliwie smutny. Momentami nikał, zagłuszony natarczywym biciem dzwonów.

Curt za wszelką cenę chciał udowodnić ojcu, że nie ma racji.

— Rhonda na pewno uzyska rozwód i da ci tyle wnuków, ile zapragniesz — powiedział.

— Które będą miały sieczkę w głowie — odburknął Tony.

Curt był jednak zdecydowany bronić Rhondy. Ostatecznie odpowiadał w tym samym stopniu co ona za nieudaną próbę otrucia Jensena.

— Rhonda ma dobre serce i kocha mnie. Wszystkim zajęła się sama. Jedyne, co musiałem zrobić, to przekupić tego urzędnika na poczcie. Powinieneś dać jej szansę, jest bardzo lojalna.

Wielki Tony zmrużył gniewnie oczy. Curt czekał na tradycyjną tyradę. Zamiast tego jednak ojciec uśmiechnął się niespodziewanie, pochylił do przodu i pokiwał głową.

— Jesteś sprytniejszy, niż sądziłem, chłopcze.

Ostatnie słowo najwyraźniej uraziło dumę młodego Bradforda. Pomimo to zdobył się na pojednawczy uśmiech. Z ojcem nigdy nic nie wiadomo, pomyślał. W jednej chwili potrafił podać ci rękę i podstawić nogę.

— Chociaż zawsze pozostaniesz beznadziejnym idiotą, przynajmniej pozwoliłeś, by ta kurwa odwaliała za ciebie najgorszą robotę. Jeśli ktokolwiek oberwie, to będzie to właśnie Rhonda Sibbett.

Curt poczuł ucisk w gardle. Nigdy do niczego nie zmuszał Rhondy. Pomagała mu z własnej woli. On sam robił to nie z nienawiści i nie dlatego, żeby ojciec dostał te cholerne udziały. Chciał, by ojciec zostawił go wreszcie w spokoju i pozwolił ułożyć sobie życie z Rhondą. Pocięczał się myślą, że policja niczego nie będzie w stanie udowodnić. Rhonda była zbyt sprytna, by dać się złapać. Zawsze miała dokąd uciec. Wielki Tony wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je energicznym ruchem i zawołał:

— Wejdźcie, chłopcy.

Dwóch braci Mifsud wtoczyło się do pokoju. Ich bycze, czerwone karki i płaskie, nie zmaczone myślą czoła nie pozostawiały wątpliwości nawet najbardziej nieświadomej osobie: byli ludźmi zdolnymi do największych zbrodni. Istotnie, Wielki Tony zwykł zlecać im mokrą robotę.

— Co oni tutaj robią?

— Będą cię ochraniać — Tony uśmiechnął się serdecznie, ukazując rząd sztucznych, białych zębów. — Pojedziesz do Marbella. Zameldujesz się w Puente Romano. Zarezerwowałem dla ciebie najbardziej ekskluzywny apartament.

Bracia Mifsud kręcili się po pokoju. Starszy, jego imiennik, który nie potrafił niczego zapamiętać, nerwowo żuł gumę. Młody Mifsud wpatrywał się w Curta swoimi cielecymi oczyma, jakby chciał go zahipnotyzować. Gdyby dodać ich iloraz inteligencji i pomnożyć przez dwa i tak zapewne odstawaliby od średniej. Natura wyrównała im jednak ten brak inteligencji skłonnością do wyjątkowego okrucieństwa.

— Każdego dnia w Puente Romano masz pokazywać się na basenie. Niech zwrócą na ciebie uwagę. Nie stroń od kobiet, tego nie muszę ci powtarzać. Posiłki będziesz spożywał w głównej sali, tak aby każdy cię widział. A w nocy masz chodzić do hotelowego klubu, zrozumiałeś?!

Curt zawsze marzył, by spędzić kilka dni w ekskluzywnym hotelu w Marbella, ale nie w uroczym towarzystwie braci Mifsud. Chciał mieć u swego boku Rhondę, a nie dwóch osiłków.

— Kiedy będę mógł wrócić?

— Dam ci znać.

Wielki Tony skinął głową. Bracia Mifsud, niby para posłusznych buldogów, natychmiast doskoczyli do Curta, chwycili go pod ramiona i wyciągnęli z mieszkania.

— Nie próbuj uciekać, synu — zawołał stary Bradford. — Pamiętaj, jeśli tylko spróbujesz, jesteś martwy.

Janna siedziała za szerokim, eleganckim biurkiem w swoim skromnym, lecz gustownie urządzonej biurze w Blue Grotto. Kiedy sekretarka przekazała jej, że pan Jensen dzwonił z dołu i chce się z nią widzieć, rozpromieniona wyszła mu na spotkanie. Nick wyglądał na zmęczonego. Całą ostatnią noc spędzili razem.

— Testy wykazały truciznę z oleandra — powiedział bez entuzjazmu. — Oczywiście to nie wystarczy, aby wsadzić Bradforda do więzienia. Potrzebne są jakieś dowody, na przykład odciski palców na pudełku z ciasteczkami. Na razie policja odkryła na wizytówce moje odciski.

— Nie podoba mi się to, że oszukujemy policję, by spreparować dowody przeciw Anthony'emu Bradfordowi. Ostatecznie może się wydać, że podrzuciliśmy jego wizytówkę.

— Zamierzam wszystko wyjaśnić, jak tylko Warren dostarczy mi raport z Fort Halstead. Przy okazji, mam także dobrą wiadomość — Nick ożywił się. — Wyznaczono dwóch nowych ludzi do prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci Trevora.

— Czy w dalszym ciągu nie masz tego zdjęcia od Austina?

— Nie, ale poprosiłem policję, by porozmawiała z urzędnikami na poczcie. Moim zdaniem ktoś mógł przechwycić przesyłkę.

Kiedy weszli do gabinetu Janny, Nick usiadł ciężko na krześle. Z wysiłkiem założył nogę na nogę, wyciągnął się do tyłu, opierając głowę o ścianę i powoli zamknął ocienione zmęczeniem powieki. Janna patrząc na niego, z trudem powstrzymywała łzy. Żal chwycił ją za serce. Dlaczego przyszedł? Dlaczego po prostu nie zadzwonił? Tak byłoby prościej po tym, co powiedzieli sobie w nocy. Kiedy zrozumiała, że go kocha, wyrzuciła z siebie cały ciężar tego uczucia. Wszystko mu wyznała, jak głupia, zadurzona licealistka, a on najzwyczajniej ją zlekceważył. Nie mogła mieć do niego pretensji. Nigdy niczego jej nie obiecywał, nigdy nie okłamywał. Teraz patrzyła na jego spokojną twarz i wiedziała, że mężczyzna, którego kocha, nie będzie należał do niej.

Nick otworzył oczy.

— Jak długo zamierzasz zostać w pracy?

— Może do północy — odparła lekko zmieszana. — Wiesz, mam teraz tyle pracy. Jeśli do jutra nie dostarczą wykładowiny...

— Nie możesz zostać tu całkiem sama.

Serce Janny zabiło mocniej. Tak niewiele słów trzeba, by znów poczuła się szczęśliwa. Więc nie była mu całkiem obojętna, martwił się o nią.

— Mamy tu specjalnie wyszkoloną ochronę.

— Zauważyłem. Wszedłem tutaj i nawet nikt nie zapytał, dlaczego od pół godziny szwendam się po holu.

— Czy sądzisz, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? — spytała zaskoczona.

— Daj spokój — Nick położył nogi na jej biurku. — Zawsze jest jakieś niebezpieczeństwo...

Janna zauważyła, że Nick zaczyna mówić ze swoim nieznośnym teksańskim akcentem.

— Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Powinienem był się domyślić, że wybiorą mnie jako swój następny cel. Ale nie, paradowałem po Malcie jak kaczką, która aż się prosi, by ją ustrzelić. Z drugiej strony... — Przypomniawszy sobie te wszystkie cudowne dni na wyspie. W ciągu ostatniego tygodnia zmieniło się tak wiele. W porównaniu z tym ostatnie pięć lat od śmierci żony wydawało się jakąś ascetyczną pokutą. — Z drugiej strony to dobrze, że pomimo niebezpieczeństwa tak wiele przeżyliśmy razem i potrafiliśmy się z tego cieszyć. Nie mogę pozwolić, by jakiś Bradford to wszystko zniszczył. Musimy tylko bardziej na siebie uważać. A teraz zabieraj swoje rzeczy i idziemy do domu — zakończył tonem nie znośnym sprzeciwu.

Kiedy wyszli z hotelu, właśnie zmierzchało. Turkusowa tafla morza mieniła się jasnymi plamami odbitych w wodzie, spóźnionych promieni słońca. Wzdłuż horyzontu ciągnęła się pomarańczowa smuga światła, która z każdą chwilą stawała się węższa. Już wkrótce wyniosła laguna miała zniknąć w nocnej toni.

Nick wziął od Janny jej torbę. Zachwyceni przepięknym widokiem, usiedli na ławce na samym skraju parku, który rozciągał się przed hotelem i oddzielał go od skalnego urwiska.

Blue Grotto zbudowany został na wapiennych skałach. Wiatr, deszcze i sztormy przez wieki nadały im najbardziej fantastyczne formy. Zatopione groty, łuki rozciągnięte nad taflą wody, strzeliste kamienne słupy *faraglioni* — wszystko to sprawiało, że laguna przypominała bajeczne ruiny zamku, wynurzające się z morskiej otchłani. Janna dobrze pamiętała odległe dni, kiedy jako mała dziewczynka stała w tym miejscu, trzymając mocno rękę ciotki Pithany.

— Zobaczysz, kiedyś zjadą do nas tłumnie turyści z całego świata — mówiła Pithany. — Będą pływać na żaglówkach, opalać się, kąpać. Nawet Capri nie będzie mogło równać się z tym miejscem.

To marzenie miało się teraz ziścić. Za tydzień przedstawiciele największych agencji turystycznych przyjadą obejrzeć Blue Grotto. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w co Janna nie wątpiła, kilka dni później hotel zapełni się pierwszymi gośćmi. Wiedząc, jak wiele ten projekt znaczy dla Pithany, Janna z energią i radością przystąpiła do jego realizacji. Uważała, że powinna zro-

bić choć tyle dla kobiety, która całe swoje życie poświęciła innym. Nad zatoką pojawił się księżyc. Wokoło było cicho i spokojnie. Czasami tylko jakaś zagubiona mewa, tocząc niespokojne kręgi na ciemnym niebie, zawodziła przeciągle. Nick czuł się szczęśliwy, siedząc koło Janny. Była atrakcyjną, nietuzinkową kobietą. Zeszłej nocy, kiedy już spała u jego boku z wtuloną w poduszkę głową, przyglądał się jej aż do rana i rozmyślał o ich przyszłości.

Powiedziała, że go kocha. Czy wiedziała, co mówi? Byli tacy zmęczeni. Z drugiej strony Janna nie miała zwyczaju kłamać, a tym bardziej igrać z uczuciem. Nick chciał odczekać i zobaczyć, co będzie z nimi dalej. Czy zdoła rozpocząć nowe życie i zapomnieć o śmierci Amandy? Uznał, że jego zachowanie ostatniej nocy nie było zbyt subtelne. Kiedy tak szczerze i w tak prosty sposób Janna wyznała mu miłość, on nie zareagował. Teraz także nie wiedział, co powiedzieć, choć przecież na pewno Janna musiała czuć się zraniona. Zależało mu na niej, ale nie był pewien, czy potrafi pokochać ją tak samo mocno jak Amandę?

Seks na ogół utrudnia intymne zbliżenie bliskich sobie dusz, tak przynajmniej uważał Nick. Janna znajdowała przyjemność w jego pieszczotach, ale co właściwie wiedziała o nim jako człowieku? On sam nigdy nie otwierał się przed nią. Nie był do końca szczerzy. Podczas gdy Janna chętnie dzieliła się z nim swoimi problemami i zamiarami, Nick nie zdobył się nawet na to, by powiedzieć jej, że wkrótce zostanie przeniesiony do Atlanty. Teraz nie powinien o tym wspominać. Janna poczułaby się z pewnością odrażona.

— Kiedy byłem w szkole, nie potrafiłem odszukać Malty na mapie — Nick przerwał milczenie.

— Większość Amerykanów nie potrafi. Dlatego we wszystkich broszurach reklamowych Blue Grotto kazałam umieścić mapkę. Kiedy turyści z Ameryki stwierdzą, jak blisko jest stąd do Włoch, na pewno przyjadą.

Minęła dłuższa chwila, zanim Nick odpowiedział.

— Ja nie jestem chyba typowym Amerykaninem. Zawsze miałem dużo problemów i nigdy nie czułem się „świetnie”.

Janna spojrzała na niego z zaciekawiona. Zawsze wyobrażała sobie, że jest typowym amerykańskim bohaterem. Dobrze wyglądał i miał dużo diabelnie pociągającego uroku. Był typem gwiazdy futbolu.

— Nienawidziłem szkoły. Kiedy musiałem się uczyć, ogarniał mnie wstręt. Zwykle grałem w hokeja.

Janna uwielbiała chodzić do szkoły i zawsze miała najlepsze stopnie.

— Dlaczego nie lubiłeś szkoły?

— Miałem problemy z nauką. Z trudem potrafiłem czytać...

Janna zaniemówiła. Po chwili z wielką nieśmiałością spytała:

— Jak udało ci się skończyć szkołę?

— Polegałem na swojej pamięci i rozbajającym uśmiechu. Jakoś mnie w końcu przepchnęli.

— I nikt ci nie pomógł? Ani matka, ani nauczyciele? — zanim Nick zdążył odpowiedzieć, Janna domyśliła się, że osobą, która mu pomogła, była Amanda Jane.

— Matka miała zbyt wiele własnych spraw na głowie, by przejmować się moimi problemami. Niektórzy nauczyciele próbowali mi pomóc, lecz dysleksja wymaga specjalnych ćwiczeń. Tylko jedna nauczycielka nie dała się nabrać, nie uległa mojemu czarowi. Była to niezapomniana panna Mooth, moja trzecia nauczycielka. Każdego dnia wywoływała mnie na środek klasy i kazała przed wszystkimi uczniami czytać na głos. Z jednej strony czułem się strasznie zakłopotany, jednak z drugiej dopingowało mnie to do pilniejszej nauki.

Janna nie mogła uwierzyć, że nauczycielka mogła być do tego stopnia okrutna. Napięcie, które usłyszała w głosie Nicka, wskazywało, że przeżycia te wciąż są żywe w jego pamięci.

— Rodzina Prescottów przekonała mnie, że powinienem zwrócić się do specjalisty. W klinice stwierdzono u mnie dysleksję. Dopiero po roku odpowiednich treningów i ćwiczeń nauczyłem się czytać na tyle płynnie, że mogłem zdawać do college'u. Do tej pory jednak czytanie sprawia mi trudność i dlatego unikam książek.

Za każdym razem, kiedy Nick wymawiał nazwisko Prescottów, Janna czuła, że ma przede wszystkim na myśli swoją żonę. Obawiała się, iż nigdy nie będzie w stanie dać mu tego, co Amanda — szacunku do samego siebie. Jej utrata pozostawiła w życiu Nicka straszliwą pustkę, której być może już żadna inna kobieta nie zdoła wypełnić.

— Przez cały okres nauki w college'u Trevor udzielał mi korepetycji. Bez niego nie dałbym sobie rady.

— Czy mieliście ze sobą kontakt, po tym jak przeniósł się na Malte?

— Dzień po pogrzebie Amandy wyjechałem do Japonii. Od tej pory nigdy nie rozmawiałem z Trevorem.

— Jak to się stało? — spytała zasmucona.

— Kiedy pracowałem w Denver dla firmy Imperial Cola, raz w miesiącu jechałem do Houston. Przeczuwałem, że coś jest nie w porządku, lecz zarówno Amanda, jak Trevor i Austin

nie chcieli mi wówczas wyjawić prawdy. Nietrudno było zauważyć, jak chudła systematycznie. Tłumaczyła mi, że to na skutek diety. Nie wspomniała ani słowem, iż cierpi na raka wątroby. Dowiedziałem się o tym całkiem przypadkowo, gdy zawiozłem ją omdlałą z wyczerpania do lekarza. Ta choroba bardzo szybko wyniszcza organizm. Nie minęły cztery miesiące od ustalenia diagnozy, jak musiałem się z nią pożegnać na zawsze.

— Tak mi przykro, Nick. To musiało być straszne.

— Wolałbym, aby mi powiedziała — jego głos przepełniła nagle złość. — Trevor i Austin też mogli mi powiedzieć wcześniej. Ale oni nie chcieli rujnować mojej kariery.

Nick wstał z ławki, wsunął dłonie do kieszeni i odwrócił się twarzą w stronę Blue Grotto.

— Do diabła! To, co robiłem w Imperial Cola, nie było warte nawet funta kłaków. Te cztery miesiące, które jej zostały, mogliśmy spędzić razem, na przykład w jej wymarzonym Lyme Regis.

Serce Janny wypełniła gorycz. Słowa Nicka, w których kryło się tyle bólu i cierpienia, wzruszyły ją do głębi. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego pojechał do Lyme Regis sam. To miejsce miało dla niego specjalne znaczenie. Wiązało się ze wspomnieniami, do których Janna nigdy nie będzie miała wstępu.

— Teraz rozumiem, że zachowałem się niepoważnie, obciążając Trevora odpowiedzialnością za utracone cztery miesiące życia z Amandą — słowa te wypowiedział łagodniejszym tonem. — Dotarło to do mnie zbyt późno, po śmierci Trevora.

— Jesteś dla siebie zbyt surowy.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i spojrzał w górę na gwiazdy. Czuł powiew ciepłego wiatru, który przywędrował na wybrzeża wyspy z północnej Afryki. Można było odnieść wrażenie, iż Nick wyczekuje jakiegoś znaku, który pozwoliłby mu rozwiać wątpliwości. Ale czarne, bezkresne niebo pozostawało zimne i milczące.

— Rozumiem, jak trudno jest wybaczać. Czułam się oszukana, lecz potrafiłam w porę wybaczyć ciotce Pithany, iż nie powiedziała mi prawdy... — Janna zawahała się. — Reginald nie był moim prawdziwym ojcem. Rozumiem, że Pithany chciała mnie ochronić i nie powiedziała, że zostałam adoptowana.

— Naprawdę? — Nick ponownie usiadł przy niej. Z napiętą uwagą przyglądał się jej. — Jestem zaskoczony. Twoje oczy...

— ... są bardziej szare, takie jak u ciotki Pithany, a nie tak wyraziście zielone jak u Audrey. Kiedy byłam mała, często przeglądałam się w lustrze i powtarzałam sobie, że moje oczy

będą kiedyś tak samo szmaragdowozielone jak u Audrey. Tak było do śmierci Reginalda, potem dowiedziałam się, że pozostaną na zawsze szarozielone.

Nick spokojnie wysłuchał opowieści o okolicznościach, w jakich zmarł stary Atherton, i o jego testamencie. Janna wyznała, iż nie czuje żalu i wybacza, ale Nick dobrze wiedział, że jest inaczej.

— Miałaś wiele szczęścia, tak sędzę. Dzięki adopcji masz teraz Warrena, który bardzo cię kocha, a w Pithany odnalazłaś najdroższą ci osobę. Jeśli chodzi o Audrey... jest trochę trudna, ale myślę, że również cię kocha.

— Nie skarżę się. Kocham moją rodzinę.

— Często przybrani rodzice okazują się o wiele lepsi niż prawdziwi. Nigdy nie byłem tak mocno zżyty z moją rodziną, jak z Prescottami. Byłbym teraz z Austinem, gdyby nie to, że muszę znaleźć mordercę jego syna.

Po wspólnej kolacji w restauracji Kosher Nostra Deli nad zatoką Świętego Juliana, wrócili do Falcon's Lair. Przez całą drogę Janna rozmyślała o tym, co powiedział jej Nick. Rzeczywiście miała szczęście. Jej dzieciństwo, tak jak dzieciństwo Jensena, mogło przecież przypominać jeden nie kończący się koszmar. Opatrzność czuwała nad nią. Dopóki nie usłyszała historii Nicka, nie potrafiła właściwie ocenić swego szczęśliwego położenia. Jak najszybciej chciała wysiąść z samochodu, pobiec schodami na górę i obcałować wszystkich, powiedzieć, że bardzo ich kocha. Nick przytrzymał ją za rękę.

— Nie uciekaj. Spędź tę noc ze mną. Nie chcę być sam...

Janna chciała powiedzieć, że przecież nie może dorównać Amandzie, jednak wyczuła jakąś niepokojąco rozpaczliwą nutę w głosie Jensena, która kazała jej spełnić jego prośbę. Ostatecznie Nick nie traktował jej jak jakąś przygodną, wakacyjną znajomość. Odnalazła drogę do jego serca. Nie mogła się teraz wycofać.

— Wrócę za kilka minut — powiedziała, wręczając mu swoją torebkę. — Pójdę tylko się pokazać.

Janna weszła do willi i wbiegła na górę, kierując się prosto do pokoju Pithany. Zastała ją leżącą w łóżku, obłożoną stertami poduszek.

— Znowu bolą cię nogi? Czy wezwałaś lekarza? — spytała Janna, choć z góry znała odpowiedź. Ciotka nie tolerowała lekarzy.

— Jestem tylko trochę zmęczona, to wszystko.

— Odpocznij sobie — Janna pochyliła się i ucałowała ciotkę w policzek.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Zdziwienie, które pojawiło się na twarzy Pithany, uświadomiło Jannie, że ostatnio nie mówiła często o tym, co do niej czuje. Każdy potrzebuje miłości, a Pithany Crandall zaznała jej tak niewiele. To było niesprawiedliwe.

— Ja także cię kocham — ciotka uścisnęła dłoń Janny i uśmiechnęła się czule.

— Ostatniej nocy wszyscy myśleliśmy wiele o tych, których kochamy.

— Masz rację — przyznała Pithany. — Cały dzień zastanawiałam się, co by się stało, gdybyście, ty lub Nick, zjedli te zatrute ciastka.

— Kiedy dzisiaj z Nickiem oglądałam zachód słońca na lagunie Blue Grotto, przypomniałam sobie, jak kiedyś chodziłyśmy tam razem. Opowiadałeś mi wówczas o swoich marzeniach związanych z budową hotelu. Teraz te marzenia spełniły się. Zamierzam tak poprowadzić Blue Grotto, by stał się najlepszym hotelem nad Morzem Śródziemnym. Chcę, abyś była szczęśliwa.

Uśmiech zniknął z ust Pithany.

— Czy wiesz, co naprawdę uczyniłoby mnie szczęśliwą? Janna potrząsnęła głową. Czy powiedziała coś niestosownego?

— Byłabym najszczęśliwsza, gdybyś wyszła za Nicka i miała z nim dzieci. Pragnę widzieć je biegnące po ogrodzie Falcon's Lair, kąpiące się w basenie, huśtające się na huśtawce... — na twarzy Pithany ponownie zawitał uśmiech zadowolenia.

— Wiesz przecież, że zawsze chciałam mieć dużo dzieci.

Głos ciotki zamarł na chwilę. Janna zdecydowała się przerwać to milczenie.

— Ja go kocham, lecz...

— Wydaje ci się, że on nadal kocha swoją zmarłą żonę, prawda? — spytała z powagą Pithany.

— Raczej na pewno. Dzisiejszego wieczoru o niej opowiadał. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo on ją kochał, do szaleństwa... i ciągle jeszcze kocha... Mam dziwne przeczucie, że toczę z nią bitwę z góry dla mnie przegraną. Ale nie poddam się.

— To jest moja dziewczyna, zdecydowana i pewna tego, co chce osiągnąć. — Pithany uścisnęła dłoń Janny. — Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli udzielę ci pewnej rady?

— Każda wskazówka z twojej strony będzie pomocna, ciociu.

— Mam pewne podejrzenie, jeśli chodzi o Nicka. Otóż wydaje mi się, że jego matka nigdy go nie kochała, a każdy potrzebuje matczynej miłości...

— Nawet gdy daje ją ciocia, a nie matka? — spytała trochę zasmucona Janna.

— Tak. Zawsze chciałam, byś była moim dzieckiem. Przecież wiesz o tym. Kocham cię jak córkę.

Janna pokiwała głową. Każde wspomnienie z przeszłości łączyło się nierozzerwalnie z miłością Pithany, było nią przesiąknięte. Dla Janny ta świadomość stała się jakby tarczą obronną przed brutalną rzeczywistością.

— Nick nigdy nie zaznał matczynej miłości, dopóki nie spotkał swojej Amandy. Ona zastąpiła mu matkę z dzieciństwa i była jednocześnie kochającą żoną.

Janna rozważała przez chwilę teorię ciotki Pithany i zdecydowała, że ma rację. Nick zresztą sam przyznał, że Prescottowie byli dla niego prawdziwą rodziną.

— On się teraz zmienił. Nie staraj się więc odgrywać roli Amandy Jane — mówiła dalej Pithany. — Traktuj go jak swojego partnera, a może nawet kochanka.

Janna z uwagą wsłuchiwała się w słowa ciotki przepełnione mądrością i doświadczeniem.

— Nie bój się powiedzieć mu, że go kochasz. On potrzebuje tych słów i powinien je usłyszeć. Nie zaznał wiele z tego uczucia w życiu.

— Ale jego uroda mnie onieśmiela — zwierzyła się Janna.

— On nie jest jak Collis... wiesz, przypomina mi bardzo Iana, a dla takich mężczyzn liczy się tylko to, by byli kochani.

Janna wstała i uśmiechnęła się. Czuła się tak, jakby rozmawiała ze swoją matką.

— Pójdę do niego, porozmawiam i...

— Każde z nas wie, że z nim sypiasz. Nie musisz się z tym kryć — szepnęła czule Pithany.

— Chyba masz rację — odparła speszona Janna.

— Ostatniej nocy zauważyłam, że moja rodzina ma niezwykły dar łączenia sypialń. Jedynie Audrey była w swoim łóżku, ale za to razem z nią był Ellis Osgood.

— Tak, też to zauważyłam. Drzwi do jego pokoju były otwarte, a do pokoju Audrey szczelnie zamknięte. Nie zdziwiłabym się, gdyby Nick pomyślał, że są kochankami.

— On jest bardzo spostrzegawczy i wszystko bacznie obserwuje — dodała Pithany.

— Czy sądzisz, że walka, jaką stoczył, by przezwyciężyć dysleksję, wzmocniła w nim pamięć i siłę obserwacji? — spytała Janna. Spodziewała się, że ciotka wie o nim więcej dzięki swojej intuicji. A może Nick zwierzał jej się albo może przeprowadziła jakieś dochodzenie, by

wiedzieć, z kim ma do czynienia? To drugie nie było raczej do niej podobne. Pithany po prostu odczekała, aż Nick sam opowie wszystko Jannie. Nie chciała zdradzać jego sekretów.

— Tak — odparła w skupieniu ciotka. — On jest taki jak Ian...

20.

Janna pożegnała się z ciotką Pithany. Kiedy schodziła schodami do holu, spostrzegła Taxi, która zziajana uganiała się za własnym ogonem.

— Chodź do mnie, ty diablico — wzięła pieska na rękę, po czym poszła do sypialni Audrey. Wchodząc do środka, oznajmiła uroczyście:

— Mam dla ciebie prezent. — Położyła Taxi na łóżku zaskoczonyj pani Atherton.

— Przecież ona jest twoja...

— Nigdy nie ma mnie w domu. Taxi czuje się opuszczona. Na pewno chętnie się z tobą zaprzyjaźni. Wiem, że nie jest tak wspaniała jak Rommie. Jeśli chcesz, mogę podać ci telefon bardzo dobrego dentysty dla psów w Rzymie. Robi specjalne aparaty do korygowania zgryzu. Zobaczysz, już za kilka tygodni będziesz mogła pokazać Taxi na wystawie.

Olbrzymie łzy wzruszenia roziskrzyły zielone oczy Audrey.

— To naprawdę... jesteś taka dobra. Wiem, ile dla ciebie znaczy Taxi.

— Ty znaczysz dla mnie o wiele więcej — odparła. — Taxi nie zastąpi ci Rommiego, ale przynajmniej będziesz miała nowego przyjaciela.

— Rommie był wyjątkowym pieskiem. Dzisiejszego ranka odbył się pogrzeb, kazałam poddać jego zwłoki kremacji, rozumiesz. Już zawsze będzie teraz ze mną

— Audrey spojrzała w stronę małej, metalowej urny, stojącej na nocnym stoliczku.

— Żaden pies nie będzie taki jak Rommie, ale dziękuję Bogu, że to nie któreś z was zjadło te okropne ciasteczka z trucizną...

Pani Atherton przez dłuższą chwilę głaskała puszyste futerko Taxi. Na jej twarzy rysowało się napięcie i niepewność. W końcu powiedziała:

— Ellis i ja zamierzamy się pobrać. Chcemy zorganizować w Falcon's Lair niewielką uroczystość, tylko dla najbliższych osób.

— To wspaniała wiadomość!

Było coś wzruszającego w tym, że ludzie, którzy doznali od losu tyle cierpień, potrafili w miłości na powrót odnaleźć sens życia — pomyślała Janna. W głębi duszy miała nadzieję, że Nick odnajdzie dla siebie cel w miłości do niej.

Kiedy Janna zeszła do ogrodu, w domku gościnnym za basenem było już ciemno. Nie zapalała światła. Rozpoznając niewyraźne zarysy sprzętów w bladej poświacie księżyca, dotarła bezpiecznie do sypialni. Nick leżał w łóżku ze słuchawkami na uszach. Spał. Delikatnie zdjęła mu słuchawki i wyłączyła magnetofon. Zrobiło się zbyt późno, by brać się do pracy. Janna czuła się śmiertelnie zmęczona po wyczerpującym dniu i nie przespanej nocy.

Zrzuciła ubranie i przewiesiła przez oparcie krzesła. Nagle zdjął ją strach. Zimny dreszcz przerażenia przebiegł jej po plecach. Położyła dłoń na piersi Nicka. Dzięki Bogu! Oddychał... Rozejrzała się po pokoju. Nikt nie czyhał przyczajony w ciemnościach. Ostrożnie zajrzała do łazienki. Nic. Wciąż jednak czuła ten straszny niepokój, który sprawiał, że jej serce bilo jak oszalałe. Po cichu, tak by nie robić hałasu, poszła do kuchni. Przez nie domknięte okiennice wlewały się do środka leniwe promienie księżyca, oświetlając kamienną posadzkę. Wokoło panował bałagan, jaki pozostawiła po sobie policja. Dopiero po dłuższym wahaniu odważyła się wejść do sypialni Warrena. Była pusta. Drzwi do łazienki stały otworem, co świadczyło, że wyjeżdżał w pośpiechu.

Masz bujną wyobraźnię, pomyślała. Źle zrobiła, pozwalając Nickowi zadzwonić do Tony'ego. Jego teksański akcent zdradzał go jak odciski palców. Wywołali sytuację, która mogła okazać się niebezpieczna dla nich obojga. Ten telefon to jakby płachta na byka. Kto wie, do czego jeszcze zdolny był Bradford.

Janna podeszła do frontowych drzwi. Zatrzasnęła zasuwę i włączyła alarm. Kiedy zasłaniała okno, spostrzegła jednego ze strażników, których ciotka Pithany wynajęła do ochrony domowników i posiadłości. Nie powinna się więc niczego obawiać.

Szybko wsunęła się pod kołdrę, obejmując Nicka. Jeszcze raz rozejrzała się wokoło, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego. Zamknęła powieki. Żałowała, że nie poprosiła ciotki o rewolwer Iana MacShane'a. Wciąż leżał w szufladzie nocnej szafki w sypialni Pithany.

Upragniony sen nie nadchodził. Za bardzo pochłaniały ją niespokojne myśli. Zawsze mam wrażenie, że Amanda Jane nas obserwuje, pomyślała. Otworzyła oczy, by upewnić się, iż są sami w sypialni.

Collis leżał rozciągnięty na leżaku, ustawionym w pełnym słońcu na tarasie, w pobliżu wielkiego, hotelowego basenu. Kiedy usłyszał sygnał stopera, obrócił się na brzuch. Równo-

mierna opalenizna była ważniejsza od przyglądania się pewnej Niemce, która swymi potężnymi, wylewnymi kształtami mąciła spokój lśniącej wody w basenie. Właściwie nie rozumiał, dlaczego ją obserwuje. Miała szerokie plecy, jakby przez całe życie ciężko pracowała fizycznie na farmie, olbrzymie piersi i zdecydowanie zbyt grube nogi. Collis starał się zebrać myśli, które natrętnie skupiały się wokół jego erotycznych pragnień. Chciał wyglądać jak najlepiej — ciemna opalenizna zawsze czyniła go bardziej atrakcyjnym, kontrastując z blond włosami i uwydatniając łagodny błękit oczu. Musi wywrzeć odpowiednie wrażenie, kiedy pojawi się nieoczekiwane na przyjęciu, wydanym przez Janę z okazji otwarcia Blue Grotto. Athertonowie zapewne myśleli, że pozbyli się go na zawsze. Nic bardziej mylnego. Bez żadnych problemów namówił sekretarza Reginalda, by ten skopiował dla niego testament starego. Później wyciągnął od pocziwego Włocha zatrudnionego w knajpie Scheriff's Lench, iż Reggie wcale nie umarł w swojej posiadłości Lyforth Hall, lecz w pewnym wielce podejrzanym mieszkaniu w Hammersmith.

Collis uśmiechnął się na myśl, jaki skandal mógłby wywołać, ujawniając te wszystkie informacje. Zwłaszcza Warren, to cudowne dziecko torysów, byłby skończony na arenie politycznej. Żadnych wywiadów więcej, żadnych patetycznych przemówień — smutny koniec dobrze zapowiadającej się kariery. Naturalnie, Athertonowie mogli jeszcze zapobiec tej straszliwej katastrofie. Wystarczyła odpowiednia suma. Na początku Collis nie potrafił się zdecydować, czy powinien załatwić Athertonów od razu, czy raczej poczekać, grać na zwłokę, podrażnić ich trochę, a kiedy nadejdzie właściwy moment, znokautować. W końcu doszedł do przekonania, że informacje o starym Athertonie mogą z czasem zyskać na wartości. Zwłaszcza jeśli Warren rzeczywiście zdobyłby miejsce w rządzie Jej Królewskiej Mości.

— Słuchaj pan, czy cytałeś już gazetę? — spytał zniecierpliwiony gruby starszawy jegomość, który usadowił się na sąsiednim leżaku.

Collis w pierwszej chwili nie zrozumiał. Poważne ubytki w uzębieniu mężczyzny sprawiały, że każda wypowiedziana przez niego spółgłoska przechodziła w dokuczliwy, nieprzyjemny gwizd.

— Nie — Collis chciał od razu przeciąć uciążliwą konwersację. Londyńskie gazety dokładnie śledziły wydarzenia na Malcie. Życie Athertonów, a od pewnego czasu Warrena, zawsze znajdowało się w centrum ich zainteresowania. Wczoraj Warren wrócił z Fort Halstead z wynikami badań. Jednoznacznie wynikało z nich, że pies Rommie został otruty tą samą substancją, co kilka miesięcy wcześniej niejaki Trevor Prescott.

— Spójrz pan — starszy mężczyzna rozłożył gazetę. — Satruły miód, który snalesli w ciasteczkach, był srobiony z oleandra. To parsywe psy!

— Kto sprzedawałby zatruty miód? — spytał uprzejmie Collis, mając nadzieję, że nie usłyszy odpowiedzi.

— I pomyśleć, że mogli satruć lorda Lyforthu! — mężczyzna był szczerze oburzony.

— No — w głębi duszy Collis żałował, że tak się nie stało. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego zwykli ludzie przywiązują taką wagę do arystokratycznych tytułów. Denerwowało go to. Starszy mężczyzna znów zaczął coś mówić, ale jego słowa skutecznie zagłuszyła potężna Niemka, zawzięcie wiosłując wodę długimi, silnymi rękoma. Collis prawie zapomniał o germańskiej syrenie. Usiadł, nasmarował się olejkiem, zerkając ukradkiem w stronę basenu. Potem znów ułożył się na brzuchu, solennie obiecując sobie, że wymaże z pamięci pływający się w wodzie imponujący biust.

— No i co pan na to?

— Przepraszam, ale nie dosłyszałem... — Collis wysiłkiem woli starał się opanować irytację. Gwizd wydobywający się z ust nieznajomego zaczynał go męczyć.

— Mówiłem, że naszym chłopcom z Fort Halstead znów się udało. Sgodnie z tym, co piszą w gazetach, na wisytówce, którą snalesiono w pudełku z satrutymi ciasteczkami, odkryto odsiski palsów niejkiej Rhondy Sibbett. Mieszka tutaj, na Malcie.

— Nikt nie prześcignie Anglików, jeśli trzeba rozwikłać kryminalną zagadkę — odparł Collis.

Jego rozmówca przytaknął mu chętnie, po czym dla przypieczętowania zawartej dopiero co znajomości zaproponował wspólnego drinka. Collis czujnie odmówił. Kiedy urażony jego mość oddalił się w kierunku baru, by tam wlać w siebie odpowiednią do jego masy ilość toniku z ginem, czujne ucho wychwyciło ważną zmianę. Miarowe uderzenia w wodzie ustały. Pochylił się do przodu, udając, że sięga po butelkę z olejkiem do opalania. Znad czarnych okularów obserwował Niemkę, która posuwistym krokiem zmierzała właśnie w stronę drabinki. Jej imponujące piersi rozcinały wodę niby dziób jakiegoś ogromnego statku. Kiedy wchodziła po drabince, a strumienie wody spływały po jej obcisłym kostiumie, Collis poczuł dziwnie znajome mrowienie w stopach. Dziewczyna istotnie miała zbyt silne ramiona, ale za to jej siedzenie wynagradzało wszelkie inne niedoskonałości. Niespokojnie obrócił się na brzuch, jakby taka właśnie pozycja chroniła od erotycznych skojarzeń. Nie potrafił zapanować nad swoimi popędami. To mogło go kiedyś zgubić. Na przykład Annabelle. Ta mała kurewka, zanim wyjechał z Londynu, oświad-

czyła mu beczelnie, że jest z nim w ciąży. Na myśl o jej zniekształconej przez poród figurze po prostu robiło mu się niedobrze. Zaraz po powrocie musi się od niej uwolnić.

— Sie sind za bardzo gebrant... spalony.

Collis obrócił głowę i spojrział do góry. Germańska amazonka stała nad nim, przypatrując mu się z podobnym zainteresowaniem co on jej parę chwil temu. Bez słowa podał jej butelkę z olejkiem, obrzucając szybkim spojrzeniem jej imponujące piersi. Potem położył się ponownie i czekał, aż zacznie nacierać mu plecy. Ale ona zamiast tego wylała trochę olejku na jego barki, a potem zaczęła je powoli masować.

— Dobrze ci to idzie — powiedział odwracając się.

— Ja, ja...

Ale nie w angielskim, pomyślał. Niemka masowała coraz niżej, szczególnie troskliwie zajmując się jego brzuchem i wewnętrzną stroną ud. Collis nie zdziwiłby się, gdyby dziewczyna okazała się zawodową masażystką. Miała naprawdę wprawne palce. Kiedy pierwszy raz musnęła jego jądra, pomyślał, że to przypadek. Nic nie mówiący uśmiech nie zdradzał jej intencji. Ale potem nagle jej dłoń zawędrowała w jego kąpielówki, poszukując najwyraźniej nowych, bardziej ekscytujących miejsc dla masażu.

— Gut? Ja?

— Tak, tak, bardzo gut. Tam mój pokój — oszołomiony nieco Collis rzucił przytomnie propozycję. Dziewczyna wzięła go za rękę, przeszli przez hol recepcyjny, po czym wsiedli do windy. Przyglądał się jej uważnie. Była jeszcze bardzo młoda, siedemnaście, osiemnaście lat. Doskonały materiał na hausfrau za jakieś pięć lat. Ale teraz...

Niemka wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik STOP. Winda zatrzymała się między piętrami. Popchnęła go do przodu, a kiedy bezwiednie oparł się o ścianę, wprawnym ruchem policjanta z dwudziestoletnim doświadczeniem rozstawiła mu nogi, przyklękła i zanim w ogóle zdołał coś wykrztusić, ściągnęła mu kąpielówki i zabrała się do solidnej, perfekcyjnej niemieckiej roboty.

Pithany siedziała samotnie na balkonie hotelu Blue Grotto, wpatrując się w malowniczą lagunę. Delikatny wiatr od strony morza poruszał liśćmi winnej latorośli, która przytulona do ścian i kolumn, roznosiła dokoła słodką, niepokojącą woń upalnego lata. Było tak spokojnie i cicho, aż trudno uwierzyć, że w ogromnej sali bankietowej, dwie kondygnacje niżej, dziesiątki przedstawicieli agencji turystycznych, dziennikarze, ludzie polityki i sztuki opychali się kanapkami i wlewali w siebie drinki.

Janna przygotowała wyjątkowy spektakl dla swoich gości. Kazała przymocować na skałach rząd pochodni, które o zmierzchu, migocąc na wietrze, tworzyły ognisty łańcuch, otaczający zatokę zamkniętym, świetlistym kręgiem. Kiedy ściemniło się jeszcze bardziej, można było ulec złudzeniu, iż zmęczone przebywaniem na niebie gwiazdy postanowiły zejść na ziemię, by wykapać się w turkusowej, ciepłej wodzie Morza Śródziemnego. Ale na tym nie koniec. Poleciała także zamontować silne reflektory głęboko pod wodą. Rozświetliły morską toń, ukazując cudownie kolorowe, obrosnięte roślinnością skały koralowca. Wśród tańczących traw morskich wiły się ławice małych ryb, a po piaszczystym dnie dostojnie przechadzały się kraby. Był to widok niezapomniany, zwłaszcza dla Amerykanów, przyzwyczajonych do styropianowego świata w Disneylandzie. Dla wzmocnienia efektu Janna wynajęła rybaków, którzy na podobieństwo weneckich gondolierów przepływali na swoich łodziach pod fantastycznymi łukami skał.

Goście sprawiali wrażenie zadowolonych. Zjeżdżali do Blue Grotto od dwóch dni. W hotelu nie było ani jednego wolnego miejsca. Szkoda tylko, że nie płacili za pobyt. Taki był jednak zwyczaj. Każdy wielki, szanujący się hotel rozpoczynając działalność, oferował w ramach reklamy dwa dni gratis. Janna i tak poszła znacznie dalej, organizując dla gości wiele dodatkowych atrakcji, jak choćby wycieczkę do świątyni Hagar Qim.

Pithany Crandall uśmiechnęła się. Dobrze, że to właśnie Janna, a nie ktoś inny, zajęła się hotelem. Blue Grotto stał się pewnego rodzaju obsesją Pithany. Kiedy cała wyspa świętowała zwycięstwo nad Hitlerem, ona wybrała się nad lagunę, która od lat była własnością jej rodziny. Cztery godziny spędziła w całkowitej samotności, otoczona najpiękniejszym krajobrazem świata. Srebrne liście oliwnych gajów trzepotały niby ptasie skrzydła na wietrze. Wokoło rozbrzmiewała muzyka pszczoł, które w szalonym tempie uwijały się w kielichach kwiatów. Pithany siedząc nad brzegiem morza, chłonęła ciepłą, ożywczą atmosferę. Nic nie mogło jednak ukoić jej żalu, który jak ostry cierń ranił młode serce. Ian nigdy już nie wróci. Co ma zrobić z resztą swojego życia? Wojna, w pewnym sensie, postawiła przed nią konkretny cel. Teraz nie miała wyjścia, musiała poświęcić się odbudowie trzech hoteli na wyspie, które ojciec pozostawił po sobie.

Na długo przed wyzwoleniem mieszkańcy wyspy zastanawiali się nad swoją przyszłością. Wprawdzie zachowało się kilka zabytków, których Niemcy nie zdołali zniszczyć, ale Valletta leżała w gruzach. Ojcowie miasta optowali za rekonstrukcją starych kamienic i sprzeciwiali się stawianiu ohydnych, nowoczesnych budynków. W końcu zwyciężyła bardziej postępowa

koncepcja w myśl popularnego wśród Maltańczyków hasła, iż Valletta powinna zyskać wygląd godny stolicy i miasta dumnego ze swej średniowiecznej tradycji, ale zarazem i otwartego na nowe trendy.

Po tych wszystkich ciężkich, pracowitych latach, choć wyszła zwycięsko z potyczek z losem, Pithany musiała pogodzić się z samotnością. Wybudowała najwspanialszy hotel nad całym Morzem Śródziemnym, postawiła swojemu ukochanemu pomnik w miejscu, które pokochałby tak samo mocno jak ona. A jednak jej największe marzenie nie mogło się nigdy ziścić. Choć tak bardzo tego pragnęła, Ian nie mógł uczestniczyć u jej boku w otwarciu nowego hotelu.

Pithany odpędziła od siebie wspomnienia. Bała się, że skończy jak wiele bogatych, podstarzałych kobiet, które swoje stesy wynikające z rozgrzebywania przeszłości zwykły leczyć szklaneczką brandy i zbyt grubą warstwą makijażu. Na niższym tarasie spostrzegła Nicka. Właśnie rozmawiał z Clybournem Hooeyem VI, publicystą z pisma „Travel Logue”, które w branży turystycznej było czymś na podobieństwo Biblii lub *Kapitału* Marksa. Lubiała myśleć o Nicku jako swoim synu, którego zawsze pragnęła mieć. Był tak podobny do Iana. Gdyby jakoś udało się Pithany połączyć go z Janną, być może w pewnym stopniu spełniłoby to jej tragicznie przerwana miłość do MacShane'a.

Nick spostrzegł, że Pithany go obserwuje. Przeprosił swojego rozmówcę i wszedł po schodach na wyższy taras.

— To było dla mnie prawdziwe przeżycie, mieć okazję rozmawiać z facetem, który ma numer przy nazwisku — oświadczył z przejęciem.

— Jest strasznie zarozumiały.

— Zgadza się. Jego ego przebywa zwykle w stratosferze. Okazyjnie na ten wieczór zdecydowało się zejść z piedestału, by zrównać się z naszym poziomem. — Nick przechylił się przez barierkę. — Mam jednak i dobrą wiadomość. Podoba mu się hotel. Wynajął już miodowózłoty apartament dla swojego syna. Sądzę, że Hooey numer siedem przeżyje w nim niezapomniane chwile.

Próbował dojrzeć Jannę w tłumie gości. Właśnie rozmawiała z kimś z personelu, zapewne dając ostatnie wskazówki. Powinni spędzać każdą noc razem. Nick chciał rozmawiać z nią częściej, ale nie o błahych sprawach, lecz o nich samych. Pierwszy raz od pięciu lat obecność jakiejś kobiety u jego boku sprawiała mu tak wielką radość. A jednak im bardziej przywiązywał

się do Janny, tym mocniej odczuwał utratę jakiejś bardzo ważnej części samego siebie, która łączyła go z przeszłością.

Wiedział, że Amanda Jane nie miałyby nic przeciwko temu, iż związał się teraz z inną kobietą. W dalszym ciągu nie potrafił się jednak uporać z myślą, że w jakimś sensie zdradza swą miłość do zmarłej żony. Powinien odczekać. Ostatecznie rozwód Janny jest dopiero w toku. Czas pokaże, czy jego obawy były uzasadnione.

Wiem jednak, że życie trzeba z kimś dzielić, pomyślał Nick, patrząc na Pithany Crandall. Pomimo iż podziwiał tę wspaniałą, odważną kobietę, nie chciał, tak jak ona, żyć w samotności, kochając wiernie człowieka, który już dawno odszedł.

Zerknął na Janne, wciąż zajęta rozmową, i przypomniał sobie, jak budząc się dzisiaj rano, zobaczył ją leżącą obok siebie. W jej spojrzeniu było tyle miłości, iż zdawało się mówić do niego „kocham cię”. Zanim zdołał coś odpowiedzieć, wstała z łóżka i poszła do łazienki. Chciała mu prawdopodobnie zaoszczędzić w ten sposób zakłopotania.

Warren obejmując Shadoe prowadził ją przez tłum gości. Nagle ktoś położył dłoń na jego ramieniu.

— Generalny inspektor Muscat czeka na pana w holu — powiedział kelner.

Warren wybrał krótszą drogę przez werandę i ogród. Miał nadzieję, że Muscat nie ma dla niego żadnych złych wiadomości, które zaszkodziłyby Jannie w interesach. Jak dotąd cała akcja wymierzona w Bradfordów przebiegała pomyślnie. Udowodniono, że pani Sibbett była zamieszana w morderstwo Trevora Prescottta. Policja wystąpiła z wnioskiem o ekstradycję do władz Monako, gdzie schroniła się Rhonda. Trzeba ją tylko przycisnąć do muru, a od razu wyda Curta Bradforda, pomyślał Warren. O wiele trudniej będzie wplątać w aferę Tony'ego, lecz dla młodego Athertona stało się niemal punktem honoru, by policzyć się z człowiekiem, który tak wiele złego wyrządził Pithany. Nie mógł pozwolić, by teraz szykanował Janne.

— Inspektorze — Warren wyciągnął dłoń na powitanie.

— Sir... lordowska mość...

— Po prostu Warren — odparł przywykły już do tego, że jego tytuł wprawia wiele osób w zakłopotanie.

— Obawiam się, że mam dla pana złe wieści. Warren wstrzymał oddech i spytał:

— Co się stało?

— Rhonda Sibbett popełniła samobójstwo.

Janna z trudem przebiła się przez zebranych gości i wyszła na werandę. Przyjęcie okazało się sukcesem. Nie mogła wprost uwierzyć w swoje szczęście. Wiedziała, że ciotka Pithany jest z niej dumna. Hotel, o którym przez całe życie marzyła, został włączony w sieć najbardziej elitarnych, pięciogwiazdkowych hoteli. To było wszystko, co mogłam dla niej uczynić, pomyślała. Za wszystkie te lata, podczas których otaczała mnie miłością, chociaż sama była tak bardzo spragniona tego uczucia...

— Wyglądasz cudownie — powiedział Nick, kiedy Janna podeszła do niego i Pithany.
— Czy jej suknia nie jest szalowa?

— Tak. Jest bardzo szykowna — ciotka skinęła głową.

— Ciociu, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli porwę na chwilę Nicka? Chcę, by poznał wydawcę z „Diver's World”. Warren miał z nim porozmawiać na temat reklamowego filmu o morskiej przyrodzie Malty. Niestety, przepadł gdzieś bez śladu.

— Idźcie, dzieci — odparła. — Ja tu jeszcze zostanę i popatrzę sobie na morze.

Nick objął Janne, a ona uśmiechnęła się do niego. Już dawno nie była tak szczęśliwa. Udali się w kierunku baru, gdzie czekał na nich wydawca. W tym momencie spostrzegła Collisa, który szedł wprost na nich.

21.

Collis dokładnie wyreżyserował całą sytuację. Ze swej odległości spokojnie obserwował, jak Janna szła w jego kierunku u boku wysokiego, raczej przystojnego mężczyzny. Nietrudno było zauważyć, co do niego czuła. Collis od razu dostrzegł w jej oczach ten znajomy błysk dzieciennego oddania, który pamiętał z czasów, gdy chodzili na swoje pierwsze randki. Świadomość, iż ostatnią noc spędził w silnych objęciach Gerty, germańskiej amazonki, pozwoliła mu łatwiej znieść fakt, iż jego żona nie jest aż tak niewinna, jak dotąd sądził. Nie mógł sobie jej wyobrazić, jak obciąża druta jakiemuś obcemu facetowi. Intelktualne rozmowy przy obiedzie, ewentualnie długie spacerzy przy księżycu były bardziej w jej stylu. A nawet jeśli obciąża, to co z tego. Niech inny także ma przyjemność — pomyślał. Collis przede wszystkim potrzebował pieniędzy Janny, a Athertonowie mieli ich nieprzyzwoicie dużo. Z odpowiednim kapitałem mógł podróżować z kraju do kraju, wygłaszać wykłady i uszczęśliwiać najbardziej niewyżyte studentki, takie chociażby jak Gerta.

Collis z rozbajającym uśmiechem podszedł do Janny i Nicka.

— Kochanie — nachylił się i pocałował ją w policzek. — Spisałaś się doskonale. Ten hotel jest uroczy!

— Co ty tu robisz? — Janna nie mogła zapanować nad grymasem, który wykrzywił jej usta.

— Myślałem, że zechcesz, byśmy byli razem w tak doniosłej chwili. — Kątem oka Collis uważnie przyglądał się nieznanemu mężczyźnie. Z bliska wyglądał bardziej atrakcyjnie. To zapewne on zawrócił Jannie w głowie.

— Zobaczymy się później. — Nick odszedł, pozostawiając Janę z Collisem.

— Dlaczego miałabym cię potrzebować? Zrobiłeś wszystko, aby uniemożliwić mi pracę u ciotki Pithany.

— Przyznaję, popełniłem błąd. Jesteś urodzoną kobietą interesów.

— Przestań mi schlebiać. Powiedz od razu, czego chcesz. Tego akurat nie zamierzał jej mówić, przynajmniej na razie.

— Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie, kochanie. Nie możesz robić takiego problemu tylko dlatego, że przyłapałaś mnie z jakąś kobietą. Gdzie się podział twój styl. Pamiętasz, jak było z Karolem Marksem? Jego żona miała bardzo tolerancyjny stosunek do pozamałżeńskich przygód męża. Została pochowana wraz z nim i jego kochanką we wspólnym grobie na cmentarzu Highgate. A Nelson i lady Hamilton...

— Gówno mnie obchodzi Karol Marks i jego głupia żona. Ja nie potrafiłabym oszukiwać mężczyzny, którego kocham, rozumiesz? — Janna wymownie spojrzała w stronę Nicka.

Collis zaniepokoił się. Nigdy przedtem nie słyszał, by Janna używała podobnych słów. To jednak nie było jeszcze takie najgorsze. W jej zachowaniu Collis wyczuł niebezpieczną siłę i zdecydowanie. Przed wyjazdem na Maltę Janna taka nie była. Pozwalała sobie wszystko wmówić. Nie sprzeciwiała się. Brakowało jej samodzielności, łatwo uzależniała się od innych. Collis chciał bliżej poznać tego obcego mężczyznę. Miał dziwne przeczucie, że to właśnie on odegrał w przemianie Janny najważniejszą rolę.

— Nie przyjechałeś chyba tylko po to, by sprzedać mi kilka tanich komplementów i zaproponować małżeński układ?

Collis uśmiechnął się tajemniczo.

— Chciałbym później porozmawiać z tobą i Warrenem w pewnej rodzinnej sprawie.

— Z Warrenem? Co on ma z nami wspólnego? To są problemy do rozstrzygnięcia tylko pomiędzy nami. Nie wyciągniesz od naszej rodziny złamanego grosza. Czy wyrażam się jasno?

Collis spieszył się trochę tym, że Janna tak szybko domyśliła się, po co do niej przyjechał. Zaczynała mu działać na nerwy. Ostateczne zerwanie przyjąłby z wielką ulgą.

— Wiem, że ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy — Janna obrzuciła Collisa pogardliwym spojrzeniem. — Sama się sobie dziwię, jak mogłam wyjść za ciebie.

Obrzydzenie, z jakim wypowiedziała te słowa, mogło zdeptać poczucie pewności siebie u każdego mężczyzny... z wyjątkiem Collisa. Zbyt dobrze znał Jannę. Ta historyjka z Marksem wprawdzie nie wypaliła, ale następne uderzenie dosięgnie z pewnością celu. Collis spojrzał w stronę Nicka, po czym spytał lekceważącym tonem:

— Czy przynajmniej jest dobry w łóżku?

— Twój problem, Collis, polega na tym, że nie odróżniasz seksu od miłości — wycelowała oskarżycielsko palec w jego prążkowany krawat. — Oddam ci wszystko, dom, samochód, prywatne konto, tylko zniknij z mojego życia raz na zawsze. Nie waż się wyłudzać od Warrena żadnych pieniędzy.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zniknęła w tłumie gości. Był zbyt próżny, by sam przed sobą przyznać się do porażki. W rzeczywistości Collis czuł się całkowicie zbity z tropu. I nie dlatego, że tak ostro zareagowała na jego pojawienie się w Blue Grotto, lecz że tak szybko znalazła sobie innego mężczyznę. Janna zawsze wszystko dokładnie planowała, a ostrożność w życiu uważała za najwyższą cnotę. Szybkie znajomości nie należały do jej stylu. Jej kochanek mógł uchodzić za przystojnego. Może gdyby wyglądał jak jeden z tych chuderlawych informatyków, którzy zamiast jaj mają mikroprocesory, Collis nie czułby się aż tak dotknięty. Nie spodziewał się, że sprawy przyjmą dla niego zły obrót. Szybko otrząsnął się jednak z osłupienia. Wciąż miał przewagę nad Athertonami. Znał prawdę, która, jeśli tylko tego zechce, może ich życie zamienić w piekło.

Pithany z troską obserwowała ożywioną rozmowę pomiędzy Janną i Collisem. Nie mogła usłyszeć słów, ale po gestach i wyrazie twarzy Janny domyśliła się, że Collis otrzymał należną odprawę. Podeszła do Nicka. Właśnie rozmawiał z jakimś nieznajomym. Po znaczku, który nosił w klapie smokinga, dwa złote skrzyżowane klucze, Pithany domyśliła się, że zapewne pracuje jako konsjerż w którymś z dużych, ekskluzywnych hoteli. Nick przedstawił jej Etienne Terraila, znanego konsjerża z hotelu Ritz w Paryżu. W tym momencie do grupy przyłączył się Collis. Pithany była zmuszona przedstawić mu Etienne i Nicka. Kiedy wymieniała nazwisko teksańczyka, spostrzegła w oczach Collisa wyraz głębokiej niechęci, a nawet nienawiści.

— A więc pan jest tym przedstawicielem Imperial Cola — powiedział Collis. — Zdaje się, że jest pan tam menedżerem zaopatrzenia.

W jego ustach słowo „menedżer” zabrzmiało jak obelga. Nick starał się nie zwracać uwagi na obcesowy ton rozmówcy, skinął tylko głową.

— Wiele słyszałem o pana firmie — dodał Collis. — Zwykle polityka inwestycyjna służyła mi jako doskonały przykład podczas seminariów w londyńskiej Szkole Ekonomii.

Pithany wiedziała, do czego Collis zmierza. Ponieważ nie chciała, aby wywołał skandal przy tak ważnym gościu jak Etienne, wzięła Francuza pod rękę i poprowadziła w stronę baru.

— Na pewno jest pan ciekawy, jak wygląda nasz automat do nalewania wina...

Nick czuł się zakłopotany, zostając sam na sam z mężem Janny. Aż do tego spotkania Collis Pembroke był tylko nieprzyjemnym wspomnieniem małżeńskiego wiarołomstwa. Teraz stał przed Nickiem we własnej osobie, jakby chciał przypomnieć, że jest prawowitym mężem Janny.

— Należę sobie jeszcze — Nick spojrzał na pustą szklanę.

— Ja także się napiję — Collis poszedł za Nickiem do baru. Można było odnieść wrażenie, że nie chce go opuścić nawet na krok.

— Czytałem, że Imperial Cola straciła akcje hoteli Balfour. Dynasty-Cola przebiła was siedemdziesięcioma pięcioma milionami dolarów...

Nick w ogóle go nie słuchał. Doszedł do wniosku, że tego faceta nie da się lubić, bez względu na to, czy byłby mężem Janny czy nie.

— W ten sposób Dynasty ma w rękę dużą część waszych udziałów — mówił dalej Collis.

Co za dupek, pomyślał Nick. Spodziewał się, że Collis, będąc wykładowcą w renomowanej angielskiej szkole, okaże się człowiekiem z klasą. Doprawdy trudno było zrozumieć, dlaczego Janna wybrała go na męża.

Stanęli przy barze. Nick poprosił o jeszcze jednego Bushwackera.

— Dla mnie to samo — odezwał się Collis.

— Nie będzie ci smakowało — ostrzegł Nick.

— W porządku, spróbuję... Nick spostrzegł Warrena i Shadoe. Dał im znak ręką, aby poszli.

— Co ty tutaj robisz? — Warren spytał Collisa z wyraźną niechęcią w głosie. Nie było wątpliwości, że obaj nie darzą się zbytnią sympatią.

Pytanie, które zadał Warren, zabrzmiało groźnie i domagało się natychmiastowej odpowiedzi. Collis zignorował je jednak. Atmosfera zaczynała być ciężka. Mąż Janny powoli cedził ze szklanki Bushwackera, przyglądając się Warrenowi bezczelnie, tak jak wynajęty morderca obserwuje z bliska swoją ofiarę, delektując się jej niewiedzą.

— Nick — Warren zlekceważył Collisa — muszę z tobą porozmawiać na osobności.

Kiedy w trójkę, wraz z Shadoe, znaleźli się na pustym tarasie, Atherton oświadczył z przejętą, poważną miną:

— Rhonda Sibbett nie żyje.

— Zastrzeliła się — dodała Shadoe.

— Niech to szlag! — Nick liczył na to, że policja znajdzie Rhondę, a ona, przerażona perspektywą więzienia, wyda Bradfordów.

— Żandarmeria z Monako znalazła jej ciało dzisiaj nad ranem. Prawdopodobnie zgon nastąpił poprzedniego dnia wieczorem.

— To sprawka Bradfordów — Nick odparł bez wahania.

— Też tak uważam — poparła go Shadoe.

— To brzmi logicznie — Warren pokiwał głową. — Niemniej policja jest przekonana o samobójstwie. Na dłoni Rhondy znaleziono ślady prochu, a na pistolecie odkryto jej odciski palców. Służący twierdzi, że tego dnia Rhonda nie miała żadnych gości. Willa, w której mieszkała, była dobrze strzeżona. Poza tym Sibbett pozostawiła list. Wyznaje w nim, że świadomie dała Trevorowi zatrute miód.

— Jeśli nawet, to z ich inicjatywy — powiedział Nick. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Bradfordom chodziło o hotelowe akcje. Najpierw zabili Trevora, później próbowali pozbyć się jego spadkobiercy.

— W każdym razie ten list oczyszcza Bradfordów z wszelkich zarzutów. Rhonda zabiła Trevora, ponieważ sądziła, iż w ten sposób zdobędzie dla ukochanego akcje hotelu Blue Grotto. Była w trakcie sprawy rozwodowej i chciała wyjść za Curta.

— Czy chcecie, bym uwierzył, że Bradfordowie o niczym nie wiedzieli?!

— Jest bardzo prawdopodobne, że Rhonda działała na własną rękę, również wtedy, gdy wysłała ci zatrute ciastka.

— To Bradfordowie zmusili ją do napisania tego listu, a potem zabili.

— Tony cały czas pozostawał na Malcie. Bierze udział w kilkudniowym turnieju golfowym — odparł Warren. — Curt jest w Puente Romano w Marbella.

— Co za zbieg okoliczności. Obaj mają perfekcyjne alibi. — Nick upominał się w myślach, by nie podnosić zanadto głosu. Nie chciał urazić Warrena. — Musieli kogoś wynająć.

— Jestem tego samego zdania. Naciskam na władze, by przeprowadzono w tej sprawie bardzo dokładne dochodzenie. Zamierzam także utworzyć w Fort Halstead tajną grupę dochodzeniową.

Nick przytaknął z aprobatą. Czuł głęboką wdzięczność dla Warrena, że tak bezgranicznie oddał się sprawie ujawnienia morderców Trevora. Jednak gdzieś głęboko w zakamarkach jego serca kryły się żal i złość. Znając całą prawdę, musiał pogodzić się z tym, że jego śmiertelni wrogowie wciąż bezkarnie mogą przebywać na wolności.

Collis obserwował z daleka całą trójkę. Mrużąc oczy, uważnie przyglądał się Amerykaninowi, który prowadził ożywioną rozmowę z młodym Athertonem. Nie bez goryczy Collis musiał stwierdzić, że Warren najwyraźniej darzył go zaufaniem i sympatią. W stosunku do męża swojej siostry nigdy nie zdobył się na taką wspaniałomyślność. Wręcz przeciwnie. O ile stary Atherton liczył się ze zdaniem Collisa we wszystkim, Warren po prostu go ignorował. Ale teraz przyszedł czas odwetu. Telewizyjna gwiazda Wielkiej Brytanii spadnie z hukiem na ziemię. Nikt nie ma prawa poniżać Collisa Coddingtona Pembroke'a. Jeśli zaś chodzi o tego teksańskiego jebakę, to Collis nie miał nic przeciwko temu, by Janna rozerwała się trochę. Nawet jeśli miałyby zostać jedyną spadkobierczynią Pithany Crandall, to i tak jeszcze bardzo długo nie zobaczy jej pieniędzy. Ta stara baba dożyje zapewne setki. W tym czasie Janna znudzi się kochankiem i wróci do męża. Wróci na pewno, i to już całkiem niedługo.

Goście przeszli do obszernej sali jadalnej, gdzie czekał na nich posiłek. Janna nie mogła dostrzec w tłumie Nicka.

— Gdzie jest Nick? — spytała brata zaniepokojona.

— Ktoś do niego zadzwonił. Właśnie rozmawia.

Janna musiała porozmawiać z Nickiem. Shadoe właśnie opowiedziała jej o śmierci Rhondy. Obie zgadzały się, że wersja o samobójstwie jest zbyt niewiarygodna. Janna chciała wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi Nick. Spodziewała się, że jest wściekły. Jeśli rzeczywiście Bradfordowie maczali palce w morderstwie Trevora, a potem w próbie zabójstwa Nicka, to teraz, po śmierci Rhondy, bardzo trudno będzie im to udowodnić. Ostatni goście zasiedli przy stole, kiedy Jensen wszedł do jadalni.

— Muszę natychmiast jechać do Houston. Austin Prescott znalazł się w szpitalu w bardzo ciężkim stanie. Nie ma szans na przeżycie — Nick nachylił się nad Janną. Pomimo że starał się ukryć wzruszenie, nie potrafił zapanować nad drżeniem głosu.

— Tak mi przykro, Nick — Janna uściśnęła jego dłoń. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Nic — patrzył w jej przepiękne, błękitnozielone oczy. — Czy wiesz już o Rhondzie? Przytaknęła.

— To oni ją zabili.

— Może policja odkryje, kto zmusił ją do napisania ostatniego listu...

— Nie bądź naiwna. Ci bandyci są zbyt przebiegli, by zostawić po sobie jakieś ślady. To czysta robota.

Odprowadziła go do drzwi sali. Goście zaczynali się niecierpliwić. Wszyscy czekali, aż Janna zasiądzie na honorowym miejscu, ale Nick był dla niej stokroć ważniejszy.

— Chcę, żebyś na siebie uważała, dziecino — pogładził ją dłonią po policzku.

— Będę uważać — wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. — Cokolwiek miało by się stać, pamiętaj, kocham cię.

Nick skinął głową. Widząc oddanie w oczach tej cudownej kobiety, zdał sobie sprawę, iż zachował się niezręcznie. Jednak krył nieokreślony żal w sercu. Chciał porozmawiać z nią o jej związku z Collisem, wyjaśnić wszystkie wątpliwości, rozwiać obawy. Ścisnął jej dłoń, wymamrotał coś na pożegnanie i wyszedł.

Kiedy szedł spiesznie przez opustoszały hol, jego myśli zaprzętały wspomnienia. Dlaczego Austin nie dał mu znać wcześniej? Kiedy widzieli się ostatnim razem, powiedział Nickowi, że pragnie umrzeć w spokoju i bez tych wszystkich kłótni, które towarzyszyły śmierci jego córki, Amandy Jane. Kiedy Amanda umierała w straszliwych cierpieniach, Nick zrobił rzeczywiście okropną awanturę. Krzyczał na Trevora i Austina, że nigdy nie wybaczy im tego, iż tak długo ukrywali przed nim prawdę. Poniosło go wtedy, ale przecież miał rację.

Teraz, po latach, kiedy opuszczała go ostatnia bliska mu osoba z jego stron rodzinnych, dobry, stary Austin Prescott, zdał sobie nagle sprawę, że nigdy już nie zdoła spłacić długu wobec tego wspaniałego człowieka. Był dla niego ojcem, którego Nick nigdy przedtem nie miał. Zachęcił go do powrotu do szkoły. A kiedy spostrzegł, że Nick kocha jego córkę, oddał mu ją za żonę. Jaki inny człowiek powierzyłby jedyną córkę mężczyźnie, który niczego nie miał i nie

wierzył nawet w samego siebie? A jednak Austin wiedział, że Nick kiedyś do czegoś dojdzie. Ufał w jego dobre, przepełnione miłością serce.

Kiedy rozmawiali po pogrzebie Trevora, Austin przyznał, że brak mu sił, by dalej walczyć z wyniszczającą chorobą. Nick chciał zostać przy starym, ale on sprzeciwił się, mówiąc: „idź, chłopcze, własną drogą”. Wyjazd na Maltę potraktował jako doskonale rozwiązanie dręczącego go dylematu. Odkrywając morderców Trevora, mógł spłacić chociaż niewielką część długu wobec Austina. Czy dzisiaj myślał podobnie? Zdawało się, że nigdy nie zdoła ukarać winnych śmierci przyjaciela.

Poczucie beznadziejności towarzyszyło Nickowi przez całe życie. Zmagał się z nim od samego początku. W szkole był zdany na łaskę nauczycieli. Walcząc z własnymi ułomnościami, nauczył się odporności i odwagi. Ta broń pomogła mu przetrwać, kiedy stracił ukochaną kobietę. Teraz los jeszcze raz postanowił wystawić go na próbę. Czy będzie miał dość odwagi, by stanąć przy łóżku umierającego Austina i powiedzieć mu, że mordercy jego syna są wciąż na wolności? Tej sprawy nie wolno tak pozostawić. Każdy otrzyma pełną zapłatę. Nick czuł złość, lecz prócz niej także siłę, która wypełniała jego serce. Wiedział, że któregoś dnia rachunki zostaną wyrównane i Tony Bradford trafi do więzienia razem ze swym zwyrodniałym synem. Kiedy Nick szedł wzdłuż parkingu, usłyszał za sobą wołanie:

— Jensen, już nas opuszczasz?

Odwrócił się i zobaczył Collisa, który śpieszył w jego stronę.

— Tak — odparł kierując się do samochodu. Nie miał zamiaru rozmawiać z Collisem, zwłaszcza teraz, kiedy myśłami był zupełnie gdzie indziej.

— Są pewne sprawy związane z Janną, o których powinieneś wiedzieć. Nick zacisnął pięści, ale w ostatniej sekundzie zdołał opanować wzburzenie.

— Jeśli Janna nie mówiła mi o nich, to znaczy, że nie są istotne.

— Widzisz, Janna nie ma pieniędzy. Reginald Atherton nie dał jej nawet złamanego grosza. Pithany Crandall, kochana ciotunia, jeśli Bóg da, pożyje jeszcze jakieś dwadzieścia lat. Całą forszę wpakowała w ten hotel, który wcale nie musi okazać się trafną inwestycją.

A więc Collis wiedział o ich związku i uważał, że Nickowi chodzi jedynie o pieniądze. Cóż za wyjątkowy palant — pomyślał Jensen.

— Nie interesują mnie pieniądze Janny. Mam własne...

— Czyżby? Skąd? Czy zarabiasz tak wiele?

Nick szybko otworzył drzwi samochodu i wsiadł do środka. Chciał jak najszybciej uwolnić się od natręta.

— Wszystko, co Janna może ci dać, to cholernie tradycyjne, usypiająco nudne pieprzenie się à la menuette.

Tego było już za wiele. Nick wyskoczył z auta, chwycił Collisa za krawat i przyciągnął do siebie z taką siłą, iż twarz Pembroke'a stała się purpurowa.

— Puszczaj, dupku — zacharczał dusząc się.

Nick puścił krawat. Collis obluzował kołnierzyk z trudem łapiąc powietrze.

— Nigdy nie wejdiesz do rodziny, rozumiesz — powiedział dysząc ciężko. — Jesteś cholernym przybłędą... Janna znudzi się... ona potrzebuje intelektualnej atmosfery, bodźców, które pozwolą jej uwierzyć w siebie...

— Szczam na ciebie — Nick odwrócił się i wsiadł do samochodu.

* * *

Przyjęcie dobiegało końca. Większość gości rozeszła się do swoich pokoi. Kilka par obracało się sennie na parkiecie w takt powolnej muzyki.

— Collis ma się jutro spotkać z nami w Falcon's Lair — powiedział Warren, obejmując ramieniem senną Shadoe. — Ostatecznie możemy spotkać się z nim jeszcze dzisiaj.

— Bez względu na to, co powie, nie wolno ci dać mu żadnych pieniędzy! — Janna była oburzona.

Collis umówił się z Warrenem na rozmowę pomimo jej wyraźnych przestróg.

— Dobrze — zgodził się.

Na parkiecie pozostała już tylko jedna para, Audrey i Ellis. Warren spojrział w ich stronę i zapytał nagle:

— Kiedy powiesz matce o rozwodzie?

— Noszę się z tym zamiarem już od dawna... ale jakoś nie mogę. Zobacz, jak bardzo są szczęśliwi. Czy mam prawo burzyć jej szczęście swoimi problemami?

— Myślę, że właśnie teraz jest odpowiedni moment — wtrąciła Shadoe. Janna nie była całkiem pewna.

— Dobrze, powiem jej — odparła z wahaniem. Orkiestra skończyła grać.

— Czy mam pójść z tobą?

— To miło, Warrenie, ale muszę załatwić to sama.

Janna wciągnęła głęboko powietrze i poszła w stronę matki. Audrey nigdy do końca nie potrafiła zrozumieć swoich dzieci, choć, trzeba jej przyznać, starała się jak mogła. Świat, który stworzyła wokół siebie, różnił się od rzeczywistego tak diametralnie, iż trudno było znaleźć z tą kobietą wspólny język.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Bardzo poważnie wyglądasz, moje dziecko — spostrzegła Audrey. Miała rumieńce na policzkach i wyglądała jak podekscytowana panienka na pierwszym w swym życiu balu. — Czy martwisz się o Taxi? Niepotrzebnie. Niczego jej nie brakuje.

— Nie chodzi o Taxi.

— A więc o co?

— Collis i ja postanowiliśmy się rozstać.

— Wszystko będzie dobrze, jestem pewna.

— To nie są przejściowe kłopoty małżeńskie. — Janna nie chciała przeciągać dłużej rozmowy. Musiała wreszcie powiedzieć prawdę. — Rozwód jest jedynym rozwiązaniem...

— Nareszcie mi to powiedziałaś!

— To ty wiesz o wszystkim?

— Naturalnie. Ellis podsłuchał rozmowę Warrena z jego radcą prawnym — odparła Audrey z rozbijającą szczerością.

— Powinam była powiedzieć o tym wcześniej, ale nie chciałam cię martwić.

— Wcale mnie nie zmartwiłaś. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie lubiłam Collisa.

— Myślałam...

— Przyznaję, że przy Reginaldzie zachowywałam się jak mała, wystraszona myszka — powiedziała z namysłem — ale to nie znaczy, że podzielałam jego wszystkie poglądy i sympatie, zwłaszcza jeśli byłam pewna, że się bardzo myli. Mogę z dumą powiedzieć, że nigdy nie zrobiłam niczego, co dałoby ci pretekst do ponownego zbliżenia z Collisem. Twój mąż wielokrotnie prosił mnie o to, bym porozmawiała z tobą, nakłoniła cię do powrotu. Jak wiesz, nie zrobiłam tego — w głosie Audrey kryła się patetyczna nuta heroizmu. Zawsze miała zwyczaj wyolbrzymiać swoje zasługi, bez względu na to, czego dotyczyły. Jednak Janna uważała tę przypadłość za nieszkodliwą.

— Dlaczego?

Audrey spojrzała poważnie na Janne.

— Jesteś mi zbyt droga, bym pozwoliła ci na błąd, który sama kiedyś popełniłam. Wyjść za mężczyznę, który nie kocha, to dla kobiety największa tragedia. Wiem o tym doskonale z własnego doświadczenia. Przez te wszystkie lata spędzone z Reginaldem próbowałam uwolnić się od niego. Chciałam wyjść za Ellisa, ale Reginald zawsze potrafił przekonać mnie, bym została z nim do końca. Nie chciałam, by to samo przytrafiło się tobie, moje dziecko.

Janna uświadomiła sobie w jednej chwili, że nigdy nie próbowała zrozumieć tej trochę ekscentrycznej, egzaltowanej i chwilami nieznośnej kobiety. Reginald zapewnił jej standard życia, o którym normalnie nie mogłaby nawet marzyć. Zapłaciła za to latami małżeństwa pozbawionego miłości, ciepła i zaufania. Zastanawiała się, czy Audrey wiedziała o seksualnych upodobaniach starego Athertona. Jeśli nawet, nigdy nie zdradziłaby tego nikomu.

— Myślę, że nikt tak dobrze nie zrozumie powodów mojego rozvodu z Collisem jak właśnie ty.

Audrey uścisnęła Janne.

— Życie jest zbyt krótkie, by unikać szczęścia. Żałuję jedynie, że zrozumiałam to tak późno.

* * *

Collis spóźnił się na spotkanie w Falcon's Lair. Kiedy wrócił do hotelu, przez pół godziny okładał spuchniętą szyję zimnymi okładami. Sina pręga jak na złość była zbyt wysoko, by przysłonić ją kołnierzykiem koszuli. Ten cholerny teksańczyk to jakiś niebezpieczny maniak — Collis wściekał się, uważnie studiując przed lustrem swoją ranę. Przez całą drogę nie mógł zapanować nad złością. Im bardziej zbliżał się do posiadłości Pithany, tym bardziej był zły... co dziwne nie na Nicka, ale na Warrena. Nie miał ochoty oszczędzać go ani dnia dłużej.

Zabawa w kotka i myszkę zaczynała go nużyć. Postanowił całą sprawę zakończyć jeszcze dzisiaj: pieniądze albo skandal.

Drzwi otworzył sam Warren. Ponieważ Collis spodziewał się służącego, był trochę zaskoczony.

— Coś ci się stało w szyję. Czy to jakaś nowa zmysłowa blondynka? — Warren nie szczędził złośliwości.

— To Jensen, ten facet zachowuje się jak szaleniec. Trzeba to zgłosić na policję.

Ku zaskoczeniu Collisa w salonie oprócz Janny i Shadoe czekali również Ellis Osgood, Audrey i ciotka Pithany. Próbuując ukryć zmieszanie, podszedł do Warrena i szepnął mu na ucho konspiracyjnym tonem:

— Nie sądzę, by to, co mam ci do powiedzenia, spodobało się wszystkim, zwłaszcza twojej matce.

— Audrey jest członkiem rodziny — Warren odparł bezceremonialnie na głos. — Nie rozumiem, dlaczego chcesz przed nią cokolwiek ukrywać. Chętnie wysłuchamy razem, co masz nam do powiedzenia.

Collis spróbował się uśmiechnąć. Wprawdzie nie wszystko przebiegało tak, jak sobie zaplanował, jednak obecność Audrey przy rozmowie mogła okazać się dla niego niezmiernie korzystna. Kto jak kto, ale właśnie żona Reginalda była najbardziej zainteresowana ukryciem prawdy o mężu.

— Czy sądzisz, że powinna dowiedzieć się o Gianie Paolo? — szepnął Collis.

Warren chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie Audrey wstała z sofy, podeszła do Collisa i powiedziała:

— Wejdz, Collis. Rozgość się — wskazała na krzesło obok stolika z butelkami.

Collis zajął miejsce. Powoli nalał sobie spory kieliszek koniaku Le Paradis, choć nikt z obecnych nie zaproponował mu drinka. Kątem oka obserwował, jak Warren podszedł szybko do matki i coś szepnął jej do ucha. Znów poczuł się panem sytuacji. Doskonale wiedział, co będzie atutem w tej rozgrywce. Miał zamiar wykorzystać psychiczną słabość Audrey, by wymusić na jej synu pieniądze.

— Zgadzam się na rozwód z Janną na jej warunkach — powiedział.

— Godna podziwu wspaniałomyślność, zwłaszcza jeśli dodać, że wszystko ci oddaję — odparła Janna.

Collis zignorował ten złośliwy komentarz. Gra toczyła się o wiele wyższą stawkę.

— Sądzę, że powinienem uzyskać rekompensatę za milczenie w pewnej bardzo delikatnej sprawie.

— W jakiej sprawie? — Janna spojrzała szybko na Warrena. Stał blady, kurczowo trzymając rękę Shadoe.

— Gian Paolo.

W salonie zapadła śmiertelna cisza, którą przerywało jedynie spokojne tykanie zegara. Janna bała się, że Audrey nie zniesie tego ciosu. Poświęciła własne szczęście dla związku, który od początku stanowił jedynie parawan dla homoseksualnych skłonności męża. Taka prawda potrafiłaby załamać najsilniejszą kobietę. Powinni byli powiedzieć jej o wszystkim, może wówczas rana nie byłaby tak bolesna.

— Skłonności mego męża do chłopców nie są dla nikogo z nas rewelacją — odezwała się nagle Audrey. Jej głos był zimny i całkiem opanowany.

Collis próbował cokolwiek wyczytać z twarzy pozostałych członków rodziny, chociażby cień zaskoczenia lub wahania. Widział jednak jedynie obrzydzenie, które żywili do niego. Postanowił ratować sytuację zdecydowanym pytaniem.

— Czy chcesz, by dowiedział się o tym cały świat?

A więc Collis okazał się zdolny nawet do takiej podłości — pomyślała z oburzeniem Pithany. Powinna pokazać temu łajdakowi, gdzie jest jego miejsce! I taki człowiek był mężem Janny. Wprost nie do uwierzenia. Pithany z trudem uspokoiła się. Wiedziała, że sprawa jest pomiędzy Collisem a Janną i Warrenem.

— Proszę cię bardzo, możesz opublikować wszystko — Warren nie wahał się nawet chwili.

Collis nalał sobie kolejny kieliszek. Oczywiście, Warren jedynie blefował. Nie powinien był mówić Jannie, że zamierza się spotkać z młodym Athertonem. Ona zbyt szybko zorientowała się w jego zamiarach i uprzedziła brata. Teraz i tak nie ma to znaczenia, kiedy on, Collis, miał w ręku same asy.

— Wszystko? Chyba nie chcesz, by dowiedziano się, że Janna nie jest twoją siostrą...

— Janna jest moją siostrą. Kawalek papieru nie zmienia moich uczuć.

Collis nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Zdaje się, że Reginald miał odmienne zdanie. Wydziedziczył ją na rzecz Giana Paolo.

Dostrzegł, że te słowa zraniły Jannę. Nie potrafiła zbyt dobrze odegrać swojej roli. Zawsze emocje brały u niej górę nad wyrachowaniem.

— Nie obchodzi mnie, co mój ojciec sądził o Jannie. Ona jest moją siostrą. Kocham ją całym sercem i nie pozwolę, by ktokolwiek bezkarnie ją krzywdził.

— Nie dostaniesz od nas ani grosza. Nie sprzedasz swojego milczenia — głos Janny drżał z emocji. Warren poruszył delikatną strunę ich rodzinnych uczuć. Nieważne, czy Athertonowie byli jej rodzicami i co sądził o niej Reginald. Najważniejsze, że miała swoją rodzinę, że czuła się bezpiecznie.

— Doprawdy? — Collis przechylił kieliszek i wypił do dna. — A co z polityczną karierą naszego złotego chłopca torysów?

— Anglicy są dość cywilizowanym narodem, by nie osądzać syna według występków ojca — szybko zareplikowała Janna.

— To prawda — zgodził się, nalewając następny kieliszek.

Sytuacja stawała się zabawna. Na twarzy Audrey i Shadoe malował się strach. Nareszcie pojęły, że nie żartuje. Ich ambicje być może przewyższały nawet plany samego Warrena. Może widziały w nim kandydata na lokatora w domu przy Downing Street 10. Teraz dostrzegły śmiertelne zagrożenie.

— Jak myślisz, czy owi cywilizowani Anglicy zaufają zwykłemu kryminaliście?

— Ty łajdaku...

— Pozwól mu mówić — Warren przerwał Jannie.

— Reginald wcale nie umarł w Lyforth Hall, lecz w słodkich objęciach Giana Paolo. Warren ukrył okoliczności śmierci, a jest to najzwyklejsze przestępstwo. Czy taki człowiek może zasiadać w rządzie, sami powiedzcie? Torysi są wyjątkowo wyczuleni na podobne dwuznaczności.

— Proszę — Audrey odezwała się błagalnym tonem. — On to zrobił dla mnie.

Collis spodziewał się, że pani Atherton załamie się pierwsza. Postanowił iść za ciosem.

— Dysponuję dokumentami, które jednoznacznie wskazują, że twój syn popełnił przestępstwo. Nie zmuszaj mnie, bym je opublikował.

— Dość tego, mój panie! — wykrzyknął doktor Osgood.

Te parę słów wypowiedzianych przez najspokojniejszego człowieka pod słońcem podziało na Collisa jak zimny prysznic. Doktor Osgood prawie wcale się nie odzywał. Jeśli już otwierał usta, to po to, by wydać jakąś diagnozę lub zalecić medykamenty. W każdym razie nikt nigdy nie słyszał go mówiącego podniesionym głosem.

— Jest mi obojętne, czy opublikujesz je czy nie — odparł Warren, obejmując ramieniem Shadoe. — Zanim poprosiłem tę piękną kobietę o rękę, pojąłem, że nic bardziej nie liczy się dla mnie, jak miłość do niej. Nie zamierzam robić politycznej kariery. Wiem, że postąpiłem niewłaściwie, ukrywając prawdziwe okoliczności śmierci ojca...

— Zrobiłeś to ze szlachetnych pobudek — dodała Janna.

— Jestem gotowy ponieść wszelkie konsekwencje.

Collis nie mógł uwierzyć. Tak pięknie obmyślony, misterny plan szantażu legł nagle w gruzach. Czy nigdy nie miał już zobaczyć upragnionych milionów?

— Opowiem wszystko redaktorom brukowców — rzucił rozpaczliwie.

— Żaden dżentelmen by tego nie uczynił — powiedziała Janna. — Każdy w tym pokoju wie jednak, że ty nim nie jesteś.

Collis udał, że nie dostrzegł uśmiechu na twarzy Pithany.

— Daję wam ostatnią szansę...

— Wynoś się! — Janna wskazała palcem drzwi.

Collis opuścił salon. Kiedy szedł spowitym w ciemnościach foyer, przyszło mu nagle na myśl, że historię śmierci starego Athertona można wykorzystać również w inny sposób, nie tylko opowiadając o niej dziennikarzom.

22.

Po tym, jak Collis opuścił Falcon's Lair, Janna postanowiła, że noc spędzi w domku dla gości. Wprawdzie Nick wyjechał do Teksasu, ale pokój, w którym mieszkał, przesiąknięty był jego zapachem, wypełniony jego osobą, tak jakby wcale z niego nie wychodził. Przez ostatnie tygodnie Janna coraz mocniej przekonywała się, że ich związek jest przeznaczeniem. Nie mogła uwierzyć, że spędziła kilka lat z człowiekiem, który na koniec okazał się zwykłym łajdakiem, pozbawionym honoru karierowiczem.

Dlaczego nie przejrzała Collisa od razu? A może właśnie tak musiało być, może musiała najpierw spotkać i pokochać Nicka, by przejrzeć wreszcie na oczy? Delikatne pukanie do drzwi wyrwało Janne z zamyślenia. Na progu stała zdyszana Shadoe.

— Wiem, że jest już późno — jej twarz rozpromieniała jakaś dziecinna radość — ale muszę z tobą porozmawiać...

— Proszę, wejdź — zaproszenie Janny okazało się całkiem niepotrzebne, bowiem Shadoe nie czekając na nie, szybko weszła do środka.

— Jestem taka szczęśliwa! Warren poprosił mnie o rękę tej nocy, kiedy zginął Rommie. Potem wszystko tak bardzo się skomplikowało i nie mieliśmy okazji, by was powiadomić. Dopiero dzisiaj, kiedy Collis...

— Opowiedz mi wszystko o waszym ślubie.

— Nie chcę jakichś wielkich uroczystości — Shadoe usiadła obok Janny, biorąc ją pod rękę — tylko rodzina, twoja rodzina.

— Teraz także i twoja.

Shadoe uśmiechnęła się melancholijnie.

— Chloe zawsze chciała mieć dziadka i babcię.

Janna dobrze wiedziała, że Shadoc pragnęła zawsze mieć własną rodzinę. Tarot stanowił jedynie wymówkę, lekarstwo na smutki i uczucie bezgranicznej samotności.

— Jesteś smutna — zauważyła Shadoc. — Zapomnij o Collisie.

— Byłam tak okropnie głupia. On nigdy mnie nie kochał...

— Nie jesteś pierwszą kobietą, która wyszła za niewłaściwego mężczyznę, i na pewno nie ostatnią. — Shadoc objęła Janne. — Ja sparzyłam się już trzy razy.

— Warren to co innego. Jesteście dla siebie stworzeni.

— To prawda. Żaden z moich byłych mężów nie kochał mnie tak mocno, jak Warren. Na ironię losu wychodziłam zawsze za mężczyzn, którzy wcale mnie nie kochali, chociaż tak rozpaczliwie potrzebowałam właśnie miłości.

— Żaden z nich nie był na pewno tak podły jak Collis. Teraz cała rodzina musi ponosić skutki mojej pomyłki, zwłaszcza Warren.

— Wiem, że cięży ci to poczucie odpowiedzialności, ale pamiętaj, że Warren sam postanowił ukryć okoliczności śmierci ojca i przewieźć jego ciało do Lyforth Hall.

— Nie zmienia to faktu, że teraz będą oblewać nas pomyjami w każdej brukowej gazecie...

— Jesteśmy dość silni, aby to znieść, Janno.

— Masz rację — odparła, choć w sercu czuła rozdzierający ból. Kiedy jednak podniosła głowę i rozejrzała się po pokoju, jej myśli powróciły do Nicka. — Przede wszystkim musimy zdemaskować morderców Trevora. Ta zbrodnia nie może pozostać nie wyjaśniona — odezwała się stanowczym tonem.

— Niech to szlag trafi — Tony zaklął po cichu, czekając, aż w słuchawce odezwie się wreszcie głos Curta. Jeden z braci Mifsud miał ściągnąć go z łóżka i przyprowadzić do telefonu. Tony nie mógł pojąć, dlaczego jego syn ma rozum afrykańskiej małpy.

Kiedy usłyszał o truciznie z oleandra, załamał się. To był najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek mógł komuś wpaść do głowy. To wszystko wina tej dziwki, Pithany — pomyślał. Gdyby to ona urodziła Curta, Tony na pewno nie miałby teraz tych wszystkich problemów z synem. Curt odznaczałby się inteligencją i sprytem jak Janna. Spójrzcie tylko na tę małą spryculę. Jeszcze kilka miesięcy temu nie miała bladego pojęcia o hotelach i prowadzeniu biznesu. Wystarczyło, by weszła w interes, popracowała ciężko i zaraz wyczuła, na czym polega zarządzanie poważnym finansowym przedsięwzięciem. Niestety, Curt ograniczał swoje zdolności

jedynie do dmuchania byle jakich panienek, które w nie wyjaśnionych okolicznościach odbierają sobie życie i piszą na pożegnanie wzruszające listy dla potomności.

— Słucham?

— Czy czytałeś gazety? — głos Tony'ego był beznamiętny, choć w głębi duszy niepokoił się, jak syn przyjął złą wiadomość.

— Że co?

— Rhonda Sibbett popełniła samobójstwo.

— Tak... wiem... ja chciałem — dalej słowa zamieniły się w bełkot. Tony skrzywił się. Jego syn znów zalał się w trupa.

— Ja ją kochałem... kochałem ją tak bardzo — łkał w słuchawkę.

— Przestań pieprzyć! Masz natychmiast wracać do domu. I pamiętaj, zamknij wreszcie tę swoją gadatliwą jadaczkę. Ani słowa więcej o Rhondzie.

— Nigdzie nie wrócę... To ty ją zabiłeś...

Tony rzucił słuchawkę.

— Co za gnojek! Parszywy gnojek! — nie mógł dłużej zapanować nad sobą. Najchętniej zatłukłby Curta własnymi rękoma. Jak mógł mówić takie rzeczy przez telefon. Czy już całkiem zwariował? Przecież linia mogła być na podsłuchu. Wprawdzie prawo na Malcie zdecydowanie zabraniało podobnej ingerencji w prywatne życie obywateli, ale Pithany miała potężnych sojuszników, choćby z Fort Halstead.

Bradford usiadł w bujanym fotelu. Patrzył w sufit, jakby tam szukał ukojenia dla nerwów. Policja niczego nie mogła mu udowodnić. Nic mu nie groziło. Zatarł za sobą wszelkie ślady. Kilka dni temu w tajemnicy popłynął na Sycylię do starego znajomego, Giuseppe Aldo, z mafii. Tam przy spaghetti dobili targu. Giuseppe posłał swych najlepszych specjalistów, by opiekowali się Rhondą. Perfekcyjne morderstwo, żadnych śladów. Gdyby chciał wykończyć kogoś, by zdobyć jego udziały w Blue Grotto, ponownie zwróci się do niezawodnego przyjaciela z Sycylii. Tony lubił spaghetti. Nigdy więcej nie powierzy niczego swemu dyletanckiemu, nieudolnemu synowi.

Po raz pierwszy w życiu Tony czuł, że popada w depresję. Przez dziesiątki lat budował swoje imperium. Czy miał je zostawić po śmierci synowi, którego głupota przerastała wszelkie wyobrażenia? Było tylko jedno wyjście — wnuczek.

Musiał doprowadzić do małżeństwa Curta z kobietą o wysokim ilorazie inteligencji. W tym momencie głos sekretarki przerwał jego rozmyślenia.

— Pan Collis Coddington Pembroke do pana.

— Niech poczeka piętnaście minut, a potem wpuść go do mnie.

Wystrzegając się każdego z klanu Pithany Crandall, Tony chciał zyskać na czasie, by rozważyć sytuację. Od chwili narodzin Janny Bradford miał na nią oko. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Pithany zgodziła się na jej małżeństwo z Collisem.

Przypomniawszy sobie długotrwały związek Curta z Rhondą. On także nie potrafił zapanować nad synem. Myśl, że Pithany borykała się z podobnymi problemami, sprawiła mu satysfakcję. Liczne romanse Collisa, a potem testament Reginalda, w którym stary wydziedziczył Janne, były Pithany na rękę. Mogła ściągnąć Janne na Malte, wkrótce wyda ją ponownie za mąż i zostanie babką licznych absolwentów Oxfordu, którzy za kilkanaście lat będą krzewić swą arystokratyczną kulturę Brytyjczyków wśród dzikich ludów Malty.

— Panie Bradford, wiele o panu słyszałem — Collis wszedł do gabinetu Tony'ego z wyciągniętą na powitanie ręką. — Przedsiębiorstwo Bradfordów zawsze służyło mi podczas wykładów jako doskonały przykład modelowo funkcjonującej korporacji. Pańskie dokonania są doprawdy imponujące.

— Czyżby? — Tony zdecydował się na niezobowiązujący uśmiech.

— Absolutnie.

Kiedy Collis usiadł przed biurkiem, Tony mógł dokładnie mu się przyjrzeć. Raczej przystojny, pomijając siną pręgę na szyi, ale Janna mogła dokonać lepszego wyboru — pomyślał. W tym momencie przypomniał sobie Nicka Jensena.

— Czym mogę panu służyć?

— Wiem, że ma pan wiele problemów z Pithany Crandall. Policja podejrzewa pańską rodzinę o próbę zamordowania człowieka, który jest w posiadaniu pakietu akcji Blue Grotto.

— W tych zarzutach nie ma cienia prawdy — przerwał mu Tony. — Mój syn wplątał się w związek z pewną nieźrównoważoną osobą, która... jakby to wyrazić, sama wzięła sprawę w swoje ręce. Jej samobójstwo i list, który pozostawiła, całkowicie oczyszczają nas z tych zarzutów.

— Athertonowie, zwłaszcza Pithany Crandall, wyrządzili panu wiele przykrości — Collis z niezmaconym spokojem podjął przerwany wątek.

Tony postanowił, że na razie będzie się trzymał historii o samobójstwie Rhondy. Znał ją niemal na pamięć. Każde słowo i gest miał perfekcyjnie dopracowane. Na wieczór zwołał konferencję prasową, na której zamierzał odegrać swoją rolę: zatroskanego ojca, który martwi się o

przyszłość lekkomyślnego syna, uwikłanego w tragiczną aferę miłosną z nieźrównoważoną morderczynią i samobójczynią w jednej osobie — amen.

— Rhonda Sibbett była największą przykrością dla mnie. Biedna kobieta. Co za nieszczęście.

Na twarzy Collisa pojawił się uśmiech, który Tony dobrze znał z odbicia w lustrze. A więc Pithany także miała swój problem — tym problemem był Collis Coddington Pembroke.

— No właśnie — Collis pochylił się do przodu, co miało oznaczać, iż razem z Tonym łączy ich wspólny cel. — Pomyślałem sobie, że zainteresują pana pewne pikantne informacje o rodzinie Athertonów.

Odgrzewane rewelacje, pomyślał Tony. Wiedział dokładnie wszystko o Pithany Crandall.

— Jakie informacje?

— O testamencie starego Athertona i pewnych tajemniczych okolicznościach jego śmierci.

Tony zdobył się na uśmiech, który znaczył, że jest tym zainteresowany, choć w rzeczywistości obie sprawy były mu doskonale znane.

— Młody lord Atherton może zostać oskarżony o złamanie prawa.

Tony nie dałby za taką informację nawet złamanego grosza. Kogo na Malcie obchodziło, czy Warren trafi do więzienia, czy nie.

— Są jeszcze inne sprawy...

— Ile? — spytał krótko Tony, który nagle dostrzegł sposób na ocalenie swojej pozycji i własnej skóry.

— Milion.

— Nie chrzań.

— Dysponuję kompromitującymi informacjami na temat Janny.

Pithany Crandall na pewno nie chciała, by przedostały się one do gazet. Tony z wysiłkiem udał zaskoczonego. Wiedział nawet, w której minucie Janna przyszła na świat. Nic, co Collis mógł mu powiedzieć, nie było dla niego rewelacją. Opublikowanie tych informacji na pewno sprawiłoby Pithany przykrość, ale nie pokonałoby jej silnego charakteru.

— Pół miliona — Collis próbował dalej.

Bradford rozsiadł się wygodnie. Nie śpiesząc się, rozważał w myślach wszystkie za i przeciw. Chciał trochę pomóc Collisa.

— Czy ma pan jakieś dowody, dokumenty?

— Sfotografowałem testament Athertona, akt jego zgonu, metrykę urodzenia Janny i papiery związane z jej adopcją.

— Ach tak.

Metryka zawierała jedynie sfałszowane dane. Papiery adopcyjne powtarzały je. Tylko dwoje ludzi znało prawdę, Pithany i Tony. Chyba że Pithany powiedziała wszystko Jannie. Bradford wątpił w to, zbyt dobrze znał Crandall.

— Ćwierć miliona — Collis nie tracił nadziei.

— Dobrze — Tony skinął głową po chwili wahania. — Będę potrzebował kopii tych dokumentów... i jeszcze małe oświadczenie na piśmie od pana.

Collis zaniepokoił się.

— Nic poważnego — zapewnił go Tony. — Chcę, by napisał pan, że wypłaciłem mu pieniądze za dostarczenie fotografii dokumentów w sprawie Athertonów i Pithany Crandall. Muszę zabezpieczyć się przeciw na wypadek, gdyby te dokumenty okazały się nieprawdziwe.

Collis odetchnął. Kiedy kilka minut później sekretarka Bradforda położyła przed nim odpowiednie oświadczenie, nie zastanawiając się nawet chwili podpisał je. Po jego wyjściu z gabinetu Tony roześmiał się na głos. Trudno było w to uwierzyć, ale po świecie prócz Curta chodziło jeszcze paru innych głupków.

Curt leżał w poprzek łóżka w zaciemnionym pokoju. Zza zamkniętych drzwi dochodziły do niego głośne śmiechy braci Mifsud, którzy oglądali właśnie kolejny odcinek przygód Kaczora Donalda. Nieruchomo wpatrywał się w sufit. Wyobrażał sobie, że leży nagi z Rhondą na pustej plaży i obserwuje przesuwające się po niebie chmury. Nie mógł znieść myśli, że już jej nie ma. Nawet butelka wódki nie zdołała ukoić bólu, który rozdzierał mu serce.

— Nienawidzę go — wymamrotał. — Myśli, że może rozkazywać całemu światu...

Przez chwilę próbował wyobrazić sobie swoje przyszłe życie bez Rhondy. Jego myśli były jednak owładnięte nienawiścią do ojca. Zdawało mu się, że jest wszędzie, że obserwuje go nawet w tej chwili, kontroluje każdy ruch i każdą myśl. Na pewno już wybrał dla niego odpowiednią kandydatkę na żonę.

— Nie mogę tego zrobić, nie mogę. — Poczul na policzkach gorące łzy. Usiadł. Pokój tańczył wokół niego jak puszczona w ruch karuzela. Chciał chwycić słuchawkę telefonu, zadzwonić do Tony'ego i powiedzieć mu, by poszedł do diabła, ale owładnięty całkowitą bezsilnością opadł zamroczony z powrotem na łóżko.

Miał wrażenie, że słyszy głos ojca. Żałował, że nie miał przy sobie noża, którym wykroiłby Tony'emu serce. Co czuła Rhonda w ostatnich sekundach życia, kiedy musiała przystawić do skroni pistolet i pociągnąć za spust? Zimny dreszcz przeszył jego rozpalone ciało. Czy w chwili śmierci przeklinała go i ich nieostrożną miłość? Nie, ona nie mogła wyrzec się uczucia do niego. Curt nigdy w to nie uwierzy. Jeśli teraz wróci na Malte, Tony zmusi go do małżeństwa. Jak po wszystkich tych przejściach miałby związać się z inną kobietą? Nikt nie zastąpi Rhondy. Ona była dla niego wszystkim. Mógłby oddać za nią życie.

Kaczor Donald nadepnął na ogon śpiącego niedźwiedzia i bracia Mifsud wybuchnęły głośnym śmiechem. Sądzi, że Curt upił się do nieprzytomności i że mieli przynajmniej parę godzin spokoju. Młody Bradford słaniając się wyszedł na taras, potem zszedł ze schodów i zaczął biec w stronę morza.

Janna zaparkowała samochód w garażu. Spojrzała na zegarek, który wskazywał za pięć jedenastą wieczorem. Nie miała żadnych wiadomości od Nicka, ale powinien być już w Houston. Kiedy weszła do holu, natknęła się na Shadoe.

— Czy widziałaś wiadomości w telewizji? — spytała Jannę. — Podobno Tony Bradford zwołał konferencję prasową.

— Nic nie wiem — odparła obojętnym tonem Janna. Wiadomość, którą godzinę temu przekazał jej Warren, wprawiła ją w zły nastrój. Eksperci z Fort Halstead, którzy polecili do Monako, by zbadać dokładnie okoliczności śmierci Rhondy, nie znaleźli żadnych dowodów, pozwalających zakwestionować tezę, że było to samobójstwo.

— Jeśli się pośpieszymy, zdążymy jeszcze na dziennik o jedenastej. Kiedy włączyły telewizor, konferencja już trwała.

„Jest mi naprawdę przykro, zwłaszcza wobec Pithany Crandall". Tony mówił spokojnym, dobrze opanowanym głosem. „Tej tragedii można było zapobiec. Jednak skąd mogłem przypuszczać, że mój syn związał się z niezrównoważoną psychicznie kobietą, która wierzyła, że jeśli zdobędzie dla niego akcje hotelu Blue Grotto, zdobędzie również jego miłość".

— Ten człowiek ma nerwy — Shadoe pokręciła głową. — Nawet się nie zająknę...

„Aby dać świadectwo dobrej woli, oświadczam, że chcę odsprzedać pani Crandall moje udziały w jej korporacji dokładnie za tę samą cenę, za jaką je otrzymałem".

Tony podniósł do góry plik papierów.

— Niesamowite — Janna nie mogła uwierzyć.

„Malta jest zbyt małą wyspą, a przemysł turystyczny zbyt poważnym biznesem, by dla własnych partykularnych interesów prowadzić wyniszczającą nasz kraj konkurencję”.

— To wspaniale! — Janna wykrzyknęła z radości. Nie miała jednak złudzeń co do prawdziwych motywów, które popchnęły Tony'ego do sprzedaży akcji. Ciotka Pithany opowiedziała tyle historii o tym człowieku, że Janna dobrze zdawała sobie sprawę, jakim łotrem jest stary Bradford. Za tym pełnym hojności gestem krył się jakiś okrutny podstęp.

„Jak wiadomo, pani Crandall ma licznych wrogów — kontynuował Tony — nie wyłączając męża swej siostrzenicy”.

Janna zamknęła oczy. Domyślała się, jaki będzie następny cios. Tony Bradford wyciągnął kartkę papieru i wręczył ją dziennikarzom.

„Collis Coddington Pembroke, mąż Janny Atherton-Pembroke, bratanicy Pithany Crandall i jednocześnie menedżera hotelu Blue Grotto, zaproponował mi odsprzedanie dokumentów, zdradzających rodzinne sekrety państwa Athertonów. Jak twierdził, dokumenty te kompromitują młodego lorda Lyforthu i jego siostrę, lady Janne”.

W porywie niepowstrzymanej złości Janna byłaby zdolna zastrzelić Collisa.

„Naturalnie odmówiłem”. Na twarzy Tony'ego pojawił się triumfalny uśmiech. „Nie wiem, o jakie rodzinne tajemnice chodzi. Nie interesują mnie brudne sprawy Athertonów. Chciałem jedynie, by to zostało wyjaśnione publicznie. Jedyne, co leży mi głęboko na sercu, to Malta, która dzięki turystyce może stać się najpiękniejszym zakątkiem na świecie. Mam nadzieję, że pani Crandall poradzi sobie z własnymi problemami”.

— To oczywiste. Ten człowiek zamordował Rhondę, a teraz zaciera za sobą ślady! — Janna poderwała się z miejsca. — Najpierw Ian MacShane, potem Trevor, a na końcu Rhonda... Najwyższy czas, by poniósł za te zbrodnie karę.

Collis wyszedł z samolotu, kierując się w stronę wyjścia dla obywateli Wspólnoty Europejskiej. Doprawdy, spodziewał się lepszej zapłaty za informacje przekazane Bradfordowi. Zważywszy niepowodzenie, jakiego doznał w Falcon's Lair, mógł mimo wszystko mówić o szczęściu. Jeśli do sumy ćwierć miliona funtów dodać pieniądze uzyskane z tytułu rozwodu i ze sprzedaży domu oraz samochodu, Collis dysponował całkiem pokaźnym kapitałem. Mógł rozpocząć spekulacje na giełdzie i zbić fortunę dzięki swej znajomości ekonomii i problemów rynku.

Najbardziej zniechęcony przeciwnik, Warren, został wyeliminowany z gry. Kiedy w gazetach ukażą się rodzinne dokumenty Athertonów, jego polityczna kariera będzie zrujnowa-

na. Collis uśmiechnął się z satysfakcją na tę myśl. Nagły koniec złotego chłopca torysów. Może teraz on, Collis, zajmie jego miejsce. Ze swym doświadczeniem w sprawach gospodarki, koneksjami i erudycją byłby z pewnością pierwszorzędnym politykiem. Collis przeszedł odprawę celną. Kiedy znalazł się w głównym holu lotniska, powitał go oślepiający błysk fleszów. Ktoś wykrzyknął jego imię. Horda reporterów rzuciła się w kierunku Collisa, wyciągając dziesiątki mikrofonów. Przez moment sądził, że pomylili go z jakąś znaną gwiazdą filmową, ale nie mógł przypomnieć sobie żadnego aktora, który miałby tak wspaniałą aparycję jak on.

— Czy to prawda, że chciał pan sprzedać własną rodzinę? — wykrzyknął jeden z reporterów, atakując Collisa swym mikrofonem.

— O czym pan mówi?

— Młody lord Lyforthu — wykrzyknął inny dziennikarz, niebezpiecznie zbliżając kamerę do bladej twarzy Collisa. — Chciał pan sprzedać jego tajemnice.

— Jakie sekrety ukrywa Warren Atherton? — pytania stawały się coraz bardziej natarczywe.

— Ja... ja nie wiem, o czym państwo mówią...

— Jak wytłumaczy pan zarzuty Anthony'ego Bradforda? Collis po raz pierwszy w życiu wpadł w panikę.

23.

Przeciągły, zawodzący śpiew rozlegał się z minaretów, górujących nad miastem. Pustynny piasek przybierał kolor krwawej czerwieni zachodzącego słońca. Ulice Bardii pustoszały. Jedyne na schodach przed wejściem do Libijskiego Ministerstwa Zdrowia stary żebrak o jednej nodze szczerzył zepsute zęby do przechodniów, wyciągając natrętnie rękę. Janna, Morris Wentworth, ekspert z Fort Halstead, oraz attache Malty w Libii, pan Abram Mafhji, siedzieli w trójkę w pokrytej mozaikami sali ministerstwa. Przed nimi na najbardziej eksponowanym miejscu wisiał olbrzymi portret Muammara Kadafiego w tradycyjnym stroju Beduina.

— To, co w Londynie można załatwić w pięć minut, w Rzymie w siedem, a na Malcie w dziesięć, tutaj trwa cały dzień — Abram powiedział szeptem do zniecierpliwionej oczekiwaniem Janny. — Libijska biurokracja nie ma sobie równej w świecie.

— Jestem odporny na biurokratów — odparł dumnie pan Wentworth.

Janna nie mogła powiedzieć tego o sobie. Miała ochotę pobić ospałego urzędnika ministerialnego, który za swym odległym biurkiem od kilku godzin przewracał stosy papierów. Musiała wiedzieć, czy ciało Iana znajdowało się w grobie, w którym pochowano na krótko po tajemniczym zniknięciu MacShane'a kilku nieznanych żołnierzy. Dwa tygodnie temu ministerstwo odpowiedziało wreszcie na jej telegram, informując, że ekshumacja zwłok jest niemożliwa. Kosztowało ją to miesiąc zabiegów i kilka łapówek, zanim osiągnęła swój cel. Ministerstwo Zdrowia gotowe było wydać stosowne zezwolenie. Morris miał półoficjalnie, jako przedstawiciel Anglii, uczestniczyć w ekshumacji. Jeśliby stwierdzono, że ciało Iana znajduje się w grobie, miał przygotować jego transport do Anglii. Janna myślała o Nicku. Właściwie od kiedy wyjechał do Teksasu, a minęły od tego czasu już trzy tygodnie, myślała o nim bez przerwy. Nawet nie miał pojęcia, że ona jest teraz w Libii.

Tylko raz rozmawiała z nim przez telefon. Po kilku dniach rozłąki nie wytrzymała i zadzwoniła do Houston. Jego głos brzmiał tak dziwnie. Był bardzo zmęczony i jakiś odległy. Postanowiła nie niepokoić go więcej i nie mówiła o swoim wyjeździe do Libii. Skontaktowała się z Abramem Mafhjiem, który miał zaaranżować spotkanie. Od kiedy Wielka Brytania oficjalnie potępiła libijskich terrorystów i zamknęła libijską ambasadę, stosunki między Londynem a Trypolisem stały się bardzo napięte. Angielscy obywatele byli w Libii niemile widziani. Tylko za pośrednictwem trzeciego państwa można było tutaj cokolwiek załatwić. Jednak nie angielskie obywatelsko mogło zaszkodzić Jannie najbardziej. W Libii, kraju islamskim, kobiety nie miały żadnych praw. Nie mogły zatrzymywać się w hotelach, chyba że towarzysząc mężowi. Morris ze swoimi sumiastymi wąsami i imponującą łysiną bardziej wyglądał na ojca Janny, niemniej dopłacając niewielką sumę potrafił przekonać recepcję hotelową, że są małżeństwem. Bezczytność, na którą była skazana, denerwowała Janę. Przyzwyczajona do osobistego załatwiania najbardziej nawet skomplikowanych spraw, z trudem respektowała obowiązującą tutaj zasadę, w myśl której kobieta stanowiła jedynie ozdobę w domu męża.

— Pani brat jest wyjątkowym człowiekiem — odezwał się Morris. — Podobał mi się sposób, w jaki wyjaśnił dziennikarzom, dlaczego zataił okoliczności śmierci starego lorda.

Janna skinęła głową. Czasami miała dziwne wrażenie, że Morris próbował sobie ją zjednać. Zachowywał się zbyt przyjacielsko i zbyt... poufale. Janna tak bardzo chciała, by Nick był z nią teraz.

— Nikt nie może mieć mu za złe, iż chronił własną matkę — dodał.

— Postąpiłbym tak samo — przyznał Abram. — Nie chciałbym, aby moja matka wiedziała, że jej mąż jest... no, jak to się określa... seksualistą.

— Homoseksualistą — poprawił go Morris.

Warren przeszedł do ofensywy zaraz po powrocie Collisa do Londynu. Zwołał konferencję prasową, na której wykorzystał jeden podstawowy argument — dobro matki. Anglicy żywią szczególny kult dla matczynych uczuć. Królowa Matka jest często utożsamiana z matką całego narodu brytyjskiego. Szpalty gazet, które się jej poświęca, są niekiedy większe od tych, w których opisuje się bujne życie lady Di i jej podstarzałego męża. Czy młody lord stający w obronie matki mógł być uznany za przestępcę? Wręcz przeciwnie. W wyniku konferencji to Collis wyszedł na łajdaka i zdrajcę, natomiast Warren zyskał sympatię opinii publicznej.

— Wracają — szepnął konspiracyjnie Morris.

Do sali weszło pięciu mężczyzn ubranych w długie białe szaty. Janna poprawiła chustę zasłaniającą jej twarz, tak jak wymagała tego tutejsza religia. Nie chciała dać im żadnego pretekstu do odmowy. Abram podszedł do mężczyzn. Po krótkiej wymianie zdań wrócił uśmiechnięty.

— Minister Akbar zgadza się, byśmy zobaczyli zwłoki.

Janna zerwała się z miejsca. Pomimo entuzjazmu, który czuła, postanowiła trzymać na wodzy własne uczucia. Nick przestrzegał ją kiedyś, że może nigdy nie uda się im dotrzeć do prawdy o Ianie MacShane. Minister Akbar i pozostali urzędnicy poszli przodem. Janna, Morris i Abram podążyli ich śladem. Przeszli przez długie korytarze, które zdawały się nie mieć końca. Potem zostali wprowadzeni do rozległego mrocznego pomieszczenia. Wątle światło, wpływające przez szczelinę w dachu, padało prosto na środek sali, gdzie stały cztery drewniane trumny. Wszystkie były dokładnie tej samej wielkości.

— Nie ma sensu ich otwierać — powiedziała Janna. — Ian był zbyt wysoki.

— Tutaj wszystkie trumny są takie same — szepnął jej Abram, podczas gdy Libijczyk przystąpił do podważenia pierwszego wieka. — Od stuleci te same rodziny zajmują się robieniem trumien. Ściśle trzymają się tradycji swego rzemiosła, które sięga średniowiecza.

— *Min fadlak* — minister Akbar wydał polecenie, by otworzyć wieko pierwszej trumny.

— Czy jest pani pewna, że chce to zobaczyć? — spytał Morris.

— Tak — odparła zdecydowanym tonem. W głębi duszy czuła jednak strach. Morris uprzedzał ją, że po pięćdziesięciu latach ciała mogą przypominać makabryczne szkielety. Powoli

podeszła do trumny. Leżał w niej wykrzywiony, niewielki szkielet — prawdopodobnie dziecka lub jakiegoś młodzieńca.

Morris przecząco pokręcił głową i minister podszedł do drugiej trumny. Przez sęki w sosnowych deskach ciurkiem sypał się piasek jak w starej klepsydrze. Wieko trumny ustąpiło o wiele łatwiej. W jej wnętrzu znajdował się większy szkielet z resztkami ubrania.

— Spójrzcie na kości miednicy. To była kobieta — stwierdził Morris.

W milczeniu podeszli do trzeciej trumny. Na dany znak człowiek z łomem wepchnął go pod wieko. Suche drewno zaskrzypiało groźnie.

Drobny piasek wzbił się w powietrze, wypełniając wąły snop światła, który wpadał przez szczelinę w dachu. Przez chwilę nie mogli niczego zobaczyć. Kiedy piasek opadł, ich oczom ukazało się wnętrze trumny. Leżący w niej szkielet był większy od poprzednich. Morris nachylił się nad nim, dokładnie studiując kości.

— Połamali mu nogi, by zmieścić ciało w trumnie — powiedział.

Białe jak śnieg kości wypełniały prawie całe wnętrze trumny. Czaszka, odwrócona na bok, spoczywała na poduszce z piasku. Janna odwróciła wzrok. Przez chwilę jej wyobraźnia okrutnie zakpiła z niej. Zobaczyła w trumnie ciało Nicka Jensena.

— To był wysoki mężczyzna — stwierdził Morris. — Na kości serdecznego palca prawej ręki ma pierścień. — Nachylił się bardziej. — Na pierścieniu wygrawerowany jest krzyż maltański — informował beznamiętnym głosem jak podczas sekcji.

Janna otarła łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. Nie miała wątpliwości. W ten okrutny sposób los odebrał więc Pithany Iana MacShane'a. Bardia okazała się ostatnim etapem jego życia.

— Spójrzcie! W kręgosłupie tkwi jakaś kula.

— Czy może pan zrobić szybko testy balistyczne? — spytała Janna.

— Naturalnie, ale co to da? — Morris rozłożył bezradnie ręce.

— Wiem, gdzie znajduje się broń, z której pochodzi ta kula.

Warren leżał na szerokim łóżku ze staroświeckim baldachimem. Zatroskany przyglądał się Shadoe, która, leżąc obok niego, nerwowo obracała w palcach tajemniczy kamień. Uważała go za talizman i zawsze nosiła na szyi. Warren położył dłoń na jej ramieniu.

— Nie potrzebuję żadnej pozaziemskiej pomocy, by sprostać wyzwaniom. Shadoe spojrzała na niego smutnymi oczyma.

— Co się z tobą dzieje? — spytał zniecierpliwiony.

— Może powinniśmy przełożyć ślub.

— Dlaczego? — nagły lęk ścisnął mu serce. — Wahasz się? Nachyliła się i pocałowała go w czoło.

— Ależ skąd. Po prostu obawiam się, czy Nick zdąży na uroczystości.

— Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon. Powiedział, byśmy nie czekali na niego. Podobno Austin jest w bardzo złym stanie... kto wie, czy już wkrótce... no, wiesz. — Warren pamiętał zmęczony i bardzo przygnębiony głos Nicka w słuchawce. — Nie sądzę, by po śmierci Austina miał ochotę uczestniczyć w jakichkolwiek ślubach.

— Zapewne masz rację, kochanie — zgodziła się Shadoe. — Czy bardzo zmartwił się na wieść, iż wyniki ekspertyz z Fort Halstead nie potwierdziły tezy o morderstwie?

— Przyjął to do wiadomości, ale nie sądzę, by uwierzył w wersję samobójstwa.

— Wiara to trochę za mało...

— Tak — Warren głęboko westchnął. — Miejmy nadzieję, że wyniki testów balistycznych okażą się dla nas szczęśliwsze. Powinniśmy już dzisiaj coś wiedzieć. Morris zapewniał, że specjaliści z Fort Halstead mogą precyzyjnie określić, czy kula pochodziła z pistoletu, który Pithany pożyczyła Tony'emu. A jeśli nawet, to nie wierzę, by na tej podstawie udało się nam oskarżyć Bradforda o morderstwo Iana MacShane'a.

— Dlaczego?

— Wszystko, czym dysponujemy, to tylko domysły. Jeśli rzeczywiście z tej broni zabito Iana, nie oznacza to wcale, że Tony pociągnął za spust. Mógł, ale nie musiał.

— Pistolet był w jego posiadaniu, kiedy zginął MacShane...

— To prawda, ale przecież mógł go dać komuś innemu. Może także oświadczyć, że w ogóle nie miał tej broni. Jak udowodnisz, że kłamie.

— Racja — Shadoe przyznała po krótkiej chwili namysłu. — Nie wierzę jednak, by Jan-na poprzestała na tym. Ona chce zdemaskować mordercę.

Istotnie, Warren nigdy jeszcze nie widział siostry tak smutnej i przygnębionej, a jednocześnie tak zdecydowanej w działaniu. Kiedy przyleciała do Londynu z ciałem Iana, robiła wrażenie, jakby znajdowała się w jakimś głębokim transie. Ta sprawa powoli stawała się jej obsesją.

— To paradoksalne, ale dochodzenie w sprawie otrucia Trevora działa na korzyść Tony'ego — powiedziała Shadoe. — Jeśli teraz oskarżycie go o morderstwo sprzed pięćdziesięciu lat, wszyscy pomyślą, że chcecie się na nim odegrać.

— Nie inaczej...

W tej chwili zadzwonił telefon.

— Może to Morris...

Shadoc podała słuchawkę Warrenowi. Z napięciem przyglądała się jego twarzy, gdy słuchał raportu z Fort Halstead.

— Tak jak myśleliśmy — oświadczył po skończonej rozmowie. — Ian został zastrzelony z pistoletu Pithany.

— Biedna Janna, teraz będzie musiała powiedzieć o tym Pithany.

Collis siedział w swoim gabinecie w londyńskiej Szkole Ekonomii. Właśnie skończył lekturę najnowszego numeru „The Economist”. Odłożył magazyn na bok i spojrzał z wyrzutem na stojący nie opodal telefon. Jak wszystko w starych murach szkoły, również aparat telefoniczny przypominał bardziej eksponat muzealny niż praktyczne urządzenie do komunikowania się na odległość. Od kilku dni nikt do niego nie dzwonił. Traktowano go jak trędowatego, od kiedy telewizja wyemitowała jego niefortunną wypowiedź na lotnisku. Natomiast Warren spadł jak zawsze na cztery łapy. Jego mętne wyjaśnienia w sprawie śmierci ojca gazety przyjęły jako akt niezwykłej szczerości i bohaterstwa. Nawet jego związek z Shadoc Hunnicutt, choć każdy wiedział, że to kurwa, opisano niby jakiś romans stulecia, coś na podobieństwo *Przemięło z wiatrem*. To było nie do zniesienia. Na domiar złego kilka dni temu wszystkie angielskie gazety obieły sensacyjne informacje o wielkim finansowym skandalu, który wybuchł w Japonii. Okazało się, że kilka poważnych firm ubezpieczeniowych w Tokio pożyczyło międzynarodowej mafii ogromne sumy pieniędzy. W tym kontekście wypowiedziane wcześniej przez młodego Lyfortha ostrzeżenia, by angielscy biznesmeni nie angażowali się w japońskie przedsięwzięcia joint venture, nagle okazały się prorocze. „Jasnowidz torysów”, „Wizjoner nowej ekonomii” — pod takimi tytułami pisano artykuły o młodym, obiecującym polityku.

Nagle zadzwonił telefon. W pierwszej chwili Collis pomyślał, że uległ złudzeniu. Dopiero po dłuższym wyczekiwaniu podniósł słuchawkę.

— Collis Coddington Pembroke, słucham — starał się nadać swemu głosowi jak najbardziej naturalny ton.

— Pan Hilton życzy sobie natychmiast z panem rozmawiać — nosowy, flegmatyczny głos w słuchawce oznajmił hiobową wieść.

Pięć minut później nerwowo drepcząc po historycznym dywanie z epoki Elżbiety I Collis oczekiwał przyjęcia w poczekalni gabinetu rektora. Pan Hilton był starszym mężczyzną o god-

nym, angielskim wyglądem, odpowiadającym stanowisku w tak zacnej szkole. Uścisnął bez entuzjazmu dłoń Collisa i wprowadził go do gabinetu.

— No cóż, zdaje się, że wplątał się pan w bardzo nieprzyjemną aferę — powiedział zamykając drzwi.

— Niestety — Collis nie mógł wybaczyć sobie, że podpisał ten dokument u Tony'ego Bradforda. Gdyby nie to, wszystkiego by się wyparł. — Mam nadzieję, że ta sprawa nie wywołała zamieszania w szkole.

— Niestety, nie mogę podzielić pańskiego optymizmu. Właśnie zdecydowałem skreślić pańskie nazwisko z listy wykładowców.

Rektor bardzo zawile mówił o honorze, godności i odpowiedzialności, ale Collis prawie go nie słuchał. Nie mógł uwierzyć, że to się stało — jego nazwisko skreślone. To oznaczało, że nie poprowadzi więcej żadnego wykładu. Odebrano mu te cudowne chwile, w których mógł upajać się brzmieniem własnego głosu i z satysfakcją obserwować, jak słuchacze spijają z jego warg każde słowo, niby objawienie ostatecznej prawdy.

— Poprosiłem pana, ponieważ pewien bardzo nieprzyjemny telefon, który dziś otrzymałem w pańskiej sprawie, zmusza mnie, niestety, do zwołania rady profesorskiej. Collis opadł na krzesło. Wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie.

— Zostałem poinformowany, iż wszczęto wobec pana postępowanie sądowe o alimenty dla niejakiej — rektor założył okulary i spojrział w papiery — panny Annabelle Swarthmore.

Collis chciał zaprzeczyć, ale w porę ugryzł się w język. Znów wyszedłby na kłamcę. Test krwi potwierdzi przecież, że jest ojcem dziecka.

— Nie chcemy tolerować profesorów, którzy uwodzą swoje studentki.

— Ona nie była studentką...

— To nie ma najmniejszego znaczenia. Od dzisiaj przestaje pan tutaj pracować.

24.

Okna w jadalni zasłonięte zostały grubymi kotarami. Pomimo że na zewnątrz świeciło słońce, do środka nie przedostawał się nawet najdrobniejszy jego promień. Nick leżał na starej sofie Prescottów, która w Houston do dziś uchodziłaby zapewne za ostatni krzyk mody. Czekał na pojawienie się agenta z firmy handlującej nieruchomościami. Po śmierci Austina postanowił sprzedać dom.

Oparł ciężką głowę na poduszce. Od kilku tygodni spał po trzy, cztery godziny dziennie, był wyczerpany.

— Jesteś teraz całkiem sam — powiedział do siebie, ale wcale nie odczuwał siły tych słów. Pokój, w którym leżał, wypełniało tyle wspomnień, iż w żadnym wypadku nie mogło być mowy o uczuciu samotności. Przez chwilę próbował wyobrazić sobie ten dom pozbawiony znajomych sprzętów i mebli, ale i to nie zrobiło na nim wrażenia. Sam budynek znajdował się w całkiem dobrym stanie i na pewno będzie długo służyć przyszłym właścicielom. Nick podniósł się z sofy i poszedł na górę, gdzie znajdowały się trzy sypialnie. Wszystkie pokoje były otwarte. Pierwszy służył kiedyś Amandzie i Nickowi jako ich małżeńska sypialnia. Jensen nie wchodził tam jednak. Od śmierci Jane pokój stał pusty. Wszedł za to do sypialni Trevora. Usiadł na jego łóżku i spojrzał w stronę okna.

— Wybacz, że cię zawiodłem — wyszeptał. — Zawsze wszystkich zawodzę.

W ostatnich dniach życia Austina Nick modlił się, by w sprawie śmierci Trevora nastąpił jakiś przełom. Nic takiego się nie stało. Bradfordowie po raz kolejny wymknęli się sprawiedliwości, a Austin odszedł w przeświadczeniu, że mordercy jego syna są bezkarni. Dawne poczucie bezsensowności życia i bezsilności naszych z nim zmagających powróciło do Nicka niby jakieś fatum z przeszłości. Czuł się dokładnie tak, jak po śmierci żony. Jensen był przekonany, że eksperci musieli coś pominąć. To niemożliwe, by Tony nie zostawił żadnych śladów. A jeśli nawet, to istniał na pewno jakiś sposób, by wyciągnąć od niego przyznanie się do winy. Rhonda nie popełniła samobójstwa, ale została brutalnie do niego zmuszona.

Nick zszedł do jadalni. Jego spojrzenie zatrzymało się nagle na bukietach kwiatów, które Janna przesała dzień po śmierci Austina. Przez krótki moment zapragnął, by była teraz koło niego. Szybko i ze wstydem porzucił tę myśl, jakby obawiał się, że surowe ściany rodzinnego domu Prescottów z uwagą śledzą najskrytsze jego myśli, by wydać ostateczny wyrok. Od kiedy wrócił do Houston, często rozmyślał o Jannie, nawet w tych chwilach, gdy siedział przy łóżku

konającego Austina. Wstydział się, ale pragnienia okazywały się silniejsze niż przyzwoitość. Nocami budził się przerażony ze snów, w których kochał się z Janną. Przeszłość i przyszłość zmagaly się w jego sercu niby dwie potężne armie, z których żadna nie chciała zrezygnować z pola. Nick żył, Amanda odeszła. Te dwa proste fakty zdawały się wskazywać drogę na przyszłość.

Dlaczego miał żyć w samotności, karząc się za każde mocniejsze uderzenie serca? Kochała go wspaniała kobieta. Jej miłość dawała mu szczęście. Do diabła, dawała mu znacznie więcej. Czy zbrodnią było pokochać inną kobietę? Żaden rozsądny umysł nie mógł go za to winić... a jednak gdzieś, w głębi duszy Nick czuł niepewność, żywił irracjonalną obawę, że zdradza coś lub kogoś, że postępuje wbrew pewnym zasadom.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Nareszcie! — pomyślał Nick z ulgą. To musiał być agent z firmy handlującej nieruchomościami. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył przed sobą młodą kobietę o blond włosach, ufryzowanych à la Madonna. Miała na sobie obcisłe czarne spodnie, czerwone buty na bardzo wysokich obcasach i obcisłą fioletową bluzeczkę. Całość dopełniały ogromne klipsy, coś na kształt piłek do tenisa. Wyglądała na rezolutną.

— Cześć, nazywam się Thelma Lou Riley — podała mu wizytówkę swojej firmy. — Jestem najlepsza w tej branży.

Nick spojrzał w pierw na jej nogi, potem na biust, w końcu doszedł do wniosku, że chodzi jej o branżę handlową, aczkolwiek ton, jakim wypowiedziała te słowa, mógł praktycznie oznaczać wszystko.

— Jeśli pan się zgadza, znajdę kupców na ten dom.

Weszła do środka, uważnie rozglądając się dookoła. Miała niewyobrażalnie długie paznokcie pomalowane czarnym lakierem. Nick doszedł do przekonania, że na pewno używa ich do obierania owoców, ewentualnie wykorzystuje jako mocny argument podczas kłótni z mężem. Weszli do niewielkiej kuchni.

— Całkiem tu miło — uśmiechnęła się. — Może z wyjątkiem tych szafek. Trzeba je naprawić.

Nick pamiętał, jak Amanda Jane własnoręcznie pomalowała szafki brązową farbą. Tego dnia przyszedł do Prescottów z wizytą. Był trochę wcześniej, niż się umówili. Kiedy wszedł, Amanda stała zakłopotana w poplamionym farbą fartuchu, nie wiedząc, co ma zrobić z pędzlem, który trzymała w ręku.

Thelma Lou przeszła do jadalni, a potem na piętro, by zobaczyć sypialnię. Kiedy wróciła, groźnie potrząsając swymi imponującymi klipsami, oświadczyła z niezachwianą pewnością w głosie:

— No cóż, Nick, ten dom ma przyszłość. Nie wiem, ile za niego wyciągniesz, ale...

— Wydaje mi się, że popełniłem błąd. Nie chcę go sprzedawać. Położyła dłoń na jego ramieniu.

— Nie przejmuj się. Mnóstwo ludzi waha się, gdy mają sprzedać swój dom. To normalna reakcja, ale...

— Zmieniłem zdanie. Nie sprzedaję.

— Spokojnie, złociutki. Nie podejmuj pochopnych decyzji. Znam faceta...

— Nie sprzedaję.

— Dobrze — dziewczyna uśmiechnęła się krzywo. — Gdybyś się rozmyślił, masz mój telefon.

Kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi, Nick podszedł do okna wychodzącego na ulicę. Zobaczył, jak wsiada do zakurzonego, starego forda. Kiedy upewnił się, że odjechała, wrócił do kuchni. Dokładnie obejrzał szafki, poszedł do garażu i odszukał skrzynkę z narzędziami.

Janna powoli i z ociąganiem wchodziła po schodach na piętro, gdzie znajdowała się sypialnia Pithany Crandall.

Minęły już cztery dni, od kiedy specjaliści z Fort Halstead stwierdzili, że Ian zginął od kuli wystrzelonej z pistoletu Pithany. Warren ponaglał, by powiedziała ciotce, ale Janna odwlekała tę chwilę, wiedząc, jak wielkim ciosem dla Pithany będzie ujawnienie prawdy. W związku ze zbliżającym się terminem transportu zwłok MacShane'a Janna zorganizowała małą uroczystość pogrzebową. Wszystko było gotowe, tylko ciotka Pithany o niczym jeszcze nie wiedziała.

Jak Janna miała powiedzieć jej, że jutro weźmie udział w pogrzebie mężczyzny, na którego powrót czekała blisko pięćdziesiąt lat?

— Wejdz, kochanie — usłyszała głos ciotki.

Janna weszła do środka ze sztucznym, wymuszonym uśmiechem na twarzy. Wsadziła rękę do kieszeni spodni i natrafiła na pierścionek Iana.

— Myślałam, że przyjdiesz na herbatę...

Ciotka Pithany uważnie przyjrzała się bratanicy. Janna nigdy tak wcześnie nie wracała do domu. Zwykle zostawała w Blue Grotto do późnego popołudnia.

— Czy stało się coś? Chodzi o Nicka? — spytała zaniepokojona.

— Nie, ciociu. — Janna usiadła na sofie koło Pithany. Kątem oka spojrzała na portret Iana, stojący w złotej oprawie na nocnym stoliku. — Chciałam porozmawiać o Ianie MacShane.

Pithany sięgnęła po porcelanowy imbryk z esencją, by nalać Jannie filiżankę herbaty.

— Tak, a o czym?

— Pamiętasz na pewno Laurel Hogel, tę rysowniczkę, która naszkicowała portret Iana? Doktor Kaye poznał mnie z nią. — Janna wzięła od ciotki filiżankę. — Gerry współpracował z nią przy wydawaniu swych książek.

— Mówiłaś mi o tym — Pithany skinęła głową.

— Gerry zwrócił moją uwagę na to, że zawsze, nawet w badaniach bardzo odległych epok, istnieje jakiś ślad w dokumentach, wspomnieniach czy listach. Pomyślałam wtedy, że Ian na pewno pozostawił po sobie taki trop.

— Ale przecież niczego nie znalazłaś.

Pithany była zdziwiona, że Janna znów porusza ten temat. Prawdę mówiąc, kiedy dowiedziała się, że dochodzenie prowadzone przez jej bratanicę nie przyniosło żadnych rezultatów, poczuła ulgę. Przed laty, zaraz po zakończeniu wojny, wynajęła detektywów, by odnaleźli Iana, ewentualnie stwierdzili, jakie były okoliczności jego śmierci. Niczego nie odnaleźli poza kilkoma nagraniami Iana dla radia.

— To prawda — Janna rozpaczliwie szukała słów, które nie zraniłyby ciotki Pithany. — Ale podczas jednego ze spotkań Gerry powiedział mi, iż odkrył coś bardzo istotnego...

— Ach tak — Pithany uniosła brew. — Co takiego?

— Ian... — Janna odstawiła filiżankę i uściśniła chłodne dłonie ciotki — Ian nigdy nie był na pokładzie „Nelsona”.

Przez długą chwilę Pithany patrzyła na Janę, jakby zobaczyła ją pierwszy raz w życiu. W końcu wyjąkała:

— Ale... przecież... przecież dostałam od niego wiadomość.

— Coś musiało wydarzyć się wcześniej. Ian nie wszedł na pokład tego statku.

— No tak, ale to musi być jakaś pomyłka — broniła się Pithany. Jej głos stawał się z każdym słowem słabszy. — Co to oznacza według doktora Kaye'a?

— Przeprowadzał wywiady z wieloma żołnierzami, którzy przedostali się wówczas z Tobruku i trafili do Bardii. Widzieli Iana.

— Ale... nic mi nie pisał.

— Nie było na to czasu — Janna wiedziała, że nieuchronnie zbliża się do momentu, w którym będzie musiała wyjawić bolesną prawdę. Wzięła głęboki oddech i powiedziała jednym tchem: — Ian zmarł w Bardii.

Ciotka Pithany spojrzała na jego portret, a potem zapytała, powstrzymując łzy.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, dlaczego moi detektywi nie znaleźli żadnych dokumentów na temat jego śmierci, choćby aktu zgonu...

— Nie było żadnych dokumentów. Gerry pojechał do Bardii, by na miejscu zebrać materiały do książki o nieznanym bohaterach wojny.

— Bohaterach! — Pithany wykrzyknęła rozgoryczona. — Ian zrobił tak wiele, a oni nazywają go nieznanym bohaterem. Ludzie zbyt szybko zapominają, tak jak i twój profesor Kaye, który poświęcił Ianowi jedynie niewielki przypis na końcu swej książki. Dla mnie on pozostanie największym bohaterem.

Pithany wstała z miejsca i chwiejnym, niepewnym krokiem podeszła do okna. Janna spostrzegła, że jest przygarbiona. W jej postawie było coś z tragicznej rezygnacji i trudnego do opanowania zmęczenia.

— Co stało się z Ianem? Jak umarł?

Janna podeszła do niej, położyła dłoń na jej ramieniu i powiedziała cichym głosem:

— Został zastrzelony, zamordowany.

— Zamordowany?! Kto byłby zdolny do tej zbrodni?

Śmiertelna cisza zapanowała w pokoju. Janna słyszała bicie swego serca.

— Tony Bradford.

Pithany chwyciła jej rękę, czując, że traci równowagę. Janna przytrzymała ją, po czym powoli, ostrożnie poprowadziła do łóżka. Usiadły na jego krawędzi.

— To niestety prawda. Tony dotarł do Bardii na krótko przed upadkiem Tobruku. Kiedy wrócił, przywiózł ci kwiaty i pistolet Iana.

Ciotka Pithany powoli skinęła głową. Z trudem dochodziła do siebie po szoku, jaki wywołała wiadomość o prawdziwym mordercy jej ukochanego Iana. Janna wyjęła z kieszeni pierścioneł. Z poczuciem, że zadaje najdroższej osobie okrutne cierpienia, oświadczyła drżącym głosem:

— Jego ciało znalazłam w Bardii. Ten pierścioneł znajdował się w trumnie...

— To pierścionek Iana — wyszeptała stara kobieta. Jej oczy pełne były łez. Wzięła z dłoni Janny pierścionek niby najświętszą relikwię, po czym przyłożyła do bladych ust i pocałowała. — Mój kochany został zabity?

— Wiem, że zrobił to Tony — Janna odparła zdecydowanym tonem. — Ekspertyza balistyczna z Fort Halstead ponad wszelką wątpliwość wykazała, że kula, która zabiła Iana, pochodziła — Janna zawahała się — z twojego pistoletu.

Pithany przymknęła powieki, mierząc się przez chwilę z okrutną prawdą.

— Z mojego pistoletu? Tego, który dostałam od Iana?

— Prawdopodobnie Tony dowiedział się o prowadzonym przez Iana śledztwie w sprawie czarnego rynku oraz nielegalnej sprzedaży religijnych relikwii z Malty, jak choćby słynnego Kielicha Kleopatry. Postanowił zamknąć Ianowi usta i zabił go.

— Ale przecież Ian mówił mi, że raport o czarnym rynku został już przygotowany. Kiedy był w Aleksandrii, miał sposobność przedłożyć go dowództwu armii...

— Z jakiegoś powodu tego nie zrobił. Gerry twierdzi, że w dokumentach nie ma śladu po raporcie Iana. Najwyraźniej w ogóle go nie znano.

Janna spojrzała z troską na ciotkę. Stara kobieta siedziała wyprostowana na sofie i patrzyła na portret Iana, ukochanego mężczyzny, który przez wszystkie lata samotności skupiał jej myśli i wypełniał wspomnienia. Po jej bladych policzkach spływały łzy bezsilnej rozpacz. Janna wiedziała, że nic nie zdoła wynagrodzić Pithany cierpień, udreki i nigdy nie spełnionej miłości. Im mocniej świadomość tego docierała do niej, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Tony Bradford musi ponieść zasłużoną karę.

— Wiem, że nie mamy dość dowodów, by oskarżyć Tony'ego o morderstwo. Niemniej, jeśli zwrócimy się do władz i nagłośnimy tę sprawę, to może znajdzie się ktoś, kto pamięta tamte czasy, miał coś wspólnego z czarnym rynkiem, może nawet ze sprzedażą relikwii, i odważy się świadczyć przeciwko Bradfordowi...

— Nie. — Pithany otarła łzy chusteczką. — Nie rób tego...

— Nie mogę pozwolić, aby ten człowiek żył na wolności.

— Zostaw to — nalegała ciotka. — Obiecuj, że niczego nie zrobisz!

— Czy nie chcesz pomścić Iana?

— Oczywiście, że pragnę tego — jej głos zadrżał. — Zawsze wiedziałam, że Tony jest bezwzględny. Przez te wszystkie lata doświadczyłam, jak bardzo potrafi być brutalny, ale nigdy nie przypuszczałam, że zdolny jest do morderstwa. Teraz, kiedy wiem, że jest mordercą, ja...

Pithany spuściła głowę. Przez chwilę patrzyła na swoje zniszczone, zmęczone dłonie. Potem uniosła wzrok i spojrzała na Janę.

— Proszę, zrób coś dla mnie. Zapomnij o tym, że Tony zabił Iana. To już przeszłość i pozwólmy jej odejść.

— Ale przecież ten człowiek popełnił niejedno morderstwo. Zabił Trevora, a teraz Sibbett!

— Nawet eksperci z Fort Halstead nie potrafili udowodnić, że to nie było samobójstwo.

— Wiem... — Janna zawahała się — ale...

— Proszę, zrób to dla mnie. Zatrzaśnij drzwi przeszłości — w głosie Pithany kryła się niepokojąca stanowczość.

— Dobrze — zgodziła się, próbując zrozumieć uczucia ciotki.

Pithany wyraźnie nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Prawda, z którą przyszło się jej zmierzyć, okazała się zbyt bolesna. Janna zamierzała działać na własną rękę.

Delikatne różowe chmury sunęły spokojnie po wieczornym niebie nad cmentarzem w południowej części Valletty. Pomimo późnego popołudnia powietrze wciąż pozostawało nagrzane i duszne. Pithany spotkała się z Janną na lotnisku, gdzie mahoniową trumnę z ciałem Iana przeniesiono z samolotu do czarnej, pogrzebowej limuzyny. Janna zorganizowała pogrzeb i zadbała o wszystko. Kiedy znalazły się już na cmentarzu, Pithany przystanęła przed grobem ojca.

— I pomyśleć, że on nigdy nie lubił Iana — powiedziała szeptem.

Janna troskliwie objęła Pithany i zaprowadziła ją na miejsce, gdzie zatrzymał się samochód z trumną. Nad otwartym grobem stał pastor z Biblią w dłoniach. Zgodnie ze starą maltańską tradycją odczytał psalm 23, po czym zwrócił się do zebranych.

— Spotkaliśmy się tutaj, by pożegnać ukochanego...

Pithany nie słuchała pastora. Nie rozglądała się dookoła ani nie patrzyła na trumnę. Rozmyślała nad tym, jak dalece jej marzenia odbiegły od rzeczywistości. Przez te pięćdziesiąt lat wyobrażała sobie, jak będzie wyglądał pogrzeb Iana. Chciała, by wokół grobu słynnego reportera zebrali się wszyscy jego przyjaciele, a teraz w to pochmurne popołudnie na opustoszałym cmentarzu stali jedynie dwaj obcy pracownicy zakładu pogrzebowego, pastor, a z bliskich osób jedynie Janna.

Kiedy poznała Iana, wydawało jej się, że kiedy będą już starzy, ich wspólny dom wypełni atmosfera rodzinnego ciepła, miłość ich dzieci i odgłos hałaśliwych zabaw wnucząt. Dzisiaj

samotnie stała nad grobem, w którym ostatecznie pochowała swoje nadzieje. Spojrzała na Janę.

Byłbyś z niej dumny, pomyślała patrząc, jak grabarze składają trumnę do grobu. Gdybyśmy mieli córkę, musiałyby być dokładnie taka jak Janna. Jesteś teraz ze mną, tutaj, gdzie przynależysz, ponieważ ona nie pozwoli, by pamięć o tobie umarła.

— Na przekór wszystkiemu przeszedłem dolinę śmierci — pastor recytował wzniosłym tonem — i nie miałem w swoim sercu trwogi przed diabłem.

Pithany westchnęła, słysząc te słowa. Pomyślała, że przecież Ian na pewno nigdy nie bał się żadnych złych mocy, a ostatecznie padł ich ofiarą.

— I szczęśliwie dotarłem do domu bożego, zostałem tam na zawsze. Amen.

Janna podeszła krok bliżej i rzuciła pęk czerwonych róż na wieko trumny. Zaraz potem Pithany rozsypała płatki suszonych kwiatów. Ze smutkiem patrzyła, jak opadają powoli na dno grobu niby umierające motyle. Kiedy dowiedziała się o pogrzebie Iana, poszła na długi spacer, na wzgórze w pobliżu Falcon's Lair, i tam zebrała bukiet polnych kwiatów. Przypomniała sobie bowiem, jak kiedyś Ian pięknie jej tłumaczył, że najbardziej szlachetne są dzikie polne kwiaty i że właśnie takie najbardziej lubi.

Odgłos ziemi spadającej na wieko trumny przerwał ciszę, która spowijała cmentarz. Janna wzięła Pithany za rękę i odciągnęła ją od grobu. Pastor uprzejmie zaczął składać kondolencje. Jego słowa z ledwością docierały do Pithany.

Mechanicznie podała mu rękę na pożegnanie, a potem ze zdziwieniem, jakby wciąż nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje, patrzyła, jak oddala się, trzymając Biblię pod pachą.

Janna nachyliła się i pocałowała ciotkę w policzek.

— Myślę, że to była piękna ceremonia, nie sądzisz? — W tym momencie spostrzegła łzy w oczach starej kobiety.

— Najdroższa, zrobiłaś dla mnie tak wiele. Najpierw ten portret Iana, a teraz... Czy pozwolisz, że zostanę przez chwilę sama?

— Poczekam na ciebie w samochodzie — odparła Janna, ocierając łzy.

Grób rodzinny Crandallów znajdował się na wzgórzu, z którego roztaczał się cudowny widok na całą Vallettę z jej średniowiecznymi kamieniczkami. Wydawało się, jakby ciężkie, brzemienne w deszcz chmury dotykały stromych czerwonych dachów i strzelistych kominów. Poniżej, bardziej na południe, rozpościerał się wielki port, który z tej odległości wyglądał jak

półkoliste zwierciadło, w którym przeglądało się niebo. Tafla wody usiana była miniaturowymi, z tej odległości, łodziami.

— Witaj w domu, najdroższy — szepnęła Pithany, siadając przy świeżo usypanym grobie. — Zawsze kochałeś ten widok na port, miasto. — Rozejrzała się wokoło, po czym dodała: — To miejsce jest także dla mnie. Zawsze pragnęłam spocząć u twego boku.

Nigdy przedtem tak bezpośrednio nie uświadamiała sobie nieuchronności śmierci, nawet wtedy, gdy naziści szykowali inwazję na Malte. Teraz ta świadomość wydawała się całkiem naturalna.

— Tak wiele straciłeś, najdroższy. Szczęśliwe dni Świąt Bożego Narodzenia, ślubów, urodzin... Janna była najpiękniejszą panną młodą — dopiero teraz, kiedy dotknęła oczu, zorientowała się, że płacze. — Sam kiedyś napisałeś do mnie w liście: „Jeżeli cokolwiek miałoby mi się przydarzyć, szukaj mnie w mroku, w ciemności. Odnajdziemy się tam bez trudu, by poszukać jasności. Tam, gdzie kryje się największy skarb tego świata, miłość, miłość na wieki”. Mieszkam w Falcon's Lair. Nazwałam tak tę posiadłość, gdyż przypomina mi hasło, którym kończyłeś wszystkie swoje meldunki. Dzięki niemu wiedziałam, że żyjesz... Mam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego nie chcę zemsty na Tonym Bradfordzie. Możesz mnie uważać za starą i głupią kobietę, ale boję się o życie Janny. Wierzę, że Nick Jensen zajmie się Bradfordem lepiej ode mnie. Jest taki podobny do ciebie, że czasami mnie przeraża. Ma to samo poczucie sprawiedliwości co ty. — Pithany spojrzała w stronę samochodu, który stał przed bramą cmentarza. — Janna jest zbyt niedoświadczona. Jeśli nie będę jej trzymać daleko od Tony'ego, on gotów ją zabić, a ja za bardzo ją kocham. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Pithany z trudem podniosła się z ziemi. Dopiero teraz spostrzegła leżącą obok kamienną płytę, której grabarze nie zdążyli jeszcze umocować u wezgłowia grobu. Janna pamiętała nawet i o tym. Na płycie wyryto krótki napis:

Ian MacShane, na zawsze w moim sercu.

Ta miłość trwa wiecznie.

CZEŚĆ CZWARTA

Błogosławieni

25.

Tony spoglądał przez otwarte okno na ulicę Południową, gdzie ludzie w małych grupkach przechadzali się w brzasku wschodzącego słońca. Niektórzy nieśli niewielkie klatki z ptakami.

Ci idioci — myślał z pogardą Tony — sądzą, że ich pupile potrzebują porannego spaceru i trochę ćwiczeń na świeżym powietrzu.

W rzeczywistości była to jedynie wymówka. Mieszkańcy Valletty, w głębi duszy prowincjusze, chcieli przed pracą spotkać przyjaciół, porozmawiać przy kawie w którejś z otwartych kawiarni, polenić się trochę.

Wszystko wymówki — pomyślał Tony, odwracając się w stronę prywatnego detektywa.

— Żadnych informacji?

— Niestety, sir. Curt przepadł jak kamień w wodę. Nie odnaleźliśmy dotąd żadnego śladu.

— Do cholery, przecież musi gdzieś być!

— Stale szukamy. W końcu na coś wpadniemy.

— Nie chciałbym zbyt długo czekać — Tony chwycił Roberta Tarkingtona pod brodę jak małe niegrzeczne dziecko i uważnie spoglądając w jego błękitne oczy spytał:

— A co w sprawie Iana MacShane'a?

— No cóż... — Robert starał się uniknąć przenikliwego spojrzenia. — Wczoraj Pithany Crandall pochowała Iana MacShane'a w rodzinnym grobie.

— Wiem! Do kurwy nędzy, czy ja nie czytam tych parszywych gazet?

Olbrzymie tytuły na pierwszych stronach informowały o symbolicznym powrocie na Maltę jej bohatera. Tony czuł się upokorzony. O jakim bohaterze oni piszą?! — myślał rozgoryczony. Ian MacShane był zwykłym reporterem, kiepskim reporterem. Parszywym snobem, nic więcej.

— Jak Pithany go odnalazła?

— To Janna Atherton-Pembroke. Parę dni temu była w Bardii. Jej przyjaciel...

Tony nie słuchał Tarkingtona. Jak ta mała suka trafiła na ślad Iana. Janna okazała się równie sprytna co Pithany. Na szczęście nie było sposobu, by ktokolwiek mógł odkryć, co naprawdę stało się z Ianem MacShane'em. W czasie wojny w Bardii roіło się od niemieckich szpiegów, dezertersów i uciekających z Tobruku Brytyjczyków. Panował tam kompletny chaos. Każdy mógł zabić Iana MacShane'a. Ślepy przypadek sprawił, że spotkali się w Bardii. Ale kiedy to już się stało, kiedy los tak niespodziewanie przeciął ich drogi, Tony nie mógł przepuścić okazji. To spotkanie wyglądało na wyzwanie. Miał przy sobie pistolet, który pożyczył wcześniej od Pithany. Nikt nie mógł jednak udowodnić, że zastrzelił Iana z tej właśnie broni. Na nieszczęście ta mała podła kurewka, Janna, wpadła na pomysł, by porównać nabój znaleziony w czaszce Iana z pistoletem Pithany. Ale nawet jeśli by stwierdzono, skąd pochodziła śmiertelna kula, to i tak nie wyjaśniało to, kto pociągnął za spust. Przecież Tony mógł pożyczyć broń komukolwiek, potem odzyskać i oddać Pithany po powrocie na Malte.

To rozumowanie miało jednak jeden słaby punkt. Tony miał powody, by obawiać się, że kolejne dochodzenie, tym razem związane z tajemniczą śmiercią reportera BBC, może narobić wiele hałasu. A dopiero co, z takim trudem, udało mu się uratować twarz, oczyścić z podejrzeń o morderstwo Trevora Prescottta.

— Co z Jensenem?

— Jego kontrakt wygasa. Ma przejść do działu marketingu w centralnym biurze Imperial Cola w Atlancie. Za dwa tygodnie wyjeżdża.

— Co on robił w Teksasie przez ten cały czas?

Ostatni raport donosił o śmierci ojca Trevora Prescottta. Od tamtej pory minął już prawie miesiąc.

— Nic szczególnego. Wymalował dom Prescotttów, w środku i na zewnątrz.

— Boże, zawsze twierdziłem, że to świr. Tarkington roześmiał się nerwowo.

— Przeprowadził matkę z Muleshoe. To potworna dziura. Sprawdziłem. Niema tam nawet McDonald'a. Teraz mieszkają razem w domu Prescotttów.

Tony nigdy nie lekceważył Jensena. Było coś niepokojącego w tym obcym teksańczyku, tak podobnym do Iana MacShane'a. Nick na pewno podejrzewa Tony'ego o morderstwo. Najchętniej wykończyłby od razu Bradfordów, już choćby dlatego, by przypodobać się tej dziwce Jannie. Tony nie czuł się zagrożony. Tylko dwoje ludzi wiedziało, co naprawdę wydarzyło się w Bardii, on i Ian MacShane.

A martwi nie mogą niczego powiedzieć. Przez cały czas pobytu Nicka na Malcie Tony czuł się dziwnie niespokojnie. Nie istniało żadne racjonalne wytłumaczenie dla zaskakującego podobieństwa między tym teksańczykiem a Ianem. Dlatego wolał mieć Jensena jak najdalej od siebie, na przykład w Ameryce.

Janna, zniechęcona, odsunęła od siebie stos listów. Żadna z odpowiedzi nie wniosła nic nowego do sprawy Bradforda. Kielich Kleopatry przypadł bez śladu. Zgodnie z dostępną dokumentacją żadne większe muzeum ani żaden poważny prywatny kolekcjoner nie mieli tego ważnego dla Maltańczyków narodowego skarbu. To tajemnicze zniknięcie wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Nawet podczas wojny alianci dbali, by przepływ dzieł sztuki z kraju do kraju odbywał się przy zachowaniu niezbędnych formalności.

Zakładając więc, że Tony ukradł kielich i przeschmugłował go za granicę, w momencie sprzedaży musiały powstać jakieś dokumenty. Przy dokonywaniu zakupu konieczne było świadectwo autentyczności dzieła sztuki. W ten sposób wiele muzeów odnalazło skradzione obrazy czy starą biżuterię. Władze Malty sporządziły po wojnie specjalną listę zaginionych skarbów, która krążyła po różnych galeriach, muzeach i domach aukcyjnych na całym świecie.

Niestety, Kielich Kleopatry wciąż zajmował na niej pierwsze miejsce. Istniała wprawdzie możliwość, że skarb znajdował się w rękach jakiegoś bogatego kolekcjonera z Japonii, ale w takim przypadku był praktycznie nie do odzyskania.

Dzwonek telefonu wyrwał Jannę z głębokiego zamyślenia.

Sięgnęła po słuchawkę. Miała nadzieję, że to Nick.

— Jak leci? — usłyszała radosny głos Warrena.

— Świetnie — starała się ukryć rozczarowanie. Od kilku dni czuła się naprawdę fatalnie. Poszukiwania Kielicha Kleopatry utknęły w martwym punkcie. Bezsilność i jałowe oczekiwanie wpędzały Jannę w depresję. Gdyby chociaż miała przy sobie Nicka... ale on uparcie nie dawał znaku życia.

— Czy wybrałaś już sukienkę na ślub?

— Jeszcze nie — odparła trochę zaskoczona. Zwykle pierwsze pytanie Warrena brzmiało: czy słyszałaś coś o Nicku?

— A co z Kielichem Kleopatry?

— Ani śladu. Nie ma go w żadnym z większych muzeów.

— Znasz moje zdanie. Jestem przekonany, że Tony sprzedał kielich jakiemuś prywatnemu kolekcjonerowi.

Janna zgadzała się z bratem. Kielich miał pozamaterialną wartość jako symbol pokoju. Święty Paweł podarował go Maltańczykom w dowód wdzięczności za okazaną pomoc. Ta historia w oczach wielu ludzi nadawała kielichowi magiczną moc. Ktoś mógł go trzymać w ukryciu ze względów religijnych.

— Mimo wszystko wysłałam jeszcze listy do Christiego, Sotheby'ego i paru innych domów aukcyjnych. Może w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat Kielich Kleopatry pojawił się na rynku dzieł sztuki.

Warren pytał jeszcze o kilka szczegółów, niemniej w trakcie rozmowy Janna mogła wywnioskować, że Kielich Kleopatry interesuje go tylko w niewielkim stopniu. Starał się być uprzejmy, ale jego myśli zaprzętały w tej chwili całkiem inne sprawy. Janna była mu naturalnie wdzięczna za pomoc, a przede wszystkim za dyskrecję.

Rozumiała argumenty ciotki Pithany, nie chciała jednak pozwolić, by Tony Bradford, odpowiedzialny za trzy morderstwa, uszedł, nie ponosząc słusznej kary. Świadomość, że ma na sumieniu śmierć Trevora Prescottta, przyjaciela Nicka, oraz biednej Rhondy Sibbett, a jeszcze wcześniej Iana MacShane'a, nie dawała jej spokoju. Chciała rewanżu, chciała zobaczyć Wielkiego Tony'ego za kratkami. Nawet jeśli nie miała dość dowodów, by oskarżyć go o potrójne morderstwo, to przynajmniej mogła rozgłosić okoliczności tajemniczego zniknięcia z Malty Kielicha Kleopatry.

Skończyła rozmowę z bratem, gdy sekretarka poinformowała ją, że pan Jensen czeka na dole.

— Proszę go wpuścić! — odparła w popłochu.

Podbiegła do lustra. Katastrofa! pomyślała. Dlaczego Nick jej nie uprzedził?

Sukienka, którą miała na sobie, wyglądała okropnie. Makijaż też nie był najlepszy.

Kiedy wybiegła przed drzwi gabinetu, omal nie wpadła na niego. Jej serce biło jak oszalałe. Nick wydawał się jeszcze bardziej przystojny i pociągający. Chciała rzucić mu się na szyję. Ta długa rozłąka z całą mocą uświadomiła jej, że związek z Nickiem nie był przelotnym kaprysem, że naprawdę go kocha.

Nie czuła już strachu ani obaw. Jej małżeństwo z Collisem odeszło w zapomnienie, wydawało się, jakby wcale go nie było.

— Kochanie, jak dobrze, że jesteś z powrotem — wyszeptała zarzucając mu ręce za szyję.

Nick nie zareagował. Stał niby całkiem obcy człowiek. Nie pocałował jej, nie uśmiechnął się nawet. Od wielu lat żadna kobieta nie witała go tak czule i ciepło. Wzbraniał się przed okazaniem swych uczuć. Powoli oswobodził się z uścisku.

— Jak było? — spytał.

Przez krótki moment Janna poczuła się zmieszana tym chłodnym przyjęciem. Chciała być jednak wyrozumiała.

— Tak mi przykro z powodu Austina. Musiałeś to bardzo przeżyć. Przytaknął. Jego zimne oczy mówiły, że nie chce dalej ciągnąć tego tematu.

Rozejrzał się wokoło i zapytał:

— Jak stoją sprawy?

Janna nerwowym głosem zaczęła opowiadać mu, w jaki sposób odnalazła zwłoki Iana MacShane'a. Mówiła bardzo szybko, jakby chciała w ten sposób zagłuszyć niespokojne myśli, które zaprzętały jej głowę.

— Testy balistyczne wykazały, że zginął z pistoletu, który wcześniej dał ciotce Pithany. Czy to nie dziwne?

Dziwne? Jezu! Przecież to istny horror — pomyślał. Nick nie mógł uwolnić się od natrętnej myśli, że los gra z nim w nieuczciwą grę. Kiedy zobaczył portret Iana MacShane'a, naszkicowany przez kobietę, która nigdy wcześniej go nie spotkała, przeraził się. Podobieństwo było uderzające...

Janna podbiegła do biurka. Cały czas obserwowała Nicka. Jego dziwne zachowanie niepokoiło ją. Czy wstrząs wywołany śmiercią bliskiej osoby mógł tak bardzo go zmienić?

— Tu jest raport z Fort Halstead — podała mu teczkę z dokumentami. W tym momencie zadzwonił telefon. Janna podniosła słuchawkę.

— Przepraszam cię na chwilę...

Kiedy rozmawiała przez telefon, Nick zaczął czytać raport o Ianie MacShane. Mógł się z niego dowiedzieć, że Ian był wysokim mężczyzną, mierzył bowiem 190 cm, dokładnie tyle co Nick. Ważył wprawdzie nieco mniej, 70 kg, ale przecież musiał zadowolić się niewielką żołnierską racją żywnościową. Można więc przyjąć, że także ich waga byłaby podobna, jeśli nie identyczna. Wszystko to przypominało jakiś diabelski zbieg okoliczności, niesamowity przypadek. Jednak następna informacja przeraziła Nicka nie na żarty. Ian miał sztywne kolano w wyniku naderwania torebki stawowej i uszkodzenia łąkotki.

Nick przestał czytać. Odnosił wrażenie, że zdarzenia zaczynają go przerastać. Będąc dzieckiem, Jensen nadwerężył kolano podczas gry w piłkę nożną. Gdyby matka nie przełamała swej dumy i nie zadzwoniła do ojca, by poprosić go o pieniądze na operację łąkotki, Nick prawdopodobnie do końca życia pozostałby kaleką.

Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie jego podobieństwa do Iana MacShane'a. Bez wątplenia czarne włosy i niebieski kolor oczu odziedziczył po matce. Reszta musiała pochodzić od ojca, chociażby ten niepokojący dołek w brodzie. Nadawał jego twarzy wyjątkową ekspresję, jakiś czar, który tak skutecznie oddziaływał na kobiety, a tak bardzo złościł innych mężczyzn.

Nick czuł, że ogarnia go coraz większy strach przed nieznaną prawdą, która zaczęła powoli wyłaniać się z mroku. Kilka dni temu marzył, by wrócić na Maltę. Teraz chciał z niej uciec jak najdalej.

— Czy coś się stało? — spytała Janna. Dopiero teraz spostrzegł, że dawno skończyła rozmowę i od kilku dobrych minut badawczo mu się przyglądała.

— Nie, nic — odparł niepewnym głosem.

— Tony zabił Iana — powiedziała Janna.

— Jak to udowodnić po tylu latach? — jego ton wydawał się obojętny, tak jakby nie czuł żadnego związku z tą sprawą.

— Zabił także Trevora, a potem próbował zabić ciebie...

— Przestań. Policja ustaliła, że Rhonda popełniła samobójstwo. Przyznała się do wszystkiego w liście. Nie ma powodów, by obciążać winą Bradfordów.

Janna nie mogła uwierzyć, że słyszy to naprawdę.

— Chyba nie uwierzyłeś w tę historyjkę?

— Fakty ją potwierdzają.

— Trevor był twoim najlepszym przyjacielem. Czy nie obchodzi cię prawda?

— Naturalnie, że mnie obchodzi. Nie mam jednak żadnych powodów, by nie wierzyć policjantom. Eksperci z Fort Halstead potwierdzają ich wersję śmierci Trevora i Rhondy. Czy uważasz, że coś przeoczyli?

— Nie, ale uważam, że ktoś zmusił Rhondę do popełnienia samobójstwa.

— Trzymaj się faktów — odparł Nick nieco ironizując. — Policja przesłuchała służącego. Nikt oprócz niego nie przekroczył progu willi, w której mieszkała Rhonda.

— Słyszałam, że Tony ma przyjaciół na Sycylii. Może mafia...

— Daj spokój, Janno. Za dużo oglądasz kiepskich kryminałów. Lepiej powiedz mi, jak Pithany zniosła wiadomość o śmierci Iana — Nick zmienił temat rozmowy.

— Na początku przeżyła szok. Teraz jest spokojniejsza, gdyż ma Iana przy sobie. Odwiedza jego grób kilka razy w tygodniu.

— Ach tak — Nick zamyślił się. — Wpadłem do Falcon's Lair. Widzę, że zamieszkałaś w domku gościnnym.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu? — Jej piękne, szmaragdowe oczy spojrzały na niego przez łzy.

— Nie — odparł oschle. — Chciałem tylko zabrać swoje rzeczy.

— Wyjeżdżasz? — spytała łamiącym się głosem.

— Dostałem awans. Mam posadę w centralnym biurze marketingu.

Janna nigdy nie należała do osób, które łatwo ulegają rozpacz. Miała silny charakter i wyjątkową dumę. Dlatego przełknęła gorzką pigułkę, spojrzała Nickowi prosto w oczy i powiedziała wręcz wyzywającym tonem.

— Zawsze tego chciałeś.

— Tak — zdobył się na uśmiech. — Wydałem także dyspozycje, by przekazano ci moje akcje w Blue Grotto.

To brzmiało jak definitywne pożegnanie.

— Ile chcesz za nie? — Janna odruchowo zacisnęła pięści.

— Nic. Przyrzekłem Pithany, że oddam wam moje udziały, jeśli zdecyduję się opuścić Malte.

— Przecież Trevor zapłacił za nie. A może to była tylko umowa?

— Zapomnij o pieniądzach — Nick patrzył w sufit. Wiedział, że nie obejdzie się już bez wzajemnych oskarżeń, chęci odwetu, prób zranienia uczuć drugiej osoby. — Po prostu chcę, byś miała te udziały...

— Dlaczego? — Janna omal nie wykrzyknęła.

— Spędziłem na wyspie cudowne dni. Ty... twoja rodzina pomogliście mi w najtrudniejszych chwilach.

— Nick — szepnęła. — Ja ciebie kocham. Daj mi szansę. Porozmawiajmy.

Chciał odejść od niej. Wystarczyło powiedzieć na pożegnanie kilka miłych słów i rozstać się jak przyjaciele, którzy nigdy więcej o sobie nie usłyszą. Ostatnie tygodnie, spędzone w sa-

motności, uzmysłowiły mu, że Janna jest dla niego wszystkim. Wiedział, że nie uwolni się od tego uczucia, chyba że po prostu je zniszczy.

— Nie mamy o czym rozmawiać.

Na ślicznej twarzy Janny rysowało się zdziwienie, podobne do tego, które widzimy w oczach zwierząt, nie rozumiejących, dlaczego ich ukochany właściciel i opiekun nagle zadał im ból.

— Wydaje ci się, że mnie kochasz, ale...

— Kocham cię naprawdę! — wykrzyknęła zrozpaczona.

— Tylko tak myślisz.

— Tak jak ty myślisz, że ciągle kochasz Amandę Jane?

— Myśle? — podniósł głos. — Ja to wiem. Wciąż kocham Amandę i będę ją kochał zawsze.

Nie minęła nawet chwila, a Nick już żałował tych słów. Nie dlatego, że powiedział nieprawdę. Po prostu pełen cierpienia wyraz twarzy Janny uprzytomnił mu, że posunął się za daleko. Powinien był bardziej łagodzić słowa.

— Nie chcę zająć jej miejsca, Nick. Wiem, że nikt nie zdoła ci jej zastąpić. Ale opłakiwałeś ją przez ponad pięć lat. To wystarczy. — Jensen milczał. — Czy zamierzasz spędzić resztę życia samotnie?

Nigdy nie zastanawiał się nad przyszłością. Nigdy nie robił planów. Jego życie przypominało upartego ślimaka, który bez względu na przeszkody brnie do przodu. Nie chciał mówić teraz o przyszłości. Aby wybrnąć z sytuacji, przeszedł do ofensywy.

— Czy nie mówiłaś Collisowi, że go kochasz? Janna chwyciła go za rękę.

— Tak, ale to nie to samo, zupełnie nie to samo, Nick! Cofnął się o krok.

— Czy rozwiodłaś się z nim?

— Sprawa zakończy się za dwa tygodnie — odparła zmieszana.

— W takim razie porozmawiamy później.

Nick podszedł szybko do drzwi. Można było odnieść wrażenie, że ucieka przed kimś. Nawet nie spojrzał na Janne, tylko wyszedł w pośpiechu.

Korek od szampana wystrzelił wysoko w powietrze, przeleciał nad tarasem pałacu Lyforth Hall i miękko wylądował na wypielegnowanym trawniku w ogrodzie. Brzęknęły kryształowe kieliszki. Wszyscy czekali, aż pan młody wzniesie toast. Audrey i Ellis, którzy pobrali się już

kilka dni temu w Falcon's Lair, stali z boku, przyglądając się młodej parze, Warrenowi i Shadoe.

— Chloe zawsze pragnęła mieć ojca — powiedziała Shadoe, patrząc przez łzy szczęścia na Warrena.

— Teraz już ma — odparł. — Właśnie ją adoptowałem.

— To wspaniale — powiedziała Audrey, a reszta rodziny temu przyklasnęła. W życiu Warrena wszystko zaczynało się układać szczęśliwie.

Potrafił obrócić na własną korzyść zarzuty i oskarżenia, które pojawiły się w brukowej prasie po oświadczeniu Tony'ego Bradforda.

Teraz stał się prawdziwą gwiazdą mass mediów, dziennikarze dobijali się do jego drzwi o wywiady, a polityczni przyjaciele okazywali mu szacunek i respekt. Nie uderzyło mu to jednak do głowy. Nadal poważnie traktował swoją pracę w parlamencie. Zaliczał się do tych parlamentarzystów, którzy myśleli o przyszłości Anglii i prawie zawsze obecni byli na sali posiedzeń.

— Za Shadoe i Warrena — Pithany wzniosła toast kieliszkiem szampana. — Niech ich miłość trwa wiecznie.

Rozległ się dźwięk kryształowych szkieł. Warren pochylił się w stronę pięknej panny młodej i objąwszy ją czule, długo całował.

Niejeden fotograf czy reporter, którzy bezustannie tropili każdy krok młodego lorda, odalby wszystko, by móc teraz zrobić zdjęcie dla swojej gazety. Janna nie mogła oprzeć się przykreemu uczuciu goryczy. Patrząc na zakochanych, myślała o Nicku. Mimo że sprawa rozwodowa zakończyła się już kilka tygodni temu, Nick wciąż nie dawał znaku życia. Straciła nadzieję, że się odezwie. Zresztą ostatnie spotkanie w jej biurze dowiodło, że między nimi wszystko skończone. Nick nie kochał jej. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy, nawet jeśli była aż tak bolesna. Mogła bez końca powtarzać, że go kocha. Dla Nicka i tak najważniejsza była praca i... Amanda Jane.

— Ty będziesz następna — usłyszała głos ciotki Pithany.

Starła się uśmiechnąć, choć najchętniej wybuchnęłaby płaczem. Oczywiście Nick okazał się na tyle dobrze wychowany, że złożył Pithany wizytę po powrocie ze Stanów. Nie ukrywał przed nią zamiaru opuszczenia Malty.

— Należycie do siebie...

Janna chciała w to wierzyć, ale rzeczywistość okazywała się mniej romantyczna. Los sprzyjał jej w interesach. Znalazła się na samym szczycie hotelowego imperium Pithany Crandall, nie mogła jednak podzielić się swym szczęściem z człowiekiem, którego tak bardzo kochała. Blue Grotto okazał się olbrzymim sukcesem. Od jego otwarcia przedstawiciele firm turystycznych zabiegali o to, by Janna czym prędzej zbudowała podobne hotele na Costa Esmerelda i Menorca.

Służący wniósł na taras olbrzymi tort weselny. Warren podszedł do siostry. Stał obok niej i powiedział:

— Próbowałem złapać Nicka w Atlancie. Niestety, nie odpowiadał na moje telefony.

Janna miała ochotę wykrzyknąć, by przestali wreszcie mówić w jej obecności o Nicku Jensenie. Opanowała się jednak w porę. To nie była ich wina, tylko jej rana nie zdążyła się jeszcze zagoić.

— Słyszałam, że jego nowa praca jest bardzo absorbująca.

— Skoro mówimy o pracy, podobno Collis uczy na uniwersytecie w Durham. Czyż to nie jest zadziwiająca kariera? — ton Warrena przepełniała ironia. Janna nie podzielała tego lekceważenia. Jej zdaniem Oxford czy Cambridge nie zawsze też gwarantowały najwyższy poziom nauczania.

— Ożenił się dwa dni temu — powiedziała spokojnym głosem.

— Daj spokój — roześmiał się Warren.

— Mówię poważnie. Annabelle Swarthmore jest teraz panią Coddington Pembroke. ,

— Skąd to wiesz? Niczego nie czytałem w gazetach.

— Kupiłam od niego udziały w Minera Mews. Sytuacja na rynku giełdowym była niedobra i Collis potrzebował pieniędzy na podróż poślubną.

Warren uważnie przyglądał się siostrze.

— Nie jest ci przykro? — spytał z obawą.

— Nie. — Najchętniej powiedziałyby, że milczenie Nicka rani ją o wiele bardziej. Shadoe skinęła na Warrena, by pomógł jej w krojeniu tortu.

Audrey podeszła do Janny z pełnym kieliszkiem szampana.

— Taxi jest prawie gotowa na wystawę w Atenach — powiedziała.

Janna była jej wdzięczna, że absorbuje ją własnymi kłopotami i pozwala choć na chwilę zapomnieć o Nicku Jensenie. Dentysta dla psów okazał się prawdziwym cudotwórcą. Zlikwidował zły zgrzyz u Taxi. Specjalnie wynajęty treser nauczył psa reagować na podstawowe ko-

mendy. Naturalnie Janna tęskniła za Taxi, tym bardziej że przypominała jej o spędzonych razem z Nickiem chwilach. Dobrze wiedziała jednak, że u Audrey psu będzie najlepiej.

— Chciałabym ci bardzo podziękować — głos Audrey stał się dziwnie miękki i ciepły — że sprowadziłaś Iana do domu. Pithany przez te wszystkie lata żyła zamknięta w świecie własnych wspomnień. Nikt z rodziny nie potrafił jej pomóc. Dopiero ty...

Audrey pocałowała Janę w policzek. Nigdy nie należała do kobiet, które łatwo okazują swoje uczucia, nawet wśród najbliższych osób. Jednak od śmierci Reginalda Audrey bardzo się zmieniła — na korzyść.

— Czas najwyższy, aby powiedzieć dobranoc małej Chloe — zaproponowała Audrey. Obie weszły do olbrzymiego holu, po czym przemierzyły kilkanaście imponujących sal, pokonały kręte schody dla służby i znalazły się w nowo urządzonej sypialni dla nowożeńców. Niania Forsythe ubierała właśnie Chloe w małą jedwabną pidżamkę.

— Kupiłam jej specjalnie w Paryżu — powiedziała z dumą Audrey. — Jestem taka szczęśliwa, że mam nareszcie wnuczkę.

Wzięła ostrożnie dziecko na ręce i pocałowała w nosek. Ktoś, kto poznałby lady Atherton rok temu, nigdy by nie przypuszczał, że jest zdolna do podobnych czułości.

— Mam nadzieję, że już wkrótce będziesz miała wiele braciszków i siostrzyczek — uśmiechnęła się do dziecka.

— Ależ Audrey...

— No, przecież ona jeszcze nie rozumie — Audrey zrobiła wielkie oczy, udając, że nie pojmuje zgorszenia Janny. — Poza tym Warren i Shadoe są już dorośli. Chloe wydała z siebie niezrozumiały dźwięk.

— Czy słyszałaś? Ona powiedziała „babciu”. Chloe, powiedz teraz: ciocia Janna...

Janna patrzyła na tę scenę z głęboką niechęcią. Jeszcze niedawno to ona sama uczyła się wymawiać słowa „ciocia Pithany”.

To zestawienie niepokoiło ją. Zaczęła dostrzegać dziwne podobieństwo pomiędzy losem ciotki i swoim. Nie chciała jednak tak jak ona spędzić całego życia, oczekując na ukochanego mężczyznę. Nie chciała uciekać we wspomnienia i samotność. Widząc Chloe na rękach Audrey, Janna z goryczą myślała o swoich marzeniach, by urodzić Nickowi dziecko, dać mu coś więcej niż tylko swoją miłość. Po cichu opuściła sypialnię i zeszła na dół. W holu spotkała Shadoe.

— Możesz być spokojna. Audrey jest teraz przy Chloe i odkrywa uroki bycia babcią. Poza tym snuje plany co do przyszłego rodzeństwa Chloe.

— Dokładnie tego samego pragniemy z Warrenem. Chcemy mieć dużo dzieci. Nigdy więcej żadnych banków spermy...

Janna miała dosyć wysłuchiwania kolejnych hymnów pochwalnych na cześć życia małżeńskiego.

— Pójdę po Taxi.

— Pozwól sobie towarzyszyć. Nie chcę przeszkadzać Audrey.

Poszły razem do pokoju Audrey, gdzie na łóżku, owinięta w kocyk, leżała Taxi z mordką na jedwabnej poduszce. Janna wzięła pieska na ręce i przytuliła do niego twarz.

— Nie martw się, Nick wróci do ciebie — powiedziała nagle Shadoe.

Janna nie miała nawet siły się gniewać. Chyba wszyscy sprzysięgli się tego dnia mówić ciągle o Nicku Jensenie.

— Nie obchodzi mnie, czy wróci czy nie — w głosie Janny krył się żal i głęboka gorycz. Nie spodziewała się, że tak bardzo przeżyje utratę Nicka.

— On wróci do ciebie, zobaczysz. Może nie pamięta o Varennes, ale w głębi serca czuje, że należycie do siebie. To przeznaczenie.

Trudno było spierać się z Shadoe. Na jej twarzy malowała się dobroć, a oczy wyrażały wiarę w to, co mówi.

— Jak już powiedziałam, nie obchodzi mnie to — Janna starała się pokazać obojętność. — Zależy mi jedynie na tym, by Tony Bradford znalazł się za kratkami. Zapewne już myśli, że uszedł karze. Bardzo się jednak myli.

— Czy odnalazłaś Kielich Kleopatry?

— Nie, ale mam pewien pomysł — odparła Janna. — A tak na marginesie, to „kielich” był raczej półmiskiem wykładanym drogocennymi kamieniami. Nazwano go Kielichem Kleopatry na cześć ostatniej władczyni Egiptu uchodzącej za ideał piękna i dobrego smaku.

— Czy masz jakieś zdjęcia?

— Niestety, wszystko przepadło w czasie wojny. Na szczęście pewien człowiek, który w tamtych czasach był ministrantem w katedrze, wykonał dla mnie szkic, przedstawiający Kielich Kleopatry. Powieliłam go i wysłałam do wszystkich większych muzeów na świecie.

— Dlaczego ty i Nick nie współpracujecie ze sobą?

— Nick uwierzył w oficjalną wersję śmierci swojego przyjaciela. Poza tym jest zbyt zajęty nową pracą, aby mógł mi pomóc.

— O nie, Janno — Shadoe zdecydowanie pokręciła głową. — On boi się wystawiać cię na niebezpieczeństwo.

Janna roześmiała się, myśląc o przyjaciółce, że jest niepoprawnie romantyczna.

— Uważam, że Nick ma rację — dodała Shadoe. — Powinnaś uważać. Nie zapominaj, że Tony zamordował z zimną krwią trzy osoby.

26.

Tony jednym haustem dopił brandy, po czym badawczo spojrzął na siedzącego przed nim prywatnego detektywa. Wysoki, dobrze ubrany Francuz nie wzbudzał większego zaufania. Bardziej pasowałby do snobistycznego towarzystwa jednego z francuskich klubów jeździeckich, gdzie arystokraci wymieniają się adresami swoich najnowszych kochanek, sączą z kieliszków Le Paradis i rozmawiają o cenach na giełdzie. Wygląd mógł być jednak mylący. Gaspard cieszył się bowiem dużym wzięciem jako znakomity detektyw.

— Odnalezienie pańskiego syna nie powinno nastęczać większych trudności.

— Słyszałem to już wiele razy. Bez pieniędzy, bez paszportu, to niemożliwe, by Curt mógł odjechać daleko. A jednak nie ma go na Costa del Sol.

Na wąskich ustach Gasparda pojawił się pełen sprytu uśmiech.

Taka pewność siebie irytowała Tony'ego. Jeśli odnalezienie Curta było rzeczywiście takie proste, dlaczego dwóch innych detektywów uganiało się za nim, jak do tej pory, bezskutecznie.

— Curt zniknął cztery miesiące temu — zastanawiał się głośno Tony. — Jedyne, na czym się zna, to samochody i łodzie. Musiał znaleźć jakąś pracę...

— Pański syn dobrze wie, gdzie będziemy go szukać. Jestem daleki od tego, by nie doceniać tego młodego człowieka. Myślę, że raczej ukrył się gdzieś skrzętnie. Być może całkiem niedaleko stąd. Pan rozumie, najciemniej bywa pod latarnią. Sądzę, że nie ma sensu tracić czasu na teoretyczne roztrząsanie tej sprawy. Zarówno dla pana, jak i dla mnie jest on zbyt cenny — Gaspard wstał z miejsca i skierował się ku wyjściu. — Będę z panem w kontakcie.

Tony nalał sobie kolejny kieliszek brandy. Siedząc w swoim ogromnym gabinecie, w przepaścistym fotelu za olbrzymim biurkiem, Bradford poczuł się, być może po raz pierwszy w życiu, dziwnie samotny i mały. Zniknięcie Curta rozwścieczyło go, ale jednocześnie uświado-

miło, że coraz trudniej znosi ciężar odpowiedzialności na swoich barkach. Po tym, jak kolejni dwaj detektywi okazali się całkiem bezradni, Tony zdecydował się wynająć Francuza. Nigdy specjalnie nie ufał zabojadom. Znał ich z czasów wojny, kiedy kolaborowali w Algierii z Niemcami. Coś jednak mówiło mu, że Gaspard jest właściwym człowiekiem.

Wstał zza biurka i podszedł do barku, by wziąć następną butelkę. Na pewno w jakimś stopniu sam odpowiadał za całe to zamieszanie. Nie docenił uczuć Curta ani nie przewidział jego reakcji na wieść o śmierci Rhondy. Sypiał z tą kłamliwą dziwką od lat i Tony zawsze myślał, że to tylko kwestia seksu i niczego więcej. Skąd mógł przypuszczać, że on ją kocha. Był gotów przebaczyć synowi, przyjąć go z powrotem do domu i nakłonić do małżeństwa z jakąś porządną, inteligentną kobietą. Od dawna miał na oku dwie kandydatki. Chciał umrzeć ze świadomością, że ma komu przekazać swoje nazwisko i fortunę. Potrzebował dziedzica. Tony przełknął kolejny łyk alkoholu. To za mało. Księżę Walii dał królowej Elżbiecie dwóch wnuków, choć przecież nie jest już młodym mężczyzną. „Dziedzic i jego następca” — tak gazety brytyjskie nazywały synów księżnej Diany.

— Tego właśnie najbardziej potrzebuję — Tony wymamrotał do kieliszka. — Dwóch wnuków. Mam przed sobą jeszcze dość czasu, by nauczyć ich życia i przygotować do przejęcia władzy na Malcie.

Dopiero teraz, oddając się z przyjemnością swym największym marzeniom, Tony uświadomił sobie, że nie dokończył jeszcze rozgrywki z Pithany. Wciąż miał szansę ją pokonać. Janna nie miała bowiem dzieci. Tony zaśmiał się głośno z satysfakcją. Na dodatek Nick dał jej kosa. Przez pewien czas Bradford z prawdziwą trwogą myślał, że tych dwoje może się w sobie zakochać. Przerażała go taka możliwość. Byłoby to jakimś wyjątkowo perfidnym żartem losu. Kiedyś Ian i Pithany, teraz Nick i Janna. Tony dobrze pamiętał tamten telefon w nocy, kiedy to w słuchawce usłyszał głos Nicka. Pomyślał, że to Ian MacShane dzwoni do niego zza świątów. Wtedy to po raz pierwszy przyznał, że pojawienie się Nicka na Malcie nie było wcale przypadkiem, lecz że ktoś go specjalnie przysłał. Tony nie wiedział kto, może Bóg? W podobieństwie Iana i Nicka kryło się coś fatalnego, jakby los postanowił nagle wyrównać stare rachunki. Tony oczami wyobraźni widział Jensena, który mierzy do niego z pistoletu prosto w głowę, dokładnie tam, gdzie śmiertelna kula ugodziła w Bardii Iana MacShane'a. Wciąż miał przed oczyma ten obraz, jak znienawidzony przeciwnik upada na ziemię z roztrzaskaną czaszką.

Teraz te wszystkie obawy wydawały się śmieszne. Jensen nie miał odwagi, by zadzwonić ponownie. Pojechał do Atlanty i zajął się sprzedażą tego, czego świat zdawał się najbardziej

potrzebować — produktów Imperial Cola. Tony odstawił butelkę i podszedł do biurka. Chciał jeszcze trochę popracować. Przed nim leżał stos dokumentów do przejrzania. Od tygodni całą jego uwagę i czas zajmowały poszukiwania Curta. Zupełnie zaniedbał swoją firmę. Jedyne, co mógł zrobić, to przejrzeć bieżące dokumenty i zanotować dla sekretarki najważniejsze polecenia. Codziennie rano znajdował w swoim gabinecie kartkę z dokładnym spisem zajęć i spotkań. Nigdy jednak nie udało mu się zrealizować nawet połowy z nich. Doradcy już od pewnego czasu sugerowali mu, by częściej pokazywał się publicznie, więcej pieniędzy przeznaczal na cele charytatywne i socjalne. To wcale nie była zła myśl. Powinien stale myśleć o swojej pozycji, o tym, jak widzą go inni ludzie. Curt przez swoją bezdenną wprost głupotę zawsze psuł mu opinię. Ostatnio przekroczył wszelkie granice. Tylko dzięki wyjątkowej przebiegłości Tony zdołał zachować dobre imię. Pragnął, by jego wnuki były dumne z dziadka. Chciał, by pamiętały go jako wspaniałego pilota RAF-u i założyciela dynastii Bradfordów.

— To ja jestem bohaterem, prawdziwym bohaterem — powtarzał sobie. — MacShane był tylko marnym reporterem, zupełnym zerem... takim samym zerem jak Nick Jensen.

Odłożył na bok papiery i sięgnął po zaklejoną, grubą kopertę.

Zawierała raporty Nimroda, Housera i Westbury'ego. Data na stemplu pocztowym wskazywała, że przesyłkę wysłano zanim Tony zwolnił trzech detektywów, którzy przez lata pracowali dla niego, śledząc każdy ruch Pithany Crandall. Zamierzał zatrudnić kogoś nowego, lecz od kiedy zniknął Curt, nie miał czasu zająć się tą sprawą. Na ogół wyrzucał raporty do kosza, nawet nie czytając. Tym razem zmienił jednak zdanie. Otworzył kopertę i wyjął plik dokumentów. Szybko odnalazł raport na temat Nicka. Rzucił na niego okiem. Nagle poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wyprostował się w fotelu i opanowując gniew, uważnie zaczął czytać słowo po słowie. Na koniec zgniótł papier i wściekły rzucił go na podłogę.

— To skurwiel! — wykrzyknął zachrypniętym głosem.

Jensen nie wrócił do Atlanty. Wypowiedział pracę i zniknął bez śladu.

Warren z trudem przedostał się przez tłum gratulujących mu posłów. Jego przemówienie zostało przyjęte z prawdziwym entuzjazmem. Ścigany pochwałami, wbiegł po schodach na galerię, gdzie znajdowały się miejsca dla prasy i gości.

— A więc znalazłaś! — zwrócił się do Janny.

Przed miesiącem muzeum Burrell Collection z Glasgow pozytywnie odpowiedziało na jej list z załączonym rysunkiem, przedstawiającym zaginiony Kielich Kleopatry. Janna natychmiast udała się do Szkocji, by sprawdzić tę informację.

— Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to Kielich Kleopatry — odparła. — W papierach jest napisane, że chodzi o stare etruskie znalezisko. Skądinąd jednak wiadomo, że do Glasgow trafił z Turcji sprzedany przez pewnego handlarza dziełami sztuki, który znany jest ze swych powiązań ze światem przestępczym.

— Skąd wiesz, że to nie jest jakiś inny, podobny kielich?

Janna uśmiechnęła się z dumą.

— Zawartość srebra.

Większość ludzi nie wiedziała, że srebro z Malty różniło się od srebra wydobywanego w innych krajach. Przede wszystkim odznaczało się wyjątkowo dobrą próbą i dlatego też cieszyło się dużym wzięciem na rynku kruszców. Najprostszy test mógł z dużym prawdopodobieństwem wykazać, czy kielich rzeczywiście pochodzi z Malty.

— Może zjemy razem lunch? — zaproponował Warren.

Zeszli na parter i udali się do niewielkiej, ale bardzo przytulnej restauracji dla posłów i pracowników parlamentu.

— Zarząd muzeum pozwolił, by kielich zbadali eksperci z Międzynarodowej Fundacji Badań nad Dziełami Sztuki — kontynuowała Janna, kiedy usiedli przy jednym ze stolików. — Jestem pewna, że stwierdzą autentyczność Kielicha Kleopatry. Wynajęłam także detektywa w Turcji, któremu udało się odnaleźć dokumenty, związane z zakupem kielicha. Zgadnij, co się okazało.

— Wszystkie papiery były sfalszowane — Warren odparł bez namysłu, dając jednocześnie znak kelnerowi, by podał im coś do picia.

— Dokładnie, a co ciekawsze, wynika z nich, że kielich przywieziono do Turcji z Libii, zaraz po wojnie. Prawdopodobnie wcześniej znajdował się w rękach jakiegoś prywatnego kolekcjonera. Detektyw ma odnaleźć dokumenty dotyczące sprzedaży kielicha do Turcji. Myślę, że prowadzą one prosto do Tony'ego Bradforda.

— Jeśli był dość sprytny, nie podpisał żadnych papierów.

— Bardzo możliwe. Na pewno jednak pozostawił jakiś ślad. Jak tylko otrzymam pozytywną ekspertyzę, zamierzam wystąpić z oskarżeniem przeciwko Tony'emu Bradfordowi.

— Uważaj, Tony z pewnością już wie o twoich poszukiwaniach. Nie sądzę, by czekał bezczynnie. — Warren postanowił ostudzić nieco zapał siostry. Janna najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

— Nie obawiaj się. Żadne muzeum nie lubi rozgłosu, jeśli w grę wchodzi skradzione dzieła sztuki. Zresztą... — Janna przerwała, gdy kelner stawiał przed nią talerz z pstrągiem w sosie cytrynowym, a następnie nalewał do kieliszków czerwonego, mocnego burgunda. — Zresztą zabezpieczyłam się na wypadek, gdyby Tony dowiedział się czegoś i zechciał pokrzyżować mi plany. Sporządziłam kopie wszystkich dokumentów. Są w bezpiecznym miejscu.

— Mimo wszystko uważaj. Nie chcę, by przytrafiło ci się coś złego.

— Dlaczego więc chcesz mnie otruć? — spytała, patrząc mu prosto w oczy.

— Słucham?!

— Ten pstrąg jest kompletnie nieświeży...

— Ależ Janno, jem tutaj prawie codziennie i jestem całkiem zdrowy...

— Nie przejmuj się, po prostu żartowałam.

Warren bardzo chciał zapytać ją o Nicka. Razem z Shadoe martwili się tym, że tak długo nie dawał o sobie znaku życia. W przeciwieństwie do Collisa, który od razu wzbudził w nim szczerą niechęć, Nick wydał mu się miłym i godnym zaufania facetem. Nigdy tego Jannie nie mówił, był zbyt dyskretnym człowiekiem, ale cieszyłby się bardzo, gdyby tych dwoje postanowiło się pobrać.

— Zostaniesz w Londynie?

— Przez jakiś czas. Zaczekam na komplet dokumentów z Libii.

— Shadoe byłaby uszczęśliwiona, gdybyś ją odwiedziła. Chce ci coś pokazać.

— Jest w ciąży?

— Nie, ale ciężko nad tym pracujemy — odchrząknął znacząco. — Shadoe wymyśliła właśnie nowy smak dla tych jadalnych majteczek, no wiesz... tych, które sprzedaje w butikach z seksowną bielizną. Podobno mężczyźni szaleją za tym. Skonsumowanie bielizny partnerki ma pobudzać ich potencję...

Janna roześmiała się.

— Widzę, że Shadoe nic a nic się nie zmieniła. Warren pokiwał głową.

— Jest naprawdę cudowna. Mogę jej nawet wybaczyć te koszmarne karty do Tarota, którymi mnie zamęcza.

Zamilkł na chwilę, a potem powiedział bardzo poważnym tonem:

— Czy wiesz, że ona wciąż w was wierzy, w Nicka i ciebie...

Nick Jensen stał na balkonie swego pokoju hotelowego w Marbella. W oddali rozciągał się przymglony błękit morza, po którym sunęły dumnie majestatyczne tankowce. Przypominały

morskie potwory, które gromadnie opuszczały okolice cieśniny Gibraltar. Nick najchętniej wyruszyłby z nimi. Kilka tygodni temu, kiedy przybył do Marbella, widok bezkresnego morza napawał go melancholią i spokojem. Całymi dniami siedział na balkonie z opartymi o barierkę nogami i rozmyślał o Curcie Bradfordzie. Poszukiwał go od dłuższego czasu, niestety bezskutecznie. Uzbrojony w jedyne zdjęcie młodego Bradforda, jakie udało mu się dostać — wyciął je z „Times of Malta” — przemierzał Costa del Sol niczym pies gończy, który ściga swoją ofiarę. Dni mijały, zaczęły przechodzić w tygodnie, długie i nudne tygodnie bez najmniejszego rezultatu. Curt przepadł bez śladu. Widok spokojnie przepływających tankowców zaczął powoli denerwować Nicka. Chciał czym prędzej wyjechać.

Odwrócił się i wszedł do małego, skąpo umeblowanego pokoju. Rzucił się na metalowe łóżko, które jęknęło pod jego ciężarem.

Patrząc na poplamiony sufit, powiedział do siebie:

— Zostaw to.

Nie wolno ci — odparł zaraz jego głos wewnętrzny.

Najprościej byłoby uciec i zapomnieć o całej sprawie. Wystarczyło uwierzyć w oficjalną wersję śmierci Trevora Prescottta. Nick nie mógł jednak tego zrobić. Musiał przecież odkryć prawdę. Nie miał wątpliwości, że Tony lub Curt — a może obaj — zaaranżowali samobójstwo Rhondy. Bali się, by nie wygadała policji, kto naprawdę otruił Trevora. Młody Bradford niewątpliwie był kluczem do wszystkiego. Curt wiedział o tym i zapewne dlatego zniknął bez śladu.

Nick nie mógł się poddać. To w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Miał dość poczucia bezsilności, ciągłego uciekania przed prawdziwymi problemami, stania z boku i przyglądania się, jak innym upływa życie. Pragnął, by Janna była teraz przy nim. Ona potrafiła w cudowny sposób nadawać najtrudniejszym rzeczom prosty sens. Potrafiła także przywracać wiarę w siebie. Tego Nick potrzebował najbardziej.

— Gdzie on mógł się ukryć? — pytał, wciąż patrząc na poplamiony sufit. Widział wyraźnie brązowe smugi plam i szczeliny spękanego tynku. Układały się dokładnie na kształt linii brzegowej w Costa del Sol, tworząc jakby operacyjną mapę poszukiwań. Torremolinos rozciągało się daleko na wschód i Nick wątpił, czy Curt ryzykowałby taki szmat drogi. Bez jedzenia, pieniędzy i paszportu nie mógłby zająć aż tak daleko.

— To musi być miejsce, gdzie nikt nie spodziewałby się go znaleźć — powiedział, dalej wpatrując się w sufit. — Na przykład... na przykład... no właśnie!

Nick poderwał się z łóżka. Najciemniej jest zwykle pod latarnią. Curt prawdopodobnie nigdzie się nie ukrywa. Jest gdzieś tutaj. Znalazł pracę jako stróż nocny lub pomocnik w myjni samochodów.

— To bzdura — Nick znów ułożył się na łóżku.

Było mało prawdopodobne, by Curt przemieszczał się autostopem bez obawy, iż zostanie rozpoznany. Na pewno wiedział, że detektywi węszą za nim. Nie wyobrażał też sobie, by Curt podróżował w przebraniu. Musiał raczej zadekować się w jakimś miejscu, gdzie nikt by go nie szukał i gdzie bez problemu i zbędnych pytań mógł dostać jakąś robotę.

Przez następne dwa tygodnie Nick Jensen dokładnie penetrował wybrzeże na zachód od Torremolinos. Kiedy dotarł do Puerto Banus, ogarnęły go znowu wątpliwości. Nie był przecież pewien, czy Curt szukał pracy i czy na kryjówkę wybrał najnormalniejsze miejsce pod słońcem, gdzie nikt nigdy nie próbowałby go szukać. Coś jednak mówiło Nickowi, że jest na właściwej drodze.

Eleganckie jachty kołysały się delikatnie, przycumowane do drewnianego mola. Tuż przy niewielkim porcie znajdował się klub nocny z imponującym tarasem, z którego rozciągał się widok na spokojne morze. Kolorowe lampki na stolikach oświetlały skupione twarze gości, jedzących spóźnioną kolację. Zapadał zmierzch.

Nick odwiedził to miejsce już kilka razy, szukając Curta. Nikt jednak nie rozpoznał go na zdjęciu.

Jensen rozejrzał się po tarasie. Żadna twarz nie wydała mu się znajoma.

Klub nocny w Puerto Banus był miejscem szczególnym. Przyciągał najróżniejsze osoby — kobiety, które, poniewczasie, okazywały się mężczyznami; mężczyźni, którzy wcale nie kryli, że nimi nie są, prostytutki, nadzianych turystów szukających egzotycznych przygód, odtrącone lesbijki i sfrustrowanych wdowców. Znalezienie się w takim towarzystwie już samo w sobie było niezapomnianym przeżyciem.

— Cómo está? — spytała zalotnie czarnowłosa dziewczyna przy barze, patrząc wymownie na krocze Jensena.

— Dziękuję, nie znać hiszpańskiego — Nick odparł oschle, po czym zamówił podwójną whisky.

Młody barman o długich rzęsach i pomalowanych paznokciach wręczył mu szklanę z wyszukany wdziękiem. Nick odwrócił się od baru i zaczął uważnie obserwować twarze gości.

Od kiedy rozpoczął poszukiwania młodego Bradforda, zwiedził już dziesiątki podobnych miejsc. Bez skutku.

I tym razem wątpił, czy pośród pedałów, transwestytów i prostytutek odnajdzie Curta.

Nagle zgaszono światła i włączono migoczące, kolorowe reflektory, oświetlające scenę. Z głośników popłynęły łagodne dźwięki lambady. Nick odwrócił się ponownie w stronę baru. Znał aż za dobrze podobne występy. Zwykle kilku facetów przebranych za Judy Garland, Marilyn Monroe, Barbrę Streisand lub Bette Midler wymachiwało w takt muzyki wydepilowanymi łydkami, wypinało sztuczne biusty i zalotnie puszczało oko do rozbawionej publiczności. Niestety, na ten moment czekał już barman z pomalowanymi paznokciami. Najwyraźniej Nick zrobił na nim ogromne wrażenie. Uśmiechnął się do swojego wybranka, po czym szepnął:

— Kończę pracę o drugiej...

— Świetnie... — stwierdził Nick i szybko przeniósł się do najbliższego stolika. Zaczął czuć się nieswojo. Paradujący po scenie przebrani mężczyźni właśnie ściągnęli spódnice i przy entuzjastycznych okrzykach publiczności zalotnie pokazywali nogi i nie tylko.

Nie, tu na pewno nie ma Curta. Wprawdzie młody Bradford odznaczał się dość szczególnymi upodobaniami seksualnymi, niemniej to, co tutaj się działo, przekraczało wszelkie granice.

— Cigarillos! Cigarillos! — usłyszał za sobą Nick. Odwrócił się. Jakaś młoda dziewczyna sprzedawała gościom papierosy. Odruchowo sięgnął do kieszeni. Ostatnią paczkę papierosów wypalił przed południem. Powinien czym prędzej wrócić do hotelu, spakować się i wyjechać. Te poszukiwania nie mają najmniejszego sensu. W końcu musi zdać sobie z tego sprawę.

— Cigarillos! Cigarillos! — ten głos niepokoił Nicka.

— Proszę pani! — odwrócił się ponownie, szukając w portfelu drobnych. W tym momencie ich spojrzenia spotkały się. Przez ułamek sekundy Nick pomyślał, że całkiem zwariował. Znał te oczy. Mimo peruki i mocnego makijażu natychmiast rozpoznał twarz Curta. Pode-rwał się z miejsca. Bradford rzucił w niego tacą z papierosami i zerwał się do ucieczki. Wybiegł na molo, rozejrzał się rozpaczliwie wokoło, po czym zaczął biec w stronę przycumowanej motorówki. Nie miał jednak szans. Wysokie obcasy i całe przebranie krępowały jego ruchy i utrudniały ucieczkę. Słyszał za plecami oddech Nicka. Potknął się i upadł na deski. Zaraz potem poczuł straszliwy ciężar i żelazny uścisk na swoich nadgarstkach.

— Masz tylko dwa wyjścia. — Nick wycedził przez zęby. Z trudem panował nad sobą. Najchętniej skrzyłby Curtowi kark. — Albo będziesz mówił, albo cię zabiję!

Samolot Janny wylądował na lotnisku Luqa Field późnym popołudniem. Do Falcon's Lair pojechała taksówką. Była zadowolona z siebie. Nareszcie zdobyła dowody, świadczące, że Tony Bradford ukradł Kielich Kleopatry. Nie tylko detektyw Russell, ale także Interpol zidentyfikowali podpisy Tony'ego na dokumentach sprzedaży. Odnaleziono także sprzedawcę antyków w Libii, starego człowieka, który doskonale pamiętał Tony'ego Bradforda jako tę osobę, która odsprzedała drogocenny skarb Maltańczyków tureckiemu handlarzowi.

Nawet gdyby Jannie udało się posadzić Tony'ego za kratki, to przecież nie wskrzesi w ten sposób Iana MacShane'a. Chciała jednak upokorzyć Bradforda, zniszczyć jego fortunę i pozycję na Malcie. Miała nadzieję, że słodki smak zemsty złagodzi choć trochę gorycz w sercu ciotki Pithany. Nie mogła się doczekać, kiedy przekaze ciotce najnowsze rewelacje. Bała się jednak jej reakcji. Nie dotrzymała przecież obietnicy. Wbrew woli ciotki rozpoczęła dochodzenie na własną rękę. Jedyna nadzieja w tym, że ciotka wybaczy jej, skoro tylko usłyszy o dowodach tak poważnie obciążających odwiecznego wroga.

Janna weszła do holu. Powitał ją zapach pieczonego przez Clarę chleba. W salonie zadzwonił telefon. Nikt nie odbierał. Janna odczekała chwilę, po czym podeszła do aparatu. To dziwne, gdzie się podziały? Clara i Pithany, pomyślała.

— Janna? Tu mówi Gerry Kaye. Mam informacje, o które prosiłaś.

— Cudownie! — odparła. W głębi duszy czuła się jednak zmieszana. Nie potrafiła powiedzieć Gerry'emu, że trudził się niepotrzebnie. Miała to, czego chciała. Dowody, którymi dysponowała, wystarczały, by dobrać się Bradfordowi do skóry.

— MacShane przekazał głównemu dowództwu w Aleksandrii szczegółowy raport, w którym informował, że Anthony Bradford dokonał licznych kradzieży sakralnych dzieł sztuki na Malcie. Dołączył też listę osób współpracujących z Tonym. Ta lista nie znalazła się jednak w oficjalnych dokumentach. Zaginęła w szufladach ataszatu. Dlatego nie dotarłem do niej w trakcie zbierania materiałów do mojej książki.

— Lista? Znalazłeś listę?

Był to gwóźdź do trumny Tony'ego. Janna przyniosła coś do pisania i zanotowała podane przez Gerry'ego nazwiska.

— Jestem ci wdzięczna. Bardzo mi pomogłeś. Nikomu nic nie mów, odnalazłam Kielich Kleopatry — dodała ściszym głosem.

Po rozmowie z Gerrym Janna siedziała przez chwilę w salonie. Nagle przyszło jej na myśl, że powinna zadzwonić do Nicka. Na pewno ucieszy się, kiedy mu powie, że Tony Brad-

ford nareszcie trafi do więzienia, dokładnie tam, gdzie jest jego miejsce. Szybko wykręciła numer do Stanów i połączyła się z centralą Imperial Cola w Atlancie.

— Proszę z panem Jensenem — powiedziała z lekkim wahaniem. Po chwili usłyszała w słuchawce uprzejmy głos sekretarki.

— Bardzo mi przykro, ale u nas nie pracuje nikt o takim nazwisku.

— To niemożliwe. Proszę dokładnie sprawdzić w dziale marketingu.

— Niestety...

— Proszę w takim razie z Markiem Nolanem. Minęło kilka minut, zanim dostała połączenie.

— Mówi Janna Atherton. Jestem przyjaciółką Nicka Jensena. Poznaliśmy się w Londynie, jeśli pan pamięta.

— Tak, przypominam sobie.

— Próbuję bezskutecznie odnaleźć Nicka. Czy coś się stało?

— Stało? — Janna miała wrażenie, że głos Nolana stał się nagle opryskliwy.

— Pytam, ponieważ mam dla niego ważne informacje — dodała szybko.

— Ach tak. Oczywiście chętnie mu je przekażę...

A więc było aż tak źle, pomyślała Janna z goryczą. Nick po prostu ukrywał się przed nią. Uprowadził przyjaciela, by nie podawał Jannie jego nowego numeru telefonu. Na pewno przenieśli go do Nowego Jorku. Doskonały pretekst, by zerwać ostatnie więzy.

— Nie, nie trzeba. To nic ważnego. Mam nadzieję, że jeszcze się usłyszymy — pożegnała się i szybko odłożyła słuchawkę.

Chciała zapaść się pod ziemię ze wstydu. Co za upokorzenie!

Janna otarła łzy i pociągnęła nosem. Wyraźnie poczuła zapach spalenizny. Poderwała się z miejsca i pobiegła do kuchni. Ledwo odnalazła piecyk w kłębach czarnego dymu. Przekręciła kurek, po czym szeroko otworzyła okno. Gdzie, do diabła, jest Clara, pomyślała ze złością.

Kiedy wróciła do holu, spostrzegła na schodach kaptcie, w których ciotka zawsze chodziła po domu. Zaniepokojona wbiegła na górę. Drzwi do sypialni Pithany stały otworem. W środku panowała ciemność.

— Ciociu, jesteś tam? — spytała, zdjeta nagłym strachem. Nikt nie odpowiadał. Wokoło panowała śmiertelna cisza. Janna podeszła do drzwi. Ostrożnie przekroczyła próg. W pierwszej chwili pomyślała, że Pithany nie wchodziła do pokoju od rana. Jej łóżko było nie pościelone. Dopiero później dostrzegła w ciemnościach, że nocny stolik, w którym ciotka trzymała pistolet

Iana, leży wywrócony na podłodze. Przez głowę przemknęły jej najgorsze myśli. Czyżby Tony odważył się...?

Chciała biec do telefonu, by zadzwonić na policję, ale usłyszała warkot samochodu przed domem. Zbiegła na dół i wpadła na Clary, która właśnie wchodziła do holu.

— Claro! — wykrzyknęła. — Co tu się dzieje?!

Stara kobieta spojrzała na nią nieprzytomnie, a potem rozplakała się jak dziecko.

— To straszne, panienko, nie mogę w to uwierzyć... Zaniiosłam pani herbatę... leżała w sypialni, na podłodze... nie mogła złapać powietrza i zwiwała się z bólu...

Janna zadrżała. Nie miała wątpliwości, co stało się z ciotką.

— Trucizna z oleandra — wyszeptała.

27.

Janna wbiegła po schodach do sali przyjęć szpitala Świętego Pawła. Wiedziała, że ciotka Pithany jeszcze żyła. Tyle mogła dowiedzieć się od Clary. Starsza kobieta była jednak tak przeżona, że nie potrafiła powiedzieć niczego więcej. W jaki sposób Tony zdołał przemyścić do Falcon's Lair truciznę? Kiedy Trevor umierał, miał podobne problemy z oddychaniem. Późniejsza ekspertyza wykazała, że trucizna z oleandra atakuje przede wszystkim system oddechowy. Ofiara dusi się zupełnie tak, jakby zaciśnięto na jej szyi pętlę.

W pierwszej chwili nie spostrzegła kobiety w białym czepku, siedzącej za stołem recepcyjnym.

— Czy może mi pani powiedzieć, w którym pokoju leży Pithany Crandall? — spytała.

— Przykro mi, żadnych wizyt — odpowiedziała pielęgniarka.

— Jestem Janna Atherton, siostrzenica pani Crandall. Muszę z nią porozmawiać — błagała Janna.

Pielęgniarka zawaha się przez chwilę.

— Dobrze... ale tylko minutę.

Podniosła słuchawkę telefonu i powiedziała coś po maltańsku. Janna zrozumiała tylko jedno słowo, tabib, lekarz. Starła się uspokoić i przekonać, że Pithany jest bezpieczna w tym szpitalu. Uniwersytecki szpital Świętego Pawła zatrudniał młodych lekarzy po studiach w renomowanych uczelniach medycznych w Europie i Stanach. Na pewno Pithany jest tutaj w bardzo dobrych rękach.

Po krótkiej chwili do Janny podszedł wysoki lekarz w okularach. Na przypiętej do fartucha plakietce widniało jego nazwisko, dr Vidal.

— Pani Atherton? — spytał.

— Tak. Jak się czuje Pithany Crandall?

— Za kilka godzin będziemy wiedzieli coś więcej. Czekamy na wyniki testów.

— Szukajcie śladów trucizny z oleandra. — Janna miała nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

— Pani ciotka nie została otruta. To ciężki stan zapalny płuc. Podejrzewamy zator tętniczy.

Janna odetchnęła z ulgą. A więc to nie był Tony Bradford.

— Czy to coś poważnego?

— Niestety. Skrzep, który zrobił się w żyłach, przewędrował aż do płuc. Tam zatrzymał się i uniemożliwia oddychanie.

— Mój Boże! Dlaczego wcześniej nie powiadomiłam lekarza? Od kilku miesięcy ciotka skarżyła się, że puchną jej nogi...

— Dlaczego sama nie zwróciła się do lekarza? Ból musiał być nieznośny.

— Nigdy nie lubiła lekarzy. Powinnam była ją przekonać, zamiast wierzyć we wszystko, co mi mówi. Twierdziła, że starość zaczyna dawać się jej we znaki i potrzebuje trochę odpoczynku.

Lekarz pokiwał z niedowierzaniem głową.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Śpi teraz. Może jak wróci pani około północy... Będę wówczas też miał wyniki badań.

— Chcę ją zobaczyć chociaż przez chwilę.

Doktor Vidal zaprowadził Jannę na oddział intensywnej terapii. Pithany leżała w łóżku, podłączona do aparatury. Wyglądała bardzo nienaturalnie, blada, bezbronna, delikatna jak figurka z wosku, z siwymi włosami, rozrzuconymi na poduszce. Trudno było uwierzyć, że ta kobieta przez lata potrafiła opierać się najcięższym przeciwnościom losu.

— Będzie żyła, prawda? — zapytała Janna, powstrzymując łzy.

— Trudno cokolwiek powiedzieć. Trzeba poczekać na wyniki badań — doktor Vidal odparł niepewnym głosem.

— Proszę mi powiedzieć, jakie są szanse? Lekarz wyraźnie unikał jej spojrzenia.

— Pół na pół. Może wyjdzie z tego, ale musimy liczyć się z najgorszym. Janna poczuła, że jest jej słabo.

— Powiedział pan, że około północy powinna się obudzić. Czy będę mogła z nią wtedy porozmawiać? — spytała po chwili.

— Oczywiście, ale nie wolno jej przemęczać.

— I będzie już pan miał wyniki badań? Lekarz przytaknął.

— A może trzeba sprowadzić specjalistów? Pieniądze nie grają roli. Mogłabym przewieźć ją do Zurychu...

— W jej stanie to niewskazane. Ma tu należytą opiekę.

— Chodzi o to, że... ja nie chcę, by ona umarła. Jest dla mnie jak matka.

— Rozumiem, ale musi pani być przygotowana na wszystko.

Janna wróciła do sali przyjęć. Zadzwoiła do Warrena i Shadoe. Zostawiła wiadomość w hotelu Vienna, gdzie mieszkali Audrey i Ellis. Czowała kompletną pustkę w sercu, jakby jakiś straszliwy pożar wypalił jej wnętrze. Odruchowo spojrzała na zegar. Dochodziła ósma. Nagle uświadomiła sobie, że przecież za wszelką cenę musi doprowadzić do końca sprawę Tony'ego Bradforda, zanim ciotka... Być może dziś o północy będzie rozmawiać z nią po raz ostatni. Nie mogła pozwolić, by Pithany umarła ze świadomością, że morderca Iana MacShane'a żyje wciąż na wolności w glorii wojennego bohatera i szanowanego obywatela Malty. Czas nagiął. Wsiadła do samochodu i pojechała do Mdiny.

Janna nigdy nie poznała osobiście starego Bradforda. Widziała go kilka razy przelotnie na różnych przyjęciach. Pozostawał jednak zawsze tylko zniechęconym wrogiem, otoczonym aurą niebezpiecznej i złowroziej tajemniczości. Świadomość, że ten człowiek jest bezwzględny mordercą, przerażała Jannę. Nie na tyle jednak, by teraz, w decydującym momencie, nie stawić czoła wyzwaniu. Jechała przez opustoszałe miasto. W oddali widziała światła pałacu Bradfordów. Tony był w domu. Zastanawiała się, jak powinna rozmawiać z tym człowiekiem. Czy w ogóle można rozmawiać z kimś, kto bezwzględnie pozbywał się wszystkich przeciwników? Pragnęła, by Nick był teraz przy niej. Poczuła się nagle bardzo słaba i bardzo samotna.

— Czy pan Bradford jest w domu? — spytała służącego, który otworzył jej drzwi. Mężczyzna spojrzął na nią nieufnie, po czym z pewną niechęcią kiwnął głową.

— Jestem Janna Atherton.

Z bijącym sercem weszła do olbrzymiego holu. Miała wrażenie, że przestępuje progi samego piekła. Najważniejsze było nie okazywać lęku. Musi postępować twardo, inaczej przegra.

Służący poprowadził ją do gabinetu.

Tony Bradford stał za biurkiem. Z bliska wyglądał starzej, a jednak w jego postawie i twarzy wciąż jeszcze kryła się imponująca siła i pewność siebie.

— Może kieliszek koniaku, panno Atherton? — spytał uprzejmie.

— Dziękuję, przyszedłam w konkretnej sprawie.

— Nigdy nie śmiałybym wątpić...

— Chcę wiedzieć, dlaczego zamordował pan Iana MacShane'a.

Tony spojrzał na Jannę, jakby zobaczył przybysza z kosmosu. Uśmiechnął się, próbującie oskarżyć mnie o zamordowanie tego... no, jak mu tam...

— Prescottta, Trevora Prescottta.

— No właśnie. Potem wmawiacie mi, że chciałem otruć kogoś jakimiś ciasteczkami. Czy to nie wystarczy?

Janna nie spodziewała się takiej reakcji. Przygotowana była na wybuch złości, agresję. Zastanawiała się nawet, czy Tony nie będzie chciał się jej pozbyć, tak jak zrobił to z Ianem czy Rhondą. Przypomniała sobie jednak telewizyjną konferencję prasową Bradforda. Tony potrafił doskonale grać.

— Nie wystarczy — odparła zimnym głosem. Tony zrobił nieszczęśliwą minę.

— Kosztowałaś mnie głupiego syna, Janno.

— Ty kosztowałaś Pithany coś znacznie więcej, nigdy nie spełnioną miłość, samotność przez całe życie...

Bradford wybuchł głośnym śmiechem.

— Miłość?! — pochylił się nad biurkiem, tak że mogła zobaczyć dokładnie każdą zmarszczkę na jego twarzy. — Mogła mieć miłość. Mogła być szczęśliwa... ale nie chciała.

— Kłamca!

— Mogłem jej dać wszystko — zatoczył ręką szerokie koło w powietrzu. — Wszystko! Ten pałac, jacht, willę na Cap Ferrat...

Janna spojrzała zdziwiona na Tony'ego. Dopiero teraz zrozumiała, co tak naprawdę było motywem jego wszystkich zbrodni.

— Ty kochasz Pithany. Zawsze ją kochałeś. Tony wyprostował się.

— Dlatego zabiłeś Iana...

— Nigdy nie powiedziałem, że go zabiłem — przerwał jej szybko.

— Wiem, że to byłeś ty. Użyłeś pistoletu Pithany. Wiesz, że odnaleźliśmy kulę. Testy balistyczne mówią, że pochodziła z tej broni. To ty pociągnąłeś za spust.

— Nie masz żadnych dowodów!

— I nie zależy mi na nich. Chcę tylko powiedzieć Pithany prawdę. Zasłużyła na nią...

— Nie zasłużyła na nic! Traktujesz ją jak jakąś świętą. Tymczasem nie różniła się niczym od pierwszej lepszej kurwy na rogu ulicy. — Tony sięgnął do szuflady. Wyciągnął teczkę i rzucał ją na biurko. — Masz! Przeczytaj to. Spała z trzema facetami. Z trzema!

Janna spojrzała na papiery. Zobaczyła tylko datę, 1945. To prawda. Traktowała ciotkę jak osobę świętą. Podziwiała jej wytrwałość, oddanie, z jakim po wojnie szukała zaginionego kochanka. W jej historii kryło się coś fatalnego, ale i romantycznego zarazem, coś, co zdarza się bardzo rzadko. Janna starała się ukryć zaskoczenie.

— Nie wydaje mi się, by trzech mężczyzn w ciągu pięćdziesięciu lat było czymś niestosownym. Prawdopodobnie szukała zapomnienia.

— To ja byłem mężczyzną dla niej. Gdzie podział się MacShane, kiedy potrzebowała jedzenia? Gdzie był ten bohater, kiedy chciała ratować ojca? Paradował po Afryce i dmuchał Arabki. On jej nigdy nie kochał. Nie tak mocno, jak ja.

Pełen przejęcia głos Tony'ego wzruszył Janę do głębi. Starala się jednak pamiętać, że jest on bezwzględnym mordercą.

— Pithany sądziła, że chcesz się z nią ożenić tylko ze względu na pozycję, jaką na wyspie miała jej rodzina.

Bradford z irytującym dla Janny spokojem dopił ostatnie krople koniaku.

— Tak jej powiedziałem. Żaden prawdziwy mężczyzna nie będzie błagał kobiety, jeśli wie, że ona kocha innego — odparł.

— Jednak zamordowałeś Iana...

— Nie przyznaję się do niczego — przerwał jej od razu.

— Przecież nie mogę ci niczego udowodnić. Chcę znać jedynie prawdę... błagam. Teraz, kiedy Pithany leży w szpitalu...

— W szpitalu?! Co się stało? — w głosie Tony'ego zabrzmiała szczerza rozpacz.

— Ma skrzep w płucach. Lekarze dają jej niewielkie szanse na przeżycie. Ja nie wiem...

— Ona nie może umrzeć! — wykrzyknął. — Nie może mi tego zrobić, nie może umrzeć.

Tony bezradnie opadł na krzesło. W jego starych oczach krył się strach. Udręka i rozpacz, które rysowały się na jego zmęczonej twarzy, zaskoczyły Janę. Usiadła blisko niego.

Spojrzała mu w oczy i spytała łagodnym głosem:

— To ty zabiłeś Iana MacShane'a?

— Sądziłem, że pokocha mnie, jeśli Ian zniknie z jej życia — wyszeptał. Po jego bladych policzkach popłynęły łzy. — Byłem taki naiwny. Wierzyłem, że wyjdzie za mnie. Okazała się jednak zbyt dumna i uparta. Prawdziwa Crandall! Nawet wtedy, kiedy miała cię urodzić...

Janna wykrzyknęła przerażona:

— Mnie?! — Omal nie spadła z krzesła.

Nagle oczy Tony'ego zabłysły ogniem zemsty. Wybuchnął głośnym, diabelskim śmiechem.

— Jezu! A więc nawet po tylu latach o niczym ci nie powiedziała?

Janna nie mogła wykrztusić słowa. Czy naprawdę Pithany była jej matką? Nie Audrey i nie żadna inna kobieta? Wspomnienia z dzieciństwa przemknęły przez jej myśli niby przewijana taśma filmowa. I nagle wszystko zdawało się mieć sens, łączyć w pewną całość: kochały się i rozumiały, miały podobne charaktery i nawet fizycznie były do siebie podobne. Te szarozielone oczy, które zawsze stanowiły dla Janny zagadkę, teraz potwierdzały ich bliskie pokrewieństwo. Dlaczego Pithany nigdy jej o niczym nie powiedziała? Dlaczego oddała dziecko pod opiekę Audrey?

— Twój ojciec był jakimś amerykańskim oficerem marynarki, stacjonującym na Malcie. Zginął w wypadku. Nawet gdyby to się nie stało, Pithany i tak by za niego nie wyszła za mąż.

Ironiczny uśmiech na twarzy Tony'ego zdradzał, że opowiadanie szczegółów całej historii sprawiało mu sadystyczną przyjemność.

— Pithany nie chciała ciebie — dodał po chwili. — Pojechała nawet do Zurychu, aby usunąć ciążę, ale zabrakło jej odwagi.

Janna poczuła, jak jadowite słowa starca wbijają się w jej serce niby rozżarzone w ogniu sztylety. Zaczęła powoli wątpić w szczerłość uczuć Pithany. Miała ochotę rozplakać się jak mała dziewczynka. Opanowała się, widząc zimne, pozbawione litości spojrzenie Tony'ego, który z satysfakcją przyglądał się cierpieniom Janny.

— Pithany mnie kocha. Była zawsze przy mnie, kiedy jej potrzebowałam! — wykrzyknęła zdesperowana.

— Tak, pewnie. I dlatego oddała cię na wychowanie swojej siostrze!

— Prawie przez cały czas była z nami. A kiedy musiała wyjechać, pisała do mnie listy i telefonowała każdego dnia...

— Ale nie wychowywała ciebie tak jak matka, prawda?

Janna nie miała zamiaru dłużej pozwalać, by stary Bradford profanował jej miłość i oddanie dla Pithany. Przeczuwała, że Pithany musiała mieć swoje powody, by podjąć decyzję o oddaniu jej Audrey. Janna nigdy nie wątpiła w miłość Pithany.

— Nie ma dla mnie znaczenia, czy wychowywałam się u Athertonów czy u Pithany. Kochałam ją, kocham i ogromnie się cieszę, że jestem jej córką.

Janna wstała i spojrzała z pogardą na Tony'ego.

— Jesteś tylko starym, zgorzkniałym człowiekiem, którego nikt nie kocha, nawet własny syn. Jeśli umrzesz, nikt po tobie nie zapłacze. Jeśli umrze Pithany, cała nasza rodzina pogrzeże się w żałobie. Ona znaczy dla mnie tak wiele, iż nie pozwolę jej odejść, zanim ty nie poniesiesz zasłużonej kary.

W oczach Tony'ego znów pojawił się niebezpieczny błysk.

— Odnalazłam Kielich Kleopatry.

— Tak? — spytał niepewnym tonem. — Czego to dowodzi?

— Podążyłam za nim aż do Libii. Eksperci sprawdzili autentyczność twoich podpisów na dokumentach poświadczających sprzedaż kielicha do Turcji. Saluu Zerafa rozpoznał ciebie jako osobę, która sprzedała kielich tureckiemu handlarzowi.

— Błefujesz — powiedział, lecz jego głos zdradzał, iż nie jest tego pewien.

— Jestem także w posiadaniu listy osób współdziałających z tobą przy przemyśle sakralnych skarbów z Malty — Janna triumfowała.

Tony spojrzał na nią z niedowierzaniem. W pokoju zapanowała mroząca krew w żyłach cisza.

— Sądysz, że jesteś taka cholernie sprytna — wycedził przez zęby. — Sądysz, że wypuszczę cię stąd żywą?

Janna uśmiechnęła się.

— Nie zabijesz mnie. Policja wie już o wszystkim. Fakt, że się mnie pozbędziesz, nie uratuje cię od więzienia.

Podeszła do drzwi. Miała nadzieję, że Tony nie targnie się na jej życie. Dla pewności dodała:

— Wszyscy wiedzą, gdzie jestem. Jeśli wkrótce nie wrócę, zaczną mnie szukać — po czym szybko wyszła.

Tony podziwiał jej inteligencję. Jeśli sprawa sprzedaży Kielicha Kleopatry wyjdzie na jaw, Bradfordowie będą skończeni na Malcie. Co do tego nie miał wątpliwości. Kielich był skarbem narodowym Maltańczyków. Oni nigdy mu tego nie wybaczą.

Tony nagle zrozumiał, że wszystkie te lata, podczas których z takim trudem wznosił swoje imperium na Malcie, zostały stracone.

Przypomniał sobie, jak podczas wojny mieszkańcy wyspy witali pilotów RAF-u. Byli dla nich ostatnią nadzieją, bohaterami, którzy bronili ich przed Niemcami. Wprawdzie mieli do dyspozycji jedynie kilka sfatygowanych Hurricanes, ale Tony rzeczywiście robił wszystko, co w jego mocy. Każdy lot mógł być dla niego ostatni.

Kobiety na Malcie wprost szalały za nim. Tylko Pithany pozostawała obojętna i zimna. Niczym nie mógł jej zaimponować, nawet po latach, kiedy zrobił fortunę.

Dzwonek telefonu wyrwał go z głębokiego zamyślenia. Przez chwilę wahał się, czy odebrać. Miał wrażenie, że cały świat zwałił mu się na głowę. A przecież wtedy, w czasie wojny, mimo wszystko znalazł wyjście i przeżył, choć inni musieli umrzeć. Czy teraz jego sytuacja była aż tak beznadziejna? Każdą ekspertyzę grafologiczną można podać w wątpliwość. Zerafa był tylko nędznym libijskim paserem, niewiele lepszym od kryminalisty, czy jego słowo miało jakąkolwiek wartość wobec szacunku, jakim Tony cieszył się na wyspie? Ludzie, z którymi współpracował przy przemyśle, w większości dawno umarli. Ci, którzy żyli jeszcze, na pewno nie pogardzą gotówką... a jeśli odmówią, zawsze można ich wyeliminować.

— Jesteś bohaterem! — Tony zerwał się z miejsca i podbiegł do telefonu. Szum w słuchawce wskazywał, iż połączenie pochodzi z zagranicy. Przez ułamek sekundy Tony pomyślał z nadzieją, że być może żabojad odnalazł Curta.

— Tu mówi Ian MacShane — usłyszał w słuchawce.

— Ty skurwysynu! Jensen, zabiję cię! — Tony poczuł, jak krew napływa mu do głowy. W odpowiedzi usłyszał głośny, drwiący śmiech.

— Dzwonię w imieniu Iana MacShane'a, Trevora Prescottta i Rhondy Sibbett.

— Oni nie żyją — odparł Tony.

— Ty też!

Tony nie mógł złapać tchu. Przed jego oczyma znów stanął obraz, który od tygodni spędzał mu sen z powiek: Ian MacShane przykładający do jego skroni naładowany pistolet.

— Odnalazłem twojego syna — ponownie usłyszał głos Jensena.

— Gdzie?

— W Puerto Banus. Jestem teraz razem z nim na posterunku policji. Bardzo się ucieszył, kiedy się spotkaliśmy. Postanowił mi wszystko opowiedzieć.

Tony otworzył usta, by zaprzeczyć. Niemożliwe, aby Bradford kiedykolwiek się poddał. Nagle uświadomił sobie, że Curt właściwie nigdy nie był prawdziwym Bradfordem. Złośliwy los sprawił, że został synem Tony'ego, choć na jego miejscu powinna była znaleźć się Janna.

— Curt przyznał się do otrucia Trevora i do przysyłania mi zatrutych ciastek. Mam również jego zeznania, z których wynika, że to ty kazałeś zabić Rhondę. Podał nam kilka interesujących nazwisk twoich przyjaciół z Sycylii.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz?

— Nie chciałem przepuścić tej okazji, aby ci powiedzieć pierwszy, że jesteś skończony.

Tony powoli odłożył słuchawkę. A więc nie było ratunku.

Wolnym krokiem podszedł do lustra. Wszystko, do czego z takim trudem doszedł, zostało zaprzepaszczone. Spojrzał w swoje odbicie w lustrze i zobaczył starego, zmęczonego człowieka, który wszystko przegrał.

28.

Janna zatrzasnęła za sobą drzwiczki samochodu, zapaliła silnik i z piskiem opon ruszyła. Boże, pozwól jej żyć, modliła się w głębi duszy. Nikt nie przekonałby jej, że Pithany jej nie kocha,

W czasie rozmowy z Tonym Bradfordem była głęboko przekonana o tej miłości. Teraz zaczęły rodzić się pierwsze poważne wątpliwości.

Dlaczego bowiem matka oddała ją na wychowanie siostrze? Tak bardzo chciała porozmawiać z Pithany i wyjaśnić wszystko. Przez te wszystkie lata Malta stanowiła dla Janny drugi dom. Każdego lata przyjeżdżała tutaj z Warrenem. Za każdym razem miała wrażenie, że wraca do siebie, do miejsca, z którego pochodzi.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Pithany zawsze starała się w delikatny, rozumny sposób pokierować jej życiem tak, jak czyni to troskliwa matka. To ona broniła Janne przed obojętnością Reginalda, to ona nigdy nie zaakceptowała Collisa i robiła wszystko, by zbliżyć ją do Nicka. Wreszcie to ona właśnie, będąc jeszcze w pełni sił, przekazała Jannie swój majątek, a zwłaszcza swój największy skarb — Blue Grotto.

Ona mnie kocha. Zawsze mnie kochała! Janna wjechała na podwórze szpitala. Wbiegła do holu recepcyjnego i odnalazła na korytarzu doktora Vidala. Stał przy drzwiach, rozmawiając z pielęgniarką.

— Czy odzyskała przytomność? — spytała Janna.

— Tak, ale jest bardzo wycieńczona.

— Czy ma pan wyniki badań?

— Tak. Właśnie rozmawiałem z nią o tym.

Janna odetchnęła z ulgą. A więc musi czuć się lepiej. Na pewno wyjdzie z tego, pomyślała.

— Obawiam się, że wieści nie są najlepsze — powiedział lekarz, pochylając głowę. Janna była zaskoczona.

— Badanie krwi wykazało, że jej system immunologiczny jest bardzo osłabiony.

— Czy ma jakieś szanse?

— Jedną na milion.

Janna nie chciała przyjąć takiej diagnozy. Pithany nigdy się nie poddawała.

— Ona jest tą jedną na milion. Musi przeżyć.

— Proszę z nią porozmawiać. Mówiłem jej, że chce się pani z nią zobaczyć. Bardzo cierpi. Jest pod działaniem silnych środków. Proszę jej nie przemęczać.

Janna weszła na palcach do pokoju, w którym leżała Pithany.

Miała zamknięte oczy. Janna przysunęła krzesło bliżej łóżka, usiadła i wzięła dłoń matki w swoje ręce. Spozregła, jak spod cienkiej jak pergamin skóry prześwitują drobne, niebieskie żyły. Jej palce były cienkie i kościste. Ścisnęła je delikatnie. Pithany powoli otworzyła powieki. Janna tak wiele chciała powiedzieć matce w tej krótkiej chwili. Wiedziała jednak, że nie wolno jej denerwować.

— Kocham cię. Wiesz o tym, prawda? — szepnęła i tak bardzo chciała dodać słowo „matko”.

— Wiem — Pithany odpowiedziała powoli przyciszonym głosem.

— Wkrótce poczujesz się lepiej. Wyjdiesz z tego, musisz tylko...

— Nie. Rozmawiałam z lekarzem. Znam diagnozę.

— Powiedział mi, że masz szansę. Nie możesz się poddać. Nie wolno ci. Nie pozwolę — powiedziała Janna, powstrzymując łzy.

— Jestem gotowa...

— O czym ty mówisz? — Janna przeraziła się.

— Jestem gotowa odejść. Kiedy pochowaliśmy kochanego Iana, wiedziałam, że ta chwila wkrótce nadejdzie. Ian i ja należymy do siebie. Nawet po śmierci. Pamiętaj, nie chcę żadnych wielkich ceremonii. Pochowaj mnie koło Iana.

— Błagam, nie poddawaj się!

— Ja się wcale nie poddaję. Po prostu pogodziłam się z nieodwracalnym — odparła Pithany, z trudem oddychając. Zamknęła oczy i Janna ku swojemu przerażeniu pomyślała przez chwilę, że już ją straciła. Po kilku sekundach, które zdawały się trwać wieczność, Pithany powoli, z trudem otworzyła powieki.

— Zawsze pragnęłam zobaczyć twoje dzieci. Wiem, że ty i Nick będziecie mieli cudowne dzieci...

Tylko nie to, pomyślała Janna w panice. Tylko nie Nick! Pithany nie mogła o niczym się dowiedzieć. Nick odszedł na zawsze, nigdy nie wróci. Tak trudno było Jannie w tej strasznej chwili udawać, że nic się nie stało.

Pithany spojrzała na nią. Wielkie, gorzkie łzy popłynęły z jej starych, zmęczonych oczu. Janna szybko podała jej chusteczkę.

— Proszę, nie płacz...

— Wiesz, że jestem twoją matką...

— Tak, ale nie mam do ciebie żalu, że o niczym mi nie powiedziałaś — Janna troskliwie osuszała chusteczką jej mokry policzek.

— Tyle razy chciałam to wreszcie powiedzieć, zrzucić z siebie ten straszliwy ciężar. Nie wiedziałam jednak, jak ci wytłumaczyć...

— Teraz to już nieważne.

— To najważniejsze, Janno! Nigdy nie przestałam myśleć o tobie — Pithany chwyciła kurczowo jej rękę. — Chciałam jak najlepiej. Athertonowie mogli dać ci rodzinę, dom, brata, nie wspomnę o znajomościach i pozycji. Sądziłam...

Janna z niepokojem spojrzała na monitor, pokazujący rytm pracy serca. Kreska skakała jak oszalała.

— Wezwę lekarza, ta rozmowa cię męczy.

— Nie, Janno. Zostań przy mnie. To ostatni moment, kiedy mogę ci wszystko wyjaśnić.

Janna spojrzała na pobladłą twarz matki. Rozpalone spojrzenie umierającej kazało jej pozostać na miejscu, wysłuchać Pithany do końca, nawet gdyby miało ją to kosztować życie.

— Trzydzieści pięć lat temu w tak katolickim kraju jak Malta niezamężna kobieta, która urodziła dziecko, nie mogła oczekiwać przychylności współziomków. Bałam się, że przez całe życie będziesz dla ludzi jedynie bękartem, nie chcianym dzieckiem z pozamałżeńskiego związku...

Janna pochyliła się nad matką i pocałowała ją w czoło.

— Zawsze wiedziałam, że mnie kochałaś, Pith. I tylko to się teraz liczy. — Przez chwilę zawahała się, po czym spytała: — Czy mogłabyś mi coś powiedzieć o moim ojcu? — natychmiast pożałowała swej ciekawości. Ten temat mógł być bolesny dla Pithany. Ona jednak uśmiechnęła się i odparła:

— No cóż... tak bardzo pragnęłabym móc powiedzieć ci, że Steve Sanford był dla mnie najukochańszym człowiekiem pod słońcem... Tak jednak się nie stało. Nikt nie mógł zastąpić mi Iana. Steve bardzo mnie kochał, ale ja nigdy nie potrafiłam zapomnieć o tym pierwszym.

A więc jej matka nigdy nie kochała człowieka, któremu urodziła córkę. Jak dziwnie los układa nasze drogi, pomyślała Janna. Czyż ta historia nie przypominała nieszczęśliwego małżeństwa Audrey z Reginaldem?

Pomyślała, że to odpowiedni moment, by powiedzieć Pithany o Tonym.

— Odnalazłam Kielich Kleopatry i mam dowody, że ukradł go Tony Bradford...

Ciałem Pithany wstrząsnął dreszcz bólu. Przyrzędy wskazywały, że stan jej zdrowia pogarsza się z każdą sekundą.

— Zrobiłam to dla ciebie... mamó. Nie mogłam pozwolić, by Tony uszedł karze za zabicie Iana... Byłam dzisiaj u niego. Wie, że jest skończony. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego zabił Iana MacShane'a...

— Co powiedział? — głos Pithany był tak słaby, iż Janna z trudem tylko słyszała jej słowa.

Chciała powiedzieć prawdę, gdy nagle zrozumiała, że nie może tego zrobić. Czy miała powiedzieć, że Ian zginął z jej, Pithany, powodu, że Tony kochał ją do szaleństwa i dlatego postanowił pozbyć się rywala?

— Dlaczego, Janno, dlaczego on go zabił?

— Z powodu Kielicha Kleopatry. Tony sprzedał go paserowi w Libii... — odparła z wahaniem, mając nadzieję, że ta połowiczna prawda uspokoi Pithany.

W pokoju zapanowała cisza. Pithany leżała z zamkniętymi oczyma. Wydawało się, że pograżyła się we śnie. Jej puls powoli wracał do normy.

— Chcę, abys obiecała mi coś, zanim umrę — Pithany odezwała się nagle spokojnym głosem. Janna poczuła dreszcz, który przeszył jej ciało. Wiedziała, że Pithany wróci do tematu, którego tak bardzo się obawiała.

— Chcę, abys mi obiecała, że nigdy nie opuścisz Nicka. Jesteście sobie przeznaczeni...

— Ależ mam... — Janna chciała zaprzeczyć.

— Nie popełniaj mojego błędu. Nic nie jest ważniejsze od miłości. Pieniądze, hotele, pozycja społeczna, to wszystko jest bez znaczenia, jeśli nie ma przy tobie mężczyzny, którego kochasz. Nick pojawił się na tej wyspie, wierzę w to, by spełniło się uczucie, którego nam z Ianem nie było sądzone zaznać. Czy rozumiesz mnie? To nie przypadek, że ty jesteś moją córką, a on jest tak podobny do Iana. Los sprawił, że moje uczucie do Iana spełniło się w waszej miłości...

Pithany wyglądała na wyczerpaną. Jej słowa głęboko zapadły w serce Janny. Gdyby tylko była to prawda... Gdyby rzeczywiście Nick wrócił na Malte...

— Odpocznij teraz. — Janna położyła dłoń na rozpalonym czole matki, jakby w ten sposób chciała uwolnić ją od straszliwego bólu. — Jesteś zmęczona...

— W mojej sytuacji trudno jest mówić o zmęczeniu — odparła Pithany, łagodnie uśmiechając się przez łzy. — Opowiedz mi, proszę, o wszystkim i o wszystkich. Chcę wiedzieć, co dzieje się z Warrenem, Shadoe, co z Audrey i Taxi... mów do mnie... cały czas mów do mnie, wtedy ból staje się znośniejszy.

— Tak więc... — Janna gorączkowo szukała w myślach jakiegoś tematu

— Shadoe jest całkiem pochłonięta meblowaniem nowego domu, który Warren kupił. Są naprawdę szczęśliwi razem. Chloe wyrzyna się pierwszy ząbek... Audrey, no wiesz, ona po prostu zwariowała na punkcie Ellisa. Zdaje się, że planują wspólną podróż przez Afrykę...

Janna myślała, że za chwilę pęknie jej z rozpaczy serce.

Siedziała przy łóżku umierającej matki, bezradna, bezsilna, i jedyne, co mogła zrobić, to opowiadać jakieś bzdury, zupełne głupoty. Czy naprawdę to był już koniec? Z lękiem spojrzała na Pithany. Leżała spokojnie z zamkniętymi oczyma. Uśmiechała się.

Na jej twarzy malował się dziwny spokój i ogromna ulga... Dopiero po chwili Janna usłyszała długi, przeciągły sygnał. Na monitorze pojawiła się pozioma linia. Janna zerwała się z miejsca. Wybiegła na korytarz i zaczęła krzyczeć.

Szeroki promień porannego światła wpadał do jadalni w willi Falcon's Lair. Warren z troską przyglądał się Jannie, która w zadumie przewracała widelcem pokruszone kawałki chleba na talerzu. Wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie, od kiedy dowiedział się, że Janna jest

córką ciotki Pithany. To burzyło całe jego wyobrażenie o rodzinie Athertonów. Nigdy nie przypuszczał, że Pithany mogła mieć dziecko. Zawsze widział ją jako samotną kobietę, która nie może odżałować, że utraciła jedynego mężczyznę, którego kochała i z którym zawsze pragnęła mieć dzieci.

— Nigdy nie wybaczę sobie, że nie wezwałam wcześniej lekarza.

— Nie obwiniaj się za śmierć Pithany — próbował ją uspokoić.

— Nikt z nas nie przypuszczał, że jej życie jest w niebezpieczeństwie — dodała Audrey.

Warren dziękował w głębi duszy, że matka nie wpadła w kolejną depresję. Ellis okazał się mężczyzną o mocnym charakterze, co kojąco wpłynęło na nerwy żony. Wiadomość o śmierci siostry Audrey przyjęła ze stoickim spokojem.

Janna wstała z miejsca.

— Wybaczcie, pójde trochę pospacerować. Nie martwcie się o mnie. Wrócę przed pogrzebem.

Warren odprowadził ją wzrokiem aż do drzwi. Czuł dziwny niepokój. Był wdzięczny losowi, iż dał mu Shadoe, a jego matce pozwolił spotkać Ellisa. Obawiał się, że Janna spędzi życie w samotności, tak jak ciotka Pithany.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Audrey spojrzała ze zdziwieniem na Warrena.

— Kto to może być?

— Mam nadzieję, że nikt z kondolencjami — odparł Ellis.

— Nie sądzę — wtrąciła Shadoe. — W nekrologu wyraźnie zaznaczono, że pogrzeb ma charakter prywatny i że nie będziemy przyjmować kondolencji.

W pokoju pojawiła się Clara.

— Inspektor generalny Muscat chce z panem mówić — zwróciła się do Warrena.

Młody Atherton poszedł wraz z Shadoe do holu. Tam czekał już Raymond Muscat. Trzymał w ręku kapelusz i niepewnie rozglądał się wokoło. Kiedy zobaczył nadchodzącego Warrena z żoną, lekko uklonił się i powiedział:

— Proszę przyjąć wyrazy głębokiego współczucia z powodu pana ciotki. To była wspaniała kobieta.

— Dziękuję — odparł Warren.

— Pozwoliłem sobie przeszkodzić państwu, ponieważ — przestępował z nogi na nogę ze zdenerwowania — pomyślałem, że chcielibyście państwo dowiedzieć się pierwsi. Tony Bradford popełnił samobójstwo.

— Mój Boże! On nie żyje? — Warren z niedowierzaniem pokręcił głową. — Dlaczego się zabił?

— Miałem nadzieję, że dowiem się tego od pana siostry. Ostatniej nocy była u Tony'ego. O...

— Janna poszła do Tony'ego Bradforda?!

— Tak — odparł Muscat. — Może wie pan dlaczego? Sądzę... no, wie pan, to dosyć dziwne po tych wszystkich kłopotach z Bradfordami.

— Nie wiedziałem, że poszła do niego. O niczym mi nie mówiła.

— Śmierć Pithany bardzo nią wstrząsnęła — dodała Shadoe.

— Rozumiem — głos Muscata brzmiał przyjaźnie. — Prawdopodobnie nie jest to ważne. Służący Bradforda zeznał, że zaraz po wizycie panny Atherton ktoś zadzwonił do Tony'ego. Stał przed lustrem podobno aż do rana.

— To znaczy, że spędził całą noc, wpatrując się w lustro? — spytała Shadoe.

— Doprawdy? — odezwał się Warren. — To bardzo interesujące, co pan nam tu powiedział. Nie wiem tylko, co to ma z nami wspólnego?

— Chciałem jedynie przygotować państwa na pytania dziennikarzy.

— Dziennikarzy?

— Widzi pan, Tony zastrzelił się po tym, gdy służący zaniósł mu gazetę z wiadomością o śmierci Pithany Crandall.

Rząd czarnych limuzyn przemierzał powoli ulice Valletty. Zgodnie z wolą Pithany pogrzeb miał być skromny i pozbawiony rozgłosu. A jednak kiedy samochody podjechały pod bramę cmentarza, Athertonów powitał milczący tłum ludzi, którzy przyszli tutaj, by złożyć hołd Pithany Crandall. W pamięci mieszkańców Malty była ona nie tylko bogatą damą, właścicielką kilku hoteli, przede wszystkim pamiętali ją jako młodą dziewczynę z czasów wojny, która walczyła o wolność wyspy.

Przy otwartym grobie piętrzyła się góra kwiatów. Obok nich postawiono mahoniową trumnę. Athertonowie podeszli do niej.

— Podejdźcie bliżej — powiedziała Janna, biorąc Warrena za rękę.

Rozejrzała się wokoło. W dole rozciągał się widok na czerwone dachy Valletty, a dalej na bezkresny błękit morza, skąd wiał lekki, ciepły wiatr, przynosząc zapach ryb i glonów.

— Pithany Crandall, jesteśmy przy tobie wszyscy — powiedziała. — Chciałabym zacytować człowieka, którego nigdy nie znałam. — Głos Janny był przyciszony. Mówiła z napię-

ciem, wpatrując się w wieko trumny. — Nazywał się G.K. Chesterton. Powiedział: „Kochając kogoś, trzeba zdawać sobie sprawę, że można go utracić”. Tego nas zawsze uczyłaś. Musiałaś być mądra i czujna. Wiedziałaś, że tak jak straciłaś Iana, mogłaś stracić każde z nas. Przez całe życie pamiętałaś o tym. Ktokolwiek z nas potrzebował ciebie, zawsze podawałaś mu pomocną dłoń. Nauczyłaś nas tego, co potrafi jedynie najlepsza matka: docenić i odwzajemnić miłość.

Głos Janny zadrżał. Spojrzała na rodzinę. Shadoe przytulona do Warrena ocierała łzy. Audrey i Ellis trzymali się pod rękę. Podniosła wzrok ku niebu.

— Boże, pobłogosław naszą Pithany. Pozwól, by odnalazła ukochanego Iana i była szczęśliwa.

— To piękne — Warren szepnął do Janny. — Ona nie odeszła, ona żyje dalej w tobie. Jesteś taka jak ona.

Janna z wdzięcznością spojrzała na brata. Ostatnie dni bardzo ją wyczerpały. Żyła niby w transie, wciąż na wpół świadoma tego, co się naprawdę stało. Przez łzy patrzyła, jak grabarze spuszcza ją do grobu. Warren otoczył Janne ramieniem. Oboje spostrzegli nagle wysokiego, szczupłego mężczyznę, który szedł szybkim krokiem w ich stronę.

Nick? Czy to on? — pomyślała Janna, ocierając łzy. Podbiegła do niego i wpadła w jego otwarte ramiona. Przytulił ją mocno i szepnął:

— Tak mi przykro... kochanie. Nie mogłem wcześniej przyjechać. Byłem w Hiszpanii, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci.

— Co ty tam robiłeś, dlaczego nie zadzwoniłeś?

— Chciałem dopilnować, by Curt zapłacił za swoje grzechy. Zeznał, że wraz z Rhondą otruli Trevora...

— Myślałam, że nie wrócisz — wyszeptała, wtulając się w jego muskularną pierś. — Pithany powtarzała mi jednak, że przyjedziesz.

— Mała, przecież obiecałem. Wróciłem i zostaję.

— Czy to oznacza... — w jej oczach pojawiła się nadzieja.

— Kocham cię. Przepraszam, potrzebowałem czasu, aby po śmierci Austina doprowadzić wszystko do porządku. Zająłem się też matką. Przeprowadziła się do domu Prescottów. Byłem dla niej bezwzględny, ale musiałem coś zrobić, by przestała wreszcie żyć tylko przeszłością. Zdecydowała się zająć działalnością na rzecz chorych dzieci.

— Jak ona się czuje?

— Lepiej. Lepiej niż w ciągu tych kilku ostatnich lat. Przestała udawać, że Cody żyje. Bałem się, że stanę się taki jak ona, że przeszłość będzie dla mnie najważniejsza. Na szczęście poznałem ciebie i choć bardzo mocno kochałem Amandę Jane, to uczucie do niej jest już zamkniętym rozdziałem. Nie mogłbym sobie wyobrazić życia bez ciebie.

Och, Pithany! Czy słyszysz jego słowa? Kocha mnie. Janna rozplakała się.

— Czy to są łązy szczęścia? — spytał Nick z troską w głosie. Janna przytaknęła. To była najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

— Czy wyjdiesz za mnie? — spytał szeptem.

— Oczywiście.

Warren i Shadoe przyglądali się z boku szczęśliwej parze.

Namiętne pocałunki Nicka były dla nich dowodem, że postanowił wrócić na zawsze.

— Zupełnie jak Ian i Pithany — powiedziała Shadoe. — Nareszcie razem. Miłość na wieki.

